











*Białone piśmi  
i piśmi*

*F. L.*

**P I S M A**  
**IGNACEGO CHODŹKI.**

---

I.

---

Służmy poczeiwěj sławie, a jako kto może,  
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

**Kochanowski.**

---





*Ignacy Florjanczyk*

**PISMA**  
**IGNACEGO CHODŹKI.**

---

**TOM I.**

**OBRAZY LITEWSKIE.**

**SERYA I—III.**

---

**WYDANIE NOWE.**

z portretem autora

(na stal).

---

**WILNO.**

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

**1880.**

<http://rcin.org.pl>



Дозволено Цензурою. 20 Декабря 1879 года. Вильна.

405

ВИЛЬНА. Въ Типографіи подъ фирмою Осіпа Звадзкаго.

(Законова переулокъ, N. 149).

<http://rcin.org.pl>

**O B R A Z Y**  
**L I T E W S K I E.**

---

**SERYA PIERWSZA.**

**Domek mojego Dziadka—Boruny—Śmierć mojego Dziadka—  
Ostatnia Sessya Exdywizyi—Samowar—Powrót Dziedzica—  
Poddany.**





## DOMEK MOJEGO DZIADKA.

---

Gdybyś wziął martwy kamień z którym igra dziecię,  
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,  
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,  
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,  
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,  
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie,  
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,  
Xiężę! kamicę bez sądu rzuć prosto do piekła.

[Któż nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc po długim oddaleniu do domku, w którym dni swe dziecinne i młode przepędzał? czyż oko nie zalało się łzą miłego rozrzewnienia, na wspomnienie osób, których w tych samych już nie ogląda izbach, a które go tu niegdyś z pieczęcią tuliły do serca.] Komuż nie będzie słodsza jagoda z tegoż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z którego gdy był dzieckiem, piastunka lub go stary dziadulek karmił. Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem, choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogiej przeszłości! z jakąż roskoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinnem kiedyś poglądał okiem!

Przybywam do domku mojego dziada:

„wszystko tak jak było,

„Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porosła strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinną moją niegdyś biegła stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceniu pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek który tu był zamieszkał, ogałając ze wszystkiego tę ubogą chatę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głazu, i te jedyne przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkudziesiąt mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy *szlachcic na zagrodzie*. Patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje, tém interessowniejszy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów, zbytów i wspaniałości bogatych naddziadów naszych, przedstawień ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów; pomiędzy obrazami wad klasy wyższej i średniej chcącój zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziej i nałogi, niżeli dobre wybierającój przymioty,—nie mamy prawie pierworysów (*type*) wygasłego już pokolenia owój niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przechowywały się śród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerłość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumnienia. Przechowywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijném że tak powiem ogniwem, gminne urojenia i powieści z domowemi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezją.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada; z tém szczupłym mieniem był on szczęśliwy i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

[ Pszczółka, klaczka i pszenica,  
Wyprowadza z nędzy szlachcica.

powtarzał często pan Widmont, i szedł w gospodarstwie za tém staroświeckim przysłowiem. To też dwa ogródki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało zrębiąt, i corocznie wielka część pola jego, złotym pszenicy okrywała się kłosem: a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

[Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniążków. O! dobrze pamiętam ów kuferek szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderobki alkowy stojący. Z niego to dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam -sobie za reflexyą przeciw zbytecznej hojności, przy każdym otwarciu kufierka powtarzał:

Pamiętaj przychodzie,  
Żyj z rozchodem w zgodzie."

Dom ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego pamiętywam, chędogi natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowie zwane, alkówkę z garderobką i bokówkę z *alkierzykiem*. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zédlem koło pieca i długim zapieckiem, gniazdem dziatwy i szczurów, była miejscem najwałniejszych spraw domowych. Tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na rożaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne przy kawie rano, snów tłómaczenie, i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów, lub odkrywania zaklętych skarbów, nie chcący z własném wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém: *[dziatki! dziatki! bez woli Boga nie się nie stanie!* Tu furczały wiecznie dwa kołowrótki, głuszac zwadkę dwóch świegotliwych prządek, zasłużonych pokojówek jejmości; tu nakoniec w niedziele i święta uroczyste, panna *Helena* córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zédelku ze spuszczo-nemi skromnie oczkami, cieniutko śpiewała światowe pieśni: „*chciało się Zosi jagodek*“ lub pod dobry humor jegomości: „*Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami.*“ Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki, dla nich dwa paradne były pokoje; w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy buntem błyszczących ozdobiony bisiorów, i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty, i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste, dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! Tu kanapki dywanikami zasłane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia okrywały



ściany, tu stolików parę niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim talja kart polskich dobrze ogranych i filizanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza, i świątecznego ćwika. Z jakimże interesem grano gdy płątka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? okrzyk powszechny brać! brać! dodaje serca.—Ale płątka, odzywa się ksiądz pleban, cheący w duchu aby gracz stehórzył, a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce: raz, dwa, trzy; biorę, rzekł nakoniec z energją godną podziwienia, biorę! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy, ciche „*remis*“ szepcze się już około stolika.—[*Lepszy pan Bóg jak pan Rymsza!*] zawoła nagle dziadunio, kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało: nikt! nikt! ksiądz proboszcz powróżył także w palce, spojrział ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok tuza król w sekundach. A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt, po raz ostatni zawołał dziadunio, nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Ileż to przyjaciół w szczęściu! każdy wieszuje, każdy się przechwala że koniecznie tuz brać życzył, wszyscy przyznają, że pan skarbnik wybornie gra w ćwika! a jam skakał z radości.

O ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta? Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja roskoszą niewinne serce, jak żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinnym jestestwem! Student z Borun, z jakimże uniesieniem postrzegłem zdaleka gank i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem. Wielkanoc, święto najweselsze? Święto wiosny! Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutęj Pańskiej wieszery, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczor ostatniej soboty spożyty; i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, mile zalatywały wonie, gdy huczne salwy artylerji księdza proboszcza, dawały hasło rezurekcji. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał, powitany wesołym *Alleluja!* dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny wiosenny! Gromadnie i huczno wychodzono z kościoła. *Chrystos woskres! Chrystos woskres!* odzywa się na około; pozdrowienia

te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, rozweselenie i radość jaśniały na wszystkich twarzach.

My także wracaliśmy do domu przechodząc przez ulice z łubek; około każdej z nich, familja pocziwych chłopków w kupkę zebrana czekała, na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolasce, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. [Co za miły widok nas oczekiwał! w pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką, długi stoł okryty najsmakowitszem święconém. Tu na środku baranek z czerwoną chorągiewką na grzbiecie, trzymając w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnym wielkanocnym wloczebnym; dalej indyk utuczony, który sam jeden w całym domu, przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chudopacholskich święconych stołów; przy niej, dla zniepewnienia apetytu żarłoków, ćwierć cielęcica szeroką zalega misę. Cóż mówić o półgęskach, ozorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgruntowniej stępiony obudzić apetyt. Na obu końcach stołu siadły szerokie, przysadziste, jakby tej spiżarni gospodynie, dwie okrutne *Baby*; ach! bez nich, cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogorzałych obliczach, jak na twarzy pijaka, gęsto wysypane czerwone garby, a ze środka czarniawa, lipka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy oko, że mimo straszne pozory i wewnątrz i zewnątrz smaczniemi były. Garnitur pirogów i placków rozmaitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane między półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów widzenia, smakowania i powonienia nęciło.]

Oczekiwano księdza proboszcza, a tym czasem każdy przygotowywał się do swojej roli; poglądano w okna, milczano, lub szeptano z cicha. Kotka tylko faworytka domowa, siedząc na kredensie figlarnie myślała się łapką, i filonek tańcował około stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz; mój dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończwszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyę, przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dziś jeszcze solenność, i re-

spekt dla jego pasterskiej godności, *acuminose* połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowie, córki i zięciowi ze łzami w oczach mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy; nakoniec przychodziła kolej na wnuka. — Aj! serce mi się wrywało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzało, jam na środku, pan dyrektor trochę bliżej od nich, dla dodania serca, i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energja mówcę zawiodła. Zaczynam... o cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje, zaczynam po francuzku, i bez zająknięcia się palę aż do końca. Już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na święta. Niewiele jój wprawdzie rozumiał ksiądz professor, co ją układał, nie rozumiał pan dyrektor, co mi ją repetował, nie rozumiałem ja, który ją perorowałem, i nie rozumiał mój dziadulek, który jój słuchał, ale cieszyli się wszyscy: dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i busiakami osypał.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajanem ja-jem, i nie opuścił najmniejszego dziecka: a z uczuciem równie życzliwem podawał talerz swym dzieciom jak swym sługom i wiernej czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytwornem, lecz równie obfitem święconem.—Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru pan Huszczanowski organista, dął on bez miłosierdzia na klarynecie, i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował pannie Helenie: „*Wesoły nam dziś dzień nastał*“ i t. d. O Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospodarz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nieszczęśliwym? gdzie to liczne plemię rezydentów, poczciwych próżniaków, którzy jak błędni ryccerze wlokąc się z miejsca na miejsce trawili życie po cudzych, jakby we własnych domach i dowodzili jeżeli nie swojej ochoty do pracy, to gościnności i dobroci dziadów naszych! Niestety! gdzież się to wszystko podziało?

„Czemuż z miłych rzeczy zgubą,  
„Człowiek pamięci nie traci \*).

\*) Kropiński,—w piosnce: „Te brzoż kilka.“



Gdy teraz w wieczór, równie jak dawniej spokojny i miły, tegoż samego Wielkanocy święta, ja sierota po wszystkich moich usiędę na kamieniu, niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy, chrząszcz tylko z burczeniem przeciągając kiedy niekiedy przerwie, nagle pieśń; „*Wesoły nam dziś dzień nastał*“ rozlega się w oddaleniu: wieśniacy obchodząc w nocy po siołach winszują sobie tą pieśnią doczekanego Święta \*). Ileż natenczas pamiątek budzi się razem w mem sercu! jakże głos ten wzrusza je do głębi, i jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drżeniem!

Mój dziadunio miał także swoje wspomnienia, i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne, domowe tylko miało dlań pamiątki. Rok taki to, był urodzajny; w tamtym zima wymroziła mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie a po nich wojna okropna; po wojnie głód w czasie którego swojemi zapasami wyżywił on swoich włością i sąsiadów nie skąpo wspierał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki, i gorliwie trzymał stronę pana marszałka swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec, liczył jak z rejestru dzieje festów, kaznodziei i plebanów swojego parafjalnego kościoła, o kroków kilkaset z klasztorkiem drewnianym, niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

Szczególna to łaska Boga nad nami, moje dziecię, powiadał mi pocciwy dziad mój, że tak blisko mamy dom Boży! Co za wygoda, codzień bez pojazdów i zaprzęgów odbyć pobożną przechadzkę na mszę świętą. — Inszy tu wprawdzie dawniej był porządek; inaczej wszystko i lepiej. Co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! jakie festyny za ojców Jezuitów! tu jak tu! ale naprzykład w Żodziszkach, moje dziecię, gdzie ja do szkół chodził! daleko o tém i gadać!... Tu nagle mój dziadunio zamilkł, łza mu spadała po twarzy, obrócił się do krzyża, i wzniosłszy ręce do góry, westchnął głęboko i rzekł: „*Requiem aeternam dona ei domine!*“ Cóż to dziadunio? pytałem, po kim to płacze, po kim się modli dziadunio? — Ach! moje dziecię, nie mogę spojrzeć na tę ubogą dziś plebanję, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypomniał, nie westchnął do Boga za duszę mego najmilszego przyjaciela. W téj oto tam na prawo celce już teraz pustej, mieszkał

\*) Zwyczaj ten trwa zawsze.

on niegdyś, święty prawdziwie człowiek ksiądz Obłoczynski kapłan *Societatis Jesu!* Był on moim professorem retoryki w Żodziszkach. Otoż moje dziecię, skończywszy szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie: aż w lat cztery czy pięć, przybywa na rektora do tutejszego zgromadzenia teuzę sam mój preceptor i dobrodziej ksiądz Obłoczynski: Co to za radość dla mnie była, moje dziecię, gdy mnie on raz pierwszy odwiedził i pobłogosławił moją chatkę! może dla tego i odtąd Bóg w niej mieszka i nam sporzyć raczy. Codziennie potem widywaliśmy się z sobą! Święty! prawdziwie święty człowiek! największy exorcysta w całej Litwie. Sam nieraz bywałem świadkiem jak czartów z nawiedzanych wypędzał. — Ach! dziaduniu! krzychałem wtenczas całując go w ręce, jak to było? jak to było? — Ot tak moje dziecię, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniej z dopuszczenia Bożego napadał na jaką babę, a czasami i na mężczyznę i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętani, ale już to nie baba, lub mężczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał, krzychał, skakał, bluźnił, różnemi językami gadał i po łacinie, i po niemiecku, i takim nawet językiem że go nikt nie rozumiał, a najbardziej księży nienawidział. Takich moje dziecię nawiedzonych, o mil kilkadziesiąt tu do Kościeniewicz do księdza Obłoczynskiego przyważano. Oho! jak tylko po mszy świętej pokazał się on z kropidłem, stulą i agendką, zaraz djabeł go poznawał i wiedział co z nim będzie. Toć już zaczynał łajać świątobliwego kapłana, — a ty klechu! a ty taki! a ty owaki; czego chcesz odemnie? rzucał się w oczy, groził; ale to nic nie pomogło. Ks. Obłoczynski przystępował odważnie, kropił najpierw babę wodą święconą i związywał stulą, przy stosownych a gorliwych modlitwach; djabeł poznawał, że kusa rada; dalej więc do prośb, do lamentów i obietnic: a ojczyńku, a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiem co z tobą będzie po śmierci, a ciebie nauczę gwiazdy liczyć! — Nie, nic nie chcę od ciebie, wołał Obłoczynski, wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił. — Aj! aj! aj! nie léj warem, wrzeszczał djabeł! Bo widzisz moje dziecię, woda święcona parzyła go jak ukrop. — Zaraz wyjdę, zaraz; ale gdzie mi się podzieć; pozwól księżu wlażę ot tu niedaleko, w tłustego wieprza. Obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty organista wlecze się przez cmentarz. Poznał Obłoczynski chytrą djabelską: — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź

tam zkądś przyszedł i gdzie tobie Bóg nazaczył mieszkanie! Wychodź wnet! — Nie chcę ja do piekła księżulu, nie chcę! oto wiesz co? pozwol wżę w zgniłą kłodę tam na drodze pod Kurzeńcem. Miarkował znowu Obłoczyski, że szatan myśli go oszukać — dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi, chłopek pijany leży na drodze, i zły duch chce tylko odmienić kwaterę. — Zgadłeś klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan! No to wyjdę, ale daj mi czasu, wyjdę za rok, dam cerograf na to. Obłoczyski na żadne termina nie zgadzał się, a coraz bardziej modlitwą, kropidłem i świętymi słowami djabłu dokuczał; to koniec końcem musiał czart ustępować i wyjść z nawiedzonego. A że bywały zdarzenia, iż szatan niby wyszedł, a tylko się przytąił, więc kapłan zaklinał aby dał znak swojego odejścia. — Dobrze księżulu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie: to się znaczyło, że na pożegnanie, skreśliłby palec, lub oko biednemu nawiedzonemu by wylupił. — Nie szatanie! wyjdź jakieś wszedł! *Conjuro te!* Łaciny najbardziej djabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umie. To już dalej nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakreślił wichrem na piasku; a biedny nawiedzeniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nieżywy u nóg Obłoczyskiego. — Wszyscy potem za promotorstwem tego świętego ojca odmawialiśmy litanję, dziękując Bogu za cud wyrażny i wyzwolenie duszy chrześcijańskiej z mocy czartowskiej.

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dziesiątek, mówił dalej mój dziadulek, siadając ze mną na owym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajném odpoczynku i dogadzając żywój mej chęci słuchania, która wzajemnie jego chęci opowiadania dziejów dawniejszych, chęci tak zwyczajnej starcom, dogadzała; gdy razu pewnego ze stron dalekich przywieziono opętańca, o którym powiadano, że był szlacheckiej kondycyi, że nawet niedawno odprawił pielgrzymkę do Rzymu, co tém większą nabawiało nas ciekawością, i ksiądz Obłoczyski tém świątobliwiej przygotowywał się do téj praktyki. Ależ to w nim musiał być niechybnie sam Lucyfer! Rzecz tylko dziwna, jak się dostał do tak bogobojnego człowieka? Jakiż uparty! jakiż bluźnierca! zimny pot lał się z czoła biednemu kapłanowi. Po trzykroć czynił najsilniejsze zaklęcia, wszystkich nas obecnych wzywał abyśmy się modlili, co też i czyniliśmy bez ustanku; organistę jako nałogowego opilca, a zatém będącego w grzechu śmiertelnym precz odprawił, słowem, pracował jak mógł najgorliwiej i nakoniec uchodził szatana — Jezuito! krzyknął bies wściekły! Jezuito! wychodzę,



wypędzasz mię, wypychasz gwałtem! ale pamiętaj Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą: z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką! pamiętaj na moje słowa! pamiętaj Jezuito! Wtém kichnął opętany, aż mu się krew nosem rzuciła i padł jak bez duszy.—Zgiń, przepadnij do piekła szatanie! krzyknął ks. Obłoczymski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje prorocstwa! Amen! zawołaliśmy wszyscy, i zwyczajną wnet zaczęliśmy litanią.

Niestety! czart wiedział co wyrzekł. Ledwo lat dwa potém upłynęło, gdy raz do izby gdzieś rożaniec z czeladką odprawiał, wszedł do dnia ksiądz Obłoczymski. Zdziwiły mię tak ranne jego odwiedziny: *Laudetur Jesus Chrystus! In secula seculorum!* odpowiedziałem! — A, nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować rożaniec; więc tak i zrobiliśmy. Po ukończeniu, zapytał mię ks. Obłoczymski, czy pamiętasz waszeć panie Macieju, tak mię bowiem w prostocie serca i poufałości przyjacielskiej nazywał, czy pamiętasz waszeć co powiedział ostatnim razem szatan gdyś go z nawiedzeńca wypędzał? czy pamiętasz co prorokował naszemu zakonowi?—przypominam rzekłem.—Otoż się i ziściło. Niema już Jezuitów! — Jak to? zawołałem *Reverendissime?* Nie rozumiem co mówisz! — To się ma znaczyć, że Klemens XIV skassował nasz zakon; bullę jego dziekan wczoraj wieczorem przywiózł do naszego klasztoru; dziś nam ją *ex officio* ogłosi: kościółek nasz i klasztor przyjmie w swoje zawiadywanie a nam rozejść się dozwoli. Przychodzę więc do waszeci panie Macieju, prosić małego kątka dla mojej starej głowy i kawałka chleba. Będę ci pomagał w twojej gospodarce, będę twoich dzieci i twoich chłopków uczył Boga chwalić, i będę jego łaski w codziennych modlitwach dla was prosił. — Ojcie! rzekłem płacząc i całując, jak zwyczajnie to czyniłem, jego ręce, ojcie! każdym kęsem, każdą odrobiną chleba mojego podzielię się ochotnie z tobą: mieszkać z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubogiej chatce mojej, gdy święty sługa jego w niej przemieszkować będzie! Płakaliśmy obadwaj; uściskał mię ksiądz Obłoczymski! — Tak Bóg chciał, rzekł: tego widać wymaga dobro naszej religii świętej; oby wszyscy bracia moi z równą co ja, ten cios zniesli cierpliwością! Spodziewałem się, że waszeć mię przyjmiesz chętnym sercem; ot przynajmniej będę mógł codzień odprawić mszę w kościele, w którym przez tyle lat Boga chwaliłem; i pocieszać

się z waszecią panie Macieju, którego jak brata kocham. Ucisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim nowym gościem do klasztoru,

Do ostatniej tam chwili, jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczajnych godzinach codzienne odbywało się nabożeństwo; na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia, lub wewnętrznego niepokoju; w podwojonej tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomi rzeczy, widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku uciekającego się do Boga i szukającego ulgi w zupełnej uległości jego świętym wyrokom.

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach, i w samem tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim napełnił kościół. Po ukończeniu nabożeństwa, stanął ksiądz dziekan *pontificaliter* ubrany na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie księży, odczytał bullę papieżką, kasującą zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów \*). Wnet po ukończeniu ksiądz Obłoczynski jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego zgromadzenia, *ex abrupto* począł mówić orację pożegnalną. Obowiązywał on braci swoich do zniesienia bez szemrania woli Bóżej, objawiającej się wyrokiem głowy chrześcijańskiego kościoła; zaklinał aby przestając być zakonnikami, pamiętali że są kapłanami, i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętej Chrystusowej religii, a zatem że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnót chrześcijańskich, a teraz szczególnie cierpliwości i pokory; żegnał potem nas jako pasterz trzodę, którą opuszcza. Płakał lud zgromadzony, płakali kapłani i my wszyscy; ksiądz dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec ksiądz Obłoczynski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego; przez chwilę tak cicho w głębokiem zebraniu ducha pomodliwszy się powstał, zaintonował *Te Deum laudamus*, wziął krzyż w ręce, wyszedł z kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne, i klucze w ręce dziekana złożył. Rozeszli się księża w rozmaite strony, to do rodzin swoich, to do Wilna, to na kapelanów. Mój ksiądz Obłoczynski, wzięwszy krucyfix w ręce a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

\*) Z miejscowego podania.

Odtąd aż do śmierci, składał on z nami jedną rodzinę; szanowaliśmy go jak ojca, on kochał nas jak dzieci. Oto między kilkoma temi sosenkami grób jego; wybrał on sam i poświęcił ten gaik na cmentarz dla chłopków naszych, i sobie na nim miejsce przynaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine*; wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przyjaciela, wśród poddanych i sług moich.—Ale co mówię? źle nazywam, wśród braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chleb robi i dla nas w pocie czoła pracuje to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziej.

Te i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę moją najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka: jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i zwyczaje, razem złane utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń do których przyłgnęło młodzieńcze serce moje, i które po wiele latach otrętwienia z głuchym żalem budzą się w niem na nowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spójrzienia na przeszłość naszą; i dumając nad każdym osobliwszym tój drogi wypadkiem, spocząc nakoniec ostatniem wytchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda. Rzekłbyś że dusza nasza przygotowuje się tym sposobem i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy, nieprzebyty szlak wieczności, na które, z łona jój spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie, pierwsze z ostatniem ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takiem to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego, i powtarzam z rozrzewnieniem słowa warmijskiego wieszczka.

„Domku mój miły! widok mię twój krzepi,

„Wszędzie mi dobrze a w tobie najlepij.“



**B O R U N Y.**



Antoniemu Edwardowi

# ODYŃCOWI

WSPÓLUCZNIOWI BORUŃSKIEMU,

w którego sercu znalazłem równy mojemu zapas uczuć i wspomnień  
z jakich się składa ten obraz, poświęcam go i przypisuję.

*Autor.*

## B O R U N Y.

---

Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,  
Kraj przypomina obraz Litwy,  
Wspominam moje dziecinne lata,  
Mówię dziecinne moje modlitwy!

ODYNIEC. *Dumanie we Włoszech.*

### I.

**P**od opieką słynącej cudami Matki Boskiej w Borunach, wznosiło się w szkołach kilkaset corocznie dzieci. Rodzice z dalszych i z bliskich okolic Oszmiany, przywiozłszy tu i zostawiając swych synków, prowadzili ich przed ołtarz Bogarodzicy, ze łzami błagali Jój łaski, zlewali na ich dziecinne głowy czułe swe błogogłosławieństwa, i ze spokojniejszym sercem wracali potem do domu; nieraz z ostatniego za Borunami wzgórza, z którego krzyż już tylko kościoła dojrzeć można było, zapłakana matka wysiadła raz jeszcze z pojazdu i gorące modły przesyłała ku miejscu, gdzie najmilszą sobie istotę, gdzie duszę swój duszy zostawiła; gdy tymczasem rozdzielony zak od mamuni, płakał stojąc na ulicy, i poglądał na drogę na której pojazd zniknął, i na której tym sposobem spotykały się wzajemnej ich tęsknoty westchnienia!!!

Zdarzyło się któremu z moich boruńskich kolegów być teraz w opustoszałych Borunach? O! nie jednemu zapewne. Lecz czyliż kiedykolwiek z równym mojemu uczuciem poglądał tu na ślady swój młodości? czyliż z równym urokiem smętnego rozrzewnienia, upadł na kolana przed tym samym obrazem, przed którym niegdyś w ordynku klęczał? Czy rozmierzył duszą tę przestrzeń i różnicę czasu, i tę je-

szcze większą różnicę młodzieńczego i starganego przygodami życia, serca? Czy uczuł głęboko wewnątrz siebie to politowanie nad sobą, którym człek oskarża życie przed dawcą życia, i w którym wzywa na siebie jego przychylnego wejrzenia, jak dziecko wzywa przybycia oddalonej a czuwającej nad niem matki.

Boruny leżą w lesistej części powiatu oszmiańskiego:

„Gdzie niedźwiedź miał legowisko,  
Lub gdzie łoś swe pastwisko,  
Tam grzesznik pokarmem żyje  
Niebieskim; etc.

powiada stara pieśń na cześć cudownego Boruńskiego obrazu ułożona. Puszcza to więc była zapewne głucha natenczas, gdy pokorni zakonnicy Ś. Bazylego, obrali tu sobie odludne siedlisko. Wspaniała potem świątynia i obszerny klasztor wznosił się na tém miejscu słynącym już szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; a nakoniec pustynia ta ożywiła się zbiorem dziatwy wyśpiewującej co niedziela historyę i chwałę miejsca tego.

Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzewnioném sercem, wyszedłem na rynek Boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem. Mrok właśnie padał pięknego letniego wieczora, i zdawało się mi, iż się zaraz wysypie ze wszystkich domków otaczających rynek, mnóstwo wesołych malców: że się rozlegną huczne ich hałasy; że echa odbiją zaraz taktowe uderzenia piłki o wieże i mury otaczające kościół; że się zwolna wysuną z klasztoru księża professorowie, a nawet i sam ksiądz prefekt dobrodziej; że przypatrując się czas niejakiś z upodobaniem temu powszechnemu zamięszaniu, temu żywemu obrazowi wesołości, młodszy szczególniej z nich i żwawszy, nie dotrwają nakoniec, jako i nie dotrwali w powadze swego urzędu i stanu, a złączą się w równość braterską i podzielą z całego serca rzeźwe i niewinne studenckie swawole!—Ileż to razy bowiem ksiądz fizyk naprzykład, albo ksiądz wymowy, zawinąwszy habit około butów, biegł jak łoś do mety, albo przylepiał szeroką swą łapę do muru na cel kozlistej piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina, musztrował rotę wybranych, i równie jak on uzbrojonych rycerzy!!!

Ale oczekiwania moje, omamieniem wzbudzone, nie wywołały mi tu przeszłej ani odmieniły terażniejszej rzeczywistości. Domki w pół porozwalane nie roiły się dziatwą; po cmentarzu przesuwiał się mnich ponury; po ulicach przewlekała się obdarta hołota; na rynku tylko



pod kaplicą siedziała baba w łachmanach, i wśród głuchego milczenia, mruczała modlitwę wieczorną, przypadającą szczególnie do tego obrazu nędzy i żałoby. Miałażby to być półtora-wieczna Raducina, pomyślałem, niegdyś postrach i zabawa studentów? Nie zapewne! ale zajmując tu zwyczajne i ulubione jej miejsce, postać, rysy i czyny Raduciny dawniej, rzuciła mi na wyobraźnię.

Była to prawdziwa *Megmeryllis* boruńska: baba stara ale czerstwa i wysoka, często półpijana, często półwaryatka. Kiedy szeroko rozpuściwszy łachmany, szła z podniesioną głową przez rynek, czarnym wywijając ozogiem, i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę, uciekała dziatwa z drogi, krzyząc, czarownica! czarownica Raducina!! Ale kiedy spokojnie i smutno siedząc wieczorem na swém pod kaplicą kamieniu, przywabiła którego ze śmielszych swych faworytów, i ciekawe mu zaczęła prawić historye, o upiorze który oto tu z tego samego sklepu z pod kościoła co noc wylaził, i szedł prosto na mogilnik, a potem znowu wracał do sklepu, jak mu potem głowę ucięli, i już potem nie chodził; jak leciała szarańcza aż słońca widać nie było, a na skrzydełkach u każdej po żydowsku napisano było, że to kara Boska; jak było powietrze i wszyscy poumierali; jak potem ten kościół murowali i Raducina cegielki podawała, a mularz jeden zleciał z dachu, ale cudem Matki Boruńskiej powstał z ziemi żywy i zdrowiuteńki; a jak to wszystko było, zawsze lat sto... Gdy tak opowiadała, to wnet gromadziło się coraz liczniejsze kołko słuchaczy, zapominano Raduciny czarownicy, a biednej staruszce Raducinie w czarne torby i kieszenie, miedziaki pirogi i obwarzanki pakowano.—„Dziękuję wam Jasiu! Antosiu! Leonardku! dziękuję wam, mówiła ona, dajcie łapki, powróże wam za to. Wnet kilkanaście rąk wysuwało się naprzód: niespokojna ciekawość malowała się na czerwonych policzkach malców. Raducina brała każdą z kolei rękę, a patrząc w oczy ze złośliwym uśmiechem, improwizowała prorocтва: „Ty będziesz!!! O! tobie będzie dobrze na świecie! ty będziesz ekonomem.“ Baba wiedziała że to pan marszałkowicz.—Antoś ekonom! Antoś ekonom, krzyknęła cała czereda, i pan marszałkowicz spuścił nos na kwintę. „A ty! ty choć sobie teraz chudy pacholek, szlachtuna z Polennik, ty będziesz... generał“—Leos generał: wiwat Leos generał! ozwał się znowu skaczący chór figurantów tej sceny.—A ja? a ja? wołają wszyscy razem, tłoczą się jeden przed drugim i gwałtem naprzód wyciskają dłonie. „Ty! ty będziesz wotywę śpiewał, *Oremus*.“—O reverendissime Jasiu! reve-

rendissime! winszujemy, brawo! *Oremus*, *Oremus*! i Jaś nie wiedział czy cieszyć się czy płakać nad swém przeznaczeniem! „A ty paniczul! tobie w sobotę pieńek, a w niedzielę pirogi!“ Raducina niedawno wróciła z wędrówki okolicznej; wszędzie po domach rodziców przyjmowano ochoczo i uprzejmie babę boruńską, wiedziała więc zapowiedzianą w niedzielę bytność mamuni Tadeuszka, i wiedziała że Tadeuszek naczelny wisus, pewnie nie ujdzie sobotniego rozrachunku.—Nagle wstaje baba, prostuje się okropnie i ryknie chrapliwie:

„Pewny sobie bogaty,  
„W złoto, srebro, szarłaty,  
„I zbyt kosztowne szaty,  
„Miał aksamit, purpury,  
„A na mnie łaty, dziury!“ \*)

Postać, mina, głos i ożog na którym się wsparła powraca Raducinę czarownicę; spłoszona zgraja rozbiega się w mgnieniu oka, i nie jeden zuch przełknięty zasnąć nie mógł, słysząc jak ponuro i z cicha do północy jeszcze dzieje Łazarza z pod kaplicy, jak z grobu wyciągała.

Zgasły dnia blaski, niebo gwiazdami się osypało, noc piękna i cicha nowego dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy, przez gumniska i płoty stawał co zima groźny z lodu ekop; ileż kłębów śniegu wytaczać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należycie! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem *Amadisa*, stał potężny olbrzym; głowa *sfinxa*, z dwóch czarnych węgli zrzenica, tułub *Bachusa*, a nogi, rodyjskiego kolosu; w ręku trzyma wzniesioną maczugę *Herkulesa*, i biada temu kto się jój dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmę wytrzymać musiał. Rynek i ulica *Mińska* atakuje ulicę *Wileńską*; z jednej strony dowodzi pan *Leon*, świeżo przez *Raducinę* mianowany generał; z drugiej pan *Justyn*, podżyły infimista, trzecieletni weteran klasy I-szej, niemocny wprowadzie na dowodach, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową,“ ależ za to biegły gracz w matony, piérwszy rycerz na ślizgawce i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

„Wysuwa się ochotnik z tój i z owój strony  
Z razu poszły na udry, potem na plutony.“ \*\*)

\*) Pieśń o Świętym Łazarzu.

\*\*\*) *Amfitryon*, tłumaczenie *Zabłockiego*.

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu, i lubo zmrok wieczorny zacinienia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. „Postrzega pan Stefan, że sprawa po diabla \*), że pan Leon grassuje po jego rotach, jak kawalerzysta po rozbitej piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się targa, daje więc hasło odwrotu! Za okopy mości panowie! za okopy! krzyknął: któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi? . . . Ale w tym momencie błyska od klasztoru światelko, znajoma to latarka!!! Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt! Przystroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światelko się posuwa! . . . wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka . . . i wszystko pierzchnęło!!! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją i ze zbitą latarką, znajduje pustym plac pobojo-wiska. Następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowanie znalezienia winowajców! Siedzą wszędzie malcy spokojnie około stołów, a zatknawszy uszy i zamrużywszy oczy, wrzeszczą na zabój:

„Byli tacy, byli tacy Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie, którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili“ i t. d. \*\*).

## II.

Ostatni w Litwie pustelnik, żył przed dwudziestą laty pod Borunami. Zaledwo mnie, na liczbę kroków świadomemu odległości jego pustelni od miasteczka, udało się wynaleźć to miejsce. Bujne drzewa wzrosły na czystym niegdyś jego ogródku, pasorzytne ziel-ska rozwlekły się po darninie szczupłego dziedzińca, a mały kopczyk z gruzów, oznaczał mogiłę zapadłej chatki. Księżyc łagodnym blaskim oblewał ten malehki krajobrazek, wśród którego ja wędrownik daleki, za duszę przyjaciela mych dni dziecinnych, szczerą a prostą modlitwę „wieczne odpocznienie“ zmówiłem. Pocziwy starzec! jakże on kochał diatwę boruńską! Był on sędzią naszych spraw, a często poręcznikiem u pana dyrektora, lub u księdza prefekta; on przewodniczył w zbieraniu na zapas zimowy orzechów, jabłek i gruszek leśnych, których u siebie dla swych codziennych gości niewyczerpany miewał dostatek. To też gdy po ranném powitaniu wschodzącego słońca pieśnią: „zawitaj ranna jutrzeńko“ którą echa

\*) Tamże.

\*\*) Historia kościelna na klasę I-szą.





do miasteczka donosiły, ojciec pustelnik pokazał się na ulicy, otaczała go dziatwa w około, a skacząc i witając radośnie przeprowadzała do kościoła na mszę studencką, na którą on nieodmiennie codzień przychodził. Na twarzy jego sędziwej, gęstą i siwą ozdobioną brodą, widziałbyś natenczas najprawdziwszy wyraz gorliwego uniesienia i głębokiej wiary, jaką prosta dusza jego pałała ku Bogu; łzy toczyły mu się po bladych licach, gdy klęczący z podniesionymi rękami łączył głos swój drżący z chorem dziatwy śpiewającej: „*Święty Boże! Święty mocny! Święty nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami.*“ Tak wznosiły się razem w niebiosa modły z obu ostatecznych kresów życia ludzkiego, nadziei życia i nadziei po życiu: modły dziecinnych błagań, uwielbienia i chwały, czyste, żywe, błyszczące, jakby brylanty na ozdobę korony Matki Boskiej na jej ołtarz sypane, i modlitwa żebrzącej pokory, skruchy, żalu, a może i pokuty, głęboka a ciężka jakby bryła gładka z trudem podjęta i na stopniu ołtarza w ofierze złożona.

Zresztą modły pokutne ojca Onufrego nie były zapewne gorzkimi. Zgryzota sumienia nie wywlokła go z pośród ludzi na samotność, ani truća tej samotności; przeszłość jego powszednia, że tak powiem, nie szła po ostrych szczytach życia, którego by wypadki kończąc się pustelnictwem, mogły służyć za osnowę romantycznych powieści. Szlachcic, za młodu żołnierz, potem dworzanin jednego z magnatów litewskich, nakoniec gospodarz na małym własnym kawałku ziemi, ożenił się on i pędził, z przywiązaną, do siebie żoną, życie spokojne obyczajem prostym i poczciwym szlachty naszej, a obyczajniejszej polorem, w rozmaitych kondycjach, które przebył, nabytym. Pociecha podeszłego ich wieku, nadzieja starości, synek jedyny, wychował się im do lat siedmiu rzeźwo i zdrowo. Hasał on raz na koniku po polu, rodzice nań z wiśniowego ogródka z czułym uniesieniem patrzyli „*Tęgi chłopak! powiadał ojciec.—Kochane dziecko! mówiła matka: cóż z niego będzie?—Będzie poczciwy człowiek, Teresiu! oddamy go do szkół.—A potem?—A potem jak się wszystkiego wyuczy powróci do nas.—A potem moje serce.—Potem, a moja duszko!... cóż potem? dworów niema teraz takich, w jakich ja za młodu służywałem: do wojska!..—Jednego jego mamy, a któż naszą starość dochowa?—Więc potem, tak wypada moja duszko, ożenim go.—A potem?—Ha! potem, śmieszna jesteś moja Teresiu; potem będziemy wnuków kołysać, Antos będzie gospodarzyć, pracować będzie na swoje dziatki i na swoich rodziców.—A potem moje serce, będziemy*



żeńić naszych wnuków.—Oho! moja duszko, tybyś chciała żenić aż do siódmego pokolenia! Nie moja Teresi! potem będziemy starzy, ty będziesz wnuczkom lalki ubierać, a ja wnukom będę koniki strugał, i będziemy spokojni i będziemy szczęśliwi!—Tak, będziemy szczęśliwi! powtórzyła żona w upojeniu macierzyńskiego rozrzewnienia, będziemy szczęśliwi... Wtém, ach! o Boże! krzyknęła nagle i padła bez ducha! Konik Antosia ułękł się jakiegoś krzaku, spał się raptem, zrzucił jeźdźca i poleciał jak strzała . . . . Matka już więcej nic nie widziała, ale ojciec we mgnieniu oka przeskoczył płotek ogródka, i biegł co tchu za koniem, który ciągnął za sobą ukochanego Antosia, uwięzłego za nogę w strzemieniu; nakoniec koń ugrzązł w błotku, i nieszczęśliwy ojciec dopadł syna zbitego, krwią zlanego, i nie dającego znaku życia!!! Otoż nadzieje ludzkie! oto szczęście ludzkie!—Zazdrośny człowiekowi, niewidomy wróg rodzaju naszego, szatan, czatował zda się na ostatnie słowa cieszącej się matki, na jej najdroższe nadzieje! „Tak będziemy szczęśliwi,“ chwycił te słowa w swoje szpony, zgniótł je zajadle, zgruchotał i cisnął pod nogi . . . Niestety! już się one nigdy odtąd w tych samych ustach nie powtórzyły.

Przyniósł drżący i zapłakany ojciec ukochane swe dziecię do domu i złożył na łóżku, przyniesiono z ogródka żonę, ocuciła się wkrótce, a pierwsze jej słowa były: *Syn mój! mój Antoś!* Wbiegła do drugiej izby, gdzie schylony nad łóżkiem mąż jej tamował krew z ran Antosia i cucił go wszelkimi sposobami: podjął on głowę na krzyk żony, stanęli oboje nad synem jak wryci, i spojrzeli na siebie wzajemnie!!! Ach! ten wzrok którego wyobrazić nie potrafię, ten wzrok rodziców nad trupem swojego dziecka! nie przedstawiaj go sobie czytelniku, jeżeli jesteś ojcem, abys sobie wielu bezsennych nie przyczynił nocy. Wzrok ten przebił ich do głębi, wtrząsł całym ich jestestwem, dobył nakoniec łez krwawych z osłupiałej źrenicy, chatka rozległa się rykiem obojga rodziców i jękiem przywiązanej czeladki... W lat kilkadziesiąt potem, ojciec Onufry opowiadający tę chwilę męczeńską swojego żywota, znieść jej obrazu nie mógł; przestawał mówić, ciężkie westchnienia tamowały mu oddech i krępowały język, i ledwo po długiej chwili osłupienia, łzy rozwiązywały mu usta i wolniej znowu oddychając, kończył opowiadanie.

Jednakowoż Antoś odżył, ale radość ztąd żywa rodziców, zmieniła się wkrótce na ciągły smutek, tak jak gwałtowne zabicie się ich syna na ciągłą mu przemieniło się chorobę. Uderzone niebezpie-

cznie w piersi, schło dziecko i niszczało widocznie; próżno codziennie i doktorskich i domowych używano leków. Niekiedy błysnęła nadzieja: chłopiec na dni kilka polepszał się; natenczas orzeźwiała się i rodziców życie, wędniejące z nim razem; ale gdy rychło znowu wróciła mocniejsza choroba, wracał wnet razem coraz wzmagający się smutek. Niespokojna matka tuliła do łona ukochane swe dziecię, i koła jak mogła jego cierpienia; niekiedy trzymając je na ręku padała przed obrazem Matki Boskiej, a łzami i modlitwą boleść macierzyńską Maryi przy śmierci Syna na krzyżu przypominała; to znowu ojciec biorąc chorego z rąk matki, nosił go, pieścił, całował, własne jakby mu zdrowie chcąc przelać. Chłopczyk zapominał natenczas o swojej chorobie, obejmował szyję ojca, kładł bladą głowę na jego ramieniu i cieszył go mówiąc: „Nie płacz ojcze! ja zdrów będę, mnie już lepiej.“ Ach! natenczas krajało się serce ojca niemającego żadnej nadziei, a jednak zdawało mu się, że śmierć nie zdoła mu z rąk wydrzeć syna, i dla tego nosił go tak zwieszonogo na swych piersiach jak najdłużej i z trudnością składał na łóżko, od którego ani na krok nie odstępowali oboje.—Nakoniec matka, życiem własnym do życia dziecka przylgnięta, bezustanną gorzką troską dręczona, bezsennymi nocami zmordowana, sama wpadła w chorobę, i obok syna zaległa łóżko.—Albo daj mi Boże wstać z nim razem, lub z nim razem umrzeć!—wołała niekiedy, i codzień słabiejąc los swój zgadywać się zdawała.

Wśród tak smutnego stanu rzeczy, pewnego wieczora chorzy w drugiej izbie leżący, usłyszeli w pierwszej: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*“ i zaraz potem: „*Święty Justyn pozdrawia!*“—Kto tam odezwała się słabym głosem gospodyni.—Podróżna, biedna uboga: chodzę po świętych miejscach, po cudownych, prosząc Boga za zdrowie moich dobrodziejów; wracam z Miadzioła od Ś. Justyna, a idę do Borun. *Kyrye elejson! Chryste elejson!* i t. d. Zwlekła się natychmiast chora z łóżka, i wszedłszy do pierwszej izby, ujrzała stojącą babę starą, w ubiorze zwyczajnym wędrujących dewotek. Półpłaszczyk gruby sukienny, czarny, dobrze wytarty, z pod niego długa koronka, na końcu której krzyżyk i kilka medalików mosiężnych; na piersiach duże szkaplerze, a z ramienia jakby znak widomy cechu żebrackiego, od którego ją ubiór odróżniać zdawał się, torba łatana wprawdzie, lecz dobrze pękata, i kij podróżny, jakiby przystał raczej silnemu parobkowi, niżeli ubogiej i słabej niewieście; do tego kaptur na głowie trochę na bakier wciśnięty, spójrzanie śmiałe

i ciekawe, a postać wysoka i prosta. Figura taka w końcu ciemnej izby stojąca, ponurym głosem mrużąc modlitwę, témże samém uczuciem trwogi i przerażenia napełniła chorą, jakim nieraz w postaci czarownicy studentów boruńskich nabawiała. Była to bowiem znajoma nam Raducina, w podróżnym a uroczystym swym ubiorze, ze świątobliwych wracająca wędrowek, które corocznie w rozmaite strony, nie tak dla dewocyi jak raczej dla odwiedzenia znajomych dworów, zebrania zapasu nowinek na rok cały, i sowitej na odpustach jałmużny, odbywała.—Ach! moja babko, pomódl się za zdrowie mojego syna,—przemówiła ośmielona pani Onufrowa.—Dobrze dobrodziko: ale zdaje się że i dobrodzika nie bardzo zdrowa jesteś!—odpowiedziała Raducina—Tak moja babko! ale mniejsza o mnie!—Pan Bóg z nami, dobrodziko, jak to mniejsza? pomodłę się i za matkę i za syna, a mam modlitewkę doświadczoną; tylko dobrodziko opowiedz mnie o chorobie, jak co jest? i skąd лихо się wzięło? Może kołtun, może czary, uroki?—Nie moja babko;—i tu opowiedziała gospodyni całą historję przypadku Antosia, i nawet zaprowadziwszy babę do alkierza ukazała jęj chorego.—Źle zrobiliście dobrodziko, że zaraz po przypadku nie ofiarowaliście synka do miejsc świętych: do Żywic, do Budy, do Borun. Oj! do Borun dobrodziko! do Borun! Nieraz widziałam sama, jak chory ledwo się tam przywłókł, a przecież za łaską i cudem naszej boruńskiej Opiekunki, wrócił zdrowiutętki jak rybka! do Borun dobrodziko wieście synka!—Błysnęła nadzieja, chwytałi się jęj nieszczęśliwi rodzice. Po krótkiej więc naradzie, postanowiono za przewodnictwem Raduciny odbyć pobożną peregrynację do Borun i od jutra wybrać się w podróż; a tym czasem utraktowano babę hojną wieczerzą i na świeżém sianie w odrynie, wygod na noc wyznaczono gospodę.

Nazajutrz ledwie kur zapał i zwiastował świtanie, pan Onufry już przyrządzał wóz podróżny. Wyszła i Raducina z odryny z koronką w ręku i przechadzając się po gumnisku, odmawiała różaniec, przerywając niekiedy modlitwy uwagami względem zapasów podróżnych tak dla chorych, jako i dla zdrowych nieodbicie potrzebnych. Wyniósł nakoniec parobek schorzałego Antosia, za którym wywlekła się i słaba matka jego; oboje umieścili się na wozie, parobek siadł za woźnicę, pan Onufry obok piechotę, a Raducina na przodzie prowadzić miała tę karawanę. Już wyruszałi, gdy wysypała się wierna a pocziwa czeladka, ostąpiła powóz, całowali wszyscy ręce pani, panicza i pana, ze łzami polecali ich Bogu, i życzyli szczęśliwej drogi. Pan Onufry po-



ruczając im swoją chudobę i domek, rozpłakał się także; Antos żegnał zapłakaną rzewnie swą mamkę, a pies *Rozbój* pełzał i łasił się około nóg panów swoich, prosząc jakby pozwolenia na drogę. Raducina usiadła na ganku pod spichrzem, oparła ręce i brodę na kiju, i kiedy niekiedy kiwała smutnie głową. Jedźmy, rzekła nakoniec, więcej od wszystkich zalana łzami pani Onufrowa, bądźcie zdrowe dziatki! proście Boga, abyśmy do was wrócili... a jeśli nie wrócimy, módlcie się za naszą duszę!—Ruszyli więc.—Zatrzymajcie psa odezwał się pan Onufry. Ujęto Rozboja za szyję, ale łagodne zawsze psisko, na ten raz prawdziwym okazało się rozbojem; warknął zajadle, wyrwał się z rąk trzymającego chłopca, przeskoczył zamknięte wrota i złączył się z podróżniami. Pan Onufry nie miał już serca odpędzić go, owszem pogładził łaskawie, a Rozbój podskoczył raźnie i pobiegł szczęśliwy naprzód. Był on potem jedynym towarzyszem i stróżem pana swojego na pustyni, a faworytem i pieszczochem całej szkoły boruńskiej. O ileż go razy, swoją własną ręką głaskałem! codzień prawie nawiedzał on swoich przyjaciół w miasteczku, zachodził nawiasem do księdza kanaparza w klasztorze, oddawał potem wizyty po kwaterach naszych, a jakby instynktem trafił zawsze tam, gdzie był świeży od mamuni transport. Położywszy natenczas pysk na kolanach malca, rozdzielającego kolegom wyborne przysmaki, czekał Rozbój spokojnie swojej porcy, i porcy Rozboja nie była najmniejszą.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, idąc na przodzie Raducina, upadła na drodze na kolana: zdziwieni podróżni zbliżyli się do niej i postrzegli krzyż kościoła boruńskiego, uczynili więc toż samo oboje rodzice Antosia. O! mogły być czyje kiedykolwiek gorliwsze modły jak ojca i matki, błagających o zdrowie dla jedynego dziecka, i w głębokiej wierze oddawane jakby osobiście obecnej opiekunce nieszczęśliwych! Podnieśli i Antosia na wózku, i jemu modlić się kazali, ale z przerażeniem postrzegli rodzice zupełną słabość dziecka; nie miał siły zmówić pacierza, tylko konwulsyjnie chwycił za szyję ojca i matkę, i ostatnim wyrazem jedyne uczucia całego krótkiego swego życia i ostatniej swęj chwili wymówił: Matko! Ojczy! jakże ja was kocham bardzo!!! jakże ja was kocham!... I odpadł na wózek. Śpiesznie ruszono ku miasteczku, w nadziei jakiegokolwiek ratunku, ale niżej doń dobiegli, Antosia już nie było.... Okropny był natenczas widok tego śmiertelnego wozu. Matka nie płakała; nie łez ale życia jej ostatnie krople dosączały się nad trupem dziecka; ze

zsiniałą twarzą i z osłupiałem okiem trzymała ona na kolanach bladą głowę zmarłego, obraniając starannie, aby się od wstrząśnienia wozu nie uderzyła. Nieszczęśliwa! była pewną, że syn jój nie żyje a piastowała go jeszcze!... Ojciec, któremu ten nagły i okropny cios, ścisnął serce, usta, i powieki, padł pośród wozu pod nogi dziecka; nakoniec przerażona, i bezprzytomna Raducina, siedziała obok furmana. Widząc jój twarz bladą i zeschłą, włosy rozczochrane, postać wychudłą i dziką, widząc jak długie i suche ręce naprzód wyciągając nagliła konia do biegu, rzekłabyś, że to śmierć naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły.

Nazajutrz matkę obok syna na katafalku, ojca na łożku u księdza aptekarza złożono; któżby zniósł tyle razem nieszczęść!!!

Czas, starania i religijne pociechy, któremi poczciwi zakonnicy osładzali codzienne dolę nieszczęśliwego, wróciły zdrowie ciała i niejakię uspokojenie umysłowi jego; a może więcej niż to wszystko, ktoby się spodziewał, rozmowy częste z Raduciną, która codziennie prawie jakby wiadomości od żony i syna z tamtego świata, sny mu swoje o nich, lub *zdanie się* opowiadała, sprawiały na nim ten skutek.— Dobrodzieju! dziś widziałam przez sen imość nieboszczkę w ogrodzie i z Antosiem. Panie świeć nad ich duszeczkami! Oboje w bieli: ale jaki ogród, dobrodzieju! jak raj. Imość chodzi, a kwiatki zbiera i ubiera niemi panicza: podchodzę ja dobrodzieju, daje mnie kwiatek, a jakież kwiatek? kluczyki; zanieś, powiada, memu mężowi to ja i wzięłam kwiatek i... ocknęłam się. A cóż to znaczy? koniecznie dobrodzieju, że sama z synkiem w raj, i nam daje kluczyki od raj. — To znowu widziała matkę i syna klęczących przed ołtarzem Przczystej boruńskiej, a zawsze w bieli, więc zawsze taki wniosek: „już to darmo dobrodzieju, taka wola Pana Boga, żyć dłużej nie mogli, ale oni w opiece Matki Boskiej szczęśliwsi od nas, bo i w niebie i modlą się za jegomościa! W chorobach duszy, tak jak w chorobach ciała, często gdy sztuka wyczerpnie napróżno wszystkie mądre sposoby, proste lekarstwo ręką życzliwą podane, a z zaufaniem przyjęte, uleczy. Podobnież opowiadania Raduciny, tak zgodne z pojęciem i wyobrażeniami nieszczęśliwego ojca, ujęły proste i pełne wiary serce jego, i wzbudziły w nim pokorne poddanie się woli Boga, ale też razem przywiązały go do miejsca w którym cień od mogiły żony i syna padał mu codzien na serce, i w którym codzien duszą i modlitwą z niemi obcował. Pozbył się więc łatwo i rychło pan Onufry swojej chudoby, a gdy brak odpowiedniego



usposobienia, przeszkodą mu był do wzięcia zakonnego habitu, zajął więc od lat kilku opuszczoną małą pustelniczą pod Borunami chatkę, i odtąd pustynia, kościół i cmentarz składały krąg, po którym obiegało codzienne jego życie, i tą samą koleją przeszły zwłoki jego raz ostatni na wieczny obok żony i syna spoczynek.

Dumania te moje, w opowiadanie dziś zamienione, nowém westchnieniem do Boga za duszę ojca Onufrego kończyły się, gdy echo uderzenia zegara na wieży boruńskiej, oznajmiło mi północ. Wróćmy, pomyślałem, do miasteczka, złożmy znużoną głowę w kątku, w którym się tak spokojnie niegdyś usypiało, wezwijmy świętej Opiekunki lat dziecinnych, aby usunęła z powieki troski dojrzałego wieku!... obym usnął snem słodkim, snem łagodnym, snem studenta umiającego swą lekcję na jutro! snem, w którym ostatnia myśl wesoła zlewa się z pierwszym miłym marzeniem!

### III.

[Marzyć o przyszłości, czerpać słodycz z przeszłego szczęścia, jest to brać procent od kapitału szczęścia złożonego w sercu własnym. Życie ludzkie ubiega między wspomnieniem a nadzieją. Wspomnienie, idzie za człowiekiem, zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru orzeźwiającego w nim siłę i cierpliwość na dalszą drogę: na przodzie nadzieją, unosząc w ręku błyszczące widmo szczęścia, ulatuje przed człowiekiem, goni ją człowiek z całej siły, i gdy mu się zdaje że ją osiąga, ona oddala się znowu jak cień fantastyczny, i człowiek goni ją znowu!... Tak się przybysza na granicę życia; tu nadzieja odrywa się od ziemi, przebysza nagle tę granicę, i staje niewzruszona w wieczności; idzie tam za nią człowiek, a ludziom zostawia... wspomnienie!]

Jakże czystym i miłym było to, do którego cofnął mię ranek w Borunach! ranek to majowy, pogodny i cichy, lekkim tylko i wonnym chłodzony powiewem, któż nie zgadnie, że mógł być rocznicą nie jednej majówki, najweselszej chwili studenckiego życia. Życie to w całym swoim okresie, nie jest wszakże najweselszém: praca nudna i przymuszona, posłuszeństwo bezwarunkowe, oddalenie się od najmilszych swoich, a zatem tęsknota i smutek, kara często niezasłużona, wszystko to daje dziecku kosztować jakby pierwiastków goryczy życia dalszego! Ale jak w dniu wiosny najposępniejszym, jedno błysnienie słonecznego promyka, rozpędza w mgnieniu oka chmury i rozwesela naturę, tak w wiosnie życia, jedna chwila szczę-

sliwa, pograża w niepamięć całą dotkliwą przyszłość; orzeźwia, unosi, swawoli w dziecku, szaleje w młodzieńcu!... Ach! czemuż tak nie jest w jesieni roku? czemuż tak nie jest w jesieni życia?

Majówka więc. O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczora zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze, ksiądz fizyk wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissinus fizyk! [brat za brat z nami!] On najlepiej wypuszczał długo-ogoniaste źmije, co dowodziło jak sam powiadał, jego biegłości w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek koźlistych, radząc związać je na gummie elastyce; on nieraz wyprosił u księdza prefekta pardon dla rozbojnika, który z za płotu kamuszkciem, lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadził.—Nie wolno, powiadał, żydom mosanie, jako nieprzyjaciołom patronki tego Ś. miejsca, mieszkać w Borunach, po cóż więc włóczą się po ulicach! drażnią tylko mosanie dzieci i nic więcej! Nie bójcie się chłopcy, jeszcze będziemy żydów na kamieniu przed szkołami mosanie plażyć; daj pokój księżu prefekcie, to wyborny malec, dobrze się uczy, won żydzie z klasztoru! bo sam cię mosanie kijem wyłatał. — I sprawa skończona: cóż takiej przeważnej wymowie oprzeć się mogło, i co bardziej ująć dlań serca popolitéj rzeczy? Otoż ksiądz fizyk odchodząc zmordowany całowieczorną przepędzanką, spójrzył na zachód, i jakby od niechcienia rzucił uwagę: jutro dzień piękny, wartoby dzieci o majówce pomyśleć. Ksiądz fizyk nigdy się w proroczwie nie myli; jutro dzień piękny, więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z ichmość dyrektorów jęj przewodniczy, i na nięj jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacya, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: *Majówka! Majówka!* okrzyk się powtórzył na rynku: *Majówka!* na to hasło, pan Kazimierz arcydobosz szkolny, wie co ma czynić; bieże do kościoła, porywa z choru ogromny bęben, i waląc weń co ma siły, maszeruje po całym miasteczku, za nim biegnąc liczna tłuszcza głaszy huk bębna nieprzestanném wołaniem *Majówka!* zaś gdy zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrzypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele, i każdemu śni się majówka. Ledwo nazajutrz dzień zaświtał, leniwe w każdym

innym czasie chłopey na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochotnie z pościeli: każdy skwapliwie pakuje zapasy podróżne; wtém pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista, otoczony liczną assystencyą, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej, Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło plonów z nauki: a jak tłumaczył ksiądz professor wymowy, że snop ten oznaczać miał [po łacinie: „*Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!*“ a po polsku: „*ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!*“] Około tej chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena to nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą z radości, ztamtąd biegną bez pamięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słyhać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywego stroju skrzypiec, i pomrukiwanie jakby godzącej te spory pocziwój basetli. Otoż wychodzi z klasztoru sztab główny tej armii maroderów; ksiądz prefekt, naczelny wódz, i księża professorowie otaczający go substytucji. Ogromnym palantem wywijając zręcznie ksiądz fizyk, jak niezważający na jenerała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pójdziemy dzieci?—Do Giejstun, wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza! krzyczą inni: Któż rozdzielone zdania zjednoczy? tenże sam ksiądz fizyk który i sprzecze dał powód. „Do Zahorza pójdziemy księżo prefekcie!—Do Zahorza dzieci! już ja ręczę mospanie, że będzie tam dobrze!“ W tém nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz.“ Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony ksiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: „*Ozdobo twarzy pokrętne wąsy*“ \*) a wszyscy chorem za nim; klarncelistą zmienił notę i dał ile miał ducha, skrzypak opuścił smyczek, a przeszedł na dyszkanta, organista podpierając się basetlą jak kosturem, piłował co mu się podobowało! a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wásów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi. Po wzgór-

\*) Piosenka Książnina.



kach, jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitych drzew i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległymi i okrytymi bujnem zbożem polami, w dolinach rozetlane; gdzie niegdzie małe szykowne wioseczki, rozłożystymi dęby i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stoletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach odbite, drożki wązkie wijąc po wzgórkach i polach łączą sąsiadów, a strumyki z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach tu i ówdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną, ludną i powabną krainę, która całością zachwyca a szczegółami przynęca. Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz, i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg, wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych massach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzone we mgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia \*), ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej bieleją gruzy zamku i kościół, \*\*) siedlisko i grób Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś litewskiego hetmana, a przed nim jeszcze książąt Holszańskich; nakoniec myśl, oko i wyobraźnia unosząc się i bujając nad tym całym wspaniałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mglistym i nieokreślonym błękanie.

Po tej to drodze, wysypawszy się z miasteczka ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtóry najmniej godziny, potem zwróciła się małą drożyną na prawo ku dworowi blisko wzgórza dającemu się postrzegać; to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku, przy odgłosie samej tylko muzyki, prosto na dziedziniec; gdy się zbliżamy, widać zdaleka w oknach mnóstwo pięknych, świeżych, rumianych twarzyczek, wyglądających przez szybki ciekawie, jakby obrazki Aniołów za szkłem w ramach: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelen Bujnicki. Któż z moich kolegów nieprzypomni jak pocziwy staruszek rad był swoim gościom,

\*) Krewa. \*\*) Holszany.



jak się uwijał między dziatwą, jak poprawiając pasa na niskiej, krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał szeroką łysiną kłaniając się na wszystkie strony; za nim wysypuje się liczne grono mamunięk, i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzących różowych, napelniających piérwój okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze! Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem, a cóż dzieci? nie mówiłem mosanie, że tu nam będzie dobrze?—he! Oj bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc Raducinę do bliskich dworów, uwiadamiając mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc kto się tam znajdzie, a zatém śmiało zaręczał że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumila wszelkich innych uczuć i myśli. Między gromadą siostrzyczek studenckich są i dla starszych panów dyrektorów ponęty; kilka dziewcząt co niedziela widywanych w kościele, a na których bliższy widok, panowie dyrektorowie poprawiają chustek na szyjach, i stroją miny zalotne. Narazie prefekt i professorowie wchodzą do budynku, za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie, za nimi malcy, którzy tu rodziców znaleźli, nakoniec muzyka i wszyscy którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni sute tam znajdują śniadanie: a tym czasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórze, na którym dom się wznosi, rozciągającą się i bujnemi brzożami zrzadka porosłą, tak, że i cień przed słońcem w południe gotowy, i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza *meta*, obok wyznaczają place do *zajęca*, do *przepędzanki*, do *palanta*, indziej ściśle sadowi się koło i boleśna skreca się pytką na *szydło*; ówdzie usiedli gracze w *matony*, oh! to pewne kiedyś szulery! — tam wysypano przyniesione kręgle; ówdzie kupią się gracze w *ponę*! słowem każdy wybiera co lubi i od jednej do drugiej swawoli przebiega.—Pod drzewem w oddaleniu usiadło dwóch chłopców; nie dzielą oni powszechniej zabawy, ale szczęśliwsi może od innych, oni też używają serdecznej słodyczy, przypomnienia i nadziei! Na jednej urodzeni grzędzie, wychowali się razem na jednym dziedzińcu; rodzice ich bliźnięcy sąsiedzi, widzieli z pociechą zawiązującą się przyjaźń chłopczyków, i z uśmiechem dozwolili Rózi, siostrzyczce Adasia, podzielać zabawki braciszka i jego przyjaciela Ignasia to też Adaś i Ignas mają już swoją miłą przeszłość, wakacyę; rozpamiętywają o niej i wyliczają godziny, za którymi uśmiecha się znowu ich szczęśliwa

przyszłość—także wakacya; a w jednym i w drugim obrazie, Rózia, ich cacko ulubione, bawi się z nimi i pieści. Adaś kocha Rózię siostrzyczkę, Ignas kocha Rózię więcej niżeli Adaś, sam nie wiedząc jak i dla czego!—Byłażby to już miłość?—nie jeszcze: jest to tylko instykt czułego serca, objawiający wczesnie przeznaczenie przyszłe człowieka! Czułość ta zapłonie kiedyś miłością, ogarnie potem całe jestestwo, przepali je, wytrawi w niém cały zapas namiętności i szczęścia, i zostawi w sercu jak po wygasłém ognisku popioł i żuźle... Takiz by miał być los Ignasia? Niestety! takim był rzeczywiście!!!

Po sutém śniadaniu, wśród którego pan Bujnicki po kilkakrotnie z flaszką staruszki i sporym kieliszkiem przystępując do ichmość księży professorów i prefekta, nie znalazł nigdy niegrzecznego odmówienia lub wstrętu, [marcowy wdowczyk] musnął się po łysinie, i jakby odmłodniał. Pan Dziewałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza; chwycił skrzypce i urznął poloneza: reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan huha! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczną. Działwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem, i zaczęły się tańce. Mamuniek i córeczek było wiele; było między kim wybierać! tańce więc szły hucznie i rzeźwo! ale jak wysmuklejsza lilja między towarzyszkami, tak między wszystkimi jaśniała panna Katarzyna, hoża, ładna i wesoła dziewica. Emulacja wyraźna objawia się między panami dyrektorami, gdy ją przyszło brać do tańca; na wyścigi i hurmem biegli oni po jęj rączkę, a którą niestety! najczęściej piastował pan aplikant z Oszmiany, jak na nieszczęście tu przybyły, śmielszy, bo niedbający o księdza prefekta i niegodziwy, bo wyszydający śmieszność studenckich zalotów. Po kilkunastu polonezach, odbijanych i nieodbijanych, panna Katarzyna na zgrabnym staniku opasawszy różowy fartuszek, stanęła do kozaka, w niedostatku równej partyi, mały jęj braciszek stanął na przeciw za figuranta. Sama jedna więc Kasia powszechną zajęła uwagę; wszyscy kołem otoczyli dziewczynę, księża postawiali na stole niedopite lampeczki trojniaku i ciekawe na środek pokoju obrócili oczy. Z rzeźwą, wiejską, niewymuszoną wesołością wbiegła dziewczyna w koło, i w różnych podskokach od końca do końca przelatywała pokój, fartuszkciem swym raz zakrywała figlarnie czarne swe oczy i mocniejszym rumieńcem okraszane jagody, to znowu chłodziła się jakby szeroko roztoczonym wachlarzem, to zwijając go

zręcznie, piękną zeń i zalotną koło siebie tworzyła szarfę. Brawo! brawo! wołali wszyscy klaskając z zapalem w dłonie; *bravissimo!* krzyczeli młodszy i zapaleńsi czciciele wdzięków panny Katarzyny! *bravissimo in superlativo gradu!* wrzeszczał pijany pan Dziewałtowski, pochyliwszy brodę, i aż głowę położywszy na skrzypcach, na których rznął zamaszysto kozaka; nakoniec tancerka wykręciwszy na środku smagłego młynka, dygnęła z wdzięcznym uśmiechem całej kompanji, i osypana oklaskami, pobiegła spocząć w drugim pokoju. Zachwyceni i zakochani panowie dyrektorowie poszli za nią; tam się każdy wysadzał na pochwały i komplementa. Pan Mateusz przez cały czas tańców przemyślał coby pięknego miał powiedzieć pannie Katarzynie; tłómaczył on już Telemaka, czytał nieraz Gonzalwa z Korduby i Nummę Pompiliusza, ale żadnym sposobem nie mógł nic przypomnieć ani przystosować do pięknych oczu Kasi, a natomiast te nieszczęśliwe wypisy na klasę pierwszą, które codzień z uczniami swymi repetował, plątały mu się gwałtem po głowie: „*Parentes carissimos habere debemus*“ i znowu i zawsze; „*parentes carissimos i t. d.*“ obronić się od tego nie mógł! Cóż począć? nagle wyborna przychodzi idea. Położywszy, pomyślał, pannę Katarzynę w liczbie pojedynczej na miejscu *parentes*, i wytłómaczywszy to na język polski, będzie wymienita lokucja! Przystąpił więc uradowany pan Mateusz do Kasi, i uchyliwszy czoło jakby się do boksów gotował, rzekł: „pannę Katarzynę za najmilszą mieć powinniśmy,“ wziął razem piękną jęjrączkę i już do ust podnosił, gdy niezbożny zdrajca pan Hyacynt, aplikant z Oszmiany, szepnął nagle z tyłu: „ksiądz prefekt idzie!“ Upuścił rękę kochanki i odskoczył zmieszany pan Mateusz... ksiądz prefekta nie było, pusta dziewczyna rozśmiała się na cały pokój i uciekła do ogrodu, za nią pobiegł pan aplikant, a pan Mateusz opuszczony i zaambarasowany, stał i nie umiał z miejsca się ruszyć; nakoniec przyszedłszy do siebie i przypomniawszy aplikanta: „ośle przeklęty! pomruknął zapalczywie, ale tymczasem aplikant już był z Kasią w ogrodzie.

Tak dzień przelatywał wesoło; gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanją wychodził do gaju, tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanąwszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznymi byli. Pan Bujnicki szanował i jedną sobie miłość nowego pokolenia swych ziomków; była to uprzejmość obywatelska,



którą każdy z sąsiadów boruńskich, z równą jak pan Bujnicki rozkoszą i chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagabnąć którego malca o panu szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo, dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedle i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy! Lecz harmonja i zgoda przy piłce, szydle i kręglach, pomiejszała się przy miskach i garnkach: kłóćą się, wrzeszczą, odbierają sobie łyżki, rozlewają mléko i biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo pan szambelan poprowadził księży i starszycznę na podwieczorek, na mleko zaś w odrynach została loźna hołota.

We dworze wymienita kawa z wyborną wiejską śmietanką i cwejbaczkami ocukrowanemi, których mamunie kopami nawiozły, i których większa część w professorskich potém osiadła celach, zasiała uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów; smakowite kozuski łagodzą figle trojniaczku, nim go w powrocie chłodny wieczorny wietrzyk do reszty nie wywieje.

Przeciągły podwieczórek doprowadził aż do zachodu słońca, za tén na skinienie księdza prefekta dano niespodzianie hasło w taraban. — Ach! ach! krzyknęły przeleżnione damy. — „Czas wracać“ rzekła smutno dziatwa, i gromadziła się około chorągwi wbitej na środku dziedzińca, na który i cała kompania wyszła z pokojów. Rozpoczęły się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księża prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowały braciszków, panowie dyrektorowie zbliżali się do panny Katarzyny: jeden tylko pan Mateusz stał od niej zdaleka.... Ten pan Mateusz był to poeta szkolny, nie wiem jak go potém na świecie Apollo sekundował, ale w szkołach, on wszystkim na potrzebę *komponował* wiersze, on układał orację studentom jadącym na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc do rodziców; księża profesorowie nawet do niego się udawali czasami, gdy któremu pegaz zachromął. Mógłże on znieść cierpliwie konfuzję od aplikanta w obec kochanki sobie zadanej, on poeta? *Genus irritabile*? Miłość i zemsta, dwie najgwałtowniejsze namiętności serca ludzkiego, bez których ani



romansów, ani tragedyj nie byłoby na świecie, nie dały kosztować panu dyrektorowi, ani pokoju, ani powszechnej wesołości, ani podwieczorku. Chodził on po gaju i dumał, niekiedy nruczał, rozliczał palcami sylaby i średniówki, nakoniec pobiegł do stancyi ekonoma i tam z rejestrow wydartyszy kartę, napisał prędko co wydumał i wsunął kartkę za nadrę.... Miłość i zemsta we czterech wierszach! wielki poeta z pana Mateusza!!! Gdy więc szły pożegnania, a pan Mateusz stał zdaleka, Józio braciszek panny Katarzyny porwał ją za rękę i ciągnąc do ogródka: chodź chodź Kasiu, mówił zeicha; mam do ciebie wielki interes!“ — „Cóż takiego? pytała niechętnie oderwana od kompanji panna Katarzyna, mów prędzéj“ — „Na! masz, rzekł figlarny chłopiec wciskając jéj w rękę kartkę papieru: „masz to od pana dyrektora, czytaj!“ — i uciekł. Ciekawa dziewczyna rozwinęła kartkę i przeczytała takie wiersze:

„Ani Wenera, ani Prozerpina,  
„Nie jest tak piękna, jak ty Katarzyna!  
„Wartaś miłości i ślicznego kanta,  
„Od samego Jowisza, nie od aplikanta.“

Zarumieniła się Kasia, schowała prędko kartkę do woreczka i wyszła z ogródka. Wtenczas zbliżał się po razy kilka do niéj pan Mateusz, ale ona tak zawsze stawała obok mamy, że słowa do niéj przemówić nie mógł. Tymczasem pan Kazimierz bił na zabój w bęben, zabrzmiał marsz, ruszyła zatém chorągiew za bramę, a za nią wszyscy. Jednakowoż panna Katarzyna miała czas chwycić Józia za rękę i szepnąć mu do ucha: „dowiedz się Józiu jakkolwiek od swego dyrektora, kto jest panna Prozerpina i czy daleko mieszka? a powiesz mnie jak przyjedziesz na wakacje: pamiętaj Józiu? panna Prozerpina.“ — Kasia bowiem tak rozkalkulowała sobie wierszyki boruńskiego poety: „o Wenerze wiem, bo to jest w kilku pieśniach światowych: była ona niegdyś jakąś boginią — Jowisz?... ponieważ pan Hyacynt jest aplikantem Jowisza, więc Jowisz musi być mecenasem w Ozmianie; ale *Prozerpina*? to sęk; pewnie to jakaś ładna panienka, a może i mężatka... dowiem się o wszystkiém przez Józia.“

Gdyby Kasia trzydziestą laty później się urodziła, gdyby w dziejszych czasach w świetnych naszych pensyonach brała wychowanie, w dwunastym roku wieku swego wiedziałyby kto Jowisz a kto Prozerpina, i gdzie oni mieszkają; tańczyłyby z prześliczném

wymuszeniem kontradanse; ale... czy byłaby tak czerstwą i wesołą dziewczyną? czyby tak rześwo i zręcznie wyskoczyła kozaka?

Wracamy więc; rój nas około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym, gęstym i szumnym posuwa się kłębem, reszta odlotków długiemi po gościńcu ciągnie się pasmem, i odstrzela się pojedynczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na nim jak na tle czarnem odbite gmachy białe kościoła, klasztoru i wież boruńskich, dokończony od razu a poważny i uroczysty dają obraz. Gdy daleki wędrownik do Borun, z pobożnym i religijnym uczuciem, zbliża się tu z pokorą i nadzieją cudownej łaski i pociechy w smutkach i utrapieniach, lub po największe dobrodziejstwo w dolegliwościach ciała, po zdrowie, przedstawujący się mu natenczas z tej góry we wspianym i smutnym razem obrazie cel jego drogi, pokrzepia mu zapewne siły i czułą ufnością napełnia serce. My bez żadnego względu, z jednostajnym wesołym odgłosem, schodzimy z góry i zbliżamy się ku Borunom: lecz tu raptem hałas na przodzie ustaje, a w tylniej straży powiększa się gwałtownie: dwa przeciwne zjawiska, razem na obu przeciwnych ukazały się stronach. Obudzona naszym marszem, odpoczywająca w krzakach przy drodze po nowym kursie po dworach okolicznych i po sutych traktamentach Raducina, ukazała się nagle chłopcom, z których jeden zostawszy zajęcem, wodził za sobą po zaroślach docierających gęsto kilkunastu strzelców. Nagle i zwierzyzna i myśliwi zaczęli uciekać do gromady, a za nimi wyszła na drogę z wielką zieloną gałęzią w ręku czarownica. — „A czegoż uciekacie? czy to mnie nie poznaliście“ wołała ona. „Jasiu! Leonardku! Antosiu! a wiecie wy kto wam mamunie i siostrzyczki do Zahorza sprowadził? Moje to stare nogi przez noc całą mordowały się za tym interesem. Ksiądz fizyk powiedział marsz Raducina! i Raducina nogi za pas i marsz! a wy krzyczycie na mnie jak na hamana! poczekajcież!...“ Pędziła więc przed sobą baba, wywijając gałęzią jak miotłą czarowniczą, zgrażę maroderów uciekających z wrzaskiem; lecz wkrótce zwolniła kroku poczuła bowiem niepewność w nogach i zawrót niejakiś w niewyspanej jeszcze głowie: podpierając się więc tąż samą brzezina, wlokła się z tyłu za nami, słaniając się po trochu i wyspiewując piskliwie, jakby nas do powrotu napędzała: „Pójdźcie! pójdźcie! gąski moje do domu.“—O kilkanaście kroków od drogi, na stoku wzgórką, jest

cmentarz wiejski kilką krzyżami i mnóstwem плит kamiennych jakby z ziemi wyrosłych uderzający, a kilką starymi sosnami ocieniony; miejsce wiecznego spoczynku poczciwych naszych boruńskich gospodarzy, a kiedy niekiedy i młodego chłopca kończącego śmiercią naukę! Miejsce to nie odmieniło się i teraz bynajmniej: pomnożone tylko głązy i krzyże, świadczą coraz liczniejszych do ziemi przybyszów, a też same, i ani jedną gałązką nieuszczuplone jodły, żyją tam wśród powszechnej martwości, żyją jakby na przekór śmierci w jej własnym domu, i ssąc jak upiory zastygłą krew cudzą na własne soki, długo jeszcze żyć będą i przyjmować codzień pod swe stare konary zmarłych boruńskich mieszkańców!!! Pod jedną z nich ojciec Onufry pogrzebał syna i żonę swoją; dla tego co wieczór, gdy dzwony z wieży kościelnej głosiły godzinę zadusznego pacierza, obaczyłyś między głazami cmentarza, klęczącego na ich grobie i równie jak głąz niewzruszonego, tego nieszczęśliwego ojca i męża. Chwila powrotu naszego z majówki, zbiegła się właśnie z chwilą modlitwy pustelnika, i jedna drugiej ujęła gwałtowniejszych wzruszeń: w płaczu i śmiechu jedna złagodziła drugą; pustelnik otarł łzę postępując ku zbliżającym się swym przyjaciółom, studenci poprzestali hucznego śpiewu widząc łzę nieszczęśliwego swego przyjaciela. Powitany więc serdecznie, złączył się z nami ojciec Onufry i postępowano dalej... aż przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; naticzas dziatwa złamawszy szyki i porządek, rzuciła się do miasteczka jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana tłuszcza rozsypała się po kwaterach, księża nikteli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych, pustelnik szepcząc pacierz wieczorny przeciągnął powoli po ulicach, zmierzając ku swojej chatce, i gwar ustawał ciszej i coraz ciszej; aż nakoniec noc piękna majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

#### IV.

Kościół i szkoła, są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czysca, jak pogoda do słyoty, tak się ma jedno do drugiego, zwłaszcza w Borunach, gdzie gmach kościoła wspaniały zewnątrz a ozdobny wewnątrz, zawiera wszystko co oko i umysł dziecka zdumieć i przywiązać może. Gdy brzmienie



dzwonów ranne, niedzielne, zapowiada studentom dzień odpoczynku i zabawy: to w każdy inny dzień powszedni, dzwonek szkolny prze-  
rażliwym brzękiem, jako swarliwy gdera budzi ich ze snu miłego,  
i po dwakroć powtórzoną zrzęda pędzi do kłopotów i pracy. Gdy  
w uroczyste święta kościół się ubiera wspaniale, gdy przyzywa dzieci  
do posługi u ołtarza, gdy je obleka w piękne białe komże, jako  
w szaty niewinności i wesela: szkoła natenczas, jak złośliwy zazdro-  
śnik, zamyka drzwi swoje i czeka w milczeniu końca uciechy, aby  
ich znowu ogarnąć i gnębić; w kościele hymny i pieśni chorem hu-  
cznym powtarzane, miłe sercu i uchu studenta, bo im echo z do-  
mowej, przedszkolnej jeszcze odzywa się bokówki: w szkole płacz  
powszedni codzień, a arcy-płacz co sobota! W szkole za piecem na  
pieńku, z groźném okiem z dyscypliną w rękę, *strach*, starzec nie-  
znośny, wychudły, na łyzy chciwy, na modły i prośby nieczuły! biada  
gdy on swój pieniek na środek szkoły wytoczy, biada natenczas,  
biada!!! I nakoniec, dla dokonania i usprawiedliwienia niejako tej  
różnicy, oczekiwany utęskliwie przychodził w końcu czerwca Piotr  
Ś-ty, i w jednejże chwili kluczami swemi zamykał szkołę, a otwie-  
rał studentom drzwi kościoła, na uroczyste podziękowanie Bogu za  
przebycie i dokończenie pracowitego terminu nauki, i na publiczny  
z niej popis, a potem puszczał i ich wszystkich do raję, to jest na  
wakację do domu. To też w perygrynacjach moich po miasteczku  
oziębłe minąłem opustoszały dom szkolny, trąciłem nogą, jakby wy-  
schłą czaszkę głowy nieprzyjaciela, spadły na ziemię i walający się  
na dziedzińcu wyszczerbiony dzwonek, a poszedłem wnet do ko-  
ścioła abym zakończył wspomnienia dziecinnego wieku tam, gdzie  
też i sam wiek dziecinny zakończył; gdzie złożywszy dowód niby  
doskonałości w naukach, student wyzwała się na młodzieńca, bierze  
błogosławieństwo kościoła, życzenia nauczycieli, i z ciasnych drożek  
szkolnych, wychodzi na szerokie rozdroże świata... Rozpamiętywając  
akt ten publicznego popisu i pożegnania szkoły, stajemy na gra-  
nicy jednej najpierwszej części naszego życia, którą przechodzimy  
z niesmakiem, kończymy z radością, a jednakże wspominamy z tę-  
sknotą, i ubiegłej zazdrościm!

Wspaniała nawa boruńskiego kościoła, w dniu pożądanym 29-go  
czerwca, napełniała się około nieszpornęj godziny gośćmi rozmaitej  
płci wieku i stanu nawet. Obok pięknych i ozdobnych piórami i  
kwiatami kapeluszków, na wesołych główkach młodych mamunięk  
lub młodszych jeszcze siostrzyczek, obaczyć można było gredyturo-



wy kaptur, lub nastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwém i rumianém licem pani ekonomowej obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarej szlachcic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin po paniczów przysłany.. W ławkach po prawej stronie i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzesel, umieszczał się ten tłum różnowzory; babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przodzie: dziadulki, ojcowie, wujaszki i stryjaszki z tyłu. We sto par i więcej wchodzi młodzież i klassami szykuje się naprzeciw publiczności, a témczasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machinę elektryczną i baterję butelek lejdejskich; ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykresłone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *crazy*, wyformowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyj* z koperdymentami, mającemi potem w ramach i za szkłem figurować na ścianach domowych, jako pamiątki talentów szkolnych; kładzie księgę złotą, zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową... świat! Nakoniec wszystko się uszykowało, i wszystko pójdzie jak spłątka, bo całe programma już kilkanaście razy przeprobowane. Więc na skinienie z dołu, symfonia studenckiej muzyki na chorze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkiemi językami witają publiczność! Ach! czemuż tych oracyj nie pamiętam! jakież wymowny i rozmaity apendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie, a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatka, poznałbyś czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozdane jakby kwiaty z kosza koperdymenta, zajmują bardziej płeć piękną, nizeli całe popisy; ta dostała różę rozkwitłą i wielką jak talerz, téj przypadł tulipan błyszczący jak dzbanek ze złotą, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z całym koszem kwiatów na kapitelu: u tamtej kupidynek mierzy strzałą do ogromnego rycerza, u którego godłem na tarczy napis „Kwestye szkoły boruńskiej na klassę V-tą — Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaju nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach i równyż talent w wykonaniu!!! Zaproszeni na egzaminatorów pan podkomorzy, pan szambelan i pan budowniczy, wystąpili

na srodek; nie byłoby żartów z tymi panami, gdyby oni alwar swój przypomnieć chcieli: ale mając kwestye w ręku nie sądzili przyzwolitém ambarassować uczniów i nauczycieli innemi pytaniami, które, któż wie, jakby się powiodły: na zadane zaś z pisma, odpowiadano wysmienicie, bo nieukom w wigilją wyjechać dozwolono. Szedł tak popis klass piérwszych z pochwałami sypanemi szczerze każdemu chłopcowi i przedłużałby się dalej, ale stojący przy swojej elektrycznej maszynie ksiądz fizyk, zniecierpliwiony zawołał: „Klassa czwarta mosanie z fizyki! Co to jest piorun?—odpowie pan Leonard“ Piorun, odpowiedział głośno i śmiało pan Leonard, jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska. — „Brawo! wysmienicie mosanie! a zatém proszę do maszyny i zrób nam wasan piorun mosanie!“ Powszechna protestacja przeciw temu eksperymetowi objawiła się w damach, ale świadomsí rzeczy examinatorowie ośmielili wszystkich, i pan Leonard pokręciwszy przez kilka minut banie, nabił baterję i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył a wszystkich zabawił. „Pan Ksawery powie nam mosanie o balonach odezwał się znowu ksiądz fizyk. — „Wielki ten wynalazek“ —... na złamanie karku, przerwał ktoś z tłumu—ksiądz fizyk spójrzał ostro w tamtę stronę, lecz nie dostregł winowajcy, a pan Ksawery niez mieszaný, historję i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności.—„Teraz z matematyki,“ zagadnął pan podkomorzy, podobno dla honoru urzędu swojego.—Ale mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umięją upewniam!“ — „To się znaczy o elementach odezwał się pan szambelan.“ — O jakich elementach mosanie? nie masz już elementów, skasowano je.— Jaktø skasowano? w Imię Ojca i Syna! któż, chyba sam Pan Bóg.— Nie mosanie, *pan Lavoisier*, jak zaczął rozbierać po jednemu, przyszło do tego że i żadnego nie zostawił, a natomiast mosanie wynalazł kwas...“—Zwarjowałeś księże fizyku! co gadasz! rzekł zadziwiony pan szambelan, i zajęłoby mogło na wielką dysputę, lecz z nie-nacka trzecioklasista przy tablicy wykrzyknął cieżko a dobitnie: *Centum bovom!*— „Masz panie szambelanie, rzekł uśmiechając się ksiądz fizyk, masz alimenta, *centum bovom*, sto wołów, a to na kwitę za elementa; *litera nocet, litera docet* mosanie a powtarzam panu, że elementa skasowano.“—Proszę uniżenie! do czego to przyszło mrucał pan szambelan, na miejscu elementów... Kwas!... kwadrat z przeciwprostokątnej, równa się dwóm kwadratam z dwóch innych boków“ i t. d. wrzeszczał tymczasem malec, i zwrócił prze-

cież uwagę na swoją stronę. Tam przebiegano a raczej przeslizgiwano się lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyi wierszów i prozy z celujących naszych ośmnaściego wieku autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie opisanie oblężenia Troi, piramid egipskich, ogrodów babilońskich i urodzajów assyryjskich! jakim podobnych, że nigdy w Litwie nie było, przyznali zgodnie słuchacze. Był na placu i globus! a pośrednie między jeografią a astronomją trzymając miejsce, kolejną dla piérwszój lub dla szóstój klasy pękate swe wychylał lice. Powstał nakoniec ksiądz prefekt, i roztworzywszy księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisanych w niej imiona celujących w każdój klassie uczniów, i promocje ich do klass wyższych. Nie wiem jak to się zdarzało, że synowie obecnych na examinie rodziców, najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjaśniały się twarze rodziców i synków radością niewymówną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugich, lecz subordynacja szkolna, równie ścisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach, i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia parady. Lecz zostaje jeszcze mowa — mowa to pożegnalna, do którój występuje uczeń kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mowcy i szkole. Sam ją niegdys dla siebie w pocie czoła układałem, i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona, tak jak i inne podobne kolegów moich, 1-ód wyrażenie wdzięczności dla nauczycieli; 2-re pożegnanie kolegów, 3-cie filozoficzne myśli o marności świata, a o wielkiej ważności nauk; 4-te o Arystotelesie nauczycielu Alexandra Wielkiego, i nakoniec 5-te uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej pomysłności sobie i całemu prześwietnemu publicum. Po skończeniu tego arcydzieła elokwencji, ruszano się z miejsc... Wtém w śród huk trąb i kotłów, opadła zasłona ołtarza i obraz cudowny Matki Boskiej w świetnej gwiazdzie z drogich kryształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem. Tłum cały napełniający świątynie, upada na kolana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani, pospólstwo, ubodzy napełniający kruchtę, wszyscy pokorne do ziemi schylają czoła, natenczas kilkunastu młodzieńców powstaje i występuje z szyku, zbliżają się wprost do ołtarza, kłękają na stopniach, i wnet rozległ się chór dobranych, czystych, dźwięcznych a mocnych głosów: *Sub tuum praesidium confugimus!!!* etc. Ileż to serc razem, ileż westchnień i modłów wzniosło się na ten czas do Boga! ileż wzajemnie nadziei i wesela spływało z ołtarza w serca ojców! ma-



tek i dzieci! Śpiew się ukończył; chwila potem cichiej powszechniej modlitwy; aż znów!... zwolna podniosła się zasłona i zakryła obraz. Podniosło się więc razem i zgromadzenie, a na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa, i zupełne z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrzmiał nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kalwakata cały napełniała rynek. Pożegnania się kolegów, bardziej szumne niż tkliwe, gwar powszechny tak licznego zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienkie wykrzykiwania płci pięknej, wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz która całemi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu, i coraz wolniejszym zostawiała samo tło onego, to jest rynek boruński. Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpierchło strony, a rynek został pustym i głuchym tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja oparty o drzwi kościoła, stoję samotny i okiem méj duszy widzę tu rozsypanych przedemną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil dni moich dziecinnych. Gdzież są oni??? *gdzie są moi współ-wędrowcy...?* \*) ach! trąba już chyba Archaniola, zbudzi nas wszystkich i zgromadzi kiedyś, dla wydania ostatniej pensy, przed wielkim Audytorem całego świata!



---

\*) Zaleski—Duma ukraińska.



# ŚMIERĆ

## MOJEGO DZIADKA.

Woda w górę nie popłynię,  
Co dziś świeci jutro zgasło!  
Przeminęło, mija, minie,  
To ludzkiego życia hasło!!!

Lecz nie minie wiecznie żywa  
Święta przodków naszych wiara,  
Nie minie mądrość prawdziwa,  
I poczciwość nasza stara!

*Ignacy Chodźko.*

[Uroczyste święta nasze, są to corocznie wracające epoki domowych dziejów naszych.] Zebrania natenczas i odwiedziny krewnych, odległych przyjaciół i sąsiadów, podczas których połączone w jedno grono przywiązane do siebie osoby, wylewają się na wzajemne dowody serdecznych ku sobie uczuć, zupełne uwolnienie się od prac i zajęcia codziennego, a oddanie się wypoczynkowi lub rozrywkom właściwym każdemu wiekowi, wesołość szczerą i poufałą, panująca w domu obejmującym naówczas to miłe zgromadzenie, przemieszane pospolicie gromadą dziatwy, która jakby małe ogniwo, łączy większe pierścienie familijnego wieńca; a cała ta szczęśliwość i swoboda, obleczona uroczystym i bogatym płaszczem religijnych obrzędów, wszystko to głęboko się wpaja w wyobraźnię i nie zatarte zostawia rysy w pamięci!

Cóż dopiero, gdy, jak to najczęściej bywa, łączą się razem wspomnienia szczególniejszych wypadków życia naszego, w dniach takich

zdarzone? Śluby małżeńskie, wesela, przenosiny, zaręczyny, lub nawet pierwsze poznanie się i pierwsze miłośne wrażenia młodych serc, połączonych potem lub rozdzielonych na zawsze, lecz nie mogących zapomnieć chwili, w której pierwsze tkliwe odniosły wrażenia?

My jednak zapominamy już tego sposobu obliczania się z czasem. Oznaczamy wszystko na proste daty; lecz pasmo życia ojców i dziadów naszych, pospajane w główniejszych punktach z religią, miało w sobie niejakaś patryarchalną świątobliwość i cnotę. Żadna burza życia nie mogła zepchnąć go na bezdroża, tak, jak najmocniejszy wichur nie zdoła oderwać i rzucić na wiatr pnącej się rośliny, mdłej, ale uczeptionej gałązkami do skały!

Ileż to razy usiadłszy w sadzie pod rozłożystą gruszą, lub na ulubionym pod krzakiem kamieniu, dziadunio mój rozpowiadał mi domowe dzieje spokojnego swego żywota, licząc je na święta kościelne? „Rodzic mój nieboszczyk, a twój pradziadulek, Panie świeć nad jego duszą, mówił on, umarł w zgrzybiałej starości na *Rożancową*. Bóg mu zapewne dał ten termin za to, że codzień różaniec święty nabożnie odmawiał. Matki mojej nie pamiętam, odumarała mię w niemowlęctwie. W lat dwa po śmierci ojca, gdy macocha moja zabrawszy swoją substancję i przemyślując *circa renovationem connubii*, wyniosła się odemnie, zapoznałem się na *Zielone Świątki*, jak dziś pamiętam, w domu nieboszczyka podstolego smoleńskiego, z moją pierwszą żoną, która także w Bogu spoczywa, a natenczas panną Bogumiłą, siostrzenicą gospodarza, podczaszanką ziemi nurskiej. Skłoniłem ku niej moje afekta, i tak nad podziw szczęśliwie poszło, że za błogosławieństwem Boskiem i rodzicielskiem, nastąpiły wnet i zaręczyny. Pan podczaszy, przyszedł teść mój, wielki sensat, łacinnik, upodobał mnie od razu. „*Est facies testis, qualis in trinsice estis*“ — z twarzy znam cię żeś pocziwy, powiadał on. Podstoli wyprawił suty bankiet, akt zaś weselny odłożono pod jesień na święty *Michał*, na dzień patrona pana podczaszego. Na bliższy termin nie zezwolił, chociaż ja usilnie o to błagałem. „*Nemo sapiens, nisi patiens*,“ panie zięciu! mówił on, i dodawał nadto:

„Bywaj gościu u mnie

Kiedy żytko w gumnie!“

Chudoba moja szlachecka nie wytrzyma bez sukursu jesiennego licznej weselną frekwencją, i waszeć panie zięciu lepszego piwa na-

warzysz, kiedy z własnego, a nie z pożyczonego jęczmienia. Musiałem tedy, *volens nolens* przystać.

Rozmaite potem ludzkie *calumnia* i *perversie*, o których żal wspomnieć i którym, pamiętając nań „odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom“ dawno już przebaczyłem i zapomniałem, przeciągnęły nasz ślub aż do *Trzech Króli*; bo na *Boże Narodzenie* kościół Ś. ślubów zabrania. Natenczas teść mój powiadał:

„Praedestinata neminem fallunt.

„Co się przewlecze, to nie uciecze.“

Jakoż i nie uciekło; pobraliśmy się szczęśliwie. Ksiądz przeor Karmelitów głębockich, odśpiewawszy kolędę „*Exultemus et letemur!*“, wziął za assumpt do perory przedślubnej też same słowa, i komparując potem gwiazdę, która trzech króli do Betleem przeprowadzała, z gwiazdą moją fortunną, która mnie w progi pana stolnika zawróciła—wróżył ztąd dla nas *in futuris* wszelkie i szczególniejsze successa i *konjunktury*. Pobłogosławił nam potem, a chociaż te prorokowane szczególniejsze successa nigdy nam nie wypadły, wszelakoż cieszyliśmy się na weselu, cieszyliśmy się tutaj na przenosinach, a dzięki Bogu cieszyliśmy się i potem przez lat trzydzieści, w jedności i zgodzie naszego małżeńskiego pożycia. Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilję *Zwiastowania Panny Maryi*, więc i daliśmy jój imię jakie sobie przyniosła, *Maryi*, polecając ją szczególniejszej opiece Matki Boskiej!“...

Niemile potem wspomnienia zasępiły czoło staruszka. Śmierć ukochanej piérwszej żony, której tém więcej żałował, że i sam po jój zgonie w lat kilka postanowiwszy *renovare connubium*, trafił na zrzednicę, która mu kilkanaście lat życia zatrąła, i o której dobrze wspominać nie mogąc, a źle wspominać nie chcąc—żadnych uroczystych dat nie zachował w pamięci. Nie wspominał także przedemną najboleńszego ciosu w życiu swoim, utraty córki jedynej; bo wiedział że wzbudziłyby w mém sercu dziecinném, ale przywiązaném do matki, gorzki żal, i obaczyłyby łyzy rzewne na twarzy, na której wesołość i ciekawość w przysłuchiwaniu się rozpowiadaniom swoim, widzieć lubił. Więc pomilczawszy trochę, wdychał mój dziadunio głąboko, kiwał głową i kończył na—„Oj! tak to było moje dziecię! tak! tak!“—A po nowój pauzie dodawał:—„Wkrótce podobno przydadcie summę do tego rejestru mojego życia, to jest datę końcową:



Bóg widzi, czas ucieka,  
Śmierć goni, wieczność czeka!

Cóż robić! ośmdziesiąt szósty rok wkrótce zakończę. „*Fiat voluntas tua Domine*“. O mój Boże, daj mi przed Majestatem Twoim połączyć się z temi, z któremi na tym podole płaczu sercem i duszą złączony byłem!!!“ Tu ręce i oczy ku niebu podnosił pocziwy starzec, którego życie opisawszy \*), śmierć teraz szczęśliwą, spokojną i chrześcijańską opisać pragnę.

Przeciągłe brzmienie dzwonów bliskiego parafialnego kościoła, rozlegające się letnim pięknym wieczorem po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zazwiasowało uroczystość Bożego Ciała nazajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój, wywłókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi, z izby pod krzyż, i tam siedząc szeptał swoje modlitwy; ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając aż zacznie litanję kończącą zwykle wieczorne pacierze.—W tém echa niespodzianym dźwiękiem uderzyły nam w uszy!!! Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktownie rękę do przeżegnania się—zatrzymał ją potem nad czołem... Ja zdziwiony wzrok mój ciekawie nań obróciłem. Po chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio, i rzekł powoli a spokojnie: „Jutro!... tak po mnie zadzwonią!!!—Jak to kochany dziadunio? rzekłem mocno wzruszony; dziadunio dziś masz się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci!—Moje dziecię w moim wieku już nic nie wraca się człowiekowi, co odeszło!... umrę jutro!—I podnosząc głos dodał: Bóg mi to objawił!!!—Kiedy? pytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie mój kochany wnuku!

— Ja nic nie widziałem dziadunio!—rozumiałem bowiem że to było widocznie cudowne objawienie, o jakich nie raz mi rozpoviadał—Nie rozumiesz mię, moje dziecię! cóż ja jestem? marny zlepek gliny! czyliżem godzien aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie, moje dziecię! Ale ledwom zaczął modlitwę na uproszenie szczęśliwej śmierci, uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie, że to jest *praesagium* szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich! O, gdyby jeszcze w czasie tak wielkiego festu jak jutrzejszy, Bóg mię przed swój Majestat powołał uznałbym wyraźne miłosierdzie jego nademną!!! Zmówmy moje dziecię razem na

\*) Domek mojego dziadka.



moję intencję modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę!

Nie znałem ja natenczas, bo niedoznałem był jeszcze, że są w życiu ludzkiem wieszczę przemknienia myśli, które nazwaćby można, *błysnieniem przewracającej się karty w księdze przeznaczeń naszych!* Przecucie instynktu? czy objawienie?—jakkolwiek to uważać czy mianować mamy, zawsze znajome są one każdemu, bo któż ich w chwilach niepewności, trwogi, nadziei, a nawet w chwilach zupełnej spokojności duszy nie doznał? Szczęśliwy, ktoby tę kartę tak podjętą mógł zatrzymać i przebieść! ktoby przynajmniej przestrożę tę w przelocie pojmać i w pamięć swą wpoić zdołał! Ale nie! kartę przeznaczenia w mgnieniu oka się przewraca, myśl prorocza mignie jak błyskawica i ginie jak błyskawica!!! a powraca przypomnieniem natenczas, kiedy się wyrok już ziścił.

Kończyliśmy modlitwy, gdy zbliżył się do nas pan Jakób.

Człowiek ten należał do liczego jeszcze natenczas, a dziś wygasłego zupełnie bractwa rezydentów i dworaków, rozsypanych gęsto po kraju, których, jako wchodzących w skład nie jednej szlacheckiej ziemi i nie jednego obrazu tamtoczesnych domowych obyczajów, wprzód ogólnie i całemu bractwu właściwe wspomnę przymioty, nim jednego z nich, pana Jakóba, towarzysza ostatnich lat życia mojego dziadka, dam poznać.

Dzielili się rezydenci stosownie do wewnętrznego swego powołania i posiadanych talentów, na *myśliwych, rybaków i masztalerzy*; skrzypeczka, nie stanowiąc oddzielnego fakultetu, do każdego składnie przypadała, i zwiększała zaletę i wesołość dworaka. Każdy z nich, posiadając wszelkie doskonałości swojej professyi, miał jeszcze, jak to wyżej namieniłem, reguły i zasady, jakby dawnych rycerskich zakonów, całej kongregacyi wspólne, to jest: ochotę do nieustannej włączęgi, póki zdrowie i własne, lub darowanego konika, nogi, służyły; nienawiść do ciągłego zajęcia się i pracy, nakoniec większy lub mniejszy pociąg do *Aquaevity*. Wdowcy bezdzietni, lub starzy kawalerowie, nie mieli oni pospolicie żadnych ścisłych związków ani obowiązków. Każdy dom szlachecki był dla nich familijnym, bo wszędzie chleb powszedni i kąpiel opiekuńczy z ochotą dla nich otwarty znajdowali. Owszem, w czasach gdy każdy gospodarz pilnując własnej grzędy niewiele zewnętrznych miał stosunków i związków, zbieracz taki i rozwozca nowin, wiadomostek, anegdot, *dykteryck*, przybywający z życzliwem sercem i z wesołym humorem

do domu, zawsze pożądanym był gościem, i zaraz poufałym stawał się domownikiem.—Wreszcie przywiązanie szczere do familij, około których się żywili, i poczciwość prosta, nieinteressowana, zalecała ich wszystkim. Nie wiele żądali, bo wszystkie ich konieczne potrzeby życia, bez pracy i kosztu, bez próśb nawet, ludzkość i dobroćliwość staroświecka ojców naszych opatrywała.—Wszakże w przypadkach dotyczących się ich szczególnych talentów i professyj, dozwolali oni sobie niekiedy, małych wyboczeń od ściśle sumiennej ścieżki.— I tak: nieraz po wizycie myśliwca zginął z psiarni dwornej sławny w całej okolicy *Szumlas* lub *Zagraj*, a gonił potem zająca o mil kilkadziesiąt. Nie raz młody panicz przepłaciwszy lub wyhandlowawszy wielkim przypadkiem zachwaloną kasselkę, na pierwszój zaraz ochocie chybił celu i zwierzyny, a zatém poznał z żalem i szkodą własną, wartość i rzetelność zaręczeń pana Piotra lub pana Grzegorza. Po takich jednak figlach, tęsknił każdy za powrotem starego franta, bo bez niego, polowania nie miały zapału, obławy porządku, a najbardziej, nie było owój hucznej myśliwskiej wesołości, którą on tysiącem kłamstw pociesniejszych jedne nad drugie, umiał zawsze ożywić i utrzymać, a która jak wiadomo, jest najpoważniejszą zachętą i nagrodą myśliwskich trudów.—Z *masztalerczem*, handlarzem i lekarzem koni zawołanym, najlepszemu jego przyjacielowi nie życzyłbym wchodzić w stosunki, w którychby pokusa nabycia handlem lepszego konia, opanować go mogła; bo nateczas nie oszczędził on zaręczeń najsolenniejszych, a w ostatniej potrzebie przysiąg nawet potocznych, aby wmówić przekonanie o wybornych zaletach swojego konia, którego dla przyjaźni tylko i przysługi na zamian puszczał. Ale też w domu gdzie zajechał i przybywał, zastępował on najściślej i najochotniej w stajni oko pańskie, które wedle dawnego przysłowia, tuczy koni; i jeżeli sam nie zaniedbał podpomodz sobie wszelkimi sposobami do oszukania, choćby swojego gospodarza, to już za to nikomu innemu oszukać go nie dozwolił. Był to przyjaciel, który w pojedynku z sobą, sztuką czy zdradą zwyciężył, ale w pojedynkach z drugimi, obronił. — *Rybacy* nakoniec, do których właśnie i pan Jakób należał, prostsi i spokojniejsi od pierwszych, mniej też ze swego powołania miewali powszednich grzechów na sumieniu. Wytrząsł on niekiedy nie swoje więcierze; osławił wyborne tonie dla zachowania ich sobie, a sieć cudzą, obietnicą sowitego połowu, na karcze i wiry wprowadził. Te i tym podobne małe usterki, któ-

rych pan Jakób i jego współbracia niekiedy się dopuszczali, zapominały się im tém łatwiej, że gdy się dobrze w niewodzie powiodło, udzielali oni ryby wspaniale wszystkim, pracując tylko na chlubę i wdzięczność, której co piątek i sobotę, przy każdym smacznym z ryb półmisku, pewnymi byli.—Te główne działy *rezydentów*, dałyby się jeszcze na kilka poddziałków rozgałęzić: *ogrodników*, *lekarzy* od bolenia zębów, wysłużonych domowych, pp. *dyrektorów*, a nawet *poetów*! Ale dość i tej krótkiej wzmianki i opisu, abyśmy przypomnieli sobie ludzi, żyjących bez troski, a przed którymi troski uciekały z domów; z pomiędzy których nie jeden z nas miał piastuna dni dziecinnych a mentora i najżyczliwszego domownika w młodzieńczym wieku; którzy nakoniec niknęli z pośród nas jak usychające jedne po drugich drzewa w ogrodach, którym ziemia pożywczych soków odmawiała.—Takim był pan Jakób.—Nim wiek młodszyszy i siły mu wystarczały, odbywał i on swobodne wędrówki, powodem jednak jakiejś z dziadulkiem moim *kolligacyi*, zawsze na zimę, jak do głównego fundum, do jego domu przybywał. Lecz gdy szósty krzyżyk poczuł na barkach, zaniechał wojażów, oddał starego swego konia kwestarzowi bernardyńskiemu, i osiadł na zawsze przy moim dziadku, współsługą, współprzyjacielem, zawsze panem Jakóbem, gotowym na każde zawołanie pana skarbnika, czy to do rzeczywistej byle nie dłużej w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawiania gości lub rozrywki gospodarza; czy to nakoniec do rozpowiadania w czasie długich jesiennych wieczorów, rozmaitych historyi, zaczętych częstokroć w pokoju dla panów, a gdy ci nie dotrzymawszy do rozwiązania rzeczy, spać poszli, kończonych na folwarku dla czeladzi.—Wzajemnie pan skarbnik z pobłażaniem i uśmiechem patrzył, gdy podczas festów, a nawet i w niektóre niedziele, zdarzało się panu Jakóbowi niepewną nogą, w późny wieczór, wracać do domu, przyspiewując basem:

Oto to ja pan,  
Oto to ja pan,  
I o nic nie dbam... \*).

Zbliżył się tedy do nas pan Jakób, w wybornym humorze, bo niósł w rękę drgającego wielkiego szczupaka.

— Mości dobrodzieju, krzyknął, misa na jutro!

— Na pozajutro odpowiedział mój dziadunio.

---

\*) Dawna piosnka.



— Imainacja! pozajutro prawda piątek; no to potrzęsiemy znowu bucze, albo pojedę na zatoki: ale jutro pewni goście, więc zjemy *tego* za jegomościę zdrowie!

— Panie Jakóbie rzekłem zapłakany, dziadunio mówi, że jutro umrze!

— Umrze? Imainacja! jegomość chwala Bogu zdrowszy; a zatem jutro razem z nami szczupaka konsumować będzie! Wstydź się jegomości, takie rzeczy gadać! — No! bądź co bądź! panie Jakóbie, rzekł mój dziadunio, ja proszę waszeci, abys mię posłuchał, i wszystko tak przygotował, jakby śmierć moja jutro nastąpić miała! Żyliśmy razem lat kilkanaście i nie zapomniałem o twoim chlebie na starość; to się znajdzie w moim testamencie... Bóg powołał do chwały swojej przedemną wszystkich, którzy mi tu miłemi byli; tęsknię oddawna do połączenia się z niemi na wieki.... Został mi tylko ten chłopiec, wnuk mój, krew moja! *os ex ossibus meis!* i ojciec jego a zięć mój! Poszlij więc waszec po niego z oznajmieniem żem bardzo słaby, aby wraz przybywał...—Czy jegomościę doprawdy to mówisz? przerwał pan Jakób, ocierając rękawem łzę na twarzy.

— Cóż waszeci do tego! prosiłem, abys czynił jak mówię.

Pan Jakób upuścił szczupaka i słuchał, a łzy coraz bujniejsze padały mu z oczu.

— Jeszcze dzisiaj pofatygujesz się do plebanji, kończył mój dziadunio, i poprosisz księdza proboszcza, aby jutro przed nabożeństwem przybył tu dla wyspowiadania mnie i udysponowania ostatecznego, wedle świętej religii naszej, na drogę wieczności!!!—Zamilkł tu staruszek, przymknął oczy jakby się modlił w duchu, a potem głośniej, z wyrazem głębokiego uczucia wymówił:

— „*Ne memineras domine delicta juventutis*“.

— No! Panie Jakóbie, teraz podpomóż staremu, pójdźmy, mam interes do spichrza.—Pan Jakób podał rękę i prowadził powoli staruszkę, ja włókłem się z tyłu.

Zawołano ekonoma z kluczami, a gdy ten odemknął spichrz rzekł doń dziadek:—Wleż waść z łaski swojej na górę; znajdziesz tam trumnę, wysyp z niej żyto, a trumnę spuść ostrożnie na dół. Wlazł ekonom na górę, i po chwili odezwał się:—Jest trumna panoczku, ale żyta, ani zboża żadnego w niej niema, pusta panoczku!—Jakto być może! sam pamiętasz, że przed laty kilka, gdym ją zrobić kazał, nasypaliśmy do niej pełno żyta!



— Prawda panoczku, pamiętam, ale, pękło dno — odezwał się z góry ekonom—i wszystkie ziarno powoli wyciekło...

Pan Jakób, który wiedział, że [pan skarbnik, idąc za upowszechnionym natenczas między pobożną szlachtą zwyczajem, miał gotową dla siebie, ale zawsze zbożem nasypaną trumnę, i który wierzył równie jak wszyscy zachowujący ten obyczaj, że trumna nasypana zbożem, robi spór w spichrzu, a próżna jest wróżbą niezawodną śmierci gospodarza:] usłyszawszy słowa ekonomy, załął się i rzekł zapomniawszy:—Ót co teraz, i ja powiem że prawda... Postrzegłszy się jednak, dodał skwapliwie:—Da to imainacja!!!—Ale mój dziadunio uśmiechając się smutno — Aj! nie imaginacja, odpowiedział. Ziarno po ziarnie wyciekało z trumny, a razem wyciekał dzień za dniem życia mego; i oto nakoniec dom wypróżniony, gotowy, czeka na przyjęcie mieszkańca.

W tém ekonom pchnął nagle z góry trumnę, której połowa raptem na wschodach się okazała...! Jezus, Marya, Józef! krzyknął pan Jakób; ja przelekle wyskoczyłem aż na dziedziniec, wszystkie strachy, upiory, mary, których pełną miałem pamięć, stanęły mi razem przed oczyma; dziadunio mój nawet, nie mógł znieść spokojnie tego widoku!—Odprowadź mnie na ganek panie Jakóbie, rzekł z widocznym na twarzy umartwieniem, i pójdź do księdza, a gdy powrócisz znowu pogadamy.

Siedział potém staruszek przez czas niejaki na ganku, odpoczywając i prowadząc wzrokiem po całej swęj dziedzinie, po całej chudobie i gospodarce, roztoczonej przed nim, po rozległej dolinie, na którą tylekroć przez ciąg życia swego poglądał!!! Smutnemi być musiały myśli i pożegnania jego!!! bo po kilkakroć oczy zachodziły mu łzami, i po kilkakroć wznosił je do nieba, błagając zapewne pociechy i uspokojenia strapionemu sercu!!! Nakoniec postrzegł mnie siedzącego odeń z daleka:—Moje dziecię! rzekł zdziwiony, cóż to? czyż mnie żyjącego jeszcze, już się lękaasz? — Zgadł staruszek, bo w mojej wyobraźni nawykłej od dzieciństwa do dziwnych i przerażających o umarłych powieści i urojeń, trumna ze spichrza już stała na środku pokoju, dziadunio leżał w niej umarły, księga śpiewali, świece i lampy paliły się, wszystko było straszno, ponuro i czarno!!!... Dziadunio mój zatém, siedzący na ganku, był upiorem, na którego trudno mi było spojrzeć śmiało, a tém trudniej doń się przybliżyć!!! Lecz wreszcie czułe moje doń przywiązanie przemogło, gdy spojrziałem na zasmucone oblicze starca, wyciągającego do

mnie swe ręce; znikła trwoga, żal i miłość ogarnęły serce, i rzuciłem się w jego objęcie!

Dzień był na schyłku, słońce zniżając się ku zachodowi osiadło nad lasem kończącym widnokrąg, i złościło żywym blaskiem dwa krzyże wysoko w oddaleniu błyszczące: tkwiły one i tkwią jeszcze na wieżach wspaniałego kościoła buclawskiego, oddalonego na mil kilka od domku mojego dziadka, lecz w dniach pogodnych dającego się łatwo postrzegać. Widok ten ozdabiający okolicę i miły zawsze oku dziadka mojego, zajął go tém bardziej w usposobieniu, w jakim teraz siedział ze mną na ganku. — Czy widzisz moje dziecię, rzekł on po krótkim milczeniu, jak się tam pięknie świecą dwa krzyże złote? — To *Buclaw!* odpowiedziałem. — Tak, *Buclaw*, moje dziecię! ale nigdy ci jeszcze nie opowiadał cudownego założenia tego kościoła i od czego to miejsce *Buclawiem* nazwano? \*) — Nie mój dziaduniu! nigdy! i kiedy dziadunio łaskaw... Rozpogadzała się twarz staruszka, smutne przeczucia ustępowały widocznie nałogowej chęci jego rozpowiadania mi dziejów i pamiątek swoich: wróciła więc raz jeszcze, a to już raz ostatni chwila miłej, spokojnej i prostej, jako całe życie dziadka mojego, rozmowy jego ze mną, której ja tylekroć słuchając, przywykałem sercem i pamięcią do jego myśli i wyobrażeń, niepostępujących za biegiem czasu i rzeczy, lecz dogorywających powoli, pod niską strzechą, w domowym przybytku staroświeckich cnót naszych!...—Otoż moje dziecię, co do Buclawia, tak było, zaczął mój dziadunio.

— Jednego z dawnych *regnantów* w tym kraju, Alexandra Jagiełńczyka \*\*) prosili ojcowie Bernardyni wileńscy, których on podobno był i fundatorem, aby im wyznaczyć i darować raczył lasu na opał klasztorny. Ale że i w tamtych czasach musiały być częste processa o dyfferencje i granice, których biedni zakonnicy obawiali się, błagali więc oni króla, aby dla nich obrać kazał puszcę w takich pewnych granicach, o którychby nigdy żadnych wątpliwości nie można było wymyślić ani uczynić. Trudna to rzecz była, moje dziecię, ale Bóg natchnął pobożnego króla, i wybrano podług prośby księży, a woli jego, włok lasu *praeter propter* ze dwieście, położonego między trzema rzeczkami *Serweczem*, *Terekiem* i *Zują*. Wypę taką oddał król na wieczne czasy ojcom Bernardynom wileń-

\*) Buclaw, miasteczko w gubernji mińskiej, w powiecie wilejskim.

\*\*) Historyczne.

skim, aby siedząc w ciepłe chwalili Boga i modlili się za duszę swego benefaktora.

— Dwadzieścia to i kilka mil od Wilna; ale Bernasie dali sobie radę, bo rzeczka Serwecz wpada do Wilji; a tak każdej wiosny, po wezbranej wodzie, spławiali oni sobie tyle drzewa do Wilna, że nie tylko na opał swego klasztoru, ale jeszcze i na pewny dochód wystarczało.

— Że jednak tak wielki i pożyteczny obszar potrzebował pilności, a przez całą zimę trzeba było mieć pracowitych dozorców do wywożenia drzewa i do spławu; konwent przeto wileński posadził tam kilku braciszków, którzy na przebywanie swoje, kilka także budek wśród puszczy sklecieli, i zbudowali malutką kapliczkę, dla pomodlenia się codziennego i dla mszy świętej, którą przebywający na téj pustyni razem z nimi, a wysłany po kolejce z wileńskiego klasztoru kapłan, codzien odprawiał.

— Pewnego dnia zimą, moją dziecę, jeden z trzech braciszków, objężdżając lasy, wracał pod wieczór do bud swoich i noc go zaskoczyła w lesie. Mróz i wiatr cisnął okrótny, noc ciemna choć oko wykol, wilki wyły straszliwie, biedny więc księżyna zwątpił o sobie, i polecił się Bogu, drżąc cały od zimna i strachu... Nie wiedział on czy jest blisko czy daleko jeszcze od domu, gdy z nagłą postrzegł wielką jasność, jakby ogień jaki, przeświecający się przez drzewa. Uradowany więc, zbliżał się skwapliwie w tę stronę, myśląc, że jeżeli nie na własne budy, z których nigdy się tak nie świeciło, to na insze jakie mieszkanie ludzkie natrafił: ale jakże się zdziwił, gdy wybiwszy się z gęstwiny wąziutką drożką, ujrzał się pod samą swoją kapliczką, a nad nią postrzegł w nadzwyczajnej jasności, jak w słońcu wizerunek Matki Boskiej, taki właśnie jaki był w jednym ołtarzu w kościele wileńskim \*). Uczyniwszy więc głęboką adorację cudownemu temu zjawieniu, pobiegł i pobudził konfratrów i kapłana. Zeszli się wszyscy, i wszyscy widocznie ujrzeli toż samo zjawienie; popadali więc na kolana i modlili się, aż jasność i obraz zniknął, a konkludując, że Bogarodzica przeznacza to miejsce na szczególniejszą chwałę swoją, oznajmili natychmiast o wszystkim do Wilna.

— Objawienie to powtórzyło się kilkakrotnie, a tymczasem przybyła na miejsce zwierzchność zakonna, a po zaprzysiężeniu na-

---

\*) Z miejscowego podania.



ocznych świadków, sprowadzono z kościoła wileńskiego obraz, który się tak cudownie ukazał, a który i dziś w wielkim ołtarzu w Buclawiu jaśnieje, i umieszczono go w ubogiej kapliczce.

Wnet się rozgłosiła sława miejsca tego, poczęły się zgromadzać tłumy pobożnych, a ztąd wynikła potrzeba obszerniejszego domu Bożego i mieszkania przy nim kapłanów.—Wzięli się więc do dzieła ojcowie Bernardyni; oferty codzienne pospolitego ludu i dary pańskie, tak ich hojnie wspomogły, że w krótkim czasie za pomocą Bożą zbudowali drewniany wprawdzie, ale przystojny kościółek i klasztor dla kilkunastu zakonników. A że najpierw od *Bud* wszystko poszło, że podobało się Bogu ubożuchne to mieszkanie biednych sług swoich, cudem rozślawić, przeto wynikła i denominacja miejsca tego złożona z *Bud* i *Sławy*, *Bud-sława*, a *per abbreviationem* *Budslaw* i nakoniec *Buclaw*.

Księża zamienili potem obszar swój leśny na kapitał, który, gdy się podwoił z nowych funduszów i legacyi, stanął przeto z czasem kościół *magnifice* wymurowany, i klasztor także, a tak pomnożyła się chwała Boża i pożytek ludzki; bo ze sto osób rozmaitej kondycji żywi się i utrzymuje przy klasztorze, to w szkółce, to w burisie, to w posłudze kościelnej, to nakoniec w kapelli, która w każdą niedzielę i festa, piękną *rezonancją* dodaje wspaniałości *apparencjom* kościelnym. Obraz zaś słyńc nie przestaje codziennie prawie łaskami Matki Boskiej!—Opowiem ci jeszcze moje dziecię... W tém zjawił się pan Jakób wracający z plebanji i przerwał z widocznym nieukontentowaniem mojego dziadka, rozpocząć się mającą nową historję. Nie trudno było poznać, że pan Jakób w ciężkim smutku swoim nie folgował sobie w konsolacji...—Będzie mości dobrodzieju ksiądz proboszcz jutro raniuteńko przed nabożeństwem; jest tam i ksiądz defnitor z Buclawia; kłania się jegomości dobrodziejowi! choć ze mną to inaczej było; nie bardzo grzeczne daliśmy sobie dobranoc!—A to dla czego? zapytał mój dziadunio.—Dla czego? Oto ni proszony, ni dziękowany wyjechał on z deklaracją, że zaraz zasiądzie pisać exortę przy wyprowadzeniu ciała jegomości! Schowaj księżę, powiedziałem, swoją ochotę i elokwencję dla siebie! Pan skarbnik chce się spowiadać, to prawda, ale spowiedź nikogo jeszcze nie umorzyła, owszem często pomaga. — Na dobitkę potem zaczął dowodzić, że jegomość powinienes kazać siebie pochować w habicie bernardyńskim, bo jesteś tercjarzem ich zakonu. — Imainacja! odpowiedziałem Pan skarbnik jest szlachcic z dzia-



dów i pradziadów, więc będzie pochowany w mundurze i kwita. On swoje, ja swoje: pop przy kapturze, ja przy mundurze! [Od słowa do słowa, przyszło do tego, że on mi powiedział:—„Idź wasan spać boś pijany.“ A ja powiedziałem, kociół garnkowi przyganę daje...] trzasnąłem drzwiami aż okna zadzwoniły i wyszedłem.—Źle zrobiłeś panie Jakóbie! rzekł mój dziadunio. Ksiądz defnitor jest to pobożny kapłan, i dla mnie życzliwy. Cokolwiek on radził, to z dobrego serca. Wié on że ja, jako chrześcijanin zaufany w miłosierdziu Boskiém, śmierci nie obawiam się, a co do *ceremonji* pogrzebowych, dawno już wszystko to rozporządziłem. Testament mój znajduje się u mojego kochanego sąsiada pana marszałka, i w jego też ręku ubogie moje za duszę ofiary, które wszystkie *in paratis* zostawuję....

— Ja poszlę po doktora, ozwał się pan Jakób.

— A doktor mnie na co? jam zdrów, we mnie nie ma żadnej choroby.... tylko... koniec życia, a na to... nie ma lekarstwa!

— Jegomość nie umrzesz, zawołał znowu pan Jakób, którego serce było teraz na ustach: jegomość nie umrzesz! mówił płacząc rzewnie, bo kiedy jegomość umrzesz, to i ja umrę; a nie, to pójdę piechotą choć za morze do Jerozolimy, jak książę Sierotka, modlić się za duszę jegomościa! — Nie potrzeba tak dalekiej peregrynacji, panie Jakóbie. Na każdym miejscu módl się i pamiętaj o mojej duszy.

— Jegomość będziesz w niebie! dalibóg będziesz w niebie! jegomość taki pocziwy człowiek! a kiedy dusza potrzebować będzie pomocy, to jegomość mnie pokaż się: ja nie ulęknę się; albo przyśnij się mnie jegomość; to ostatnią kapotę przedam, a sprawię exekwie! obaczysz jegomość!!!

Płakał pan Jakób choć bredził; dziadunio jednak pojął przywiązanie jego do siebie, chociaż tak szczególnie i dziwnie na życie i śmierć objawiane.— No, dość tego kochany panie Jakóbie, rzekł on, odprowadźcie mię do łóżka, bo nogi moje drętwieją i jakiś dreszcz po ciele przechodzi... układł się.—Wyszedłszy z panem Jakóbem, zapytałem go, o jakim to księciu Sierotce wspominał?—Ot imainacja! odpowiedział. Był jakiś pogański książę, o którym pisze, podobno w Tysiąc Nocy, który długo wędrował po całym świecie, i zaszedł aż do Jerozolimy a nazywał się *Sierotka*: pan skarbnik wie o tém od deski do deski, ale ja tego dobrze nie pamiętam.

Wśród rozległej i otwartej okolicy, którą zielonym szpalerem przedziela wielka droga, wiodąca w głębsze krainy północnej Litwy,

na wzgórzu panującym nad całym obszarem, wznosi się kościół murywany, ku któremu z różnych stron głębokimi koleinami poryte i kręto po polach wijące się podchodzą dróżki. Przy kościele drewniany stary klasztor, niegdyś z dziesiątek jezuitów, dziś na wpół zapadły, i ledwo dwóch księży pomieścić mogący, a w niejakiem oddaniu dom pocztowy i kilka włościańskich chat—zajmują główne tło obrazu, któremu niskie strzechy domówstwa mojego dziadka z boku w niewielkiej odległości rzucone, większej jeszcze prostoty i dobitniejszej wieśniaczej dodają barwy.

Odległa od miast głównych okolica ta, nie ma ruchu, ani zmiennej co chwila rozmaitości, właściwej ludniejszemu podmiastowemu krajobrazom. Spokojna i łagodna jednostajność, kołysana na falach pięknego zboża, okrywającego szerokie pola, lub zaległa na szarych zagonach pooranych błoni, rzadko tu czémkolwiek przerwana bywa!!!—Kiedy niekiedy pokaże się zdaleka na gościńcu długi ciąg powózek ruskich i przewlecze się leniwo od końca do końca przez całą przestrzeń widnoką; niekiedy także błysnie pomiędzy brzożami broń przechodzącej drogą roty żołnierzy; a kilka razy na tydzień zamgli się na gościńcu w pyłe trójka pocztowa, roznosząc w powietrzu echa wesołej trąbki, lub przeraźliwego dzwonka, i dając powód księdzu plebanowi i jego komendarzowi, do odwiedzenia wnet pisarza pocztowego lub zaproszenia go do plebanji, dla rozwiązania trzech ważnych kwestyj, kto jechał? gdzie jechał? i co z tego będzie? Cóż dopiero, gdy pisarz dodać może jeszcze, co on mówił? Ileż nateńczas wniosków, sprzeczek i domysłów dyplomatycznych, z nowiny tej się wylęże!—Lecz w każdą niedzielę lub uroczystość kościelną, cicha ta okolica ożywia się i zaludnia. Wyprostowany od ziemi i otarłszy z czoła znój całotygodniowy, lud pospolity wszelkimi dróżkami i wielkim szlakiem napływa do kościoła; skrzypią ponerady i kałamaszki, a wtórują im najczęściej skrzypki muzykantów, prowadzących do ślubu huczne weselne korowody. Poszykowane potem na placu kościelnym w osobne obozy, tłumy różnowzore i rozmaite, pieszych i konnych przybywając mieszczą się i czepią około płotów, oczekując w gwarze i natłoku rozpoczęcia nabożeństwa. Nakoniec dążą bryczki i torują drogę dla pięknych kocyków, przybywających najpóźniej, i jak kosze kwiatami, płcią piękną napełnionych.

Trzydzieści lat dziś się dopełnia, i powraca po raz trzydziesty dzień ósmy czerwca, gdy tenże sam obraz, i teje samej okolicy,

ożywionej jako i dziś uroczystością *Bożego Ciała*, przedstawiał się memu zasmuconemu oku! Uprzedzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek, leżał teraz słaby na łóżku—Przepędził on noc bezseną; zrana zaś dopełniwszy z najtkliwszą pokorą i skrucą wszystkich religijnych przedzgonnych obrzędów—w cichém zebraniu ducha oczekiwać zdawał się ostatniej chwili.

[Sprawiedliwie tylekroć porównano życie ludzkie przy schyłku, do dogorywającego płomienia!] Nagły wichur zdmuchnie go często przy samém zatleniu się; gwałtowna ulewa zagasi go nieraz, gdy jeszcze jasno się pali... i to jest życie przerwane na początku, lub w połowicy! Lecz naturalnym biegiem zbliżające się życie do końca, tém podobniejsze jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę, i z niej jeszcze jasnym, choć na krótko, błyskającego ogniem! Tak dusza ostatnich sił zwątlonego ciała użyje na przedłużenie życia, ostatnią kroplę zastygającej krwi zmusi do biegu; z ostatniej cząstki piersi wysili odetchnienie i zaświeci jeszcze w oczach, w mowie, i w jasnym pojęciu, a gdy zda się potem że już jej nie ma, znowu się objawia na nowo... i na nowo niknie!—Mniemaćby można, że starość ma uzbierane zapasy życia i najtajemniej w rozmaitych kryjówkach, jak skarby u skępcy ukryte, które na ostatnią chowa potrzebę, i które wydaje powoli i najoszczędniej, otwierając po jednej, aż póki najtajemniejszą wyczerpie... natenczas koniec!]

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się że nie mniemał się tak bliskim zgonu, jakieśmy sądzili. Tymczasem, od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć jak zwyczajnie w to święto wielką processją do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy. — Uderzenie we dzwony dało znak wyjścia processji z kościoła i obudziło staruszkę.—Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? zapytał on u mnie: corocznie bowiem mój dziadunio prowadził sam celebrowanego w processji do stacji przy własnym krzyżu przybranęj, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany, odpowiedziałem.—No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomóżcie!...

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczora, wywlokł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podaném sobie szerokim swoim krześle, i czekał z wypogodzonym zupełnie obliczem pro-



cessyi,—Wkrótce też, ogromnym chorem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierw nota a potem pieśń:

„Niebo! ziemia! świat i morze!  
I co tylko w was być może!  
Jak najgłębiej upadajcie,  
Pokłon Panu z nami dajcie.“

Wzruszył się mój dziadunio z miejsca chcąc upaść na kolana Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomódz musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się najprzód z daleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a niesiony przez pana Jakóba, który przywileju tego nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie: zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kapłanów, bractwa i działwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; postępował w środku ksiądz pleban pod baldachimem, niosąc w ręku wzniesione nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogate *Monstrancjum*, okryte wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych... Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych processyj? lecz komuż miłém nie będzie, jako i mnie piszącemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza; tryumfalnym tonem i słowami umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

„Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!  
Idzie, Sędzia sprawiedliwy,  
Stanąwszy pięknym kołem,  
Uderzmy wszyscy czołem.“

O mój Boże! zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się processji—o mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie!... ja przed sąd Twój stanę natychmiast! o mój Boże! zmiłuj się nademną!!!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krzesle. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątlone, mowę mu odjęło; łyzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły że przytomny zupełnie, nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu Ewangelji ruszyła nazad processja, i zabrzmiały znowu słowa:

„Idzie! idzie! światłość wieczna!  
Idzie! idzie! moc przedwieczna!  
Stanąwszy pięknym kołem  
Uderzmy wszyscy czołem.“

O! nigdy nie zapomnę twarzy natenczas mojego dziadka! na mojej młodej wyobraźni został jej obraz na zawsze! cała reszta życia zebrała się mu na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu, i pragnieniem połączenia się ze *światłością wieczną*, która oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą!!! Podniósł on znowu ręce za processją, i nakoniec odpadł na krzesło... Odnieśliśmy zemdłonego na łóżko, bez nadziei aby raz jeszcze wrócił do życia.— Tymczasem, najrychlej jak mogłem, po nabożeństwie, przybył ksiądz pleban; starzec mało młodszy od mojego dziadka, kilkadziesiątletni jego przyjaciel, codzienny współnik życia, zabaw i towarzystwa, a jako stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów.— Za nim ksiądz defnitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów.—Pan Jakób pierwój przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny, i zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Księża obstąpili łóżko, i gdy jeszcze jakiegokolwiek ślady życia dawały się postrzegać, rozpoczęli modlitwy nad konającym zwykle odmawiane; ja nakoniec drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi...

Wtém, odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszymi; otworzył oczy, powłókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających... wziął potem za rękę księdza plebana, i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił: Dziękuję tobie mój ojcze, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie...—Błagałem Boga przy ołtarzu, rzekł proboszcz, o zdrowie dla ciebie panie skarbniku, i prosiłem wszystkich parafjan, aby także modlili się za twoje zdrowie...—Ach, mój ojcze! niechby się woliej modlili za moją duszę!... poszlicie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać...—Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu, i w sieniach czekali niespokojnie co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi i napełnili izbę włóścianie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio, i mówił jak mogłem najdobitniej:—Moje dziatki! umieram ja i żegnam was i błogosławię... i was i dzieci wasze... i chudoby... i chatki wasze!!! dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie! i za pracę waszą! i za chleb!...—Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie

siły... — Darujcie mnie, jeżeli którego z was mimowolnie ukrzywdził—darujcie dla miłości Boga!!! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na sąd straszny zapożyczam!!!—Te ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł.

Włóścianie żalem przejęci, nie wiedzieli sami co czynić. Jedni łzami zalani poklekali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którym umierający był nakryty; drudzy nachyliwszy głowy ku ziemi, kłęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków; jestto u nich znak głębokiego uszanowania i adoracji! inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakóbie i odmawiali z nim litańje.

Nakoniec mój dziadunio skinął abym się zbliżył i ukląkł! wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole... powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nademną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzą zasłyły... i ręka z głowy mej spadła... raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił i do ust go swoich przyłożył, lecz przywarć ust i ucałować krzyża już nie mógł; tak więc z krzyżem na ustach zostawał...

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ksiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i własnymi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem:—Polecaj się Bogu chrześcijaninie! a stojący obok ksiądz definitor dodał ponuro:—wychodź duszo chrześcijańska!!!—Zadrzałem na te wywoływające słowa!!!. Ścisnienie ręki proboszcza i gromnicy, dało poznać że jeszcze żył konający!... głębokie potem milczenie opanowało izbę, łzy ciekły po twarzach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał... Anioł śmierci już był pomiędzy nami!!! Wtém ksiądz pleban uchylił się nad konającym. Po chwili podjąwszy głowę, wznosił oczy ku niebu... i zdmuchnął gromnicę!!!

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przeczucia mojego dziadka!—Oto kamień mchem porosły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa. „Żył pocziwie! wierzył po prostu! umarł spokojnie!“



# OSTATNIA SESSYA

## EXDYWIZYI.

---

W szczęściu miałem tłum przyjaciół!  
Co mię wiecznie kochać mieli;  
Lecz gdy mię los z maćki zaciął,  
Wszystkich razem djabli wzięli.

*Dawna piosnka.*

Ostatnie posiedzenie sądu dzielącego majątek biednego dziedzica między jego wierzycieli, podobném jest do ostatniej godziny polowania, w której, mówiąc wyrazem myśliwskim, gończe z oka biorą zwierzynę. Lis stary, szczwany jak to powiadają, da jeszcze kilka tęgich obrotów nim go pogoń lub szrót zabójczy dosięgnie; ale trwożliwy zajacek dobywa sił ostatnich, aby doścignął swęj kniei ojczystej z której go wypłoszono, jakby tam koniecznie poledz pragnął, gdzie się urodził!!! Liczna stron gromada wywiera ostatnie, a najtęższe usiłowania na zbiecie wszelkich środków obrony dziedzica; oblega stół sądowy prośbami tyczącemi się wartości rozdzielić się mającego majątku, miejsca gdzie kto wybiera i daną mieć sobie życzy schedę i wytknięcia najdobitniejszych, czy to błędów, czy to nieszczęść dziedzica błędami ochrzczonych. Nareszcie uderzają go jakby na waletę, ostatnie razy mściwej niechęci, zawiedzionej nadziei, skarżącego się ubóstwa, nierozważnego natrząsania się i zwolna dopiekającej intrygi. Ten który przeszedłszy różne koleje życia nauczył się dotrwać w każdej, odpowie jednym, odepchnie drugich, pobłąży możniejszym, lęklwym pógrozi i da uczuć że jeszcze zupełnie nie upadł; wzgardzi innych, podwoi w tej stanowczej chwili siłę dzia-

łania i osobistość swoje nad tamę pogrążającą jego fortunę wynie-  
sie. Ale młodzik nieznający ludzi ni świata, któremu chciwy interes z nieostróżnej i łatwowierniej korzystający młodości, wprzód wy-  
darł fundusz, nim on poznał wartość onego, który przebył drogę  
do zguby z zawiązanemi, że tak powiem oczyma, który we wszel-  
kich stanowczych zdarzeniach życia, ledwo że nie traci przytomno-  
ści, a najmniej nie zdoła utrzymać siebie na stopniu umysłowej nad-  
losem wyższości; taki zazwyczaj z sercem ściśnionem i ze lżą w oku,  
słucha jakby nie słyszał uderzających go wyrzutów, i do poniesio-  
nej straty chleba dodałby jeszcze lat kilka swojego życia za skró-  
coną jedną chwilę, tego ostatniego paroxyzmu swego moralnego sko-  
nania. Mamy prawa na bankrutów; czemuż nie mamy na tych, któ-  
rzy do bankructwa przywodzą? Kiedy widzę młodego człowieka oto-  
czonego rojem pochlebców, obłudników, samolubów, próżniaków, i  
szachrajów, prowadzących go do zguby, przypomina mi się obraz od-  
nianiek jeszcze opowiadany, jakto szatani dobrą duszę grzesznika do  
piekła zapraszają. Oto go otoczyli w około; jeden mu się kłania  
pięknie, drugi go pod rękę prowadzi, trzeci na fletrowersie marsz przy-  
grywa, inny go z tyłu popycha, inny znowu ścieżkę gładzi i umia-  
ta; a wszyscy ciesząc się ze zdobyczy dowodzą, że w piekle i wygo-  
dnie i ciepło.

Na obszernym dziedzińcu, do którego przez bramę ze zwyczaju  
tylko wjeżdżano, bo opadłe sztakiety i parkany wszędzie wolny da-  
wały przystęp, wznosił się staroświeckiego kształtu budynek, któ-  
rego jedna część z oknami całemi, zalecała się jako mieszkalna, śro-  
dek szybami po większej części papierowemi, oznaczaćby mógł let-  
nią rezydencyę, a jedna trzecia część bez okien i pusta, wyraźnie  
dawała poznać, że spustoszenie tu, jak zwycięstwo od lewego ku  
prawemu postępując skrzydłu, właśnie nad środkowym korpusem  
pracowało, a dziedziec w ostatniej reducie warownie się oszańcował.  
Reszta budowli otaczających dziedziniec, jednegoż z głównym ru-  
mem doświadczały losu. Wysoki lamus jak olbrzym stary, na szcu-  
dłach wsparty, poglądał z góry ogromnem wołowem okiem na wła-  
sną mizeryę, i na kuchnię u dołu jego codzien niższą, która nań  
wzajemnie, jak zgrzybiała i osmalona babula, pokornem i przyćmio-  
nem z ziemi mrugała oczkiem, a przez dach, jak z pod starego ka-  
pisonika, suche wyciągała ramiona. Naprzeciw stajnia i wozownia,  
niezamożna wprawdzie w zaprzęgi i powozy, lecz za to wozownia war-  
tą była obejrzenia przez amatora starożytnych pamiątek; można ją by-

ło wziąć za skład wydobytych gdzieś jak z Herkulanum ułamków woznictwa średnich wieków. Czerwone ogromne od karety pudło ze czterema gałkami na wierzchu, na których ostatki pozłoty błyszcząły jeszcze, główny kął zajmowało; stary pokurc Bryś i kuchcik Janek, wielcy między sobą przyjaciele, wygodną w niem mieli gospodę. Z drugiego kąta strwożyć mogła niebacznego przychodnia, straszliwa głowa murzyna od paradnych niegdyś sanek urwana; nieraz w nich zapewne przed jakich sto laty, młodą piękność rzeźwy i zręczny powoził młodzieniec, a murzyn niemowa stercząc na przodzie, był jedynym powiernikiem ich oświadczeń i przysiąg: dalej skielet poczciwej taradajki, w której nieboszczyk dziadulek dzisiejszego tych skarbów dziedzica, objeżdżał z koronką w ręku pola, łąki i lasy; z bliższych epok ćwierć faetonu i półtory kałamaszki.—Ale któż wyliczy bogaty zbiór kół i półkołów, bryczek, półkrytków, z których ręka znawcy gabinet ułożyćby mogła. Niestety! przyjaciel Brysia nie jeden rosół na tych pamiątkach zgotował, i jak mi późniejsze doszły wieści, wszystkie je tym sposobem, nie oszczędzając i własnej kwatery, zniszczył.

Wśród tych powszechnych ruin, jeden tylko folwark gospodarski staranniej był opatrzony; mieszkał tam bowiem pan Baltazar ekonom, dbający bardziej o własne niżeli o pańskie wygodki.

Właścicielem dworu tego, był pan podkomorzyc, jedynak, dobrze urodzenia i wychowania, którego fortunie ostatnia wybiła godzina: i dla tego na dziedzińcu jego, w dniu tym który mi za treść służy, szczególniejszy zbiór i ruch postrzegać się dawał. Kilkanaście rozmaitych powozów stało przed stajnią, kilkadziesiąt osób różnego wieku i stroju, żywą prowadzących rozmowę, przechadzało się wielkimi krokami pomiędzy kilkunastu rozmaitej maści końmi, puszczonemi wolno na osty i pokrzywy gęsto na dziedzińcu poroście. Grupy te łączyły się lub się rozdzielały po woli i kierunku koni dążących tak lub owak do bujniejszej trawy: często najważniejszą naradę przerywał i roztrącał deresz lub siwak wciskając się nieproszony między gromadę konsultatorów; często znowu na jakieś niewiadome hasło, całą kompanję ludzką pochłaniał budynek, a natenczas konie zdumiane nagłóm osamotnieniem podnosiły głowy, wyciągały chude szyje, i rżały jakby szydyczko.

W budynku samym, scena w ciasniejszym zawarta obrazie, ożywieńszą jeszcze była. Tam w jednej z izb lepiej opatrzonych obrano sądową; na środku postawiono długi stół, za nim krucyfik stróż



sumienia sędziów, i dzwonek, godło prezydenckiej władzy; w około stołu trzy krzesła, a za pierwszym z nich woźny, urzędową jak mogąc utrzymujący minę, oczekiwał na przybycie sądu i niedospaną fizyognomję swoją ożywiał, trzęsąc często z różka na kułak tabakę i ogromnym ją po kułaku dziubiąc nosem. To przybranie nadało miejscu temu niejakaś powagę, a jednakże interes nie zważając na to żwawo się tu krzątał i pracował; drzwi się bez ustanku otwierały na oścież, lub się z trzaskiem zamykały; tłum rozmaitych figur tłoczył się i mięszak; tam rozkładano papiery, ówdzie rozpostartą na rękach trzymając mapę, kilkunastu z ichmościów na rozmaitych jej punktach, wzrok i palce oparli; kilku z czynniejszych facyendarzy przewijało się raźniej i żywiej nad innych; przebiegali oni od jednych do drugich, odprowadzali na sekreta, i wśród powszechnego gwaru rozprawiali wprawdzie ciszej na głos, ale mocniej na gesta i miגי. Kiedy nie kiedy usłyszałeś tylko: „połowę na *bars gielt!*“—sto . . . . ani grosza więcej! . . . [zjedz sto djabłów . . .] połowę kapitału! Na suche bory i lasy . . . . Nie doczekasz! zgoda! i tym podobne wykrzykiwania; oznaczające zawarte lub zerwane układy.

W zgiełku tym, tłumie i zamieszaniu, odróżniał się spokojny postawą młodzieniec lat dwadzieścia kilka mieć mogący, pięknej postaci i łagodnych rysów twarzy, na której jednak nagłe zmiany bladeści i rumieńca, okazywały wewnętrzne mocne cierpienia i wzburzenia krwi gwałtowne. Stał on w izbie sądowej oparty o okno i obojętnym na tłum zgromadzony zdał się oglądać okiem; przybywający do sali zimnym go witali ukłonem, wyżeł tylko siedząc na tylnych łapach przed panem swoim, patrzył mu w oczy jakby chcąc zgadnąć myśli jego, lub warował u nóg i burczał na przechodzących . . . . [Powiadają że pies wierny zgaduje nieprzyjaciela!]

Młodzieniec ten był to dziedzic rozdzielającego się majątku, pieszczony niedawno i szanowany od tych wszystkich, którzy dziś na stypę jego fortuny przybyli.

W końcu przy drzwiach stała jeszcze jedna figura spokojna i nieporuszona, człowiek dobrze podżyły ale czerstwy jeszcze i krzepki; uroda więcej niż mierna, rumiane policzki, włos siwy na głowie i także wąsy, a w całej twarzy wyraźna poczciwość ale nie łagodność wszakże. Stary to sługa domu dziedzica, ojcowski jeszcze, lecz od lat już dziesiątka szlachcic na zagrodzie w pobliskiej okolicy! patrzy on ze smutkiem na swego kochanego panicza, na dwór w ruinach, za jego służby zamożny i porządny; na nieproszonych gości napełnia-

jących izby; patrzy..... milczy..... niekiedy pokręca wąsa i dum!... Jeden z uwijających się litygantów zbliżył się do pana Dagockiego (to było jego nazwisko), szepnął mu coś do ucha, mruknął coś nazad Dagocki, a forsujący odskoczył raptem w tył i przeżegnał się, widąc że niepomyślną wziął odprawę.

Wtém otworzyły się zamknięte dotąd podwoje i weszli sędziowie, a za nimi z wielką księgą pod pachą, w wytartéj kapotce, przenikliwém na wszystkie strony rzucając okiem i z piórem za uchem, regent sądowy. Rzekłbyś, że gwałtowny wichur uderzył raptem z tyłu na tłum zgromadzony, i razem wszystkich pochylił ku ziemi. Potém sprostowały się figury, a tym czasem na skinienie prezydenta, ozwał się najuroczystszym jak mógł głosem woźny: „Sądy taxatorsko - exdywizorskie przywołują się!“ — Panowie! rzekł potém prezydent, proszę panów ostatnie dziś nam przynieść *petyta*, gdyż dziś niezawodnie weźmiemy sprawę do namowy i to jest ostatnia sesya.“ Na te słowa szmer szczególniejszy dał się słyszeć po sali, ruch się podwoił, tłum się przewracał, popychał, szeptał i warzył, a tymczasem sędziowie zasiedli swe miejsca. „Słuchamy, rzekł znowu prezydent! cóż panowie? Wystąpił więc z tłumy pan Grzegorz mecenas, główny plenipotent kredytorów! Figura tego jego- mościa sucha, a podobniejszego dobierając malowidła, wymokła i jakby potém zawędzona, przedłużała się długą bocianią naprzód wysuniętą szyją, a kończyła się głową spłaszczoną po skroniach i policzkach, co tém wydatniejszom czyniło nos pana mecenas, kobuziego kształtu, z bogatym na końcu rubinem w miedzianą jakoby oprawę osadzonym, bo do takiego koloru zbliżały się policzki jego- mościa. Włos na głowie jego rzadki, nastrzępiony był niedbale nad czołem, które on marszczył lub rozmarszczał, stosownie jak ważne i zawzięte, lub łagodne snuł zamiary i myśli; a razem też się wytrzeszczały lub mrużyły zapadłe głęboko oczy pana mecenas. [Zawołanyż to jurysta staréj szkoły! *Quondam* aplikant, a potém agent trybunalski, z kolei naczelny powiatowy prawnik, i, co nie dawno jeszcze szło za tém, naczelny do haustu; nakoniec odstawnny pieniacz czyhający na wszelkie zjazdy, zajazdy, inkwizycye, tradycye, exdywizye, na których jako tęgim planista i doświadczony *executivus*, ważną zawsze grał rolę. Całą on swoją drogę życia najwyborniej i gładziuteńko przechodził, bo wołał na wszystkich, wszędzie i zawsze słowami swojej profesyi: prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo, i dla tego nigdy się nie zaczępił!!! Wyciskał się te-

dy pan obrońca z pośród swoich litygantów, a co krok pociągany za kubrak nachylał się na jedną i na drugą stronę; każdy mu szeptał słów kilka do ucha i za każdym razem kiwał on głową i powtarzał: „rozumiem! rozumiem! pamiętam! aha! aha! dobrze! dobrze!“ i tym podobnie. Jak kurjer zabiera po drodze listy do miejsca, gdzie się ma z tłumokiem rozpakować, tak pan mecenas z pełnym ładunkiem przybył do stolika, i wyprostowawszy się zawołał:

„Sądzie exdywizorski! Wielmożni panowie dobrodzieje! proszę o głos!“—Prezydent skinął głową, a pan mecenas zcichła, powoli i lamentującym głosem tak mówił: „Otóż chwila sędziowie! w której macie stanować o losie kilkudziesięciu osób i familij, które fundusze swoje w marnotrawne powierzywszy ręce, za gotowe i krwawą pracą zebrane pieniądze, kawałek ziemi nieużytecznej i wcale im niepotrzebnej otrzymać mają. Stoją tu przed wami, sędziowie! w znacznej liczbie zgromadzeni nieszczęśliwi kredytorowie, wyglądający od was sprawiedliwości i wyroku, przez który mądrość wasza zajaśnieje przed światem, i słynąć będzie w potomne wieki! Nie będę powtarzał poszczególnych wywodów interessu każdego z przychodzących wierzycieli, ani mojego własnego; bo to już w kategoriach osobnych, w produktach i replikach, miałem honor sądowi przełożyć: w ogólności więc tylko i ostatecznie zastanowię uwagę sądu nad tém, jaki jest stan i wartość funduszu pod rozdział idącego, konkludując oczewiście, że takowy wystarczyć nie może na usatysfakcjonowanie debitorów pana dziedzica i jego antecessora, a zatém, że surowość prawa i rekurs dalszy *ad bona reperabilia*, rozciągniętym tu być musi i powinien! Po tym wstępie, mówca coraz żywiej głos podnosił: „Cóż tu wziąć mamy sędziowie? ziemię! ale jakąż ziemię? piaski! podzoły! błota! mchy! na których kredytorowie żurowiny tylko zbierać będą! a reszta choćby lepsza z natury, to pusta, nieuprawna, nieurodzajna, to Arabja! sędziowie, to Arabja!!!“—A wiele wasan z tój Arabji zjadł pirogów, odezwał się z kąta gruby głos pana Dagockiego, bodaj wasan tyle...—Ucziszcie się panowie! ucziszcie się! przerwał woźny!...—Nie, sądzie prześwietny! fałszywy to i nadto śmiały głos w obliczu waszém przerywa mnie; mało tu było pszenicy, mało pirogów, a wkrótce nie stało i chleba; ale wszakże nie tém co było, lecz tém co jest dzielić się mamy, i tém gorsza nawet wina dziedzica, że objął, dajmy to pszenicę, a oddaje plewy, że objął intraty i urodzaje, a oddaje pustki. Bo zważ sądzie prześwietny! mamy tu wprawdzie wysadzone ulice i klomby, jak je nazywają, a w rzeczy



samój łożowe krzaki, w jakimś niby to ogrodzie założonym na nowo przez terażniejszego dziedzica: ale nie mamy lasów wyciętych bez potrzeby i ładu, nie mamy łąk, zarosłych i zapłynionych w trzęsawiska przez niedbałość gospodarza.“—Za każdym następnie satyrycznym peryodem mówca szeroką rozpościerał gestykulację, rzucając kiedy niekiedy wzrok na dziedzica opartego przy oknie. — „Na klombach że tu tylko zasiewać i gospodarzyć, bo na polach niemasz z czém, i nie ma na co! kilka nędznych krówek w oborze, dwie stare i chude szkapy w stajni, oto cały dobytek gospodarski i nierogaty. Mamy za to psów bez liku i dobrze wykarmionych, tu wskazał na tłustego legawca warującego u nóg Karola, ale téj trzodki zrzekają się kredytorowie dla dziedzica, niech cała przy nim zostanie! Z licznój ruchomości, pozostają już tylko podarte obicia na ścianach, połamane taburety i stoły, szafy bez zawiasów i kluczków, i liczny zbior butelek szampańskich i porterowych, niestety! próżnych.“ Uśmiechnął się tu mówca, uśmiechnęli się sędziowie, rozśmiała się publiczność, a pan Dagocki głową pokręcił. „Mamy i bibliotekę, ale nie wiele widać zawierają te księgi mądrości, gdy je pan dziedzic czytając ciągle, sposobu mienia pieniędzy nie wyczytał! Niechże je i dalej szczęśliwie czyta, w czas mu będzie filozofja przy hołocie, dla tego i biblioteki zrzekają się kredytorowie. Cóż mówić o budowlach i o całym *fundum*? W gumnach, stodołach i spichrzach pustych, deszcz przez dachy i ściany rynsztokami leci, a w dwóch tylko czy trzech tu pokoikach, zaledwo może sąd prześwietny, sam pan dziedzic, i my biedni kredytorowie jak pod parasolem ściśnieni, usiedzieć! Cóż tu więc sędziowie? i jak taxować będziecie? kiedy nie intraty, nie wartość kapitałów, ale rudera, a zatém *onera* na karki kredytorów rozdawać macie. Prosimy zatém sądu o likwidację *cum altero tanto* i z nawiązkami! prosimy realizacyi i zaszędzenia *pen* i kontumacyów!“ Tu pan adwokat zajadle już wrzeszczał, przyspieszał słowa jedne za drugimi, przysiadął i podskakiwał raptem na stolik, i zakreślał w powietrzu palcem wskazującym i szerokim na nim herbowym krwawnikiem od ucha do stolika półkole: „*pen* i kontumacyów! bo dla czegoż jegomość nie stawał u sądu? dla czego narażał na kłopoty i *expensa*, swych łatwo mu wiernych przyjaciół, swych śmiało powiedzieć mogę dobrodziejów? prosimy o licytację wszelkiej, prócz psów i biblioteki, ruchomości! prosimy o kalkulację *de asse et grano* z pana dziedzica; obowiązany on zdać ją, obowiązany pokazać, gdzie podział fundusz własny i pieniądze

kredytorskie? Prosimy o lokacyę *secundum potioritatem*, a w téj kolei, o pierwszość dla siebie i JWielmożnego chorążego tu obecnego, *ante omnia* suplikuję. Prosimy nakoniec o uchylenie wszelkich wniosków, żądań, lub zaprzeczeń dziedzica: bo gdyby jakiegokolwiek czynić śmiał, zawołamy do niego;... tu mówca zwrócił twarz ku młodzieńcowi stojącemu przy oknie, a palcem stukał po stoliku: „Zawołamy do niego, oddaj coś winien! *redde quod debes!* oddaj nierzetelny debitorze, oddaj rozrzutny paniczu! oddaj marnotrawny synu coś winien! *redde quod debes!* a nieoddajesz pieniędzy? to oddaj wszystko co masz, i wszystko co mieć możesz; a nawet oddaj własną osobę: bo tak chce sprawiedliwość, bo tak każe prawo artykułu z rozdziału statutu litewskiego!...” Na tę apostrofę zagrażającą jego osobie, dziedzic jakby niespodzianie i nagle zmięje u nóg swych postrzegł, wstrząsł się i zbladł jak chusta. — „Nie masz klemencyi i moderamini! kontynuował pieniaący się konwulsyjnie pan Grzegorz, nie masz! bo i temu prawo i sumienie sędziów zaprzecza! [Sędziowie! *pereat mundus fiat justitia!* to jest, jak się kto opisał, tak sądzon być ma!“]

Odszedł od stołu mówca ocierając czoło zapotniałe; lityganci kłaniali mu się na znak zadowolenia z odbytego głosu, JW. chorąży scisnął mu rękę z uśmiechem, a łzy toczyły się po zbladłej twarzy dziedzica. Krzykiem mówcy czy instynktem zbudzony wyżeł, zerwał się gwałtownie, warknął i chciał się nań rzucić; chwycił go za obrożę pan jego, a woźny słysząc hałas i nie zważając od kogo pochodzi, krzyczał z nałogu: „uciszcie się mości panowie! uciszcie się!“

Czy ma co do odpowiedzi obrońca massy? zagadnął znowu prezydent: słuchamy! Wyszedł zatem z gromady chłopiec elegancko ubrany i przystąpił do stolika z miną niedbałą, z jaką przystępuje doktor do pacyenta bez nadziei; zabrał głos i tak zaczął. „Z obowiązku mojego i w swoim czasie, odpowiedziałem poszczególnie i dostatecznie na wniesienia każdego kredytora: teraz pozostaje mi tylko prosić sądu, aby mimo wymówny głos godnego obrońcy wierzycieli, sąd nie zapominał uwagi w sprawiedliwych decyzjach swoich na formalność zapisów i podług nięj kasował...“ Tu nagle postąpił do stolika dziedzic, odsunął swego obrońcę; twarz mu teraz pałała gorączką, głos drżał na ustach, mówił szybko i dobitnie, bo mówił z serca. „Nie, sędziowie! niemasz żadnej nieformalności w moich długach; za podpis mojego ojca ręczy moje sumienie, za mój pod-

pis ręczy mój honor! gdzie takowe podpisy znajdziecie, wszędzie jest należność sprawiedliwą! Zliczcie więc takowe należności! zaspokoicje je choćby ostatnią stopą ziemi, dotąd mojej ojczystej! Nie oszczędzajcie żadnej mojej własności, choćby tego ostatniego fraka mojego! ja was o to proszę! a jeżeliby wszystkiego co mam, mało było, pójdę z ochotą pracować przez całe życie na korzyść moich wierzycieli, bylem nie miał na mojem sumieniu i w przekonaniu poczciwych ludzi zarzutu, żem pragnął cudzej własności, żem się dobrowolnie i rozmyślnie przyłożył do czyjejkolwiek złej doli! “Odszedł; spojrzeli nań wszyscy z zadziwieniem i potem spojrzeli po sobie, jakby z zapytaniem wzajemném, co czynić należało? Tymczasem obrońca massy znowu niedbale przysunawszy się do stolika, odezwał się; „W takim razie, sędziowie! ja nie mam nic do powiedzenia.“ Prezydent więc już brał się za dzwonek, gdy rozepchnawszy tłum, Pań Dagocki stanął przy adwokackim stoliku, i rzekł: „Ale ja, mospanie tego, mam jeszcze coś do powiedzenia sądowi. Sędziowie dobrodzieje! słuchałem ja, a bodajem ostatni raz słyshał, mowy długięj pana Grzegorza, którego [znam i z pierza i z mięsa, mospanie tego...] Podsunął się obok pan Grzegorz, to jest obrońca kredytorów, i przerwał: „Upraszam sądu o zapytanie tego jegomościa, jakim prawem rwie się do głosu i śmie zabierać godziny sądowe? a nawet nie prosił głosu!—A to śmieszna rzecz, mospanie tego, pan Bóg dał mnie głos, na cóż mam o to kogoś prosić? i używam mego głosu i języka poczciwie...—Być to może mój panie, odezwał się prezydent, wszelakoż jeżeli pan nie jesteś kredytorem lub czyimkolwiek plenipotentem, więc nie masz prawa mówić u sądu.—“Aha! rozumiem, mospanie tego! a zatem kiedy tak koniecznie potrzeba, poszukamy, poszukamy... Tu pan Dagocki wyjął z zanadry i rozwinął stary, niegdyś czerwony pugilares, i włożywszy okulary, rozpoczął examen znajdujących się tam papierów; otoczyli go z bliska wszyscy, i zwrócili nań oczy. Tu są różne mantyki, mospanie tego, mówił rozpatrując powoli, była tu i karta nieboszczyka podkomorzego na sto talarów bitych. Zaraz!... zaraz!... to, nie, to nie to: to świadectwo nieboszczyka podkomorzego Panie! świec nad jego duszą! żem mu lat dwadzieścia ośm poczciwie i wierne służył! a może ichmość nie wierzycie że można tak długo w poczciwości dotrwać? to proszę czytać, kiedy łaska! Nie chcecie? no, to niechaj sobie, mospanie tego... Proszę uniżenie! gdzie to ta karta podziiała się? To patent bractwa różańcowego XX. Dominikanów



na pierwszego bratczyka; a to assekuracya, mospanie tego, tychże ojców, że ja będę w niebie!—Assekuracya, krzykniono! pokaż panie Dagocki, pokaż, zmiłuj się!—Nic z tego nie będzie, odpowiedział starzec i schował papier, niechcieliscie czytać mojego świadectwa poczciwój służby, to i drogi do nieba nie pokażę. To, przepis doświadczonego lekarstwa na ochwat, a może któremu z ichmościów zdałoby się mospanie tego . . . dla koni? nie, jak sobie chcecie! Dziwna rzecz! pewnie moja imość gdzieś tę kartę zakantopiła: oj, bo ta moja imość!!! To dekret wywodowy mojej rodowitości; mniejsza co on pisze, ale żem szlachcic z antenatów, to tak mi Panie Boże pomóż! Aha! otoż znalazłem, proszę. W rzeczy samėj, wyjął pan Dagocki stary i zawalany szpargał, i złożył na stole sądowym. Prezydent obejrzał tę kartę i oddał onę dziedzicowi; ten również obejrzawszy,—tak, rzekł, jest to podpis mojego ojca: pierwszy raz o tój należności słyszę.—I nigdybyś o niej mospanie tego nie posłyszał, ale potem o tój; a teraz mamże już prawo mówić? Sędziowie dobrodzieje!... wstał pan regent i podchodząc do prezydującego rzekł z cicha, „a *salarie*“ . . . —Mniejsza, odpowiedział ten, formalności spełnią się później, a teraz aby nie ściągać czasu, ma głos pan Dagocki!—„Dziękuję mospanie tego! dobrze. Nie mogę ja, sędziowie, gadać tak gładko i po łacinie jak pan Grzegorz, bo ja w szkole nie bywałem, jak to powiadają, z infimy uciekłem mospanie tego, i zacząłem więc i skończyłem na *haec virga*, a więcój nic nie pamiętam i nie umiem; ale choć wszystko po prostu opowiem, to przynajmniej prawdziwie i poczciwie, jak i co tu było, i jak nasi przyjaciele zgubili nas; a kiedy komu nie do smaku będzie moja mowa, to niechaj mospanie tego, nie słucha, niechaj sobie wyjdzie, wszak chwała Bogu na podworzu ciepło. Otoż trzeba wiedzieć panowie sędziowie dobrodzieje, że po śmierci nieboszczyka podkomorzego, pana mojego kochanego, została się nam piękna fortunka, a takich ichmościów, których tu dziś tłum, dwóch czy trzech tylko było, i to gwałtem trzymających się klamki pańskiej: bo co rok podkomorzy oddawał im substancją ich, ale z płaczem prosili swego dobrodzieja aby im procencik płacił. Dobre panisko nie mógł odmówić; ale jak on zawarł powieki, mospanie tego, został się młody podkomorzyc, zwyczajnie jak młody, mospanie, każdemu wierzył, a każdy go oszukiwał. Co spójrzę teraz po tym pokoju, to wszystko, mospanie tego, przyjaciele nasi, którzy nie proszeni i nie dziękowani zjadali nasze pieczenie, a dziś pożał się Boże!!! Ten sam pan Grzegorz, który

tak tu perorował, wszak to całą krescytywę swoją winien nieboszczykowi podkomorzemu. Zostawszy on niegdyś deputatem, wziął go z sobą do Grodna, a był natenczas pan Grzegorz [goluteńki jak święty turecki] mospanie tego! wepchnął go jakoś tam do palestry i kreował jak najlepij, aż też zaczął wkrótce porastać w pierze; a teraz syna swego dobroczyńcy, do kozy pakować myśli!!! Ale nie doczeka tego mospanie!—„Sądzie przeświatny! przerwał pan mecenas, niech stawający kredytor mówi do rzeczy, to jest o swoim długu nie zaś kalumnje osobiste, do interesu wcale nie właściwie!— Aha! prawda w oczy kole mospanie tego! do rzeczy, do rzeczy będę mówił, ale pamiętaj jegomość, że w długa i interesie jegomości nie ma rzeczy... Otoż powiadam panom, że po śmierci podkomorzego hurmem do nas cisnąć się zaczęły rozmaite figury: a pan Grzegorz, jako domowy nasz sługa, zalecił się mospanie tego do podkomorzycza na *totumfackiego* i konsyljarza. Wszyscy mu zaraz i pan konsyljarz wmawiać zaczęli,—niechaj sam powie kiedy nieprawda, mospanie tego,—że on jest wielkim panem, że garściami może pieniądze rozrzucać. Zaraz tedy kredyt zupełny i powszechny: „oddasz pan dobrodziej kiedy zechcesz, każdy mówił, karteczkę tylko dla śmiertelności, i nic więcej, a to nieszczęście największe dla młodego mospanie; kiedy łatwo pożyczać, to dług rośnie mospanie tego, jak na drożdżach. Więc napełniać się zaczęła stajnia nasza końmi różnej maści i denominacyi; psiarnie, dziedzińce i pokoje kundlami różnego kształtu, których teraz nazad przyjmować nie chcą; zwozić tu zaczęto jak do norymberskiego sklepu, rozmaite nam niepotrzebniusienniekie rzeczy: fajki, cybuki, dubeltówki, zegareczki, pierścioneczki, faetony; a za co, naprzód póki stało, szły pieniążki nieboszczyka podkomorzego, a potem karteczki mospanie tego; które we czworo a może i w dziesięcioro, Boże odpuść! otaxowawszy swoje towary, brali kochani nasi przyjaciele. Byli i tacy mospanie tego i są teraz tutaj, którzy jakieś pretensye, z czasów podobno króla Batorego, do nas przypomnieli; postraszyli że będą prawować się, pan Totumfacki nasz zadecydował, że im słusznie się należy; więc w kombinacyę i na połowę po sprawiedliwości mospanie tego, i przecie zgodą; a podkomorzyc nie karteczki już, ale całe karty czyli obligi wydawać musiał.—Przychodził co rok święty Jerzy, to każdy z ichmościów podjeżdżał po procencik: „nie masz pan dobrodziej pieniędzy, to przypisz pan dobrodziej procencik do kapitału, dla śmiertelności mospaie tego, znowu dla śmiertelności tylko!“ Oj! będzie śmiertel-

ność fortunie mówiłem ja nieraz i ostrzegałem mego kochanego podkomorzycy; ale konsyljarz nasz, pan Grzegorz, powiadał zawsze że to nic, że Dagocki stary gderacz! a pan Baltazar ekonom, którego on na mojem miejscu zarekomendował, i który na koniku kuzym przyjechał, a teraz oto widzę jak pers nadęty stoi, a podobno mospanie tego ma nadzieję panem zostać, obiecywał co rok to większe urodzaje i intraty. W takich nadziejach szło wszystko jednostajnie na zgubę, i coraz to gorzej; nie ustawały kupie, handle, borysze, darowizny i hulanki, a zkądże taka gromada butelek? podkomorzyc nie pijak; sami ichmość wypili i sami teraz drwią sobie. Powiedz sumiennie panie Grzegorzu, wiele ich sam jak smok wysales??? — Uśmiechnął się sąd, zaśmiała się publiczność, a pan mecenas wyszedł za drzwi. Była tu prawda i liczna ruchomość; były kantyny, serwisy, sztucce, puhary, słowem mospanie tego, było srebra jak dREW, a gdzież to wszystko podziało się? JW. Chorąży dobrodzieju, wzięłeś całą kantynę srebrnego kredensu na dwanaście osób, za parę szłapakow, jak potem pokazało się, nosatych.“—Te... tego nareście... odezwał się zaambarasowany pan chorąży; dobrowolnie to,... i w dobrej komitywie... zatem...—Nie masz co odpowiedzieć JW. chorąży, mospanie tego; a srebrny talarami sadzony puhar? Mości sędzicu dobrodzieju, rzekł obracając się do tłustego, grubego a niskiego jegomościa, którego by na dwóch całych sędziów stało... Mości sędzicu mospanie tego, wszak pamiętasz pan jak na imieninach podkomorzycy, które cztery razy do roku obchodzić mieliście zwyczaj, choć już dobrze podweselony, poszedłeś w zakład o ten puhar że go duszkiem wychylisz za zdrowie solenizanta; a był to puhar mospanie tego półgarcowy!!; i dokazałeś sztuki, wygrałeś puhar.“ Pan sędzić zajękliwy i zawzięty z natury, wysunął się naprzód, przekrzywił okropnie usta, i z wysileniem jak z pistoletu wypalił: pu!... pu!... pu!... pu!... ha a a a arr, to... te... ten!“ Śmiech powszechny przerwał panu sędzicowi. — „Nie zajaka się tak, mospanie tego, kiedy łyka, podrzucił pan Dagocki; czém rozgniewany jeszcze bardziej pan sędzić, mocniej zawołał: pu... pu... pu... pu... ha a a arrr!... Widząc wszakże że mu dokończyć nie dadzą, bo śmiech coraz się powiększał, zawrócił się nagle i wcisnął się w tłum, gdzie go przyjęto huczniem w około: pu!... pu!... pu!...—Tym czasem woźny krzyknął uciszcie się! a Dagocki dalej kończył: „A taratotka waszecina panie Baltazarze, czyż nie z kuntusza nieboszczyka podkomorzego? A krówki nasze, gdzież się na paszę nie



rozeszły? W rozmaite strony, za lada pokłonem i prośbą. Nie ma podkomorzyc tak twardego serca, jak ci co go obdzierali; każdemu chciał dogodzić, każdego ująć, każdemu coś wyświadczyć; czy biednemu, co nie żal, czy nie biednemu a chciwemu, co pozał się Boże! To też wszystko mospanie tego, rozeszło się, rozdało, rozdarowało z dobrego serca, a teraz; ot-że masz wdzięczność! przyjaciele chcą go z biczykiem z fortunki wyprawić: Dobry panicz! poczciwy i rozumny nawet! czyta a czyta książki, nie szuler, nie pijak, a przecież zginął mospanie tego! cała jego wina że nie miał mocy powiedzieć tego słowa: *nie dam!* albo *won z mego domu!* a wszystkoby inaczej poszło!!! Ale sędziowie dobrodzieje! jest jeszcze sposób wyratowania się; proszę tylko posłuchać.“ Jakoż na to wezwanie natężono uwagę: „Oto, niechaj każdy z panów kredytorów, podług Boga i sumienia, *tacto pectore*, jak powiadał nieboszczyk podkomorzy, to jest poczciwie, po szlachecku, a choćby i pobożywszy się za prawdę, wyzna szczerze wiele pożyczył panu podkomorzycowi pieniędzy? a wiele?... wiele?... jakby to powiedzieć mospanie tego?— wiele ma u niego na kartacze dla śmiertelności, niepożyczywszy gotówki, z facyendy naprzykład? Wiele warte było to co dawał, a wiele taxował dla podkomorzycy? i tak dalej mospanie tego. Po takiej subtrakcyi, [w Bogu nadzieja! będzie i wilk syt i koza cała!..] znowu śmiech powszechny przerwał mowę panu Dagockiemu. „Śmiejecie się panowie? macie więc za żart poczciwą radę? więc nie ma zgody? No! to inaczej poradzę. JW. chorąży dobrodzieju, dawałeś mi rok temu nazad, stępaka ze siadzeniem, abym tylko wyswatał córeczkę pańską Urszulkę podkomorzycowi; powiadałeś natenczas: ja kredytorów puszcę z kwitkiem, niech tylko podkomorzyc zapíše mojej Urszulce sto tysięcy złotych. Swatałem, radziłem, cóż poradzisz? kiedy choć ty koł na głowie czesz, ani weź nie chce on pańskiej Urszulki. Ale z czasem może się panicz opamięta, mospanie tego, a teraz powiedz pan dobrodziej, ten sposób puszczenia z kwitkiem“... — „Sądzie przeświety! przerwał wróciwszy do sali pan mecenas, powtarzam prośbę zwrócenia tego jegomości do własnego jego interesu, niech mówi o swoich stu talarach nie zaś o naszych należnościach, które sąd justyfikować będzie.“ — „Tak! ozwał się prezydujący, mów panie Dagocki o swoich stu talarach... — „Aha! mospanie tego, stu talarów moich, stu talarów!... To mam wziąć za nie kawałek ziemi, kawał pola które mię tyle lat żywiło? odebrać kawał chleba od syna, którego ojciec mnie chlebem karmił?

od dziecka, którem na ręku wypiastował?... O! niechby mnie piorun trząsnął na tój samej skibie ziemi, rzekł uderzając nogą o podłogę, którąbym wziął za te sto talarów!“— Porwał swój oblig, mocno wzruszony starzec, ucałował podpis, oddał go, wsunął zanadrę, a resztę pisma podarł na szmatki i cisnął na pokój: „Wkrótce mospanie tego, kończył on, a łzy płynęły mu po licach; wkrótce da pan Bóg złączyć się mnie tam!... z moim kochanym panem; powiem mu, dalibóg powiem: zostawiłeś, panie mój poczciwego syna, ale otoczyli go... mospanie tego,“!!!—Nie dał mu kończyć również płaczący dziedzic, rzucił mu się na piersi, całował go z całej duszy; starzec całował go także i ścisnął... cała gromada z rozmaitemi twarzami patrzyła na tę rozrzewniającą scenę!... przerwał ją dzwonek prezydenta. Do namowy! zawołał woźny, do namowy! Ruszyła się więc hurmem z sali cała gromada: i zatrzasnął woźny drzwi sądowe, zawierając za nimi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów i nadzieje kredytorów!

## S A M O W A R.

---

Twoja fortunka, choćby i chatka,  
Będzie się dobrze wydawać,  
Jeśli z sta złotych będzie intratka,  
A z nich choć dziesięć zostawać,  
Lecz [gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,  
Zechcesz żyć huczno, huczno przyjmąc gościa,  
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,  
Tak znów waszecią będziesz z jegomością.]

### §.

**K**tóż w Litwie nie zna starego Muchina! któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy, dostają wybornej lub mierniej, w miarę jak chcą płacić herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje coroczne małe, gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia; dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu w Litwie, ma pewno więcej znajomych i dlań uprzejmych, niżeli w swój rodzinnej stronie.—Ten tedy Muchin, w mroźny styczniowy poranek, w wigilją Trzech Króli, zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzic płacąc nieuważnej młodości długi, zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroświeckie pradziadów swoich gniazdo, popędził się w świat za fortuną, która mu z własnego domu uciekła.



Muchin wie czego komu potrzeba; po serdeczném więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano, dobywał tułuby z doskonałych macie dla jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla imości, a płóciénka, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla panienek. Ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, w ciągu roku, który przedzielił bytność tu kupca, z ekonoma został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrzutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność, i za nią usadowił się wieczném a wilczém prawem na folwarku, gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nic już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy, poznał na co się zanosi i przepowiedział zły koniec dziedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniósłszy do izby towary, postrzegł w niej niejakie odmiany: była na nowo wybieloną, na miejscu zedla stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stółk czeczotkowy, kilka krzeseł około stolika, na ścianach na miejscu pobożnych obrazków, cztery pory roku, Venus à la Titien i historia syna marnotrawnego. Ha! pomyślił stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie. Jakoż z oburzeniem odrzucił imość i panienki wszystko co przyniósł, a jegomość objaśnił zdumienie Muchina wykrzykując w pełniłości ukontentowanej miłości własnej: „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! djabli wzięli mego pana! podkomorzycy: a teraz ja tu pan!—*No pozdrawlajem! pozdrawlajem* rzekł Muchin; napijemy się wódeczki, za zdrowie pańskie! to dobrze! to wiśmienicie! *ja etomu oczeń rad!* I imość kochanińka! i panienki *teper barysznie! eto charaszo! eto oczeń charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczył długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, panna Salomeja starsza córka ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie, jakby starego Muchina pocałować chciała! Ach! samowary, papuniu, samowar i *czaj*: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewanną dusić się musimy; papa dalibóg musisz kupić samowar, czy Pan Bóg papie nie dał, chwała Bogu, teraz i majątku? czy nie ma za co?—Ej! co tam bredzisz, ofuknął się jegomość idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z poczciwym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie; do waćpana

panie Muchin. — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknię, weszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy za mąż nie wyjdzie, kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmujemy; ot pan assesor może i doprawdy ma się do mnie, bo nieraz powtarza, że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to jegomość wita go pierwszym słowem: „Ja podatki opłaciłem“ — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie dają obroku; i czy mało ktoby się zdarzył... — Nu dak co? przerwała mama, chcąc dopomóc losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamó kupić samowar i herbaty, mieć czém przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała!!! Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego. — Niechajże mama idzie, dodała całując jęj rękę, i niech jegomość kupi samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem, dobił targu o tułub, i wnet się weń ustroiwszy przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długim na niską i krępą figurę jegomości. A co duszko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? powlekę go sukнем i dam kołnierz ze starej *miedźwiedzi* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacji w czasie *exdywizji* kupiłem, ot będę miał i *miedźwiedzie*. — Da mniejsza o twoje *miedźwiedzie*! ot waszeć jegomość (bo pani Sularska dla której przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do jegomości przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć jegomość kup lepiej *samowar i herbaty!* — Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki mości pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem.... — Ot waszeć bałamucisz przerwała imość, i po wszystkim: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie! — Papo wszak mówił, onegdaj, odezwała się pokornie Salomeja, że chce zostać sędzią granicznym. — Ale sędzią! a czy ten sa-

mowar zrobi mnie sędzią? Poparł całą swą wymową żądanie imości i panienki, Muchin; jeszcze razy ze trzy imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę samowaru, obawiając się, aby udobruchawszy się, nie zapomniał się, i nie stracił na przedłużonym targu. Nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki i radom Muchina, który odebrawszy podwójną wartość samowaru, zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stolik, w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany. Funt herbaty dopełnił reszty kupi, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszy wychyliwszy kroplę, po kilkakrotném zapewnieniu kupca, że nigdy nie minie tak *czestnych* gospodarzy, zostali wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomeja z nowego naczynia! Ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkim, i z daleka i z bliska; rozbierała go na części, exenterowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić, aby przygotować herbatę na samowarze. Nagle myśl ją wielka objęła! jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęła mamę za suknię do alkierza.

Wiesz co mamó? — Nu dak co? — Jutro imieniny jegomościa. Trzech Króli, Kasper, Melchjor i Baltazar!—Aha! nu dak co?—Zrobim mamó siurpryzę!—Co to jest siurpryzę? — czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu nie ma: a może jeszcze czego i z kramów?—Ale nie mamó! nie!—Waszeć Salomciu niepotrzebnie u pani sędzinej nauczyła się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak daj pokój tym syr... sur... jak tam gadasz!—Ale mamó to nie potrawa, to co innego!—Nu tak cóż!—To znaczy, że mimo wiedzy jegomościnej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z samowara, i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tém nie powinien. — Nu dak co? dak trzeba powiedzieć jegomościu? Znicierpliwiona córunia taką niewyrozumiałością mamy, ale co imości dzieje się, rzekła, i zaczęła obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany; a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Solomeja i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.



§§.

W opustoszałym gmachu pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtém fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego: stary Michał, kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do familii panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył. Płacząc on codzień nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na ręku wypiastował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni rozmyślając sam o przeszłości z uczuciem takim, z jakim stary wojownik ogląda na pola, które niegdyś były placem jego tryumfów. Nienawidził on Sularskich, bo znał, że oni przyspieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem, i faworytem panicza. Ten włącząc się z panem po miastach, dworach i miasteczkach, przejął obyczaj i manjerę sługom wielkich panów właściwą to jest grubiaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuterję dla wyższych stanów. Nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej odnosząc im często rozkazy pańskie połajał ekonomą, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imość nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła; a teraz Sularski kwitując za swoje, nieraz eleganta Józefem chamem nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał: „odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty.“ Oba zaś służy jak izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego pana. Zaraz po eksdywizji pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynem był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatem ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jój posiadaczów.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z nąłogu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do Pana Sularskiego; zażywał przytém często tabakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef, w ostatkach niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ozogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybucha, i przewalając się na łożku prawił Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych: za każdym nowém jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę; a w tém weszła panna Salomeja do izby.

— Dobry wieczor Michale! dobry wieczor Józefie! Nieodpowia-

dając na komplement Michał, a prosto zawsze zmierzający do interesu, a czego waćpanna, chcesz? zapytał. — Przyszłam, mój kochany Michale, prosić u was jednej rzeczy!—Jakięj rzeczy? my z łaski waćpaństwa żadnej już rzeczy nie mamy: stoły, stołki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście; siedzicie, jecie, śpicie na naszych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg... zatrzymał się stary... grzech przeklinać pomyślał; dokończył więc odmieniając przeklęstwo na życzenie, nie zupełnie wszakże życzliwem być mogące: niech wam Pan Bóg po sprawiedliwości dopomaga! czego waćpanna chcesz?— Panna Salomeja zaróżowała się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniosłszy, nie oto idzie kochany Michale, rzekła, ja nie brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić, abyście mię nauczyci jednej rzeczy. Grzeczniejszy Józef od Michała, wstał przeciw z łóżka i zapytał, czegoż takiego chce panienka nauczyć się od nas?—Mój papa kupił dziś od Muchina samowar!—Ehe! już i samowar od Muchina: lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła;—ja wcale tego nie chciałam, bo na co nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił: otóż proszę kochany panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze — Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód!— Zdaje się, że nie tak bardzo, ot wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry, że mnie pokażesz jak co zrobić, będę starać się odsłużyć tę łaskę panu Józefowi.— A dla czegoż koniecznie dziś? już późno, węgle nie wypalone, będzie czad! pochorujem na głowy, i nic więcéj: niechaj którego tam dnia innego, to obaczmy.—Ale bo mój Józefie, ale bo widzisz... Panna Salomeja nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się nakoniec; bo widzisz mój kochany Józefie, jutro Trzech Króli.—Aha! jutro Trzech Króli, odezwał się Michał, wielkie święto! nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilją Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach, i powiadał, tędy bieda nie wejdzie: i chwała Bogu, za jego czasów nie weszła. Ale po nim nikt liter nie pisał i... tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie. Dowcipna Salomeja wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu,—ja, kochany Michale, rze-

kła, tymczasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę: nieszpętną więc rączką ująwszy delikatnie, aby się nie umazać węgielek, napisała Salomeja na drzwiach wielkie K. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązaném oku siatki, patrzył na piszącą.—Czekaj waćpanna, jeszcze nie wszystko rzekł; jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami. — Salomeja podjęła węgielek i położyła krzyżyki.—Nu teraz dobrze, daj Boże waćpannie zdrowie i męża, da Pan Bóg, kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie. Cierpliwa panienska, znowu do Józefa się obróciła, i rozumiejąc że zapomni o zaczętej powieści; więc, kochany Józefie, nauczysz mię zaraz o co cię proszę? Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił albo dobrze ze zrzeczności skorzystać, albo odplacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegródki Sularskiego. A cóż panienska zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie skończysz? dla czegoż koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? czy będą goście jacy?—Otoż to widzisz, kochany Józefie, jutro imieniny papy.—Jakięj papy odezwał się znowu Michał, papa to chleb; a kiedyż to imieniny chleba? — Nie, Michale, to imieniny naszego ojca; wiesz że jemu imie Baltazar, a teraz to zwyczajnie ojca, dzieci nazywają papą!—Dawniej odpowie Michał dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa: po téj moralnej uwadze znowu Michał siatkę wiązał.—Otoż mój kochany Józefie, może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad, gdyby dać herbatę z kupionego samowara.—A któż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogokolwiek sami. — Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczórek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan assesor i jeszcze tam ktokolwiek może.—A to co innego, to będą huczne imieniny pana Sularskiego; no! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z samowara.—Więc Józefie ja pobiegnę po samowar.—Na co to potrzebne; jutro jak się zbiorą goście, panienska daj mi znać, ja przyjdę do piekarni, i tam wszystko należycie urządzę.—Ale bo mój kochany Józefie, jak czasem jutro w domu nie będziecie, a my naprosimy gości!—Kiedy ja paniencie daję słowo, że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź panienska spokojna!—Zmijuj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczórkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się



chusteczki jakiej na szyję dla Józefa.—Nu dobrze, dobrze, idź wacpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmienicij. Niedowierzając panna Salomeja szalbierskiemu uśmiechowi pana Józefa, jeszcze mu powtarzając prosby raz i drugi dygnęła. Po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawując Michała już drzemiącego, a Józefa zamysłonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczórek, herbata! i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd i złość dla Sularskich; ważył, rozważał, miarkował,—i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach, zło przeważyło; zasnął więc wybierając tylko sposoby swój zemsty.

### §§§.

Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go dookoła; imieninki Sularskiego wybornie obchodzono. Pani sędzina, prima donna tój fety, z trzema córeczkami rówiennicami w wieku trzech panien Sularskich, w wybornym była humorze! Pan assesor zalecający się na przemian to do starszj panny sędzianki, to do starszj panny bywszj ekonomówny, znajomj nam panny Salomei, w wybornym był humorze; jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wása, poglądujący z rozkoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróząc jej smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze; pan komornik bytj tu exdywizyi, przybyły po resztę od kopca doliczanych solariów i odebrawszy je od Pana Sularskiego z sowitością, w wybornym był humorze. Sam jegomość dobrodziej, gospodarz i solenizant, w nową, czarną, suto taśmami oszamerowaną, był odziany węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcużkiem od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubopłaska figura jegomościa na dwie szerokie połowy bławatno-złocistą wzdłuż się przedzielała pręgą; grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem — ustrojony więc i utytułowany pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec poglądując z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomościa i szepcząc mu na ucho, tę sprawiedliwą swj radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejsz

przymileniem pytała pomrukiującego mężula: „Nu dak cóż duszko? Nu dak co? a to oznaczało wyraźnie że w wybornym była humorze? A tak cała zebrana czereda; w najpiękniejszym usposobieniu około stolika, jakem to powiedział, osiadła.

Tymczasem Józef dotrzymując wczorajszej obietnicy, za daniem mu hasła przystawił się na przeciwek i już od półgodziny z młotkiem pracował około samowaru, dowodząc pannie Salomei, że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi, samowar był wyśmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potem okazał! lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu, kolei ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnymi sobie elementami, wodą i ogniem napełniony samowar, wzniosł oburącz Józef i powolny prośbie panny Salomei zadarłszy jak najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku, to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymównym wdziękiem, piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina *czajnik* wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! dla czegoż nie wiesz, że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! ale dziewica siedzi najspokojniej przy panu assesorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitém wiekiem. Czas nalewać herbatę odezwała się pani sędzina. Panna Salomeja powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonej cieczy... a wtém... zrywa się wieko samowara i ulatując do góry, wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczotki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą; wierzch spadając trafia na łysinę papuni, który jęczącym oj! oj! oj!! zawtórował wrzaskom dziecięcia. Tymczasem nagle uwolniony war, prysnąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłej około i zamoderowanej męzkiego, żeńskiego i niejakiego rodzaju gawiedzi, jak lawa z krateru gorącemi potokami się rozlał; na dobitkę, w powszechném zamieszaniu i wrzasku, ktoś trącił nieostróżnie modny na jednej nożce stolik—wywraca się samowar i raptem półwiadrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika, panią sędzinę i pana komornika, a panu assesorowi, ocierającemu właśnie trzewiczki na

sparzonej nóżce panny Salomei, w gęstą czuprynę gorącego z żarem nasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie—wszyscy jednym pędem skoczyli do bokówki uciekając od piekielnego, ogniem i warem buchającego smoka; lecz assesor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na te słowo, przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna; w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite, otworzyły wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego, cała kompanja nakoniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod ścianą osiadła!!! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem, że nie jęczało, nie krzyczało, lecz nakształt rui wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło; a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złej doli, niezgoda wszczyna się między nieszczęśliwemi, tak i tu pani sędzina, poczęła łąać panią Sularską, po razy kilka ją przeklętą ekonomową nazywając. Można było darować tak boleśnie podlanej sędzinie, i pani Sularska skłonna być się okazała do puszczenia płazem obelgi, bo tylko zawołała: Nu dak co? że ekonomowa? nu dak co? Ale panna Salomeja okok matki w hurbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę, wykrzykując: Ach! wacpani sędzina! osobliwość! Sędzina! osobliwość!—i byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jój czele z zalanym pożarem na głowie assesor i sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w rękę, którą arcy-przytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju: nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał; imościanki piszcząc i płacząc z bólu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki?—proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystkim było tak wesoło!!!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwalając, chciał pójść z nim w tuzy; rejterujący się Józef oskarżał pannę Salomeję: „jam panienkę nauczył jak postępować“ z samowarem, cóż ja winienem?“ Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy boleśny w plecy kułak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni. Chciał więc i żonę aplaudować zapamiętały Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie.

Owoż naprzekor wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *nieweselem*,— bo katastrofa



taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana assessora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomiczną sferę, ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najrychlejszym odjeździe rozgniewanej sędziniej i dalszej kompanji, pan assesor z sekretarzem i komornikiem, z powodu uratowanej czerwonej ciecicy zostali i ona z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelako uległa sowitzkiej konfuzji panna Salomeja, nie pokazała się więcéj. Nu dak co? że ojciec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dla tego to nic! ot tylko wstań i wyjdź zaraz, mówiła do niej matka w alkierzu. Na tę rozsądną radę, Salomeja odwróciła się tylko do ściany i mocniej stękać poczęła: a tymczasem i pan assesor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby, powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? komużby ją poświęcić, i że tak powiem przypisać należało? — Ach! zejdź czytelniku do wielkich niegdys hrabstw naszych, na malutkie, dziś przez exdywizje, porozdzielanych części, zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkodziesiątmi; iluż tam Sularskich! ileż panien Salomejek znajdziesz!!! im więc to poświęcam moję powiastkę, z wróżbą niechybną w godle, i z sensem moralnym w takim Epilogu.

[ „Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,  
„Zbytkiem się nie unosź zdrożnym —  
„Lepiej być dobrym Mospanie,  
„Niżeli śmieszny Wielmożnym.]

## POWRÓT DZIEDZICA.

---

Nie pogardzaj ubogiego,  
Szanuj wszystkie stany;  
Poznaj w chłopku brata twego,  
A będziesz kochany.

*Krakowiacy i Górale.*

Niedaleko od opisywanego w poprzedzających obrazach dworu, jest wioseczka od chat kilkunastu, w przyjemném i wygodném położeniu osadzona. Mieszkaniec wsi, rolnik, przyjaciel włościan, który często obcuje z nimi jak z braćmi swémi, który z upodobaniem mieszkania ich i gospodarstwa nawiedza, zna to miłe uczucie jakie nas ogarnia, gdy się schludne, dobrze obudowane i wesołe przechodziło sioło. Serce się pochyla ku niskim strzechom, rozumie że tam siedlisko spokojnej doli; myśl pokrzepia się i zasila prostym wyrazem poczciwego włościanina, tak jak znarowiony zbytami żołądek zasila się i pokrzepia łyżką prostej strawy z piekarni, i kawałkiem razowego chleba. Nie potrzeba dręczyć wyobraźni urojonemi opisy pasterskich sielanek i wieśniaczych chatek, aby miłe i życzliwe dla nich obudzać uczucia. Rzeczywistość bez przesady, obrazy włościańskich obyczajów z natury wzięte, sercu skłonnemu do czystych, wiejskich, spokojnych roskoszy, równie upodobanemi będą, a słodsze w niém i głębsze, bo prawdziwe obudzą wrażenia.

Oto masz dziedzińczyk do około zabudowany domowstwem, w którym mieści się dobytek i zamożna chudoba gospodarza; z chlewa ci kilka pięknych wydzie krówek, za niemi poważne suną kroki dwa

woły, jakby młodszego rodzeństwa opiekuny, a względem pana swego jak starzy pracy jego i mozołu na polu współnicy i towarzysze. Z innéj zagrody z boku, wybiegają gromadném stadem owce, i tłusta maciora liczne swe wyprowadza potomstwo; wszystko to zmierza na srodek dziedzińca ku studni, przy której mały chłopczyk trzyma na powodzie ulubionego konika, i z której hoża młodziźca lub raźna dziewczka wyciąga wodę, i jak Rachel pojąca trzodę Labana ojca swojego, rozlewa onę dla swych krówek i wszelkiego otaczającego studnię żywiołu.

W końcu dziedzińca są wrota na gumnisko. Żadna murawa w pięknych naszych parterach wypieszczona, nie przewyższy świeżością i powabem murawy gumniska porządnego (a tylko o porządnym tu mowa) włościanina. To miejsce jego niedzielnego wypoczynku, w czasie letnich skwarów, pod cieniem kilku brzoź lub klonów rozpościerających tam najczęściej stare i gęste konary; to miękkie posłanie po którym koczują i tarzają się swawolne chłopięta, albo też spadają na nie bezpiecznie z przepłotu lub strzechy, gdy po wróble gniazda pną się tam nieostróżnie. Otwarta obok i zieloném sianem napełniona odryna, rozlewa w powietrzu miły aromatyczny zapach, komuż nieznajomy! Ileż razy myśliwy po dziennych trudach; albo podróżny unikający niewygody karczemnej, znalazł w wiejskiej odrynie rozkoszny nocleg i miękkie posłanie, a oddychając wonnym aromatem, poił się snem błogim i spokojnym, w którym ciało nowéj czerstwości i siły, umysł swobody, wesołości i nowéj miłości życia nabrały!!! Osobno zagrodzony ogródek zajmuje część gumniska; kilkanaście jabłoni, grusz i wiśni, kilka krzaków pięknej kaliny i kilka grządek nagietek na niedzielne kapturów i namiotek ozdoby, rozkwita razem, buja, i karmi tam liczne familje pszczołek, w kilkudziesięciu a często i w kilku kopach ulów pomieszczonych. Brzęczą one swobodnie po ogródku, po drzewach, po nagietkach i po osielicy \*), tuż za gumniskiem gęstą trawą i polném kwieciami zarosłéj, a rozciągającej się pospolicie aż do granicy posiadłości chłopka; szczęśliwego, jeżeli natura dała mu poczciwość i pracowitość, a los szlachetnego pana w udziale.

Z takich gospodarzy składała się wioseczka, niegdyś do młodego dziedzica, a po upadku jego do kilku różnych właścicieli należna. Bystry strumień w głębokim parowie przerzynał ją; na nim most,

\*) *Osielica*, łąka ogrodowa tuż za chatą gospodarza leżąca.



a przy moście na wzgórzu, jakby opasły ekonom wśród czeladzi, lub jakby strażnik doglądający przeprawy, wznosił się ogromny exdywizorski kopiec, na którym, jak Marjusz na ruinach Kartaginy, siadywał często i odpoczywał stary Michał, gdy przychodził do wsi, przynosząc kumom i swatom starym jak on, i jak on przywiązanym do familji dawnego dziedzica, nowiny obwieszczające bliski jego powrót, a zatém odmiany pomyślne dla wszystkich.

Dwór, który znamy już cokolwiek, bośmy go w smutnej godzinie exdywizji przeglądali, przybierał teraz postać i szatę nową. Kilkunastu rzemieślników pracowało tam od niejakiego czasu. Stolarze układali posadzki, odmieniali drzwi i okna; mularze przestawiali piece; malarz sufity i ściany w piękne stroił arabeski; słowem razem wszyscy pracując, ożywili pusty niedawno i zrujnowany dom ten. Pomiędzy nimi, z poważną miną, niekiedy paląc wspaniale fajkę, niekiedy przygwizdując lub rozmawiając poufale, przechadzał się znajomy nam figlarz pan Józef, pochwalając jednych, zachęcając drugich, a wszystkim dając do zrozumienia, że i zaleta i nagana od niego najwięcej zawisła.

Kiedy niekiedy, pan Baltazar Sularski, widząc ruch taki w budynku, i chcąc się dowiedzieć przyczyny, a wyciągnąć konsekwencje, przychodził tam z folwarku niby nawiasem: ale rzemieślnicy nic nie wiedzieli, a z Józefem trudna sprawa! Gdy wchodził Sularski, on zadzierał nos w górę, przechadzał się wspaniale i gwizdał. Dzień dobry panie Józefie! zagabnął raz Sularski.—Aha! odpowiedział Józef patrząc na malarza siedzącego na rusztowaniu, to piękny ptak co pan teraz malujesz panie Adamie! rychtyk takiego widziałem żywego w Warszawie!—Wątpię Panie Józefie czy mogłeś widzieć takiego ptaka rzekł malarz, bo to fenix. — Ach? czy jednego i czy raz? może z dziesięciu! jak dziś pamiętam!—Malarz pokręcił głową, a tymczasem ciekawy Sularski przerwał: „wielka fabryka panie Józefie!... Znowu Józef: aha! i ani pół słowa więcej.—Zapewne pan podkomorzyc powróci; słyszałem że się ma żenić! Daj Boże szczęśliwie! czy to prawda kochany panie Józefie? — Nie! to ja mam się ożenić, odpowiedział nakoniec Józef, i będę tu sobie mieszkał jak pan!—Doprawdy? to co inszego!!! z kimże takim myśli pan dobrodziej ożenić się? zapytał szydersko uśmiechając się Sularski?—A może i z pańską najmłodszą córeczką Helenką, bo panna Salomeja nie umie herbaty nalewać. Sularski na taką niespodzianą deklarację, zatrzaskał drzwiami, a wychodząc z przyciskiem wymówił: „Oszust!“

Józef patrząc złośliwie za odchodzącym, wymówił także: „Oszust!“ Obadwaj powiedzieli prawdę, odezwał się na końcu malarz na rusztowaniu; rozśmiali się rzemieślnicy.

Mniej skryty i łatwiej komunikujący się stary Michał, jeżeli gdzie się spotkał z panem Baltazarem, i gdy ten go zapytał o przyczynę rozruchu w budynku, bez ogródki odpowiadał: wybieraj się waćpan w drogę, pan nasz ożenił się; wziął wielki posag i wszystkich waćpanów wypędzi, fort! fort! mospanie fort!

Złowróźbne te przepowiednie, którym nie zupełną wszakże dawał wiarę pan Baltazar, nabierały wszelakoż coraz większej pewności. W sąsiedztwie i w plebanji w niedzielę z tąż samą powszechną spotykał się wieścią; we własnym nawet domu, podsłuchiwał nieraz jak w piekarni czeladź, opatrzwszy wprzód czy nie ma której pаниenki, opowiadała nowinki, o hucznym weselu pana, o pięknej, młodej i bogatej pani, którą Dagocki widział na swoje oczy, bo jeździł na wesele, choć to ztąd o mil pięćdziesiąt; a nakoniec Józef odebrawszy przez tegoż samego Dagockiego rozkazy, wyjechał niespodzianie dnia jednego w drogę, i zapowiedział że powróci z państwem.

Zbliżała się wiosna; wcześniejszym dogrzany promieniem śnieg stopniał, i w szumne rozlał się potoki; gdzieniegdzie pod płótem leżał on jeszcze szczerńiałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach, oczekujący chwili gdy go ziemia pochłonie; lecz natura czuła już popęd do życia! Chwila jeszcze sennego otrętwienia.... przejdzie natychmiast! a wszystko razem jedną ożywczą popchniętą siłą, rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzba na ziemi, obwieszcza tę chwilę i uprzedza; a niedziela Wierzbna, jest jakby dniem ostatniej między zimą a wiosną walki.

W wigilją tej pięknej niedzieli, stary Michał z życzliwością Kalebę \*) dla swoich panów, i z równaż troskliwością, rozmyślał w spiżarni o mąterjałach na przyszłe święcone. Z czegoż pani pirogi i babki piec będzie? pytał on w myśli sam siebie, i szukał napróżno odpowiedzi w jaszczykach i faskach; wiedział on dobrze że tam nie znajdzie, ale poczciwy staruszek chciał cudu rozmnożenia chleba w pustyni! Nakoniec zmęczony sam siebie, stanął na środku spiżarni, zażył mocno po kilkakrotnie tabaki, pokiwał głową i wyszedł ocierając z łez oczy: po czém namysliwszy się trochę szedł prosto

\*) Narzeczona Lamermoru, romans Waltera Skota.

do wioski. Przez drogę uspokoił się zupełnie, owszem wesołą twarz przybrawszy, usiadł jak zwyczajnie na kopcu, co było hasłem zebrań się około niego prawie całej ludności.

„*Za tydzień, wielki dzień!* he? co wasze myślicie? zagadnął Michał.—Prawda! chwała Bogu! odpowiedział stary Marcin; jeszcze raz z waszecią kumie zjemy wielkanocne jajko, a to podobno już z kopę zjedliśmy razem, od tego czasu jak waszeci do kuchni, a mnie do pokoju wziął nieboszczyk pan stary, wieczny jemu odpoczynek!— „Bracie Marcinie, rzekł Michał, o młodym pogadamy. Ożenił się wiem pewnie, ożenił się; przyjadą oboje na święta, a zatém jutro podług dawnego zwyczaju przynosicie włoczebne!— „Ależ kumie, rzekł znowu Marcin, zapomniałeś że my do panicza już nie należym, że mamy nowych panów, że na czym wozku jedziesz, temu i pieśni śpiewaj!“— „A ty zapomniałeś? przerwał podnosząc się Michał, zapomniałeś czyj chleb jadłeś przez lat pięćdziesiąt? Zapomniałeś jak dobrymi dla ciebie byli dziad i ojciec terażniejszego pana? zapomniłeś że cię nieboszczka pani ożeniła, i jaki posag dała twojej żonce, a swojej wiernej Marysi? zapomniłeś że z ich łaski twoje synki i całej wioski na książkach Pana Boga chwalą? a czy jeden dawnoby z was na mogilniku ziemię gryzł, gdyby w chorobach waszych pan sam was nie doglądał i nie miał gotowego zawsze lekarstwa? zapomnieliście wszyscy, że od dziadów i pradziadów my ich dzieci?“ ... — „Da to prawda! święta prawda! zawołali wszyscy i starzy i młodzi, a babki szczególnież rozczulone powtarzały: to prawda! ale na cóż on nas w cudze ręce oddał?“ Michał usiadł znowu na kopcu, bo mu nogi z mocnego wzruszenia drżały, i rzekł: „oddał! oddał! to i odbierze! Stary Michał nie kłamie nigdy i stary Michał modli się codzień i prosi Boga, aby kiedy umrze, garść piasku nie cudzy jaki człowiek, ale własny mój rodowity pan na oczy rzucił: i doczekam tego za Boską pomocą, doczekam!!!“ — „Tak cóż robić teraz? i jakże będzie? pytano zewsząd.“— „Oto tak, prowadził dalej rzecz swoją Michał, jutro bratki odnieście włoczebne prosto do budynku, ja was tam przyjmę chędogo po dawnemu.“— „A jak Sularski zajdzie nam drogę? bo już nakazywał o włoczebne.“— „On swoją drogą, a wy swoją! cóż on wam zrobi kiedy jego wraz djabli..... tfu, Boże odpuść! kiedy jego wraz nie stanie, a ja panu waszę życzliwość opowiem; wiecie stare przysłowie: *„Rzuc za siebie, znajdziesz przed sobą.*“— Także i będzie jak mówisz kumie! odezwał się Marcin, jutro ja sam ich poprowadzę z włoczebném do



dworu.“ Wstał Michał pożegnał zgromadzenie, lecz odszedłszy kroków kilkanaście zwrócił się jeszcze i do odchodzących zawołał: „Słuchajcie gospodynie! Krysio! Katryno! Elźbieto! jeżeli która z was ma kurę tłustą albo kapłuna to przynieście, potem policzym się z każdą: bo chociaż u nas chwała Bogu spiżarnia nie pusta, wszelakoż zda się to na pieczyście.“ Baby kiwnęły głową na znak zgody, a stary powędrował spokojnie, mrużąc wieczorną modlitewkę swoją „*Pod twoją obronę uciekamy się etc.*“

Niech co chcą mówią gabinetowi teoretycy, *pseudo-filantropi*, znający kraj swój z mapy, gospodarstwo z ogrodów, a włościan i panów z potwarczych i fałszywych wyobrażeń, naśladowczém powtarzaniem okrzykiwanych: którzy zaprzeczają i ujmują ludzkości panom, a chłopkom życzliwości i przywiązania ku panom, a raczej pierwszym ucisk, drugim nienawiść przyznają. Nie tak jest jednak w istocie! nie tak jest w ogólności! Długimi laty spojone, z pokoleń na pokolenia przelane związki włościan z ich dziedzicami, są najczęściej obu stronom miłe i drogie. Włościanin przywykły do opieki, dobroci i łagodności swoich panów, tłumaczy dzieciom i rozpowiada dzieje ich domu i dworu, łaski sobie świadczone, przygody wspólnie wycierpiane, i przyzwyczajają przyszłych gospodarzy do szanowania i starych panów i panicza, przeszłego ich pana. Panicz od mamki i nianki naprzód zabiera znajomość, wiadomość stanu, potrzeb i zwyczajów włościan; od niemowlęctwa prawie przywyka do nich, uczy się codziennym przykładem z obejścia się rodziców z poddanymi, owej opiekuńczój, rodzicielskiej że tak powiem ku nim skłonności; nakoniec wpaja w siebie głęboko przekonanie, że od dobrego bytu jego włościan, własny jego byt dobry zależy, i odziedzicza razem z fortuną wzajemne poddanych i ku poddanym przywiązanie. Wieleż to razy w Litwie się zdarzało, że pamiętni cnoty i dobroci ojców i dziadów, a wierząc w równeż uczucia ku sobie młodych, często marnotrawnych panów, włościanie składali dobrowolne im ofiary i pieniądze na opłacenie długów, byle tylko w obce nie być przedanemi ręce. Wieleż razy stan zamożny włości znikał widocznie przez to tylko, że nowy nabywca nie miał i nie mógł wzbudzić zaufania ku sobie poddanych, którzy nie dowierzając mu, tracili ochotę do pracy gdy jój owocu nie byli pewnymi!—Fałszywém jest mniemanie że włościanin chce częstej zmiany pana; nie! do dobrych, do kochających go szczerze, do sprawiedliwych, do sumiennych, pobożnych, (bo i włościanie nasi są pobożnymi) panów, przywyka on

serdecznie. A jeżeli bogacze nasi, dziedzice coraz rzadsi dawnych świetnych imion i dostatków, zaniechawszy patryarchalnego ojców ich z włościanami swymi obejścia się, nieznający ich i sami im nieznajomi i obcy, zdają wszelkie z nimi stosunki, na swych komisarzy; jeżeli tém samém lekceważą i pozwalają wiedzieć i rozrywać się wieńcowi z kłosów, który panów i kmieci w jedną wzajem sobie życzliwą familję, jak ule pszczoł pracowitych z ich matką ogarniał: to ujmują sami sobie najmilszych, najczystszych i codziennych roskoszy, a może trwalszych nawet, niżeli mniemać mogą, korzyści!!!

Nazajutrz, zielone bukiety z rozpekłej wierzby i jałowcu, zakwitły we wszystkich rękach; z niemi włościanie z rana przed nabożeństwem szli do dworu postrojeni świątecznie, niosąc w białych chustkach po dziesiątku jaj. Mężczyźni w białych siermięgach, w wysokich z siwych baranów czapkach, pasami czarnymi przepasani; w granatowych sukiennych czuhajach, w litych kapturach na głowach matrony; a w rażnych i obcisłe ściętych gorsetach, w różnokolorowych spodniczkach dziewczęta. Warkocze świątłych włosów, w długich, wstążkami przewijanych, kosach spadały im na ramiona, szyje i piersi w śnieżnych koszulkach zatajone i kilkunastu sznurkami koralu, bursztynów, lub błyszczących paciórka jaśniejące; rumianych jagod, czerstwości cery, i pięknych błękitnych lub czarnych oczu, nie jedna z moich czytelniczek mogłaby im pozazdrościć! Szły one jedną gromadą, niosąc w rękach trzewiki i pończochy, które dopiero pod kościołem przywdziać miały. Chłopcy w podobnej co i starsi gospodarze odzieży, wpadali często swawolnie między tę gromadę, a natenczas śmiechy i hałasy rozlegały się do koła. Na przodzie wszystkich szedł stary Marcin w piaszczystej, na duże stalowe guziki zapiętej, kapocie i zjedwabną chustką na szyi; nioś on pięknego koguta, a niektóre z kobiet niosły kury, podług wczorajszej odezwy Michała. Nakoniec przed Marcinem jeszcze, sypało się liczne grono dzieci obojęd płci i różnego wieku, chędogo i strojno ubranych, które [biegąc i przeganiając się wzajem, sma-gały się bez uwagi i miłosierdzia po oczach, uszach, nosach i twarzach różgami wierzbowemi i krzyczały zapamiętałe: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki-dzień \*).”]

Jak tylko gromada ta wyszła z wioski i ukazała się na drodze wiodącej do dworu, a przez dwór do parafialnego kościoła, wnet

\*) Słowa obrzędowe wierzbnj niedzieli.

pani Sularska wyniosła z córkami stolik przed folwark, zaślała go białą serwetą, położyła bułkę chleba, kilka sérów, i postawiła dwie wielkie cynowe misy na skład wloczebnego; sam zaś jegomość stanął przy stoliku piastując w rękę sporą flaszę miedzianą z czarką z tegoż metalu; i tak wszyscy czekali gromady. Zdziwili się jednak mocno, że przed budynkiem Michał podobniuteńkie zrobił przygotowanie, z różnicą że zamiast mis cynowych, postawił fajansowe półmiski, a zamiast miedzianej flaszki, jakiś staroświecki hlaczek, zawierający podobno ostatnie zapasy równowiecznej z nim samym staruszki.

[„Co on myśli ten stary Barabasz?”] mówił Sularski do żony i córek; co on myśli?“ Tymczasem zbliżali się włościanie i weszli do bramy; z której postrzegłszy podwójne przygotowania na swoje przyjęcie, Marcin zatrzymał się chwilę w wątpliwości odnawiającej się po wczorajszemu; ale dziatwa kochająca i przywykła do Michała, a bojąca się Sularskiego jak niedźwiedzia, zwróciła się ku budynkowi i rozbiegła się po obszernym dziedzińcu. Michał widząc niepewność swojego kuma Marcina, machnął nań ręką, czém i jego i całą gromadę zdeterminował że się do niego zwróciła.— „Dokąd wy idziecie? dokąd chamy? krzyknął Sularski! ja zaraz was po swojemu zawrócę!“ .... W tém pędząc kłusem konny wpadł na dziedziniec, i zsiadłszy z konia: „Czy tu mieszka pan Sularski, zapytał? — „Ja to jestem, odpowiedział samże pan Baltazar. — „Oto pięknie! tylko co nie minąłem; a teraz masz pan list pilny, proszę czytać, i mnie trzy ruble zapłacić, bo tak mnie zgodził pan Regent“ — Posłaniec ten w kubraku ciemnym bajowym, dobrze wytartym i kuskym, mógł mieć lat pięćdziesiąt; czerwone policzki, wąs rudy i rzadki, włosy wysoko podcięte, składały się w czuprynkę w kształcie jakby peruki srebrno-ruskiej i zlekka podfryzowanej; oko na przekor włosom, czarne i żywe, a w całym ruchu i w całej postaci, nadzwyczajna rzeźwość i rubaszność, wydawały w przybyśzu światowego bywalca, i wstępnego bez ceremonji towarzysza. Jakoż rozgościł się poufale od razu. „Za pozwoleniem mego dobrodzieja, rzekł, ja i mój konik odpoczniemy sobie, i przekąsim cokolwiek z łaski pańskiej, bo djabelnie obadwa zhasaliśmy się! A to pięknie! mil siedm dziś, i to bez popasu!“ — Zaprowadził zatem konia do stajni, rozsiedział go, postawił u żłobu, zarzucił siana, a sam przyszedł na śniadanie do jejmości.

Gdy pan Baltazar włożywszy na nos okulary, sylabizował z ci-



cha list do siebie pana mecenasa Grzegorza, od exdywizji nam znajomego, włościanie tymczasem złożywszy wólczebne na stoliku u Michała, a kury wpuściwszy do kuchni, poczęstowali się skromnie i ruszyli tą samą gromadą do kościoła, przechodząc około okna Sularskiego: ale już on ich zawracać po swojemu nie myślał, bo nowiny które odebrał z Wilna wcale niepomysłne były.

„Bodajesz szyję złamał tu jadąc“—rzekł pan Baltazar przeczytawszy list pana Grzegorza, do posłańca czekającego spokojnie śniadania, i poglądającego na miedzianą flaszkę stojącą na kominku: miałeś poco tu lecieć!“—„A to pięknie! mój dobrodzieju! [posłańca nie ścinają ni wieszają;] za co mój dobrodziej na mnie się gniewa? Oto pięknie! ja z konia żyję i z konia służę; szlachcic jestem Bogu dzięki, Jan Bonawentura Babiłło, do usług mego dobrodzieja; mam kondycję moją właściwą pod Żupranami, ale mieszkam w Wilnie na Sawicz ulicy w domku pana Koczyńskiego, co gra na fagocie w teatrze. Oto pięknie! kto mnie każe temu jadać.“—„Nu dak co? przerwała ten potok rekomendacji pani Sularska.“—„Oto pięknie! jeżeli moja dobrodzika.“ — „A niech cię kaci porwą! czy pięknie czy nie pięknie, krzyknął zniecierpliwiony pan Baltazar; czego tu chcesz u licha?“—„Wódki naprzód i zakąski mój dobrodzieju; dziś jeszcze ani rosy w gębie nie miałem, oto pięknie! a potem trzech rubli i kwita;—Wódki? na, masz, pij! rzekł nalewając z flaszki Sularski, ale co do pieniędzy zjesz djabła!“ — „A to pięknie! toż to mój dobrodziej jak plebejuszowi jakiemu wtyka czarę w rękę! przecież do Jana Bonawentury Babiłły i przepić można; oto pięknie!—„No więc do waćpana, przepraszam!—„A to co innego!“—wychylił czarę pan Bonawentura i nie stawiając na stole, podniósł ją do flaszki: „*alterum tantum* po drodze mój dobrodzieju!“ — „Niech i tak będzie, rzekł nalewając Sularski, pij!“—„Wychylił znowu do dna i stawiając czarę: oto pięknie! *Deo gratias!* wyśmienita!“ zawołał ocierając wąsy. „Co do pieniędzy, mój dobrodzieju to mniejsza o to! pan regent zapłaci mnie we dwoje, a od mego dobrodzieja odbierze we czworo, a może i w dziesięcioro, oto pięknie! zhasałem mil dwadzieścia, powrót drugie tyle, to mamy ośmdziesiąt, i mam powrócić z kwitkiem, o to pięknie!!! Sularski tymczasem chodził wielkimi krokami po izbie, dąsał się, przeklinał, nareście wykrzyknął do żony: „Duszko! wszystko djabli wzięli!“ — „Oto pięknie! gryząc sér podchwycił pan Bonawentura, dla czego? i za co? czy to mój list takiego nawarzył piwa memu dobrodziejowi?“—„A nie już co innego!—

„Nu dak cóż ten list? zapytała pani Sularska, patrząc w oczy mężowi, nu dak cóż!“ — „Masz! czytaj! rzekł on rzucając list na stół. — „Ale gdzież tam! tak długo? na życiu mojem tyle nie przeczytałam pisanego? Niechaj przyjdzie Salomea!“ — Ja przeczytam kiedy moja dobrodzika każe, odezwał się Babiło, może nie ma sekretu?“ — „A jaki u licha sekret, czytaj rzekł Sularski, i ten zaczął:

„Kochany panie rotmistrzu! — A to pięknie! mój dobrodziej rotmistrz, a ja o tém nie wiedziałem! to mój dobrodziej wojskowo traktował? oto pięknie! Niegdyś to i ja wywijałem szabelką na sejmickach, ale jak przyszło do żołnierki, pomyśliłem sobie, oto pięknie!“ .... „Czytajże wasan dalej, przerwała Sularska. — „Aha, o toz dalej. „Kochany panie rotmistrzu! przegrałeś sprawę w Departamencie zupełnie... A to pięknie! to mój dobrodziej miałś sprawę! Ach! czemuż ja o tem nie wiedziałem? otożbym podforsował, ja sam mam pięć spraw w tymże samym Departamencie, które attentuję teraz siedząc w Wilnie; i mam nie chwałąc się przyjaciół! Pierwszy aktorat, to z moją żonulą dobrodziką, oto pięknie! która mnie wypędziła z mojego folwarku, *alias* z kondycji, na mocy jakoby reformacyjnego dokumentu. Prawdę mówiąc, ja sam od niej uciekłem, ale że dokument nieprzyznany, więc ja pozew jejmości dobrodzice o rehabicję! ona mnie pozew o przechwałki!!! [Oho! Szwed baba, mój dobrodzieju!] umiemy jeszcze oboje Bogu dzięki poprowadzić interes! *Tandem*, po tych pozwach zapadł dekret *copiarum spraw*, oto pięknie! a gdzież sprawiedliwość? Appelluję więc mój dobrodzieju do Departamentu, i wędruję piechotą około Bożego Narodzenia do Wilna. Przeziąbłem kaducznie, zachorowałem na gorączkę, i leżę u Miłosiernych mój dobrodzieju; tymczasem baba dopilnowała sprawy, i ja powróciłem sześciórką: to się znaczy, wzięłem sześć niedziel wieży, kiedy ichmość nie rozumiecie: oto pięknie! Ale to nic jeszcze.“ — Sularska niemogąc doczekać się końca, wyrwała list z rąk gaduły, i oddając wchodzącej córce: „przeczytaj Salomejo, rzekła, ten list, od końca do końca.“ — A czemuż nie ja moja dobrodziko? — „Wasan byś do jutra nie skończył ze swojemi pozwami i sprawami; czytaj!“ Po wyrazach wprzód już odczytanych następowało:

„Ostrzegałem waćpana nieraz, że trzeba się było pilnować! Padliśmy wszyscy, lecz waćpan najgorzej; bo kazano abyś zdał kalkulację *de asse et grano*, tak *ex officio* służby niegdyś ekonomskiej u pana podkomorzycza odbywanej, jako też *ex possesso* schedy.“ —

„Co to znaczy mosanie? wasan widzę prawnik, zapytał Sularski pana Bonawentury; *de asse?* jak tam?“—*De asse et grano*, powtórzyła panna Salomea.—„Oto pięknie! *asse et grano*, cóż ma znaczyć innego? znaczy *wszystko przegrano*, mój dodrodzieju! — „Taki widzę i z wasana łacinnik jak i ze mnie; ale zawsze to wyraz jakiś fatalny, bom go już raz słyszał z ust pana Grzegorza gdy przeciw podkomorzycy na exdywizji perorował.—„Życzyłbym więc waćpanu, kochany rotmistrzu, były dalej słowa listu, abyś nie czekając dalszych konsekwencyj wyniósł się spokojnie ze swojej schedy. Podkomorzyc ożenił się, wziął piękny posag gotówką i układa się z kredytorami; zapewne nie skrzywdzi i waćpana, bo ja zawsze tak trzymałem i trzymam, że to zacny i pocciwy pan! — „Oho, innym tonem już śpiewa ptaszek! przerwał kręcąc głową Sularski.—„Bądź zdrów kochany rotmistrzu i zapłać posłańcowi rubli trzy.“—„A widzi mój dobrodziej; trzy rubelki dać trzeba! [zła wprawdzie nowina ale czyż głową o ścianę uderzyć?] oto pięknie!!!“ Wszyscy jednakże stali w zamyśleniu.... — „Nu dak cóż robić? przerwała pani Sularska: nie już utopić się?...—„To więc trzeba nam będzie ustąpić? zapytała panna Salomea, a papa wszak mówił...—„Milcz! przerwał Sularski; znowu więc milczano!!!— W mojej drugiej sprawie mój dobrodzieju, którą mam ze szwagrem moim w Lidzie o sto złotych posagu nieboszczki, z ciotecznych cioteczno rodzonej siostry mojej,“ prawil znowu pan Babiłło korzystając z powszechnego milczenia, „od ziemstwa, poszliśmy obadwa do Departamentu i obadwaj przegraliśmy. Oto pięknie! prawujemy się teraz na nowo, [co Pan Bóg da, to da!“] Pan Bonawentura należał do tego rodzaju szlachciców okolicznych, jakich przed kilkunastu laty, wielu jeszcze naliczyć można było, a teraz może i żadnego nie ma; nie przeto żeby wszyscy poumierali, lecz że z pola zeszedli, a nowe pokolenie nie idzie w ich ślady, których całém zatrudnieniem, całém upodobaniem i nauką było pieniactwo; którzy za najważniejszy dowód swego szlachectwa liczyli pozwy dane lub odebrane, a im więcej ich mieli lub dali, tём godniejszemi być się mniemali szlacheckiego klejnotu.

„Oj! co trzecia sprawa mój dobrodzieju, to djabelnie kręta! Idzie rzecz o granicę; ale niech mię djabli porwą, jeżeli ktokolwiek z nas prawujących się rozumie o co nam idzie! Oto pięknie! posłuchaj tylko mój dobrodzieju: był kiedyś podobno kopiec na mchu.... — „Ani myślę słuchać! krzyknął tupając nogą pan Baltazar, i obracając się do żony rzekł: „Duszeko! co ty myślisz?“ W trudnych oko-



licznościach najczęściej udawał się Sularski po radę, do poczciwego a prostego rozsądku swojej połowicy, i nigdy się na nim nie zawiódł, skoro posłuchał.—Ot ja myślę, odpowiedziała ona, że pojedziemy naprzód na mszę świętą do kościoła, dziś wielka uroczystość; pomodlim się Panu Bogu na tę intencję, poradzimy się w plebanji rozumniejszych od nas ludzi, i potem postanowim cokolwiek. Wszak ja nieraz waszeci mówiłam, że to w końcu na złe wynijdzie, że Pan Bóg nie dopomże; a wieleż to razy śniło się mnie!...— „Dość, dość duszko! dobrze mówiłaś i dobrze mówisz, pojedziemy do kościoła, a wasan panie jurysto odpocznij do obiadu nim powrócimy“ — Zaszła bryczka, Sularscy, oboje z córkami umieścili się w niej i pojechali, a pan Bonawentura rozciągnął się jak długi na kanapie, i wnet zachrapał głęboko.

Około południa powrócili z nabożeństwa Sularscy, nakryto do stołu, a spokojniejszy i weselszy gospodarz obudził swego gościa na obiad. Porwał się on nagle, a zajęty nawet i we śnie swemi processami, wrzasnął bez przygotowania: „Co! kondemnata? oto pięknie!—„Nie kondemnata ale obiad, rzekł Sularski, wstawaj!—„A to co innego, poziewając szeroko i przecierając oczy“ odezwał się prawnik oto pięknie! tak się rozespałem!

Po obiedzie, skutkiem rady ogólnej i dobrze rozważonej w plebanji, Pan Baltazar siadł do bryczki i pojechał starać się possessyjki, a pan Babiło odebrawszy swoje trzy rubelki, które mu z bojaźni nowego processu oddano, dosiadł rzeźwo swojego szłapaka i ruszył śpiesznym kłusem nazad do Wilna attentować swoją sprawę w sądzie granicznym.

Jeszcze parę tygodni upłynęło tu bez odmiany: tylko w ogrodzie dwór ten otaczającym, w którym maj rozwinął wszelkie bogactwa wiosny, po długich lipowych ulicach od trzech dni co wieczór słyszeć się dawał głos cienki i fałszywy, wyśpiewujący wyraźnie od początku do końca rozmaite światowe pieśni jak np.

„Już miesiąc zaszedł, psy się uspiły,  
„I ktoś tam klaszcze za borem?  
„Pewnie mnie czeka mój Filon miły,  
„Pod umówionym jaworem \*).

to znowu:

Potok płynie doliną,  
Nad potokiem jawory,

\*) Karpińskiego.

Tam ja z moją Justyną  
Słodkie pędził wieczory! i t. d. \*).

albo także:

Śliczna Elżuniu! już to podobno  
Kończą się nasze lube wieczory!  
Dziś jeszcze razem, jutro osobno  
Dzikię nas będą przedzierać bory!

Choć mnie nie będzie, ty wspomnij przecie  
Żem cię ukochał! jedną na świecie! \*\*)

Śpiewaczka nie darowała ani jednej strofki, ani jednego wyrazu; głuche echo jęj tylko odpowiadało, bo nikogo nie było w ogrodzie do wtóru lub oklasków. A jednakże ona podobała sobie widocznie w swym śpiewie, nawet całą arję lub niektóre ulubieńsze strofki pokilkakroć powtarzała. Śpiewy te kończyła pospolicie pobożną pieśnią: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“ i t. d. i potem ciche mruczenie pacierza zwiastowało ukazanie się samejże syreny. Jakoż z altany wychodziła powolnym krokiem staruszka, miernego wzrostu i czerstwęj jeszcze cery. Twarz trochę podróżowana i czepeczek starannie na głowie opięty, dowodem być mogły, że wydać się staruszką wcale nie chciała. Biały szlafroczek wieczorny i chustka pięknego wzoru okrywały jęj figurkę suchą, którą wiek schylał, a miłość własna prostowała; wreszcie łagodność w oku i na całej twarzy, od razu zjednać jęj mogły przychylność, której rzeczywiście wartą była. Ciocia to była podkomorzycza, wdowa bezdzietna: listem jego wezwana, przybyła ona tutaj dla przyjęcia młodej gospodyni, żony kochanego jęj Teofila, którego jak syna kochała, i dla przygotowania zapasów dla nowego gospodarstwa. Jakoż dwie pakowne bryki przysły za kolaską ciotuni, a Michał ujrzał od razu napełnioną całą swoją spiżarnię i apteczkę.

„Dobry wieczor kochany Michale, mówiła staruszka: — „Dobry wieczor mościa dobrodziko.— „A cóż nie słyhać czego o naszych?— „Nie mościa dobrodziko: ale ja myślę, że dziś w nocy przyjadą:— „Pan Bóg z nimi Michale! a któż ich w nocy z chlebem i z solą przyjmie? Przecież i przykazywałam i prosiłam Józefa, którego pan Teofil do mnie z listem przysłał, aby tak kierował w podróży, żeby tu przed śniadaniem o samęj jedynastęj wjeżdżali i dla tego codzień jak sam widzisz ubieram zrana wszystko jak należy, i cze-

\*) Karpińskiego. \*\*) Nagurskiego.

kam tych miłych gości. Ale w nocy! co za myśl? Nie! Józef nie zapomni mojej prosby, a jeszcze dałam mu i chusteczkę tarletanową na szyję...— „Ej, mościa dobrodziko, Józef bałamut! a potem czy to pan nasz Józefa słuchać będzie? Jak wypadnie tak przyjadą, a imość dobrodzika śpij dla tego smaczno, bo to w starości przebudzać się w nocy bardzo niezdrowo!...— „Zgłupiałeś mój kochany Michale! cóż to w starości? w jakiej starości?“— „A jakże mościa dobrodziko, rzekł Michał, zażywając powoli tabakę i zadarłszy szeroką łysinę do góry dla łatwiejszego rzeczy przypomnienia, a jakże? Ja prawda byłem już kuchcikiem kiedy imość dobrodzika rodziła się; nieboszczyk podstoli ojciec imości dobrodziki, a dziad naszego terazniejszego pana, wyjeżdżał jak dziś pamiętam do Nieświża, do księcia Radziwiłła panie kochanku, na jakiś fest. Ależ ja mam lat siedmdziesiąt: no to imości dobrodzice lat pięćdziesiąt dobrze minęło, daj Boże i drugie tyle... Ale ciocia i początku nawet tego rachunku nie dotrzymała, i gdy Michał spuścił łysinę na dół, nie obaczył już swojej imości dobrodziki; pokiwał głową, zażył jeszcze raz tabaki i poszedł spokojnie, nie domyślając się bynajmniej, że ją obraził.

Po dniach jeszcze kilku, stary Michał stał na środku dziedzińca i poglądał na drogę z góry ku dworowi schodzącą, gdy nagle pies wielki wskoczył mu na piersi. Przelękniony starzec odepchnął psa, lecz razem z zadziwieniem postrzegł, że pies przypadł mu do nóg, lizał mu ręce i łasił się z oznakami najżywszej radości. Spójrzawszy w ten czas rozważniej Michał i poznał wyżła *Waleta* faworyta pańskiego, który sam jeden prawie w dniach smutku został mu niezaprzeczoną własnością. Po latach pięciu oddalenia, *Walet* o milę poczuł rodzinne powietrze, i poleciał naprzód, jakby posłaniec oznajmujący przybycie pana, i poznał na dziedzińcu swego starego karmiciela. „*Walet! Walet! poczeiwy Walet!* wołał Michał, a pies mu znowu na piersiach. Nie odpychał go tą razą, ale przyciskał i głaskał starzec. Gdzież jest siedlisko instynktu psów? tych wiernych naszych przyjaciół i towarzyszków? w ich głowach czy sercach? Nie wiem! ten raz jednak instynkt był w sercu *Waleta!*

„*Jadą, mościa dobrodziko! jadą!* rzekł Michał wchodząc z pospiechem do pokoju, w którym ciocia siedząc w codziennym oczekiwaniu, ubrana wytwornie w galowe materje i gęste koruny, wiązała siatkę z nici złotych i jedwabiu na podarunek dla swój synowcowej:—*Gdzież są? czy już ich widac? zapytała z radością:—* „Nie, mościa



dobrodziko; ale oto przybiegł posłaniec, rzekł wskazując na waleta, i tłumacząc przyczynę ukazania się jego i odnowienia dawniej znajomości. Ciocia pogładziła psa i wyszła, aby zrobić ostateczne swe przygotowania.

Jakoż po niedługiej chwili, ukazało się z góry kilka pojazdów... spotkajmy ich pierwiej niżeli przybędą.— „Oto jest dom nasz, moja droga Maryo! rzekł znajomy nam młodzieniec niegdyś, a dziś mąż pięknej, młodej, siedzącej obok niego w powozie żony. „W tém miejscu odtąd będą upływać dni nasze, oby Bóg dał dla obojgu szczęśliwe! Pięć lat mija! jak ze ściśnionem sercem, wyjechałem ztąd bez nadziei powrotu; mogłemże wtenczas przewidzieć, że nie tylko sam wrócę, ale jeszcze przywiodę pod dach mój ojczysty, odzyskany na nowo, zakład mojego stałego na całe życie szczęścia, ciebie! moja droga Maryo! Młoda małżonka spójrzała na dom biejący zdaleka, powlekła ciekawym wzrokiem po całej okolicy, i potém oczy łąz zwilżone, zwróciła tklawie na męża! to było jój całą odpowiedzią, zrozumiała wszelakoż jego sercu, do którego ją czule przycisnęła.

Trzasnął trzykrotnie z bicia kuczer, i zajechał rzeźwo przed ganek, na który wystąpiła ciocia do powitania. Trzymała ona w ręku srebrną tacę, a na niej kilka szczypt soli, kilka porcyjek chleba i związka rozmaitych kluczyków, na złocistym kuku poczepionych, leżało. Obok dwie małe dziewczynki, chędogo w białych sukienkach ubrane, trzymały wazony miesięcznych róż, kwiatami i pączkami osypanych. Gdy wysiedli państwo młodzi, nie dając czasu do bliźszego powitania przestąpiła ciotka, i oddając tacę w ręce nowej pani, rzekła poważnie: „Witam cię młoda gospodyni w domu męża twojego, przyjmuję cię darem Bożym, chlebem i solą, i życzę z całego serca, aby u was chleba i soli było zawsze dostatkem i dla was samych i dla ludzi!“ Potém wzięła klucze i zasuważąc za wstęgę opasującą Maryę: „Szafuj skromnie a poczciwie, kończyła dalej, darami od Boga wam udzielonemi! Rządź jak matka czeladką i domem waszym, a Bóg wam szczęście i błogosławić będzie, tak, jak ja wam błogosławię, a jak te róże w pączkach zakwitniecie w potomkach waszych!“ — Moja najdroższa ciotko, moja druga Matko! wykrzyknął Teofil płacząc rzewnie, i rzucił się jój do nóg. Tąż samą myślą, témże samém uczuciem przejęta, czuła i również zapłakana żona jego, widząc także jakby matkę swoją, w matce swojego ukochanego, upadła razem z mężem ku ziemi, i obejmując kolana

zaczęj matrony, szlochającej i przyciskającej ich obojgu do serca, „ach! mówiła, ty i moją matką będziesz, bo i ja własnej już nie mam!“ Nakoniec znowu ciocia podała tacę swej synowicy i zmusiła, aby trzymając ją w ręku weszła na prozdzie do pokoju. Tam nowe uciśnienia, nowe wynurzenia radości i przywiązania! Stary Michał stał z boku, zęgnął on i błogosławił swych panów, powtarzając z cicha: „Niechaj was Pan Bóg błogosławi! Niechaj Pan Bóg błogosławi! Dosłyszał słów tych pan jego, obrócił się nagle i spostrzegłszy twarz starca we łzach, a rękę czyniącą krzyż na powietrzu: „Przyjmujemy oboje, mój poczciwy Michale! mój wierny przyjacielu! mój stary słuگو! twoje błogosławieństwo, rzekł uściskając go serdecznie“; a gdy starzec całować mu chciał ręce, których mu on nie dawał, podniósł natomiast mu do ust rękę żony i rzekł: „ona cię kochać i szanować będzie, tak, jak ja cię Kocham! Maryo! to jest stary słuگو dziada mego i ojca, mnie on wypiastrował na rękę.— Niech go Bóg jak najdłużej nam zachowa, odezwała się Marja. — Nie, mościa dobrodziko! nie! już mnie nie długo na tym świecie, ale niechaj sobie! dziej się wola boża! pan do nas wrócił, jest teraz komu rzucić mnie garść piasku na oczy!“ Wyszedł rozrzewniony starzec, bo się wstydzil swego płaczu.

„Czas się posilić dzieci, rzekła ciotka podając rękę Maryi i przeprowadzając ją do drugiego pokoju, gdzie obfite i pełne smacznych łakoci przygotowała śniadanie, chcąc dać od razu młodej mężatce naukę i dowód głębokich swych wiadomości w sztuce smażenia agrestu, róży i berberysu, oraz pieczenia pierników, zaprawiania likworów. Tymczasem z przybyłych bryk za koczem, wysiadł pan Józef z ładną, młodą i wesołą garderobną, dla której przez całą drogę był nadzwyczajnie grzecznym; wszystko jednak napróżno, bo trzpiot dziewczyna żartowała z niego i gardziła wszelką jego zalecanką. Wnoszono kufry, paki, kroby i tłomoki z dostatnią panną młodą wyprawą, jedne do domu mieszkalnego, inne na folwark, gdzie już nie było pana Baltazara, bo się od miesiąca wyniósł na posesyjkę. Wszystko to w zamięszaniu i nieładzie, czekało rozporządzenia, którym się ciocia bez zwłoki zajęła, a Teofil wzięwszy żonę pod rękę, oprowadzał ją po domie, po ogrodzie i po całym dworze, pragnąc przyswoić, że tak powiem, nową ptaszynę do nowego gniazda.

Miła jest młodemu małżeństwu chwila wspólnego objęcia nowego domu i gospodarstwa; miłość ich, w pierwszym jeszcze zapale, nadzieją i wzajemnem zaufaniem szczęśliwa, roi za każdym krokiem,



i z każdego szczegółu wyrabia obrazy przyszłego ich rajskiego życia; sami są i dla siebie, własnym zostawieni siłom, wszystko co ich otacza do nich i od nich zależy; każde miejsce znajduje swe przeznaczenie i udział w roskoszach, które sobie wróżą, i których urokiem się poją. Doświadczał tego zarówno bogacz oprowadzający piéwszy raz swoją oblubienicę po ozdobnych komnatach i składach swoich dostatków, jak i ubogi kmiotek, gdy pierwszy raz swoje domóstwo i chudobę żonie w opiekę poleca; doświadczał go tém bardziej Teofil, bo w sercu jego razem z roskoszą obecnej chwili i nadzieją równą przyszłości, łączyły się drogie dlań wspomnienia dzieciennego wieku, i radość z odzyskania dziedzictwa, które straconém dla siebie na zawsze być sądził. „To moja Maryo, nasz pokój jadalny, i ztąd wyjście do ogrodu.—„Ach! jakaż piękna i tak blizka altana! Proszę cię Teofilu dziś tam na herbatę! mówiła Marja, a szczęście błyszczało w jéj źrenicy! — „To nasz pokój sypialny; a ten obok gabinet, był dawniej pokojem matki mojej;—niech więc teraz będzie twoim, aby zawsze służył najdroższym dla mnie osobom? — „A gdzież twoja kancellarja mój miły? Pozwolisz, że ja ją sama tobie uporządkuję i ubiorę! — „Dobrze, lecz oto twoja apteczka! — „A tutaj mościa dobrodziko spiżarnia, rzekł Michał, otwierając drzwi przy których czekał na panią, pragnąc podobno pochlubić się przed nią ze swoich zapasów.—„Co za obfitość wszystkiego! rzekła Marja.—„U nas zawsze tak bywało mościa dobrodziko, odzywa się Michał. — „Oj! nie zawsze, mój dobry Michale, chociaż nigdy głodni nie byliśmy. Ale domyślam się, musiała to ciocia kochana wspomódz nasze nowe gospodarstwo! — „Tak jest mości dobrodzieju! Ale co ten zapas, rzekł Michał odkrywając naczynie duże pełne jajek, to jeszcze przed wielkanocą, włościanie ze wsi pańskich przynieśli na włoczebne. — „Pocziwi ludzie! z jakąż radością ich ujrze!—W téj chwili weszła i ciocia. Możemy jéj przebaczyć, że chciała za swe dobre i przywiązane serce, mieć nagrodę w zadziwieniu i wdzięczności odbierających jéj dary; jakoż rzucili się oni na nowo w jéj objęcia, i tak w pieśczołach i radości upłynął dzień cały. Wieczór piękny majowy, do odleglejszej wabił przechadzki i Teofil pragnąc jak najrychlej powitać swych włościan, zaproponował odwiedziny bliskiej a nam znajomej wioseczki. Zasłyszał o projeckie Michał, pobiegł więc natychmiast, ile mu wiek biedz dozwalał i uprzedził panów. Od rana czekali tam bliższych ze dworu wiadomości; gdy więc Michał ukazał się na ulicy, hurmem otoczyli go wszyscy;



lecz on nieodpowiadając na żadne pytania: „rydlówek bracia! zawołał: rydlówek!—A na co? „Ale co wam do tego? rydlówek tylko dawajcie, co najprędzej i co najwięcej“— Rozbiegli się więc chłopaki i w mgnieniu oka kilkanaście naniesiono rydlówek. Porwał starzec pierwszą i zatapiając ją jak mógł najgłębiej we wnętrzości kopca exdywizorskiego, rozstrzygnął tajemnicę wołając: „Kumie! swacie! bracie, za mną do roboty! rozrzućcie kopiec nim państwo nadejdą, aby się nie *zalterowali*, bo zaraz tu będą u was w gościnie. Dzieci! bierzcie necułki, i roznoście piasek! A co Marcinie, nie wierzyłeś staremu Michałowi! — „Chwała Bogu! odpowiedział z równą gorliwością pracujący Marcin: a tymczasem zmniejszał się coraz i rozsypywał na wszystkie strony kopiec exdywizorski, jakby nazad oddając dziedzicowi zabraną ziemię z której urosł. W połowie roboty nadszedł Teofil z żoną i ciotką; przyśpieszyli bowiem kroku, postrzegłszy z daleka jakiś szczególniejszy ruch w wiosce. Za ich nadejściem, ustała praca, i pozdrowił dziedzic życzliwych swoich poddanych!!! Powitania wzajemne, łzy starych gospodarzy, uściskanych czule przez ich pana, przypominania mu cnoty i dobroci jego ojca i dziada! a nawet wyrzuty życzliwe błędów jego młodości, jako przyczyn wspólnej ich biedy, upewnienia wzajemne dziedzica, że wrócił z prawdziwą i niezmienną chęcią zajęcia się szczerze swoim, i swoich poddanych losem; ciekawe przypatrywanie się kobiet zblizka, a dziewcząt i dziatwy z za płotów młodej pani, i proste ich ale dobitne jej postaci pochwały; a nakoniec wizyta do starego Marcina, zakończona zaproszeniem wszystkich włościan z tej i z drugich wiosek na jutro do dworu na wieczorynkę, a kobiet i dziatwy po gościeńce: wszystko to razem do całodziennych dodane przyjemności, tworzyło potok czystego szczęścia, zalewający serce młodego człowieka i gojący w niem rany przeszłości.

Spóźniony już był wieczór i w noc zachodziło, gdy ze wsi powracano do dworu. Lękając się wilgoci wieczornej i kataru, ciocia pożegnała wnet młode małżeństwo, i poszła do spoczynku; lecz małżeństwo to nie chciało jeszcze kończyć godzin tak błogo im ubiegających; weszli więc oboje do ogrodu. Noc była piękna, księżyc w połowie pełni tocząc się po najpogodniejszym, i miryadami gwiazd osypanem niebie, przełamywał się w promieniach po gałązkach brzozy, młodym osypanych liściami; szmer potoku brzeżącego ogród, i rozlegający się śpiew słowika, niewymówną a miłą harmonję rozlewały w czystym i ożywiającą wonią napełnionem powietrzu!!! Komuż się

nie zdarzyło napawać roskoszném odetchnieniem pogodnej i ciepłej majowej nocy? Czyjaż dusza nie uniosła się natenczas tkliwém rozrzwinięciem, miłością ku Twórcy, miłością ku naturze, miłością nakoniec ku ulubionej sobie istocie! a zawsze miłością, bo wszelkie uniesienia człowieka, szczęśliwością wzbudzone, są zawsze jednym i témże samém uczuciem... miłością!

W takim upojeniu uczuć i myśli przechodzili oni po kilkakrotnie ogród, aż nakoniec dusze ich przenikające się nawzajem, połączyły się w jednej, wspólnej, pokornej, a z głębi serc wdzięcznych ku otwartym niebiosom wznoszącej się modlitwie!!! Była ona wstępem mającym zająć pierwszą kartę drugiego rozdziału życia młodego małżonka, a którego ozdobą, rozkoszą i nadzieją miał być Anioł stróż, wcielony w piękną niewiastę.

Ach cóż to jest dobroć w kobiecie? Cóż doskonalszego wyjść mogło z rąk Twórcy, nad kobietę. Z postacią Anioła i z dobrocią Anioła? z dobrocią, malującą na jój obliczu, tonącą w jój łagodném oku, uśmiechającą się wdzięcznie na ustach i wypływającą z czułego serca harmonijnym głosem i słowami pieczyoty, miłości, pociechy, lub prośby; objawiającą się nakoniec w każdodziennej czynności i w uszczęśliwieniu wszystkiego co ją otacza!!!

„Stokroć szczęśliwy! któremu się zdarzysz! \*).

[Kiedy opowiadanie Autora znajduje echo w sercach czytelników, Autor napisał książkę pożyteczną, bo prawdziwą, bo wzbudził myśli i uczucia często uspięne, tak jak się stosowną uprawą, obudza życie w zamarłym ziarnie, które potem pożyteczne przynieść może owoce.]—Oby obrazy moje, tego szczęśliwego dosięgły celu!

\*) Krasicki.

## PODDANY.

**P**iotr był synem stolarza, i równie jak jego ojciec i całe roduństwo, poddany bogatego wojewody T.... Matka jego była mamką jedyne go syna wojewody; skutkiem jój zasług mały Piotruś został chłopcem pokojowym małego wojewodzica. Przyjęto metrów i guwernerów do pana, a słudze uczyć się czytać nawpół pozwolono, a nawpół kazano: gniewał się i nadymał często panicz, gdy nauczyciele na zawstyżenie go i dla wzbudzenia w nim większej do nauk ochoty, chwalili pojętnego i pilnego Piotrusia, który nauczywszy się w krótkim czasie czytać, z przysłuchiwania się tylko pojmował dobrze nauki i pisał ukradkiem prawie, ale daleko formniejsze litery, niżeli jego pan, który przez kilka godzin na dzień, męczył się, płakał, gryził pióra i nauczycieli.—Nakoniec wojewoda, dawny jezuickich konwiktów wychowaniec, z własnego przykładu wróżąc dla syna w publicznej szkole ochotniejszą naukę, i niemało ważąc przysposobienie mu ze szkolnych kolegów, przyszłych w publicznym obywatelskim zawodzie przyjaciół, postanowił go do niej wyprawić.—Piotruś dość się poduczył jak na poddanego, lecz Władysław potrzebował starszego sługi, a zatem Piotruś miał pozostać w domu.—[Natura nie rozdziela swych darów podług względów tego świata;] Piotr miał w sobie wrodzoną do nauk zdolność, słuchał do tego codziennych napomnień, w których nauczyciele przekładali Władysławowi konieczną onych potrzebę i nieskończone z nich pożytki; i gdy Władys przypominając zdania swych w dzieciństwie piastunek, nie bardzo wierzył tym uczonym wywodom, i bliżej mniemał że panu wielkiemu na nic, albo na bardzo mało uczoneść się przy-



da; Piotr trafił zawsze po lekcjach na słowa matki „ucz się Piotrze, ucz się; Bóg cię pobłogosławi, gdy mię słuchać będziesz!”— Dowiedziawszy się więc że jego nadzieje wkrótce się już miały zakończyć, pobiegł z tą smutną nowiną do matki, która wnet ze łzami stanęła przed wojewodą. „Czegoż chcesz? rzekł do wchodzącej, kochana Maryno!” — „Jaśnie wielmożny panie! mój Piotrus...” — „Bądź spokojna, przerwał omylony wojewoda, twój Piotr od ciebie się nie oddali, nie pojedzie do szkół z moim synem, ale wezmę go do mojego dworu, bo mi powiadają że będzie zeń dobry chłopak.” — „Ale bo ja przysłałam rzekła rzucając się do nóg zdziwionego wojewody, prosić JW pana, aby Piotr jechał do szkół z paniczem.” — „Jak to? albo on chce tego?” — „Ach! i bardzo!” — A tobież moja kochana, na co się przyda syn rozumny? — „Ja chcę JW panie, rzekła szczerze prosta kobieta, aby lepiej umiał Boga chwalić i paniczowi służyć.—Wytrzymał dotąd niecierpliwie tę scenę pan Władysław, lecz dłużej niemogąc dotrwać: „ja nie chcę takiego sługi, odezwał się mruklawie;—nowe i nie bardzo przyjemne zdziwienie dla wojewody;—spójrzył na syna i po krótkim namyśle: „ty nie chcesz rzekł, a dla czegoż nie chcesz.”—Władysław milczał, wstyd mu było wyznać, że się lękał w szkołach pierwszeństwa Piotra nad sobą, i że już go w domu za to nie lubił. Ojciec pokilkakrotnie i surowszym tonem zapytanie powtarzał, aż nakoniec pan Władysław się rozplakał. Wojewoda wziął pod rękę xiędza Jana, który i w domu i w szkołach miał przewodniczyć wychowaniu Władysława, odprowadził go do odległego okna, i rzekł dobitnie i z cicha: „Xięże Janie! uważałeś wszystko?—Xiędz Jan się skłonił:—„Bardziej serce niż głowę syna mego tobie poruczam;—xiędz Jan skłonił się znowu:—„a ty, odezwał się do syna, ponieważ Piotra sługą swoim mieć niechcesz, więc go na służącego w szkołach dla xiędza Jana przeznaczam. Zostawi on mu, jak się spodziewam, dość czasu i do nauki.”— Jeszcze raz księdz Jan się ukłonił: wojewoda pożegnał chcąc mu do nóg upaść Marynę, a Piotrus przejąwszy matkę w sieni, dowiedział się z radością o wszystkim i poszli razem układać się do jutrzejszej wyprawy.

Nazajutrz gdy już wszystko do wyjazdu pana Władysława było gotowe, i gdy wojewoda pożegnał na ganku do pojazdu z xiędzem Janem wsiadającego syna, rzekł jeszcze do kłaniającego się mu Piotra: „no, pamiętaj, abym nie żałował, zem ci się uczyć pozwolił.” — „Byłby z niego wyborny kredensarz, odezwał się stojący wśród in-

nych dworskich pan Michał Bałbasewicz, marszałek dworu wojewody, ale kiedy się ptaszek poduczy, to kto wie co z niego będzie?— „Być może marszałkiem mego dworu, odpowiedział wojewoda oglądając surowo na pana Michała. Brunatny pons wystąpił na rumiane policzki pana marszałka, poznał że niewczesnie wyjechał z uwagą, pokręcił czarnego wąsa i milczał, ale postanowił w duchu za najpierwszą zrzeczością wypłacić się za tę, jak powiadał, konfuzję, komuż?—niewinnemu Piotrowi.

Pilnością i pojęciem przewyższył Piotr w szkołach nadzieje nauczycieli; ale ani jego łagodny układ, ani staranie i przestrogi księdza Jana, ani kary nawet, nie ochroniły go od codziennego prześladowania, do którego urodzenie jego stawało się powodem. Każdy z jego kolegów, będąc w domu rodziców paniczem, mniemał się być poniżonym siedząc w jednej ławce z synem stolarza.—Pan Władysław bowiem każdemu to zaraz objawił. — A że jeszcze stolarczyk (tak go po studencku przezwano) jak na złość lepiej od wszystkich paniczów się uczył, musiał więc znosić to od kilkudziesięciu, co w domu znosił od jednego. Nieraz chciał wyrzec się wszystkiego i wrócić do rodziców; dobrotliwe jednak napominania księdza Jana, i częste widywanie się z matką pragnącą koniecznie jego nauki, utrzymywały go w szkołach. Ale gdy po latach kilku utracił matkę, a ojciec więcej o własnem rzemiośle, z którego liczne rodzeństwo żywił, niżeli o naukach syna myślał; gdy z wiekiem rozwijające się pojęcie, dotkliwiej mu czuć dawało codzienne upokorzenie; gdy poznał, że w nieszczęśliwym swym stanie, przy największém swém ukształceniu, nigdy nie będzie mógł użyć najśłodszych praw człowieka, postanowił je sam sobie zapewnić, prościej mówiąc, uciec ze szkół. Dokąd? sam nie wiedział, lecz w upatrzonej chwili ruszył w drogę.

Lat blisko dwadzieścia minęło. Na dworze wojewody zapomniano że był Piotr na świecie, nawet pan Bałbasewicz, zawsze z honorem piastujący łaskę, najzasłużeńszy z dworskich wojewody, przestał już przypominać, że trafnie niegdyś przepowiedział zły skutek z nauk Piotra. Czas przyniósł już czerstwą starość wojewodzie, pochylił ku ziemi księdza Jana, uweńczył mirtem skronie jego wychowańca, osypał szronem niegdyś kruczy wąż marszałka dworu, a nawet w tym przeciągu urodziła się, wzrosła i za mąż wyszła, córka wojewody. Zięciem jego został podkanclerzy lltewski, z obowiązku swego większą część roku przemieszkujący w stolicy. Ten, gdy raz z jednym z najpierwszych <http://icjip.org.pl> warszawskich, szambela-



nem Koniuszyńskim, radził w gabinecie o ważnym processie swojego teścia, niespodzianie w téj chwili z powodu tegoż processu od wojewody przysłany, wszedł pan Bałbasewicz, i po pierwszém przywitaniu oddał podkanclerzemu listy od swego pana. Pan szambelan natychmiast wyjść pragnął lecz zatrzymał go podkanclerzy, zapewniając, że listy teścia właśnie zawierać muszą rzecz, o której radzili, i wnet czytać je zaczął. Tymczasem ukłoniwszy się wzajemnie, rzucili na siebie okiem dwaj obecni goście; wzrok marszałka pokilkakrotnie padał na pana szambelana i zatrzymywać się zdawał; pan szambelan odszedł do okna i czytał gazetę. Przebiegłszy tymczasem podane sobie pisma podkanclerzy rzekł obracając się do szambelana: „zgadłem mój kochany panie Pietrze!... Na to nazwanie, jakby wypchnięty z kąta porwał się raptem i zawołał Bałbasewicz: „a niech mię szatan porwie! Jaśnie wielmożny!!!—i nagle zamilkł, jakby wąpiąc czy się nie mylił. — „A tóż co się znaczy? zapytał zdziwiony podkanclerzy. Marszałek stał jak wryty, pokręcał węsą i utopił wzrok w szambelana. Był to wzrok sokoli, wzrok marszałkowski; wzrok który lękliwą dworską młodzież do wyznania figłów przymuszał, winowajcę i winę poznawał; wzrok niestety! samemu niegdyś szambelanowi znajomy—nie dziw więc że go w téj chwili aż do głębi serca przenikał. Nie cofając go pan Bałbasewicz, odpowiadał niedbale podkanclerzemu: „nic to JW panie; rozumiałem, zdawało mi się... i nawet jest podobieństwo...“ Pan szambelan tymczasem przebąknawszy z wyraźnym pomieszaniem niezręczną jakąś przyczynę pośpiechu, pożegnał krótko podkanclerzego i śpiesznie się oddalił. „Co to wszystko ma znaczyć? zapytał się powtórnie zdziwiony podkanclerzy, wytłómacz się Bałbasewicz! — „Powtarzam JW panie, że niech mię szatan porwie, jeżeli z tym panem szambelanem dawno się nie znamy.—„Co ci się roi! szambelan Koniuszyński jest podobno z Podola, a ty z Litwy; on młody, a ty...— „Koniuszyński! patrz jego! przerwał kręcąc głową Bałbasewicz, Koniuszyński! jak się przepolszczył! Koniuszonek panie! Piotr Koniuszonek, poddany nasz, chcę mówić wojewody mojego pana poddany, który przed laty 20-tą *ni folor*, uciekł ze szkół, dokąd go i wywozić nie radziłem, a za to pamiętam co mi wojewoda powiedział; Koniuszonek panie! którego ojciec stolarz i bracia żyją jeszcze, którzy...—„Podkanclerzy z tego nieskładnego opowiadania marszałka nie mogąc nic zrozumieć, przerwał je i porządnie o wszystkiém rozpytywać się zaczął. Czestokroć najmniejsze podejrzenie długo ta-



joną od razu odkrywa prawdę; Bałbasewicz najmocniej już był przekonany że jęj doszedł, i że poznał w szambelanie Piotra Koniuszonka. Podkanclerzy po ściśłem wy pytaniu się, i najbardziej przypomniawszy sobie pomieszczenie jego, śpieszne wyjście i podobieństwo nazwiska, wyraźnie w zakończeniu tylko zmienionego, skłonny był także uwierzyć marszałkowi, a gdy nad tém dumał: — „nie masz czasu do stracenia, ten się odezwał, taki ptaszek widząc się poznanym, długo tu nie posiedzi. JW pan powagą swoją, niech mi wyjedna sposób pojmania jegomości, choćby *cum brachio militari*, a niech go tylko raz porwę w moje ręce... ręczę że dostawię aż na miejsce. Proszę, co to za odwaga tego plebejusza, podejść nawet majestat króla i zostać szambelanem! Hm! mruzczał dalej on, szambelanem!... „a ja dotąd marszałkiem, musiał zapewne pomyśleć, gdyż zaczerwieniał się nagle, i postąpiwszy krok naprzód z heroiczną odwagą zawołał: „Pozwól tylko JW panie, stanę sam jeżeli tego potrzeba będzie, przed Jego królewską mością, przecieżem za jego przywilejem strażnik inflantski... — Uspokoj się mości strażniku inflantski, rzekł podkanclerzy, i zostaw tę całą okoliczność mojej uwadze. Odpocznij raczej po drodze, ja tymczasem do jutra i prawdy dójdę, i postanowię co mam dalej czynić. — „Ale JW panie! czyby nie lepiej było abym ja poznavszy zbiega, jako sługa wojewody... — „W pan zapominasz żem ja jego zięciem, i że tu bez mojej woli nic działać nie powinienes. Do jutra panie marszałku, i ani słowa przed nikiem! rozumiesz mię W pan? — Ukłonił się i musiał odejść Bałbasewicz, oburzony, że zawsze jego odrzucano plany. Byłby on sam niezawodnie oddał wizytę panu szambelanowi, ale ostatnie słowa podkanclerza i tej mu zabroniły wolności; rezygnował się więc z cierpliwością zapowiedzianego oczekiwać jutra. — Aby jednak darmo czasu nie tracić, odwiedził jakie miał w stolicy znajomości, zaszedł nawet do sądownictw, a gdziekolwiek niby nawiasem o szambelanie Koniuszyńskim zapytał, wszędzie jednozgodne i jego charakteru i jego biegłości w prawie i jego powszechnęj wziętości słyszał pochwały. Za każdym razem, wychodząc pokręcał głową i pomrukiwał: „trudno będzie jak widzę! oprzemy się podobno o króla! proszę uniżenie! ktoby się spodziewał? Miał być podemną kredensarzem, a teraz... do stu katów! musi być znowu; albo nie! zrobię go szafarzem na pamiątkę szambelańskiego klucza; he! he! he! — i w tych słodkich marzeniach, urodzony strażnik inflantski, zabrał się do spoczynku po [drodze](http://rcin.org.pl).

Podkanclerzy tymczasem z inszego wcale punktu rzecz tę rozważał.—Znał od lat kilku szambelana, i szacował go jako człowieka pełnego rozsądku, honoru i cnoty; wszystko co otaczało tron Stanisława Augusta, tętnęło ludzkością i oświeceniem, które ze stolicy, jakby od ogniska, rozchodziło się powoli po całym kraju; w tych uczuciach podkanclerzy, postanowił użyć wszelkich sposobów, aby ochronić i oswobodzić człowieka, którego przymioty tak daleko nad urodzenie wyniosły. Nim jednak cokolwiek przedsięwziął, pojechał pierwój do niego, aby i przekonać się o prawdzie domniemań marszałka, i zapobiedz bez zwłoki gwałtownej rozpacz, w którejby odkrycie to pogrążyć mogło szambelana.

Siedział oparty na rękę, głęboko zadumany Piotr, (on to bowiem był rzeczywiście) pióro trzymając w drugiej ręce, gdy wszedł doń podkanclerzy. Wewnętrzne udręczenie, tak rychło i tak dobitnie wyraziło się na twarzy pierwszego, że podkanclerzy nie mógł ukryć swego zadziwienia, i pierwszy rzut oka bez dalszych pytań, przekonał go o prawdzie domysłów marszałka, i o potrzebie uspokojenia nieszczęśliwego. Inaczój sobie wytłómaczył Piotr przybycie niespodziewanego gościa; wymuszając jednak na sobie spokojność, dręczył się podobny choremu, który się nie chce poddawać chorobie, wprzód nim ta gwałtem nie rzuci go o łóżko. Jedno postanowienie uczynił stałe, nie przeżyć swego zhańbienia; zdało mu się że wejście podkanclerzego było pierwszą onego chwilą, że zięć przychodził rozciągnąć nad nim prawo teścia swego. — „Cóż jest powodem niespodzianych odwiedzin pana? przychodzisz pan mię wybadać?—nie myślę taić, zwłaszcza przed panem, którego szczerze szacuję, prawdy, o której w tej chwili, cała może dowiaduje się publiczność. Tak jest, marszałek mię poznał, jestem poddany wojewody T. . . . . zbiegłem niegdys ze szkół, a nie czas opowiadać przez jakie stopnie doszedłem stanu, w którym teraz żyłem. Mogłem, od czasu gdym od pana wyszedł do terazniejszej chwili, być już ztąd daleko, i pod innym niebem nieznany, dożyć spokojnie, choć w tęsknocie, krótkiego zapewne życia; ale zostawiłbym tu hańbę za sobą, a najbardziej, zawiódłbym zaufanie wielu osób, którzy mi swój los i interessa powierzyli. Potrzebuję zatém jakiegokolwiek czasu, abym w tym względzie zostawił konieczne objaśnienia i rozporządzenia; poczém. . . . To zaś co dotąd mojem nazywać mogłem, wiem, dodał z widoczném wzruszeniem rozpacz, wiem, że choć cnotliwie zapracowane. . . . lzy mu się potokiem rzuciły, i drząc kończył—

wiem że mego rozrządzenia nie wymaga, bo równie jak i ja sam nie jest moją własnością.. „Tu mu się głos stłumił, i padł prawie omdlały na sofę.— „Uspokój się i posłuchaj mię, rzekł podkanclerzy; mylisz się co do powodu który mię tu sprowadza; łatwo pojąłem stan gwałtownego cierpienia, w który cię spotkanie się z Bałbasewiczem pogrążyło, spieszyłem więc przynieść ci uspokojenie i pociechę, na jaką tylko przyjaźń moja dla cię zdobyć się może. Znajduję com przewidział i lituję się nad tobą; jakiegokolwiek są twe postanowienia, nie mam potrzeby ich zgłębiać, gdy powód do nich usunąć przedsiębiorę. Znamy się blisko od lat kilku, mam więc prawo mniemać, że znasz wartość mojego słowa i mojej dla siebie przyjaźni; a zatem że los swój powierzysz mi z zaufaniem.“— „Ach! z zupełném. odpowiedział Piotr. — „Więc zabraniam ci wszelkich w tej okoliczności kroków, do czasu nim albo ci moich nie ziszczę uręczeń, albo gdybym tego dokazać nie mógł, nie zostawię cię własnej twój woli. Przyrzekasz mi to?—Piotr milczał.— Milczysz? mówił dalej podkanclerzy: [pamiętaj, że Bóg cię srogo zapyta, dla czegoś obrał dobrowolnie rozpacz, gdy ci ofiarowano nadzieję.] Z rozrzewnieniem i pokorą rzucił się Piotr w ręce swego dobroczyńcy i przyrzekł wszystko czego ten po nim żądał. „Wreście, rzekł odchodząc podkanclerzy, ja tylko i ty, posiadamy twą tajemnicę; Bałbasewicza biorę na siebie.

Pan strażnik inflantski całą noc oka nie zmrużył, już to układając perorę do króla, już to sposoby obchodzenia się w drodze z pojmańcem, już to wróżąc dary wojewody za tak wielką przysługę. Doczekał wreście switu, i wnet sprowadzony podżyły weteran brzytewnej kontubernji, przystąpił do odświeżenia czupryny pana marszałka. Jakby się przeląkł dzisiejszej mody panicz do podobnejże usposobiony professji, gdy mu przyszło mieć do czynienia z szerokim łbem marszałka, na którego wierzchołku tylko kilkadziesiąt rozwiewało się włosów; tak też wzajemnie pan marszałek nigdyby się nie odważył powierzyć swęj staręj i pokresowanej głowy, ręce młodego elegancika, młodszego od dobrego infimisty tamtych czasów. Ale gdy równowieczny prawie z nim professionat, zachylił z powagą rękawa od żupana i usiadł z zaufaniem do operacji, marszałek litanję poranną odmawiać zaczął. Z pociechą usłyszał *ora pro nobis* odpowiadane z ust gołącego siebie, i najmniej przeto nieprzerywającego roboty, tak, że nim ukończyli modlitwę, już wolny został Bałbasewicz do kontynuowania swego dalszego stroju. Na-



grodziwszy tyńfem i skosztowawszy razem z nabożnym felczerem z podróżnego zapasu, przybrał się pan strażnik w mundur swojego województwa, żupan bogatą na szyi ozdobił spinką i pasem litym się opasał, przy którym na taśmach, ze złota i jedwabiu utkanych, w jaszczur oprawną zawiesił demeszkę. Garderobę tę uroczystą zawsze od przypadku miał z sobą, równie jak przywilój swój na strażnikowstwo inflantskie i podobnyż ojca swego na łowiectwo ziemi Nurskiej, ażeby w każdym przypadku mógł dowieść, że był *bene natus*. Oba te dokumenta małym rogiem wysuwały się mu teraz z zanadry, dla okazania w zdarzeniu; bót żółty i czapka wysoko wyszyta, dozupełniały stroju w którym się z oficyny udał na pokoje podkanclerzego. Wszyscy jeszcze tam spali, bo już i w tamtym czasie, w stolicy, godzina świtania nie była chwilą przebudzenia się; doszedł wszelakoż do sali, po której przechadzając się, skrzypaniem butów budził koleją wszystkich. Jak tylko wstał podkanclerzy i dowiedział się, że Bałbasewicz już nań czeka, wejść mu do siebie pozwolił. „A! jakżeś mi strojny, mój kochany strażniku, rzekł z zadziwieniem, czyś nie postanowił jaką ciepłą wdówkę wzięść ztąd pod straż swą do Litwy? — „Wolne żarty JW pana! przez należyty respekt senatorskim JW pana pokojom, i rozumiejąc nadto, że wczorajsza nasza sprawka może być powodem do stawienia się i skargi, nawet *ad majestatem*, przywdziałem mundur mojego województwa i czekam rozkazów JW pana! — „Czy tylko to? No! bądź spokojny, obejdziemy się bez tak wielkich zachodów. Bo dajmy żeś rzeczywiście poznał Koniuszyńskiego, czyż teś tak mało ma poddanych, aby mu wiele zależało na przybytku jednego, i takiego jeszcze z którego by jak z poddanego, żadnej nie miał korzyści? — „Ale JW. panie, zbieg tak ważny! ręczę panu, że wojewoda zdarzenia tego małem nie nazwie, że ja będę w odpowiedzialności, jeżeli to lekko puszczę a Koniuszonek tymczasem uciecze. — „W listach moich do wojewody dałem świadectwo gorliwości W pana; z resztą, sam uważasz okoliczność tę za ważną, więc obrazilibyśmy wojewodę, gdybyśmy coś bez jego wiadomości i woli uczynili; że zaś szambelan na miejscu zostanie, za to ja ręczę. W pan zaś, mój kochany strażniku, niemasz ani chwili do stracenia; proces teścia mojego wymaga rychłego W pana powrotu, listy moje oto są, a wczora jeszcze kazałem memu marszałkowi aby przygotował dla W pana zapas na drogę i ranne śniadanie; wszystko już dotąd gotowe, żegnam więc W pana. Znając jego roztropność, nie potrzebuję powtarzać ostrze-

żenia, abyś ani komukolwiek z mojego dworu, ani nawet przybywszy do domu, nie rozpowiadał tego co tu zaszło bez wyraźnego dozwolenia wojewody.“ — Bałbasewicz nie w ciemie bity, poznał że go chciano jak najrychlej z Warszawy wyprawić, ukłonił się więc nisko i wyszedł nieukontentowany. Wnet miejsce atłasowego zajął sukienny żupan, miejsce kontusza podróżna kurtka, miejsce domeszki furdament na rzemiennych paskach; i posiliwszy się należycie zrazem huzarskiej pieczeni u kolegi swego, pan marszałek wyruszył w podróż.

Lubo Bałbasewicz nie mógł rozgmatwać w swój głowie powodów postępowania podkanclerzego, nie posądzał go wcale, aby mógł zaniedbywać interesu teścia, a tém bardziej aby go zdradzał; dla tego też przybywszy do domu, zachował jego przestrożę, i oddawszy listy wojewodzie, czekał, nikomu nic nie powiadając, co pan postanowi. Przywołany wkrótce, opowiedział na zapytanie wojewody, wszystkie szczegóły swego zdarzenia w Warszawie, nie opuszczając, że był gotów wszelkiemi sposobami dochodzić własności pańskiej. „Dziękuję ci, odpowiedział wojewoda, za twą gorliwość, a jeszcze bardziej żeś posłuchał we wszystkiém woli mojego zięcia. Nikomu tu nic o tém nie powiadaj, a ja wysyłam jutro do Warszawy z mojem postanowieniem, które spełnić się musi koniecznie.— „Widzi pan, rzekł Bałbasewicz, że moje prorocstwo, jeżeli je pan przypomni, gdy Piotra do szkół wywożono, ziściło się. — „Gdybym z tak poczciwym, jak ty mój strażniku sługą, nie chciał żyć aż do śmierci, odpowiedział wojewoda, i mojeby teraz ziścić się mogło, jeżeli je także przypomnisz.

„Szczególna rzecz! mrucał sobie wychodząc Bałbasewicz, każą mnie milczeć, jak gdybym miał co rozgłaszać? — Nie w tém rzecz, zem poznał Koniuszonka, ale to sęk, co się z nim stanie, i co to za postanowienie wojewody, które musi się spełnić koniecznie.

Przez cały wieczór wojewoda zamknięty był w gabinecie z księdzem Janem, nakoniec przywołano marszałka, i oddano mu pakiet z rozkazem wysłania przed świtem gońca do Warszawy. Tu rzecz, pomyślił sobie Bałbasewicz, ale jakże jój dostać?—Ksiądz Jan wie wszystko; ale ksiądz Jan wielomówny tylko w pacierzach. Pan marszałek był z natury ciekawy, a trochę i obrażony, że na dworze którego był głową, w okoliczności której sam był sprawcą, nie wiedział przecie jaki nastąpi koniec.

We dni powszednie, ksiądz Jan bardzo ranną mszę miewał w kaplicy, długim szpalerem lip starożytnych od zamku oddzielonój; nie

opuszczał jój nigdy marszałek; wracali potem razem, kapelan na kawę, marszałek na anyżówkę. Idąc powoli i rozmawiając, często nie zgadzali się w zdaniach, ale zwykle ksiądz Jan kończył sprzeczkę, lub ustępując marszałkowi, lub mówiąc tylko: mój mości strażniku, szanuję opinię Wpana, wszakże zostanę przy własnej. Po wysłaniu gońca, nie uchybił marszałek swemu zwyczajowi, poszedł na mszę i wracał znowu z księdzem Janem. „No *reverendissime!* już godzin kilka jakem wysłał do Warszawy. — Ksiądz Jan uchylił głowy, jakby miał powiedzieć, dobrześ uczynił. Zarwę go zniecka, pomyślał Bałbasewicz. „Zapewneż wojewoda kazał go pojmać? — „Kogo? — Koniuszonka któregoś poznał! Ksiądz Jan milczał, pokręcił tylko głową, jakby mówiąc nie. A bodajbyś zupełnie oniemiał ledwo nie powiedział zniecierpliwiony marszałek. „Ależ *reverendissime*, o tój całej awanturze nikt prócz nas trzech we dworze nie wie i wiedzieć nie będzie, bo jegomość mię znasz, wiem ja cnotę nad cnotami. — „Jeszcze jedna jest cnota arcy-pożyteczna, mój mości strażniku, przemówił przecie ksiądz Jan. — „A to jaka *reverendissime?* — „Wstrzemięzliwość w ciekawości, mój mości strażniku. Pokręcił wąsa Bałbasewicz, poznał sens moralny tój odpowiedzi księdza Jana, i już ani słówka więcej na ten raz z sobą nie przemówili. „Albo wojewoda zaniechał zupełnie tój sprawy, albo podkanclerzy zaprzeczył memu odkryciu, myślał niekiedy Bałbasewicz, nie widząc rozwiązania; lecz wkrótce, postrzegł jednego wieczora, że wojewoda odebrawszy listy od zięcia, zawołał do siebie starego stolarza. — Przywłokł się staruszek o kiju, i więcej niż pół godziny rozmawiając sam na sam z panem, wyszedł ocierając z łez oczy. Przywołano potem syna jego Andrzeja kredensarza, gdyż pan Bałbasewicz w całym rodzie Koniuszonków, upatrując szczególniejsze do kredensarstwa zdolności, po wyprawieniu Piotra do szkół, Andrzeja brata jego, do tój funkcji przeznaczył. Opanował go natychmiast po wyjściu od pana, marszałek; mimo zakazu wojewody, nie mógł oprzeć się Andrzej swemu bezpośredniemu naczelnikowi, któremu podlegać codziennie nawykł, odkrył mu wolę wojewody, a marszałek opowiedziawszy wzajemnie całe swe zdarzenie w Warszawie, dodał cokolwiek swoich instrukcyj do rozporządzeń wojewody.

Nazajutrz wojewoda wstał raniej nad zwyczaj, zdawał się być niespokojnym i oczekującym, wychodził na ganek, patrzył na drogę, posyłał do miasteczka obaczyć czy kto nie zajechał do której auste-



ryi; lecz wszystko napróżno. — Nakoniec około południa, ujrano czterokonny pojazd w lipowym szpalerze, a ponieważ od rana już wszyscy dworscy i goście cichą nowinkę o przybyciu Piotra dostali, wszyscy więc to w otwartych oknach, to na gankach poumieszczali się. Pan Bałbasewicz stanął we drzwiach officyny; sami tylko wojewoda, ksiądz Jan i pan Władysław, przez zamknięte szyby zważali na wszystko. Pojazd zbliżywszy się do bramy, stanął. Wszedł zeń mężczyzna, (czytelnik zgaduje kto taki) przystojnie ubrany, odpaśał i oddał pałasz swemu służącemu, a sam szedł do pałacu. Wtém naprzeciwko niego zbliża się staruszek o kiju; zastanowił się Piotr i wpatrując się w niego: — „O Boże! to mój ojciec! zawołał, i już był u nóg jego. — „Piotrze! synu mój! synu mój! powtarzał rozrzuwniony staruszek. — „Ojcze! daruj, daruj żem cię opuścił! o jakże dziękuję Bogu że cię jeszcze oglądam! Cóżkolwiek mię czeka, kończył całując z uniesieniem wynędzniałe ręce starca, będę żył i będę szczęśliwy, byłem ciebie ojciec w starości mógł opatrywać i żywić.“ — „Boże błogosław jemu, wołał starzec uradowany!!! — „Boże błogosław go! powtarzał do łez wzruszony stary wojewoda, żegnając Piotra przez okno. O jakże szczęśliwym ten ojciec! jakżem ja szczęśliwy, że taką cnotę nagrodzić mogę! Patrz! patrz księżu Janie! o jakże szczęśliwy ten starzec! — „Mój ojciec! przerwał Władysław przyciskając do ust rękę wojewody, dla czegoż mu zazdrościsz? czyż także nie masz syna który cię kocha i szanuje? Wojewoda bardziej jeszcze rozplakany uściskał Władysława. Tymczasem szła kolej na Andrzeja kredensarza. Podług instrukcji marszałka, miał on z zuchwałą miną zbliżyć się do brata, uściskać go i pocałować, a jeżeliby się ten wzbraniał, grzecznie z nim się rozmówić, prowadzić do wojewody, i tam oskarżyć że się brata zaparł. Wypełniłby wszystko co do joty Andrzej, ale i zuchwałość i rozkazy Bałbasewicza wypadły mu z pamięci skoro ujrzał brata upadającego do nóg ojcowskich; i Andrzej miał serce... zbliżył się wprawdzie do szambelana, bo taka była i wojewody wola, ale zamiast poufałego przywitania, mileząc wziął go nieśmiało za rękę i ucałował ją ze łzami. „To brat twój Andrzej, rzekł wspólny ich ojciec. — „Nie poznałbym go wcale, odpowiedział Piotr, zostawiłem go bardzo małym, pójdź bracie! uściskajmy się i idźmy do pana.“ — Wojewoda odszedł od okna, podpisał sam i Władysławowi podpisać rozkazał przygotowany papier, i z nim w rękę wyszedł do sali na ich spotkanie. „Piotrze! i postrzegając się wnet, szambelanie! rzekł, niech ci Bóg

nagrodzi radość którą mi dziś sprawiłeś! niech ci Bóg nagrodzi szczęście ojca twojego, twoją cnotę i synowskie przywiązanie. Nie zawstydzisz się ojcowskiej siermięgi, ja cię też równym sobie uznać się nie powstydzę. — „Panie, przybyłem na twe rozkazy, oddać los mój na twą wspaniałość!!! — „Dość tego, oto masz! oddając papier, przerwał wojewoda, com dla ciebie, znając cię tylko z listów zięcia mego, przygotował, a co w chwili gdyś ojca twego poznał i uczcił, uzupełniłem. Nikt ci tego, ja sam nawet odebrać już nie zdołał,—(był to zapis przyznający wolność całej familji Koniuszyńskich, oddawna wprawdzie, jak wyrażał, w dobrach wojewody zamieszkałej, ale nigdy jakoby poddanej) — bądź tylko moim i po mojej śmierci syna mego przyjacielem na zawsze. — Władysław przyjął mile kolegę szkolnego; ksiądz Jan oblał go łzami i błogosławieństwem; a pan strażnik inflantski, niewiedząc sam co miał myśleć i mówić, pokręcał tylko, jak zawsze gdy był nieco zaambarasowany, węża. Lecz gdy do zebranej przed obiadem kompanji wojewoda rzekł: „prezentuję państwu pana Koniuszyńskiego szambelana Jego królewskiej mości, przyjaciela domowego mego zięcia i mego; a co najgorsza, gdy go obok siebie u obiadu posadził — Bałbasewicz chciał natychmiast złożyć tak długo piastowaną laskę, z którą chodząc około stołu uważać porządku był powinien, i ledwo go od tego ksiądz Jan odwieść potrafił.

Nazajutrz rano udał się ksiądz Jan w towarzystwie zwyczajnym marszałka na mszę: nie chcąc przed nią rozrywać myśli kapłana, gotował marszałek na powrót z nim dysputę uporczywą o wczorajszym postępku wojewody, szczególnież względem posadzenia u stołu Piotra; lecz zbliżając się postrzegają kłęczącą na cmentarzu osobę, był to Koniuszyński modlący się na grobie matki swojej. To już nawet i marszałek zmiękczyło. Idąc nazad do pałacu zamiast sprzeczki, słuchali oba z księdzem Janem opowiadania Koniuszyńskiego o jego losie po ucieczce ze szkół, którego tu nie powtarzam, bo może nie byłoby tak prawdziwe, jaka cała treść tej powiastki. — Cnotliwy Koniuszyński wrócił do Warszawy, nieświadomej jego urodzenia, upewniwszy byt pomyślny starego ojca i braci, którzy nie chcieli opuszczać swoich stron rodzinnych.





**OBRAZY  
LITWSKIE.**

---

**SERYA DRUGA.**

**Brzegi Wilji—Ranek przed Ślubem.**

**Cieniom i Pamiętce**  
**ADAMA STRAWIŃSKIEGO,**  
Najcnotliwszego obywatela

**Najlepszego swego Przyjaciela,**

Poświęca

*Autor.*

## BRZEGI WILJI.

I z ojczystych dolin kwiatów,  
Do obrazów zbieram farby! —

\* \* \*

### I.

**P**iękną jest szeroka Litwa nasza! Nie upośledził ją Bóg od innych krajów. Natura i tu równie, jak gdzieindziej, bogatą jest w ozdoby i wdzięki, zdolne zachwycić oko, zająć wyobraźnię, podnieść i upoić roskoszą duszę!

W przerwach głębokich lasów naszych, nad brzegami czystych rzek i strumieni, nad nieściętymi wzrokiem szczytami licznych jezior naszych, na samotnych wzgórzach, lub na powabnych dolinach, ileż to najpiękniejszych okolic w kraju naszym, nietkniętych stopą żadnego wędrowca, nieznanych, i przypadkiem chyba kiedyniekiedy natrafionych, oczekuje w ukryciu pędzla malarza, pienia poety, lub świetnego pióra i dowcipu autora, któryby je opisał, zaludnił, zwiastował ich bytność i piękność ziomkom i prowadził czytelnika od miejsca do miejsca, jak w pięknej galerji od obrazów do obrazów, na którychby rzeczy i okolice rodzinnej ziemi w żywym, naturalnym jaśniały wdzięku.]

Przebieżmy małą tęj ziemi cząstkę, a nie pokuszając się o palmę i zalety wielkim talentom właściwe, przejdźmy po brzegach rzeki naszej ojczystej *Wilji!*... tęj odwiecznej przyjaciółki naszej, w której wodach dziki niegdyś Litwin poił swego rumaka; nad



którą Monarcha kraju tego, mocarza lasów litewskich obaliwszy na ziemię \*), dzielną prawicę swoją, krwią dumnego zwierza zbroczoną w czystych jęj wodach obmył; która przyjęła w swe łono, i przechowuje na dnie, świętym krzyżem obalone i zepchnięte w jęj łożo stare bogi litewskie: która w późniejszych czasach tylu zdarzeń publicznych, tylu domowych roskoszy była świadkiem!... nad którą upłynął nasz wiek młodzieńczy, dojrzały upływa, nad którą nakoniec stare nasze koście zagrzebią!

Połączmy jęj nurtem, jak wstęgą miłęj pamięci, kilka wspomnień i podań dawnych z nad jęj brzegów, i kilka obrazów wiosny życia naszego, także nad jęj brzegami spędzonej, nam i półwiecznym czytelnikom naszym wspólnej i jednoczesnej. Młodości szczęśliwej! pogodnej! żywej! obfitej w uczucia, z uczuć w troski, z trosk w roskosze!... spędzonej w czasie nieodległym jeszcze, gdy ostatki prostoty domowej i towarzyskiej szczeroty naszej stykały się w dobiegających już pasmach z nową terażniejszą, z egoizmu, chciwości i zbytków szczególniejszą tkaniną, mieniającą się obłudnie jak mora, i błyszczącą jak szych fałszywy, w którąśmy się oblekli.—A gdy w takiej obyczajów i życia naszego przemianie szczęście i wesołość ojców naszych nam znikły, niechże przynajmniej zostaną w pamięci sposoby, któremi oni to szczęście i tę wesołość obudzali; jak na starych kalendarzach znajdziesz niekiedy przepisy doskonałych kordyałów, któremi niegdyś z apteczek domowych babulki nasze orzeźwiały naddziadów.



## II.

**W**ilja, poczynając bieg swój na granicy Borysowskiego powiatu \*\*), płaskim i wazkim przez mil kilkanaście ku południowi posuwa się korytem; lecz wkrótce rzeczki mniejsze, jak družki jęj młode, podbiegają z boków; bierze ona je pod ręce i prowadzi się z nimi do Niemna, z którym w małżeńską jedność zlewa się pod Kownem.

Jedną z takich dorodniejszych kompanek Wilji, przypadających szczególniej do wiejskich okolic naszych, jest rzeczka *Narocz*. Z jeziora tegoż samego nazwania, najobszerniejszego w tych stronach,

\*) Gedymin—Tura.

\*\*\*) W gubernji Mińskiej.

wypływa ona, i również ku południowi bieg swój obracając o mil dziesiątek napotyka *Wilgę*.—Czysta, po dnie piaszczystém i płytkiem tocząca swe wody, w krótkim lecz bystrym i krętym swym biegu, wiele ona sioł obrzeża, wiele łąk tworzy i użyźnia, i nieraz w ciemne lasy zachodząc, nie jedną ponurą knieję rozwesela i ożywia.

Gdy na wiosnę prysną lody, szumi i szeroko rozlewa się *Narocz*. Potężne natenczas szczupaki wypadają z jeziora, igrają w pieniających się jój nurtach, i daleko od ojczystych oddalają się toni, do których gdy wracać przyjdzie im ochota, czatujący na tę chwilę ich wesołości chłopek nieraz powitał w buczu ogromnego gościa, którego ledwo na ramionach mógł dźwignąć.

Wązki i długi półwysep wsuwa się między dwie rzeki w miejscu ich połączenia się, i ciśnięty niecierpliwie przez dwa wodne ramiona, wzajemnie gwałtem je rozdziera. Wzgórek na półwyspie, ogromnemi dębami porosły, panuje nad tą okolicą, trzema szlakami rzek przerznietą, z których dwie z dwóch stron przeciwnych ku niemu dążą, a trzecia, z obudwóch zlna, szerszym i wspanialszym nurtem odeń upływa.

Nieraz podczas letniej, cieplej a ciemnej nocy, przedzielony rzeką od wzgórka, zdziwiony postrzegłbyś zdaleka rozniecający się tam płomień; nagle powiększa się on i rozszerza, oznaczają się w blasku, lub nikną w ciemnocie dęby, jak olbrzymy nieruchome; między niemi snują się dziwaczne ludzkie postacie, to kłębami dymu otoczone, to czerwieniejące się około ogniska... fantastyczne jakieś widma w szczególniejszém i nieodgadnioném zatrudnieniu i ruchu... Nakoniec cała ta zgraja szatanów rozbija się na troje, dzieli się po rzekach... ogniska oddalają się powoli, błyskają coraz słabiej po wodzie, wkrótce wszystko niknie... przepada!!!

Widowisko to, którego by się uląkł przesądny chłopek, gdyby nie wiedział doskonale jego przyczyny, któremu nieraz z upodobaniem sam się przypatrywałem, jest tylko prostą nocną na szczupaki wyprawą; te, zwiedzone blaskiem ognia, zbliżają się do czółen, lub się z łatwością upatrzeć dają rybakowi, i giną pod jego ością.

Lecz gdy xiężyc z pełnej tarczy rzuci na ziemię jasny promień odbity i drżący w rzekach, a czystém i łagodném światłem oblekający ziemię, natenczas okolica ta nabiera niewymównego powabu równie z piękności swojej, jako i z miejscowych pamiątek, uderzających w owęj chwili razem i wyraźniej oko i wyobraźnię.

Jeżeli podaniu, nazwaniem miejsca i historycznym podobieństwem wspartemu, zawierzyć mamy, oto na prawo nad spadzistym brzegiem *Wilji* obozowisko i okop Szwedzki, widoczny jeszcze, i osłaniający wałem *zaścianek* z kilku włościańskich chatek złożony, *Szwedem* na pamiątkę nazwany \*). Na lewo siedlisko i pałac przez połowę w ruinach jednego z dawnych i możliwych książęcych imion kraju tego; a tuż przy nim mały kościółek wiejski z dwiema drewnianymi wieżyczkami, na których krzyżyki żelazne za ledwo widnieją w oddaleniu. Wzrok, na jedną lub na drugą stronę rzucony, spotyka jedno lub drugie miejsce, i na każdym zadumaną źrenicę na długo zawiesza!!!

Ileż razy młoda a żywa wyobraźnia moja unosiła mnie tu w przeszłość daleką? Ile razy rozwijała zwoje fantastycznych, a jednak prawdopodobnych obrazów, z których się każda przeszłość składa, i które do nieskończoności rozwijać lubimy?... Ileż razy pałac ten brzmiał mi okrzykami wesołej uczyty, rozlegał się echem hucznej *kapeli* lub odgłosem trąby, bijącej na trwogę, w dniach tak dawniej częstych zamieszkań naszych, w których familja tu zamieszkała, czynny miewała udział? Ileż razy przez długie a wązkie szyby i okna zdawał mi się jaśnieć gmach cały rzesistém światłem, jak niegdyś w dniach uroczystych świąt religijnych lub wspaniałych rodzinnych obchodów? Ileż razy znowu po ogrodzie, otaczającym pałac ten, a podobniuteńkim do *Sapieżyńskiego* w Wilnie, przeprowadzałem po długich i ciemnych lipowych szpalerach, poważne figury naddziadów, sprowadziwszy je wprzód moją wyobraźnią ze ścian pałacowych, lub przedstawiałem sobie całe grono pańskie, z matron i mężów, z młodzieńców, dziewic i dzieci złożone, otoczone świetnym orszakiem sług i dworzan, wychodzące z pałacu w niedzielę do skromnego kościółka, i tam razem z cizbą włościan swoich modlące się pokornie przed ołtarzem, przy którym Kapelan domowy mszę świętą odprawiał; i powracające potem do pałacu z pogodą i powagą na twarzach?

A na okopie Szwedzkim, którego dziejów dowiedzieć się chciałem, nie roiłemże niekiedy rycerzy zdobywających i broniących okopu?... Któż zwyciężył? Śpiący w nim snem wiecznym nie odpowiadali za-

---

\*) Miejsce to znajduje się w gubernji Mińskiej, w powiecie Wilejskim, w do-  
brach Zenona Lubańskiego.



pytaniu, lecz się nakoniec od żyjącego, kto i kogo tam zwyciężył dowiedziałem.

Do takich i tym podobnych myśli i marzeń pobudzał mię za dni młodszych i w nich wspomagał, poczciwy staruszek, przyjaciel mój, chociaż wiek różnił nas daleko, ostatni sługa i dworzannin tej świetnej niegdyś rodziny, której siedlisko opisuję, dokonywający wieku i dożywoźnego chleba w małym zakątku zrujnowanego domu panów swoich, dla których serdecznego przywiązania dochował on wiernie do zgonu, i z którymi dawno się już połączył na wieki. — Z opowiadań jego, któremi mię za dwie lub trzy pule w marjasza, cierpliwie z nim rozegrane, nagradzał, wiadomość o okopie Szwedzkim powtórzę tutaj. Będzie to epizodem do przedsięwziętej treści, jak zatoką od Wili, z której wyjmujemy to podanie, jakby skarb z dawnych zamieszkań krajowych pozostały, a dotąd ukryty i zatopiony na dnie.



### III.

Ogromna, od fundamentów do szczytu wysoka, dwóma piętrami okien, oczepionych jaskółczemi gniazdami, oświetlona, a jednak ciemna, długa na przestrzał całego domu sala, w tej niegdyś książęcej rezydencji, podobną jest do opustoszałego kościoła, tém bardziej, że szeroki chór w górze nad wejściem i ołtarz na chórze dają poznać, że rzeczywiście naprzemian i do zabawy, i jako domowa kaplica, do modlitwy służyła. — Wielkie portreta antenatów, w długich ferezjach, z laskami, buzdyanami i buławami w rękach, przyparte do ściany, przedstawiać tu mogły fundatorów, stojących w tej samej powadze, postaciach i milczeniu, w jakich żywi niegdyś, w tém miejscu, odrzuciwszy tylko godła dostojenstw swoich w czasie nabożeństwa stać mogli.

W małej z boku komnatce, jak w zakrystji tego kościołka, mieszkał i żył jeszcze przed laty dwudziestu z okładem pan Jędrzej Rombuld, niegdyś Sekretarz księcia Wojewody Trockiego. Komnatka ta, dawniej zwyczajna kancelarja Wojewody i razem kwatery Sekretarza, dziś mu była kątkiem ciepłym na starość, a sala przybytkiem wspomnień i modłów za dusze tych, których postacie widział na ścianach, i których dzieje umiał na pamięć.

Suchy, wysoki i blade staruszek, gdy stojąc przed którymkolwiek z portretów zaczynał opowiadania swoje, przybierał z początku postawę, ton i styl nawet poważny, wymuszony, dawny dworsko-sekretarski, łaciną przetykany, wymagający jakoby *respektu* dla opowiadanej treści i dla *erudycji* opowiadającego; lecz wkrótce interes serdeczny, jaki się w nim natenczas obudzał, ożywił razem twarz i oko staruszka, nikła pedancka powaga i postawa, *elokwencja* wymuszona i powolna zamieniała się w mowę płynną, prędką, żywą, zajmującą, a kończącą się niekiedy rozrzewnieniem, wzbudzonem długimi legendami o dawnych dobrych czasach i ludziach, o dawnych wspaniałych panach i dworach, lub o zwyczajach i obyczajach współczesnych młodości Pana Jędrzeja i dawniejszych jeszcze od niego.

„Wszystko to, o czém mnie pytasz, zacny kawalerze, mówił mi zatem Pan Rombuld, opisano jest *per extensum, de data et actis* w djaryuszu wszelkich faktów i ewentów, spisowanym tu *in ordine* lat od dawnych czasów, a który ja z rozkazu nieboszczyka Pana mego ś. p. Wojewody Trockiego \*) *requiescat in pace!*... za jego życia kontynuowałem, i teraz, choć to już *summatim* kontynuuję; mógłbym więc wynaleść i przeczytać Jegomości historję tego okopu nad *Wilją*, o którym ciekawy jesteś, i innych w tymże czasie rozruchów i *exorbitancji* w naszym kraju; zwłaszcza że i chwalebna jest rzeczą w wieku młodzieńczym zacnego kawalera ciekawość taka, ... która prowadzi do nauki i wiadomości... *Discat qui nescit. Nam sic sapientia crescit!* Lecz że na to foljały wertować trzeba więc opowiem wolęj Jegomości, ile wiem i pamiętam.—

„Okop ten jest z czasów, gdy po tym kraju grassował Szwed—Karol XII \*\*), wielki wojownik, o którym wiesz i czytałeś zapewne Jegomość, a który [zginął, jak Szwed pod *Póttawą*.] Przyciągnął on z wojskiem swoim aż tu w województwo Mińskie, i stanął w miasteczku *Radoszkowiczach*, ztąd o mil ośm: a że natenczas szlachta i panowie nasi, na dwie partje rozdzieleni, jedni trzymając się Szweda, a drudzy Sasa, na wyraźne skaranie Boskie między sobą wojowali, więc każdy, zebrawszy czy to wojsko, czy to gromadkę swoich *adherentów*, tańczył po kraju, sekundując podług

---

\*) Tadeusz Ogiński, Wojewoda Trocki.

\*\*) Historyczne—z pamiętników ówczesowych.

swój woli i *inklinacji* jednemu lub drugiemu *potentatowi*, a niszcząc i prześladując *adversarzów*.—

„Taki szatański taniec trwał tu przez lat kilka.—

„Ten mąż dzielny, mówił dalej, zbliżając się do figury z buławą hetmańską w ręku, z pierśią w pancerzu, poglądającej na nas marsem z portretu, ten mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, starosta Żmudzki i Hetman Polny, a potem Wielki Litewski, Hrehory na imię \*), nie darmo piastował buławę, nie uląkł się on Szweda, i nieraz dał mu się we znaki!—Był on natenczas panem tych dóbr i wielu innych po Litwie i Żmudzi, które *Szwed funditus* zniszczył: a gdy ten ostatni zalokował się w Radoszkowiczach, tym wygodniej mu było, że na tamtej stronie Wilji miał obszerne królewskie *dominia*, jako to: Markowskie Starostwo, do którego drogę nawet własną z Radoszkowicz, dotychczas znaczną \*\*) i drogą Szwedzką nazywającą się, wyprowadził—a z obu stron również bogate dobra swego nieprzyjaciela Starosty Żmudzkiego.—

„Pilnował się wszakże ostróżny Szwed ściśle, i kilka tygodni, owszem z parę miesięcy pono tu stojąc, rozciągnął kordony swoje szczególniej po nad Wilję, bo się obawiał, aby którykolwiek z partyzantów Augustowskich, nieuległych jego *potencji*, *per stratagemma belli*, nie zaszedł mu z tyłu, gdy on wgląb Rossji, jak się potem pokazało, na bankiet pod Póltawę wybierał się; porozstawiał więc swoje *praesidia* po brzegach rzeki, a najmocniejsze tu przy zbiegu Naroczy z Wilją, gdzie z półtarasta ciężkich rajtarów szwedzkich zasiadło i okopało się.—

„Tymczasem Starosta Żmudzki *cittissimis passibus* dążąc do Wilkomierza, niespodziany i najmniej oczekiwany, zjawił się tu jednej nocy na popielisku dóbr i włości swoich. Chociaż Hetman Polny, małą on jednak miał garstkę wojska przy sobie; bo Hetman Wielki Litewski Wiszniowiecki z główną komendą przeszedł już był na stronę Szweda; ale świadomy sam miejsc tutejszych, a do tego mając przewodników z włościan swoich, ucieszonych przybyciem pana i nadzieją, że ich od srogich rabunków i zbytków szwedzkich uwolni, wynalazł bród w rzece, i teje nocy przeprowił się na drugą stronę.—

„Szwedzi, osmieleni kilkotygodniową spokojnością, spali za oko-

\*) Hrehory Ogiński.

\*\*) Miejscowe.



pem w najlepsze; postawiony nawet żołnierz na straży zasnął.... Gdy *summo mane* równo z brzaskiem Hetman wpada na nich jak piorun! Przerażone rajtary nie mogą przyjść do sprawy ani do koni, a już im na karkach szabla hetmańska! wszelakoż chwytają za broń kto żywy, kupią się, walczą pieszo. Zajadły ich komendant rzuca się na Hetmana! Ciął go Hetman z konia pałaszem, a dokończył drugim ciosem Zaranek, buńczuczny natenczas hetmański, potem Porucznik Husarski i Miecznik Żmudzki.—

„Po upadku wodza swego, reszta rajtarów, wiele ich zostało, sparci nad spadziste brzegi rzeki, salwować się chcieli wpływ, rzucałi się do Wilji, i jedni potonęli, a drudzy, którym się udało przepłynąć, znaleźli na drugiej stronie w lasach, kupy chłopstwa, czekającego na *ewent* bitwy, którzy ich pobrali, powiązali jak baranów, i przyprowadzili do pana; pobitych zaś we własnym ich okopie pogrzebiono.—

„Powiadają... *relato refero*... (bom tego sam nie widział), że w każdą rocznicę téj porażki Szwedów, a stała się takowa *mediis Junii—millesimo—septingentesimo—nono*—widują ogromnego Szweda z rusznicą na ramieniu, przechadzającego się w nocy po okopie, i odprawującego czaty nad mogiłą swoich poległych braci, podobno za pokutę za to, że zasnął i nie dopilnował ich za życia.—

Skończył starzec opowiadanie, oba mieliśmy wzrok podniesiony na bohatera jego powieści.... Znikły wady malowidła, tak rażące wprzód oko; portret jaśniał mi teraz urokiem chwały, oblicze wesołością i męztwem.

„Umarł w Lublinie Hetmanem Wielkim Litewskim, dodał po chwili milczenia, smutnie ruszając głową Pan Rombuld, bo po upadku Karola i powrocie *iterum* Sasa na tron, odjętą buławę wielką Wiszniowieckiemu, oddano jemu, którą on wszakże rok tylko niespełna piastował, a której tak dla zacności rodu swojego, jako też i dla wspaniałości animuszu godnym był prawdziwie.—

„Otoż, zacny kawalerze, wiadomość o tutejszym okopie Szwedzkim; zachowaj ją w twojej młodej pamięci; będziesz to kiedyś rozpowiadać wnukom swoim, gdy tak jak ja dzisiaj starym będziesz.— Zmów natenczas *requiem aeternam* za duszę Jędrzeja Rombulda, który cię tego nauczył.“—

#### IV.

„Poranku, wiosno człowieka!  
Młodości! piękna młodości!  
Ledwie się ciebie doczeka,  
A już ubiegłej zazdrości!  
Ty silniej piersi zagrzejesz,  
Więcej cnoty w duszę lejesz,  
Prędszym skutkiem wieńczysz dzieła.  
Twa prawica dzielniej trzyma,  
Dalszymi widzisz oczyma...  
Lecz tyś dla mnie przemigła!!! \*)

Wyborneż to były czasy młodości mojej!!! Któż ze mną nie powtórzy dla siebie tego wykrzyknienia? kiedy się wcale nie myślało o *jutrze!* bo była pewność, że *jutro* tak będzie szczęśliwe, jak *wczora* i *dzisiaj!* kiedy się nie przewidywało, że po ubiegłej pewnej liczbie *jutrów* czeka nas smutne *pojutrze*, za którym wejdziemy w szereg dni pochmurnych; a wśród tych dawniejsze szczęście, dawniejsza radość i pociecha, ledwo kiedyniekiedy zajrzy do serca, jak promień słońca z za chmury!... Serce to kamienie natenczas u jednych, rozmiękcza się u drugich; i promień ten u pierwszych iskrę pobudzi, u drugich miłą łezkę wytopi... lecz wkrótce jedna zgaśnie, druga oschnie, a człowiek wzniesione na chwilę czoło ku niebu, znowu schyla ku ziemi, jakby wracając do zwyczajnego, a na krótko przerwane zatrudnienia szukania sobie miejsca na mogiłę!...

[Autor jest tłumaczem życia, tłumaczem uczuć własnego i drugich serca;] pióro więc jego w okresie po południowym dni jego, chwycić będzie tę iskrę zapału lub łzę rozrzewnienia z ostatków młodzieńczych uczuć, kiedy niekiedy odżywiających się w duszy; ale ta chwila prawdziwego natchnienia rychło przemija i niknie; myśl natenczas traci swą żywość i polot, zasuwa się mgłą i pomrokiem, gmatwa się w ciemnych i rozsnuć się niemogących wyobrażeniach, a pióro, idące za myślą, z niezdolnej wypada ręki.

\*) Adama Strawińskiego.

Uczucie, które po dawném przejściu i wygaśnieniu, najmilszém echem odzywa się nam w duszy, jest *Miłość*, złączona ze wszystkimi dziejami młodości naszej, i będąca częstokroć całą ich treścią. W przypomnieniu rozwija ona razem z sobą wszystkie rokosze i powaby młodości! [*Młodość* i *Miłość*, jak dwie rodzone z sobą i nierozdzielne siostry, jak dwie piękne, niewinne a czułe dziewice, kochające się nawzajem, razem zaczynają swe życie, razem trwają i razem nikną, a więc i razem obudzają się w pamięci!]

Tu przebyłem wiek mój młody,  
Tu była niegdyś Lucyna! \*)

Oto proste a tkliwe wyrażenie uczuć przenikających duszę, a wzbudzonych w niej, widokiem miejsc, w których się *młodość* i *miłość* przebyło!!! Przejdzie jedna i druga, przeznaczenie rozdzieli kochanków, śluby powiążą z kim innym i poplącą ich losy... ale zostanie miejsce, gdzie się kochali, gdzie *ten* pierwsze nieśmiało wyjąknął wyznanie, ... gdzie *ta* pierwszy raz i wyraz ten: *miłość!* do siebie wymówiony usłyszała, i pierwszy raz sama ją w sobie niespodzianie odgadła!... gdzie nowe źródło nieznanych dotąd wrażeń, uczuć, skłonności, żądań i nadziei wybiło się w sercach obójga, i zalało te serca zupełnie!!! Na to miejsce gdy jedno lub drugie trafi, ujrzy tam, jakby we śnie miłym, przedmiot dawnych swych zapałów w tej samej młodzieńczej krasie, wdziękach i urodzie, w jakiej się go niegdyś ukochało; własne nawet, jak we zwierciadle czarnoksiężkiem, ujrzy odmłodnienie.... Jakaż chwila rokoszy i rozrzewnienia!...

Takich miejsc uroczych, dla mnie i dla towarzyszków młodości mojej, wiele nad Wilją, w blizkich jój okolicach i w domach szlacheckich, porozmieszczanych nad jój brzegami, znajduje się; tam to i w nich, że pożyczę jeszcze raz wyrażenia Poety.

„Wpół w marzeniu, w pół przytomnie,  
„Przetańczyły ach! koło mnie,  
„Smiejące się me godziny! ... \*\*)

Perjodycznie w każdą niedzielę i przypadkowie w dniach świąt rodzinnych, lub uroczystości kościelnych, cała okolica nasza zgromadzała się zwyczajnie do któregośkolwiek po kolei domu w są-

\*) Piosnka Kropińskiego „*Te brzoż kilka*“ etc.

\*\*\*) Odynec.



siedztwie, i dzień ten wesoły, a częstokroć i dni kilka razem, przepędzano. Latem szczególnie, gdy pora roku pogodna i miła, żyta i jarzyny piękne, murogów zbiory obfite, wróżąc intratę i dostatek, ożywiały dobry humor w gospodarzach; gdy po dziesięcio-miesięcznej nauce młódź udatna, żywa, pięknie ukształcona, chluba i nadzieja rodziców, wracała z miasta do domu, z zapasem świeżych zalecanek, tańców, mód i nowinek; gdy dziewczęta po nudnej zimie, rozwijając się razem z kwiatami w dojrzsze coraz i coraz ponętniejsze wdzięki, tęskniły do zabaw i wesołości; natenczas wszystkie familje, połączone i pomieszane razem i codziennie, grały jakby w grę jaką bieżącą, w której żywa i swawolna młodzież ciągnęła starszych do koła.

Z daleka przewidziane i niecierpliwie oczekiwane imieniny, skromnie i pod sekretem zapowiadane chrzciny, zadroszczone częstokroć, lecz niemniej przeto huczne, wesela, zażynki, dożynki, wiejskie podwieczórki, oto coraz nowe podniety i powody do prostej, szczerzej, niewymuszonej a serdecznej wesołości, na której skrzydłach czas leciał, i wśród której zawiązywały się nieraz między młodzieżą tkliwe skłonności, kończące się nowym znowu weselem, tak, że częstokroć—*Gdzie jeden kończył, tam drugi zaczynał.*—

Święty Jan był patronem jednego z naszych sąsiadów w parafii; dzień więc dwudziesty czwarty czerwca obchodzony u nas bywał i rześisto i wspaniale.—Pan Prezydent solenizant był ojcem licznej rodziny: kilku synów, młodzieńców z dzieciństwa wychodzących, i kilka córeczek, z których najstarsza siedemnastą już liczyła wiosnę; tworzyło domową gromadkę jego, coraz to interesowniejszą, i corok coraz bardziej wabiącą ku sobie. Co rok zatem weselęj było na imieninach pana Prezydenta; gdy zaś piękna Helenka zajaśniała nieporównaną urodą, wrota domu papuni jej, nigdy się prawie nie zamykały, ale uprzejmość i gościnność była natenczas u wszystkich drugą naturą... Szkoda że natura, według powszechnego mniemania, co lat siedm się odmienia!...

Z okien domu Prezydenta i ganku, na ogród wychodzących, widać było długi nurt *Wilij* promem przejęty, i na szerokiej z obu stron łące kilkakrotnie zwężowany; z okien więc tych i z ganku liczyli gospodarze w jednym z tych dni solennych i wcześniej poznawali przybywających i przewożących się na promie gości swoich z za Wilji; a w tymże czasie z ganku zajezdnego i z okien frontowych, zdaleka w ulicy brzozowej, rozpoznawano przybywających bliższych

sąsiadów, w których liczbie ja, i przyjaciel mój akademicki Pan Hippolit, niedawno w moje sąsiedztwo, w nadwilejskie okolice, do spa-  
dłego nań po śmierci ojca folwarku, przybyły, w jednym pojeździe  
przyjeżdżaliśmy.

— Hippolicie! rzekłem gdyśmy się zbliżyli, przybywasz tu z wol-  
nym podobno sercem; któż wie jak wrócisz?—

— Albo co?

— A cóż innego, jak to, że będzie wiele pięknych dziewcząt,  
i że możesz zakochać się?

— Ej! co tam prawisz! Kto w Wilnie lat kilka najpierwszej  
młodości przeżył i nie z jednymi pięknymi oczami bezkarnie się  
spotykał, kto obojętnie patrzył na piękności warszawskie, po całej  
Europie sławne, (ach! bo też i piękne Warszawianki!), takiemu wie-  
śniaczki nie zawrócą głowy.—

— Za nic, bracie, ręczyć nie można—

„Komu się zdarzyło morze przepłynąć,

„Może na Dunajcu zginąć!... ”

W tém podjechaliśmy pod ganek, i po zarekomendowaniu prze-  
ze mnie Pana Podkomorzycy (taki bowiem miał tytuł Hippolit)  
gospodarzowi i solenizantowi razem, złożyliśmy nasze powinzo-  
wania. — Trudno mu było wystarczyć na powitanie tłumnie ze  
wszystkich stron napływających gości; trudniej jeszcze zdobywać się  
na podziękowania za rozmaite różnej długości i sensów oracje, a naj-  
trudniej może mnie, mającemu w dobitnej pamięci całą tę scenę,  
opisać ją dokładnie i wyobrazić. Bo z wyrazów by najwyższych  
i najtrafniejszych nie złożysz podobnego obrazu pierwszych chwil  
naszych zjazdów i zgromadzeń przyjacielskich, owych hurmów i tłu-  
mów, bezładnych a hucznych, w których jedna myśl, jedno uczucie  
radośnego spotkania się i powitania, obejmuje wszystkich, jaśnieje  
na wszystkich twarzach, rozpromienia wszystkie źrenice, i w weso-  
łych śmiechach i odgłosach wszystkiemi ustami wykrzyka!!! Liter-  
chybaby na to żywych potrzeba, któreby czarnoksiężką ręką sypnięte,  
mięszwały się najprzód bezładnie, cisnęły się w rozmaite coraz to zmien-  
ne grupy i kształty, brzęczały jak pszczoły w ulu, i nakoniec, po-  
rządkując się w wyrazy i perjody, przedstawiły razem dla oka i my-  
śli pełne ruchu i życia chwil tych wyobrażenia!... Jest to pierwsze,  
mimowolne, naturalne, niezgaszone obłudną etykietą, objawienie się  
i wylanie naszego szczerego, uprzejmego i kochającego charakteru,

niezartatego dotąd czasem, ani naśladownictwem; jest to gałązka jedna, żyjąca jeszcze, wędniejącego, obyczajów naszych drzewa, z której poznać i przypomnieć można gatunek wybornej całości.

W przeciągu półgodziny kilkadziesiąt osób różnego stanu, wieku i płci obojój, napełniło pokoje obszernego wiejskiego domu Pana Prezydenta, i od półgodziny zgiełk ochoczy nie ustawał najmniej; nowe coraz zajeżdżały pojazdy, a prawie przed każdym cwałujący na przodzie mały forysiek cieńką i przeraźliwą nótkę od bramy aż do ganku przeciągał. Znalazł się przecież na kozłach pojazdu Podkomorzego, w długiej kierei, z wysokim lakierowanym kapeluszem na głowie, z wąsem siwym nagumowanym, stary kuczer, weteran furmańskiej rzeszy, kierował on poważnym w mosiężną staroświecką uprząż ubranym cugiem i trzaskiem z biczem wrzaskliwą tę działwę do stajni, jak szczurów do nory, popędził.

Na ganku i w pokojach odzywały się gęsto w tłumie między mężczyznami serdeczne i dobitne busiaki, którebyś, jak godziny na repetyerach kieszonkowych, mógł zliczyć; kilkaset także lat na kopy rachowanych zebrałoby się z powitań niewidzących się od dawna przyjaciół. — [Kopa lat! kopa lat!] Mościa Dobrodziko! wykrzykiwał Pan Skarbnik do mojej sąsiadki, Pani Regentowej, niechętnie słuchającej komplementów, do których kopa lat się mięszała... Kopa lat! kopa lat! wołał na wszystkie strony Pan Tadeusz, tytułem Koniuszyc, [marcowy kawaler, ale jeszcze rzeźwy, żywy i wesoły, wielbiciel płci pięknej,] a faworyt wszystkich o mil pięć w około ciepłych wdówek i podstarzałych ciotulek, poufały każdego i w każdym domu przyjaciel, wyborny nakoniec towarzysz każdej kompanji. Kopa lat, Panie Józefie! kopa lat, Panie Władysławie! wołał on; a przecież Pan Józef i Pan Władysław razem swoje lata dodawszy, kopy jeszczeby nie złożyli! Nie czekając odpowiedzi, Pan Tadeusz wcisnął się już w drugą gromadę, i znowu lata na kopy rozliczał.

Powoli wszystko się szykuje i ucisza... po chwilach serdecznych następują chwile grzeczne; tłumy się rozwinęły... formują się i osiadają grona dam... łączą się w bukiety piękne dziewczęta... chłopcy naprzeciw gęstym je otoczyli wieńcem, a bystrym i ciekawym wzrokiem wskrós ich aż do serca przeniknąby radzi. — Upowszechniła się zabawa... a gdy do ogrodu podwoje otworzono, całe towarzystwo ze wszystkich pokojów, jak rzeka przepływając przez sałę, w ogrodzie po ulicach i ścieżkach na liczne rozlało się strumienie, i tam każdy, jak za pedem wody, szedł za skłonnością, in-



tereselem lub zabawą.—Do mnie zbliżył się gospodarz i z cicha półgłosem zapytał, wskazując wzrokiem na mojego przyjaciela. — Czy to jest syn nieboszczyka Podkomorzego Trockiego.

— Tak jest!—

— Wiele ma rodzeństwa?—

— Jedynek!—

— Oho! to musi być panicz bogaty?

— Sto chat w Trockim, prócz folwarku w naszym sąsiedztwie.

Po małej pauzie ozwał się głośno Prezydent, podchodząc ze mną do Hippolita.

— Jakże ci dziękuję, kochany panie Ignacy, za pamięć na staro przyjaciela, i za twoją łaskawą uwagę, a jeszcze bardziej, że nam przywozisz szanownego Podkomorzycę, którego ojciec zaszczycał mnie swoją przyjaźnią!—

— Cieszę się odpowiedział grzecznie Hippolit, że tym sposobem mam dziedziczne prawo do względów Pańskich.—

Po wzajemnym uściśnieniu się odszedł Prezydent, a Hippolit zapytał się także z cicha i półgłosem.

— Kto jest ta ładna dziewczyna, wyższa od całej gromady dziewcząt ku nam idącej?—

— Właśnie mam cię jej prezentować. Jest to córka starsza gospodarstwa—Panna Helena, a raczej piękna Helusia.—

Hippolit patrzył na Helusię i pokręcał głową.—

— A co? zapytałem z uśmiechem—To sobie wieśniaczka; gdzież tam do twoich Warszawianek?

Hippolit zamiast odpowiedzi zapytał mnie znowu:—Kto jest ten gruby, niski, podsiwiały jegomość, w świątym szaraczkowym fraku, wlekący się obok pańenek, i wyglądający przy nich jak pień przy kłębnie?—

— Jest to pan Szambelan, sąsiad tutejszy, wdowiec bezdzietny, bogacz, skępiec i rywal każdego, kto się zakocha w Helusi.—

— Alboż on pretendent do jej ręki?—

— Bodaj!...—

— [A bodaj go djabli wzięli!... bodaj on nigdy nie doczekał!]

— Jakto? jużś zakochany? tak prędko! nie przemówiwszy ani słowa do dziewczyny. Miałżebyś wieszczego ducha, gdy cię ostrzegał?—

— Nie... nie... [ale bo patrz jaki mi adonis!] traktuje pańenki tabaczką!—

— Dla pokazania złotej tabakierki; i oto widzisz poszła po rękach; a piękne oczki przypatrują się pięknemu złotku.—

Zbliżyła się tymczasem ta kompanja do nas. Przedstawiłem Hippolita Helence. Pan Szambelan rzucił nań okiem z ukosa... zmarszczył brew... przeczuł rywala!

— Możecie moje sliczne panienczki, ozwał się Szambelan, zażyć z tabakierki, bo tabaczka ledziutka, i różą pachnie.—Odemknął tabakierkę, traktował; żadna nie wzięła, wszystkie się ukłoniły.

— Ale któraż to godzina? — rzekł zatem Szambelan, chowając tabakierę, a wyciągając z za nadra zegarek staroświecki złoty, perłami kameryzowany. — Sama pierwsza! — Pocisnął, zadzwonił nad uchem małej Zosi, ta chwyciła mu z rąk piękną cackę, i od niej znowu zegarek z ręki do ręki przechodził.

— Piękne antyki,—rzekłem patrząc na zegarek i tabakierę.

— Tak, tak, ja bardzo lubię antyki, odpowiedział głośno z miłą zarozumiałą pan Szambelan, i mam ich zbiorok niemały! Ten pierścień także jest antykiem; proszę się przypatrzeć.—

Z większą jeszcze ciekawością przyjęty, błysnął w rączkach panienek, brylantowy w staroświeckiej osadzie pierścień.

— Niechże pani pomierzy go, rzekł właściciel do Helusi; pięknie się wyda na pięknej rączce.—

— Za wielkim jest na nasze palce,—odpowiedziała panna Helena, i nie próbując pierścienia, oddała go Szambelanowi.

Gryzł usta, czerwienił się i niecierpliwił się widocznie Hippolit, nie wytrzymał nakoniec.

— Pan lubisz antyki?—rzekł.

— A tak, lubię! lubię! już mówiłem.—

— To zapewne przez sympatję!—

— Jak to?—

— Oto bo z wiekiem przyzwyczajamy się pospolicie do rzeczy, które nam długo służą; ale to nieszczęście; że antyk złoty czy kamienny, im dłużej trwa, tém droższy, a człowiek im bardziej antyk, tém tańszy!

Zaczerwienił się teraz pan Szambelan, zwarł usta, powlokł wzrokiem po kompanji, a spotkawszy się z uśmiechem moim, a nawet z malutkim uśmiezkiem Helusi i niektórych dojrzałych jej towarzyszek, poznał, że przycinek Hippolita zrozumiano: zwrócił zatem zuchwale nań oko, ale wzajemnym dumnym spójrzeniem odbity, poznał że trudna będzie potyczka z tak śmiałym adwersarzem, i że

mądrze uczyni, gdy na ten raz powtórnój zaczepki uniknie. Jakby więc słów Hippolita nie słyszał, podniósł wzrok do góry i rzekł.—

— Piękną mamy pogodę na imieniny kochanego Prezydenta;...— a postrzegłszy z daleka solenizanta, poszedł szybko naprzeciw, i zaczęły się między niemi serdeczne uściski, z widocznymi od Prezydenta względami dla Szambelana, a które pan Szambelan z przesadą przyjmował, i kilkakrotnie a oczwiewście pobudzał... Teraz z kolei czerwieniła się i zwarła usteczka Helunia, a ja szepnąłem Hippolitowi do ucha.—

— Mój kochany! zacząłeś wojnę, ale patrz, nieprzyjaciel niegługi, wie gdzie ma szukać sukursu.—

— Decydujący punkt do zdobycia jest serce Helenki, rzekł Hippolit; jakżeby tego dokazał taki?...—

— Ha! może go zdobyć przez kapitulację komendanta, którym jest ojciec, wprzód nim ty atak rozpoczniesz; zresztą ty podobno fałszywem tylko myślisz straszyć oblężeniem, pan Szambelan nie żartem szturmuje.—

Hippolit szedł powoli, milczał i dumał...

Tymczasem w altanie środkowej, do której zbliżaliśmy się, pan Tadeusz zebrany tam mamuniom, ciotuniom, wujenkom, pomięszanym z wujaszkami i stryjaszkami, rozmaite anegdoty i koncepta rozpowiadał, które lubo im oddawna i niepojednokrotnie już powtarzał, lecz zawsze tak interessująco, dowcipnie i energicznie perorował, że mu nigdy słuchaczy nie zabrakło, i że wesołość i śmiechy krok w krok za panem Tadeuszem biegły.

Gdyśmy mijali altanę, opowiadał on jakieś polowanie na sarny, i z postacią celującego do zwierzyny, z ręką prawą na odlew przy skroni, a lewą wyciągniętą naprzód, kręcił się na wszystkie strony, i coraz do innej cioci wymierzał.

— Tuf! pudło! tuf! pudło! tuf! tuf! pudło! z dubeltówki — a ja mojego rogala, który prosto na mnie wysadził, prowadzę po maleńku... prowadzę...! prowadzę... on daje susy, a ja prowadzę cierpliwie... przypuszczam na kroków trzydzieści i...—W tém ja, podszedłszy cicho za pana Tadeusza gdy on rogala prowadził,—tuf!—krzyknąłem mu nad uchem;—leży,—rzekł on opuszczając ręce i—kto strzelił? — zapytał żywo i z zadziwieniem, zajęty aż do zapomnienia się tą myśliwską sceną—kto strzelił?—

— Ja, odpowiedziałem, ja! widząc że tak gęsto strzelasz a nie



nabijasz, i że dla tego pudłujesz; żal mi było wypuścić z kniei zwierzyne, i palnąłem z pańskiego ramienia.—

— Wybornie, wyśmienicie! — wołał śmiejąc się ze wszystkiemi i zacierając ręce pan Tadeusz.—Ale koniec końcem, moje państwo, mówił on dalej, że kiedy wszyscy i najlepsi strzeicy, spiesząc się za strzałem, pudłowali haniebnie, ja wytrzymawszy cierpliwie a długo prowadząc, pomaleńku osadziłem ogromnego rogala, to jest, kozła.—

— I cóż ztąd? — zapytała jedna z dam nieukontentowana, bo oczekująca jakiegoś dziwaczego zakończenia.

— Cóż ztąd? cóż ztąd? odpowiedział pan Tadeusz po chwili milczenia, poglądając na pytającą się nieszpętną panię; oto ztąd wniosek i dowód, że każdego rogala osadzić można, byle go zręcznie, cierpliwie, pomaleńku i kategorycznie (to było przysłowie pana Tadeusza) prowadzić.—

— Szczególniejsze aspana dykteryjki,—odezwał się podstarzały... Któż?

— O bodajbyś się nie odzywał; śmianoby się jak dotąd serdecznie, ale nie byłoby uśmiechów złośliwych!...

W innym końcu ogrodu usiadłszy w chłodzie kilku staruszków, a między niemi i ksiądz Przeor bliskiego Dominikańskiego klasztoru, ze wszystkich stron zbierane polityczne wiadomości wzajemnie sobie udzielali. Dwóm z nich, to jest, księdzu Przeorowi i panu Skarbnikowi Oszmiańskiemu, wiek słuchu przytępił a ciekawości przysporzył. Krzyknął więc pan Skarbnik nad uchem księdza Przeorowi, aż się echo po ogrodzie rozległo.—

— Czy wiesz *Reverendissime*, że Szwed wojnę wypowiedział? ale w tém sekret!—

— Ja nikomu nie powiem Skarbniku dobrodzieju!—odkrzyknął Przeor.— Komuż on wojnę wypowiedział? — zapytał siedzący obok publicysta.

— Tego z pewnością nie wiem! krzyknął znowu pan Skarbnik; ale to wiosna pokaże.—

— A któraż wiosna?—wrzasnął Przeor.

— A jużciż rozumie się że nie ta co minęła, ale ta co przyjdzie,—odpowiedział zniecierpliwiony staruszek.

— No, to jeszcze daleki termin—zkonkludowali wszyscy razem; i stanęło na tém, że nowina potrzebuje potwierdzenia, a każda

gazeta téj kompanji była równie autentyczna i pewna, jak wojna szwedzka, i równie pod sekretem powierzana.

Rozlegające się tak po wszystkich stronach ogrodu, śmiechy i krzyki między starszemi, swawole i zabawy między młodzieżą, przerwał odgłos muzyki, usłyszany niespodzianie na dziedzińcu. Na jój dźwięk kroki wszystkich zwróciły się razem ku budynkowi; wszystkie strumienie w jedną rzekę się zbiegły, a ta w odwrótnym kierunku i szybczej przepływając salę i sieni na dziedziniec wylała.

Szedł od bramy ku budynkowi tryumfalnym marszem, kulawy majster kapelista na czele swojej orkiestry. Rznął on zawieszisto na wildamorze \*), wtórował mu towarzysza na klarynecie a mały chłopczyk, wywijając zręcznie bębenkiem, zataczał po nim palcem, bębnił w takt, brzmiał i dzwonił razem.

— Pan Brzeziński! okrzyknięto. Brawo! brawo! pan Brzeziński! brawo!

W żupanie niegdyś granatowym, na którym zielona, gęsto tasmami szamerowana kurtka niedbale narzucona, a pod szyją sutemi i długo na sznurach wiszącymi kutasami związana, zachylonemi połami na wiatr się rozwiewała, z miną straszliwą i zawziętą z jaką niedawno jeszcze rozpędzał sejmikową szlachtę, i jaką go naprzód natura obdarzyć raczyła, a potem kieliszek i klarynet, na którym równie jak i na wildamorze był wirtuozą, i nałóg wiecznych poswarek, srożej przekrzywiły, spotkał pan Brzeziński solenizanta, zebrał wlewą rękę smyk i wildamor, a gdy orkiestra umilkła, prawą rękę wyciągnął do kolan Prezydenta i rzekł:—

— [„Jakem Karrmazyn!”]\*\*) (litera *r* drgała mu na języku, jak bas na teorbanie). „Jaśnie Wielmożny Prezydencie dobrodzieju!!! w dniu twojej solenizacji! jakem Karrmazyn!!!— Nie kończąc dalej oracji, zwrócił głowę do klarncisty, i... *rwi!* zawołał. Sam także ciał smykiem po strónach; zabrzmiała znowu muzyka, znowu huczne odezwało się brawo! a pan Brzeziński, postacią, krokiem i humorem przypominający dokładnie Mistrza Twardowskiego, szedł poważnie na przodzie całej kompanji, pochylając coraz i podnosząc głowę, i rznąc z całego serca na wildamorze.

\*) Wildamor — skrzypce o siedmiu strunach, większego rozmiaru od zwyczajnych.

\*\*\*) W sejmikowym języku znaczyło to—*Jakem prawdziwy szlacheic!*—

Tak weszliśmy hurmem do sali. Tam Brzeziński, postrzegłszy że nakrywano na obiad, zmienił marsza na nótę hucznej sejmikowej pieśni, i wrzasnął ogromnym basem:—

[ Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!  
Wódki! wódki! w przyjacielskim domu!  
Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu!  
Wypijemy! wypijemy! w przyjacielskim domu! ]

Drugiej półwierszówki nie przypomniał, a podobno i nie wiedział pan Brzeziński, była więc w śpiewie w dwóch drugich wierszach niejaka pauza na średniówce, ale że i nikt takżó jój nie wiedział, chociaż każdy często mógł słyszeć, a treść rzeczy jasną i bez tego była, przeto i jam się jój nie dowiadywał, ani nauczył.

Sejmikowe to wezwanie wnet spełnionóm zostało; młodzież, która natenczas zaczynała epokę trzeźwości, trwającą szczęśliwie aż do tychczas, usunęła się od kieliszków; starsi powtarzali kilkakrotnie kolój, aż nakoniec ruch i mięszanina powszechna dały hasło zasiadania do obiadu, które od ceremonji między damami u wyższego końca stołu zaczęte, a na poufałym u przeciwnego pomieszczeniu się skończyły.—Komu ciasno, ten ustąpił.

## V.

Jam nie dziejopis bankietów!... a nadto bankiet pana Prezydenta nie różnił się wcale od dzisiejszych. Znikły już natenczas dawne troiste dania, dawne gęste wykładanie stołów sutemi półmiski, i prawie cały obyczaj staroświeckiej biesiady; został tylko jeszcze i trwał król uczt i bankietów... *Kielich!* Spędziła go potóm z naszych solennych stołów, jak młodzież szanownego weterana, tłuszcza szumnych a wysmukłych szampańskich fletów, i zawlekła w kąć do apteczek, w których między staremi i wysłużonemi graty beczynnie spoczywa.— O gdyby choć raz jeszcze, wiodąc za sobą dawną szczerą wesołość i ochotę, zjawił się on między tym szklannym lasem, którym się lśnią stoły nasze; zwałyby zapewne za jednym zamachem i pokruszył to mnóstwo cienkich i delikatnych smoczków, które go zastąpiły, i wszystkich słabych tegoczesnych pijaków, któ-



rym by od razu dogodził!!! potem depcząc tryumfalnie po trupach, pokazawszy co umiał, niechby już sobie wrócił na wieczny odpoczynek—na wysoką półkę w apteczce.

Ten kielich ukazał się między nami pod koniec obiadu.—Jakem Karrmazyn! wykrzyknął na widok jego pan Brzeziński, to nasz dawny przyjaciel! Powitajmy go! [Zdrowie solenizanta! i *Rwi!*...]

Zatrąbił klarncista, zabrzmiał bębenek, a kielich podano na tacy srebrnej w ręce Podkomorzego, wiekiem i urzędem najpoważniejszego między gośćmi.

— Zdrowie solenizanta!—powtórzył głośno powstawszy z miejsca staruszek.—Wiwat!—zawołaliśmy chórem; a Podkomorzy spełna nalanym kielichem do kropli wychylił. Los dał mi usiąść obok pana Podkomorzego; kielich więc z rąk jego prosto do mnie trafił. Trudno było odmówić, a trudno i spełnić! Widząc moją niepewność, rzekł do mnie z cicha Podkomorzy — „*vinum purum*“—nie zaszkodzi; nie lękaj się jednego kielicha, od drugich umykaj, bo nie wytrzymasz.—

Ośmielony zatem powtórzyłem śmiało wniesione hasło wiwatu, i zamrużywszy oczy, duszkiem spełniłem do dna!... Applauz powszechny pokrył moją nadspodzianą ochotę, i kielich szedł w koleż z rąk do rąk, i od ust do ust podchodził, jakby świadek, zbierający wyznania szczerych affektów gości; odniósł je potem wszystkie do rąk gospodarza, a ten z nich wzajemnym dziękczynnym toastem odpowiedział życzliwym przyjaciołom.

Damy połączyły się do obrzędu pozdrawiania solenizanta przytykając do ust kieliszki i wzajemne zatem ich zdrowie, zawsze i wszędzie jak z programmy idące, wniesione przez gospodarza, zabrzmiało na klarynecie i bębenu, a kielich zaczął nową processyę, szczęściem dla mnie przerwana wstawaniem od stołu; przy czém powszechny ruch i zamieszanie dozwoliło nam z Hippolitem umknąć do ogrodu, i ochłodzić czoła ścisaniem i winem rozgrzane, bo i mój przyjaciel, idąc za moim przykładem, butelkę prawie całą od razu z kielicha wypiwszy, uznał potrzebę ucieczki od dalszych wiwatów, a jeszcze większą zwierzenia się z uczuciem, które go mocniej niż trunek upajać zaczynało.

— Ach! mój kochany! to anioł nie dziewczyna!—

— Która?—

— A któraż inna? Helenka!—

— Gdzież tam! Ty, którego wileńskie i warszawskie piękności nie zajęły, miałżebyś?...—

— Daj pokój! Daj pokój! żarty niewczesne! Co to za oko mój drogi! A jakież spójrzenie tego oka!... Jaka niewinność, łagodność i skromność na twarzy!...—

— Więc alboś się zakochał, alboś się upił, albo jedno i drugie razem.—

— Idź do licha z twemi żartami! Ja nie pojmuję, dla czego ty sam dotąd nie szalejesz za taką dziewczyną, a którą codzień widywać możesz.—

— Dla czego? dla czego...

„Pierwsza mowa szatana do rodu ludzkiego,

„Poczęła się najskromniej od tych słów—

dla czego?—\*).

— Wieleż to w życiu ludzkim jest *dla czego?* na które odpowiedzieć trudno... a jednak wszystkiemu jest przyczyna.—

— Hippolit patrzył na mnie przenikliwie; slishyśmy w milczeniu... Ja spuściłem oczy, otarłem sobie gorące czoło i podobno westchnąłem...

— Cóżby to znaczyło? ozwał się Hippolit; jaka tajemnica? czy nie mam twego zaufania?—

— Słyszysz? przerwałem; w sali polonez, Szambelan w pierwszej parze z Helenką.—

Jakby niespodzianie w bok raniony, podskoczył Hippolit— odbijem!—krzyknął, i w mgnieniu oka już byliśmy w sali.

Zgadłem! jakbym tam był, zgadłem! Pan Szambelan rozpoczął *assamble*, i rzeźwo zakręcał się z Helusią, liczne za sobą prowadząc pary; mijał właśnie posuwistym krokiem drzwi od ogrodu, gdyśmy przez nie wchodzili, a postrzegłszy Hippolita wrzasnął głośno— *Nieodbijany!*—

— Na to nigdy nie pozwolę!— rzekł Hippolit posuwając się do odbicia...

— Stój! rzekłem mu cicho nad uchem; czy oszalałeś? Chcesz przy pierwszym wstępie do tego domu zakłócić przyjacielskie zebranie! nie *odbijany* musi być przecież skończony; a wtenczas na ciebie kolej!—

— Masz rację, dziękuję ci za radę, odpowiedział Hippolit ścisnąc mnie za rękę; bądź dziś moim aniołem-stróżem, bo ja zupełnie straciłem głowę.—

\*) \* \* \*

Przeszedłszy jeszcze razy kilka, wyraźnie na złość przed nami pan Szambelan, zakończył przecię.

Czatujący pilnie na tę chwilę, wnet podskoczył Hippolit, — i *służę pani!*... — Drugie pary nie miały nawet czasu rozłączyć się; ruszył więc, dalej taniec, zmieniawszy tylko przewodnictwo.

Pan Szambelan nie miał także jeszcze czasu odejść, gdy okręcając się około niego, rzekł Hippolit ciszej, ale z przyciskiem — *Nieodbijany!* — Twarz Helenki pałała ogniem, skry sypały się z oczu Hippolita, pan Szambelan potniał kroplami!...

Tymczasem w drugim obok pokoju, pili na zabój.

Ksiądz Przeor, obaczywszy wprzód Szambelana w pierwszej parze poloneza, i z drugiego pokoju nie postrzegłszy przemiany, a znając i zamiary Szambelana względem Helenki, i niesprzeczne dlań życzenia jej rodziców, wziął pełny kielich w rękę, i — za mną — zawołał do towarzyszków; — za mną! — Nie wiedząc o co idzie, ale gotowi do przyjęcia wszelkiego hasła, ruszyli się za nim wszyscy; on, stanąwszy we drzwiach sali, i nie zważając na ściśnięte właśnie natanczas koło poloneza, — zdrowie pierwszej pary! — zawołał, a wyróżniwszy kielich, odchyłając głowę, dodał przeciągle — i po-bło-go-sła-wię! —

Właśnie w tę porę Hippolit, wywinąwszy się ze ściśniętego koła, chciał wprowadzić polonez do drugiego pokoju, stanął więc naprzeciw Przeora pod sam wyraz — po-bło-go-sła-wię!... —

— A to co? — zawołał zdziwiony Przeor, trzymając próżny kielich w rękę; — a to co; Szambelanie! gdzieżeś? —

— *Camerarius! ubi es?* —

— Ja jestem w pierwszej parze, — rzekł Hippolit i skłonił się grzecznie; co za podziękowanie za toast, lub prośbę o uwolnienie przejścia uważać się mogło.

— Brawo! krzyknąłem. Zdrowie pierwszej pary! — Szturchnąłem obok stojącego pana Tadeusza, i szepnąłem. — Kiedy mnie kochasz!!! —

[— Ach! omyłka w druku! wykrzyknął on! Cha! cha! cha!] rozumiemy!... Brawo! zdrowie pierwszej pary! — Wyrwał kielich z rąk Przeora; — nalewaj! — rzekł, podstawiając go pod butelkę. — W ręce pana Szambelana! —

— Nadto piłem, mój panie! Nie mogę więcej. —

— Nie przyjmuje pan? I owszem! W twoje więc szanowne ręce, Jasnie Wielmożny Podkomorzy Dobrodzieju nasz protoplasto i przewodniku! Nie odmówisz z rąk twojego sługi? —



— A dla czegożbym odmówił? rzekł zacny starzec; z ochotą wypiję zdrowie mojej córki chrzestnej, kochanej i pięknej Helusi, i Podkomorzycy, naszego nowego sąsiada, z którego ojcem (niech w Bogu spoczywa) na kilku kondescencyach kolegowałem. Dostojny był to mąż! prawy urzędnik! Zdrowie zatem pierwszej pary!—

Wśród perory pana Tadeusza i odpowiedzi pana Podkomorzego, ja, postrzegając że przedłużony taniec zmordował muzykę, podemknąłem się do pana Brzezińskiego i szepnąłem mu zcicha.—

— Panie Janie! hucznego! a jutro koń tęgi gniasz cię służy. —

— Jakby nie słyszał pan Brzeziński, nie odwracając najmniejszej głowy, a wtórując tylko zlekka klarynetowi.—

— Doprawdy?—zapytał przez zęby.

— Jakem Karmazyn!—odpowiedziałem.

Tupnął nogą Brzeziński, właśnie w chwili, gdy Podkomorzy kielich do ust podnosił, smyk dał *szpryngla* na strónach, zabrzmiał wesoło wildamor, — *Rui...* choćbyś pękł! — rzekł on surowo do klarynecisty. Temu się policzki zaczęły czerwienić i rozdeły; nabrzmiąłem wargami żuł gwałtownie stroik od klarynetu... we dwoje głośniej ozwała się muzyka dęta; chłopczyk wyrzucił w górę bębenek złowił go na powietrzu, i we wszystkie razem dzwonki, uderzył. Skoczny i huczny polonez rozległ się i biegł z podskokiem po pokojach a za nim krążył kielich, podniecany powszechną wesołością, ożywioną w jednych muzyką, w drugich przekorą Szambelanowi i omyłką Przeora, we wszystkich winem. Nie nadużywając jednak swego powodzenia i niespokojności swojej motyli, wzbudzonej w niej tak szczególnym obrótem rzeczy, Hippolit zakończył wkrótce taniec, a przejąwszy tańczący za nim kielich,— za zdrowie, rzekł, moich łaskawych sąsiadów, którzy ojca mego nie zapominają!...—Zbliżył się to mówiąc, i z uszanowaniem uściśnął rękę Podkomorzego, z kolej gospodarza, ukłonił się wszystkim i wychylił kielich.

— [Pocziwego ojca, pocziwy syn!] rzekł rozrzewniony Podkomorzy.

— Wiwat nasz Podkomorzyc!—krzyknęli wszyscy, nawet ksiądz Przeor; i tak Hippolit od razu przypadł do serca wszystkim, a podobno i Helence.

Po tym polonezie, który się tak niespodzianie zakończył, przerywały się tańce. Pan Brzeziński nagradzał sobie popuszczane kieli-

chy, pan Szambelan po kilka razy dobywał zegarek i patrzył godziny, wrzekomo sposobiąc się do wyjazdu; uspakajał go i zatrzymywał pan Prezydent, szeptał mu do ucha i uprzejmie ścisnął. Przeciwnie pan Tadeusz nie zważając na mrugania Prezydenta, niecierpliwiał Szambelana uprzykrzonymi żartami.—

— Kuso koło naszej miłości. Szambelanie! Trafła kosa na kamień, Szambelanie! Stary klucz Szambelański nie przypada, Panie dobrodzieju, do zameczków z sercem!—

Marszczył się szambelan, gryzł usta; nie odpowiadał wszakże, i starał się nie dać poznać, że go dotykają dwóznaczniki pana Tadeusza; zdawał się owszem ustępować prośbom gospodarza i uśmiechać się po trochu. Przechodząc jednak koło Przeora, drzemiącego w kącie na sofie, nie dotrzymał w gniewie i przecedził mu nad głowę dobitnie—i po-bło-go-sła-wię!—

— [A kat cię wiedział!] wrzasnął przebudzony Przeor; krzyknął z całego gardła, tak, że ja głuchy a posłyszałem:—Nieodbijajny!—Rozumiałem więc, że do wieczora będziesz szlifował.—

Znowu się rozległy śmiechy, lecz ja nie słyszałem co dalej było; bo matka Helenki, przechodząc koło mnie, dała mi znak lekkim skinieniem głowy, abym poszedł za nią; idąc zatem nieznacznie i zdaleka, zaszedłem aż do apteczki.

Skorom tam wszedł—Teklusi! rzekła Prezydentowa do panny, nakładającą ze słoików konfitury na spodki od filiżanek, idź Wasanna i przygotuj w kawiarni poziómki i śmietankę, ja sama ponakładam konfitury.—

Gdyśmy sami zostali,—kochany panie Ignacy! mówiła matka Helusi, jesteś od dzieciństwa naszym domowym przyjacielem, kocham cię jak własne dziecko, wyhodowałem ciebie, mogę powiedzieć, bo z matką nieboszczką żyłyśmy jak siostry; więc jeżeli mnie kochasz, powiedz, zmiłuj się, co to ma znaczyć taka nagła konkurencja tego pana Podkomorzycy do naszej Helusi? Pierwszy raz ją obaczył, już odbija Szambelana, który szczerze o niej myśli; przywiozłeś go tutaj, uważam, że jesteś z nim poufały, czyż mógłbyś dozwolić mu, aby pierwszą z nami znajomość zaczynał od tak złego żartu?—

— Nigdy! nigdybym na to nie zezwolił! odpowiedziałem żywo. Jesteś pani dla mnie drugą matką, bo dobrocią twoją i sercem własną mi przypominasz. Jestem sam jeden na świecie! Dom wasz stał mi się jakby drugim rodzeństwem, mógłbym ścierpieć jakiegokolwiek uchybienia dla was, lub dla Helusi, którą kocham jak sio-

stre? Mógłżebym wprowadzić w wasz dom człowieka zdolnego wam uchybić? Nie, moja droga pani! Mój przyjaciel jest młodzieńcem dobrym, cnotliwym, szlachetnym; znam go i śmiało zań ręczę. Upodobał on wprawdzie od pierwszego wejrzenia Helusię, lecz czy to pierwsze wrażenie trwać będzie, i czy w stałą zamieni się skłonność, zgadnąć teraz trudno? Lecz w każdym razie bądź pani pewną, że Hippolit albo bynajmniej panu Szambelanowi przeszkadzać nie będzie, i w domu państwa na długo się nie pokaże, albo pana Szambelana zastąpi. Może też, Pani dobrodziko, taka wola Boska! może przyjaciel mój wyrwie piękną naszą Helusię z rąk tego starego skępcza, który z całym swém bogactwem i pieniędzmi nie wart takiego skarbu.—

— Ach mój kochany panie Ignacy! ja i sama często toż samo o Szambelanie myślę; często nocy moje bezsenne, często ze łzami błagam Boga, aby odwrócił od niej te bogactwa, kiedy przy nich szczęścia niebędzie! a za jój szczęście jabym chętnie ostatki mojego życia oddała!...—Łzy jój płynęły potokiem... a wtém wbiegła córka.

Żywy rómieniec oblewał twarz Helusi, niespokojność była w oczach, i zgadywać można było, że szuka matki, aby się przed nią wylać, powierzyć, utulić się do niój, jak przepłoszony ptaszek do gniazda. Zgadła ona, że konferencya nasza o niój się toczyła; a postrzegłszy łzy matki, rzuciła się jój na szyję i sama płakać zaczęła... Serca się ich zrozumiały, i myśli przeniknęły się...

— Moje dziecko! ufaj w Bogu; On nas nie opuści!... rzekła Prezydentowa. Mówiliśmy tu o tobie. Pan Ignacy mnie uspokoił... Nie pora teraz więcej o tém z tobą gadać... a tymczasem nie płacz, moje dziecię! Oczy będą czerwone, i kto wie co ludzie pomyślą... Bądź spokojną, wesołą, i tak, *jakby to nic nie było! jakby to nic!*... a staraj się, dodała ocierając łzy i sobie i córce, staraj się... aby ten Pan Podkomorzyc... bo widzisz, kto wie co będzie?... i co on myśli?... —Zrozumiałem. Matka chciała przestrzedz córkę, aby ten Pan Podkomorzyc przed czasem jój serca nie zajął; ale nigdy dotąd słowa tego zakłętego *miłość* przed nią nie wymówiwszy, i teraz wyrzec go nie odważyła się. Była ona jak lekarz, który w niepewnym stanie chorego lęka się i nie wie, czy lekarstwo, które ma podać, zapobieży chorobie, czy ją pobudzi?

— Droga mamó! — Przerwała Helenka zgadując matkę; — bądź spokojna! żadnej myśli, żadnego uczucia nie zataję przed tobą, i nigdy bez dozwolenia twojego... —



— Ach siostrzyczko! — rzekłem; (tak bowiem nawykłem zwać Helusię), zdarza się niekiedy zakochać się i bez pozwolenia mamy.—

— Bałamut jesteś, Panie Ignacy!—odpowiedziała za córkę uśmiechająca się Prezydentowa, uwolniona tym sposobem od trudnej przestrogi;—ot pomóż wolój Helence nakładać konfitury, a ja wyjdę do kompanji, *jak by to nic nie było*.—I pocałowawszy jeszcze raz córkę, odeszła.

Nakładaliśmy więc konfitury... Ręka Helusi drżała i łyzy jeszcze kręciły się na oczach. Powtórzyłem więc wszystko, com matce powiedział. Ufała mi jak bratu, więc uspokoiła się dziewczyna. Przeniknąłem wstręt jej do Szambelana, zaśmieliśmy się razem nad omyłką Przeora, i wyszedłem do pokojów spokojny, *jak by to nic nie było!*

Wkrótce wyniesiono tace z konfiturami i jagodami; za niemi ukazała się Helusia. Spokojność i skromna wesołość jaśniała na jej twarzy; żrenica tylko zwilżona żywszym błyszcziała ogniem, a uśmiešek igrał na ustkach, *jakby to nic nie było! jakby to nic!*



## VI.

Gdyśmy wrócili do towarzystwa, wielka część tłumu, zebrana na ganku ogrodowym, przypatrywała się nowym przybywającym gościom, przewożącym się na promie. Pan Tadeusz, znający wszystkich okolicznie na mil dziesiątek, nie tylko obywateli, ale nawet ich czeladź, konie i pojazdy tłómaczył rozpoznawającym kto przybywa.

Tego baryłę, który oto dla mocyi zapewne pompuje wodę z promu, i frak nowy na wesele sprawiony oblewa, poznajecie zapewne,—to nasz kochany Pan Sędzia Grodzki; a w tym pięknym pomarańczowym koczyku *bombe* siedzi jego młodziutka żona, *et quidem* ładna! Nie znacie jej, bo nie miała jeszcze czasu we dwa miesiące po ślubie odwizytować sąsiedztwo; ale Prezydentowstwu i mnie znajoma od dzieciństwa, a podobno ich krewna. Może zreszta i pamiętacie piękną Rózię, która tu często u Prezydentowej z małą natenczas Helusią, a dziś chwala Bogu piękną Panną Heleną, przebywała, i której rodzice, przedawszy folwark w Oszmiańskim, przemieśli się gdzieś aż w Grodzienskie. Pan Sędzia, jeżdżąc po exdywizjach natrafił na dawną znajomość, i ot macie Panią Sędziinę,

którą wnet obaczycie, i którą... [panowie Kawalerowie! wara od mężatek, bo to prochem pachnie!]

— A ta druga arka Noego, koczysko ogromne, którą nie wiem czy pięć tych szkap wciągnie na górę, to i tłómaczyć nie trzeba — poznajecie Panią Chorążynę z czterma córeczkami, jak Urszula z towarzyszkami, i piąta guwernantka, Panna Dryling czy Dyftong, bo dobrze nie pamiętam, *Niemkinia francuzka*. Śmiejecie się? a darmo! Musi być przecież gdziekolwiek taki kraj, gdzie w jednej osobie razem *Niemiec* i *Francuz* rodzi się, kiedy Pani Chorążyna tak ją zawsze nazywa i rekomenduje. Sam Jegomość z tyłu na bryczce, — to naturalnie. A co! czy nie mówiłem? ot i wysiadają; znają niedołężność swój uprząży... Oho! dziewczęta, jak sarny, wbiegły na górę. Z Imością będzie trudniej... No! no! Mężulo wziął połowicę pod rękę; sprawiedliwie! pomaleńku wpełzną oboje, pomagając jedno drugiemu.—

— Ale któż jest ta tyczka w zielonym surducie, podpierająca Pannę Dryling?—zapytał ktoś z boku.

— Tego sampana i ja nie znam; niedawno widać przybyły; może znowu jaki *Niemiec francuzki* lub *vice versa*, do edukacji i układania panienek przyjęty.—

— Jaka szkoda, znowu się odezwano z tłumu, że moda dzisiejsza pocziwe i piękne Litwinki nasze na zagraniczne maski gwałtem przerabia.—

— Przejdzie to, da Bóg, przejdzie! odpowiedział podkomorzy; bo widzicie...—i chciał rozprawę o edukacji dziewcząt rozpocząć, ale przerwał znowu Pan Tadeusz!—

— Masz tobie! Zaryła się landara, i zagroziła drogę koczykowi pomarańczowemu.— Szwarcowemi Marcinie! krzyknął z całego gardła Pan Tadeusz, szwarcowemi namagaj!... A pijaku przeklęty! zacina! zacina! wiu! no! pomaleńku...— Nie! Nie! nie pomaleńku! razem! razem!—śmieli się wszyscy z furmańskiego zapału Pana Tadeusza, głosem i energicznemi gościemi usiłującego dopomódz Marcinowi, który go pewnie nie słyszał.—A przecież ruszyli, kończył on. Chwałaż Bogu! już na górze; teraz będą pod gankiem.

Cały ten monolog Pana Tadeusza, który mi się dziś przypomina, od chwili gdy on objawił, kto w pomarańczowym koczyku przybywa, zaledwo natenczas był ode mnie słyszany. Młoda mężatka!... ach! była to Różia! pieszczota lat moich dziecinnych \*),

\*) Boruny—Majówka.

przedmiot potem pierwszej, najczystszej i najtkliwszej młodzieńczej miłości, a której niewinne jej serce współczuciem odpowiadało, której rękę, jako dawno mi przeznaczoną, nieraz w słodkiem omamieniu ścisakałem!... Rok tylko przerwy,.. ale nie zapomnienia, i już ona dla mnie obcą, i już kobierzec, który złączyć nas miał na zawsze, na zawsze rozdzielił! —

Wiadomość o zamążpójściu Rózi doszła już mnie była; przebyłem męczarni ginącej nagle najdroższej nadziei, przebyłem paroxyzmy podżeganej płomienistą wyobraźnią zazdrości.... przyszła nadspodzianie jeszcze próba najcięższa do przebycia, bo obudzająca razem i przeszłe cierpienia,—pierwsze wejrzenie kochanki żoną innego.

Stałem nieporuszony, ze wzrokiem na koczyk wlepionym; krew żywiej mi krążyć zaczęła, zadrżałem kilkakrotnie i mimowolnie, a wzruszona razem moc trunku pomknęła się raptem do głowy! Czuję to, lecz razem miałem jeszcze dość rozsądku, aby przypomnieć sobie, że wśród tak licznego zebrania najkonieczniej potrzeba było tłumić w sobie tę gorączkę i nie zdradzić się jakimkolwiek szaleństwem. Myśl przebiegła, że udać słabość czy upojenie się, i tym pozorem oddalić się z kompanji, byłoby najrzęczniejsze ale nie mogłem przenieść na sobie, abym jej nie widział.

W takiej niepewności i zawrocie, tłum wychodzący na spotkanie gości zagarnął i mnie razem; a tak znalazłem się na ganku, przed który zajechała naprzód Chorążyna z córkami, i sam Pan Chorąży z socyuszem. Zabierał się or. do długiego powinszowania, gdy Pan Tadeusz przerwał mu:—

— Nie! nie! Panie Chorąży Dodrodzieju! pomaleńku i kategorycznie. Kto się późni, powinien czas stracony nagrodzić, powinien dopędzić tych, co go poprzedzili. A zatem musisz Pan teraz winszować kochanemu solenizantowi, i razem wypić jego zdrowie.—

To mówiąc, nalewał kielich, który z butelką wyniosł z sobą na ganek.

— Sprawiedliwie! krzyknęli wszyscy, sprawiedliwie!— Zgoda!— zawołał Chorąży przyjmując kielich; obrócił się zatem ku Prezydentowi, i zamilkł na chwilę, chcąc widać przypomnieć namyślaną wprzód oracyę; ale, gdy ta wypadła mu zupełnie z pamięci, z przytomnością więc umysłu, godną uwielbienia, wykrzyknął podnosząc kielich do góry—wołam z Psalmistą? *I lat sędziwych! i mej życziwości!*—i wypił. Serdecznie potem gospodarz z gościem uścisnęli się.



Tymczasem Pani Chorążyna, pomruczawszy trochę przed Prezydentem i dygnawszy mu uprzejmie, weszła ze swoją gromadą do pokojów, a przed ganek zajechał kocyk pomarańczowy. Wytoczył się zeń Pan Sędzia, a za nim wysiadła Rózia.—Na jej spotkanie wyszła Prezydentowa; przyjęła ona z czułością krewnę, którą od dzieciństwa kochała i w części wychowywała, rozrzewniona siostrzenica całowała ręce ciotki i rzuciła się w objęcie Helenki, która także naprzeciw niej wybiegła, Pan Sędzia musiał tymczasem przejść przez obrządek Pana Tadeusza; po czém tłum cały i ja z nim wróciłem do sali.—

W pokojach przy Helence usiadła młoda mężatka; obok więc siebie dwie najpiękniejsze umieściły się kobiety.—Helena wyższa, najraźniejszej kibici, najforemniejszych rysów twarzy, oczu i włosów ciemnych, której powaby tak harmonijną, a razem tak ujmującą i miłą składały jedność i doskonałość, że w każdym przynajmniej podziwienie jeżeli nie tkliwsze uczucia wzbudzać musiała; Rózia, której rok wdzięków dodał, a małżeństwo jeszcze by najmniej nie ujęło, była blondynką; — *była!* bo niestety! powiedzieć nie można — *jest* o tój, która i na świecie już tylko *była!* Drobniejsza jój postać i formy oblicza, osobno rozważane, nie miałyby może zalet doskonałości; a jednak bielutka ta i delikatna twarzyczka tak była ponętną, takie na nią życie igrało! W oku jój błękitném i rzewnie przyćmioném tak głęboko tonęło serce, a całą lekką i uroczą figurkę taka świeżość dziewicza i wdzięk krasowały, że ja zapomniawszy mój biedy i udręczenia, wpatrywałem się w obie z roskoszą, jakby w jakie wyborne malowidło życiem oczarowane.

Wtém ona postrzegła mnie w tłumie, i oczy nasze się spotkały... Nagły rumieniec oblał jej twarz.... Ujrzałem mocne wzruszenie w całej postawie... lecz to wkrótce przeszło; twarz się zupełnie uspokoiła, i z uśmiechem uprzejmym powitała mię.

[O kobiety! jakże potężną macie zdolność ukrywania uczuć waszych, panowania nad niemi, a nawet nad każdym wzruszeniem waszego oblicza! Słabe na pozór stworzenia! Ale niechże je kto odgadnie gdy swą myśl, gby swe uczucia gdy swe słabości ukryć usiłują!.... O kobiety! wasza cała obrona i zbawienie—w obłudzie!]

Nie wiem jaki był mój wzrok przy wzajemnym ukłonie, i potem nieoderwany od niej; znieść go jednak ona dłużej nie mogąc, wzięła Helusię pod rękę i wyszły razem do dalszych pokojów.

— Kogoż to nam przywiozłeś? Chorąży dobrodzieju!— zapytał Pan Tadeusz wskazując na owego w długim zielonym surducie Jegomości, który, wszedłszy za Chorążym, stał zaambarasowany niedaleko ode drzwi i krok naprzód, to znowu krok w tył postępując, nie wiedział co z sobą począć.

— A!... zapomniałem rekomendować! Rekomenduję całej kompanji—jest to Pan... co u diabła! znowu zapomniałem! wszystkiego dziś zapominam! Jak Wasan nazywasz się?—

— Kleofas Moczydłowski do usług.—

— Aha! Jest to Pan Kleofas—Muzykant.—

— Metr muzyki, z Wilna dla naszych córek sprowadzony—poprawiła męża Pani Chorążyna.

— Muzykant! obaczemyż czy doprawdy Muzykant? odezwał się Pan Tadeusz. No, Mości Kleofasie! haust za zdrowie solenizanta!—

— I owszem Mości Dobrodzieju! i owszem!— Przyjąwszy kielich Pan Kleofas uklonił się nisko całej kompanji, a jeszcze niżej Prezydentowi.

— Za zdrowie Jegomości Dobrodzieja!— wychylił.

— No! teraz za zdrowie Imości Dobrodziki!—

— A czy nie będzie za wiele?— odpowiedział Pan Kleofas ocierając usta i podstawując kielich.

— No! no! poprobuji! pomaleńku! — mówił nalewając Tadeusz.

— Więc za zdrowie Imości Dodrodziki—i znowu, ukloniwszy się nisko całej kompanji, wypił.

— A! Muzykant! Muzykant! — krzyknął Pan Tadeusz, a za nim śmiejąc się powtórzyli wszyscy—Muzykant! Muzykant!—

Pan Kleofas zawsze kłaniał się nisko, nie mówiąc ani słowa, pociągając kiedy niekiedy wysoki kołnierz, sterczący z za chustki i szerokie drobniutko karbowane bryże na piersiach.

— Kolego! łykasz wyśmienicie, musisz zatém i grać dobrze, — rzekł Brzeziński, uderzając Pana Kleofasa po ramieniu,—więc mnie zastąpisz, bo jakem, Karmazyn, zmordowałem rękę i smykiem i łykiem.

Niezadowolniona ani rekomendacją swojego metra, ani powszechnym aplauzem jego zdolności do kielicha, Pani Chorążyna, przyrmużywszy oczy, i zwracając głowę trochę w górę i trochę na bok, uprzedziła odpowiedź Pana Kleofasa. —

— Nasz Metr gra tylko tańce solowe i kontradanse, których Panna Dryling wyuczyła moje córki, i które teraz bardzo są w modzie. —

Zgadła łatwo Prezydentowa, że sąsiadka chce popisać się z córeczkami w nowych i nieznanomych jeszcze na wsi tańcach; może dla tego jedynie i na imieniny przybyła; aby więc jęj macierzyńską zaspokoić próżność, rzekła?

— Pani może pozwoli córeczkom przetańcować te nowe tańce; będziemy mieli satysfakcję patrząc na ich talenta.—

— Z ochotą! tylko nie wiem czy się znajdą partje? W domu, zbieramy z sąsiedztwa choć małych chłopczyków, ale tu...—

— Będziemy służyć!—odezwało się kilku z młodzieży; bo już w Wilnie Pan *Dziwoni* na miejscu klassycznych *matlotów*, *matredurów* i *anglezów* wprowadził *Gawota* wiodącego za sobą romantyczną *gruppę* kontradansów.

Sformowały się więc cztery pary i wystąpiły na środek. Nienajchętniej Pan Władysław, uprzedzony od kolegów do trzech Panien Chorążanek, stanął czwartym obok maleńkiej, szpetnej i trochę krzywej Panny *Dryling*, a tymczasem Pan Kleofas przyniósł skrzypce, i nastrojąc je począł. Jakoś mu się to nie udawało;—kwinta pękała. Szczęściem u Pana Brzezińskiego były w zapasie stróny; naciągnął więc drugą, ale trudno było dostroić do skrzypiec stronę od *wildamoru*: pokręcał więc, to odkręcał kółka, niecierpliwił się, i tém gorzej szło strojenie; a co najgorzej, że niecierpliwiły się pary, które wystąpiły do tańca, że uśmiechała się cała kompanja, która ściśłem kołem otoczyła tancerzy, i że stojąca za córkami Chorążyna zżymała się okropnie i powtarzała dobitnie, choć zeicha: — Otoż to zdrowie Jegomości! zdrowie Imości!... — co jeszcze bardziej męszało Pana Kleofasa, bo wpadło mu do ucha razem z brzękiem fałszywej strunki. Nakoniec *praeter propter*, nastroił on skrzypce i nastroił minę; prawą nogę odstawił naprzód, śmiało podniósł wzrok i głowę do góry, a zamiast pokory prostego muzykanta, jaką przy kielichu okazywał, wystąpiła mu na lica z rumieńcem od wina, zarozumiałość prawdziwego *wirtuozy*; przerzucił lekko smykem po strónach, i rozpuścił świetne *praeludium*.... Natenczas dziewczęta ujęły delikatnie za sukienki, ukazały drobne swe stopki, i kołysały się na nich jak zefirki do podlotu. Panna *Dryling* na każką z nich niespokojnym rzucała wzrokiem. Nakoniec Pan Kleofas podniósł smyk w górę—*La rose!* \*)—wykrzyknął. Smyk padł na stróny, pomknęły się pary, zaczął się kontradans.

\*) Nazwanie kontradansa.



Pilnie wszyscy przypatrywali się obrótom i wyskokom tańczących, bo pierwszy raz w naszej okolicy zjawił się kontradans; pilnie jeszcze tańczący starali się zwrócić na siebie uwagę i podziwienie widzów. Nie szło im o to aby się zabawić, rozweselić i rozlać wesołość na wszystkich, bo nie było wesołego wzruszenia ani w muzyce, obcej naszym uszom i sercom, ani w tańczących, którzy myśleli tylko i pracowali usilnie, aby wyrobić w takt wszystkie figury i kroki, i wydać *pensę* ze swjej doskonałości. Dziewczęta dobiegały do mety, haftując jakby nóżkami zamierzone i konieczne ścięgi; chłopcy w podskokach z trudnością wykręcali nogi, nienawykłe do sztucznych łamańców, i nie mieli czasu łączyć się ze swemi motyami tém upajającym uczuciem roskoszy, i wzajemnej choćby chwilowej tylko skłonności, którem się czaruje młodzież tańcem i połączeniem się w pary, szczęśliwa.

Panna *Dryling* troskliwa, aby się nie pomyłono, komenderowała zcicha — *En avant deux!* \*) *Chassé de chassé, chaine* i tym podobnie.

Wkrótce Pan Kleofas podniósł znowu smyk w górę—pauza w muzyce i tańcu.—*La Flore!* \*\*) — wykrzyknął. Padł smyk na struny, pomknęły się pary, zaczął się drugi *kontradans*.

Nazwanie tańca zapowiadało więcej w nim swobody i lekkości; ale omyliła nadzieja. Jak wprzód róża była sztucznym kwiatem bez woni i koloru, tak bogini była bez wdzięków. Tańczący znowu, jak marynetki na drótach, ruszali się w tył, w bok i naprzód bez życia i czucia; minki nawet dziewcząt uskromnione z przesadą, oczki na dół spuszczone, wyrażały przymus a nie ochotę.

Dziś *kontradans*, upowszechniony po naszych salonach, przeistoczył się w jakąś nieudolną promenadę; dziś nie żyje, bo mdleje; wtenczas nie żył, choć drgał i skakał.

— Jakem Karmazyn! to jakieś sztuki niemieckie — rzekł kręcąc głową pan Brzeziński.

— Mój Boże! rzekł wdychając Podkomorzy, czyż to nasza młodzież rodowitemi naszymi tańcami rozweselić się nie może? O bodajby przepadła ta modna francuzczyzna.—

Pani Chorażyna marszczyła się na te uwagi; a w tém pan Kleofas podniósł smyk w górę. Pauza w muzyce i w tańcu, ale razem

\*) Nazwanie figur w kontradansach.

\*\*) Nazwanie kontradansa.

zadziwienie na twarzach.—*La poule* \*)—wykrzyknął Moczydłowski. Smyk padł na stróny, ale nie pomknęły się pary.

— *Non! non! Monsieur Moszydłoka! nie la Poule—La Flore* nie skończona! *à présent demi queue de chat* \*\*).

— Nie! nie *demikasza!* nie *demikasza!* ale *la poule!* Czy ja nie wiem co ja gram?—odpowiedział uparty i już w pół-pijany muzyk; a grał bez ustanku. Panny stały nieporuszone.

— *Que faire Messieurs? dansons la poule*—odezwała się nie tracąc przytomności panna *Dryling*.—

— *Mademoiselle Emilie!... Chassé de chassé!*

Pomknęła się Emilka, ale wnet krzyknęła guwernantka — *Ou allez vous? à gauche! à gauche!*—A siostry dodały—Nie w tę stronę!—nie w tę stronę!—

Emilka umiała tańce z kolei, ale wyrwanego nie potrafiła; stanęła więc zmieszana na środku, a pan Kleofas grał dalej a dalej...

— A niech milion kroćset!...—wrzasnął Brzeziński, wrywając skrzypce z rąk muzykanta. —Ja wiem w którą stronę wszyscy pójdą!...

— Jakem Karrmazyn!... — I w tym momencie rozległ się huczny mazurek.—Rwi!—krzyknął on po za siebie; na to hasło podbiegł klarynet i zlał wtór swój ze skrzypcami.

Iskra elektryczna targnęła wszystkich, sypnęły się oklaski Brzezińskiemu: — *Błysły od ziemi skromne żrenice*, — radość i wesołość jaśniały w oczach tancerzy i w oczach całej młodzieży; każdy chłopak chwycił najbliższą sobie dziewczynę, i biegł z uśmiechem do koła. Hippolit nie dał się uprzedzić do Helenki.

Ten powszechny zapał mnie także wzruszył i ogarnął; lecz myśl, że wnet obaczyć mogę Rózię, tańczącą z kimkolwiek, a może i z mężem, jak żądłem przeszyla me serce. Gdy więc, rzucając okiem po sali, upatruję ją w tłumie, głos jej miły trwożliwie i z cicha odzywa się nad uchem:—Czy nie potańczujemy z sobą mazurka?—Ach! w tym głosie tyle było uczucia!... tyle miłości!... nie—nie—tyle przypomnienia!... tyle tkliwej skruchy i skargi, że ja, przelnikniony do głębi, porwałem podaną mi rękę, całuję ją z zapałem... i już jesteśmy w kole.

\*) *La poule* nazwanie kontradausa.

\*\*\*) Nazwanie figury.

Kilkanaście par runęło razem do koła; zabrzmiała sala echem żwawym i silnie wybijanych kroków i hołubców; dziewczęta unosiły się lekko i wesoło około chłopców, którym serca i źrenice pały: starsi nawet za kołem tupali w takt nogami, lub klaskali w dłonie: szczęśliwość oblała wszystkich!...

Dzień się schylał ku zachodowi, najpiękniejszy wieczór letni następował po dniu pogodnym; miły chłodek, wpadając przez otwarte drzwi i okna ogrodowe, rzeźwił tańczących, i do powszechnej wesołości nowej nawiewał rokoszy. Mazurek przedłużał się ochoczo, i trwałby jeszcze dłużej; lecz gospodyni szepnęła kilka słów na ucho panu Władysławowi, będącemu w pierwszej parze, ale nie z panną *Dryling*, "bo on przy rozpoczęciu mazurka bez ceremonji podziękował jej za kompanję; ten zawołał—*koło!*—Szepnęła także na ucho Brzezińskiemu, a ten z ostatnim taktem mazura — Marsz nad Wilję—wrzasnął, i stosowną do tego wezwania zacząwszy muzykę, wymaszerował po swojemu do ogrodu.

Za nim sypnęła się cała kompanja; i postępowaliśmy przez ogród na piękną łąkę murawą i kwieciami usłaną, szeroko nad brzegami Wilji rozpostartą.

Zgiełk wesoły i ochoczy tego pochodu, zagłuszał muzykę Brzezińskiego, lecz dozwalał toczyć się w pośrodku cichym a intereso-  
wańszym rozmówkom, do których między młodzieżą unoszący serca mazurek nie jednej parze dał pochop.

Jam od tańca nie rozłączył się z Rózią. Szliśmy obok, ja z pomieszaniem i wzburzeniem myśli i uczuć trudnym do rozwikłania i uspokojenia; ona w spokojnym zadumaniu, chcąc niekiedy odjąć mi swoją rękę, gdy drzenie mojej zdradzało stan mojej duszy; a że ja zatrzymywałem ją z uporem, więc niekiedy łagodnym i dobrotliwym spójrzeniem zdawała się błagać mojej litości... Wejrzenie to anielskie koło na chwilę moją wewnętrzną burzę, łąza ćmiła mi oczy, i natenczas pragnąłem tylko jej szczęścia, chociaż własne traciłem na zawsze. Jestże ona szczęśliwą? pomyślałem, i wnet—

— Jestżeś szczęśliwą?—zapytałem cicho i nieśmiało.

Milczała. Ponowiłem dobitniej zapytanie, i drzenie méj ręki ostrzegało ją, że chwilowa spokojność moja znikła. Znowu więc, podnosząc na mnie rzewne, jak mi się zdawało, spójrzenie, Rózia, zamiast odpowiedzi na moje, rzuciła mi własne pytanie.—

— Chciałżebyś, abym była nieszczęśliwą?—

Pytanie, to, czy z namysłu czy z uczucia uczynione, trudnym



mi było do odpowiedzi. Jakżebym jój szczęścia nie miał życzyć? A przecież ona nie inaczej to szczęście osiągnąć mogła, jak zapominając o mnie na zawsze! Mogłemże znowu życzyć sobie tego zapomnienia? Miałemże na to w tym momencie dosyć rozwagi i siły?

— Milczałem; lecz wkrótce serce podało mi odpowiedź—

— Ja, rzekłem, ja całe moje życie dla twego szczęścia poświęcić chciałem!

— Bóg chciał inaczej! odpowiedziała. Cóż począć naprzeciw przeznaczeniu? a zatem...—

— Cóż zatem?—przerwałem.

— A zatem dla szczęścia, dla spokojności mojej, a nawet swój własnej, gdy nie możesz całego, poświęć mi część twego życia! poświęć mi całą przeszłość!.. to jest, zapomnij o niej!... Był to sen... Ach! rozmawiać nawet o tém nie powinnam!.. Moje nowe obowiązki! Mój ślub!... Puść mnie...—

— Twój ślub! rzekłem,, ujmując mocniej wymykającą się jój rękę, twój ślub! On ciebie zmienił do razu; on zgasił w tobie w jednej chwili uczucia od dzieciństwa nam drogie i nas łączące! Ale to tylko w tobie!... Ja ślubu nie brałem! ach! i nigdy już brać nie będę... Twój ślub rozkrwawił mi serce, ale jeszcze głębiej ciebie w niem wypiętnował!... Zabiłaś całą mą przyszłość, i jeszcze chcesz mi przeszłość odebrać! Jakiem prawem chcesz mi wydrzeć z serca twój obraz, który razem z tém sercem rość, rozwijał się i zajął je całe?... Nie! nigdy! nigdy!...—

W tém trącił mnie mocno Hippolit, i mijając, szepnął nad uchem:—Zapominasz się;—a z drugiej strony Helenka porwała Różę za rękę, i ciągnąc ją za sobą,—choź prędszej rzekła pomożesz mi gospodarzyć na łące.—

Czas też był bardzo przerwać moje uniesienia, bo pan Sędzia szukał żony w tłumie, a ciekawi uważać nas zaczęli. Hippolit powrócił do mnie.

— Teraz wiem twoje *dla czego?* rzekł; ależ, mój kochany! jakżi czas i miejsce wybrałaś na twoje skargi? i jeszcze tak żywo je tłómaczyłaś! Dziękuj Bogu, żem ja, idąc za tobą, dostrzegł niebezpieczeństwa. Zdaje się, że Helenka, przebiegająca w tej chwili, coś dosłyszała, i dla tego oderwała od ciebie heroinę. — Ha! stało się! rzekłem; dziękuję ci za ratunek w samą porę. Lżej mi jednak

po tej spowiedzi. Sam nie wiem z kąąd mi taka wymowa? Odnowionej gwałtownej miłości, wino podobno rozwiązało usta! Idźmy do kompanji.

## VII.

Jasny promień zachodzącego słońca przejmował i złocił cały nurt Wilji, ku zachodowi w tém miejscu zwrócony, i ukośnie padając na rzekę, łamał się w niezliczone przyzma, drżał i błyszczał na powierzchni lekko falującej się wody. Gęsty bor ciemno-zielonym szpalerem ocieniał drugi brzeg Wilji, daleko się przedłużał za jej biegiem, a nad nim właśnie zawisłe słońce miało wkrótce zapaść między drzewa, gdy cała nasza kompanja ryzsypała się po łące: dzieci za motylkami, dziewczęta za kwiatami, chłopcy za dziewczętami.

Starsze towarzystwo obojój płci, usiadło na przygotowanych z darni kanapach, otaczających szeroką plitę z granitu, która, rzucona tu jakby umyślnie, corocznie kośćcom za stół obiadowy służyła, a dziś ich panom do bankietu przydała się. Na niej z dwóch waz Helenka i Różia dla dam limonadę, dla mężczyzn kaliszan rozlewały. Brzeziński, zachęcony echem, które od boru na rzekę odbite, daleko roznosiło odgłos jego muzyki, stanął nad brzegiem, i chórem z towarzyszymi swemi zaśpiewał dawną hajdamacko-sejmikową piosenkę, przygrywając jej na nutkę po każdej strofie—

To mi życie do zazdrości.  
Gdy po chacie wicher gości!  
Piec bez kafel, w oknach dziury,  
Drzwi bez zamków, puste mury!  
Oto to ja pan! Oto to ja pan.  
Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam.—

— Oho! zawołał Podkomorzy, Brzeziński przypomniał pieśń staroświecką z czasów jeszcze saskich w kraju naszym pijatyk. Brawo! dalej bracie! dalej! huczno a wesoło! Zakończmy dzień dzisiejszy tak, aby on nam starym młodość przypomniał, a kiedyś dzieci nasze swą pamiątką odmładzał! Dalej, Brzeziński! Pomagać tobie będziemy.—

Zaochocony tém wezwaniem Brzeziński nie oszczędzał głosu, ni ducha, śpiewał i grał dalej.—

Czy wiosna runi zaszkodzi,  
Czy zboże dobrze urodzi,  
Czy w Królewcu płacą siła,  
Byle flaszka pełną była!

Oto to ja pan! Oto to ja pan!

Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam!—

Takię treści i zalety kilkanaście strofek prześpiewał Brzeziński—coraz to żywsze odbierając applauzy; i po każdej chór się powiększał, i gromada słuchaczyw pomnażała się tak, że gdy ostatnią ze szczególniejszym zapałem, jakby prorocstwo dla siebie, odśpiewał—

Choć łzy często w oczach błyszczą,  
One litość Niebios zyszczą!  
Choć źli siła na mnie przędą,  
Wesoł umrę, gdzie pić będą!

Oto to ja pan! Oto to ja pan!

Oto to ja pan, pan, i o nic nie dbam!—

skupiliśmy się wszyscy około niego, i wszyscy go serdecznie uściskali.

— A gdyby też moja kochana Helunia, odezwał się Prezydent, przytulając córkę do serca, na imieniny moje zaśpiewała dla mnie i dla miłych naszych gości moją ulubioną piosenkę?—

— Prosimy! prosimy! — krzyknęli wszyscy, a najgłośniej młodzież.

— Z ochotą, kochany ojczel! rzekła Helusia, całując mu rękę; ależ ja śpiewam przy fortepianie, więc chyba gdy wrócimy do pokoju.—

— Ha! moja kochana! rzekł po krótkim postanowieniu się Prezydent, alboż to tak daleko do budynku? alboż to tak ciężki twój klawikord?—

— Przyniesiemy go natychmiast,—odezwaliśmy się jednogłośnie, zgadując myśl jego, i pobiegliśmy pędem do pokoju.

Wrzeczy samęj klawikord Helenki, nie był to ciężki, terażniejszy z długim jak kometa, ogonem pantalion; mały, nakształt stolika składanego, łatwo się dał wynieść nad *Wilję*.—Postawiliśmy go nad brzegiem, i zasiadła Helenka pełnym naszym otoczona gronem.

Daje się wnet słyszeć cichy i łagodny dźwięk muzyki, natracając się i płacząc w akordach jakieś nieobce tony... jakieś przypomnienia rzewne i miłe... jakies echa obudzające się w duszy... powoli,



jak myśl czysta z pomieszanych wyobrażeń, jak pasmo złote z pogmatwanój tkaniny, wywija się i wydziela znajoma natenczas i miła każdemu, a zapomniana dzisiaj nótka... łączy z nią wdzięczny głos swój dziewica, i tkliwą piosenkę rozlewa w powietrze!!!

Nie mam srebra ani złota;  
Nie dam wam żadnych prezentów.  
Uboga moja prostota;  
Nie zna też żadnych wykrętów.

Prostak jestem z urodzenia,  
Po prostu mówię i czuję;  
Prosty sposób mam myślenia,  
Po prostu też was przyjmuję!

— Tak! tak! moi mili sąsiedzi! przerwał Prezydent, rozjawszy szeroko ręce, jakby nas wszystkich razem uściskać pragnął! [po prostu, ale szczerém sercem was przyjmuję!—*Czém chata bogata, tém i rada!*]

Wykrzyknienie to Prezydenta przerwało śpiew. Wszyscy natenczas na niego i na siebie nawzajem podnieśliśmy oczy... Piosenka uderzyła już w serca; nótka łagodnie i błogo wpłynęła w dusze... a tłumiąc głośną przed chwilą wesołość, tkliwemi uśmiechy i zwilżoną u wszystkich źrenicą, wewnętrzną rokosz objawiła na twarzach. Zaczęto uściskać wzruszonego Prezydenta; a tymczasem piosenka szła i dalej—

Dziś się tu wszyscy bawimy;  
Rokosz sercem naszym władnie;  
Któż więc gdzie za rok będziemy?  
Może ten domek upadnie!

— A niechże Bóg tego strzeże! odezwał się Podkomorzy. Dom poczciwy szlachecki za cóż miałby upadać? W Bogu nadzieja! za rok będziemy tu na weselu kochanej naszej śpiewaczki.—

— Za rok na weselu Heluni!—okrzyknęła cała kompania.

— *I po-bło-go-sta-wię!*—dodał ksiądz Przeor. Śmieck na te słowa ożywił się znowu; oczy się zwróciły na Szambelana, który z miłą uprzejmą stał obok starszój panny Chorążanki, na przekorę może Helence. Prezydent tymczasem szepnął półgłosem do pana Tadeusza.

— Obrałem cię dzisiaj za gospodarza! rozumiesz?—

— Pomaleńku...—i skinął głową pan Tadeusz... Helenka kończyła:—

Oto mój domek nikczemny,  
I wszystko, co w nim widzicie,  
Niech wam tak będzie przyjemny,  
Jak nam tu wasze przybycie!

Wryjmy tu na kamieniu  
Rzędem nas wszystkich imiona,  
Na znak, że była w tym cieniu  
Cnota z przyjaźnią złączona!—

— Na znak, że była w tym cieniu  
Cnota z przyjaźnią złączona!—

wrzasnął z całych piersi pan Tadeusz, wtórując Helence, powtarzając zawsze drugą część każdej zwrotki, i podając pełny kielich Podkomorzemu.

Zdziwiony Podkomorzy spójrzył mu w oczy, a zrozumiawszy wezwanie, przyjął kielich, wznosił go do góry, i drżącym od starości i wzruszenia głosem ozwał się także—

— Na znak, że była w tym cieniu  
Cnota z przyjaźnią złączona!

Natenczas uniesienie niewymówne objęło wszystkich. Szklanki od kaliszanu i limonady w mgnieniu oka napełniono winem. Wszyscy otoczyliśmy kołem śpiewaczkę, zebrane przy niej damy, wpośród nich Podkomorzego, Chorążego, Przeora i dalszą starszyznę; wszyscy, podniosłszy pełne szklanki w górę, huknęliśmy niedobrą, wprawdzie i nieskładną, ale serdeczną i brzmiącą na wszystkie strony chórem, ożywioną łączącemi się razem głosami kobiet i klarynetem Brzezińskiego:

— Na znak, że była w tym cieniu  
Cnota z przyjaźnią złączona.—

Wszyscy piliśmy z uniesieniem; wszyscy powtarzali toasta za zdrowie Helenki; wszyscy śpiewaliśmy z uniesieniem, i wszyscy weseli, a jednak do łez rozrzewnieni, z uniesieniem ściskaliśmy się jak bracia! Echa niesły po Wilji i odbijały po brzegach odgłosy wesołości naszej, i nótkę ulubioną, słabiejcą coraz i ginącą w oddaleniu...

tak, jako i sama piosenka, odbijając się niegdyś w sercach naszych, niktęła powoli w niepamięci, i nakoniec umilkła w poniewierce!

Jakiż miły obraz, gdy mam dać spoczynek zmordowanej ręce, jawi mi się w wyobraźni? Opiszmy go jeszcze! Będzie on łączył przeszłość z przyszłością! starość i wspomnienie z młodością i nadzieją! usiłowanie z nagrodą! autora z czytelnikami!—Oto widzi mi się młoda i nadobna dziewczica, w ozdobnym salonie doczytująca tę książkę poważnej matronie, matce swojej; matka składa robotę, zbliża się do fortepianu, na którym brzmią codzien niewłaściwie z wysilonęj piersi dziewicy *recitativa* i *trele* włoskie; zaczyna próbować i przypominać tkliwą nótkę i piosenkę, którą śpiewała, gdy niegdyś młoda i ładna jak dziś jęj córka, *panienka*, poufała gromadkę rodzicielskiego domku rozweselała swym głosem; przemykają jęj po myśli dnie jęj wiosny, której miły obraz przed sobą w ukochaném swém widzi dziecku.—Córka pomaga mamie, bo przypomniała kołyskę, która ją niegdyś w takt piosenkom unosiła, i kochaną niankę swoją, kojącą dawniej tą lub ową nótką dziecięce jęj troski.— Dosłyszał zdziwiony papunia w drugim pokoju niezwyuczajnych tonów... zbliża się do małżonki, i drugą strofkę basem zawtórjuje... Stare małżeństwo spójrzy na siebie okiem przeszłości!... Iza za leje ich żrenicę! Iza słodka i czuła, z serca na oko wypływająca!... Nie dokończą w prawdzie piosenki, ale uścisną się, rozrzewnią serdecznie, pobłogosławią dziewicę... i z przychylnością może wymówią imię autora, który im tę chwilę nadarzył.

## VIII.

W dni dziesiątek po ochocie u pana Prezydenta, polując z Hipolitem przez cały ranek po kniejach i lasach, od ujścia Naroczy do Wilji, aż do miejsca, gdzie droga z Wilna ku Borysowowi idąca oną przestępuje i w ciemne potém zasuwają bory, odłączeni od całego myśliwstwa, zesłiśmy się nad brzegami tej rzeki; a znużeni skwarem i zmordowani pracą, obraliśmy dąb ogromny, w przerwie nadbrzeżnej lasu szeroko rozpościerający konary: w cieniu jego



chroniąc się od południowej spieki, usiedliśmy, a raczej położyliśmy się na odpoczynek.

Niebo było oblane światłem dnia pogodnego; gdzieniegdzie tylko poskupiane obłoki, lekkim pędzone wiatrem, płynęły po jasnym błękiecie. Dziwne i rozmaite ich formy coraz to w nowe zmieniały się widma. Tam coś nakształt ogromnego sfinxa, przechodzącego powoli i nieznacznie w straszliwą figurę czarownicy, z miotłą w ręku i z zawojem na głowie, ówdzie kawalerzysta na wielbłądzie, którego długa szyja, rozciągając się coraz dłużej, zamienia się razem z jeźdźcem w smoka ze skrzydłami; tam znowu jakby z wysp ruchomych, skupiających się jedna na drugą, wznosi się góra ogromna, w szczerbate połamana krawędzie, której wszystkie brzegi, słońce za nią ukryte, złotem oblamowało; po tych szczerbach i krawędziach wspina się, czepia i przewija coraz wyżej i wyżej mały obłoczek, jak z trudem na szczyt *Montblanu* pnący się wędrownik... Nagle obłoczek zanurza się i ginie w olbrzymich zwojach chmury, jak nieraz zginął i wędrownik w niezgłęzionych rozpadlinach lodów i zamieci... Po chwili słońce wzbija się nad chmurę, osiada na jej szczycie, zapala tam ognisko wulkanu, i gorejącem promieniem rozczepia górę na dwoje... chwije się ona całym ogromem, i nakoniec kłębami lawy rozplywa się po niebiosach. Tak na tym niezmiernym przestworze, jak w wyobraźni śpiącego człowieka, snuły się coraz to nowe, ruchome, bezładne, fantastyczne jakies złudzenia, na które my półsennem w milczeniu poglądając okiem, snuliśmy także i roili obrazy życia i szczęścia równie fantastyczne i niestałe, jak łudzące wzrok nasz obłoki, i jak obłoki wątle i marné... Ach! czegoż nie roją głowy młode i zakochane?...

Długie milczenie i obłąkane myśli nasze przerwał nakoniec i zwrócił ku ziemi Hippolit.

— Gdzieżeś? rzekł on uderzając mię po ramieniu, gdzieżeś? Ignacy!—

— Co za pytanie? Wiesz, mój kochany, że gdy archanioł, wypędzający grzesznego ojca naszego Adama z raju, zawołał: „gdzieżeś Adamie?“ Adam nie śmiał mu odpowiedzieć...—

— Bo się wstydził, bo czuł grzech na sercu!... Rozumiem, i ty się wstydzisz, i ty czujesz grzech na sercu; a co gorsza, grzech śmiertelny! Nie prawdaż?—

— Tak, jeżeli rozpacz jest grzechem.—

— Rospacz? Nie, to nie rospacz, mój bracie! to wcale nie rospacz.—

— Cóżby innego być miało, albo być mogło?—

— Słuchaj! mówił dalej Hippolit; czy wyobrażasz sobie niekiedy twoją lubę w objęciach szczęśliwego jej małżonka?—

— Człowieku! wykrzyknąłem, zrywając się z ziemi, cóż ci po mojem udrczeniu? Ach! te to właśnie wyobrazenie drażni mię i mężczy bez ustanku!!!—

— A widzisz! czyż to rospacz? to zazdrość; mój kochany! to zazdrość zapalona, zapamiętała zazdrość! Grzech śmiertelny, jakem ci powiedział, nie rospacz, nie!—

— Cóż mi po tej różnicy? Tak lub owak, zawszem nieszczęśliwy!—

— Prawda, ale należy wszystko dokładnie definjować i determinować, a témbardziej uczucia i namiętności; bo widzisz, znając chorobę...—

— Dość tego, przerwałem; nie chcesz zapewne uragać się z cierpień przyjaciela. Przystańmy definjować grzechy; determinujmy wolej cnoty. W twojem sercu trzy kardynalne założą podobno mieszkanie: jest już *miłość*, weiska się powoli *nadzieja*, a obie wprowadzą zapewne trzecią swą towarzyszkę, *wiarę*, a wiarę małżeńską.—

— Dziękuję za prorocstwo, pomoż do skutku.—

— Z całego serca; ale...—

— Żadnego *ale*, mój kochany, żadnego *ale*! Przenikam co masz powiedzieć; kocham Helenę miłością...—

— *Parisa*—przerwałem.

— Dla Boga! co wyrzekłeś? Kocham ją miłością czystą, stałą, spokojną, i, dajmy to, rozważną nawet...—

— Chcesz widzę determinować ściśle i własne uczucia.—

— Tak, bo chcę twoje *ale*, twoją wątpliwość pokonać, twoje niedowiarstwo zniszczyć bez powrotu. Kocham jak dotąd nie kochałem. Dni kilka, któreśmy oba po imieninach Prezydenta tak przyjemnie w domu jego spędzili, dały mi poznać tę duszę niewinną, niepokalaną, dziecięcą jeszcze, ale w której zarody wszystkich cnót niewieścich dojrzałem. Ach! mój drogi! z nią tylko szczęśliwym być mogę!... Tak! ona mi jest od Boga przeznaczona!!!—

— I od ludzi narajona!—dokończyłem starym swatowskim conceptem,—bo gdy taki jest stan twojego serca, mówiłem dalej i two-

ich zamiarów, to jam swatem! Dziękuj Bogu, że ci drogę twojego szczęścia we własném twojém objawił sercu. Niech tylko Helenka będzie ci wzajemną... w czem także mam niejaki nadzieje, reszta pójdzie jak z płatka.

— A Szambelan?—

— Cóż znowu Szambelan? Helenka jego nie kocha. Może Prezydent, dawniejszych w postanowieniu córek trzymający się zasad, będzie rozliczał wasze dochody; ale i on kocha prawdziwie swe dzieci; i ty wszakże do półpanków sprawiedliwie liczyć się możesz. Jednakże nie traćmy czasu, bo, jak powiadał mój dziadulek, *quis scit*, co za górą? i nie dziwiłbym się wcale, gdyby *tertius interveniens*, zwabiony słynącemi wszędzie wdziękami Helusi, pomieszał nam szyki.

— Więc wracajmy do domu, odpowiedział zatrwożony Hippolit, i jedźmy jutro...—

— Zgoda, rzekłem, jedźmy. Uderz w trąbkę, zbierzmy myśliwstwo.—

Raz i drugi pojezdne odbiło się po lesie, lecz żadnej nie słychać było odpowiedzi; natomiast silne uderzenie po wodzie rozprysło się i rozległo po nadbrzeżnym borze, i długi ciąg płytów, w jedno złączonych, jakby odgłosem trąbki naszej zbudzony wąż ogromny, którego pod biegunami widywano, wysunął się na zaciezionym nurcie Wilji, i wyginając się podług jej zakrętów, powoli ku nam się zbliżał. Na czele stał człowiek z wytkniętém naprzód długiem żądłem potwora, drugi z tyłu potężnym jego ogonem rozbił i zapieniał wodę, a kilku ludzi, przebiegając po wierzchu, przypominały bajkę o rozbitkach na grzbiet wieloryba schronionych. Rzeka niosła go wspaniale i przechylała na falach, ku czemu wolne spojenie członków z łatwością się podawało.

Na ten widok jednostajna myśl przebiegła nam po głowie. — Płynmy! wykrzyknęliśmy obadwa, płynmy aż do Prezydentów!—powtórzyliśmy żywo i wesoło, i natychmiast zaczęliśmy wołać i dawać znaki sternikowi, aby przybił do brzegu.

Podjął głowę, a raczej zwrócił w naszą stronę szeroką łysinę staruszek; spójrzył na nas ciekawie, i po krótkim zastanowieniu się—*staubuj* \*)!—wykrzyknął przeciągle i donośnie—*stau-buj!!!*—

\*) Wyraz techniczny w żegludze po rzekach; znaczy—przybijaj do brzegu.



Skinął potem wiosłem ku naszemu brzegowi, a za chwilę wąż ten ruchomy i potężny rozciągnął się i zaległ u nóg naszych.

Wyszedł rzeźwo na brzeg staruszek czerstwy i rumiany, łysy, jak już to z daleka postrzeegliśmy; reszta włosów siwych spadała mu z tyłu głowy na kołnierz białej i schludnej płóciennej kapoty, w którą był ubrany. Za szerokim pasem skórzanym, ściągającym go w stanie, sterczała mała drewniana luleczka; pod pasem, na cienkim rzemyku, nóż składany i kalitka z krzesiwkiem, hubką i skałkami. Prosta ale cnotliwa dusza malowała się w rysach jego twarzy, i prosta gospodarska, że tak powiem, rostopność z oczu mu wyglądała.

— Czego chcecie panicze? — zapytał on kłaniając się nam uprzejmie.

— Płynąć z wami—odpowiedzieliśmy, oddając również uprzejme ukłony.

— W imię Ojca i Syna! dokąd? do Królewca?—

— Nie, staruszkule! tylko mil kilka popłyniemy z tobą; wysiądziemy na brzeg pod Niestaniszkami.—

— To mil ze sześć ztąd gościńcem, a krętą rzeką daleko więcej. —

— Jak tobie imię? mój kochany!—zapytał Hippolit.

— Bartłomiej—do usług.—

— No, panie Bartłomiej! mil sześć czy dziesięć, to wszystko jedno; popłyniemy, rzekł Hippolit. Rozumie się, że tobie i twojej czeladzi wynagrodzimy za to, że nas weźmiecie z sobą. Oto masz, staruszkule, na zadatek. — Hippolit wyjął rubla i oddawał Bartłomiejowi.

Starzec nie sięgnął po rubla, ale oglądając nas z nóg do głowy, pokręcał własną i powtarzał z cicha, i wątpliwie—ztąd mil ze sześć... nie wiem... nie wiem... Mospanie!...—

Projekt nasz tak dlań niezwyčajny i rubel Hippolita, obudzał w starcu niejakiś podejrzenie, którego z naszą postacią, ubiorem i niebojaźliwą szczerością pogodzić nie mogąc, wahał się czy miał przyjąć czy odmówić wstępu na swoje płyty ludziom nieznanym, do paniczów wprowadzić podobnym, ale uzbrojonym i w lesie...

W tym momencie trąbka z daleka rozległa się, na którą Hippolit własną odpowiedział.

— A to co?—zapytał zdziwiony Bartłomiej.

— To znak, że strzelce nasi ciągną w tę stronę, i wnet tu na moję trąbkę przybędą.

Bartłomiej milczał, lecz nieznacznie ku płytom się rejterował. Trąbka do reszty go zmitrężyła. Przyszła mu bowiem na myśl, jak się nam przyznał, bajka o dwunastu rozbojnikach na trąbkę się zwojujących; bo każda bajka gminna w przekonaniu starca i jemu podobnych, jest prawdą, tylko dawno i daleko przytrafioną.

Lecz te wszystkie niedowierzania i strachy znikły za ukazaniem się *Halasa*, *Lutni*, *Tertesa* i *Kompanji*, — gończych psów naszych. Wybiegły one zmordowane z lasu, a dopadłszy rzeki i ugasiwszy pragnienie, łaszczyć się około nas zaczęły. To przekonało pana Bartłomieja, żeśmy myśliwi i żeśmy panicze; a tymczasem wymykali się z boru strzelce, i także około nas się gromadzili. Zwrócił się więc ku nam staruszek.

— No, rzekliśmy doń, zjedzmy tu, panie Bartłomeju, z myśliwskiej torby obiadek, a potem dalej na wodę.—

— Nie, Mospanie, to na długie zachodzi marudztwo; my już dawno po obiedzie, a miejsce do południowania jeszcze ztąd o pół mili; [woda codzień spada, w Wilejce Pac dawno już łysinę pokazał,] a zatem niema czasu do baraszkowania; i panicze wolęj drogą, gościńcem, po sprawiedliwej ziemi, jedźcie, gdzie Pan Bóg ma prowadzić.—

— Nie, kochany Bartłomeju, nie zamarudzimy długo, a ty daj się uprosić; wszakże ci to nic kosztować nie będzie, owszem...—

— A kiedy już tak paniczom koniecznie téj rekreacji zachciało się, to cóż robić?—

— Więc do Waspana — rzekł Hippolit, biorąc z torby flaszkę wybornéj gdańskiej wódki i srebrną czareczkę, którą do połowy spełniwszy, dolał pełno dla pana Bartłomieja.

— Po obiedzie, Mospanie, nie piję.—

— Ale przed południem!—

Starzec spójrzył z pod ręki na słońce.

— Jeszcze to za rano, rzekł; ale kiedy już ma być tak, to tak! —

Przyjął zatem ofiarowaną czarękę, i wychyliwszy, dodał pokręcając głową:

— Oho! w Królewcu tylko z taką się spotkasz! Dziękuję Mospanie!—Obrócił się potem do swéj czeladzi, i odezwał się głośno— Połudzień, dzieci, połudzień!—Natychemiast drużyna żeglarska w je-

dną gromadkę na płytach, a drużyna myśliwska w drugą gromadkę na brzegu się skupiły, i każda po swoje sięgnęła zapasy.

Na widok naszych półgęsków, szynek i sérów, zaproszony Bartłomiej,—nie, Maspanie, odpowiedział; nie; dziś suchedni. Młodym zdarzy się czasami i zapomnieć o postach; ale staremu nie daj Boże! A zatém ja pójdę do swój kompanji na suszone płotki i wędzone szczupaczki.—

— To i nam, jako już do twojej drużyny należącym, dasz zakosztować?—

Wyborne i czysto sporządzone rybki Bartłomieja smakowały nam lepij, niżeli własne wędliny, które wszakże gwarliwa myśliwska rzesza, bez względu na suchedni, z apetytem pożerała.

Krótko trwał połudzień staruszka; nie dał on i nam skończyć obiadu.—No, panoczki! Jeżeli wola i ochota...—

— Jak widzisz, ojeze Bartłomiej!—odpowiedziałem. Rozkazaliśmy więc myślistwu wracać do domu, i służącym naszym wybrać się ztamtąd bez zwłoki z pojazdem i garderobą do Niestaniszek, i czekać nas tam we wsi nad przewozem.

— A panowie?—odezwało się kilku myśliwych.

— My tam przypłyniemy.

Na ten niespodziany projekt wszyscy się z zadziwieniem przeżegnali. My tymczasem, zebrawszy nasze myśliwskie rynsztunki, jednym skokiem byliśmy na płytach. Stary Bartłomiej stał już u steru, kilku młodych chłopaków przy rudlu, a kilku inszych opierając silnie długie prysy o brzegi, odpychało uwięzłe płyty na piasku... Zbliżała się chwila odbicia... Wesołość natenczas i radość jakaś nadzwyczajna objęła nas i unosiła; krew młoda żywiej i swobodniej igrała w sercach; z niecierpliwem drżeniem czekaliśmy pierwszego targnięcia się statków pod nami... Porwałem fuzję, odłożyłem kurek... zrozumiał mię Hippolit, i toż samo uczynił... Płynęła... Płynęła... Palim!.. płyniemy!.. Huczna *salva* myśliwska odpowiada nam z brzegu!...—*U-laż! u-laż!!!* \*)—wykrzyknął Bartłomiej.



\*) *Ulaż*, wyraz techniczny, pobudzający do silnego robienia rudlem albo wiosłem.



## IX.

Gdy w rozpięty żagiel wiatr uderza i odbija od ojczystego brzegu nawę, pędząc ją na głębie oceanu, stojący natenczas na pokładzie wędrownik pogląda rzewném okiem raz ostatni na rodzinną ziemię, i z głębi serca woła:—

„Bywaj mi zdrowy kraju kochany“ \*).

Ale z pogodną duszą, bez tęsknoty i trwogi, w pięknych dniach wiosny roku i wiosny życia, puścić się i płynąć bezpiecznie rzeką ojczystą, po której brzegach coraz to nowe, coraz to rozmaite, coraz piękniejsze, a wszystko swojskie, domowe i kochane spotykasz widoki; oddychać pełną i rozszerzoną piersią, powietrzem napojoném wonią kwiatów i łąk, które się pomija, chłodzić się i pieścić niejako z falą kołyszącą cię mile i piniącą u nóg twoich... ach! to jest rozkosz czysta, niewinna, prawdziwa nadewszystko, której użyć.... spróbuj, młodzieńcze!.... a uznasz, że ja ani obrazów fałszywych kraju mojego nie maluję, ani uczuć serca nie kłamię... i rzeźwy, swobodny, szczęśliwy, zawołasz z uczucia, com ja z przypomnienia napisał:—piękną jest szeroka Litwa nasza!!!—

Na wesołość naszą i uniesienie patrzył oparty na wiosle Bartłomiej, uśmiechając się i kiedy niekiedy kiwając głową.

— Miarkuję, Mospanie, rzekł on, że Paniczom nowa to rzecz płynąć rzeką, i dla tego tak weselicie się i biegacie po płytach. Ja zestarzałem się przy rudlu, więc to mnie nie nowina; a jednak każdej wiosny, gdy chodzę na statek i ruszam od brzegu, lżej mi jakoś i weseliej robi się na sercu, żona stara zmarszczy się trochę, niby to płacząc, ale wkrótce ją ją z płytów a ona mnie z brzegu pożegna, i przestaje baba marszczyć się, a czeka potem spokojnie gościńca z Królewca.

A cóż to, Mospanie, teraz znaczy do tego, co dawniej bywało? Czy to spław teraz? Kilkanaście tych pławużek, które spuściwszy na rzekę, możeby bez sternika i czeladzi do Kowna dopłynęły. Oto, Mospanie, kiedy z dziesiątek albo i więcej strugów, wielkich jak

\*) Pożegnanie Child Harolda.

domy, każdy z masztem jak z wieżą i z żaglem jak z chorągwią, a naładowanych pieńką, siemieniem albo i zbożem, wychodziło z naszych przystani i puszczało się wiosną po rzece na pół mili rozładni, a niosło się bystro, że burczał statek! oto wtenczas trzeba było widzieć ochotę i radość naszą! oto wtenczas trzeba było być stérnikiem! Czasami strug, jak kaczką, wywijał się po rozlewie między wierzchołkami dębów i sosen, sterczącymi z pod wody. Trudno to było natenczas, Mospanie! ależ za to kiedy człek wykierował się gładko, to aż podskoczył z radości. No, i gdyby tyle dał Bóg aniołów przy skonaniu, ile strugów szczęśliwie do Królewca doprowadziło się. Oho, Mospanie! bywało jeszcze Pac z łysiną pod wodą, a już my w Kownie... Inne czasy Mospanie, inne czasy!...—

— Już dwa razy, ojcze Bartłomeju, rzekłem, wspominasz jakiegoś Paca, czego my nie rozumiemy. Gdzie jest, czy gdzie był ten Pac? zdaje się bowiem, że teraz o żadnym Pacu w tych stronach nie słychać.—

Ej to Maspanie nasz znak żeglarski pod Wielejką \*).

— Przecież musi być temu nazwaniu przyczyna?—

— Naturalnie że jest.—

— Więc nam ją opowiedz, kochany Bartłomeju!—

— Nic w tém ciekawego, ale zapalim luleczki, bo i Panicze, jak uważam, nie od tego.—

— Wyborny projekt; prosimy na nasz tytunik.—

— Dziękuję pokornie, Mospanie! Człek do swojego przywykł. W tém miejscu można sobie odpocząć; rzeka czysta i spokojna, trzeba się tylko na prawo trzymać, bo przy lewym brzegu miałczyzna.—*Na stos! na stos*, \*\*)— zawołał głośno Bartłomiej. Na tę komenderówkę rudel mocniej uderzył i płyty na prawo się wychylały, a on spokojnie nakładał swoją okopconą na krótkim drewnianym cybuczku lulkę; my też swoje nałożyliśmy. Bartłomiej tymczasem dobył z kalitki krzesiwo, hubkę i skałkę.

— Bodaj, Mospanie, ciężko będzie z ogniem; gąbka wilgotnieje, wisząc nad wodą—

Uderzył starzec krzesiwem po razy kilka, skry sypnęły się gęstém ogniskiem, ale hubka się nie zajęła.—Mówilem...— i powtarzał cięcia w skałkę, a zawsze napróżno.

\*) Wielejka—miasteczko powiatowe nad Wilją, w gubernji Wileńskiej.

\*\*) *Na stos*—w języku żeglarskim po rzekach, znaczy na prawo.

— Poczekaj, rzekł Hippolit; pobrobujemy naszego sposobu.—

— A . . . z fuzji—naturalnie że lepiej.—

— Nie, mój kochany! Mamy inne krzesiwo. — To mówiąc wyjął Hippolit z myśliwskiego pasa małą, węższą od ładunku, mosiężną rureczkę z tłoczkiem wewnątrz, założył odrobinę hubki na kruzeczek pod tłoczkiem, uderzył nim mocno i szybko w rurkę, i w mgnieniu oka dobył na tłoczku zapaloną hubkę i podawał ją zdziwionemu Bartłomiejowi.

— W imię Ojca i Syna! a to co? czary? Mospanie!—

— Nie, ojcze Bartłomieuju, nie czary, rzekliśmy śmiejąc się z jego zadziwienia; jest to nowo wymyślony sposób dostawania ognia bez skałki i stali.—

— A co tam na dnie w rurce? zapytał znowu staruszek. Czy nie djabeł tam siedzi zaklęty, z piekielną iskrą? Mospanie! Jak go Pan przybił po łbie, tak on gąbkę zapalił.—

— Prostsza daleko teoria, rzekłem do Hippolita, niżeli wyciśnienie się ciepłika ze zgęszczonego powietrza. Nie, Bartłomieuju, nie umiemy zaklinać djabłów, i nie chcemy mieć z nimi do czynienia. Śmiało zapalaj fajkę przy tym ogniu, bo nie piekielny; obejrzysz owszem nasze krzesiwo, a nawet włóż go na pamiątkę od nas do swojej kalitki; będziesz miał wygodę i zabawkę w drodze. — Wysłuchał potem staruszek wytłomaczonej mu przez nas i zastosowanej do jego pojęcia teorii naszej tego dowcipnego krzesiwka; wypróbował go po kilkakrotnie z widocznym ukontentowaniem, i przyjął podarunek z wdzięcznością.

— Powiozę to wnukom na gościniec, rzekł chowając rurkę do kalitki. Świat rozumnieje, Mospanie! ale cóż z tego, kiedy i holeje? Mospanie! . . . Ot i dowód na to, że holeje. — Widzicie Panowie te spichrze nad brzegiem? To niegdyś przystań. Dawniej tu, jak kiermasz, bywało kupców, Żydów, furmanek, trzepaczy, linników niezliczona moc; towaru aż nie mieściło się w spichrzach, który wszystkie my potem na strugi zabierali, a teraz puste, ani żywego ducha! Pozawałały się niektóre, a teraz i wszystkie zapadną. Wieleż takich miniemy jeszcze!—

— Ale Pac! zawołaliśmy, ojcze Bartłomieuju, Pac!—

— Siadajcież Panicze, to i opowiem.—

Tak mówiąc, podał nam niskie samorodne trójnóżki, i sam na podobnym na przodzie płyty usiadłszy,—*U-łaż! u-łaż!*—wykrzyknął. Długi i równy prąd Wilji srebryzył się przed nami; kłęby dymu



wszystkim nam trzem z ust buchały, i Bartłomiej opowiadać począł.—

— Panicze wiecie zapewna Wielejkę?

— Jakże nie? odpowiedziałem; o kilka mil od niej mieszkamy.—

— Teraz Wielejka już na miasteczko pochodzi; ale dawniej był to tylko dwór starościński i wioska, a Starostą Wielejskim było wielkie panisko, *Pac* \*).—

— Tatulu! przerwał głos z tyłu, na żywcu hruba sztuka!—

— Oho! zawsze na tej głębini ze szczupakiem spotkać się można—rzekł zrywając się Bartłomiej. My obróciliśmy się także i postrzegliśmy dorodnego chłopaka, przywołującego Bartłomieja; podbiegliśmy z nim razem.

— Sztuka! prawda hruba sztuka!—rzekł Bartłomiej, pokręcając głową i ukazując nam piórko, które, jak błyskawica w różne strony miotając się po wodzie, szarpało jej powierzchnię, przyskajając wtenczas w górę kryształowym grzebieniem.

— To na szczęście Paniczów, Mospanie—rzekł Bartłomiej.

— To na moje szczęście, tatulu, odezwał się chłopak, bo ja puszczał wędę.—

— Głupiś!—

— Aha!—

— Czy to wasz syn? Bartłomieju!—

— Nie, nie, Mospanie! mam ja czterech synów, ale żadnego takiego, Bogu dzięki!... To syn mojego sąsiada najmłodszy, Jakóbek. Ma on ich trzech: dwaj starsi rozumni, siedzą w domu i gospodarzą, a trzeci ten.... to podług bajki, Mospanie!... więc go ojciec na wodę puszcza.—

Tak rozmawiając, Bartłomiej nachylony nad wodą, sציągał powoli i ostrożnie długą, cienką ale mocną, z białych końskich włosów skręconą nitkę. Kiedy niekiedy drgnął pod wodą oddalony jeszcze od płytów, a uwieźły na haku szczupak. Woda natenczas w tym miejscu w szersze coraz roztaczała się kręgi, w środku których była zdobycz nasza. Czeladź cała zebrała się około Bartłomieja, i ciekawie razem z nami czekała końca nitki. Coraz bliżej i bliżej powtarzały się drgania i kręgi; aż nakoniec o kilka sążni od nas ukazała się nad wodą paszcza roztwarta i zakrwawiona ogromnego

\*) Wiadomość miejscowa.

szczupaka, wewnątrz której targała się jeszcze płotka, z którą razem chciwy ten żarłok i hak śmiertelny połąką.

Okrzyk powszechny powitał gościa, a niecierpliwy Jakóbek wskoczył do wody, i płynąc obok podchwycił go i na płyt wyrzucił. Padł nam, jak kawał kłody pod nogi szczupak, miotał się i rozbił po drzewie, a nad nim skakał z radości cały zmokły Jakóbek.

— Brawo ojciec Bartłomieju! brawo! rzekliśmy do uradowanego staruszka; dziękujemy ci za tę rozrywkę.—

— Niema za co, Mospanie; to Bóg dał. Ale suplikuję panów przyjąć tę rybkę od pokornego sługi.—

— Dziękujemy szczerze; jednak cóż z nią zrobimy? wszakże nie płyniemy do domu.—

— A gdziekolwiek zapłyniecie Panoczki, choćby, Mospanie, nie miarkując i nie przymierzając, aż do Pana Prezydenta, mojego dawnego łaskawcy, i tam, zgotowawszy na szaro lub po żydowsku, będzie około czego zabawić się; a dowiem żywego. Jakóbku! podaj bucz podróżny.—

Jakóbek podał sak z rozpiętej na obręczach siatki; wsadzono weń więźnia, wyjąwszy mu wprzód z paszczęki płotkę z hakiem, i przywiązany sak do płyty puszczo na wodę.

Na wspomnienie Prezydenta i odgadnienie celu naszej podróży spojrzeliśmy na siebie z Hippolitem. Zkądżeby się stary domyślił? bo wiedzieć nie mógł o projekcie nagle wynikłym.

Gdyśmy więc znowu na naszych stołeczkach usiedli,—zkąd wnosić możesz, Panie Bartłomieju, zapytałem, że my płyniemy do Prezydenta?

Staruszek się uśmiechnął—Czy zgadłem? albo co?—

— Dajmy że zgadłeś, ale jakim sposobem?—

— Któryż z Panów, Mospanie, do Panny Heleny?—

— Czy znasz i Pannę Helenę?—wykrzyknął Hippolit, zrywając się ze stolka.

— A... to Pan!!! — Starzec poglądał na Hippolita uważnie, jakby go raz pierwszy postrzegł, a potem rzekł uprzejmie.—

— No! daj Boże szczęśliwie... niema co powiedzieć, Mospanie!...

— Bartłomieju! rzekłem, kładąc fajkę, przestań tych zagadek; powiedz wolój jak odgadłeś cel naszej podróży, i zkąd znasz dom Państwa Prezydentów?—

Znowu się stary rozśmiał.

— Zkąd ja znam Prezydentowstwo? Ja, który znam, Mospanie,

od Wielejki aż do Kowna po brzegach Wilji wszystkie dwory, wioski i zaścianki, wszystkich panów i paniąt, chłopów i chłopiąt, jabym nie znał dworu i Państwa, pod których ogrodem zawsze *staubuję* się na połudzień, i którzy mię witają co rok, jak swego domownika, u których daj im Boże wiek długi i panowanie, przeleżałem za przeszłego roku sześć tygodni, gdy powracając z Kowna łądem i piechotą na promie, pod ich dworem rozchorowałem się na gorączkę. Przenieśli mnie zaraz z wioski do oficyny, i Imość, jak matka, nade mną staranie miała. A Panna Helena! to anioł w ludzkiem ciele! to, Mospanie, i wymówić trudno... Kto ma lat siedmdziesiąt, temu z gorączką niełatwa sprawa; to cud, że jeszcze żyję, to jój niewinne paciorki mnie uzdrowiły... Wieleż to razy na dzień przybiegła ona do mojej stancyi, a zawsze mnie pocieszyła. — Nie bój się, staruszk, nie umrzesz, mówiła głosikiem, jakim podobno aniołkowie w niebie gadają, nie bój się; będę pięć piątków pościć i mówić koronkę do Opatrzności Boskiej za twoje zdrowie... — A rosołki, a owsianki, a ziółeczka, kto, kiedy nie ona mnie przynosiła? O nagrodź jój Boże! Błogosław ją Boże!!! Ja jój tego dobrodziejstwa aż do grobowej deski nie zapomnę — mówił wzruszony starzec, ocierając z łez oczy.

— A jakiejże to radości było, kiedy moja baba z dziećmi po mnie przyjechała, kiedy mnie zdrowego jój oddawali!!! Nie, nie, niema takich drugich na świecie, jak ta matka i córka... Błogosław im wszystkim Panie Boże! — powtórzył Bartłomiej, wznosząc ręce ku niebu jak do pacierza złożone.

Gdy starzec to bezładne, ale szczeré i z głębi serca wymawiał błogosławieństwo, gdy imię ulubionój Hippolita z najżywszą wdzięcznością powtarzał, a cnotę jój i dobroć z anielską równał, Hippolit stał niewzruszony, oddychał głęboko i ciężko, obie dłonie na sercu złożył, jakby przytłumiając mocne i gwałtowne jego bicia. Jakiś niewymówny wyraz cierpienia czy zapału, smutku czy rokoszy płonął mu w oczach...

— Ale jakżeś zgadł, że my tam płyniemy? — zapytałem znowu Bartłomieja.

— Nie wiele na to trzeba było rozumu, Mospanie, a przez lat siedmdziesiąt zebrało się trochę jego w tój łysój głowie. Mil ośm płynąć mają... pomyślałem sobie, to nie darmo! Ale dokąd i po co? w tём sęk?... a tu Panicze każecie sługom i koniom iść do Niestaniszek; no, to już trochę wiemy, pomyśliłem znowu, ale jeszcze nie



wszystko, Mospanie! Każecie, i to najpilniej i po kilka razy, zabierać co najpiękniejsze swoje odzienie. Oho! ot człek i w domu! Pannicze płyną w konkury. A dokąd naprzykład? Najbliższy ztamtąd dom łaskawców moich Prezydentów, a tam Panna Helena, więc i po zagadce; bo gdzież dalej drugiej szukać? i gdzie taką drugą znaleźć...—

— Prawda, ojcze Bartłomieju, przerwałem, prawda! zgadłeś; trudnoby przed tobą coś utaić, gdyś taki mądry i przenikliwy.—

— A na co i tuić, kiedy w poczciwych a bogobojnych myślach— *śmierć a żona, od Boga przeznaczona?*— Do śmierci jeszcze Panom zdaje się daleko... a więc w imię Boskie, Mospanie!...— Tu patrząc w oczy Hippolitowi, kiwnął głową stary i zamilkł.

Hippolit rzucił mu się na szyję, uściskał go serdecznie, i znowu wesołość była z nami.

— Otoż kończąc Panom moim o Pacu, rzekł Bartłomiej gdyśmy usiedli na swoich stołkach i przygaszone rozniecili fajki, był on łysy, tak, jak ja teraz.

— Czy go znałeś?—

— Gdzie mnie znać było tak wielkiego Pana? Ale pamiętam, że jego łysą głowę, przez okno na Wilję wyglądającą, widywałem za młodu! bo dwór Pana Paca stoi jeszcze i teraz w Wielejce nad samą Wilją \*), a naprzeciw tego dworu na środku rzeki jest wielki kamień; siedzi on sobie, Mospanie, jak drugi Starosta po szyję w wodzie, a tylko łeb ogromny, łysy i twardy, pianą wodną jak szlafmycą pokryty, trzyma na wierzchu, jakby się nim do rozbijania statków gotował.

· Póki na wiosnę woda wysoka i rozlana, to ani kamienia nad wodą, ani Paca w oknie nie było, a strugi, krobki i płyty, śmiało mijały Wielejkę; ale jak słońce przygrzało, Pan Pac otwierał zaraz okno, i cały dzień, nie mając bodaj czego lepszego robić, palił fajkę oparłszy się na oknie, popijał winkiem, Mospanie, i poglądał na rzekę, na prom, i na ciemne za rzeką Mołodeczańskie lasy; a wtenczas i kamień łeb z wody wysuwał. Więc podpływając pod Wielejkę, zdaleka obaczyć można było i łeb kamienia, i łeb Paca Starosty; a to był zły znak, Mospanie, bo woda już była niska, a choćby jeszcze i udało się strugom ominąć tego zawalidrogę, to już rappy na Wilji i na Niemnie, które w czasie wiosennej powodzi

\*) Miejscowe.

głęboko pod wodą siedzą, teraz, kiedy rzeka w korycie, sterczą na wierzchu, i strugom przebyć ich niepodobna, nawet i płyt musi jak wjun się wywijać, aby potem poodzieranych brusów na czółenku nie łapać. I tak rok w rok bywało: kogo Pac w Wielejce nie powitał, ten szczęśliwie do Królewca dopłynął, a kto spóźnił się i jego zdaleka dójrzał, ten musiał len i pieńkę z wielką biędą ze strugów na krobki \*) przeładowywać, a ze zbożem drugiej wiosny poczekać. A tak czy kto wtenczas Starostę: czy kamień obaczył, wszystko to jedno; zawsze krzyczał—*Pac łysinę pokazał!*—i kłął jego bezbożnie. Nakoniec kiedy już Pac łysinę swoją i do ziemi schował, to kamień został Pacem, a przysłowie dla tego nie zmieniło się; i póki po Wilji ludzie pływać będą, przysłowie razem z kamieniem na wieki zostanie.

## X.

Dzień się skłaniał ku schyłkowi, i ten sam promień zachodzącego słońca, który nam w dniu imienin Pana Prezydenta nad Wilją przyświecał, spadł i teraz na rzekę łamiąc się rozmaicie podług jej biegu: raz nam ćmił oczy jaskrawym blaskiem, odbitym na wodzie jak na palącym zwierciadle; i płynęliśmy natenczas ogarnieni światłością, która nas zewsząd, i z pod wody nawet oblewała; to znowu, gdy rzeka inny brała kierunek, a zapadające słońce borem się zasłoniło, wypływaliliśmy na ciemne głębiny i przesuwaliliśmy się przez szerokie cienie, zalegające nurt rzeki i jej brzegi, a ustępujące powoli i nieznacznie blademu wieczornemu światłu... Zewsząd dochodziły nas głosy i echa owych krzykliwych a smutnych pieśni włościanek naszych, któremi się one wracając z pola do domów, pocieszają; zalatywała woń miła i ożywiająca świeżych pokosów kwitnących jeszcze zrana, podciętych w południe, więdnących wieczorem... Kilka stad krówek przybiegało z paszy do rzeki, i brodząc po miałkach jej brzegach, gasiło pragnienie i kapało się rzeźwo. Obrazy te wiejskie, sceny te zwyczajne i codzienne, chociaż pospolite i proste, bawiły nas jednak, bo powlekały się urokiem wesołości i roskoszą, w jakiej dzień cały upływał.

\*) Krobką zowie się płyt naładowany pieńką.

— Cóż będzie z noclegiem? Panoczki! odezwał się Bartłomiej; nasz zwyczajnie pod gołém niebem, i już niedaleko miejsce, gdzie ja zwykle nocleguję; ale ten raz przyjdzie pono dopłynąć milę dalej, do Żodziszek. Tam czy w klasztorze, który już teraz dworem nazywają, czy w plebanji Panicze przenocujecie.—

— Wcale nie zgadzamy się na to, ojcze Bartłomieju! owszem pod gołém niebem razem z wami. Cóż to? masz nas za piecuchów, którym koniecznie łózek i piernatów potrzeba? Nieraz zdarzało się niechcąc takie przepędzać noclegi, a czemużbyśmy teraz z ochoty nie przenocowali z tobą?—

— A miłyż Boże! zawołał uradowany Bartłomiej, to żyć i umierać z takimi Panami. Człęk, dalibóg, młodnieje Mospanie! Dobrze, wyśmienicie! Będziemy zatem nocować razem. Rybki wędzonej na wieczereę wystarczy, i jeszcze cokolwiek innego dla Paniczów się najdzie... głodni nie będziemy, a to grunt, Mospanie! Przytém miejsce na nocleg upodobacie zapewne Panicze, bo ja, choć prostak, lubię jednak wybierać takie stanowiska, gdzie rzuciwszy okiem około siebie, weselęj jakoś człowiekowi.—

Tymczasem gwar nadbrzeżny ucichał powoli; echa i głosy umilkły i wszystko umilkło... szum tylko wody uderzanej naszym rudlem rozlegał się za nami i tłumił w powszechnej ciszy, która z zapadającym zmrokiem objęła ziemię.

---

Brzegi Wilji płaskie dotąd i równe, zbliżając się ku Żodziszkom \*), coraz się podnoszą i piętrzą; podrywane wiosenną powodzią, poformowały się w rozpadliny, szczyrby i urwiska, które nakształt skał wydatnych długą i wysoką ścianą sterczą z obu stron. Ścianę tę rozdierają w niektórych miejscach głębokie i daleko w brzegi zachodzące parowy; po dnie ich biegną szumne i bystre potoki z nadbrzeżnych krynic wynikłe, i spienione swe nurty do Wilji wlewają. Wąwozy te na wzniosłych swych i nierównych bokach, nawisłemi jodły, karłowatą brzozą i krzakami gęstej leszczyny porosłe, świeżą zawsze i różnie cieniowaną pokryte zielonością, w rozmaitych swych zakrętach, przepaściach, wzgórzach i kątkach, zachowują tysiące miejsc powabnych, tysiące niespodziewanych, a

\*) Żodziszki, miasteczko niegdyś Jezuickie, nad Wilją w powiecie Zawilejskim położone.



tak prawdziwie pięknych widoków, że od nich oka i serca oderwać niepodobna, że ich obcybmyśmy zazdrościli krajom... czemuż we własnym nie znamy?

— *Na stos! na stos! Staubuj!* wykrzyknął Bartłomiej. *Staubuj!*— powtórzył, i wkrótce przybiliśmy do prawego brzegu Wilji, pod jeden z takich parowów.

— No, Panoczki, proszę za mną, rzekł on wychodząc na brzeg. Przywiążujecie płyty! — zawołał na swoich; a nas wprowadził przez małą nadbrzeżną płaszczyznę do parowu, i. po stromych jego bokach krętą i waziutką, ale dobrze ubitą ścieżką piał się na górę.

— Dokąd nas prowadzisz? ojcie Bartłomieu!—zapytaliśmy gromoląc się za nim.

— Na nocleg i na wieczerzę, odpowiedział; tylko ostrożnie iść trzeba. Ta ścieżka jeszcze pono przez jezuitów wydeptana; bo to miejsce niegdyś do Żodziszek, a Żodziszki do Jezuitów należały... Tu slisko, trzymajcie się Panicze za leszczyne, bo zjedziecie na dół po piasku... Nie daje jej zarastać dziatwa z okolicznych wiosek, czepiając się za orzechami lub zbierając poziemki, których tu mnóstwo w swojej porze wysypuje się; ja też co rok ją odnawiam... Tu po tej kłodzie przejść trzeba, bo to krynica pod trawą; byle w bok krokiem, to po szyję... A! otoż jesteśmy na miejscu.

Na te słowa Bartłomeja obejrzelśmy się na wszystkie strony, i poglądając to około siebie, to na siebie, to na naszego przewodnika, staliśmy w zachwyceniu. On z uśmiechem zadowolenia popatrzywszy na nas przez chwilę, zbierał potem suche gałęzie, i przyszłe z nich układał ognisko.

Byliśmy natenczas o sążni kilkanaście wyżej nad Wilją, i o tyleż może od jej brzegów odlegli, na małej równinie na wierzchołku góry, na którąśmy się wdrapali, a u podnoża wyższej, nad nami się podnoszącej \*). Góra ta wyższa, wyraźnie ręką ludzką szeroko aż do dna wydrążona, z wysokich boków swoich zlewa kilka czystych strumieni. Z nich utworzyła się u spodu okrągła i obszerna sadzawka, która, jak zwierciadło optyczne na dnie kalejdoskopu, zbiera w jeden obraz rozpierschłe po bokach przedmioty. Teraz w głębi jej, na tle błękitném, jaśniała twarz księżycy; a z pomiędzy dokładnie odbitych i zrysowanych nadbrzeżnych drzew i krzewin,

\*) Miejsce to piękne znajduje się nad Wilją w powiecie Zawilejskim, o pół mili od Żodziszek.

błyszczały gwiazdy, jak topazy zdobiące malowidło jakiegoś świętego oblicza.

Woda z sadzawki rozwartym przepokopem toczy się obfitą strugą przez równinę, na której staliśmy; przebiega ją szumną kaskadą spadając na dół, rozbija się i rozpryska w milionowe krople o stare mchem okryte balki i pale, jakby naumyślną tam zawadę rzucone i white; a na dole, znowu w rzeczkę zebrana wbiega do Wilji, która cały ten uroczy krajobraz szerokim na prawo i na lewo obwodzi szlakiem, lecz go nie ogranicza wcale; bo wzrok rzucony za jej biegiem długo jeszcze i daleko łamie się po parowach, zawisa na drzewach, przekrada się drożynami wijącemi się po brzegach, uderza gdzie-niegdzie o rzekę aż nakoniec gmatwa się i tonie w odległej i zamglonej mieszaninie.

Noc jasna, miesięczna, nie kryła tych wszystkich piękności, rozwiniętych przed nami; bladą je tylko oblewając światłością, łagodziła ostre kształty załomów, i łagodnym także zadowoleniem napawała zmysły.

— Zkąd te tu balki, pale i rozkopy? kochany Bartłomieju ; —

— To, Mospanie, Jezuickie jeszcze zabytki. Stał tu niegdyś młyn, jak gniazdo jaskółcze do tej góry przyczepiony, a woda spadająca z sadzawki umyślnie rozkopanej, obracała w nim koła. Widziałem za młodu na moje oczy i młyn i tego mądrego Jezuitę, który go tak sztucznie wymyślił i zbudował; bo to, Mospanie, wszyscy Jezuici byli podobno bardzo rozumni, i nie wiem za co na nich taka przyszła plaga, że ich zewsząd wypędzili . . . Widać że nadto na rozum brali . . . ale nie nam było wiedzieć i rozmyślać o tém; dość że jak ich nie stało, opustoszały i Żodziszki, a młyn, powiadają, Mospanie, że tego samego dnia, którego Jezuici z Żodziszek wychodzili, spadł na dół, jakbyś go ręką zepchnął \*). Woda potem i ludzie rozebrali drzewo, a czego wyrwać nie mogli, zostało się na pamiątkę.—

Wkrótce stos przez Bartłomieja ułożony buchnął płomieniem, a drugi takież zajaśniał na dole nad Wilją, przez czeladź pilnującą płytów zapalony, i oba szeroką i jasną na rzece odbiły się łuną. Bartłomiej huknął na Jakóba, a ten przyniósł nam bez zwłoki potężny jaszcz z zapasami podróżnymi i nadto kilka jaziów, które podczas

\*) Miejscowe podanie

naszej rozmowy z Bartłomiejem, nie oznajmując że się na węde brały, ułowił.

— A to zkąd wziąłeś? Jakóbkku! —

— Ztamtąd zkąd i szczupaka— odpowiedział śmiejąc się głupowato.

Nie zapominał Bartłomiej o wygodach, na długie a często powtarzane żeglugi potrzebnych: znalazł się w jaszczu czysto wybielony kociołek, znalazły się również czyste łyżki cynowe królewieckie, znalazły się kuchenne niejaki przyprawy: sól, pieprz, cebula; słowem wszystko, co do ugotowania ryby, która najczęstszą na wodzie była mu strawą, nieodbicie potrzebne.

Z dokładną więc znajomością sztuki kucharskiej przystąpił on do gotowania jaziów, i gdy wrzały na płomieniu, my usiedliśmy około ogniska, zapaliliśmy lulki, i dalszą ze staruszkim przedłużaliśmy rozmowę.

— Daruj co powiem, kochany Bartłomieju, rzekłem, ale dziwi nas mocno twój rozsądek! zdajesz się nam być daleko nad twój stan rozumniejszy.—

— Chwała Bogu, Mospanie, że mój stan nie rozumniejszy ode mnie; wtenczas byłoby gorzej... Ale może to i prawda po trochu, w terażniejszych osobliwie czasach; bo dawniej za mojej młodości nie jeden ze sterników był takim jak ja, a może i co lepszego ode mnie; nie jeden na strugu, który do Królewca prowadził, przy kupieckim czy pańskim towarze miewał własny ładuneczek, a z czasem i przemyśłem, nieraz pięknego uzbierał grosza; ocierając się zaś nieustannie między ludźmi, i sam wychodził na człowieka: poznawał, Mospanie, świat szeroki, poznawał wszystkie kupieckie obróty, a nauczywszy się jeszcze i pięknej polityki, kiedy był wolnym człowiekiem, tak jak ja z łaski Boga jestem, zostawał często i szafarzem spławnym u jakiego wielkiego pana; a to się znaczyło, że całą handlową substancję pańską miewał na swoim ręku. Tak było i z nieboszczykiem moim ojcem, Panie świeć nad jego duszą... Zagawędziłem się z panami, a tu ogień gaśnie...

Cały sekret, Mospanie, gotowania ryby po żydowsku na tém zależy, aby na żywym płomieniu ją warzyć i często szumować; a że ja i ogień spuściłem i szumować zapomniałem, więc sami panicze winni będziecie, że jazie nie będą wysmienite.—

— Mniejsza o to, ojczy Bartłomieju! zjemy jakie będą; ale kończ swoją historję.— <http://rcin.org.pl>



— Ze mną, Mospanie, mówił więc dalej staruszek, pilnie sumując rybę, ze mną . . . to inaczej być miało. Ja nie mogę powiedzieć—*w szkole nie bywałem różgi nie widziałem*;—bo to niby liznąłem trochę abecadła. Mój ojciec, będąc już szafarzem na strugach Księcia Ogńskiego z Mołodeczna, i poczuwając się do grosza, chciał mnie starszego swego syna na coś lepszego kierować, to jest, na organistę. Zawiózł mnie zatem, gdym już był dobrym wyrostkiem, do Krzywicz, do klasztoru księży Trynitarzów, i oddał, tamtejszemu księdzu Prezydentowi, znajomemu sobie oddawna, na opiekę i posługę w celi, księdzu Zakrystyanowi na opiekę i posługę w kościele, a organiście na posługę i naukę na chórach. Ciężka to więc byłaby służba trzem panom, prócz innych księży, których także słuchać należało; ale że takich malców było z dziesiątek, a czasami i więcej w klasztorze, bo to było *per modum* szkółki, więc było czasu dosyć nietylko na służbę, ale i na naukę. Wyuczyłem się więc tam dobrze czytać na Złotym Ołtarzyku, na którym i teraz Pana Boga chwale; służyć do mszy po łacinie, czego i pod starość przy zręczności nie opuszczam, i już nieźle grezmoliłem—*„Najświętsza Panno! formuj moją rękę, bym mógł opisać syna twego mękę.”*—Szło zatem wszystko dobrze i po myśli mego ojca; pojmowałem i uczyłem się ochoczo, usługiwałem w klasztorze pilnie i rzeźwo, a w kościele zastępowałem czasami i księdza Zakrystyana, zwłaszcza na nieszpórach, gdy w czasie jakiego festu, po długim nabożeństwie i sutěj po obiedzie konsolacyi, zasnął nieboraczek.

Mój ojciec co rok, wróciwszy z Królewca, odwiedzał nas, a nigdy z próżnemi rękami. Księdzu Prezydentowi przywoził na gościniec cały obwarzanek holenderski, księdzu Zakrystyanowi i panu Tomaszowi organiście, po tabakierce pięknej, albo po kilka sinych chustek, albo po wysmienitym nożu niemieckim, nakoniec pani Tomaszowej i jej córeczkom pięknych wstążek, a czasem i kartuniku na sukienki; a tak miałem łaskę u wszystkich, i było mi jak w raj.

Ale nadszedł czas biedny, kiedy mnie pan Tomasz do klawiszów zapędzać i głosu mego próbować zaczął; ot na tém wszystko pękło. Żadną miarą nie laży mi do głowy te kruczki i petelki, które nótami nazywają; a co jeszcze gorzej, że palce moje, jak grable, nie mogły się wyłamać do grania; i nakoniec po długiej męce, gdy na pierwszej probie przyszło odpowiedzieć — *et cum spiritu tuo*, — nie mogłem złapać ani na klawiszach, ani w mojem gardle zgodnego z celebrującym tonu; zabezpiecałem Bóg wie po jakiemu, że aż wszyscy

w kościele oczy na chór obrócili. Na nieszczęście moje tym celebującym był nowy Prezydent; bo krótko przedtém rozkazano księdzu Błażejowi, dawnemu Prezydentowi, a memu szczególniejszemu dobrodziejowi, i opiekunowi przenieść się na Prezydenta do klasztoru Wileńskiego na Antokol, a księdzu Zakrystyanowi gdzieś na Białoruś. A tak nowy Prezydent, zdziwiony mojem—*et cum spiritu tuo*,— a do tego skrzętny jakiś i niecierpliwy księżyna, tego wieczoru zaczął nas wszystkich brać na ścisłą konfessatę. Mnie szczególnie, jako przeznaczonemu na organistę, rozkazał przed sobą grać na organie i śpiewać, a posłuchawszy krótko, pokiwał głową i rzekł:—Na niedźwiedzie tobie w Smorgoniach trąbić, nie na chwałę Boską grać tu i śpiewać. A to chyba na *turbatora chorum* trzymać go tutaj, ale w naszej regule zakonnej niema *turbatorów*; my zgodnym głosem chwylimy Pana Boga. A zatém panie dlabidado, rzekł obracając się do organisty, staraj się sobie waszeć innego śpiewaka, a ty słowiczku z niedźwiedzim basem *fora z klasztoru!* bo darmo jedów nie potrzebuje.—

Po takim szpetnym pożegnaniu poszliśmy z panem organistą, nosy na kwintę spuściwszy, do pani Tomaszowej na radę. Rozchodziła się Imość szalenie; gdyśmy jęj powiedzieli co się stało. Na przewisko dlabidudy odpowiedziała plechem, i wraz wyprawiała nas obudwóch, albo sama się nawet wybierała ze skargą do księdza Prowincyała; mężowi śmiertelnie zabraniała, aby i nogą na chórze nie powstał; zaklinała się że i do rąk nie przyjmie dla wyprania bielizny klasztornej, jeżeli mnie wypędzą. Oj! bo pani Tomaszowej nie tak mnie, jak królewieckich wstążek i kartuników żal było.

[Pan Tomasz wysłuchał cierpliwie pokręcając głową, furi Imościnej; naręście dał taką rezolucję—*Tace ladaco! to jest, milcz moje serce!*— Takim zawsze wyrazem kończył on dysputy z swoją Imością, podobno dla kadencyi mając w nich upodobanie.— Żadnej dobrej rady nie dałaś, a nakrzyczałaś aż głowa pęka. Oto tak będzie: Bartłomieju! wracaj do domu; jesteś chłopak zdrów, poduczony, pobożny, więc cię Bóg pobłogosławi! Sam cię jutro odwiozę i opowiem wszystko panu Jakóbowi, ojcu twemu; boby mógł rozumieć, że cię ztąd dla jakiego złego uczynku wypędzono, albo że sam sobie dałeś pozwolenie na drogę; a twoja cała wina, że beczysz jak koza. Organistą nie będziesz; no! szkoda . . ., ale cóż robić?— rzekł zażywając tabakę i napuszywszy się jak indytk.— Ale przecież chleba ci nie zabraknie, bo i pan ~~tatulo~~ twój chwała Bogu porośł w pie-

rze; więc dziś mi jeszcze raz ostatni na nieszporych pokalikuj, a jutro po nabożeństwie, (była to bowiem sobota przed kwietną), ruszym w drogę... Waspani zaś trzymaj język za zębami, bo jak ksiądz Prezydent dowie się o twoich furych, gotów i nas tak jak jego wypędzić; a chociaż przy talencie nie umarłbym przecię z głodu, jednakże szukać kąta nowego, kiedy jest gotowy i ciepły, nie chciałoby się na starość. A zatem... *tace ladaco! to jest, milcz moje serce!* i kwitade.

Po tej perorze poszliśmy spokojnie na nieszpory, pokalikowałem ostatni raz panu Tomaszowi, a nazajutrz, odbywszy spowiedź wielkanocną i pomodliwszy się z płaczem przed Panem Jezusem Krzywickim, zupełnie takim samym, jak Antokolski w Wilnie, odjechałem z moim opiekunem do ojca, krórego znaleźliśmy ładującego strugi i wybierającego się z pierwszą wiosenną wodą do Królewca.

Gdyby nie obecność pana organisty, byłoby źle ze mną; ale on wszystko wytłómaczył i zaręczył, że jestem niewinny; kazał mi przed ojcem czytać Ewangeliczkę i Złoty Ołtarzyk na dowód, że darmo kaszy nie jadł. Koniec końcem stanęło na tym, że mnie ojciec postanowił zabrać z sobą na strug, a płynąc tuż około klasztoru XX. Trynitarzów Antokolskich, oddać mnie znowu księdzu Błazejowi, byłemu Prezydentowi Krzywickiemu, na dalszą naukę, choćby już nie na organistę, to przynajmniej na mądrego człowieka.

W kilka dni potem wyruszyły strugi, a na najpiérwszym ja z moim ojcem, który był razem sternikiem i szafarzem sławnym Xięcia Kuchmistrza Ogińskiego, bardzo wielkiego pana, który pięć strugów co rok własnem zbożem i pieńką naładowanych do Królewca wyprawiał.

Takie nowe, wesołe, jak rekracya, życie, przypadło mi od razu do serca; ale też i tatulo mój kontent był ze mnie, bom mu służył ochotniej i pilniej jeszcze, jak księżom w klasztorze, a w wielu rzeczach mógł się na mnie i spuścić. Sternictwo pojmowałem należycie, a co się najbardziej ojcu podobało, to że z nim regularnie każdego ranku litanje i godzinki odnawiał, a w każdą niedzielę, zebrawszy całą żeglarską drużynę, głośno i pięknie Ewangelję świętą odczytywałem. To też gdy do Wilna podpływaliśmy nie chciało mnie się bardzo porzucić ojca i powracać znowu do książki, ale powiedzieć mu tego nie śmiałem, gdy on sam podszedłszy do mnie:—Bartku, rzekł, popłyniesz waszeć ten raz ze mną aż do Królewca, i kiedy aż do końca tak sprawować się będziesz, ku-



pię ci tam piękną kapotę, a wróciwszy pomyślimy, gdzie się obrucić.—Pocałowałem ojca w rękę, on mnie przeżegnał, a ja podskoczyłem z radości.

Po tej pierwszej szczęśliwie odbytej żegludze, ojciec mój nie mógł już obejść się beze mnie; byłem mu wiernym pomocnikiem we wszystkim, a w niektórych okolicznościach i zastępowałem go nawet. Miałem lat osmnaście, nie czas było wracać się do książki; a po ochocie i zdolności ojciec i ja sam poznaliśmy, że mnie Bóg nie na organistę, ale na żeglarza stworzył.

Jak potém każdą wiosnę i lato na wodzie, a prawie każdą zimę to po dworach, to po klasztorach, poduczając się to tego, to owego, przepędzałem, i nie z jednego pieca jadałem chleb; jak potém wszystkie zapasy i dostatki ojcowskie w rewolucji przepadły; jak doczekałem się, że ostatni strug zgnił na brzegu Wilji, a ja z potrzeby i z nawyknięcia nie mogąc porzucić mojej kochanej rzeki, przeszedłem na krótki i na płyty; jak ożeniłem się z córką tegoż samego organisty Krzywickiego, to wszystko inna materya; i nie czas ją opowiadać panom, kiedy ryba gotowa — rzekł zdejmując warzący się kociołek z ognia... — Otoż to tak nauczyłem się tego niby to rozumu, który, jak Panicze mówicie, wyższym jest nad mój stan. Proszę rzekł znowu podając miski i łyżki... Rybę zaś gotować po żydowsku nauczyłem się od Abrama, starego żyda, kupca z Kurzeńca, z którym często płynęliśmy na jednym statku, i z którym na tém samym miejscu gotowaliśmy nieraz szczupaki. A co, Mospanie, jak smakuje?—

— Wyśmienicie, kochany Bartłomieju!—

— To i na zdrowie!—

I w rzeczy samej wieczerza ta, w której rybę suszoną zastąpiła świeża dobrze ugotowana; w której chleb razowy, ale smaczny i sér z kminem z podróżnego wydobyty jaszczka, były deserem, a woda z najczystszej krynicy napojem, posiliła nas i zabawiła razem... O jakże rzadko to oboje na wykwintnych jednoczy się balach!

Nie myśleliśmy jeszcze o śnie, do którego wyrozumiały nadspodziewanie Jakóbek przygotował rohożowe posłanie; ale staruszek nasz, pykając lulkę drzémac powoli zaczynał... Nagle jakby się ocknął, przetarł sobie oczy i powstał;—a pacierze?—zawołał,—a modlitwa wieczorna? Tożbym ja stary pierwszy raz w życiu spać się położył bez pacierzy? O! co nie, to nie! Paniczom wolno jak chcą... choć to, Mospanie, *któ z Bogiem, z tym Bóg!*... ale ja

swojej modlitewki nie opuszczę. Od ojca mego, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem: śpiewałem ją potem za processją w Krzywiczach, potem znowu z ojcem każdego wieczora na strugach ją odmawiałem, więc i do grobowej deski odmawiać będę.—

Przeżegnał się starzec, złożył ręce, podniósł je w górę i mówić zaczął:—

— „Kto się w opiekę poda Panu swemu,

„A całym sercem szczerze ufa Jemu,

(Przerwałem złożywszy także ręce)

„Śmiecie rzec może — mam obrońcą Boga,

„Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.

-- Jak to? rzekł zdziwiony Bartłomiej, i pan ją umiesz?—

— Od matki mojej, gdym był jeszcze dzieckiem, jej się wyuczyłem; śpiewałem ją potem za processją w Borunach, potem znowu z matką odmawiałem ją codzień wieczorem w domu, więc i do grobowej deski odmawiać będę.

„Ciebie on z łowczych obierzy \*) wyzuje

„I w zaraźliwym powietrzu ratuje;

„W cieniu swych skrzydeł zachowa cię wiecznie,

„Pod jego pióry ulęziesz bezpiecznie!

Starzec powtarzał za mną, lecz coraz bardziej i coraz stałej wzrok swój we mnie zatapiał...

Przypomnienie dni moich dziecinnych, matki i jej gorącej wiary, z którą mi w pamięć i w serce modlitwę tę przelewała: niebo błyszczące mirjadami światła! cichość powszechna, której jednotonny szum tylko Wilji uroczysty był wtórem!!! wszystko to z modlitwą razem uniosło duszę moją do Boga, i dało dobitność i życie każdemu słowu, głosowi,—potęgę i siłę, której się sam oprzeć nie mogłem, i która osłupiła starca, słyszającego raz pierwszy w życiu swoim skromną modlitewkę wymawianą z zapalem, który aż jego dosięgnął, i który objawił mi samemu nieznaną dotąd jej szczytność! Mówiłem ją bowiem jak przenikniony do głębi serca chrześcijanin, jak pełen miłości, nadziei i wiary świętej wyznawca! mamże dodać, jak religijnie natchniony poeta?... jak ją czuł i śpiewał Król Prorok i wieszcz razem, który ją na cześć Boga ułożył? jak ją czuł nie-

\*) Obierzy — sieci.

śmiertelny tłumacz jego? i jak ją... bodajby każdy mój czytelnik czuł i powtarzał!.., gdym rzekł:—

„Słuchaj co mówi Pan—Kto mnie miłuje,  
„A przeciwko mnie szczerze postępuje,  
„Ja go też także w jego każdą trwozę  
„Nie zapamiętam!!! i owszem wspomogę;  
„Głos jego u mnie nie będzie wzgardzony,  
„Ja z nim w przygodzie !...“—

Głos mój na tój szczytnęj półwierszówce sam się zawiesił.... Zamilkłem. Starzec upadł na kolana, łzy mu ciekły po obliczu... oczy jego, na mnie zwrócone, wyzywały mię niecierpliwie do dalszēj modlitwy.... Jam ust otworzyć nie mógł.... Serce mi drżało!!!! Zdawało się, że echo święte z niebios mi odpowiada!....

Nie! nigdy w nikim sławne w literaturze świeckiej i górniemi uznane wyrażenia, nie sprawiły i nie sprawią takiego uczucia, nie uniosą tak wysoko duszy!... Tam człek nad swą nieudolność wleciał na chwilę, i wnet w nią odpadł; tu Bóg!... Bóg w całej swęj wszechmocności się objawia i bezpieczeństwo sprawiedliwego jednym JA! zaręcza!... Gdym modlitwę dokończył, czoło starca było na ziemi; Hippolit stał zadumany o drzewo oparty... nakoniec postąpił ku mnie, i ściskając moją rękę:—Przyjacielu, rzekł, w tym jednym momencie ożywiłeś w duszy mojęj dawno zaniedbane, złym przykładem czy powszechnęm dziś zepsuciem stłumione uczucia; głos matki mojęj, równie jak twoja bogobojnēj, i zapewne równie jak twoja w niebiosach, odezwał się w mem sercu, i powtarzał za tobą pamiętną mi i ulubioną jej modlitwę Głos ten odtąd nie umilknie ani w mēj duszy, ani w mych ustach!

— „Głos twój przez NIEGO nie będzie wzgardzony!“—

przerwałem z nieostygłym jeszcze ogniem.

— Dzięki ci, mój drogi! rzekł wzruszony Hippolit, rzucając się w moje objęcia; dzięki ci serdeczne! O jakże mi słodko po twojęj modlitwie!...—

Hippolit młodą głową (szczęście że nie sercem) był wychowancem wyobrażeń XVIII wieku, tego to bezbożnego niedowiarka, starca skonałego w zgryzotach i obłąkaniu, którego następcą XIX, jak Archaniół czarta, zwyciężył, obalił, i nogą w piekło potracił; który oniemiał ziemię dla Boga!!! *Bóg też z nim nie był w przygodzie!*



Nakoniec wszyscy trzej zalegliśmy rohoże, a wolne i spokojne zadumanie wszystkim trzem skleliło powieki.



## XI.

Nazajutrz Bartłomiej, wstawszy raniiej i przygotowawszy płyty do odbicia, powrócił na górę i obudził nas słowami — *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.*—

— *Na wieki wieków*—odpowiedzieliśmy przecierając oczy.

— Komu pora, temu i czas, Mospanie! Ruszajmy. Chcę panów na śniadanie do Żodziszek dostawić; tam się znajdzie piwo i śmietana; a tymczasem kubkiem czystej wody musicie panicze kontentować się. Powiadają że to zdrowo.—

Rzeźwo powstaliśmy z ziemi, i spełniwszy radę Bartłomieja, wnet byliśmy na płytach.—Odbijaj—*Ułaż!* wykrzyknął starzec.

Gęsta mgła ranna, rozwlekła się nad ziemią i nad rzeką, przemawiała pierwsze promienie wschodzącego słońca, które wpadały w nią z góry i tonęły, lecz przebić jej i rozproszyć nie mogły. A tak my jak w obłoku utajeni posuwaliśmy się po wodzie spokojnie i cicho, szepcząc każdy poranną modlitwę, i nie widząc ani rzeki, która nas niosła, ani jej brzegów. Kiedy nie kiedy tylko rybołów szerokiemi, białemi i błyszczącemi skrzydłami rozciął horyzontalnie jak mieczem mgłę, plusnął piersią po rzece, i wyrwał z wody płotkę, z którą znowu we mgle utonął.

Powoli jednak émy te wilgotne, mocniejszem słońcem dogrzane i lekkim wietrzykiem falowane, rozrzedzać się i niknąć zaczynały. Mogliśmy już postrzegać i rozróżniać brzegi, gdy Jakóbek podbiegł do mnie, i pociągnąwszy za połę,—*a wo!*—rzekł, pokazując palcem na zarosłą trzciną i ajerem zatokę, z której małe stadko kaczek wypływało na czyścinę. Dwoje starych płyneło na przodzie, młode zaś i bojaźliwe potomstwo wychylało się z sitowia, i przelęknione płytami, nazad w gąszcz się chowały. Stare, nigdy dotąd wystrząłem z płytów nie płoszone, śmiało za sobą wyzywały dziatwę.... Zmierzyliśmy oba z Hippolitem, i obu przyszło na myśl zapytanie, jakim sposobem dostaniemy ubita zwierzyne? Nie odpowiadając ustnie,

dał na to odpowiedź postacią swoją Jakóbek. Po tej krotofilnej figurze, stojącej za nami na jednej nodze, w krótkiej kurtce i pochylonej na wodę, a niecierpliwie oczekującej. wystrzału, zgadliśmy, że wyżyła potrzebować nie będziemy.

Strzeliliśmy oba, i buchnął do wody Jakóbek; po chwili zaszeleścił w trzcinie, a po drugiej był już na płycie i pięć kaczek rzucał przed nami, śmiejąc się i skacząc około nich, jak wczoraj około szczupaka.

— No, mamy rybę i zwierzynę—odezwał się Bartłomiej.

— Ryby, tatulu, niema—odpowiedział Jakóbek.

— A szczupak?—

— Ehe, szczupak! Szczupak dawno już gdzieś tam hula po rzece, a w buczu tylko dziurę zostawił.—

— Ach! głupiś Jakóbk! głupiś! Czemużeś nie pilnował?—

— Aha! głupiś; nie ja głupiś, ale bucz, bo stary.—

— Patrzcie Panowie, rzekł śmiejąc się staruszek; my go mamy za głupca, a on przytém frant. I w bajce jak trzeci brat, miany przez dwóch starszych za głupca, jest z głupia-frant, i dla tego zawsze lepiej od obudwóch wychodzi.—

Tymczasem mgła się w górę unosiła i wzbijała się w powietrze; ranek letni z całą pięknnością, z całą świeżością i wdziękiem zajaśniał; z wdziękiem tylekroć opisywanym, tylekroć malowanym, a zawsze w istocie miłszym nad wszystkie opisy i malowidła. Któż bowiem wydać potrafi tę wesołość i świeżość orzeźwionej spoczynkiem natury? Kto wyda to mnóstwo i bogactwo jej powabów, blasku i cieniów, farb i woni, łagodnego szumu drzew, otrząsających rosę z gęstych gałęzi, i głosów ptasząt w nich ukrytych, brzęku pszczołek, pluskania rybek, mknień motyli?... Któż to wszystko razem i w jednym wyda obrazie, tak, jak wszystko razem w jedno zlaném harmonijném uczuciem, chórem czy zdrojem, napływa do serca, ożywia krew naszą, krąży z nią, i też samą wesołość i świeżość przenosząc do głębi naszego jestestwa, szczęściem, roskoszą i uniesieniem nas poi?...

Radośnie więc powitaliśmy odkrywające się słońce, i dobrą myślą usiadłszy na trójnożkach obok Bartłomieja, i zapaliwszy fajki, płynęliśmy weseli, do nowej z nim zabierając się gawędki.

— Przybliżył się, rzekł Bartłomiej, do dworku; a był to niegdys cały dwór Pana Koniuszyca, mojego starego przyjaciela, kuma i łaskawcy.—

— Pana Tadeusza! wykrzyknąłem; gdyż lubo świadomy okolic, zapomniałem że nam przed Żodziszkami płynąć około niego wypadnie.

— Jakto? naszego wesołego sprzymierzeńca na imieninach? wykrzyknął także Hippolit. Ach! trzeba go przecież odwiedzić. Rad-bym przy téj zręczności bliżej się z nim poznać.—

— Pamiętajcie Panowie o Pacu, rzekł na to Bartłomiej. Zajeżdżając po retentach, naprowadzicie mnie na biedę.—

W tém donośny głos przerwał mu z brzegu: *séry! mléko! słoni-na! groch! groch!*—i echo odbiło—*gróch! groch!*—*Staubuj!* i echo powtórzyło—*Staubuj!*... Otoż i sam Pan Koniuszyc zaprasza nas na śniadanie.—

Jakoż postrzegliśmy Pana Tadeusza przechadzającego się po wysokim brzegu, na którym jego domcek się wznosił, i wykrzykującego bez ustanku—*groch! słonina! Staubuj!*

— A to co? zawołał on postrzegłszy nas także; czy mi śni się! a dalibóg to Podkomorzyc i Pan Ignacy. Czy doprawdy tu jesteście?—

— My sami, jak nas widzisz, kochany Panie Tadeuszu!—

— Cóż to? czyście się nie wytrzeźwili jeszcze od onegdajszego? czy poszalawszy z miłości, płyniecie do Królewca, a ztamtąd za morze?—

— Cós nakształt tego, zacny nasz przyjacielu! odkrzyknął Hippolit; lecz przy zręczności chcielibyśmy i Pana odwiedzić, tylko że należąc do czeladzi Bartłomeja, znajomego Panu, bez jego dozwolenia nie wysiadziemy na ląd.—

Na te słowa Hippolita—*Staubuj!*—wykrzyknął Bartłomiej, a razem wrzasnął i Pan Tadeusz: — Stary kumie! łysy djable! czy to mnie chcesz minąć?—

Wnet zatem przybiliśmy do brzegu i uściśniliśmy się z Panem Tadeuszem, który zszedł na dół na przyjęcie nasze.

— No, powiedźcie mi, zapytał on, co znaczy ta wasza nawigacja?—

— A najpierw, przerwał Bartłomiej, prowadź Pan Ichmościów na kawę, bo na śniadanie tylko po kubku wody wypili. Ranek był mglisty i chłodny, więc i mnie szklanka piwa grzanego nie zaszkodzi.



dzi z łaski Pańskiej, a czeladzi po kieliszku wódki, o którą rozliczymy się, Mospanie, przy targu o groch i słoninę.

— Obejdzie się bez tych rozliczek, panie organisto krzywicki! odpowiedział Pan Tadeusz, znający widać dokładnie żywot Bartłomieja. Chodźmy na górę, dodał; ja będę przewodnikiem.—

— Ale darujcie mojemu rannemu ubraniu. [Do nowomodnych szlafroków przywykać nie chcę, bo to hultajska sukienka; wolę moją starą kapotę, choć w niej, jak widzicie,—*łata na łacie, sługa panie bracie!*]— Uważam ja, mówił znowu po krótkim milczeniu, postępując przed nami, uważam ja, że teraz łąty i kapoty wychodzą z mody, i rzadko gdzie, ledwo czasem u okolicznej naszej braci dostrzeżesz kapotę, siostrę mojej. Żal mi tego, czy wiecie Wasanowie; i może to przyczyna, że moją kapotę lubię...—*Łatano ale nie chwymano!*— odpowiadał dawniej śmiało, każdemu patrząc w oczy, poczciwy szlachcic na ogrodzie, i choć u niego *łata na łacie*, pan go wszelakoż witał—*panie bracie!*— Tym sposobem, jak mnie teraz wierszyk niespodziany, złożyło się i przysłowie.] Muszę ten wierszyk zanotować, bo gładko się udał. — I licząc na palcach sylaby; składał Pan Tadeusz:—*a-choć-u-nie-go, ła-ta-na-ła-cie*, (to dziesięć); pan go wsze-ła-koż witał pa-nie bra-cie! (to jedenaście). A co Wasanowie na to? Wiersz nierówny, ale jest i kadencja i essencja; bo sens moralny zawiera się w tém, że łąty, ani poczciwości, ani klejnotu szlacheckiego dawniej nie ćmiły. Więc tedy proszę Panów mojej tabaczkowej wytartej i łataniej kapoty nie posponować, i mnie w niej, dobrego waszego przyjaciela i sługi, a oraz Koniuszycza z antenatów. Bo chociaż mogłem, jak wielu z bractwa Skarbnikowiczów, Rotmistrzowiczów, Podstoliców i tym podobnych moich mościwych konfratrów, przedzierzgnąć się po maleńku na Sędziego, wolałem jednak jak przy stariej kapocie zostać tak i przy starym honorze.— *Honores mutant mores, sed rara in meliores!*— jak niegdyś powiadał mój rodzic.—

— Przy starym tytule, chcesz powiedzieć, Panie Koniuszyczu!— poprawilem.

— Com powiedział, tom powiedział, *dixi!* rzekł uśmiechając się; przy starym honorze, powtarzam! Przycisk w wymówieniu wytlómaczył myśl dwuznacznika. — [ *Nic po tytule, gdy pusto w szkatule!* ] a właśnie tak jest u mnie, i u wielu dzisiejszych panów Sędziów..., a nadto gdy Rotmistrzowicze, Skarbnikowicze, Stolnikowicze i wszyscy tacy panicze, wymykając się powoli ze sceny świata, wynieśli

na swoich grzbietach i łokciach staroświeckie łąty; ja więc na zbytek i na złość tym renegatom poczciwej szlacheckiej chudoby, zostaję się i zostanę do śmierci Koniuszycem z łątami. Co Wasanowie na to? Walnie i oryginalnie! nie prawdaż?—

Nie mieliśmy czasu do odpowiedzi, bo z tym wesołym monologiem doprowadził nas za sobą Pan Tadeusz krętą w górę ścieżką, aż do swojego domku; stanął tam na ganku, obrócił się ku nam i rzekł:—

[ „Oto mój domek nikczemny,  
„I wszystko, co w nim ujrzycie  
„Niech wam tak będzie przyjemny,  
„Jak mnie tu wasze przybycie“.]

Uściskaliśmy nanowo kochanego gospodarza, który tém przypomnieniem tak mile trącił nam w serce.

— Kumie! rzekł Pan Tadeusz obracając się do Bartłomieja, zastąp mnie, idź do twojej starej przyjaciółki Stalewskiej, niech prędkiej zgotuje kawy dla gości, bo ja moją porcję wypilem o pół do szóstej *praecise*. O swoim też piwie grzanem i wódeczce dla czeladzi nie zapomnij.—

Weszliśmy do środka. Para tylko małych ale wesołych pokoiów składała mieszkanie starego kawalera, kochającego się, jak to od razu za wejściem poznać można było, w najściślejszym porządku, w nałogowém nawyknienu do jednostajnego trybu życia, do spokojności nienaruszanój, a miłującego stateczném, familijném przywiązaniem, wszelki sprzęt swój, wszelki swój fant, który każdy jak stały przyjaciel przeżył z nim długo i służył mu wiernie do rozmaitych wygódek i zabawek codziennych. Każdy też miał naznaczoną sobie symetryczną i właściwą raz na zawsze kwaterę i pewny rodzaj względu i poszanowania od swojego pana. Kanapki, stoliki, krzesła ojcowskie jeszcze, a bodaj i dziadowskie, prawie codziennie myte, czyszczone, glansowane, nabrały politury i lustru, jakby nowo z fabryki i lakieru wyszłe. Pyłku byś na nich, równie jak na białych ścianach ani na podłodze, nie wypatrzył. W pokoiku drugim sypialnym Pana Tadeusza stał przy łóżku na stoliku niewielki krzyżyk srebrny i zegar dawny czworograniasty z małemi na bokach szybkami, pozłacany niegdyś, bijący w rozgłośny dzwonek godziny i kwadransę, z excytarzem, zdolnym obudzić najgłębszego śpiocha. Naprzeciw łóżka wisiała gitara angielska, a zatkniętym za

gryfem sexterniczkiem kantyczkowej formy, z tytułem na okładce: *Texty Światowe*; a pod nią na papierowym sercu zegarek maleńki złoty, perełkami kameryzowany z wielkim herbownym krwawnikiem i kilka jeszcze rozmaitej formy, pieczętkami i dewizkami.

Nad łóżkiem na przeciwniej ścianie, na rozpiętym dywanie, wisiał rycerski i myśliwski rynsztunek Pana Koniuszyca, to jest: między pasem z ładunkami a torbą włóczkową, dwie pary pistoletów; staroświecki także ojcowski czy dziadowski pałasz z furdymmentem i kilka fuzji, których miano i zalety rad każdemu tłómaczył Pan Tadeusz, a tém bardziej nam, których z fuzjami w ręku na płytach widział.

— Myśliwi, jak uważałem jesteście, rzekł on; proszę więc pomaleńku i kategorycznie obejrzeć mój maleńki arsenał.

To ptaszynka od słonki i bekasa do cietrzewia i głuszcza; zameczek Mości Dobrodzieju, traf! traf! jak orzechy łuszcze.

To kasselka na zające i lisy, a pomaleńku i wilczka głoćkami naszpikować można; bije kupą i bez pudła; *nota bene* kto umie strzelać.

A co Panowie powiecie o tym sztuccu? *Kuchenreyter*, prawdziwy *Kuchenreyter*! Z nim w ręku i z niedźwiedziem spotkać się śmiało można, i... spotykało się nieraz. Nie trzeba nawet bestji przypuszczać blisko. Sto kroków... pal! ręczę—Przeżegna się łapą pomalenku, i—Amen!—

— Tylko trzeba, rzekłem, cierpliwie prowadzić, jak Pan owego rogala.—

— A!... tak, tak, rzekł śmiejący się Koniuszyc; czyli jak Pani Regentowa swojego męża.—A co? przyciąłem jój nieźle?

— Prawdę mówiąc, Koniuszycu, nie tak dowcipnie, jak uszczypliwie.

— Oho! mam ja z języczkiem tej Pani dawny rozrachunek. Ona jedna nie łaskawa na mnie z całego sąsiedztwa.

— W tym pokoiku, w kącie przy kominie, stała liczna kolekcja kijów, z rozmaitego drzewa, własną ręką Pana Koniuszyca na brzegach Wilji wycinanych, gustownemi główkami i skówkami ozdobionych, i lubo samemu właścicielowi nader upodobanych, wszakże przeznaczonych szczególnie na podarunki dla przyjaciół. Sławne też były w okolicy laseczki Koniuszyca, przy oglądaniu których, ja gibką dębinę, Hippolit gęsto sękową gruszkę dostaliśmy w prezencie.



Między temi nieżywotnemi ruchomościami a ich panem, jak między dwóma królestwami natury, środkującą, półżywotną istotą był stary czarny pudel, *Azor*, leżący przy piecu na skórzanej poduszce. Gdyśmy weszli, podjął on głowę i wyszczerzył zęby, lecz grymas ten równie za uśmiech powitalny, jak za złośliwą grozę wzięść było można. Powstał potem leniwie, strząśł kudły, wyciągnął się, spojrział na próżną miskę w kominie, okręcił się razy kilka, i znowu legł na poduszce.

Ta wszelakoż regularność, to nałogowe zamiłowanie się w porządku, w symetrii i niezależności, nie zrobiły z Pana Tadeusza, jak to często ze starymi kawalerami się zdarza, nudnego i opryskliwego zrzędy, pedanta, samoluba, lub gnuśnego sknerę. Owszem wyborny towarzysz każdej kompanji, zapomniawszy że piąty krzyżyk przeczepił mu się na barkach, swawolił on, polował, i umizgał się jak młody, huczną piosenką lub pustym conceptem ożywił nieraz zastygłą wesołość, a jako doświadczony lis, wyrozumiałej przy kobietach prowadząc interesa, często przed nieuważnym młokosem szczęśliwą wygrywał stawkę.

W sąsiedztwie kochano Pana Tadeusza i potrzebowano go w każdym domu. Żadna ważniejsza gospodaska lub przedsejmikowa sesja: czy iść, czy nie iść do Sęstwa? u *Jegomości*; żadna sekretna w alkierzyku namowa, czy prosić, czy nie prosić u *Jegomościa* pieniądze na sprawunki? u *Imości*; żadna cicha w bokówkach szeptańka, czy pojedzie, czy nie pojedzie mama na fest lub na imieniiny? u *Panienek*; nie obeszła się bez porady i pomocy Pana Tadeusza. *Jegomościa* ośmielił, dodał nadziei i mężstwa do krések, a zręczną radą i pomocą do ich rozmnożenia dopomógł. Dla *Imości* upatrzył godzinę dobrego humoru *Jegomościa*, lub ją obudził i ku zamierzonym celom skierował. *Imości* mamie wmówił odpusty, i na fest z córeczkami wyprawił; i tak lub tym podobnie wszystkich ukontentował, zobowiązał, i wszystkich był powiernikiem.

W trudniejszych nawet i zawilszych sprawach, gdy szło o wybór zięcia lub synowej on najrzęczniejszą ilość chatek pretendenta, lub posagu panienki, wyszpiegować umiał; on na przyrzeczenie lub na rekę zdeterminował, i on nakoniec weselił się z zaręczonemi, lub pocieszał strapionych *kochanków*.

— Jakże tu wesoło i czysto!—odezwał się Hippolit, oglądając w około miłe te pokoiki.

— *Choć ubogo, ale chędogo!* Panie Dobrodzieju. *To Pan zdaniem*

mojém, co przestał na swojém.] Zbytku ani na lekarstwo! broń mię Boże od tój pokusy; porządeczek zaś, jaki tu widzicie, zaprowadziłem już dawno, gdy wichry młodości, które wam szumią teraz po głowie, z mojej wywiały.—

— Któż u Pana gospodynią?—zapytał znowu Hippolit.

— Rozumiém do czego zmierza pytanie. Oto odpowiedź kawę nam przynosi.—Jakoż w tym momencie weszła do pokoju czerstwa, sucha i wysoka, czysto i schludnie ubrana staruszka, w czepeczku na głowie w materjalnej pólсалопсе na ramionach, i dygnąwszy nam każdemu z osobna, błękitną wzorzystą serwetą nakrywała stolik.

— Rekomenduję Panom moją gospodynię, opiekunkę i przyjaćiółkę—Pani Stalewska.—

Pani Stalewska dygnęła nam znowu; my ukłoniłiśmy się grzecznie.

— Ranek piękny, odezwała się ona; może Panowie będziecie woleli pić kawę na ganku?

— Wyborny projekt, Stalesiu! rzekł gospodarz; więc tamże i zrób przygotowanie. To są moi bardzo mili goście, więc proszę cię, aby gospodarstwu i uprzejmości naszej nie dali hańby.—

Wyszliłiśmy więc na ganek, za nami mały chłopczyk wyniósł nakryty stolik, wkrótce Pani Stalewska ukazała się z tacą, na której imbryczki z kawą i garnuszczyki, smakowitemi zaciągnięte kozuszkami, przy sporym koszu sucharków, wyborne nam zapowiadały śniadanie. Gdyśmy zatém nalewając kawę do małych z błękitnej saskiej staroświeckiej porcelany filiżanek, zachwalili jej smak i aromat, oczekująca bodaj na te pochwały Stalewska dygnęła nam pokilkakrotnie, i uśmiechając się z ukontentowania i chluby, rzekła:—

— Teraz nie umięją już gotować dobrej kawy; ja nauczyłam się tego od nieboszczki Pani Koniuszynie, matki Panicza, która choć z łaski Boga miała sług dosyć, zawsze jednak sama naglądała kawy i śmietanki; aż kiedy już mnie dobrze wyuczyła, więc na mnie zdała kominek w kawiarni. Nie wiedzą już teraz wielu sekretów do tego potrzebnych, bo to, Mości Dobrodzieju, trzeba koniecznie jeleniego rogu do klarowania kawy, do śmietanki nieszkodzi trochę migdałów dla zapachu i pozłoty kozuszka; cykorji broń Bożę więcej jak czwarta część; taka proporcja daje kolor piękniejszy i smakowi nie szkodzi. Teraz już i połowę sypią, ale pożał się Boże, jaka to kawa!... Trzeba jeszcze wiedzieć jak palić, bo przepaliwszy...—

— Że kawa twoja wyborna, kochana Stalesiu, dowodzą nasi goście, przerwał Pan Tadeusz; bo widzę i rad jestem, że po drugiej filiżance sobie nalewają; a odkrywać im twoich sekretów i uczyć nie warto, bo pewnie nigdy gotować kawy nie będą, a jak im się zechce smacznej napić, to do nas przyjadą.—

— Niezawodnie nigdzie tak wyśmienitej nie piliśmy.—

Dygnęła znowu ukontentowana staruszka, dobyła z kieszonki pod pólсалopką wiszącej, tabakiereczkę srebrną, zażyła tabaczkę i nas potraktowała; zebrała potem na tacę imbryczki, filiżanki i garnuszczyki, jeszcze raz i drugi dygnęła i odeszła w najlepszym humorze.

— Pochwaliliście jej kawę, teraz ona wasza przyjaciółka. Jest to, mówił dalej Pan Tadeusz, wychowanica mojej matki, starsza ode mnie, jakim dziesiątkiem lat. Gdym był małym jeszcze chłopcem, wyszła za mąż, owdowiała, gdym i ja stracił rodziców, a nie mając dzieci powróciła tu, gdzie się wyhodowała, i w nowej mojej gospodarce zaprowadziła staroświecki matczyzny ład domowy, zmodyfikowany naturalnie do zmodyfikowanej djabelnie substancji mojej. Odtąd razem biędę klepiem. Ona z przywiązaniem do mnie prawie macierzyńskim, nazywając mnie po dawnemu Paniczem; codzień od lat dwudziestu coraz z bogatszą żeni mnie dziewczyną. Tymczasem dziewczęta rodzą się, rosną i za mąż wychodzą, a ze mną i tak się zdarza, że jedną i też samą do chrztu trzymałem, dzieckiem bawiłem, w dorosłej kochałem się, i cierpliwie podniosłszy grochowy wianek, wydałem za mąż, i znowu jej córkę do chrztu trzymałem, nanowo tenże sam marsz rozpoczynając. Co Wasaństwo na to?—

— Widać, odpowiedziałem, że zaloty swoje prowadzisz pomaleńku i kategorycznie.

— A tak, tak, pomaleńku, i lubo takim idąc procederem wysłużyłem sobie pomaleńku patent na marcowika, ale mniejsza o to.— *[Ten młody, kto zdrow; a ten szczęśliwy, kto spokojny!]* Otoż ja i zdrow i spokojny, nie urzekając, a któż wie czy tak byłoby, gdybym się ożenił? Któż wie czy ustałby na miejscu mój porządek? Czy usiedziałyby w swojej bokówce Stalewska? Dla tego też i ona zaprzestała już swojej codzienniej swadźby. Czasami tylko, gdy sen jaki szczególniejszy, dający się wyraźnie na wesele tłómaczyć, podochoci babulę, to mi przez dwa dni pokoju nie da.

— No, ale dajmy temu pokój; wróćmy raczej do pytania na



któreście mnie nie odpowiedzieli: dokąd i po co płyniecie? Zkąd ta ochota do żeglugi? Tylko szczerze, bo mam w tém rzecz.—

Spójrzeliśmy po sobie, i nie wiedząc czy mamy się wypowiadać z naszych zamiarów, odpowiedziałem lekając się:

— Ot widzisz pan, niedawno w te strony przybyły Hippolit chce poznać okolice tutejsze. Przypadkiem, polując około Wilji, napadliśmy na płyty; przyszedł projekt żeglugi, jako najdogodniejszy w takim razie. Bartłomiej dał się uprosić, przyjął nas na płyty i całą historia.

— Oho! ho, rzekł kręcąc palcem pan Tadeusz, chcesz mi zamydlić oczy! Sekret... pomaleńku! pomaleńku!... Rozumiem co się święci!... No, to i ja mam sekret, z którym nawet miałem dziś jechać do Wasana, panie Ignacy!... Ale to nie nagli... pomówimy o tém potem... Sprawa domowa—cedził przez zęby pan Tadeusz—tycze się twojej siostrzyczki, jak ją nazywasz,... naszej kochanej... Helusi.—

— Cóż takiego? zapytał zrywając się z miejsca Hippolit; czyliby zaszły tam jakie odmiany? Na miłość Boga, Koniuszycu, mów!...—

— A, ptaszku! złapałem cię! Pomaleńku... pomaleńku i kategorycznie! Tak zawsze rozbieram wszelkie interesa i okoliczności, i dla tego wszystko idzie ładem, chwała Bogu. Nic tam nowego nie zaszło... zająć jednak może... ale poczekajcie tylko...—

Hippolit stał przed nim jak na szpilkach.

— Siadaj, Podkomorzycu! Mój projekt taki: zostańcie u mnie na szlacheckim obiadku, pogadamy o wszystkiem otwarciu a nie półgębkiem, zrozumiemy się wzajemnie, i postąpimy jak każdemu wypadnie. Płynąć? — płynąć; jechać? — jechać. A może ani płynąć, ani jechać; któż to wie?—

— Na projekt pański uprzejmy i przyjacielski przystajemy chętnie odpowiedział zainteresowany Hippolit; ale pierwsza kategoria, mówiąc przysłowiem pańskim, z naszym Bartłomiejem. Na jego wózku jedziemy, a on się śpieszy bardzo; wątpię więc, czy się zгоди na nową zwłoką.—

— Ja sam z nim pogadam, rzekł Koniuszyc, i za chwilę wrócę.—

— Co myślisz? rzekł do mnie niespokojny Hippolit. Koniuszyc ma jakieś nowinki, które się pewnie naszych tyczą projektów. Czy nielepij, nie tracąc czasu, ruszać natychmiast. Może tam kto inny?...—

— Kto inny w tak prędkim czasie... wątpię; ale być może, że Szambelan, zastraszony twoją konkurencją, stanowczo rzeczy posunął. W takim razie nie obeszło się bez rady Koniuszyca; więc od niego choć pomaleńku i kategorycznie, dowiemy się o wszystkiém. Dla tego wypada zostać na obiedzie u Koniuszyca, a tém samém utwierdzić w nim sobie sprzymierzeńca.—

— Dziękuję ci, dziękuję, stary kumie! odezwał się za drzwiami pan Tadeusz. Widzisz bo, że jest w tém rzecz!...—

— Niechże i tak będzie, rzekł wychodząc razem z gospodarzem na ganek Bartłomieją; zostanmy tu na obiad, ponieważ tak chce pan Koniuszyc dobrodziej, i powiada, że jest w tém rzecz.

— No, teraz wiem o wszystkiém, rzekł pan Tadeusz po odejściu Bartłomieja; bo czemużście nie uprosili jego, aby kłamał razem z wami? On mi przecież całą prawdę o celu waszjej podróży wyspiewał; którą bodaj odgadł lepiej odemnie.—

Hippolit powstał, wziął uprzejmie za rękę pana Tadeusza, i rzekł.—

— Przepraszam pana, z całego serca przepraszam; nie powinienem był panu uhcylać mego zaufania po onegdajszych dowodach jego życzliwości dla mnie. Nie zasłużywszy na przyjaźń pańską, ani na czyjąkolwiek w tych stronach, nie dziw, że w okoliczności najważniejszej bodaj w mém życiu, lękam się być nadto otwartym, lecz gdy pan interessować się zdajesz losem czy to moim, czy to raczej osoby zajmującej mię prawdziwie, gdy z rodzicami jój i domem stałą i dawną przyjaźnią złączonym jesteś, przeto śmiało odkrywam panu serce i zamiary moje...— Kocham piękną Helenę i pragnę, aby ona była moją na zawsze.

— A!... w to mi graj, paniczu!—

— Mamy nadzieję, kochany Koniuszycu, rzekłem, że nam twą radą i wpływem u Prezydentowstwa skutecznie pomożesz.—

— Trudna to rzecz dla mnie, odpowiedział, bo ja sam kocham się w Helusi.—

— Cóż znowu? czy i ją do chrztu trzymałeś?—

— Żarty na stronę, przerwał Hippolit; chciój nam raczej powiedzieć co wiesz w tym względzie, i czego się mam spodziewać? Nie zwlekaj, szanowny Panie, i nie dręcz mnie!—

— Pomaleńku! pomaleńku i katogorycznie o wszystkiém się dowiedzie; a ponieważ porozumieliśmy się szczerze, więc wszystko da Bóg

pójdzie jak z płatka; a tymczasem najpierwsza kategoria—obiadek dla moich gości....— i powstawszy, perorował—

Mały obiadek, lecz smaczny,  
Niewytorny, lecz obfity;  
Nie zbytek da go dziwaczny  
Ale kucharz wyśmienity!

A co wasanowie na to? Tym kucharzem jestem ja sam, bo trzeba wiedzieć Asaństwu...—

— Kochany Koniuszycu! przerwał Hippolit, czy nie mógłbyś starania o obiedzie zdać na swoją Stalewską, a z nami pomówić...—

— Bądź spokojny, bądź spokojny! Pomaleńku, powiadam panu, dalej stanem; wszystko w swoim czasie. Otoż tedy dam panom obiadek gospodarski, naprzykład taki.—

Szlachecki nasz barszczyk z rurą,  
Potém krucha sztuka mięska,  
A potém potrawka z kurą  
Do smacznego wabi kęska;  
Ależ nie starą i twardą,  
Kiedyż z kurą—to z pulardą.  
Potém kapłon tłusty, gładki,  
Do ogórka lub sałatki.  
Precz biszkopty! precz mejspezy;  
Piąta babka albo pezy;  
Na szóste....—

— A czy nie będzie za wiele? Koniuszycu!—zawołałem.

— Nie lękaj się, odpowiedział; szóstym frykasem nie obciążysz żołądka.

Na szóste potrawka prędką...  
Z dobrym humorem gawędka. }

A co Wasanowie na to?—

— Wyśmienicie!—zawołał rozweselony Hippolit, wyśmienicie, kochany gospodarzu, kuchmistrzu i poeto! Gdy jednak ubiliśmy dziś pięć cyranek, może więc odmienisz cokolwiek dyspozycyę, i ich użyjesz.

I owszem, i owszem—*Varietas delectat* a właśnie pulardy i kapłon jedno po drugim... Brakłoby *varietatis* i tej *delektacyi*, która przy smacznym obiadku dobrej myśli pomaga. Ale jakże to zrobić? Kapłona nie odstąpię bo poznacie co to jest kapłon litewski, a po szlachecku ukarmiony!.... Najbardziej, że trudno te wasze kaczk



do wiersza złożyć... zaraz... aha! niech sobie tak będzie, choć niebardzo gładko —

Za półmisek z pulardami,  
Potrawka z kaczek....—

— Z truflami — dokończył Hipolit.

— Oho! znać panicza! A zkąd u szlacheica trufle? Raz czy dwa tylko na mojem życiu ich kosztowałem, i nic osobliwego: więc będzie.

Potrawka z kaczek z grzybkami!

A cóż Wasanowie na to? czy zgoda?—zapytał śmiejący się razem z nami pan Tadeusz.

— Zgoda, zgoda! — wykrzyknęliśmy, uściskając go wesoło.

— No, to i dobrze; pójdę więc wszystko rozporządzić! Na ten raz zdam kuchnię Stalewskiej, z należytą wszelakoż informacją; a panowie abyście się tymczasem nie nudzili, i ponieważ, Podkomorzycu, chcesz poznać nasze pozycye, idźcie więc ścieżką po brzegu Wilii, do tego co widzicie borku. Ja wkrótce nadejdę i wytłumaczę wam ciekawe rzeczy, które tam znajdziecie.—

## XII.

**B**orek, do którego nam ścieżkę ukazał pan Tadeusz, przedzielał pola jego od Wilii, i na wyniosłym a płaskim jęj brzegu się rościagał. Czysty, suchy i wesoły, obdarzał pana Tadeusza mnóstwem rydzów i borowików, na zbieranie których zapraszając czasami sąsiedztwo, miewał zręczność miłą zabawką i smacznym podwieczórkiem zalecać się płci pięknej. We środku, na niezarośłym odłogu, okazywać zdają się niejaki ślady mogiły \*). Z pod suchęj darni sterczą gdzie-niegdzie głęboko w ziemię wrosłe kamienie, a między temi głaz, z granitu, w kształcie okrągłej kolumny, na stóp dziesiątek wysokości, i tyleż w obwodzie mieć mogącej; wyciosany, nie rodzimy, jak się nam zdawało, w tém miejscu, gdzie trudno mniemać ażeby siła ludzka przenieść go tu mogła, zastanowił naszą uwagę.

Wilii, na którąśmy także zwrócili oko, wre tu, pieni się i szumi po kamieniach i odłamach skalnych, któremi łożę jęj gęsto narzucone; a na drugim jęj brzegu szerokie, nizkie i piaszczyste po-

\*) Miejscowe.

le, również gęsto i podobnież kamieniami zasiane, podawało domysł, że niegdyś być mogło jej łozem. Podrywała ona teraz brzeg, na którym staliśmy, usiłując ominąć zapory, których rozerwać nie zdołała. Czekaliśmy więc pana Tadeusza, mającego nam wytłómaczyć ród i przeznaczenie tego kamiennego olbrzyma i jego działwy z pod ziemi i z pod wody sterczącej. Jakoż nadszedł on wkrótce.

Przemieniwszy swoją ulubioną kapotę na piękny, czysty, zgrabny bez przesady granatowy tużurek, ułożywszy przystojnie gęste swe i mało jeszcze srebrzące się włosy, z okiem czarném i żywem, z twarzą, którą wesołość, dobry humor i uprzejmość opromieniały, pan Tadeusz odmłodził o lat dziesięć przynajmniej: szedł krokiem lekkim jeszcze, o lat dziesięć młodszym; a nie mogący podobnegoż z sobą dokazać odmłodnienia, stary Azor wlokł się za nim zdaleka, niosąc w zębach laseczkę swojego pana.

— Cóż Wasanowie tu upatrzyliscie?—zapytał Koniuszyc.

— Właśnie czekamy pana, abys nam powiedział, co szczególniego o tym glazie wiedzieć mozesz?—

— A o tych gromadach kamieni na drugiej stronie nic wiedzieć nie chcecie?—

— Cóżbys miał o nich powiedzieć? Leżą tu zapewne od stowrzenia czy od potopu świata.—

— Otoż to że nie; bo wszystkie, które na tamtej stronie i w rzece widzicie, leżały niegdyś przy tym wielkim, a i ten tylko co się tam nie dostał.—

— Więc Wilia w tém miejscu zmieniała koryto?—

— I to nie; płynie jak płynęła, tylko że niegdyś spokojnie, a teraz z podskokiem.—

— Któż więc, rzekłem, na tamtą stronę je poprzrzuczał? chyba djabeł.—

— Zgadłeś, jakbys tam był; djabeł \*).—

— A to już rzecz bardzo ciekawa. Może i tę bryłę granitu, odezwał się Hipolit, urwał on od podpory jakiego gmachu i tu przynióśł.—

— Nie, to inna kategoria.—

— Słuchajmy więc tych dziwów i sztuk szatańskich—rzekliśmy siadając na murawie i krzesząc ognia do fajek.

\*) Miejscowe podanie.

— Kamień ten, mówił zatem pan Tadeusz, jak powszechne nie-  
sie mniemanie, jest zabytkiem z pogańskich jeszcze czasów \*).  
Czyli on tu na miejscu się znalazł, czyli z kąd sprowadzony? tego  
nikt nie wie. Palono na nim, jak powiadają, bogom litewskim ofiary,  
albo zwłoki wodzów i rycerzy; co podobniejsza do prawdy, bo oprócz  
wielu innych rzeczy, ja sam wygrzebałem tu nieraz kamienne sie-  
kierki, które Wasanom pokażę, a którymi niegdyś Litwini wojowa-  
li; bo niemi tak dobrze jak żelaznemi berdyszami łby rozszczepiać  
mogli. Słowem, było to jakieś poświęcone grobowisko. Siedzimy na  
kościach i czaszkach ludzkich; pełna tu ich jest ziemia. Po mogile  
pogańskiej, powstała tu mogiła chrześcijańska. Stare krzyże jeszcze  
ja tu pamiętam; lubo już daleko dawniej przedtem, po djabelskiej  
sztuce, i żywi i umarli wyrzekli się i boją się tego miejsca. Z czego,  
prawdę mówiąc, rad jestem, bo moich rydzów i borowików nikt nie  
kradnie.—

— Jakaż to sztuka szatańska, która tak zakłęła to miejsce? —

— To druga historia, którą wolałbym żeby wam opowiedziała  
moja Stalewska, bo to bardzo podobne do bajek o djablach, upio-  
rach i strachach, których ona umie bez liku i opowiadać lubi, byle  
kto słuchał. Ale że jesteśmy tu *in loco delicti*, więc opowiem te  
figle djable, choć nie tak dokładnie, jakby to baba jaka lub stary  
dziad opowiedział.

Kiedy Jezuici, objawszy Żodziszki i inne blizkie dobra, darowa-  
ne im od niejakiego Minkiewicza, przybyli tutaj, wybrawszy naj-  
pierwój dogodne i wesołe miejsce na kościół i klasztor, wzięli się  
do murowania. Na fundamenta tak ogromnych budowli potrzeba by-  
ło wiele kamieni. Okolica ta nie kamienista; bardzo więc suszyli gło-  
wy, z kądby ich dostać mogli. Postrzeżono nakoniec ten mogilnik, mnó-  
stwem wielkich kamieni nasiany, Po długiém zatem teologów *consi-  
lium*, postanowiono odprawić po wszystkich w Litwie kościołach  
exekwie za dusze pochowanych tu umarłych, i śmiało potem użyć  
kamieni grobowych na fundamenta.

Nie w smak zapewne to było djablom, że Jezuici, najślawniejsi  
wtenczas exorcycści, coraz to gęściej gnieździli się po Litwie. Złożyli  
więc, jak widać, własną *konsultę*, z której wypadło, wszelkiemi spo-  
sobami przeszkadzać fabryce jezuickiej. Nie mając przystępu do sa-

\*) Miejsce to znajduje się nad Wilią w powiecie Zawilejskim.



mych *Patrów*, wyszpiegowali, przez jakąś babę czarownicę, (bo jak wiadomo, gdzie djabeł nie może, tam babę podsadzi) projekt przewożenia z tąd kamieni do Żodziszek. Więc, po swojemu do figlów.

Jednego wieczora, jakiś pobożny bracişzek jezuicki chodził sobie z paciierzami po nad Wilią i zaszedł aż tutaj. Tymczasem zachmurzyło się niebo, i zciemniało zupełnie, tak, że on nie mogąc widzieć ścieżki wijącej się dołem i górą po lesie i parowach, postanowił posiedzieć czas niejaki pod tym kamieniem i doczekać wejścia xiężycy. Było to bowiem na trzeciej kwadrze, gdy xiężyc późno wschodzi. W pociemku, dla uspokojenia serca i niejakięj drżączki, która go, przejmowała, tём gorliwiej trzepał pacierze.... a w tём xiężyc między chmurami pokazywać się zaczął; — więc miał już wstać i wędrować do domu..., gdy nagle posłyszał blisko siebie jakieś śmiechy szalone, i wnet postrzegł dwóch djabłów. Poznał od razu, że to diabli, po kozich nogach, po wielkich rogach, po kurtkach niemieckich i po słowach zdradzieckich...

A co Wasanowie na to? Same wiersze składają się; ale mniejsza oto. Miarkować sobie możecie, że strach objął Jezuicę; poznał nieborak, że okoliczność złego jest gatunku; przyczał się więc jak mógł najściślej do kamienia, i tając oddech nawet, słyszał taki szatański rozhovor. Naprzód jeden djabeł, pociągnąwszy długim i czerwonym nosem powietrze— „Jakaś tu zwierzyna w nos bije—rzekł.

Drugi, wodząc i wietrząc nosem na wszystkie strony — „Ej, to zapach trupi, z mogiły—odpowiedział.

— „Oj nie! rzekł znowu pierwszy, pociągając powtórnie jak miechem kowalskim powietrze; to zapach niedobry, coś nakształt święconej wody!—

Wietrzył znowu drugi w około, jak wyżeł bekasa... a u Jezuicy dusza była w piętach.

— Ej to nic! znowu odpowiedział towarzysz. Wiatr wieje od Żodziszek, to nam jezuickiego napędza swędu. Dalej, bracie, do roboty; nie traćmy na darmo czasu! Jutro mają Jezuicy przewozić te kamienie na fundamenta klasztoru, niechże je wprzód przepławią kiedy tak mądrzy. Domyślą się oni, że to nasza sprawka, ale jęj tak rychło nie odrobiają.—

— „Praca jednak nie łąda, rzekł drugi, przerzucić wszystkie te kamienie za rzekę!... Wiész co? Poweselmy się w tój bédzie. Będziemy grać w metę po studencku: kamienie będą nasze piłki; przeskocz na tamtę stronę, i do północy stawać będziesz na mecie

a ja w ciebie trafić; zaś od północy do kura, *vice versa* ja stanę na twojem miejscu.—

— „Zgoda; ale cóż po grze bez—stawki? Na pacierze grać nie nasza rzecz! Więc tak: za każde trafienie sto dusz z kotła do kotła!

— I owszem. Stawaj więc, a potem dam ci rewanz.—

Wnet zaczęła się kanonada. Djabeł porywał kamienie i ciskał na skaczącego po drugim brzegu kolegę; kamień burczał lecąc jak z procy; a za każdym razem, szatan na mecie podskoczył, krzyknął „pudło“ i, cha—cha—cha—cha.—

Tak przez kilka godzin djabeł pudlarz ciskał kamienie, a drugi skakał, wykrzykiwał „pudło!“ i śmiał się. Często większe bryły nie dotatywały celu i padały w rzekę; wtenczas śmiech djabelski łączył się z pluskiem wody. Nakoniec, kiedy już mnóstwo poprzrzucał przez rzekę i ponarzucał do rzeki kamieni, tam-to brzegowy szatan krzyknął: „Stój! dwunasta bije na wieżach wileńskich.“—To mi ucho-Mospanie, co o dwanaście mil słyszy!

— „Jeszcze nie dobiła,—wrzasnął zniecierpliwiony pudlarz—„ale ja cię skałą dobiję...—I wyciągnąwszy jak mógł łapę i szpony, porwał oburącz ten ogromny kamień, a końcami pazurów łap za Jezuitę!

\*A co Wasanowie na to?—Jezuita, który, jak już mówiłem, się, dział cicho przy kamieniu jak kamień, albo jak skowronek w jesieni; czując się tak pochwyconym za żywota, zawołał niemym głosem: „Jezus, Marya, Józef!“ a ten niespodziewany wykrzyknik, nie mniejszym nawzajem strachem przeraził zdziwionego szatana.— Opuścił więc co prędzej nieco już w górę podniesiony kamień, i chciał odeń łapy oderwać. Jakoż oderwał jedną;—ale drugą! Paznogieć, albo raczej ostry krzywy, krogulczy pazur drugiej, zahaczył się za suknię braciszka;—ba! i gdybyż tylko za suknię! Ale co Wasanowie na to? zahaczył się za poświęconą *katnę*; to jest, za pas dróciany, który pobożny braciszek nosił zamiast włosienicy na ciele. Ciasne jego i mocne ogniówka djabli pazur trzymały jak w sidle, a świętość jego paliła go gorzej od ognia—bo do ognia w piekle już nawykł. „Puszczaj mię, puszczaj ty klechu!“ wrzeszczał na całe gardło chcąc oderwać się djabeł.—„Duchu nieczysty! odczep się ode mnie!“ wołał niemniej głośno Jezuita, zasłaniając się brewiarzem i trzymając się mocno drugą ręką za kamień, aby go szamocący się djabeł nie pociągnął ku sobie.— „Puść mię, a zrobię co każesz!“ powtarzał coraz bardziej przerażony djabeł, nie wiedząc już w koń-

cu co począć. — Bo Wasanowie wiecie, że djabeł nie ma mocy nad rzeczą święconą; nie mógł więc rozerwać kateny, a tém samém, wydobyć pazura. Jezuita, nie w ciemie bity, poznał że się djabeł go boi; nabrał więc świątobliwej odwagi, i nuż do exorcyzmów! Wielkie szczęście że to uczynił; bo właśnie djabeł z za rzeki, słyszając wołanie *gwałtu* towarzysza, śpieszył mu lotem nietoperza na pomoc; ale usłyszawszy exorcyzm, furknął nazad prędzej jeszcze niż przybył, i tylko odlatując zawołał: „A co? czy nos mój nie dobry? Terazże wiedz się z nim bratku! Do zobaczenia! cha, cha, cha” — i poleciał śmiejąc się dalej. Ale co temu drugiemu, to wcale była rzecz nie do śmiechu. Jezuita co chwila wpadał w większy entuzjazm i zapał, jak się to często po zbyt wielkim przestachu wydarza, i zamiast już, jak pierwój, trzymać się kamienia, sam owszem wielkim krokiem następował na djabła, żegnając go brewiarzem, a w lewój ręce podnosząc do góry rożaniec, i przytem nie przestając formuł exorcyzmu. — „Każ co chcesz, a wszystko uczynię” — powtarzał cofając się, djabeł. — „Znieś mi zaraz te wszystkie kamienie do Żodziszek na kościół” — „Nie mogę, tego nie mogę; a wreszcie, cóżby na to świat mówił, że djabeł Jezuitom pomaga, jakby to już ludzie nie chcieli”. — „Dowcipnyś djable!” odrzekł Jezuita: — „i prawda! Żadnemu świętemu dziełu nie potrzeba pomocy szatańskiej, byleby mu szatan nie szkodził. Przysiąż mi więc tylko, że nie będziesz już więcej przrzucał kamieni na rzekę, ani dopuścisz towarzyszom twoim.” — „Przysięgam” odpowiedział djabeł. — „Przysiąż na Imię Boskie!” — „Nie, tego nie wymówię; — ale przysięgam *na honor*” — (bo to widzicie Wasanowie, jest to czysta przysięga djabelska zaklinać się na dumę własną). — Niech i tak będzie, rzekł w końcu braciszek, bylebyś przysięgi dotrzymał, do czego cię w Imię Boga przymuszę. — „Puśćże już, puszczaj mię panie!” wołał upokorzony djabeł. — „Odczep się sam jakeś się przyczepił!” — „Nie mogę, — pisał djabeł, — to rzecz kropiona; dopomóż mi sam swoją ręką. — Jezuita przeżegnał siebie i djabła, który aż jęknął, znać z bólu, jak zbójca gdy go piętnują; potem obwinawszy rękę rożanicem, szturchnął nią nagle z dołu w uwięzioną łapę, i wybił ją tym sposobem z kateny. Djabeł, nie zaśmiawszy się nawet jak zwykle, czmychnął jak oparzony i plusnął do rzeki, a kamienie tutaj zostały. A co Wasanowie na to? \*)

\*) *Suum cuique*. Słowa od pierwszej gwiazdki aż dotąd, i cała zawarta w nich



Jezuita stał jeszcze chwilę jakby skamieniały; ukląkł potem, zmówił gorliwie „*Sub tuum praesidium*,” chmury się rozrzedziły, księżyc zaświecił, i ośmielony *Frater* powlókł się do Żodziszek.

Lud widząc w przerzuconych kamieniach oczéwisty dowód opowiadania Jezuity, nie śmiał odtąd i dotąd nie śmie nogą tu stąpić, a tém bardziej grześć swych umarłych. Z pokolenia do pokolenia przechodzi bajka, czy podanie, jak Wasaństwo chcecie, które każdy chłopek, każde nawet małe dziecko mniej więcej dokładnie powtarza i od mojego borku ludzi odstrasza. I ja tam byłem, miód, wino piłem.—

### XIII.

Gdyśmy rozmaite czynili domysły nad tém podaniem i śmieli się z pudlarstwa i przygody szatana, przybiegł chłopczyk pokojowy Pana Tadeusza z doniesieniem, że przyjechał posłaniec z listem od Pani Prezydentowój, ale nie ma czasu długo czekać, a list chce koniecznie oddać w ręce samemu Panu.

— Oho! to coś nowego, rzekł Koniuszyc. Nie bez nagłej potrzeby Prezydentowa umyślnego wysłała, zwłaszcza wiedząc, że w tych dniach przybyć do nich miałem.—

Obudziła się więc nanowo ciekawość i niespokojność Hippolita.

— Proszę cię, rzekł on, kochany Koniuszycu, racz mię zaspokoić; tak długo już czekam....—

— Dobrze, odrzekł Pan Tadeusz, dobrze; nie będę cię dłużej dręczył; wszakże z tém i do borku przyszedłem.

Otoż pamiętacie, że po odjeździe waszym od Prezydentowstwa ja zostałem jeszcze...— Albo wiesz co? zacny Podkomorzycu!...— (zamyslił się Pan Tadeusz)...— Tak! zaczekaj jeszcze chwilkę. Pomaleńku... i kategorycznie... Przeczytamy piérwój list od Prezydentowój. Któż wie, czy potem wzajemne nasze komunikacye potrzebnemi będą? Daruj, Podkomorzycu! ale człek nie jest panem ani woli swojej, ani języka, kiedy idzie rzecz o trzeciego, a tém bardziej o trzecią. Niedługo czekać będziesz; wraz będziemy w domu.—Jakoż wkrótce tam stanęliśmy.

scena, są układu i pióra przyjaciela mego, P. A. E. Odyńca, który ją *żartem* w tém miejscu rękopismu mego dopisał, a która ja zatrzymałem doprawdy.

— Jak się masz? Janie! co u was słyhać? czy wszyscy zdrowi?  
— zapytał Pan Tadeusz sługę Państwa Prezydentowstwa, spotykającego nas z listem w ręku.

— Zdrowi, Mospanie, wszyscy i kłaniają Panu. Mnie tu Imość wysłała— mówił Jan zcicha, nachylając się do ucha Panu Tadeuszowi; — Jegomość o tém nie wie; i kazała wracać co najrychlej, aby się i niespostrzegł.

— Dobrze; nie zabawię cię długo.—Przebiegł potém list i rzekł: —Krótko, Janie, niema odpowiedzi na piśmie. Jedź i powiedz pani, że jutro będę na obiedzie; możesz nawet dodać, że będę z gośćmi, których tu widzisz, to jest, z Panem Ignacym i Panem Podkomorzym, rozumiesz?—

Jan skinął głową raz na znak zrozumienia, a drugi raz niżej na znak pożegnania; siadł na konia i pojechał kłusem.

— Teraz— rzekł Pan Tadeusz, zapraszając nas siedzieć na gan-ku — teraz mam rozwiązane, to jest, nie zawiązane usta; zaczynam więc pomaleńku od tego, na czém stanąłem.—

---

— Tegoż samego dnia, kiedyście wyjechali, a ja zostałem, Pan Szambelan przysłał posłańca z listem do Prezydenta. Czytaj głośno ten list, Panie Ignacy! Wziąłem go z sobą dla pewnych przyczyn, do których kategorycznie przyjdziemy.— Czytałem więc jak następuje:—

„Prezydencie Dobrodzieju! Akkomodując się obligacyom pańskim, uczyniłem przed dwoma laty dogodność Panu, pożyczając mu wiadomą sumkę, od której dwuletni nawet procent zalega. Nie uprzykrzałem się WPanu Dobrodziejowi dopominkiem, ceniąc sąsiedzką przyjaźń WWPaństwa Dobrodziejów, i w nadziei że względy Państwa skłonnemi będą w dopełnieniu zamiarów moich, mogących powiększyć obowiązki mojej dla ich domu życzliwości. Lecz gdy widoki te, jak uważać mogłem, omylonemi zostają, przeto przyciśnięty nagłą potrzebą, upraszam Pana Dobrodzieja o zapłacenie mi summy kapitalnej z zaległemi procentami. W przeciwnym razie będę zmuszony udać się do środków prawnych; coby nie było dla mnie przyjemném, jako dla zostającego z wysoką weneracyą“ etc.

—Niegodny!— krzyknąłem, rzucając list z pogardą; —niegodny! Chce więc kupić Helenkę.—

— A tak, tak, mimo filogronowy układ tego listu, odezwał się Pan Tadeusz, zawsze jednak sens moralny jego taki:

Mieniać o to:  
Oddaj córkę albo złoto!—

— Cóż na to Prezydent? co na to Panna Helena?—zapytał Hippolit.

— Z początku Panna Helena nic o tém nie wiedziała. Prezydent cisnął list na ziemię, chodził po pokoju, gryzł palce, łajał i przeklinał Szambelana. Prezydentowa weszła, i postrzegłszy gniew męża, podjęła list, przeczytała i z płaczem zawołała: „Do czegoż doszliśmy, gdy tak poniżającym sposobem o córki nasze starać się mają?”— To jeszcze bardziej rozdaśało Prezydenta. Weszła nakoniec i Helusia, a widząc gniew ojca i łzy matki, zapytała o przyczynę.— „Na, masz, czytaj rzekł ojciec, podając jój ten list fatalny; patrz jakiego mądrego dostałaś konkurenta!”...— Przebiegła pismo Helenka; oczy jój zaszyły łzami, i wyszła z pokoju.

— Każdą jój łezkę, rzekł z zapamiętałym przyciskiem Hippolit, krwią mi on swoją zapłaci.—

— Pomaleńku, pomaleńku, nie dokażesz tego.—

— Jak to?

A tak, bo on nie głupi: wyzwij go sto razy, ani razu nie wyjdzie; i cóż zrobisz?—Ale nie przyjdzie do tego, jak mi się zdaje.

Otoż gdy wyszła Helenka, ja, rozważywszy wszystko pomaleńku i kategorycznie...—Uspokojcie się, rzekłem do Prezydentowstwa, i posłuchajcie. Pierwsza kategoria, czy myślicie wydać córkę za Szambelana?

— A czemu nie? odpowiedział Prezydent, gdyby nie tak głupio zaczynał swoje konkury; gdyby Helence zapisał darem sto tysięcy i dożywocie przynajmniej na połowie swojej fortuny...—

— I gdybym była pewną, że z nim będzie szczęśliwą — dodała matka.

— A już ciż przy stu tysiącach i jakich półtorastu chatach, (bo Szambelan ma ich ze trzysta), niedaleko i do szczęścia.—

— Najważniejsze *gdyby* opuściłaś, Prezydencie!—rzekłem.

— A to jakie?

— Oto, gdyby się on Pannie Helenie podobał.—

— Rozumie się... rozumie się... któż córkę zmuszać będzie? Wszelakoż perswazyja rodziców...—



— Otoż najlepiej zawołać Pannę Helenę, rzekłem, i łagodnym rodzicielskim słowem zapytać, co ona myśli o Szambelanie i jego projektach.—

— Sprawiedliwie mówi nasz kochany Koniuszyc, powiedziała Prezydentowa; niech ona podług swojego serca i woli Boga, powie nam, co mamy czynić i jak sobie postąpić.—

Posłano po Helenkę.

— A choćby nawet Helusia i zgodziła się wyjść za Szambelana, mówił dalej Prezydent, to jednak trzeba mu dać *ad intende*, że niedorzecznie bardzo poradził sobie, łącząc razem propozycyę o pieniądze i o córkę; nie daruję ja tego ani panu zięciowi potem.—

— Ach! potem będzie po czasie — rzekła żona, której łzy nie osychały.

Nadeszła i Helenka, także płacząca; uścisnęli ją czule oboje rodzice; matka sobie i jej łzy ocierała, a ojciec tak mówił:—

— Moje kochane dziecię! Z listu Szambelana wyrozumiałaś zapewne o co mu idzie; jakoż i nieraz dawał on mi poznać, że chce ożenić się z tobą. Bogiem świadczym się, że nie myślimy zmuszać cię do postanowienia przeciwnego twemu sercu i woli. Dla tego nim odpiszę do Szambelana, chcemy abyś nam szczerze wyznała, jakie twe są o nim myśli, i czy byłabyś determinowaną oddać mu twoją rękę. Ale nie myśl także, broń Boże! abym dla tego nędznego długu miał cię poświęcać. Znajdę jeszcze przyjaciół, którzy mnie pomogą i zaufają. Owszem takie nieprzystojne dopomnienie się byłoby przyczyną zerwania zupełnego z Panem Szambelanem... Ale on jest bogatym; widać że cię kocha, bo wie, że posagu stosownego do jego fortuny dać ci nie możemy, a przecież stara się o ciebie. On ci może los tak piękny zapewnić, że cieszylibyśmy się na starość, widząc ciebie szczęśliwą, a nawet mogącą dopomóc losowi siostr twoich. To wszystko jest przyczyną, że nie odrzucamy jego konkurencyi, lecz oddajemy to do twojej woli.—

Podczas tej ojcowskiej perory, Helenka uspokoiła się cokolwiek. — Kochani rodzice! odpowiedziała ona, macie zupełne prawo rozrządzenia moją ręką i osobą; a choćbym, broń Boże i nieszczęśliwą była, pocieszać mnie będzie przez całe życie to, że mam być posłuszną.—

— Bądź szczerą moje dziecię, tak, jak my szczerze chcemy twojego szczęścia i szczerego twojego wyznania—mówiła matka.

— Czyż rozumiecie, że nieszczere mówię, oddając się zupełnie

waszej woli i waszemu błogosławieństwu? Ach! nigdybym ja nie chciała ani was, ani domku naszego porzucać...— To mówiąc, rzuciła się znowu ku matce, i znowu nastąpiły łzy i pieszczoty, że ledwom się sam nie rozbeczał.—

— Ale cóż nam powiesz o Szambelanie?—zapytał znowu Prezydent.

— Szczerze wyznaję, że żadnej doń nie mam i nie miałam nigdy skłonności... Teraz list ten jego...—

— Rozumiem, przerwał ojciec. W piekle będzie, kto mu go poradził. Mówiłem ci, że list ten nas prawdziwie obraził, choć zawsze jest on dowodem, że cię Szambelan kocha...—

— Słowem, moi najdrożsi rodzice, mówiła Helenka znowu płacząc rzewnie, jeżeli w tém upatrujecie moje i własne dobro, jeżeli dla waszej spokojności o mój los, a nawet dla pomocy memu kochanemu rodzeństwu, potrzeba abym się poświęciła...— zgadzam się...

— O ja nieszczęśliwy!—wykrzyknął Hippolit.

— Pomaleńku! pomaleńku! czekaj końca; bo Helenka dodała jeszcze:— ale proszę was, aby Szambelan nie wiedział jeszcze o tém; abym przynajmniej miała czas, kiedy nie do namyslenia się, to do wyblągania u Boga łaski i miłosierdzia nademną!...—Nie dokończyła biedna dziewczyna, i wyszła z matką, zachodząc się od płaczu.

— Cóż tu robić? Panie Tadeuszu!—zapytał mię Prezydent, ocierając także z łez oczy.

— Potrzeba odpisać Szambelanowi.

— Ale jak i co? w tém sęk!... Widzisz, dodał on po krótkim zastanowieniu się, że ja nie jestem teraz w stanie rozmyślać nad tém. U Wasana głowa nie dla proporcji; znasz wszystkie okoliczności. Nie trzeba mu przyrzekać, kiedy ta biedna nie może się jeszcze na to zdeterminować; ale nie trzeba mu i odmawiać, bo może ją Bóg natchnie... Przytém trzeba mu, jakem to mówił, dać *ad intende*, że głupio sobie poradził. Pomyśl, kochany Panie Tadeuszu, i napisz terminkę, a ja przepiszę.—

— Zgoda—rzekłem; poszedłem do drugiego pokoju i poprosiłem, aby mi nie przeszkadzano.

No, Panie Szambelanie! myślałem sobie gryząc pióro, zażyłeś nas z mańki; ale i nas nie w ciemie bitę... nie pocieszysz się z naszego responsu. Pomaleńku więc i kategorycznie odpisałem tak:—

terminkę zachowałem, a będą ją wam czytał *punctatim* i *commatim*, bo przez to właśnie zalałem mu gorącego bigosu za skórę.—

„Szambelanie Dobrodzieju! Odbieram list Pański i dziwię się. (*punctum*) gdyż konjunkcya w nim interesu i sentimentu: (*duopunctum*) o pieniądzu i tam dalej. (*punctum*) sprzeczna! (*exclamationis nota*). Do uiszczenia się tak niespodziewanemu dopominkowi, (*comma*) suplikuję, (*comma*) o prolongatę czasu. (*punctum*) który tak dla mnie jako też i; (*media nota*) dla wszelkich zamiarów ludzkich. (*punctum*) pomyslną influencyę miewa? (*signum interrogationis* i *finis*). Mam honor zostawać...“ to już jak zwyczajnie.

Pan Tadeusz przeczytawszy, patrzył nam w oczy, oczekując naszego zdania, a raczej pochwały.

Śmieliśmy się serdecznie.—I na cóż na końcu ten znak zapytania?—odezwałem się.

— A jakże! to właśnie jakbym po przeczytaniu zapytał kochanego Szambelana— a co Wasan na to?— tak, jak was pytam— co Wasanowie na to?—

— Wyśmienicie! wybornie!—

— Nie prawdaż? mówił ukontentowany autor, i jest tu coś, i niema tu nic. Puściłem i kapitał jego, i konkury na prolongatę *ad tempus bene visum*. Prezydent upodobał także moję terminkę, przepisał ją *manu propria*, i posłaliśmy.

— A terazniejszy list od Prezydentowej można wiedzieć co zawiera?—zapytał Hippolit. Może nanowo Szambelan nagli o pieniądzu? Odpowiedz, Koniuszycu, że masz gotowe, bez żadnych szczególniejszych obowiązków.—

— O! znowu niecierpliwość. Kategorycznie przyjdziemy i do tego, bo nie koniec jeszcze na moim responsie, po wysłaniu którego byliśmy w dobrym humorze. Prezydentowa przyprawiła nam wybor-nego pończyku na zimno z syropem i malinowym soczkiem; popijaliśmy więc sobie szczęśliwie aż do wieczora siedząc na ganku. Nadszedł w końcu ekonom. Prezydent zaczął z nim gospodarską sessyą, a mnie Imość zawołała z sobą do apteczki na radę.

Usiedliśmy tam, i Prezydentowa mówiła do mnie:—Co z tego będzie, Panie Tadeuszu? Zgubim my naszą Helenkę, wydając za Szambelana. Wszakże pójdzie ona za niego, kiedy tego zechcemy, ale ona jego nienawidzi. Przed ojcem nie śmiała nieboraczka wy-spowiadać się zupełnie, ale przedemną, gdyście z moim Jegomo-sciem na ganku siedzieli, powiedziała wszystko najszczerzej. Ofiaro-



wałam się do Borun; pójdziemy tam piechotą. Może cudowna Matka Boska odmieni jej serce. Inaczéj nieszczęśliwa i ona i ja; bo ani te bogactwa, ani te spodziewane zapisy, nie pocieszą jej przy takim mężu...

Jeszcze licho nadało tego Podkomorzycza! Przystojny, młody, grzeczny; i czy bałamucił, (co niech mu Pan Bóg odpuści), czy i do prawdy zakochał się w Helusi? bo przysiadł się do niej nieodstępnie, i przy piérszej wizycie dni ze cztery tu gościł. Może i ona jego upodobała więc tém bardziej brzydzi się starym Szambelanem. Pan Ignacy powiadał mi, że to godny i zacny kawaler, że i nie ubogi nawet, choć nie ma tyle co ten sknera; ale mniejsza o to, jeżeli by on szczerze o niej myślił... Ale jak się tego dowiedzieć? Gdyby to obaczyć się z panem Ignacym...—Widziałem i ja wasana koperczaki, panie Podkomorzycu! więc skonkludowałem, że Prezydentowa w takich okolicznościach ma rację, chcąc coś o wasanu dowiedzieć się; i dla tego postanowiłem i odpowiedziałem jej, że wnet odjeżdżam do domu, i nie zwlekając długo, pojedę do wasana, panie Ignacy! Uradziliśmy nic o tém ani Prezydentowi, ani Helence nie mówić, a po powrocie moim złożyć znowu ciche *consilium* w apteczce, i postępować jak wypadnie z wiadomości, które osiągnę od wasana... Zabrałem więc list Szambelana i naszę odpowiedź, i dziś miałem już ruszać, gdy szczęśliwe *fata* was tu przyniosły. Otoż wicie teraz całą historję, dodając na zakończenie, co znaczy list dzisiejszy. Szanowany ksiądz Przeor dobrodziej, który tobie, Podkomorzycu, tak niespodzianie przyrzekł onegdaj błogosławieństwo małżeńskie, a który jednak chce stale to błogosławieństwo dla Szambelana zachować, zaprasza się na jutro, jako na piątek, na szczupaka z Wilii do prezydentowstwa na obiad, ale nie sam jeden. Widać że po moim listku zakręciło panu Szambelanowi w nosie, i zaczyna gorętsze już attaki, a ksiądz Przeor na swata się kieruje. Biedna więc Prezydentowa wzywa mnie do rady wojennej, a nie wiedząc, że przyprowadzę sukurs, który, za pomocą Bożą, uwolni ich od téj napaści.

Hippolit uściskając pana Tadeusza,—dziękuję, rzekł, dziękuję panu za udzielenie tych wiadomości; wzywam pomocy pańskiej, a wzywam śmiało, bo zamiary moje, jakém to panu oświaczył, są czyste i prawe; miłość moja dla drogiéj Heleny, dla tego anioła, najprawdziwsza; a jeżeli nie jestem tak bogatym jak Szambelan, mam jednak tyle, że mi wystarczy na utrzymanie mojej żony sto-

sowne do mojego i jej urodzenia i stopnia. Ponieważ zaś pan szambelan jutro, jak widać, stanowczo ma się oświadczyć, nie mamy więc ani chwili do stracenia....—

— Pomaleńku! pomaleńku! Możemy śmiało zjeść wesoło kawalerski obiadek, i potem rozważymy wszystko kategorycznie... a wola Pana Boga!.... Ja ci z duszy pomogę, bo nie lubię tego dusigrosza i kutwy. Co on lepszego ode mnie? Starszy pewnie o jakich lat kilka, a myśli o ożenieniu z młodą dziewczyną!... Waryat!... Kilkaset chat? wielka feneberya!... Nakoniec mam jakąś sympatią do wasana, panie Podkomorzycu! — Pocziwego ojca pocziwy syn! — powiedział onegdaj Podkomorzy—i tak z oczu patrzy.—

W tém excytarz zadzwonił mocno.

— Pół do dwunastej, zawołał Pan Tadeusz; zegar na wódeczkę dzwoni.—Jakoż nie ściągając ani minuty, dygnęła we drzwiach pani Stalewska, niosąc w ręku tacę, na której stało z półtuzina flaszek rozmaitym likworem napełnionych.

— Z którejże skosztujemy dla konkokcyi?—

— To ajerówka, Mości dobrodzieje, to pomarańczówka, a to kminkówka, Mości dobrodzieje—recytowała Stalewska.

— A wszystkie mojej własnej fabryki i dystylacji—przerwał pan Tadeusz.

— Prócz anyżówki, Mości dobrodzieju, odrzekła ona; bo choć t eraz anyż zupełnie wyszedł z mody, wszelakoż ja zawsze zasiewam i proszę skosztować.—

— A może wola będzie na wódeczkę najślawniejszego na świecie fabrykanta?—rzekł znowu pan Tadeusz.

— Ktoż on taki?—

— Czas! moi Mościpanowie, czas! Ta wódka, mówił Koniuszyc, wskazując na flaszeczkę udzielnj formy, jest moją rówienniczką. Postawił ją mój ojciec w roku mojego urodzenia, wypaliwszy datę na becze, na becze więc téj, moja najpierwsza metryka. W czasach rewolucyjnych, najpierw on myślił o przechowaniu Tadeuszówki, bo powiadał: „*Omnia si perdas, famam servare memento*“—to jest! [gdy wszystko stracisz, dobry trunek zachowaj na frasunek.] Tłumaczenie choć nie tak bardzo dosłowne, ale w praktyce lepsze od oryginału; bo przyznacie wasaństwo sami, że w nieszczęściu lepsza *pociecha* niż *śława*. Jakoż idąc za taką mądrą maxymą,

stracił wprawdzie dwie trzecie szlacheckiej fortunki, ale udało mu się zawsze ochronić nietylko kufkę moję rówiennickę ale i dobry zapas z successyi po Żodziskich Jezuitach, z ich sklepów zaczerpnięty. Ale o tém potém i w swoim czasie.

Zakosztowaliśmy więc anyżówki pani Stalewskiej, i za sprawiedliwe pochwały odebraliśmy kilka uprzejmych dygów.

— Właśnie w czas przybywasz, Bartłomieju, rzekł pan Tadeusz do podnoszącego się ku nam z pod góry starca. Do waszeci z moją staruszką, którą znasz podobno.

— Jakże nie znam? odpowiedział; nieraz ją z rąk pańskich przyjmowałem, jako i teraz przyjmuję.—

— Ale gdzież tak długo siedziałeś?—zapytaliśmy.

— Przyznam się panom, że zasnąłem na zapas; bo czas, który tu bawim, potrzeba będzie nocami nagradzać. Ale cóż robić kiedy, jak my z panem Koniuszycem wiemy, dodał mrugając na pana Tadeusza, jest w tém rzecz?—

— Tak, tak, jest w tém rzecz, i teraz odkryta rzecz! odpowiedział pan Tadeusz. Dowiesz się o wszystkim.—

— Niech Bóg daje jak najszczęśliwiej! byle z dobrém panny Heleny... i panicza rozumié się.—

Stalewska odeszła, a wkrótce zegar bić zaczął.—

Dwunasta *praecise*, rzekł pan Tadeusz, waza na stole, proszę.— Weszliśmy.

— Dla czego na trzy tylko osoby nakryto? Zapewne nie pogniwacie się, że starego Bartłomieja i moję Stalewską posadzimy z sobą?—

I owszem gniewalibyśmy się, gdybyś ich dla nas usuwał.—

Lecz dosłyszawszy nas, ukazała się we drzwiach Stalewska, i dygając za każdym słowem—Przez *respekt* i *estymę* powinna... my z Bartłomiejem w moim alkierzu obiadować będziemy. Proszę bardzo panicza zezwolić na to.—

Ponowiliśmy nasze prośby do staruszki, ale napróżno; bo obok upartej a dygającej Stalewskiej, ukazał łysinę Bartłomiej i odezwał się.—Niechże panowie siadają; barszcz stygnie i nam jeść chce się.—

— Cóż mamy robić z upartemi? siadajmy—rzekł gospodarz.

Gdyśmy ruszyli z krzesel, Azor powstał na swém legowisku, na którym po przechadzce do borku z trudu odpoczywał i usiadł poważnie na przednich łapach, zaspalym wzrokiem patrząc na swego pana.

— Azor! pomaleńku, pomaleńku! wiesz swój czas.—



Azor podkurczył nogi, położył i wyciągnął ku nam głowę... Niedgdyś warować umiał.

Odkrył gospodarz wązę i zawołał:—

— Szlachecki nasz barszczyk z rurą!—

Szły dalej zadysponowane wierszem potrawy. Wybornego kapłona sama pani Stalewska wniosła. Dygnawszy on nam w jój ręku, stanął na stole; a dzięki znajomości sztuki kucharskiej i dobremu humorowi gospodarza, smaczno i wesoło uchodziły dania.

Krotofilne anegdoty, wierszyki i koncepta dowcipne i dworskie, jakich teraz w płacziwój i wdychającej poezyi naszej modnej, nikt nie składa, i których razem z dawną wesołością zaniechano i zapomniano; kłamstwa myśliwskie śmieszne a niewinne, które przy potrawce z kaczek, jako przy zwierzynie, posypały się u pana Tadeusza jak z rękawa; nakoniec własne historyjki miłośne: wszystko to przemieszane informacyami sosów, przypraw rozmaitych i sekretów kucharskich, szło jedno po drugim i bez ustanku. A lubo rozwlekła i nieprzerwana taka legenda wyznawała piąty krzyżyk pana Tadeusza i nieprzymuszoną jego bezżeńską swobodę, darować mu jednak to trzeba było, równie jak nudną trochę, metodyczną we wszystkiem regularność, pomnąc, że największa liczba jego wieku i stanu ludzi, nie tylko nudzą, ale jeszcze naprzykrzają się i zrzędzą; kiedy poczciwy Koniuszyc, rozweselać tylko zawsze starał się, i najczęściej dokazał swego.—

— Po babce, godnej wielkanocnego stołu, rzekł pan Tadeusz.—

— A teraz potrawka prędką,  
Z dobrym humorem gawędka.—

— Trwa ona i przez cały obiad—odezwał się Hippolit.

— Tak, lecz by żywszą była,

Przy niej winka flaszek parę;  
Mało! ale winko stare!  
Czwartego pamięta przodka.  
Nektar w ustach, w woni myszka.  
Oliwą płynie z kieliszka,  
Kolor topionego złotka.

A co Wasanowie na to?—

— Znowu poezya! a ty dalibóg jesteś Poetą, panie Tadeuszu!—

— Poetą? gdzież znowu! ale tak *ad casum*, czasem coś się uda; to się i zatrzymuje w pamięci dla cytacyi w potrzebie.

Podaj co znajdziesz w drugim pokoju na kominku, rzekł on do chłopca. Stalewska musiała tam nagotować com rozkazał.

Jakoż wyniósł chłopiec z drugiego pokoiku dwie butelki i hlaczek.

— A hlaczek co znaczy?— zapytałem.

— To, rzekł pan Tadeusz, z zapałem podnosząc hlaczek w górę.

To wyprobowanej cnoty  
Medycyna staroświecka!  
To na febrę i na poty.  
Jakby dryakiew wenecka!

Bo trzeba abyście wiedzieli,

Że czasami dla odmiany,  
Gdy gość miły i kochany,

(a takimi wy u mnie jesteście)

Dobynam słodki trojniaczek:  
Mało! tylko jeden hlaczek!  
Lecz trojniaczek nie od Icki;  
Stary miodek jezuicki,  
Który z okowanych beczek,  
I ze złożonych lampeczek,  
Niegdyś synowie Lojoli,  
Na fest swojego patrona,  
Odśpiewawszy huczne *chorum*,  
Ciągnęli skromnie, powoli,  
I tylko najmędrsi z grona,  
*Patres quatuor votorum* \*).

A co Wasanowie na to?— i nie dając nam czasu do odpowiedzi,— bo trzeba wiedzieć, że Jezuici, jak Farmazoni, na różne dzielili się stopnie, i nie każdy bywał dopuszczonym do tajemnic Zakonu i do najstarszego trojniaku, którego taka historia.... Ale wprzód nalejmy. Na co wola?—

— Ha! kiedy tak, odpowiedzieliśmy zgodnie, więc po kieliszku miodu.—

— Nie po kieliszku, byłoby to *contra bonos mores*; po lampe-

\*) Był to najwyższy stopień zakonu u Jezuitów.

czce, i to po jednej tylko. Na młodą krew niebezpieczno więcej; a to — rzekł, odsuwając butelki z winem:

    Za zdrowie téj, której imię  
    Przy kielichu powiem w rymie!

A co Wasanowie na to; to *ex promptu!* Trzeba będzie zanotować.—

— My na to odpowiadamy, rzekłem, wzajemném zapytaniem; czy nie będzie za wiele? i czy dobrze mięszać trunki?—

— A ja odpowiadam kategorycznie: *Primo*. Znam miarę, do jakiej sobie pozwolić możemy, bo znam cnotę moich trunków; *experto credite*. *Secundo*. Mięszać złe z dobrém, złe, bo się dobre popsuje; mięszać złe ze złem, będzie najgorsze; ale pomieszać dobre z dobrém, nigdy nie szkodziło, bo się robi najlepsze. [„*Addimus aurum auro*“ powiedział jakiemuś Niemcowi nasz Skarbek] więc i my śmiało mięszajmy dary Boskie, ale pomaleńku i kategorycznie, to jest: ponieważ trojniczku, który wybornym jest na potuszenie obiadku, duszkiem pić nie godzi się, więc go, jak Jezuici, skromnie i powoli, rozlewając po podniebieniu, ciągnąć będziemy; a w drugiej kategorii: ponieważ zdrowie kochanki duszkiem aż do kropelki pić należy, więc na to mamy osobny zapas.—

Nalewając zatém miód do pięknych staroświeckich, niskich a szerokich lampek, zawołał pan Tadeusz Bartłomieja, i wchodzącemu czwartą podając: „to, rzekł szczególniej dla waści, żyjącego na wodzie, posłuży; to miodek Jezuicki; na febrę, kto ją ma, i przeciw febrze, kto jój nie ma, lekarstwo.“—

— Oh! oh! znać po zapachu — mówił kręcąc głową i usiadłszy przy osobnym stoliku Bartłomiej.

— Historia zaś tego miodu, rzekł pan Tadeusz, jest taka \*). Kiedy fundował się gdziekolwiek w Litwie zakon *Societatis*, i gdy już zmurowano kościół i klasztor,znaczony bywał dzień na poświęcenie i wprowadzenie nabożeństwa do kościoła, oraz na poświęcenie także i zaludnienie celek klasztornych. Na ten dzień uroczysty przybywała z Połocka beczka *Batorynu*, to jest miodu syconego w roku założenia tam przez Króla Batorego bogatego *Collegium*. Jezuickiego; którego miodu ogromna pipa, wisiała na łańcuchach w sklepach tego klasztoru. Przybyła beczka była kamieniem węgiel-

---

\*) Wiadomość miejscowa prawdziwa.



nym dalszych zapasów sklepowych, i przyjęta z należytą rewerencyą, udzieliła się raz pierwszy w dniu tym uroczystym; potem na każdej onego rocznicy, a także na imieniny Zakonu, to jest, w dniu Ś. Ignacego Lojoli, i nakoniec dla chorych na febrę fundatorów, ich potomków, i szczególnych przyjaciół klasztoru. Rozumie się, że co się wybrało, to się wnet dolewało najstarszym z kolei trojniakiem, i takim sposobem Batoryn trwały w klasztorach litewskich *in saecula saeculorum* gdyby same klasztory dotrwały.

Gdy przyszło do kassaty, żywili się sąsiedzi z rozmaitych zapasów klasztornych. Mój ojciec nieboszczyk, który jako dyscypuł szkoły Żodziskiej i najbliższy sąsiad, a zatem codzienny gość w klasztorze, kochanym był od wszystkich wyższego i niższego choru *Patrów* i *Fratrów*, dobrał się łatwo do Batorynu, i samę oryginalną beczkę, prawie pełną, otoczoną butelkami wybornego wina, jakby harmatę, ostawioną moździerzami, do swojego sklepu szczęśliwie przeprowadził.

Pamiętam dobrze, jak siedząc niekiedy na ganku domu, którego już niema, a sklepy tylko z niejakim zapasem pozostały, ojciec mój pociągał z dobremi kilku przyjaciółmi jezuicki miodek, a rozmyślając nad upadkiem tak potężnego zakonu, którego był wielbicielem, kiwał głową smutnie, i wypróżniwszy hłaczek z westchnieniem wołał: *[ Vanitas vanitatis, et omnia vanitas! "* Próżność próżności, i wszystko próżność! ]

— Ojcie Bartłomieju! jeszcze jedną!—

— Smaczny! wyśmienity! ale, Mospanie, to nie lampeczka wody z jeziora Batorynu; więc lękam się.—

— Jak to z jeziora?— ktoś z nas zapytał.

— A tak, bo o kilka mil ztąd jest jezioro zwane Batoryno.

— Jakaż przyczyna takiego nazwania?—

— Oto dla tego...—

— Odłóż na potem, stary gaduło, twoję legendę o wodzie, a nie lękać się, i na moje słowo pij śmiało miodek— rzekł pan Tadeusz.

Kiedyśmy się uśmiechali, mrugnął na nas pan Tadeusz, i nalał staruszkowi drugą lampeczkę; a że i my swoje skończyliśmy, więc odkorkował butelkę wina, z której zapowiedziana woń myszki rozeszła się po pokoju. Nie dając nam czasu do wymówek, nalawszy kieliszki, podniósł własny w górę i rzekł wesoło i dobitnie:

No, Panowie!  
Za tój zdrowie,  
Z którą w parze  
Przed ołtarze  
Stań Hippolicie!...  
I bądź szczęśliwy na całe życie!  
Haust najszczęszyć do kropelki  
Za zdrowie...

— Aj! Helenki nie rymuje do kropelki!... to ten miód przekłety!... Zaraz...—

— Owszem, podchwycił Hippolit:

Za zdrowie nadobnej Helki!—

— Wiwat! brawo! Za zdrowie nadobnej Helki!—

I dodał znowu—

Niech będzie zdrowa  
Podkomorzycowa!

Tém *ex promptu* podreperowałem się; i co Wasanowie na to?—  
Spełniony toast był odpowiedzią.

— A ty, stary przyjacielu, mówił Koniuszyc do Bartłomieja, nie wypijesz tego zdrowia? Tylko ci doleję trojniaczku, abyś z pełnej zaczął, a pij sobie pomaleńku.

Posłuszny Bartłomiej rozpoczął dolaną lampeczkę zdrowiem panny Heleny.

Za zdrowie gospodarza spełniliśmy po drugim kieliszku, gospodarz za zdrowie nasze; i gdyśmy wstawali od stołu, pan Koniuszyc, idąc za powszechnym wtenczas zwyczajem: „Przepraszam, rzekł, panów za obiadek; lecz z resztą, jeżeliście nie dojedli, to i tém lepiej.— „*Pinguis venter non studet libenter*“—powiadał mój ojciec, wyprawując mnie do szkół: a ja powiadam, że i *non gaudet libenter*; bo człek, jak wóz obładowany, ciężko i powoli toczyć się musi...

Ach! już po waszej dzisiejszej żegludzie! rzekł znowu pan Tadeusz, spójrząwszy na Bartłomieja; sternika do łóżka sterować trzeba.— Jakoż drzemał w krzesle starzec, postawiwszy niedopitą szklanke na stoliku; ocknął się wszakże na głos pana Tadeusza, chciał powstać, lecz nogi mu nie służyły i język się splątał. Wzięliśmy go więc pod ręce...— *Ułaż! Ułaż!* kochany Bartłomeju!— rzekłem prowadząc go do alkierzyka na łóżko pani Stalewskiej. I szedł bez oporu, wymawiając tylko niewyraźnie:

— Pa-nie Ko-niu-szy-cu! je-zu-ic-ka sztu-ka!—

— Udał mi się wysmienicie figiel, rzekł pan Tadeusz, gdyśmy Bartłomieja położyli; wiedziałem że po dwóch lampeczkach stary zaśnie, a za to jutro rzeświejszym będzie, jakbyś mu lat z dziesiątek ujął.—

— Aleś pomieszał nasze plany. Chyba że zaraz każesz zakładać konie i ruszymy lądem; bo jutro Szambelan nas uprzedzić może— rzekł niespokojny Hippolit.

— Owszem naprostowałem plany, odpowiedział Koniuszyc. Uparły starzec gwałtemby się dziś wrywał, nie dając nam się naradzić. Teraz zaś przenocujecie tutaj. Pomaleńku i kategorycznie ułożymy plan regularny, i popłyniemy lub pojedziemy razem, czy osobno, jak wypadnie.

Wkrótce rozmarzenie jakieś i nas obejmować zaczynało. Skarzyliśmy się na pana Tadeusza, że nas upoił...

— Nie lękajcie się, rzekł on, nie jesteście pijani, lecz tylko, równie jako i ja sam, senni. Przewidziałem dobrze co z nami po jezuickim trojniczku nastąpić musi. Chodźcie na mój stary lamus; tam stary miodek wytrawim. Stalewska przygotowała już tam łóżka; bo i ona wie dobrze, co się zwykle z gośćmi memi po Batorynie, dzieje.—

Nakarmiony Azor po naszym obiedzie, znając powinność wiernego strażnika, powłókł się za nami, i ocięzałym swoim korpusem drzwi lamusu zawalił.

#### XIV.

Dzwonek z wieży Żodziskiego kościoła zabrzmiał nam nazajutrz w uszach, gdyśmy odbijali na płytach od gościnnego domku Pana Tadeusza. Stało na tém, że popłyniemy razem do Niestaniszek, i ztamtąd także razem pojedziemy do Państwa Prezydentowstwa. Dla rozweselenia, jak powiadał, żeglugi, Pan Tadeusz, z gitarą angielską pod pachą, wszedł z nami na płyty.— *Ułaż! Ułaż!* krzyknął Bartłomiej; pośpieszajmy na mszę do Żodziszek.

— Będzie późno — rzekł Hippolit niecierpliwym — do celu naszej podróży.

— *„Msza nie opóźni, jałmużna nie zuboży”* — mówił Xiądz Błażej, Trynitarz Krzywicki, o którym wczora Panom wspomniałem,



a doświadczyłem téj prawdy nieraz w mojem życiu i w moich włóczeniach. Wczora straciliśmy wiele czasu na bankiecie, a przespałiśmy jeszcze więcéj, bo aż do białego dnia po bankiecie. Jest za co przeprosić Pana Boga, a zatém trzeba mszy wysłuchać, to i wszystko pójdzie pomyślniej... Niegdyś, Mospanie, Żodziszki były naszą konieczną stacją żeglarską, mówił dalej Bartłomiej. Tu przy-pływaliśmy wszyscy i *staubowali* się pod kościołem. Najlepiéj i najczęściej się zdarzało, bo miarkowaliśmy z miejsca, żeby tu stanąć w sobotę w wieczór, lub w niedzielę przed nabożeństwem. Każdy zatém sternik ze swoją czeladzią szedł naprzód do kościoła na mszę śpiewaną z suplikacją i litanją do Wszystkich Świętych; każdy pomodliwszy się i odśpiewawszy gorliwie „*Święty Boże! Święty Mocny! Święty Nieśmiertelny! Zmiłuj się nad nami!*” pewny był, że mu Bóg podróż poszczęści. Potém celebrujący, włożywszy na siebie bogatą kapę i zaintonowawszy po łacinie, szedł z processyą i z krzyżem w rękę, otoczony assistencyą księży i bractwem z chorągwiemi, na strugi. Sypał się lud z kościoła, a nawet panowie i panie szli aż do brzegu, albo i na strugi; bo każdy tak pięknie deskami przymoszczony był do brzegu, że processya bezpiecznie wejść nań mogła. Na pokładach przygotowano stoliki, białemi serwetami chędogo pokryte, a na nich chleb, sól i woda do poświęcenia \*). Koleją wchodziła processya na każdy strug, cisnęło się pospólstwo, statek kołysał się na wezbranéj i głębokiej wodzie. Kapłan, odmówiwszy modlitwy, poświęcał naprzód wodę, potém tąż samą wodą poświęcił strugi, zładowane na nich zboże, i sternika, klęczącego z czeladzią, poświęcił także i pobłogosławił. Tak przeszedłszy wszystkie strugi, wychodził na brzeg, i jeszcze ztamtąd krzyżem świętym nas żegnał. Natenczas odbijano od brzegu; razem na wszystkich statkach zaśpiewano pobożne pieśni, które sternik zaczął, a czeladź chorem dopomagała.

Jeżeli wiosna była wczesną, a Wielkanoc późną, wtenczas każdy śpiewał co mu Bóg na myśl dał. Jedni „*Boże w dobroci nigdy nieprzebrany!*“ drudzy „*Zawitaj ranna „jutrzeńko!*“ inni znowu pieśń do którego świętego patrona, jak naprzykład: „*Xiąże Niebieski Święty Michale! Co ludzkie sprawy ważysz na szale*“ i tym podobne. Lecz gdy zaraz po Wielkiejnocy spław się zaczynał, natenczas po poświęceniu strugów, na wszystkich razem zaśpiewano: „*Wesoły*

\*) Miejscowa wiadomość. <http://rcin.org.pl>

*nam dziś dzień nastał!*" i *Alleluja! Alleluja! Alleluja!* rozległo się na wszystkie strony... Aż miło było patrzeć i słuchać, aż dusza rosła Mospanie, jak po szerokiej i bystrzej wodzie szły statki z rozpuszczonemi żaglami na wyprzódki, a wesoła pieśń Zmartwychwstania Pańskiego brzmiała wszędy; bo lud wracający z kościoła ciągnął obu brzegami rzeki i śpiewał razem z nami. A tak cała Wilia, na obu brzegach i środkiem, huczno i radośnie aż do wieczora śpiewała *Alleluja*; a nawet w nocy, na strugach i po okolicznych siołach, odzywało się jeszcze *Alleluja! Alleluja!*

— Oj!... tak, tak było dawniej!... dodał staruszek, smutnie kiwając głową; było dobrze i wesoło na świecie!... a teraz!... pożał się Boże!... pożał się Boże!... Otoż i Żodziszki.—

Otoczony ciemnym jodłowym lasem, na wyniosłym brzegu Wilii, wznosi się frontem głównym ku niej zwrócony, obszerny i wysoki klasztor, niegdyś jezuicki, w kształt potrójnego krzyża zmurowany. Po skassowaniu zakonu \*), przeszedł on razem z dobrami doń należącemi w dziedzictwo Hrabiów Laskarysów; ostatnich podobno potomków niegdyś panującej greckiej familii. Dwór ich liczny zajął jezuickie celki i komnaty; pękły klauzury, i po ciemnych korytarzach, niedawno cichemi xięży rozmierzanych stopami, przebiegały gładkie i młode dziewice, lub wesołych i swarliwych dworzan cisnęły się hurmy. Na rozłożystej kuchni trwał gęsty i nieustanny płomień po dawnemu; ale w obszernym refektarzu, zamiast skromnego zakonnego przy pożywaniu darów Bożych milczenia, przerywanego tylko uroczystym i poważnym głosem czytelnika Ksiąg Świętych, brzmiały ochocze gwary, śmiechy i wiwaty wesołych rzeszy, zgromadzających się prawie codziennie do gościnnego domu Laskarysów. Po brzegach nawet Wilii, gdzie niedawno między ponuremi jodły snuli się, jak cienie, ascetycznie i głęboko zadumani synowie Lojoli, teraz powiewały pióra i wstęgi, lub błyskały drogie ozdoby pięknych głów i łabędzich szyi kobiét, świetnemi gronami łałujących się nad rzeką i w rzece.

Lecz i to przeszło!... Gmach klasztorny, przetrwawszy te dwie ostateczności, stał się własnością, mniej dostatnich dziedziców. Pustki i ruina obejmowały go powoli; opuszczał się on i chylił ku upadkowi, jak starzec, który przeżył swoje potomstwo, i nie miał już troskliwej ręki, czuwającej około siebie. Zapadała jedna po

\*) Historyczne.

drugiej celka; wiatr przez pokruszone okna i kominy wciskał się wewnątrz gmachu, i pogrzebowym tonem wył po pustych korytarzach. Nocnice i nietoperze zajęły w siedlisko sklepy i poddasza; a nakoniec runął środek dachu, i rozbiwszy sklepienia, zasypał gruzami wielką okrągłą salę, niegdyś bibliotekę klasztorną, zaczynając zupełne zniszczenie od najszlachetniejszej części budowy.

W takim stanie półruiny, ujrzelśmy ten klasztor wpływając do boru, który go otaczał, a na przeciwnym brzegu, długą i głęboką ścianą przegradzał niegdyś i hamował wzrok Jezuitów, jeżeliby przeciw powołaniu swemu w świat odleglejszy zajrzeć chcieli. Ciekawość następnych po nich dziedziców, nie ścierpiała tej zasłony, i długim, prostym a szerokim przerębem, naprzeciw klasztornego nad Wilią ganku, przedarła ją na połowę. Oko przezeń sięgając daleko, o milę dostrzega podróżnego z Wilna; i wzajemnie podróżny z Wilna, o milę powitać może białe mury klasztoru. Teraz, też— same białe mury, odbijając się od ciemnych jodeł, między którymi się wznoszą, żałobną oblekały się barwą, a przez kilkanaście spustoszałych okien i przez szerokie szczeliny w murze, zdawało się, że smutne jakieś widma, po starych zwykle włączące się gmachach, urzekającym wzrokiem zajrzały nam w oczy, oniemiły nas i przykuły do płytów, na których przesuwając się u spodu klasztoru, staliśmy niewzruszeni.

Stary Bartłomiej kiwał zawsze głową, powtarzając swoje — „Pożal się Boże!... Pożal się Boże!“... Pan Tadeusz, po długim namyśle, naśladując Bartłomieja, kiwał także głową i niepomyślnie mówił prorocstwo — „Pomaleńku, pomaleńku i kategorycznie... wszystko zapadnie!“... — Czeladź nawet cała, odjąwszy ręce od rudla, obróciła się ku klasztorowi i osłupiały weń wzrok wlepiła, a płyty niestworowane same się po spokojnej rzece niosły... Przerwał nakoniec powszechne milczenie nasze Pan Tadeusz, i rzekł:

— Mówiłem wam, że ojciec mój był uczniem i serdecznym przyjacielem Jezuitów! nie mógł on zapomnieć ich upadku.

— Na pamiątkę to zapewne, przerwałem, i beczkę Batorynu z ich sklepu dostał.

— A co Wasan rozumiesz? Przy każdym też zakosztowaniu z niej rozpamiętywał dzieje jezuitckie, rozpowiadał rozmaite o nich zdarzenia, a przy końcu hłaczka płakał nawet niekiedy.

— Jakąż przyczynę upadku ich naznaczał?



— Ot zwyczajnie złość i zazdrość ludzka, i nic więcej, jak mój tatulo dowodził; nie wdając się w dalekie rozważanie innych przyczyn, a których i ja po dziś dzień nie wiem. Czy nie pamiętacie nazwiska Papieża, który ich skassował?

— Klemens XIV, po nazwisku Ganganelli.

— A tak; tak go i mój ojciec nazywał. Otoż gdy Ganganelli myślił, rozważał i radził się ze swemi Kardynałami, jak ma z Jezuitami postąpić? gdy modlił się nieborak, błagając Boga, aby go w tym trudnym razie natchnął i oświecić raczył, przyszło mu na myśl postanowienie, nie skassowania zupełnego, lecz zreformowania Zakonu. Napisał więc projekt reformy, i z tym projektem posłał Kardynała jakiegoś do Jenerała jezuickiego, przemieszkującego zawsze w Rzymie, aby go do przyjęcia bez szemrania woli papieżkiej skłonił. Ale Jenerał przeczytać nawet nie chciał pisma tego! odsunął dumnie rękę Kardynała, podającą mu projekt, i rzekł: „*Sint quasi sunt!... aut non sint!*“\*) — Zasmucony Kardynał odniósł papier i te słowa Ganganellemu, a ten powtórzył tylko ostatnie: „*non sint!*“. To „*non sint!*“ padło piorunem na Jezuitów i odbiło się po całym świecie.

— Ha! więc własna ich duma zgubiła; i tego uporu chrześcijańskiego zakonnika nie mógł zapewne i ojciec pański pochwalić — rzekł Hippolit.

— Tak jest w rzeczy samej: nie ma co tu chwalić; ale prostoduszny tatulek mój nazywał to wspaniałością animuszu, a Ganganellemu nigdy darować nie mógł, że taki *luminarz* w Chrześcijaństwie zagasił... Teraz gdy obaczę gdzie dawniejszy klasztor jezuicki, zdaje mi się zawsze, że widzę na facyacie *grandibus literis* napisane fatalne: „*non sint!*“ i przypatrzmy się dobrze, czy i tu ich nie ma?

— Są, rzekłem, są, jako i nad każdą ruiną! jako i nad każdą mogiłą! jako i nad każdym dziełem ludzkim, które czas, lub sami ludzie, podniósłszy wprzód, obalili potem! jako nakoniec i nad nami samemi niezawodnie się wypiszą!...

— I dla tego — rzekł przerywając moję filozofię Pan Tadeusz, — trzeba mszy wysłuchać. *Staubuj* pod kościół, Panie Bartłomieju!

— Właśnie w czas świece gasić, gdy ludzie z kościoła wychodzą.

\*) Historyczne — Życie Klemensa XIV, przez Carracioli.

— To jednak, rzekłem, zmówimy choć na progu naszą modlitewkę, Panie Bartłomiej! „*Kto się w opiekę poda Panu swemu*“...

— Całym sercem, Panoczku, zmówimy! Oh! wczorajszego wieczora póki życia nie zapomnę!—

Zgadł Bartłomiej. Wyszedszy na brzeg, znaleźliśmy kościół zamknięty. W dniu powszednim nie przedłużało się nabożeństwo; lud jednak z miasteczka zachował nałóg codziennego mszy słuchania, za Jezuitów jeszcze wkorzeniony, i dla tego widzieliśmy z daleka, jakby w uroczystość lub w niedzielę, tłum płci obojg wychodzący z kościoła. A więc my, u progu nasze zmówiwszy modlitwy, na sam kościół rzuciliśmy okiem.

Różnica czasu i ręki budowniczej klasztoru i kościoła uderza tu wyraźnie. Pierwszy, jednocząc w sobie klasztorne razem i pałacowe formy, wykazywał epokę francuzkiego po całej Europie, a u nas saskiego budownictwa. Są to, a raczej były, trzy kształtne z podwójnemi wysokimi dachami pałacyki, niższemi kurytarzami połączone. Budowniczy myślał i znał, że pomieścić ma mężów, pobożnością i powołaniem z życiem zakonném, a nauką, dostatkami i znaczeniem, ze światem połączonych; dał więc razem klasztor i pałace, spoił *utile dulci*. Pobożny zaś mularz kościoła, który pierwszego przynajmniej o wiek cały poprzedził, samą tylko trwałość domu Bożego mając na względzie, zmurował grube, fundamentalne, bez najmniejszej ozdoby czworoboczne ściany, na nich z tyłu osadził i wzniosł kwadratową basztę raczej, niż wieżę. W strzelnicach pozawieszał dzwony; prostym jedno i drugie nakrył dachem, i żelazne na szczytach utkwivszy krzyże, otworzył wiernym dom modlitwy, którego poczernione mury zapowiadać zdają się, że pod tym znakiem świętej naszej wiary w późne przetrwają wieki. „*In hoc signo vinces.*“

Domysły nasze utwierdził Pan Tadeusz. On bowiem od ojca swego wiedział, że Żodziszki były jedną z najpóźniejszych w Litwie dla Jezuitów fundacją: że kościół i plebania świecka, dawno przedtém już tu istniały; że Jezuici, mając w klasztorze kaplicę do codziennego nabożeństwa, a uroczystości odprawując w parafialnym kościele, nie śpieszyli się z murowaniem własnego, którego budowa im dłużej się ściągała, tém wspanialszą być miała; że nakoniec już materiały przygotowywać poczęto, gdy owe nieszczęśliwe: „*non sint*“ położyło koniec wszystkiemu.

## XV.

Niedłgą już miała być żegluga nasza. Gdyśmy zeszli na płyty i odbili od brzegu, Hippolit dobywał zegarka, patrzył pokilkakrotnie na godzinę, ukazywał mnie ją w milczeniu, a Panu Tadeuszowi powtarzał: „Spóźnimy się, Koniuszycu, spóźnimy się. Szambelan nas uprzędzi.

— A choćby i uprzędził, odpowiadał Koniuszyc, to nic nie szkodzi: Prezydentowa wie, że będziemy na obiad.—

Niecierpliwym jednak Hipolit nieustannie prosił Bartłomieja, aby pośpieszał. — *Ułaż! ułaż!*— krzyczał staruszek; lecz nakoniec zniecierpliwiony także: „Proś Pan, rzekł, Wilii, aby szybczej płynęła; bo ja jej nie popędzę.— Skonwinkowany tym argumentem zakochany, usiadł spokojnie na trójnożku i zapalił fajkę. Siedział już podobnie Koniuszyc i stroił gitarę; usiadłem i ja obok z Hippolitem, i także zapaliłem fajkę; a rzeka w tém miejscu zachylając się ku południowi i okrążając las, za którym zostają i nikną Żodziszki, na szczerze wypływa pola. Przejmuje tu ją druga jej družba, czysta i piękna Oszmiana, którą Wilia przyjąwszy w siebie, nową wspomozona siłą, żywszym nas, gwoli życzeniom zakochanego Hippolita, unosiła nurtem.

— Wczoraj, ojcze Bartłomieju, rzekłem przerywając milczenie Hippolita i brząkanie na gitarze Pana Tadeusza, wspomniałeś nam przy trojniaku Batorynie o jeziorze *Batoryno*; powiedziałeś nam historią o Pacu; powiedzże jeszcze i o Batorym. To nazwanie jeziora od niego musi pochodzić; gdzież ono się znajduje?

— Czy co o tém wspomniałem? Nie pamiętam. Ale musiałem wspomnieć, gdy dziś Pan mi przypominasz.

— Jezioro to może być ztąd odległe o mil sześć. Bywam ja na niem niekiedy, kupując sielawki i stynki na post wielki. Okolicznie tam starzy ludzie powiadają, że niegdyś, a bardzo dawno, panowie może lepiej wiecie kiedy, król Batory był tu na Litwie z wielkiem wojskiem; a było to zimą. Noc miesięczna, xiężyc świecił jasno, i rybacy na jeziorze, dociągając tonie pod wieczór zarzucone, zebrali się w jedno miejsce, gdzie niewód z pod lodu wychodził. Nagle od strony Miadziola postrzegli oni migające zdala błyski, które coraz się przybliżały i szykowały rzędem, jakby po-



chodnie przy kondukcie. Nie długo rozpoznali, że to pancerni maszerują przez jezioro, że to ich zbroje błyskają, i że zbłąkani lub ośmieleni tęgiemi mrozami i grubością lodu, chcą dla skrucenia drogi przejść w poprzek jeziora. — Święty Justynie Miadziolski! ratuj ich! — krzyknęli rybacy przełęknięci; bo wiedzieli, że właśnie w tamtej stronie, jezioro głębokie i oparzyste nigdy mocno nie zamarza. Najmłodszy i najzwałszy pobiegł naprzeciw pancernych, ale jedni od drugich bardzo byli daleko. Na zamrzłym jeziorze o pół mili widać jak na dłoni. Krzyczeli także z całej siły, machali rękoma; ale chociaż noc była światłuteńka, nic to wszystko nie pomagało: pancerni w szeregu posuwali się na przód... Nagle jeden ogromny przeraźliwy wrzask, przerwany, jakbyś uciął, rozległ się po jeziorze... Pancernych już nie było!!! Z hukiem piorunowym pękał lud potem, i po całym jeziorze rysowały się szczeliny, a osłupieni rybacy stanęli jak wryci... Krzyknęli znowu, lecz postępować musieli powolniej i ostróżniej, bo szczeliny ludu coraz szersze aż do nich dobiegały. Nakoniec nadeszli do miejsca, gdzie obszerny przestwór wody, pływającymi bryłami lodu pokryty, jakby staw wielki, burzył się i szumiał wpośród zamrzłego jeziora... Była to głębina gdzie kilkadziesiąt konnych Króla Batorego pancernych załamało się... i w mgnieniu oka utonęło.

Rankiem mróz się wzmógł, obłam zaciągnął się lodem, i gdyby nie naocznym świadkom rybacy, niktby nie wiedział, gdzie się podzieli żołnierze których wieczorem przez Miadziół przechodzących widziano \*). Odtąd jezioro zowie się *Batoryno*; a długo potem nikt na niem ryb nie łapał, bo powiadano, że karmiły się ciałem topielców; co mogło być i prawdą, bo na wiosnę ani jeden trup nie spłynął na wierzch, jak to pospolicie bywa; każdego bowiem żelazna zbroja z koniem do ziemi przyciskała.

Z czasem jednak zapomniano o wszystkiem. Nazwisko tylko jeziora przypominało to zdarzenie. Aż przed laty kilkunastu, jakby dla utwierdzenia, Mospanie, tej wiadomości, wyciągnięto w niewodzie wielki miecz zardzewiały, czarny jak rozeń i kawał zbroi podobny do żelaznego garnka; a jakiś pan z sąsiedztwa, zbierający staroświeckie rzeczy, dobrze rybakom za te graty zapłacił....

\*) Miejscowa wiadomość i podanie prawdziwe.

*Na stos! na stos! Zagawędziłem się, Mospanie, i tyłkom-co płytów na mieliznę nie osadził. Na stos! Ułaż!*

— Niemało po Litwie jest pamiątek Batorego, odezwał się Pan Tadeusz. Mój ojciec wziął był dziedzictwem po stryju zastaw na dwóch majątkach w powiecie Borysowskim *sytuowanych*... Jeden zowie się *Stankról*, a drugi *Milcz!* a oba winne swoje te szczególne nazwiska Batoremu.

— Słuchajmy téj nowéj historyi—rzekłem.

— A oto tak było. Król ciągnął z wojskiem i szerokie drogi roztrzebiał przez lasy, w które i teraz Borysowski powiat obfity, a którymi natenczas prawie cały był zarosły. Groble krągłakami wyściełane po rojstach i trzęsawiskach, i studnie po lasach, Batrowskimi zwane, i teraz jeszcze tam okazują. Raz więc wojska stanęły noclegiem blisko folwarku jakiegoś szlachcica, i zatoczono obozy na polach i łąkach biédnego chudopachołka. Swawolne, a może i głodne żołnierstwo, nie miało uwagi na krzyki, skargi i płacze jego; wyrznęło krówki i barany, dobrało się do spiżarni i spichrzów i oczyściło je należycie, słowem, nazajutrz szlachcic mógł śmiało iść za wojskiem, bo w domu pustym nie było co robić. Wziąwszy więc żonę i drobne dziatki pod ręce, poszedł na gościniec przejąć Króla, którego przy wojsku natenczas nie było. Jakoż go i doczekał się \*).

Jechał konno Batory, otoczony świetnym orszakiem rycerstwa... Szlachcic powstał, zaszedł mu drogę i zatrzymując konia—*Stankrólu!*—zawołał.

Król zdziwiony zapytał, czegoby chciał? Natenczas szlachcic przełożył swoją krzywdę i zniszczenie. Żona i dzieci szlochały; szlachcic z płaczem powtarzał skargi i obliczał straty...

— Czemże cię mam nagrodzić i uspokoić?—zapytał Batory.

Szlachcic pomyślał trochę i rzekł: „Ziemią na której stoisz, Królu! boć twoja; to starostwo...—

— Bierz i *milcz!*— rzekł wspaniały Monarcha, zakreślając ręką w powietrzu jakby granicę darowizny.

— *Vivat Rex!*— wykrzyknął szlachcic uszczęśliwiony.— *Vivat Rex!*— powtórzyło rycerstwo.

\*) Historyczne miejscowe.

Szlacheć natomiast na darowanej mu ziemi założył w miejscu, gdzie Króla zatrzymał, jeden folwark, i nazwał go: *Stanikrół*; drugi zaś główniejszy, w dogodnej gospodarskiej pozycji, nazwał wyrazem królewskim: *Milcz*. Obadwa trwają aż dotąd.

Nie powtórzyłyby zapewne treści tych historyj Hippolit, chociaż mu je nad uchem rozpowiadano, tak był zadumany i smutny. Kiedy indy tylko dobywał, zegarka i spójrząwszy nań, kiwał głową i wzdychał. Niespokojna wyobraźnia przedstawiała mu Szambelana przybyłego już do rodziców Heleny, oświadczającego się im... Helenę z płaczem i udręczeniem zgadzającą się na wszystko... Nakoniec Książdz Przeor stał mu w oczach jak mara.

Widząc stan ten jego, skinąłem na Pana Tadeusza i rzekłem:— No, kochany Koniuszycu, dajże nam dowód twego talentu, i przerwij dumanie Hippolita jaką wesołą piosenką.

— Dobrze. Na tom przecie wziął gitarę. Ale porzuć, Podkomorzycu, tę minę utrapioną. Ożeń cię z Helenką. Daję ci na to *verbum nobile*. Szambelanowi, jeżeliby był uparty, pokażemy nasze *Kuchenrejtery*.

— Wszakżeś sam mówił, że Szambelan nie wyjdzie, choćby sto razy wyzwany.

— A po djableż temu pokazywać, który wyjdzie? Tego wyzywaj, który uciecze, to rostopnie! Bądź jednak spokojny. Pomaleńku i kategorycznie dojdziemy swego. „*Amor probatur in adversis*, to jest: *pieczone gołąbki nie lecą do gąbki*. A tymczasem zaśpiewam wam piosenkę na pochwałę stanu małżeńskiego. To jednego utwierdzi, drugiego zachęci.

— A Pana samego?

— *Praeteritum plus quam perfectum*, jakém to już wam powiedział—rzekł marszcząc brwi Pan Koniuszyc; i nakoniec przepróbawszy w kilku akordach gitarę, mocnym, czystym i męzkim tenorem zaczął piosenkę:—

„Póki myśli w pustém sercu  
„Świszczą jak wiatr w pustym domu,  
„Póty słowa o kobiercu  
„Człowiek wspomnieć nie da komu;  
„Póty śpiewa *vivat* ja!  
„*Vivat* główka ty moja!  
„Lecz gdy rozum doświadczony



„Siądzie jak gospodarz w głowie,  
„Trzeba żony! trzeba żony!  
„Trzeba żony! on ci powie,  
„I zaśpiewa *vivat* ja!  
„*Vivat* żonka ty moja \*).

Nóta téj piosnki jest prawdziwie rodowitą litewską: tony długie, pełne, mało z początku rozmaite, oktawami tylko odpowiadające sobie nawzajem, wzmagają się coraz i zlewają dobitnie ku końcowi, a cała moc głosu, cała siła męzkich piersi, jednoczy się na ostatnie dwa wiersze składane, jak widać, do chóru swobodnej drużyny. Wesoły kompozytor miał na myśli „*hukniem razem*“ gdy notę do tego „*Vivat ja*“ układał... i dla tego ono wypadało z ust Koniuszyca jak wystrzał rakiety, ognistym szlakiem wylatającej w górę... tam na drobniejsze rozpiezchało się tony, i spadało potem echem na rzekę i brzeżące ją lasy i jary... Dla tego gdy drugą strofkę zaczął Pan Tadeusz, to „*hukniem razem*“ warzyło się już nam w piersiach, i na drugim „*Vivat ja*“ wybuchnęło z zapalem i przyłączyło się do chóru. Tak za jednym wesołym wykrzykiem znikł smutek Hippolita; Bartłomiej na każdy *vivat* uderzył rudlem po wodzie i szumem Wilii nam wtórował; Jakóbek nawet, stojąc za nami na jednej nodze, śmiał się sam nie wiedząc czego, ale jednak serdecznie.

Taką wesołą i głośnie kalwakatą posuwaliśmy się między malowniczymi brzegami Wilii, na któreśmy znowu minawszy pola wpłynęli. Pan Tadeusz w coraz lepszy wpadając humor, i skończywszy apologię małżeńskiego stanu, teraz, rzekł, zaśpiewam wam pochwałę wieśniaczek naszych.

Puszczając zatem niedbale wszystkie razem palce po strónach gitary, hucznym akordem wtórował skocznej piosence—

„Jeśli rajem jest Warszawa,  
„Ja wieś nazwę niebem:  
„Tam nie dają darmo wody,  
„Tu częstują chlebem.  
„Tam serwatkę drożej płacą,  
„Niżli tu śmietana.“  
*Tu Helunia gdyby róża*  
*Nie dla Szambelana!*

\*) Dawny *text* świątorny. <http://rcin.org.pl>

A co Wasanowie na to? *Ad casum i ex promptu!*—

— Prawda; bo woryginalie jest, jak mi się zdaje— „*Tu dziewczyna gdyby róża, a tam malowana.*“

— A tak, tak; ale wierszyk jak prorocstwo wymknął się dla Podkomorzyca.—

Daléj rozochociwszy się Pan Tadeusz i podsadzając się do podskoku, a tupając nogą, śpiewał—

„Odrzuciwszy, wszystkie względy

„Światowe na stronę,

„Wolę z młodu w mieście bujać,

„A na wsi brać żonę.“

Gitara brzęczała głośno, a Jakóbek skakał za Panem Tadeuszem, bijąc rękoma po piętach.

---

— Otoż i Niestaniszkil! zawołał Bartłomiej, przerywając muzykę, śpiewy, śmiechy i skoki. Aż mi żal, że się z kochanemi Panoczkami memi rozstać muszą... A któż wie czy już się zobaczymy? Ja stary... Gdy posłyszycie, że umarłem, to przynajmniej pamiętajcie o duszy Bartłomieja sternika.—Uściśniliśmy serdecznie pocziwego starca.

— Co tam pleciesz o śmierci? To mi w czas, kiedy my o weselu zamyślamy! Owszem powracaj zdrów z Królewca, nie opóźniaj się, abyś trafił przed weselem, na które cię zapraszamy.

— Przed niewodem rybę łowisz, Panie Koniuszycu Dobrodzieju! Wszelakoż i ja mam dobrą nadzieję... Niech wam Bóg szczęści i błogosławi... *Staubuj! Stąbuj!*

Jeszcze więc raz podbiliśmy się pod parów przerzynający gaj dorodnych sosen, z których jedna najstarsza, siedząc na najwyższym i największym cyplu parowu, jak stara stuletnia babka otaczającej ją dziatwy, podrywana ze spodu, dawnoby zeszcła i runęła, gdyby poplątane familijnemi ogniwnami liczne jéj potomstwo, i uczepione za jéj nogi, nie utrzymywało ją na brzegu i nie karmiło ją na starość z własnych alimentów.

Pod tą weteranką lasów nadwilejskich wysiedliśmy na brzeg, i pięknemi ścieżkami, któremi właściciel parów ten ozdobił, przeprowadzani przez Bartłomieja i Jakóbka postępującego na czele całej żeglarskiej drużyny, doszliśmy do miejsca, gdzie nas pojazd Hippolita i służba oczekiwały. Jakóbek i towarzysze odeszli z pół drogi,

uradowani naszym gościńcem. Bartłomiej szedł dalej, i na samą wzmiankę podarunku, jaki mu uczynić chcieliśmy, odstał w tył i rzekł wzruszony—Jakto? Panicze i na moją starą głowę nie pamiętacie?... Chcicie mnie kilką rublami z waszjej łaski i waszjej pamięci skwitować! Nic z tego nie będzie, kiedym ja na to już nie zasłużył...—Nie daliśmy dokończyć staremu, ponowiliśmy nasze uściśnienia. Starzec się rozrzewnił.

— Zapewnie jeszcze się dziś zobaczymy, rzekł Pan Tadeusz. Nie możesz minąć domu Prezydenta.

Owszem, muszę minąć; bo raz tam zaszedłszy, nie mógłbym prędko porzucić. Nazad idąc, nie minę moich dobrodziejów. Teraz przepływając przeżegnam ich tylko, i westchnę do Boga na waszję intencję.

## XVI.

Już była godzina dwunasta; nie mieliśmy więc czasu do stracenia. Co najrychlej zatem zmieniliśmy toaletę, i wnet lecieliśmy po gościńcu, wiodącym do celu naszej podróży. Milczeliśmy wszyscy. Pan Tadeusz szczególnie był zadumanym.

— O czém?—zapytałem.

— Widzisz Wasan, odpowiedział, przemyśliwam, jakby nam pomaleńku a gładko pozbyć się kochanego Szambelana, i zostać panami placu.

— To będzie za trudno, zwłaszcza w rychłym czasie.

— Pomaleńku... i kategorycznie.

— Jakimże sposobem? zmiłuj się, kochany Koniuszycu! — zapytał Hippolit.

— Zbliżamy się, nie czas więc rozpowiadać. Na swoim miejscu obaczemy.

Pół mili w krótkim czasie przebyte: cztery dzielne kasztany niosły nas pędem wiatru;... lecz wjeżdżając w brzozową ulicę, postrzegliśmy sześć siwych z tamtej strony Wilii, któremi Pan Szambelan z Księdzem Przeorem do brzegu dojeżdżali. My tymczasem stanęliśmy pod gankiem.

Wysiadając rzekł z cicha Pan Tadeusz do Hippolita:—Podkomo-



rzycu! pamiętaj, że „*Audaces fortuna juvat*;<sup>4</sup>” toż samo po polsku: *dobra mina to grunt!*—

Spotkał nas w sieniach Pan Prezydent wychodzący bodaj na spotkanie Szambelana, bo zdziwiony, gdy nas ujrzał,—niespodziani goście!—zawołał. Z czego poznaliśmy także, że Prezydentowa nie powiedziała o przybyciu naszym.

Weszliśmy do pokojów i nieznaliśmy ani Prezydentowej, ani Helusi.

— Wjeżdżając w ulicę, widzieliśmy odezwał się Pan Tadeusz, dojeżdżający do promu jakiś piękny ekwipaż: sześć siwych koni i kocz.

— To pewnie Szambelan, odpowiedział Prezydent; bo ma tu dziś być na obiedzie z Księdzem Przeorem.

— Czy znowu względem interesu?...—

— Nie, nie, przerwał Prezydent z niejakim przymusem; owszem... to się jakoś ułoży... Niema co o tém wspominać.

— A jednakowoż miałbym słów kilka pomyślnych powiedzieć Panu w tym interesie—mówił Koniuszyc, spojrzawszy na nas z ukosa. Zrozumiano.

— A więc Panowie, rzekłem, gadajcie sobie o interesie, a my nie przeszkadzając pójdziemy dam poszukać.

— Nie, Koniuszycu, to i potem... Proszę Panów...—jąkał się niespokojny Prezydent; ale my już byliśmy w ogrodzie.

— Cóż tam za pomyślność mnie przywozisz? Panie Tadeuszu!—zapytał Prezydent.

— Nic nadto osobliwego; tylko chcę uwolnić Pana od natrętnego kredytora. W każdym czasie możesz mieć pieniądze na zaspokojenie Szambelana; a zatem... w dalszych jego projektach...—

— Obaczemy... obaczemy... mówił Prezydent, patrząc ciągle w okno. A zkądże te pieniądze? Może wpadnę z deszczu pod rynę?—

— Nie lękaj się. Wydasz oblig na moje czy na Pana Ignacego imię. Zda się, że obu nas masz za prawdziwych swoich przyjaciół.—

— Cóż znowu? Obadwaście goli. Zkądże te kapitały? Domyślam się... Nie wiem... nie wiem... Słuchaj Koniuszycu, powiedz mi, tylko szczerze, zkad wam przyszła dzisiejsza tu wizyta?—

Patrzył w oczy Panu Tadeuszowi Prezydent, oczekując odpowiedzi. Pan Tadeusz spuścił oczy.

—Pomaleńku... pomaleńku i kategorycznie... A gdybym zapy-

tał Pana wzajemnie: zkąd dziś przyszła wizyta Szambelana? A co Wasan na to?—

Teraz Pan Tadeusz patrzył w oczy Prezydentowi, a Prezydent spuścił oczy.

Oba milczeli. Prezydent znowu zwrócił się do okna, a Pan Tadeusz wyszedł.

My weszlśmy do ogrodu. — Cós nas bardzo zimno przyjął gospodarz—rzekł Hippolit.

— Nic dziwnego. Obaczył niespodzianych i niewczesnych gości. —

W tém na zawrócie ulicy postrzegliśmy Helenę z małemi siostrzyczkami. Hippolit wstrząsł się jak iskrą elektryczną uderzony. Podeszliśmy prędzej. Dziewczyna miała oczy podbrzękłe i spłakane, lica blade, które za zbliżeniem się naszym żywym oblały się rumieńcem. Hippolit z uniesieniem całował jęj rękę; siostrzyczki skakały i czepiały się koło mnie; szliśmy tak szeroką ulicą ku furtce ogrodowej, otwierającej się na łąkę, którą czytelnik przypomni.

Byliśmy o dziesiątek kroków od furtki. Hippolit z Heleną poprzedzali nas, i on, ująwszy rękę kochanki i podnosząc ją do serca,—dziś, rzekł, droga Heleno, ma się los mój...—

W tém nagle furtka się otworzyła i Pan Szambelan z Księdzem Przeorem zjawili się przed nami.

Helena usunęła rękę swą z rąk Hippolita. Dzieci krzyknęły a wszyscy stanęliśmy nieporuszeni.

— *Malum signum!* rzekł Ksiądz Przeor, zdawało mu się że z cicha, i pokręcał głową; Pan Szambelan dobył złotęj tabakiery, a ja podszedłem do przywitania gości.

— A! witamy panów. Nie spodziewałem się prawdziwie...—

— I ja nie spodziewałem się prawdziwie... — przerwał Pan Szambelan, pociągając kilkakrotnie tabakę, i patrząc na Helenę i Hippolita... W tém żywo postąpił naprzód; więc obejrzałem się, i postrzegłem Prezydentowstwo oboje z Koniuszycem, zbliżających się ku nam. Wszyscyśmy się więc obrócili i zaszli im drogę.

Prezydent powitał najuprzejmiej Szambelana i Księdza Przeora; o Hippolicie i o nas jakby zapomniał. Natomiast Prezydentowa uściśnęła mnie jak syna a Hippolitowi kilka słów przychylnych powiedziała. A tak wszyscyśmy się poprawili na humorach. Nawet Szambelan zapominać zdawał się o *malum signum*.

— Wyglądałem kochanego Szambelana od godziny, rzekł Prezy-

dent, tém bardziej, że ci Panowie, którzy tu niespodziewani tylko co przybyli...—

— I nie proszeni—szepnął mi na ucho Koniuszyc.

— Powiedzieli mnie, że widzieli jakiś piękny ekwipaż, zbliżający się do promu. Rozumiałem więc, że to Pan przybywasz, i dziwiłem się, że się tak późniesz. Aż tu nam Pan przyjacielską siurpryzę uczyniłeś.—

— Ale jako żywo? Właśnie to mój ekwipaż Ichmość widzieli: sześć koni siwych, których z własnego stada wybrałem i ujeżdżać kazałem do karety, a dziś pierwszy raz poszły w regularnym zaprzęgu, w koczku.

— A więc zapewne rozswawoliły się na promie.—

— Jako żywo? Imajnujcie sobie Państwo, to awantura! Kiedy podjechalśmy do rzeki, ukazały się na niej zdaleka płyty. Nim prom nam podano, nim konie i kocz na nim umieszczono, płyty tak się zbliżyły, że trzeba było koniecznie pozwolić im przejść pierwej. Nie kontent byłem z tej mitręgi i krzyczałem na sternika, stojącego na przodzie, aby pośpieszał. Podjął on łusą swoją głowę i przypatrywał się nam ciekawie; potem krzyknął po razy kilka—*Na stos! na stos!* — i sam silnie rudlem robić począł. Płyty, na prawo się zwracając, szybczej popłynęły. Pomyśleliśmy więc, że sternik rychło i zdaleka chciał nas obminąć, ale wnet przewoźnik krzyknął nań z promu:—Panie Bartłomieju! nie bierz tak *na stos*, bo zbijesz przypromek i sam siądziesz na piasku;—a ledwo to wymówił, już się tak i stało. Niezgrabiasz ten uderzył swoim płytą w całym pędzie o przypromek, zbił go i przewrócił, a sam zarył się na mieliznie; ja ledwo nie pękłem ze złości...—

Spójrzeliśmy po sobie z Hippolitem i Panem Tadeuszem; bo poznaliśmy przysługę Bartłomieja. On pamiętał, że Hippolit lękał się być uprzędzonym przez Szambelana...

— Łajałem od czci i od wiary niegodnego starca; a tymczasem przewoźnik nasz przepłynął na czólnie. Rozumiałem, że się pobiją; ale gdzie tam? Jak na złość nam ścisnąć się zaczęli, a przewoźnik ani myśląc o prędkiej reperacyi przypromku, odwrócił się do nas i oświadczył, że narządzenie przewozu aż do wieczora potrwać musi, i że radzi nam zwrócić się na Niestaniszki, gdzie także jest prom wysmienity. Rady sobie dać nie mogłem, bo i niecierpliwość i złość, i mitręga. Przecie Książd Przeor poradził, abyśmy czólnem sami przejechali, a kocz i konie odesłali na Niestaniszki. Zgodziłem się



tém chętniej, że chciało mi się rozmówić z Panem Bartłomiejem i nauczyć go sternikowstwa. Ale widać domyślił się stary, że to nie-przeliwki; bo nim my zwrócili konie i do czołna weszli, on łatwiutętko zepchnął swój płyt z piasku, krzyknął—*Uważ!*—obrócił się potem ku domowi Państwa, nie wiem dla czego przeżegnał go, i usiadłszy na stołeczku, zapalił fajkę i popłynął sobie szczęśliwie; a gdy mu choć zdaleka trzcina groziła, jakiś drażgał kłaniał nam się niezgrabnie, a razem skakał i śmiał się.—

Znowu spojrzeliśmy na siebie, bo odgadliśmy Jakóbka.

— Imainujcie sobie Państwo taką awanturę! Jak namówieni. Chyba ja ich nigdy nie złapię!—

Weszliśmy do sali, gdzie nas już waza czekała.

---

Zasiedliśmy więc do obiadu: stół był podłużny. Gospodyni zajęła pierwsze miejsce. Prezydent posadził przy niej Szambelana, a tak główny bok stołu został zajęty. Posuwając i pociągając nieznacznie Helenkę, Prezydent umieścił ją na początku linii drugiej od strony Szambelana, to jest, przy nim, przedzieloną tylko rogiem stołu; przy niej z kolei Księża Przeora, sam usiadł obok, a dalej dziatwa. Naprzeciw tego manewru zręczne także wybraliśmy pozycje; bo z drugiej strony przy Prezydentowej, Koniuszyc zrozumiałwszy taktykę Prezydenta, umieścił Hippolita; przy nim sam usiadł, ja obok Koniuszycy, za mną druga partya dziatwy. Hippolit więc był naprzeciw Heleny, i żadne jój wejrzenie nie było mu straconém; wzrok jego owszem mógł razem pieścić kochankę i drażnić ukosem rywala. Roskosz równa podobno, choć z przeciwnych źródeł płynąca. Koniuszyc Przeorowi patrzył w oczy. Ja miałem na baczności wzrok gospodarza.

— Dziwna to jednak rzecz; odezwał się Prezydent, że Bartłomiej, który od lat kilkudziesiąt sternikiem, i który niegdyś strugi bez przypadku aż do Królewca przeprowadzał, dziś z prostemi płytami tak niezgrabnie się znalazł; i wątpię nawet czy to on był? bo to stara nasza znajomość. On nas nigdy nie mija.—

— Że on rzeczywiście, odpowiedziałem, to my najlepszymi świadkami, bośmy cały dzień zawczorajszy z nim razem płynęli, z nim nocowali, z nim wczora do Pana Koniuszycy przybyli, a dziś i Koniuszyc, dotrzymując nam kompanii, płynął razem aż do Niesta-

niszek, gdzieśmy Bartłomieja pożegnali. Możemy też zaświadczyć o jego prawdziwej wdzięczności i przywiązaniu dla Państwa, za dobrodziejstwa, w jego chorobie mu wyświadczone.—

— Nie może on zapomnieć i ze łzami nam rozpowiadał, rzekł Hippolit do Prezydentowej, z jaką troskliwością zajmowałaś się Pani leczeniem jego, i z jaką anielską dobrocią Pani (zwracając słowa do Heleny) pocieszałaś go.—

Wejrzenie Helusi zapłacało Hippolitowi.

— Co to było? i dla czegoście Panowie płynęli z Bartłomiejem?—zapytał znowu Prezydent.

— Polując nad brzegiem Willi, ujrzelśmy go na płytach. Chęć Hippolita obejrzenia pięknych brzegów Willi, podały nam projekt wproszenia się doń i płynienia razem, a konie wysłaliśmy do Niestaniszek.—

— To wielka determinacya Ichmościów, odezwał się Szambelan, płynąc z takim niezgrabnym sternikiem. Chybaście Ichmość ufali w przysłowie: „*co ma...*“—

— Co?—przerwał Hippolit. I tém jednem—co?—przeciął mowę i przeciął usta Szambelanowi. Oh! wieleż to w tych dwóch literach było nienawiści, grozy, poniewierki i zapału?

— Pomaleńku, rzekł zcicha Pan Tadeusz do Hippolita, pomaleńku!—

— A wiesz, Szambelanie, mówił on, że przysłowie, któreś miał na ustach, nie tak tych młodych Paniczów, jak bliżej nas z Panem się tyczy?—

— A to jak?—zapytał zaambarasowany Szambelan.

— Oto tak. Chciałeś powiedzieć: „*co ma wisieć nie utonie.*“ Ale może nie wiesz, że to jest pierwszy wierszyk piosenki takiej:—

„Co ma wisieć nie utonie.

„Los się z ostrożności śmieje.

„Nie dodawaj stróżów żonie,

„Bo i stróże są złodzieje!“

— A któż stróżów dodaje żonom?—naturalnie stare marcowiki, tacy jak ja i Pan, gdy ich napadnie chęćka żenienia się z młodemi dziewczętami. Druga strofka jeszcze gorzej nam przymawia:—

„Z szklanką nie trzeba żartować,

„Bo się stłusze gdy upadnie.“

„Młodej żony nie probować,  
„Bo któż przyszłe skutki zgadnie? \*)—

— Mogę to Panu zaśpiewać po obiedzie, bo mam z sobą i moję gitarę.—

Tu wzroki krzyżowały się, jak strzały: Prezydenta i Szambelana, podwójnym a ciężkim grotem uderzyły się w Koniuszyca, ale odbiły się od jego czoła, jak od stalowej tarczy; Hippolita ostrzy i szyderycy utopił się w Szambelanie; Pana Tadeusza rozstrzelili się na wszystkie strony, jak szrót z rozsypującej broni; mój uderzył w sufit, a Księdza Przeora, który mało dosłyszał, a mniej podobno zrozumiał, padł na ogromnego szczupaka, którego właśnie wniesiono.

— *Magnificus! Magnificus!*— wykrzyknął Przeor.

— Zaczynajże go, *Reverendissime!*— rzekł Prezydent, zwracając blat ku niemu, ukontentowany sam, że niechętne domówki wzięły koniec.

— „*Lucionem a cauda, carpiorem a capite lauda!*“— rzekł na to Przeor, zatapiając nóż w szczupaku i krając sobie porcyę podług przysłowia.

— Tak, tak, mówił gospodarz; i po tém przysłowiu idzie wraz drugie, które wypełniać należy.—

„Post pisces, vinum misces.

„Si non misces, ingemisces.“—

— Wczora i jednego i drugiego przysłowia, rzekł znowu Przeor, probowaliśmy na karpiu i na węgrzynie u Szambelana, a dziś tu wpróbujemy na szczupaku.—

— I na francuzkiem wprawdzie, ale niemłodém winku, rzekł nalewając Prezydent; a tak doświadczenie będzie zupełne.—

— W moich kanałach mam mnóstwo karpów; nietrudne więc obiady na piątki i soboty, odezwał się Szambelan. Jeżeli Prezydentowa Dobrodzika pozwoli, to rad będę żywemi karpami przed każdym postem przysłużyć się.—

Prezydentowa skinęła grzecznie głową. Tą gospodarską wygodką, Szambelana nagle zaskoczony Koniuszyc, nie mógł się od razu złożyć, ale niedługo wszakże bił na odwrót; uśmiechnął się wnet, zła-

\*) Dawna piosnka.



pawszy plan odporny, i rzekł — Podkomorzyc kochany, zimą zasypie nas sławną trocką sielawą, której zapewne we własnych jeziorach ma dostatek.—

Szcześnie Hippolit mógł bez kłamstwa potwierdzić wezwanie Koniuszyca.

— W Trockim, rzekł on, tak wielka jest liczba jezior, że przy-sługa moja Państwu byłaby nader dla mnie łatwą.—

— At, dla wszystkiego zapytam się, pomyślił Prezydent, i za-pytał — Pan ma własne jezioro?—

— Mam ich kilka — odpowiedział Hippolit.

— To Pan musisz mieć wielkie dobra w Trockim? — dodał Szambelan z niejaką ironią.—

— Mniejsze daleko od Pańskich tutaj.—

Na tém się utarczka przerwała, i do końca obiadu obojętną rozmowę przeciągali jakkolwiek, Przeor z Panem Tadeuszem. Wprawdzie Szambelan odezwał się razy kilka do Helusi, ale odebrał parę *tak, tak*, niewartych ani jednego rzutu jęj oka, które przypadkiem zapewne padały na Hippolita.

Nakoniec dał się słyszeć turkot pojazdu na dziedzińcu, i my wstaliśmy od stołu.

— To zapewne moje konie nadeszły — mówił Szambelan.

— Każde szanowny Panie, odejść im do stajni.—

— Z ochotą. Lecz może Państwo Dobrodzieje raczycie obejrzeć moję sześciórkę? Każę objechać po dziedzińcu.—

— Dobrze, rzekł Prezydent, pójdziemy. — Ale sam tylko on wyszedł z Szambelanem i z Przeorem na ganek. Damy poszły do pokojów, Hippolit za niemi, a Koniuszyc skinął na mnie, i wyszli-śmy do ogrodu.

— No! rzekł on, nie daliśmy się pokonać w małych potyczkach.—

— Owszem, rzekł, wyszliśmy zwycięzko; stawałeś dzielnie, i dałeś odrazę nieprzyjacielowi.—

— Tak, ale to jeszcze nie przykłada się do zupełnej wygranej. Nieprzyjaciel stoi jak za murem, za ojcem, i ten go do ostatka bronić będzie. Czas nagli; pomaleńku więc i kategorycznie opowiem ci moje plany, które wraz wykonywać potrzeba, bo na palcu Szambelana niedarmo błyska dyament. On, nie zważając wcale na nas, i ośmielony tak widoczną preferencją dlań Prezydenta, lada chwila oświadczy się.

— Musielibyśmy więc i my wystąpić.—

— Miałem ja, gdyście wyszli do ogrodu, konferencyę z Prezydentową. Ona jest całym sercem za Podkomorzycem, i powiedziała mi nadto, że Helusia wyznała jej dlań swoją skłonność. Jednak biedna dziewczyna gotowa pójść za wolą rodziców; i starać się będzie zapomnieć jego, kiedy taka będzie wola Boża. Jeżeli więc podwójne nastąpią oświadczenia, wszyscy będą w kłopotcie, a w największym Helusia. Ten głupiec jak zaczęnie sypać zapisami, brylantami, folwarkami, może aż do inwentarzów przyjdzie; bo jak ja z gitarą, tak on wozi się zawsze z tabelką swojej intraty, i pewny jestem, że i teraz ma ją za nadrą; a Prezydent, zakładając szczęście córki na bogactwie, gdy tylko odkryje swe życzenie w obecności Szambelana, to on na nic nie zważając, potraktuje pannę pierścieniem. Matka będzie płakać, ale naprzeciw mężowi nie wystąpi; i kiedy najlepiej wykierujemy się, to wyjdą obie strony na odkład, a [z odkładu nie ma ładu!] A co Wasan na to?—

— Nie, Koniuszycu! Znam Hippolita. Prędzejby odszedł w milczeniu i wyzwał potem Szambelana, niżeliby narażał Helenę i jej rodziców na takie przykre koleje.

— No, to znowu awantura, i nic potem. Więc w tém cała nasza nadzieja, aby Szambelana nie dopuścić do oświadczenia się, i aby on sam wyrzekłszy się wszystkiego, *proprio motu* zrejterował się sobie szczęśliwie; a wtenczas nikt spodziewam się, nie popędzi się za nim. Otoż cała *sapientia* mojego planu, do którego wypełnienia masz należeć natychmiast.—

Tu mi wytłómaczył dokładnie wszystko, co miałem czynić i mówić, ukazując topograficznie po ogrodzie ścieżki, po których postępować byłem powinien.

— A Pan sam? — zapytałem.

— Co Wasanu do tego? Dość ci wiedzieć, że fałszu w moim planie ani trochę nie ma. Zresztą liczę na głuchotę szanownego Przeora. Wracajmy. Szepnij Podkomorzycowi, aby był cierpliwym, i zajął przez jakie półgodziny Prezydenta opowiadaniem o swoim gospodarstwie w Trockim.—

Gdyśmy weszli do sali, znaleźliśmy w niej Szambelana, odbywającego tajemną konferencyę z-Przeorem. Szambelan szeptał mu na ucho.

— Dożywocie! krzyknął Przeor; rozumiem!...—

— Cicho, *Reverendissime*, cicho!

— A jaż cicho i mówię.—

— Słyszysz? szepnął do mnie Koniuszyc. Ani chwili do stracenia, bo wypali... Bierz go na konfessatę.—

Weszliśmy jednak razem do pokojów. Tam matce i córce, siedzącym razem, łyzy się w oczach zwiły. Prezydent milczał, a Hippolit roztargniony rzucał słowa bez związku i bez myśli... Chwila stanowcza widocznie się zbliżała... Wstał on, gdyśmy weszli, i na skinienie moje poszedł za mną do drugiego pokoju.

— Na miłość Boga! co będzie? dla czego mnie opuszczacie?— rzekł cały wzruszony.

— Gdy ja i Koniuszyc wyjdziemy z pokojów, zajmij na półgodziny Prezydenta jakąkolwiek interesowaną dlań rozmową, naprzykład o gospodarstwie; bądź cierpliwy, a reszta... jak Bóg da.—

Wyrwałem rękę zatrzymującemu mnie Hippolitowi, zwłaszcza, że Koniuszyc rzucił na mnie bystrym okiem, i wyszedłem do sali, a zebrawszy całą myśl na instrukcye Pana Tadeusza, przystąpiłem do Szambelana.

— Pozwoli Szambelan Dodrodziej o kilka chwil czasu. Mam do Pana trochę interesu.—

— Prawdziwie czy nie możnaby odłożyć. Właśnie potrzebujemy wejść do pokojów i... zabawić damy.—

— Wszakże nie są same jedne, a mój interes jest razem i Pańskim. Wreszcie długo Pana nie zatrudnię.—

— Cóż mam robić kiedy tak koniecznie? Wraz powrócę;— i głośnieji dodał — *Reverendissime!* zaczekaj tu na mnie.—

---

Wyszliśmy więc do ogrodu z Panem Szambelanem.

Ogród staroświecki Państwa Prezydentów zarosły był kilką długimi i gęstymi szpalerami z lip starożytnych, około których po obu stronach szły drożki, i kilka ławek drewnianych do odpoczynku. Na prawą stronę jednego z tych szpalerów zwróciłem Pana Szambelana, tak, że się nam zakrył szpalerem dom i wejście z sali do ogrodu.

— Cóż tedy masz mi Pan powiedzieć?— zapytał niecierpliwie Szambelan.

— Usiądźmy, rzekłem, na ławeczce.— Usiedliśmy.

— Proszę nie zwlekać — rzekł on znowu.



— Bynajmniej.—

Mysliłem jednak, że mi czas przedłużyć trzeba jak najuważniej, nim Koniuszyc nie da jakiego hasła, bo nie wiedziałem jego roli.

— Pan masz kilka tysięcy rubli u pana Prezydenta?—

— A panu co do tego?—

— Niech się pan nie gniewa. Czy pan się zgadza na przelew tego kapitału?—

— Dziwna propozycja!—

— Nie tak bardzo, Mości Szambelanie! pan przed kilką dniami upominałeś się o ten kapitał u Prezydenta. On szukał przyjaciół, którzyby go wspomogli. Ja mam honor liczyć się w ich rządzie, a zatem...—

— Ależ ja nie myślę handlować obligami, Mości dobrodzieju, i otwarcie mówiąc, wolę mieć oblig Prezydenta niż pański.—

— Ja też nie myślę takiego handlu panu proponować; a przypomnienie pańskie, żem niebogaty, przypisuję niewyrozumieniu się naszemu. Nie papierem za papier, ale gotowemi pieniędzmi zapłacę panu oblig Prezydenta.

— A dobrodzieju! zkądże flota zawinęła?—

— Tak, tak, przyплыnęliśmy aż do Niestaniszek — ozwał się z drugiej strony szpaleru głos Koniuszyca. Odetchnąłem wolniej, posłyszawszy sukurs.—

— Ale mniejsza o to. Siadajmy tu na ławeczce, *Reverendissime*, bo ja mam z jegomościem trochę pod sekretem pomówić.

— Jakaż jest pańska determinacya? Panie Szambelanie dobrodzieju!—

— *Reverendissime* tu w swaty przyjechałeś?—

— To jest tak.... niby!— krzyknął Przeor.

— Moja determinacya?... Pan pytasz?—

Szambelan ambarassował się i cicho się ku szpalerowi nachylał.

— A wiesz, *Reverendissime*, że godząc na wesele...—

Tu cicho szeptał Pan Tadeusz, a dosłyszeliśmy tylko — *po-grzebu!*—

— Mów głośniej, wrzasnął Przeor, bo właśnie na prawe ucho gorzej głuchy jestem.—

— Podobno są i zaległe procenta?—

— Tak... tak... są.—

— Powiadam, *Reverendissime*, że godząc na wesele, mówił głośniej i dobitniej Pan Tadeusz, możesz stać się przyczyną nie jednego pogrzebu.—

— Jakiego pogrzebu? Co pleciesz?—

— Matki, córki, Szambelana; a może i Podkomorzycza; bo któż to zgadnie?—

— Nie rozumiem. Ale mów prędzej. Chyba żartujesz!—

— Wcale nie żartuję, i w tém właśnie miałem przestrzedz jęgomościa pod sekretem.—

— Ja nikomu nie powiem.—

— Pod sekretem, to się znaczy, aby nas tu kto nie podsłuchał; bo owszem będziesz mógł pan, a nawet i powinienes, przestrzedz kogo należy.—

Zrozumiałem teraz wyraźniej moję powinność. Potrzeba mi było wrzucać słowa interesu o kapitał między rozhovor za szpalerem, aby utrzymywać na miejscu Szambelana, tak jednak, aby mię Przeor nie posłyszał. Trudnoby mi to przyszło, gdyby sam Szambelan nie zainteresował się tym rozhoworem, pobudzany nadto w ciekawości umyślném zniżaniem niekiedy głosu Koniuszycza.

— Podkomorzyc jest tu w nieodmienném postanowieniu... Szambelana...—

— Co Szambelana?—

— Wyzwać na pojedynek, powiadam.—

Szambelan się wzruszył, ale pilniej natężył uwagę.—

— A za co?—

— Cóż myślisz? Panie Szambelanie! o kapitale?— rzekłem.

— Potém o tém, potém o tém. Pozwól pan dosłuchać téj szczególniejszej rozmowy. Wszakże powiedział pan Koniuszyc, że dla mnie nie ma sekretu.—

— Jak wola pańska.—

— Dziwna kwestya, za co? Czyż *Reverendissime* nie poznałeś tego, że obadwa... z panną Heleną...—

— Co z panną Heleną? niedosłyszałem.—

— Obadwa chcą się żenić z panną Heleną, która nienawidzi Szambelana a kocha Podkomorzycza.—

Szambelan zerwał się z ławki... i posunął się iść.

— A z kądże ta wiadomość, wrzasnął Przeor, że ona nienawidzi Szambelana?—

Szambelan usiadł znowu, ciekawy także z kąd ta wiadomość?

— Z ust własnej jej matki, mówił tu znowu głośno, dobitnie pan Tadeusz, która poleciła mi, abym tobie, *Reverendissime*, po-maleńku i kategorycznie oświadczył: *Primo*. Że będziesz miał na sumieniu, jako kapłan, jeżeli przyłożysz się do nieszczęścia dziewczyny, która przez posłuszeństwo dla ojca może wprawdzie oddać rękę Szambelanowi, ale przymus ten robi ją na całe życie nieszczęśliwą, a może i o śmierć przypawić. Otoż masz po weselu jeden pogrzeb, *Reverendissime! Secundo*...—

— Szambelan spuścił głowę i zamyślił się.

*Secundo*. A pamiętaj, *Reverendissime*: że to nie moje słowa, ale matki, która i dotąd napłakała się dosyć, a resztę zdrowia zrujnuje patrząc na niefortunne życie córki. Broń Boże zaś na nią śmierć, to przy podeszłym wieku Prezydentowej pewny drugi pogrzeb; a obadwa padną na głowę i sumienie jegomością dobrodzieja...—

— Jezus! Marya! Józef! zawołał Przeor. *Averte Domine oculos meos!* Umywam ręce...—

— Dziękuję, księże Przeorze! Miałem po co przywozić?— mruknął Szambelan.

— Tak wypada i tak należy, *Reverendissime!* A to jeszcze nie koniec. Może być i trzeci pogrzeb, bo jak to panu mówiłem..... proszony jest przez Podkomorzycę..... piśnie..... na pistolety.—

— Ha! co? kto piśnie na pistolety? Mów z łaski swojej głośniej i wyraźniej, bo *periculum grave*, trzeba rychło zaradzać.

— Otoż powtarzam, że pan Ignacy, mówił głośno Koniuszyc, uproszonym jest przez Podkomorzycę, aby Szambelana, jak tylko on piśnie słówko z oświadczeniem się o rękę Panny Heleny, wyzwał na pistolety. Ot masz i trzeci pogrzeb, *Reverendissime!*

— Ach! ty nie dobrego — pomyśliłem.

— Jak to? krzyknął Szambelan odskakując ode mnie; pan mnie masz wyzywać, i na toś mnie tu wyprowadził?—

— Wcale nie na to, panie Szambelanie! Prawdziwy mój interes powiedziałem panu, i czekam jego determinacji; lecz...— mówiłem dalej biorąc go za rękę.

A otoż oni obadwa za szpalerem odzywają się...

— Cicho, *Reverendissime!* Czekajmy na czém się skończy.

— Lecz jeżelibyś pan, nadużywając przewagi, jaką bogactwem swoim zjednałeś u Prezydenta, chciał żądać w małżeństwo niechętną dla pana, a przychylną przyjacielowi memu panny Heleny, to



jest: jeżelibyś chciał uczynić nieszczęśliwą ją samą, jej matkę i przywiązanego do niej młodzieńca, w takim razie miłość, rozpacz i sprawiedliwa zemsta... powodując Podkomorzycem, sprawić może... że przy oświadczeniu pańskim... będę musiał... Ale się pan upamiętaj! Czyż postępek pański, mogący być przyczyną takich nieszczęść, będzie szlachetnym, honorowym i sumiennym?—

Szambelan patrzył w ziemię, stał milczący; nakoniec wyrwał ode mnie rękę, i rzekł odwracając się nagle:

— Pojedynku Waćpanów nie lękam się, bo na to jest prawo...

— Prawo honoru, przerwałem.

— A gwałtem nikogo na kobierzec ciągnąć nie myślę...— I poszedł śpiesznym krokiem do pokoju.

Szedłem za nim, ale pot mi wystąpił na czoło; bo tak ciężką odegrałem rolę, chociaż i słowa jednego niesprawiedliwego nie powiedziałem. Wyszedłszy z za szpaleru, postrzegłem Przeora i Koniuszycę, postępujących drugim bokiem szpaleru także ku budynkowi.

— Czy widzisz, *Reverendissime!* jak zmyka Szambelan? mówił Koniuszycę. Pewnie ten paliwoda, (wskazując na mnie), nie wytrzymał i wyzwiał go przed czasem; a całego tego kłopotu jegomość przyczyną.

— Jak? za co? Czy mogłem przewidzieć, że starania moje *circa connubium* Prezydentówny za takiego bogacza, jak Szambelan, skończyć się mogą na takiej katastrofie? Dla tegoż do niczego już się nie wmięszam.

— I najlepiej zrobisz, *Reverendissime!* Więc radziłbym jegomości nie wchodzić nawet teraz do pokoju i przejść się nieco po ogrodzie, nim się tam rzeczy ukartują.

— Dobrze mówisz. Róbcie tam święty pokój. Ja tymczasem odmówię nieszpory i na cały wieczór wolnym będę.

---

Tymczasem Szambelan przebiegł salę, wpadł do sieni, i znalazłszy tam swego lokaja— zakładać konie natychmiast!— rzekł. Lokaj poleciał do stajni, a Szambelan wrócił do sali i spotkał się ze mną wychodzącym z ogrodu.

— Piękna intryga, Panie dobrodzieju!—

— Wszedł Pan Tadeusz i przerwał rozmowę. Wszyscy trzej weszliśmy do pokojów.

— A gdzieżecie to tak długo bawili? odezwał się Prezydent. Już miałem iść szukać kochanego Szambelana. Tu mnie ten pan, (ukazując na Hippolita), przekonywał, że bardzo pożytecznym jest dla gospodarza trzymać owczarnie merynosów, jak on nazywa, o czém u nas ani słyhać. Jak pan o tém sądzisz? Panie Szambelanie! Jesteś gospodarzem zawołanym. Młodość zwyczajnie chwytą się nowości, ale my starzy... doświadczeni chcę mówić...—

— Tak, tak, Panie dobrodzieju! — odpowiadał na to usiadając, to wstając, to podchodząc do okna, a kręcąc w ręku tabakierę Szambelan.

— Jak to? i pan jesteś za merynosami?—

— I owszem... nie, nie, Panie dobrodzieju, to jest podług tego jak wypada... Panie dobrodzieju!...—

Prezydent, zdziwiony bezzwiązkowemi odpowiedziami Szambelana, spójrzył nań uważniej i łatwo dostrzegł zmiany jego na twarzy i niespokojności w oczach.

— Co to jest panu? zapytał. Może nie domagasz?—

— Owszem nie, wcale nie, Panie dobrodzieju!—

Prezydent więc, ściskając go za rękę — Szambelanie kochany! rzekł, bądźmy dobrej myśli. Żono! każ podać wina. Pokropim jeszcze tego szczupaka. Gdzież nasz ojciec duchowny?—

— Mówi pacierze w ogrodzie, odpowiedział Koniuszyc. Powiadał mi, że jak odmówi teraz nieszpory, to będzie wolny na cały wieczór.—

Prezydentowa wyszła aby spełnić polecenie męża; a twarz Helusi dotąd pogodna zachmurzyła się nanowo.

— A cóż to znaczy? Szambelanie! — odezwał się Prezydent, przechodząc około okna, w które bez ustanku zaglądał Szambelan. — Zdaje mi się, że Pańskie konie zakładają?—

— Tak... tak... Panie dobrodzieju!—

— Zkąd ta nagła odmiana? i co za niespodziany pośpiech? Proszę kochany Szambelanie, każ odłożyć konie, i jeżeli to jest tylko prosta ceremonia, to między przyjaciółmi niepotrzebna.—

— Nie, nie, Panie dobrodzieju! Muszę... muszę, Panie dobrodzieju!...—

— Dziwi mnie to bardzo. Czyby ktokolwiek w moim domu panu ubliżył? patrząc na nas dodał Prezydent. Proszę pana wytlómaczyć się raczej otwarcie, niżeli ubliżać mnie takim odjazdem bez przyczyny.—

Helenka wyszła, rzucając na mnie wzywającém okiem.

— Nie... nie... i owszem, Prezydencie dobrodzieju, i owszem... Wszelakoż, mimo łaskawych względów pańskich, intryga...—

— Już pan drugi raz powtarzasz to słowo, a nie życzyłybym sobie usłyszeć go raz trzeci, przerwałem, bo ono jest niesprawiedliwém, i tém bardziej obraża, że pan sam wiesz o tém dobrze.—

— Co to wszystko znaczy? Mości panowie! Jakie to zagadki? Nikogo z panów nie wypuszczę nim nie będę wiedział o wszystkim.—

— Pomaleńku i kategorycznie...—

W tém Szambelan, postrzegłszy swoje konie pod gankiem, chwycił za czapkę, i — do nóg się uniżam Prezydenta dobrodzieja rzekł, do nóg się uniżam.

— Swiksował się czy co u licha? Panie Szambelanie! — wołał Prezydent, idąc za nim; a za prezydentem my wszyscy postępowaliśmy.— Panie Szambelanie! zaczekaj! chwilę tylko zaczekaj!—

— Tak, tak, Panie dobrodzieju, żadną miarą, żadną miarą; do nóg się uniżam, Prezydencie dobrodzieju!...— Siadł do koczka i ruszył.

Gdy już był pod bramą, pan Tadeusz; jakby przypomniawszy, zawołał, niebardzo jednak głośno — Czekaj, Szambelanie! Zapomniałeś socyusza! Ale gdzież tam? Widać gniewa się i na niego; rwie z kopyta! Z Panem Bogiem.—

„A jeśli odjeżdżasz, bądźże zdrów!”

Wtém ukazał się i ksiądz Przeor.

— Cóż to znaczy? *Quid significat? Camerarius ubi?*—

— *Ibi*, odpowiedział Pan Tadeusz, wskazując na kocz w ulicy brzozowej; ale bądź spokojny, Szanowny Przeorze; odwożę cię sam mojami karemi aż do klasztoru.—

— Dla czegoż uciekł?—

— Zrozumieć nie mogę, rzekł Prezydent zachmurzony. Domyślać się muszę, że jest przyczyna, przede inną dotąd ukryta, którą gdybym wiedział.—

— To cóż? przerwał Koniuszyc; tobyś się pan popędził za uciekającym z pańskiego domu, w którym najuprzejmiejszych doznał względów, a większych jeszcze mógł się spodziewać?... Prawdziwie byłoby to prosić go jak o największą łaskę, aby się...—



— Dość tego, panie Koniuszycu! — przerwał niecierpliwie Prezydent.

I ja tak mówię; że dość. Idźmy skosztować wina, którego Szambelan pić nie chciał; a po-maleńku i kategorycznie dowiesz się, Prezydencie, o wszystkim.—

Wracając do pokojów Hippolit ścisnął mnie za rękę; wskazałem mu nieznacznie Koniuszyca, który z tryumfalną miną patrzył na nas i uśmiechał się wesoło.

Nie zapominając skinienia Helusi, poszedłem jęj szukać, i znalazłem matkę i córkę w apteczce, rozmyślające nad tém, co się stało, i co się stać mogło. Wytłómaczyłem więc im przeszłość i przygotowałem do zbliżającej się tuż przyszłości. Jakoż słońce nim zaszło, szczęśliwy Hippolit obrączkę ślubną swęj matki, którą zawsze na ręku nosił, ujrzał na palcu Helenki; a ksiądz Przeor, wypróźniwszy kielich za zdrowie zaręczonęj pary, odchylając głowę, — i po-bło-go-sła-wię — powiedział.

---

## RANEK PRZED ŚLUBEM.

---

„..... a gdy jest ten zwyczaj....

„Że się posag naznacza, intercyza pisze,

„I gdy o formalnościach tych od pana słyszę,

„Najprzód więc proszę wyznać otwartemi słowy:

„Jak wielki będzie posag i czyli gotowy?

*Komedya P. P.*

### I.

— Marysiu! czy jeszcze wszyscy śpią? — zapytało młode i ładne dziewczę, leżące w łóżku u wchodzącej na palcach sługi.

— Śpią wszyscy, odpowiedziała Marysia; ale czemu panienka nie zaśnie? Tak późno wczora poszli spać. Dziewiczy wieczór panienki długo wszyscy pamiętać będziemy. Na folwarku nawet' wyskakaliśmy się, że aż nogi bołą. Ja weszłam, bo posłyszałam, że panienka nie śpisz. Czy nie chora broń Boże panienka?—

— Nie, moja kochana, zdrowa jestem.—

— A czegoż panienka płaczesz? — Marysia bowiem postrzegła u swojej panienki pełne łez oczy.

— Płaczę? Czyż ja płaczę? — I w rzeczy samej dziewczyna nie czuła, że łzy płynęły jęj po jagodach! lecz otarłszy ręką oczy, poznała, że prawdę mówiła Marysia.

— Ej, moja kochano panienko, po co płakać, smucić się i zdrowie psuć? Pan Hippolit taki dobry, taki piękny, młody panicz, tak panienkę kocha!!! —

— Ale czy zawsze tak będzie? — pomyślała dziewica, która dziś wianek mirtowy na czepek zamienić miała.

— Obróć się Panienka na drugą stronę i zaśnij jeszcze. [Co się przyśni, to przyciśnij.] Raz—dwa—trzy—cztery—ach! wszak to czwarta biła jeszcze bardzo rano!... — Odeszła więc Marysia, chcąc sama spełnić swą radę, której końca nie słyszała nawet narzeczona.

Uderzona godzina ponawiała w jęj duszy myśl smętną, kilkakrotnie już tęg nocy dźwiękiem zegaru obudzana, że oto godzinę bliżęj do stanowczęj w jęj losie chwili.. do szlubu! Nim ta chwila jest daleka, dziewczyna żąda jęj usilnie, roi sobie życie szczęśliwe mężatki, gospodyni domu, pani uwolnionej z pod uległosci, do jakieg ję stan dziewiczy nachyla. Rozrywa ją, zajmuje i cieszy zatrudnienie około wyprawy; na jęj żywęg wyobraźni tysiąc powabnych maluje się obrazów, na których ona samą siebie wieńcem z kwiatów otoczoną w perspektywie postrzega. Ale gdy już nadchodzi zbliiska moment porzucenia rodzinnęj strzechy, serce bierze górę nad wyobraźnią; w sercu skład miłych jęj wspomnień; one się obudzają wszystkie, i serce tkliwie się z niemi na rozstaniu żegna... Żal dziewczynie swojego pokoiku, żal małego kątk, w którym się tak spokojnie i mile zasypiało; żal ogródka, w którym tyle kwiatów ję ręką zasianych rozkwita; żal pieaszcot codziennych tak ukochanęj i tak kochającęj matki; żal dobrotliwych utuleń ojca; żal nawet sług faworytek, z któremi wieczorami przy kominku poufała prowadziła się pogadanka, tak, że w dniu tym, w którym zakochany młodzieniec, upragniony celu najgorętszych swych życzeń, leci doń gwałtownie jak podróżny na ostatnięj mili, to narzeczona dziewica, ten cel jego życzeń, nie zbliża się doń wzajemnie; owszem w nieokreślonych jakichś uczuciach niepewności, trwogi, tęsknoty, gniewu nawet podaje zapaleńcowi drżącą i niechętną rękę, z postacią,

z jaką podług Milтона, pierwsza na świecie narzeczona przyjęła pierwszego na świecie kochanka, ojca naszego Adama.

Z powolnością się łączy jakaś skromna pycha,  
Co tem bardziej pociąga, że trochę odpycha.

Czyż serce czułe moich czytelniczek, cofnięte ku takim chwilom, lub jęj oczekujące, nie przyświadczą moim wyrazom?...

W takim rozrzewnieniu i obłędzie, piękna Helenka przebyła bezsennie noc całą: nakoniec po odejściu Marysi natura przemogła troskę, i usnęła dziewica na kilka godzin.

Już słońce dobrze się w górę wzniosło, i z okna do okna przechodząc, budziło rozespanych gości, gdy, przepędziwszy noc równie bezsenną, poczciwa a przywiązana do córki matka, weszła do jęj pokoju. Postrzegłszy ją śpiącą jeszcze, zbliżyła się cicho i stanęła nad łóżkiem!!!

Sen uspokoił wzburzoną krew dziewczicy, i ta krążąc swobodnie, miłym rumieńcem krasila jęj lica; pierś oddychała wolnie, a cała postać spoczywała w niewymównym wdzięku, jakim Bóg młodość i niewinność ozdobić raczył.

Przez kilka chwil matka patrzyła z upojeniem na tę najdroższą sobie istotę!!! Oh! jakże głęboką jest miłość matki ku swemu dziecięciu!... Ono jest częścią jęj własnego życia! Związek ich jestestw po urodzeniu nawet nie osłabia się; owszem trwa mocniejszy jeszcze, bo zwiększony wolą i miłością, gdy przed urodzeniem jest tylko mimowolnem wypełnieniem praw natury. Miłość ta przenika w najskrytsze tajniki serca matki, zalewa je roskoszą, lub targa okrutnie na szczęście lub niedolę jęj dziecka! I czegożby za to szczęście dziecka swego nie dała ona, i jakiejże poręki, jakich cnót, doskonałości, dostatków, wymaga ona i życzy temu, od którego to szczęście ma zależeć? i jakże drogo ocenia ona skarb, który mu powierza!!! — Moje kochane dziecię! — wyrzekła nareszcie po cichu najtkliwszym głosem stojąca nad łóżkiem matka uspionej dziewczicy. Przebudza się ona; dosłyszała jęj bardziej uczuciem niż słuchem, i rzuca się w objęcia matki... Długo ta spójnia ustami, sercem i łzami sklejona, rozdjęła się nakoniec!...

— Moja droga Heluniu! rzekła matka, od Boga zaczynamy dzień, dla ciebie i dla mnie najważniejszy w życiu. Ukłęknijmy przed tym obrazem Matki Boskiej. Jam go w dniu mego szluby



od mojej matki dostała! zawiesiłam go potem, gdyś się urodziła, nad twoją kołyską, przed nim nauczyłam cię pacierza, i teraz więc zmówmy modlitwę, prosząc o Jej świętą nad tobą opiekę.—

Zarzuciła na się szlafroczek dziewczyna, uklękła obok matki, i obie rozpoczęły *Litanie do Najświętszej Panny*. „*Ucieczko grzesznych! Nadziejo utrapionych!*“ z jakimże głębokim błaganiem i czuciem przez obie wynawianem i po kilkakrotnie powtarzanem było! Nakoniec matce i córce łzy polały się potokiem, gdy modlitwę ofiarowania; „*Pod Twoją obronę uciekamy się*“ mówić zaczęły! Modlitwa ta domowa i codzienna do opiekunki i orędowniczki wszelkich prósb, potrzeb i nadziei, przerwała się łzami i zakończyła się nowemi uściskami i nowem wzajemnem wylaniem się miłości macierzyńskiej i dziecinniej.

Wtém gromada młodziutkich i ładnych rówieśniczek panny młodej, družek na dzień jej szluby zebranych, wpadła z głośną wesołością do pokoiku, niosąc kosze pełne kwiatów, bujnemi perłami ranniej rosy odświeżonych. Pokoik napenił się wonią róż, bzu i jażminów, i zaczęła się toaleta panny młodej, której my assistowce nie będziemy.

## II.

Tymczasem w jednym z pokojów bawialnych siedział od rana za stolikiem jeden z gości, podżyły i łysy jegomość. Gryzł on pióro, grezmolił, mazał; znowu grezmolił i znowu mazał; nakoniec zapisany cały arkusz schował za nadrę, wstał i przechadzał się po pokoju, jakby oczekując na kogoś.

Jakoż drzwi się otworzyły nie bawiac, i wszedł gospodarz domu, ojciec panny młodej, prowadząc za sobą przystojnego młodzieńca, ubranego wytwornie, jak przystało na dzień weselny, a postępującego niedbale i niechętnie, nócącego wesołą jakąś piosenkę.

Pan Prezydent, (czytelnikom nie obce są już niektóre osoby tego obrazu) postawił, przyprowadzonego i czekającego ichmościów, jednego przed drugim i rzekł:— To Pan podstoli, mój dawny i dobry przyjaciel — *Rekomenduję!* To Pan Regent, kuzyn i przyjaciel mojego przyszłego zięcia — *Rekomenduję!*...—

— No, pogadajcież tu Asaństwo z sobą rozumnie, ułatwcie wszystko jak należy **finalnie**, rozumie się czarno na białem. Wiecie

o co rzecz idzie i kwita. Nie bałamućcie tylko długo, bo za godzinę szlub.

Po tej krótkiej ale zwięzłej przemowie, wyszedł pan prezydent i zostawił obu ichmościów, stojących naprzeciw siebie tak, jak do rekomendacyi postawił... Oba więc zmierzyli siebie oczyma... Wzrok pana podstolego, starego jurysty, był jakby kota przemierzającego z pogardą pacuka, który się ośmielał z nim mierzyć.... Wzrok młodego pana regenta pół-szyderczy, pół-przenikliwy, mógłby się porównać do wzroku lisa, poglądnącego z nad jamy na charta; kérego się nie boi... Spotkawszy się tak oko w oko, obadwa spuścili oczy.... Nastąpiło kilka chwil milczenia!!! Nakoniec pan podstoli, nie doczekawszy się zaczepki, wyjął z zanadry srebrną tabakierę, postukał nią w dłoń, otworzył poważnie, pociągnął długą szczyptę do nosa, i podniósł ją przeciwnikowi.—Holenderka... iż tak rzekę!... —Ten wziął delikatną szczypteczkę i ukłonił się grzecznie. Znowu milczenie... więc przerwał je nakoniec pan podstoli i klaskając w dłoń ręką tabakiery, rozpoczął konferencyę miódopłynnie z uśmiechem i pomaluteńku.

— Jesteśmy tedy użyci, Mości Regencie Dobrodzieju, jako wspólni łączącej się pary, iż tak rzekę... (tu zażycie znowu holenderki) przyjaciele, abyśmy ułożyli, jak to zwyczajnie bywa i koniecznie być musi w takich okolicznościach, pewne, iż tak rzekę, przedszlubne zabezpieczenie funduszu dla panny, która los swój powierza zacnemu ze wszech miar i godnemu Podkomorzycowi, kuzynowi i przyjacielowi pańskiemu, a którego ja prawdziwie kocham, i, iż tak rzekę.... weneruję.... Uproszonym ja będąc przez Pana Prezydenta, to jest, przez ojca rodzonego panny młodej, abym napisał formalne, jak to panu nader wiadomem być musi... iż tak rzekę... tranzakta ku temu celowi służyć mające.... (tu znowu nastąpiło długie wygładzenie tabakiery, stukanie po niej palcami i zażycie holenderki) a na myśli: — młody Paniczu, im bardziej cię znudzę i zniecierpliwię, tém prędzej zgodzisz się na wszystko, nie czytając nawet do końca dokumentu.—

— Otoż tedy ułożyłem, Mości Regencie Dobrodzieju, dokumencik, iż tak rzekę... *ad casum* stosowny... jak mi się zdaje, i jak mi się to nieraz już wydarzyło, który, Asyndziejowi zakomunikuję... Nie jest to *reforma*, (mówił dalej wyciągając z zanadru papier); bo widzi Pan *reforma*, jak to sprawiedliwie powiadają, jest

tylko iż tak rzekę... *forma*... ale ja widząc i pojmując afekt Podkomorzycza prawdziwy i gorący... iż tak rzekę... dla Prezydentówny, podaję mu zřęczność okazania tego w dowodzie... równie jako też zjednania dla siebie zaraz na wstępie przychylności rodziców przez uległość i zupełne, iż tak rzekę... wypełnienie ich troskliwości, z czego wróżyć naturalnie będą... —

— *Ad rem*, Panie Podstoli Dobrodzieju, *ad rem*, przerwał Regent; słucham samego dokumentu.—

— Aha! nie dotrzymałeś! pomyślał stary. A właśnie *ad rem* oto i zaczynam.—

„Hippolit etc. pod wszystkie niżej wyrażone *vadia*, warunki i *ligamenta*, *libere ac benevole submittujący się*...“—

— Oh! oh! tak, Panie Podstoli Dobrodzieju, przerwał znowu Regent, jest to ciężkie *ligamentum* ten stan małżeński; i sam jegośmoć możebyś *libere ac benevole*.... —

Zarwany nagle w najdotkliwszym punkcie, zapomniał się Podstoli, opuścił papier, ręce i oczy podniósł w górę i wykrzyknął:— Oh! oh! oh! tak, tak, szalone *ligamentum*!!! Niech jej Bóg nie pamięta!... iż tak rzekę... [Daj Boże rozum przed szkodą!!!]

Rozśmiał się pusto Regent, a postrzegł się stary jurysta, że wcale niewczesną przed nieznanym rozpoczął małżeńską skargę: zmieszał się więc i zamilkł; przetał potem tabakierę, postukał w dłoń...— No, to co innego, Regencie Dobrodzieju, rzekł nakoniec, to co innego.—

— Tak, aktualnie co innego, odpowiedział Regent; ale ja też chciałem tylko napomknąć, że ktokolwiek ma coś *libere ac benevole* postanowić, powinien wprzód dobrze się namyslić; co gdybyś i Pan był uczynił, ta fatalność małżeńska, na którą się Pan uskarżać zdajesz.... może i niesłusznie.... —

Ale stary lis dwa razy złapać się nie dał; pociągnął mocno tabaki, i patrząc przenikliwie w oczy Regentowi—Oho! myślał, młody, ale szpak! Jak mnie zřęcznie z drogi sprowadził! Trzeba się mieć na ostrożności.

— No, po co tam, zacny Panie Regencie Dobrodzieju; te obce *circumstantiae*! *Ad rem*, jak sam powiadasz, przystąpić potrzeba; bo i czas nagli, i, iż tak rzekę.... A zatem czytam dalej dokument—*„libere ac benevole submittujący się, czynię wiadomo niniejszym donacyjno-assekuracyjno-obligacyjno-inekwitacyjno-dożywotnio-zastawnym prawa zapisem tenoris ut sequitur.“* „Iż ja, pojmując



w stan święty małżeński Jaśnie Wielmożną Helenę... Prezydentównę, i konsyderując w tém szczególniejsze dla mnie względy jej rodziców, oraz w rekompensę afektu ku mnie saméj mojej przyszłej żony i osobliwszej dobrodziki, postanowiłem *mea ex parte* dać jej i darować summę złotych polskich *sto tysięcy!!!*“

— Sto tysięcy w rekompensę afektu!—pomruknał Regent i skąsił usta; a Pan Podstoli, spojrzawszy nań z podełba, zażył holenderki.

„Którą-to summę, jako dług rękodajny, sposobem i prawem zastawy na majątku moim... *etc.*— Szło dalej dożywocie, ewikcyja, poręki, i żelazne jak obuchem zaklinowanie końca dokumentu.

— A więc Mości Regencie Dobrodzieju, rzekł doczytawszy Podstoli; nie pozostaje teraz, jak przepisać na papier stosownej *waluty*, który mam oto przygotowany...—

— *A de quibus?* przerwał żywo Pan Regent; wiele *de quibus?*—

— Co to ma znaczyć *de quibus?*—

— Jak to? Pan nie wie co to znaczy? Przecież od tego zacząć należało.—

— Mości Regencie? nie rozumiem. Znam aryngę wszelkich tranzaktów i spodziewam się.... iż tak rzekę....—

— Nie idzie o aryngę, Mości Podstoli! Na tém owszem treść rzeczy! *De quibus* wyraz techniczny, znaczny toż samo co dawniej *pod poduszką a pod poduszką* wiesz Pan co znaczy? oto...— Tu pokazał wyrazisty i nader znajomy gest liczenia pieniędzy, i zatrzymawszy palce nad dłonią, czekał odpowiedzi.

— Rozumiém, a raczej, iż tak rzekę, dorozumiéwam się. Pan chcesz wiedzieć o posagu panny młodéj?—

Regent kiwnął głową, powtórzył pantominę na rękę i znowu czekał....

— Prawdziwie, mój szanowny Panie, nie spodzian byłem, iż tak rzekę, kwestyi; zwłaszcza przy takiém skoligaceniu się i szczęściu, którego tak bardzo pragnął podkomorzyc, nie wypadaloby... iż tak rzekę... wprowadzać materyi mogącej wszystko zepsuć....

Wszelakoż mogę *praeter propter* opowiedzieć memu Dobrodziejowi *status rei* co do posagu Prezydentówny. Oprócz bogatéj wyprawy w *pretiozach, mobiliach* i rozmaitych kobięcych ochędóstawach, oszacowanych przeze mnie samego jak najtaniej; (że nie wspomnę.... iż tak rzekę.... wiana), wiedzieć nadto potrzeba, że babka dzisiejszej panny młodéj, przez głowę matki, z domu *Kosieleckich, primo*

*voto* Baranowska, *secundo* Kozłowska a *tertio* Sarnicka, wniosła znakomitą summę w posagu; lecz przechodząc przez trzy, iż tak rzekę, gniazda, w każdym zostawiła *progeniturę*; ztąd *post fata* tój pani wyniknął proces pomiędzy konsukcessorami, w którym przy sprawiedliwości, iż tak rzekę... i staraniu... teś przyszły Podkomorzycza, w stopniu żony swojej a matki dzisiejszój panny młoděj, uzyskał już rozmaite *judicata*, z których *eventa* pomyslnie dla naturalnej sukcesorki... wróżyć mogą z macierzystości... i wróżą, iż tak rzekę.... w swoim czasie.... —

— Ależ mój Panie Podstoli, przerwał Regent, nie mówmy o ewentach, wróżbach, nadziejach i processach. Znowu muszę Panu powtórzyć *de quibus, in paratis co?*... — (i znowu znajoma pantomina na ręku).

— Dziwi mnie mocno, odpowiedział zamiast zniecierpliwienia sam zniecierpliwiony jurysta, dziwi mnie to, iż tak rzekę, że w rzeczy tak ważnej używasz Pan żartu, zwłaszcza ze starszym towarzyszem jednej broni.—

— A więc bez żartu, Mości Podstoli, odpowiem Panu, rzekł młodzieniec, zmieniawszy ton i postawę, bez żartu! Tak Panie! Jesteśmy wprawdzie, jak Pan powiadasz, towarzyszami jednej broni; i to prawda; ale broń Pańska stara, zardzewiała, poszczerbiona, piłuje a nie przecina, nie służy na zaczepkę; bo starym wykrętem, jak starym rapierem, twardej zbroi zdrowego rozsądku nie przebijesz; nic nie warta do odporu, bo nie dotrzyma pierwszego ciosu ostrego rozumu i zdruzgocze się na cząstki. A tak widzisz, Mości Podstoli Dobrodzieju, że choć jedną bronią wojujemy, ale gatunek jēj odmienił się zupełnie.—

— Komparacye te, Mości Regencie, do czego iż tak rzekę, mają zmierzać?—

— Czyż mię Pan nie rozumieć? Oto znaczą one, że wyobrażenia zdrowsze, prostsze i sprawiedliwsze wynikły z czasem i w zatargach processowych i we wszystkich umowach i układach; że wyszło z mody łapanię fortuny fartuszkim; że małżeństwa łączyć się powinny wzajemną skłonnością, wzajemnym szacunkiem, i taką jest właśnie para łącząca się dzisiaj; a zatém, Panie Podstoli Dobrodzieju, projekt pański jako dawnego *autoramentu*.... —

— [W młoděj dziecinie nauka słynie! — przerwał kręcąc głową i pociągając holenderkę Pan Podstoli. —] Wszelakoż, Mości Regen-

cie, ostrzegam Pana, że gdy niema zgody na ten projekt dawnego *autoramentu*, konkluzya może być taka, że *z tego piwa nie będzie i kwasu*, i że od kobierca nawet się wracają częstokroć, jeżeli *pignus sufficiens*, iż tak rzekę, dla zapewnienia losu panny nie jest dostateczny, lub gdy go zupełnie pan młody odmawia, jak oto właśnie tu się zdarza.—

— Zapewnienie losu i spokojności ukochanej od nas i nam się zupełnie powierzającej osoby jest bez wątpienia sumienną powinnością dla każdego, kto związkiem małżeńskim życie swe podwoić pragnie; i tego miłego dlań obowiązku krewny mój, pewny jestem, że nie uchybi; ale żona nie powinna brać z góry od przyszłego swego męża pieniędzy, jakby na zastawę i ewikycę przyszłego szczęścia, ani też kupować to szczęście u obojętnego sobie i dla siebie mężczyzny, bogatą gotówką, także z góry przed szlubem upewnioną. Uszczęśliwiający jest zwykle uszczęśliwianym nawzajem; ale kupiony tak lub owak jest zawsze niewolnikiem.

— Remonstracye te moralne, Mości Regencie Dobrodzieju, które prawisz mi Jegomość jak z partesu, iż tak rzekę, mogą być poniekąd i słuszne, ale się nie kwadrują z postanowieniem Prezydentostwa względem ich córki. Suplikuję więc Jegomościu, abys się nad tém zastanowił, póki jeszcze choć trochę mamy czasu; abys skomunikował się z zacnym Podkomorzycem: niechby on się dowiedział o co idzie, od czego zależeć może tak pożądanym dlań *sukcess*? *Tandem*, Mości Regencie Dobrodzieju, pewnym być mogę i zapewniam mego Dobrodzieja, dodał po krótkiej pauzie z cicha i pociągając mocno holenderki, że gdy układ proponowany przeze mnie dójdzie szczęśliwie... zwykle, iż tak rzekę... *honorarium*... od Prezydenta, *cum duplice* nawet, dla nas obu traktujących ten interes...—

— Zrzekam się, przerwał z gniewem Regent, na Pana i *honorariów* i *honoru* z traktacyi.—

W tém trzaski wielokrotne z biczów i turkot licznych pojazdów, zajeżdżających przed ganek, rozległy się na dziedzińcu. Ruch nadzwyczajny dał się słyszeć i postrzegać w całym domu.— Na miłość Boga, Mości Regencie; krzyknął Podstoli, upamiętaj się! Oto zachodzą pojazdy do szlubu, a my nic jeszcze nie zrobiliśmy! Czy zwarzjowałeś?—*Respice finem!!!* Moznaby zresztą uczynić niektóre; iż tak rzekę, modyfikacye w dokumencie... Wiész co? Odstępuję tytułu zastawy!..—



. Uśmiechnął się Regent, lecz uprzedził odpowiedź jego wchodzący żwawym krokiem ojciec panny młodej.

— A cóż? zapytał on, skończyliście tu swoje?

— Nic dotąd... iż tak rzekę...

— Jakto nic? Przecież przyrzekłeś mi, stary ciemiego że dokument gotowym będzie!

— Gotowy! gotowiuteńki! Idzie tylko o przepisanie na czysto i podpis; coby także już dotąd dopełnionem było, gdyby ze strony pana młodego nie zaszła... iż tak rzekę, *protestacya!*

— Jaka *protestacya!* o co *protestacya?*

— O wszystko... iż tak rzekę!

— Co to ma znaczyć? Panie Regencie!— rzekł obracając się doń Prezydent.— Czy kuzyn Pański, a mój przyszły zięć, nie chce zapewnić funduszu dla mojej córki?

— Zapewnienie funduszu dla córki należy, zda mi się, panie Dobrodzieju, do jej rodziców.

— Filozofia!— rzekł z gniewem Prezydent.— Krótko a węzłowato: czy Pan Hippolit nie zapisuje sta tysięcy Helusi?

— Nie.

— Nie?

— Nie!

— Przyczyna?

— Powiedziałem ją Panu Podstolemu.—

Uklonił się Pan Regent i wyszedł.

— Cóż on Wasanu powiedział?—odezwał się Prezydent.

— Co powiedział? A djabeł nam tu nadał tego frackowego sensata! Prawił on mnie tu perory i kazania, iż tak rzekę, moralne o wzajemnych skłonnościach, o szablach, o rapierach!

— Co? wyzywał Wasana na pojedynek?

— Na pojedynek? a broń Boże! Lubo, gdy mu remonstrowałem konsekwencye z uporu pana młodego, czy jego własnego, przeciw woli Pańskiej, a nawet gdy mu dał *ad intende*, że przy dopełnieniu żądanych układów czeka nas z *munificencyi* Pańskiej *certum quantum*.... iż tak rzekę..... lubo, mówię, zamiast wdzięczności młodzik ten okazał pewny rodzaj *pospozycyi* dla mnie, i mogło by zajść na kłótnię, wszelakoż ja dla świętego pokoju wolałem znieść wszystko z temperamentem, abym, tylko doprowadził rzecz do końca. Napróżno jednak! napróżno!

— Otoż nie napróżno!— krzyknął rozgniewany Prezydent.— Cóż

to? chce mnie Panicz na dudka wystrychnąć? Bierze dziewczynę jak malinę, której Szambelan krocieby zapisał, a on nic nie chce? Hola, hola, panie młody, jeszcze nie po ślubie!

— Ależ konie zaszły do ślubu, Mości prezydencie.

— Konie zaszły, to i odejdą! Nic z tego nię będzie, powiadam Wasanu, nie! nie!...—

Mówiąc to Prezydent, szerokim i szybkim krokiem rozmierzał pokój, gryzł palce, tupał nogami, niecierpliwił się i złował. Za nim chodził Podstoli i uspokajał rozgniewanego.— *Temperament*, Mości Prezydencie, *temperament!*... iż tak rzekę...

— Idź do stu djabłów z swoim *temperamentem!* Nie masz zapisów, nie masz i wesela! Na tém stoję i na tém koniec! Niech konie odchodzą!!!—

Zbliżającemu się do drzwi z porywczym tym rozkazem Prezydentowi zastępował zawsze drogę Podstoli traktując holenderką powtarzając — *Temperament*, Mości Prezydencie; *temperament!* Poradzić się wypadałoby Imości...

— Po co tu babskie rady? Moja Imość, to nie twoja Imość, która ciebie sławnego jurystę wodzi za nos jak... jak... małe dziecko! A nareście moja żona równie kocha córkę i dba o jój los, jako ija; a zatém...

Odsunął Prezydent stawającego naprzeciw sobie jurystę i zbliżał się znowu do drzwi w zamiarze wydania rozkazów stosownych do. wziętego postanowienia; ode drzwi jednak zwrócił się raz jeszcze. Nie szło mu o zdanie żony, bo w rzeczy samej umiał on być panem, może i zanadto samowładnym w swoim domu, a takowemu panowaniu łagodna i dobra żona jego ulegała bez szemrania; lecz kochał on szczerze i matkę i córkę, a znając, że wybrany młodzieniec na zięcia posiada i serce córki, i wszelkie przymioty, rokujące dla nię szczęście, niełatwo się odważał na krok porywczy, mający zachwiać, a może i zniszczyć tak dobrze upewnione nadzieje obudwóch i własne nawet, zasadzane równie na przymiotach osobistych, jak i na stu chatach pana młodego. Chciał on rady mądrej, któraby pogodziła dwa przeciwne sobie interesa i widoki; czuł potrzebę prędkiej determinacyi, bo coraz głośniejsze i tłumne zebrania się w przyległych pokojach nagliły stanowczą chwilę. Dałby wiele za to, gdyby ktokolwiek mocnym argumentem na tę lub ową stronę go nakłonił i skończył niecierpliwą jego niepewność!...

### III.

**T**ymczasem weselna a wesoła kompania, zebrana od niejakiego czasu w pokojach, czekała na ukazanie się panny młodej. Upредиło ją dwoje aniołków, zwiastujących jakoby szczęście i wesołość dnia tego, to jest: dwie małe i miłutkie jej siostrzyczki wbiegły i wyniosły na tacy mnóstwo związek z mirtu i rozmarynu, a przypinając je wszystkim nieżonatym, życzyły każdemu rychłego ożenienia. Nie jeden, odbierając z ich pięknych i drobnych rączek weselny ten podarunek, na życzenia odpowiedział lub pomyślał: poczekam aż ty wyrośniesz. Z próżną tacą wróciły się one potem za drzwi zawarte, które za chwilę otworzyły się znowu na wścieżaj, i weszła ubrana do ślubu panna młoda... Prowadził ją brat starszy i Pan Tadeusz, jako swat i kawaler, a szły za nią też same dwie siostrzyczki, które wprzód bukiety, a teraz wianeczek mirtowy na tacy niosły.

Szmer uwielbienia, podziwiania wdzięków i powszechnej życzliwości, przyjął ją w zgromadzeniu!... — Ach! jakże ładna! Jakżeś szczęśliwy! — powtarzano nad uchem panu młodemu. Rzucił on okiem najżywszej miłości na swoją ulubioną i spotkał jej zrenice, w których łzy błyszczące oczekiwały, zda się, pobudzającego wzroku kochanka... Potoczyły się więc jak brylantowe ziarna po jagodach dziewicy, a uniesiony Hippolit rzekł żywo do stojącego obok swego krewnego, Pana Regenta, którego już znamy: — Władysławie! zgubiłeś mnie! Nie mogłem zgadnąć twego postanowienia ani upor... Idź zapisz mój cały majątek. Niech ojciec nie truje spokojności tego anioła, dziecka swojego, i mojego szczęścia!... Ach! mój drogi! mógłbym ją utracić? Idź, zaklinam cię, idź, nie zwlekaj ani chwili!...

— Bądź spokojny, mój kochany, odpowiedział Władysław — za godzinę będziesz jej mężem. Wyprawilem ja kogoś, który lepiej ode mnie i bez zapisów przemówi do chciwego na nasze sto tysięcy tatulka.—

Pan Władysław bowiem, opuściwszy, jakośmy, to widzieli, Prezydenta i swojego kolegę jednej bronii, Podstolego, wyprowadził Koniuszyca z kompanii, i oba razem udali się do matki, wywołali ją z pokoju, w którym ona córkę ubierała, i po krótkiej z nią konfe-



rencyi, w której niespokojność na twarzy matki, a łagodne i szlachetne przekładania w poruszeniach i wyrazach Pana Władysława, wspomagane kategorię perswazyą Koniuszyca, postrzegać i słyszeć można było, wrócili oba do kompanii. Matka wróciła także do córki, kończącej się ubierać, i przyzwawszy syna i Pana Tadeusza, poleciła im prowadzić Helenę po błogosławieństwo rodzicielskie; sama zaś osobnym przejściem udała się do męża. A tak w jednej i tejże samej chwili panna młoda do zgromadzenia weselnego, a matka jej do pokoju, gdzie się jej mąż znajdował, wchodziły.

W najgorętszym właśnie paroxyzmie był Prezydent.

— Moja duszo! gdzie jesteś? i *razem* gdzie Wasani siedzisz?

— Gdzież miałam być? Ubierałam córkę naszą kochaną do ślubu.

— Nie będzie ślubu, moja Pani, nie będzie! Nasz pan zięć mianowany, nie kocha naszej córki, a zatem i mężem jej być nie może! Nie chce zapewnić jej losu, nie chce zapisać jej nędznych tam sta tysięcy. A jakaż to miłość? jakież to przywiązanie? czego tu czekać? i czego się spodziewać? Młody chłopiec, jak mu wierzyć? Sprzykrzy się mu żona, ot i po wszystkiem! wypędzi ją, i powróci do nas bez kawałka chleba, a może jeszcze i z dziatkami... Nie mogę więc zezwolić na ślub, póki nie będę miał podpisu kawalera na tym papierce (trzymał bowiem w rękę ów fatalny Pana Podstolego dokument). Ty sama kochasz twoje dziecko, a zatem powiedz jej...

— Nie, mój mężu? ja jej tego nie powiem!... ja jej tego nie powiem... Wychowałam ją w bojaźni Boskiej, w miłości cnoty, w uległości dziecięcej, w skromności i dobroci anielskiej; ufam w Bogu, że ją pobłogosławi, że będzie ona dobrą, łagodną, przywiązaną żoną; a dobrej, łagodnej, przywiązanej, bogobojnej żony żaden mąż jeszcze nie wypędził z domu swego... Ja jej tego nie powiem! kończyła płacząc rzewnie. Ty sam idź, powiedz jej twoją wolę. Nie sprzeciwi się ona biędna tobie; ale pamiętaj, że odbierając jej kołnierze i małżeńskie łoże, gotuj dla twojego dziecka całun i trumnę!... bo nie przeżyje ona rozłączenia się z tym, którego za naszym zezwoleniem ukochała, i wstydu, jaki na nas i na nią spadnie z tak gorszącego twego postępk!... A ja nieszczęśliwa matka! ja nieszczęśliwa cóż pocznę? cóż poradzę? Rozpacz mojej Helusi zabije i mnie bez czasu!!! — Załamała ręce i zachodziła się z płaczu strapiiona niewiasta... Stał jak wryty ojciec, uderzony taką niespodzianą a energiczną i czującą apostrofą żony swojej; wzruszyła ona go do głębi,

bledniał i czerwienił się na przemiany... a w tej chwili drzwi się otworzyły, i weszła córka... za nią pan młody między mną i Panem Władysławem, a za nami wszyscy.

Na okazanie się w całej ozdobie wdzięków, niewinności i czułego rozrzewnienia ukochanego dziecięcia, serce ojca gwałtownie bić poczęło, uparte osłupienie jego mimowolnie we łzach topniało!!! Nagle wyobrażenie szybkie, jak błyskawica, powtórzyło mu przed oczyma świeżą przepowiednię żony, i też samą postać anielską dziecięcia jego na całunach i w trumnie przed nim złożyło... Wstrząsł się przerażony! Znikła, przepadła, jakby jej nigdy nie było, myśl o zyskach i o zapisach. Upuścił z rąk papier. Miłość rodzicielska najczystsza, najżywsza zalała serce jego, owdągnęła duszą!... Moje najmilsze dziecię! moja Helusiu!... pociecho moja droga! — wykrzyknął on, lejąc łez potoki... Matka, upadając do nóg swoich córkę zwróciła ku ojcu; a tak razem u nóg obojga rodziców znalazła się ona i gdy całowała je najgorętszemi oblewając łzami, ojciec podniósł ręce swoje ku niebu i rzekł: Boże! błogosław jej! błogosław drogiemu dziecięciu mojemu! Daj mu szczęście! zdrowie!... — Ojczel! przerwał kłękając obok swój ulubionej młodzieniec, niech błogosławieństwo twoje spłynie razem i na twojego przybranego syna, który przysięga ci najuroczyściej, że córka twoja wtenczas chyba dozna złej doli, gdy mi Bóg nie tylko mienie, ale zdrowie i życie odbierze... —

Nie mógł już więcej wymówić Prezydent; płakał tylko, całował i żegnał córkę i zięcia. Tymczasem matka, również płacząc rzewnie, całując i błogosławiąc, wzięła wianek mirtowy z tacy, i kłęcząc z nachylonem czołem dziewicy na głowie przypięła, a dukat z obrazem Bogarodzicy za sukienkę na pierś zasunęła.

Natenczas podnieśli, a raczej oderwali od nóg rodzicielskich Helenę. Powstał młodzieniec... Całe zgromadzenie jednym głosem „*Niech was Bóg błogosławi!*“ zabrzmiało; i tak serdeczną życzliwością wszystkich przeprowadzeni, siedli państwo młodzi do pojazdów i pojechali do kościoła...

Gdy nowe małżeństwo wśród powszechniej radości wróciło z kościoła, wszedł za niem Ksiądz Przeor, i kłaniając się uprzejmie całej kompanii, — i *po-bło-go-sła-wi-łem!* — rzekł. Jam się zbliżył do Hippolita, i dobitnie mu nad uchem wymówiłem: „*Głos twój przez Niego nie został wzgardzonym!*“ \*) — Tak! rzekł on, z zapalem ści-

\*) Nocleg nad Wilią, patrz wyżej.

skając mi rękę, tak! „*Głos mój przez Niego nie został wzgardzonym!...*“ Wiara i miłość na zawsze! — Nakoniec Pan Regent zbliżył się do Pana Podstolego.—Oto, Mości Podstoli Dobrodzieju, rzekł on, w dniu dzisiejszym *natura nad interessem* odniosła zwycięstwo! Bodajby tak zawsze bywało!!!

Stało się, — odpowiedział Podstoli zażywając holenderkę; stało się! *Si finis bonus, laudabile....* iż tak rzekę, *totum!*

Na dziedzińcu ozwał się wildamor.

**Koniec.**



The first part of the document is a list of names and titles, including:
   
 1. The Hon. Mr. Justice G. D. S. ...
   
 2. The Hon. Mr. Justice ...
   
 3. The Hon. Mr. Justice ...
   
 4. The Hon. Mr. Justice ...
   
 5. The Hon. Mr. Justice ...
   
 6. The Hon. Mr. Justice ...
   
 7. The Hon. Mr. Justice ...
   
 8. The Hon. Mr. Justice ...
   
 9. The Hon. Mr. Justice ...
   
 10. The Hon. Mr. Justice ...
   
 11. The Hon. Mr. Justice ...
   
 12. The Hon. Mr. Justice ...
   
 13. The Hon. Mr. Justice ...
   
 14. The Hon. Mr. Justice ...
   
 15. The Hon. Mr. Justice ...
   
 16. The Hon. Mr. Justice ...
   
 17. The Hon. Mr. Justice ...
   
 18. The Hon. Mr. Justice ...
   
 19. The Hon. Mr. Justice ...
   
 20. The Hon. Mr. Justice ...
   
 21. The Hon. Mr. Justice ...
   
 22. The Hon. Mr. Justice ...
   
 23. The Hon. Mr. Justice ...
   
 24. The Hon. Mr. Justice ...
   
 25. The Hon. Mr. Justice ...
   
 26. The Hon. Mr. Justice ...
   
 27. The Hon. Mr. Justice ...
   
 28. The Hon. Mr. Justice ...
   
 29. The Hon. Mr. Justice ...
   
 30. The Hon. Mr. Justice ...
   
 31. The Hon. Mr. Justice ...
   
 32. The Hon. Mr. Justice ...
   
 33. The Hon. Mr. Justice ...
   
 34. The Hon. Mr. Justice ...
   
 35. The Hon. Mr. Justice ...
   
 36. The Hon. Mr. Justice ...
   
 37. The Hon. Mr. Justice ...
   
 38. The Hon. Mr. Justice ...
   
 39. The Hon. Mr. Justice ...
   
 40. The Hon. Mr. Justice ...
   
 41. The Hon. Mr. Justice ...
   
 42. The Hon. Mr. Justice ...
   
 43. The Hon. Mr. Justice ...
   
 44. The Hon. Mr. Justice ...
   
 45. The Hon. Mr. Justice ...
   
 46. The Hon. Mr. Justice ...
   
 47. The Hon. Mr. Justice ...
   
 48. The Hon. Mr. Justice ...
   
 49. The Hon. Mr. Justice ...
   
 50. The Hon. Mr. Justice ...
   
 51. The Hon. Mr. Justice ...
   
 52. The Hon. Mr. Justice ...
   
 53. The Hon. Mr. Justice ...
   
 54. The Hon. Mr. Justice ...
   
 55. The Hon. Mr. Justice ...
   
 56. The Hon. Mr. Justice ...
   
 57. The Hon. Mr. Justice ...
   
 58. The Hon. Mr. Justice ...
   
 59. The Hon. Mr. Justice ...
   
 60. The Hon. Mr. Justice ...
   
 61. The Hon. Mr. Justice ...
   
 62. The Hon. Mr. Justice ...
   
 63. The Hon. Mr. Justice ...
   
 64. The Hon. Mr. Justice ...
   
 65. The Hon. Mr. Justice ...
   
 66. The Hon. Mr. Justice ...
   
 67. The Hon. Mr. Justice ...
   
 68. The Hon. Mr. Justice ...
   
 69. The Hon. Mr. Justice ...
   
 70. The Hon. Mr. Justice ...
   
 71. The Hon. Mr. Justice ...
   
 72. The Hon. Mr. Justice ...
   
 73. The Hon. Mr. Justice ...
   
 74. The Hon. Mr. Justice ...
   
 75. The Hon. Mr. Justice ...
   
 76. The Hon. Mr. Justice ...
   
 77. The Hon. Mr. Justice ...
   
 78. The Hon. Mr. Justice ...
   
 79. The Hon. Mr. Justice ...
   
 80. The Hon. Mr. Justice ...
   
 81. The Hon. Mr. Justice ...
   
 82. The Hon. Mr. Justice ...
   
 83. The Hon. Mr. Justice ...
   
 84. The Hon. Mr. Justice ...
   
 85. The Hon. Mr. Justice ...
   
 86. The Hon. Mr. Justice ...
   
 87. The Hon. Mr. Justice ...
   
 88. The Hon. Mr. Justice ...
   
 89. The Hon. Mr. Justice ...
   
 90. The Hon. Mr. Justice ...
   
 91. The Hon. Mr. Justice ...
   
 92. The Hon. Mr. Justice ...
   
 93. The Hon. Mr. Justice ...
   
 94. The Hon. Mr. Justice ...
   
 95. The Hon. Mr. Justice ...
   
 96. The Hon. Mr. Justice ...
   
 97. The Hon. Mr. Justice ...
   
 98. The Hon. Mr. Justice ...
   
 99. The Hon. Mr. Justice ...
   
 100. The Hon. Mr. Justice ...

**OBRAZY  
LITIEWSKIE.**

---

**SERYA TRZECIA.**

---

Służmy poczciwój sławie, a jako kto może,  
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

**Kochanowski.**

---



## PAMIĘTNIKI KWESTARZA.

### Przedmowa Wydawcy.

Między Biłgorajem a Tarnogrodem, w lichój karczemce, nieśmiertelnej pamięci Ks. *Biskup Warmiński* znalazł skarb nieoszacowany: *Pamiętniki Grundrypa* \*), człowieka nieumierającego nigdy, a który i teraz zapewne włóczy się gdzieś po świecie. Ja

„W mieście, którego nazwiska nie powiem,  
„Nic to albowiem do rzeczy nie przyda \*\*).“

w opuszczonym i opustoszałym klasztorze, niegdyś księży Bernardynów, znalazłem to *opus oprawne w skórę* \*\*\*), któremu nadawszy niejaki porządek, stosowny do treści tytuł, i przyswoiwszy je do mojej ubożuchnej galeryi obrazów, puszczam na widok publiczny. Wartość zaś dziełka tego do *Historji na dwie księgi podzielonej*, będzie zapewne, jak *Kwestarz do Biskupa*.

\*) *Historja na dwie księgi podzielona* Krasickiego.

\*\*\*) *Monachomachia*.

\*\*\*\*) *Przedmowa do Baki* — Borowskiego.

WESTBURY, MASSACHUSETTS

1884

The undersigned, the Trustees of the Westbury School, do hereby certify that the following is a true and correct copy of the records of the School for the year ending on the 31st day of June, 1884.

WESTBURY, MASSACHUSETTS, July 1st, 1884.

Wm. H. Westbury, Trustee

## WSTĘP AUTORA.

**D**nia wczorajszego zawołał mnie z rana pan wojewoda do swojej kancelaryi, i wchodzącego zapytał:

— A czy traktowałeś waść, ojcze święty! (takie jest przysłowie pana wojewody) szkoły?

Zdziwiłem się mocno na taką kwestyę, i odpowiedziałem: — Aż do *Poezyny inclusive*, JW. panie!

— A dla czegoż waść nie słuchałeś i *Retoryki*?

— Przewidywałem, JW. panie, że się nasłucham *retoryki* na służbie u wielkich panów.

— Oho! znać dworaka. No, ale choć waść nie retor, potrafisz jednak pisać *currente calamo* pod dyktacyą.

— A wszakże-by to i dobry *infimista* potrafił — odpowiedziałem, i pokręciłem wąsa.

Pan wojewoda poznał, że wcale nieobyczajne zadawał mi kwestye.

— Nie gniewaj się, ojcze święty! — rzekł on — ksiądz kapelan, który jak wiesz, spełnia u mnie razem i sekretarską funkcję, zachorował dzisiaj; musisz więc jego zastąpić, chociaż to do ciebie, jako do marszałka mojego dworu, wcale nie należy; ale, ojcze święty, pomiarkujemy się o fatygę, a tymczasem siadaj i pisz list, który ci dyktować będę. Masz tu wszystko gotowe: papier, pióra etc.

Usiadłem zatem przy stoliku, i przyłożywszy się reguralnie — jestem gotów — rzekłem,



Pan wojewoda zapalił fajkę u komina, przeszedł kilka razy po pokoju i zaczął:

„Wielmożny Mości... a Dobrodzieju! — z figielkiem.“

— Jest — z figielkiem.

— Jak-to? co to waść napisałeś? — zapytał wojewoda, spójrzaszy przez moje ramie na papier.

— To, co JWpan dyktowałeś.

— Porzuc waść, ojcze święty, te ze mną facecye. Na co masz głupca udawać, kiedy nim nie jesteś?

— A zkądże JWpan tak prędko poznał mój rozum, kiedy tylko co wątpił, czy ja traktowałem *infimę*?

— No, no, dość tego. Weź drugą ćwiartkę papieru i pisz znowu.

— To więc JWpan chcesz, abym *Dobrodzieju!* napisał *per abbreviationem*?

— A tak, tak właśnie. Widzisz, żeś się dorozumiał, co znaczy z figielkiem.

— Tak, dorozumiałem się wprawdzie, ale zawsze należało panu, któryś zapewne i retorykę przeszedł i na Akademię frekwentował, dyktować wolój *per abbreviationem*, jak to często zdarzało mi się słyszeć w szkołach, gdzie żadne figielki nie uchodziły, i gdzie ciężki z nich bywał w sobotę rachunek.

Uśmiechnął się wojewoda, puścił kilka gęstych kłębow dymu, i po niejakiem namyśle:

— Wiesz co? — rzekł — Czy nie lepiejby, dawnym obyczajem, zacząć od „*Mnie wielce Mości Panie Bracie!*“

— I mnie się zdaje, że lepiej.

— Ale bo widzisz, ojcze święty, ta staroświecka fałszywa *parentelą* wychodzi już z mody; i prawdę mówiąc, szlacheć nie bardzo lubi pobratanie się z sobą pana, kiedy mu go wzajemnie bratem nazwać nie godzi się; bodaj więc lepsze, *Wielmożny Mości Dobrodzieju*, każdemu jednostajnie przypadające. Addytament *Jasności* przyczepia się dziś do urzędów, które i brat szlacheć nieraz posięga; a tak wszyscy kontenci. Pisz więc, ojcze święty jakiem wprzód dyktowałem... tylko że... czekaj! Idzie mi o rzecz. Ten pan podstoli *potens* w swoim powiecie, a niebardzo mnie życzliwy... jak się urazi za figielka, i weźmie to za *postpozycyą*, gotów mi wzajemnego figielek wypłatać, i nasze imprezy sejmikowe, do których plany i insynuacye aż z Warszawy odebrałem, pomięsza; a

właśnie go tym listem zapraszam dla porozumienia się.... Pis więc *Dobrodzieju!* wyraźnie.

Zadyktował potem cały list wojewoda dość gładko i grzecznie, pod końcem jednak znowu namyślać się zaczął, i biorąc pióro do podpisu — Jak rozumiesz? ojciec święty! — zapytał — *uniżonym* czy *najniższym* sługą?

— A jakbyś JWpan napisał, gdyby nie sejmiki?

— Naturalnie, że tylko *uniżonym*, a możeby się i bez tego obeszło.

— No, to ja radzę JWpanu pisać teraz *uniżonym*: bo podstoli pozna, że tylko przed sejmikami pan wojewoda jest jego *najniższym* sługą, a potem i *uniżonym* nie będzie.

— Mądrze mówisz, ojciec święty! Stary sejmikowy Judasz nie da sobie zamydlić oczu... a zatem *non tam libenter quam reverenter*.... — I wymawiając powoli tę jakoby *protestacyę*, podpisał się wojewoda *uniżonym* sługą.

— No, teraz, ojciec święty, wpisz ten list choćby tylko treścią, *ad continuationem* mego dyaryuszu, to jest, do tej księgi, pod datą dzisiejszą; a potem go zapieczętujesz, zapiszesz kopertę i wyszlesz umyślnym.

To rzekłszy, wyszedł wojewoda, a ja otworzyłem wskazaną mi wielką, do połowy już zapisaną księgę. Charakter w niej był rozmaitej ręki i samego wojewody, i księdza kapelana, i różnych innych; rzecz też różnaita była. Wpisywano tam razem publiczne i prywatne interesa i *cyrkumstancye*, codzienne prawie *eventa* dworu naszego, rozporządzenia ekonomiczne komisarzom, instrukcye plenipotentom do spraw w subseliach i w trybunale; a obok tego i w większej części, opisanie publik i sejmików, przez pana wojewodę traktowanych, podróży odbytych, listów i odpowiedzi, niektórych ważniejszych *per extensum*, a niektórych w treści. Takóż rozmaite nowiny i zdarzenia krajowe, oracye i głosy, tak *in publico* przez samego pana wojewodę, jako też i przez innych sławnych oratorów miewane, a nawet rozmaite historie, sentencye, wesołe dykteryjki i wiersze przez przybyszów i bywalców światowych opowiadane, a które wojewodzie się podobały; nakoniec niektóre ciekawe prognostyki, oraz sekreta i *arkana* doktorskie, na różne defekta tak ludzkie jako i końskie, które ja sobie najpierw skopjować postanowiłem, słowem, **bardzo to ciekawa i pożyteczna księga.**

Na pierwszej karcie, nasz kochany mądry ks. Maciej kapelan wymalował, choć to atramentem, ale pięknie, w doskonałym *konterfekcie*, herb pana wojewody, jakoby nad bramą *adornowany*, a pod nim takie napisał wiersze:

Otwarta brama, z świętej Niebios rady,  
Dla Tadeusza cnot ślicznej parady;  
Za którą i sam postępując w tropy,  
Wolny odprawi wjazd do Nieba z Europy.

Podobno za ten koncept ks. Maciej dostał srebrną tabakierkę od wojewody.

Lecz odkładając na wolniejszy czas czytanie oniej i kopjowanie, wziąłem się teraz do wpisania tam, podług rozkazu JW. pryncypała, mojego listu do pana podstolego.

Na stronicy, gdzie mi przypadło pisać, było już nieco napisanego z góry, a na marginesie, zanotowana jakąś nieznaną ręką sentencya łacińska, wiadoma każdemu dworsko traktującemu: „*Dum subera suberant, subera suberare memento*“ \*). — A toć — pomyślałem — wyraźną daje mi Pan Bóg przestrogę. Wojewoda tylko co powiedział, że o fatygę sekretarską ze mną pomiarkuje się; otoż zręczność i *momentum suberare subera*; dodawszy do tego wątpliwość pańską, czyli ja traktował szkoły.... *summa facit* — atlasowy żupan. Wziąłem więc demestykę papieru i napisałem:

„W *rekompensę* funkcyi sekretarskiej oraz uznając „przykładną aplikacyę w szkołach marszałka dworu „mojego, JP. Michała Ławrynowicza, assygnuję mu ze sklepu kupca Abrahama w Połocku, atlasu paliowego w *echcie* na żupan łokci dziewięć. Datt „178...“

Właśnie gdym ukończył pisać i list pieczętowałem, nadszedł wojewoda.

— A cò? ojczy święty! gotowo? — zapytał.

— Jeszcze tu potrzeba jednego podpisu JWpana. — I podałem assygnacyą.

Przeczytał, pokręcił głową, ale rozśmiał się, z czego wraz sobie dobrze tuszyłem.

Niechże i tak będzie — rzekł. Zręcznie się domawiasz. Ale na còż tak wiele atlasu? czy nie możnaby *per abbreviationem*? naprzykład łokci pięć?

---

\*) Drzyj łyka, kiedy się dra. <http://rcin.org.pl>



— Nie można, JWpanie, bo byłby żupan z fałszem; a ja prawdą chcę żyć na świecie.

— Trudno odmówić, na wszystko masz gotową rację. — I podpisał.

---

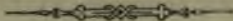
Powróciłem zatem do mojej oficyny w wysmienitym humorze, a zapaliwszy także fajkę i popijając piwko, dumałem sobie to *to*, to *owo*; więc przyszło mi na myśl, że to wysmienita książka pana wojewody, i gdybym to ja taką pisać zaczął? Uważałem rzecz tę *pro et contra*.

— Na co mi ta praca lizna przyda się? Gdybym to jeszcze był żonaty... to dla pamiątki dzieciom...

— A kto wie? może i ożenię się? Panna Rachel, respektowa wojewodzinej, nie źle na mnie pogląda...

— Tfu do licha! — myślałem znowu — oto byłaby praca lizna.... Teraz głowa wolna.... Czy szatan kusi? No, ale zresztą, pędzę życie światowe, dworskie; nie z jednego pieca chleb jadłem, i nie z jednego jeszcze zdarzy się jeść. Cóż to złego byłoby, mieć sobie na starość kiedyś w ciepłej chacie nad czém rozpamiętywać?... Głowy sobie łamać nie będę, bom nie teolog, ani jezuita; a Zoila nie boję się, bo nie na *publicum*, ale *sibi soli* pisać będę. A zatem—

*Adsis inceptis Benigna Virgo meis! \*)*.



---

\*) Przybądź początkom moim w pomoc, Miłościwa Panno!

## SEJMIKI POŁOCKIE W USZACZU \*).

---

### I.

*Anno 178...* odbyliśmy z panem wojewodą sejmiki poselskie Połockie. *Laus tibi Christe*, że przecie żywi wróciliśmy!

Jest co wpisać do téj księgi, ale początek niefortunny.

Przybyliśmy do Uszacza w licznej assystencyi dworu naszego i przyjaciół; za nami nazajutrz napłynęła bracia szlachta naszej wojewodzińskiej partyi, i zajęła całą ulicę. Żydów z ich domów wyrugowałem, uczyniwszy jednak każdemu niejaką gratyfikacyę, choć oniby sami się przed nami wynieśli.

Przyciągnęła także nazajutrz i nasza milicya, to jest, dwieście ludzi piechoty, która siedziała w chatach swoich po dobrach pana wojewody, a na rozkaz jego stawała w potrzebie. Mundury gotowe na cały komplet, leżały na lamusach, i każdy przybywający żołnierz zrzucił siermięgę, a ubierał się w zieloną kurtkę, w także szarawary, kładł nowe buty, kaszkiecik lakierowany z kitką na głowie, patrontasz przez ramię, brał flintę w rękę i stawał do szeregu.

Pan Piekarski porucznik, który jest razem i koniuszym u pana wojewody, komenderuje tą piechotą, i tygodniem przed wyjściem na publickę, najczęściej sejmikową (bo pan wojewoda z nikim, chwała Bogu, nie wojuje), wyprowadza ją codzień na zmianę poparną za dworem na musztrę.

---

\*) *Uszcz*, miasteczko dziś w powiecie Dziśnieńskim, w gubernji Wileńskiej, w którym odbywały się sejmiki województwa Połockiego.

Pan Piekarski traktował za młodu żołnierkę w pruskiem wojsku; zaczął więc z początku komenderować po niemiecku, ale że chłopci nie zrozumieli i nie mogli przyzwyczaić się do jego *Rychteyt*, więc musiał potem po polsku ich musztrować, i pięknie to prostactwo wymoderował; nie mógł jednak żadnym sposobem nauczyć ich pruskich tempów do nabijania broni. Jak więc zakomenderował: *nabijaj!* to czekał potem, aż każdy po swojemu nabił, i z cicha pytał: *czy już?* jak odpowiedzieli także z cicha: *już!* wtenczas krzyczał: *tou! tuy!* O Bożym świecie niewiém co znaczy takowe *tou! tuy!* Musi to być komenda niemiecka; ale po niej kurki *traf, traf*, nakoniec *cel! pal!* i zawsze jakbyś *orzecch zgryzł*.

Pan Piekarski rozłożył się z kompanią swoją za miastem na polu. Przeciwna nam partya Sielickich i Nornickich, z gromadą swojej szlachty, zajęła także kilka ulic i krzyczała, że pan wojewoda chce być *opressorem* województwa, bo na walny sejmik przyprowadził żołnierzy; ale my odpowiadaliśmy, że to nie dla *opressyi* lub jakiej gwałtownej *preponderencyi*, ale dla powagi i assystencyi jego senatorskiej godności: bo i po prawdzie mówiąc, ładunki prawie wszystkie naszych żołnierzy były puste, jak do salwy przy wiwatach, i tylko dla przypadku mieli oni po kilka z grubym wilczym szrotem w zapasie. Wielką miałem biedę z dostarczeniem i rozporządzeniem *sumptu* dla takiego tłumu, musząc nadto i *quam maxime* myśleć, aby obiady wojewodzińskie były sute i wspaniałe, i assystować jeszcze jako marszałek dworu, to jest, pierwszy dworski, samemu panu. Dobrawszy jednak sobie do pomocy kilku trzeźwych i rzeźwych szlachty, wydoływałem wszystkiemu za pomocą Bożą.

Szło wojewodzie o ważną rzecz, bo o utrzymanie na poselstwie z naszego województwa pana Sulistrowskiego i pana Brzostowskiego, żądanych z góry; a przeciwnicy forytowali pana Sielickiego i pana Reutta, dobrą mając po sobie potencję szlachty, a nawet niektórych urzędników ziemskich. Rzecz więc była wątpliwa; zwłaszcza, że pan Sulistrowski, oczekiwany codzień z Warszawy, nie przybywał, a sejmik rozpoczynać koniecznie trzeba było, bo wszyscy tego domagali się.

Dopisali wprawdzie i nam przyjaciele. Pan rotmistrz Rudomina przyprowadził *sto szabel*, wszedł on do miasteczka takowym szykiem:—Na przodzie sam konno, w mundurze wojewódzkim, z buzdyanem rotmistrzowskim: w ręku, jakich już i niewiadać teraz.



Personat! niema co powiedzieć. A was! mój dobrodzieju! was! mój nawet marszałkowski przed nim ustąpićby musiał z placu. Za nim sześć pięknych, młodych, wysokich a opieklých dziewczek, w czerwonych axamitnych gęsto galonowych gorsetach i błękitnych gredyturowych spodnicach. Wszystkie sześć grzmiały na waltorniach hucznego marsza; a za niemi szła szlachta, krzesząc w takt pałaszami iskry z kamieni.

Tak przeciągnąwszy przez wszystkie ulice i zgromadziwszy około siebie tłum ludu dziwiącego się takiej paradzie, pan Rudomina przyszedł do kwatery wojewody, i rejestr swęj partyi złożył mu w ręce.

— Ojczy święty!—zawołał wojewoda, patrząc na waltornie—miałbym tego za trzy litery, ktoby się do takiej partyi nie łączył.

Pan Stanisław Swieboda, mój dobry przyjaciel, przyprowadził także z pięćdziesiąt rębaczów takich jak sam: a faworyt to pana wojewody i filar nasz sejmikowy, bo trudno znaleźć takiego jak on graczą do korda.



## WIZYTA PO PRZYJACIOŁACH \*).

### II.

**W** wigilją *reassumpcyi* sejmiku, pan wojewoda rano po śniadaniu rzekł do zebranej drużyny:—Ojcowie święci! kto łaskaw ze mną do obéjścia prześwietnych urzędników województwa naszego, poczynając od pana podkomorzego Sielickiego?

— Dla czegoż pan podkomorzy piérwiéj nie złoży *submissyi* panu wojewodzie?—odezwał się pan Rudomina.

— Mniejsza o to, ojczy święty! Nie idzie tu o *preeminencyą*, ale o sprawę publiczną. Owszem, dajmy z siebie przykład umiarkowania naszym przeciwnikom, i dajmy piérwszy krok *ad unanimitatem* w sejmiku. Pójdźmy.

Więc ruszyliśmy wszyscy, i zabrawszy jeszcze po drodze pana podwojewódzkiego Korsaka, naszego także *adherenta*, szliśmy w kilkunastu za panem Wojewodą.

\*) Tytuły nad oddziałami są wydawcy

Pan Sielicki, uprzedzony widać o tój naszej wizycie, spotkał nas w bramie swojego dworku, w którym kwaterował. Kordyalne na pozór między nim i wojewodą zaczęły się *exwisceracye*, i wszyscy w najlepszej komitywie weszliśmy do pokojów.

Pan podkomorzy kazał podać węgryzna, i spełnił pierwszy kielich za zdrowie wojewody; zaczęliśmy więc pić regularnie.

W naszej kompanii za wojewodą, przyszedł i pan Stanisław Swieboda, wlokąc przy boku swego *Harasima*. Tak on ochrzcił swój zasłużony pałasz z furdymentum jak kocia głowa, szeroki, prosty i ciężki jak sztaba żelaza. Pan Stanisław nie jak na galę był ubrany: bo będąc chudym pachółkiem, może i nie miał w co lepszego się ustroić; ale przecież po szlachecku i chędogo. Miał on na sobie żupan sajetowy *werdragonowy*, dobrze wprawdzie podszarzany, ale przecież jeszcze nie dziurawy, ani łatany; po nim pas choć jedwabny, ale słucki i nowy, a na wierzchu kurtkę z takiegoż sukna na opaszcze, spiętą na guzik srebrny pod szyją.

Niepodobał się taki ubiór krewnemu pana podkomorzego, panu szambelanowi, młodemu szalawile, podpiłemu już dobrze i szukającemu zatém guza. Obchodził on po kilka razy pana Stanisława, i domawiając wrzekomo do jego zielonej kurtki—*Strzelczyk!*—powiadał—dalibóg *strzelczyk!*—Pan Stanisław pokręcał głową i nic nie odpowiadał. Tém ośmielony panicz, coraz to głośniej *strzelczykiem* go nazywał, z różnych stron *aspektując* jego figurę; uśmiechali się i drudzy, a zatém nie wytrzymał nakoniec i pan Stanisław.

— Panie bracie! Panie szambelanicu!—rzekł on—Waspan mnie znasz dobrze; ale że teraz nie poznałeś, i nazywasz mnie szlachcica strzelczykiem, otóż, panie bracie, *strelczyk waszeci nastrelaje!*—Pan Stanisław niekiedy z ruska zarywa.

Szambelanic chwycił się do szabli. Natenczas postrzeżono zwadę, której w tłumie dotąd nie słyszano. Pan podkomorzy zgromił swego krewniaka; pan wojewoda uspakajał pana Stanisława; ale ten ukłoniwszy się grzecznie, nasunął czapkę na uszy i wyszedł.

Nie bawiąc długo, ruszył się i pan wojewoda; już bowiem prze-rwała się harmonia, której gdy na gorącym razie nie sklejono, można było łatwo zgadnąć na czem się to skończy. Zaszedłszy potem jeszcze do pana chorążego Nornickiego i do kilku innych, wróciliśmy tandem na obiad do domu.

## W Y Z W A N I E.

### III.

**P**an wojewoda zapytał o pana Stanisława, ale go nie było, i we własnej jego kwaterze nie najdziono; widać że się gdzieś zaszył, aby nie być *molestowanym* przez wojewodę o zaniechanie dalszych kroków z panem szambelanem; aż oto pod wieczór wszedł on *insperate* do mojej stancyi.

— Panie bracie! Panie Michale! — rzekł — pofatyguj się z łaski swojej do tego huczka, co mię strzelczykiem nominował. Nowe panicz *stallum* dla szlachcica wymyślił! Poproś więc jego, aby jutro rano, ze wschodem słońca, obaczył się ze mną przy krzyżu na gościńcu wileńskim, ztąd o ćwierć mili; czekać go tam będziemy z tobą, panie bracie! A kiedy nie raczy wyjść, to wiesz bratku co przydeklarować!... Plac ostrzelam i uszy za pierwszym spotkaniem się obetnę.

— Czy nie możnaby, panie Stanisławie, zmodyfikować się? Pan wojewoda...

— A gdyby i dziesięć wojewodów! — przerwał żywo pan Stanisław. — Znaj to, panie bracie, panie Michale, że gdyby rzecz była ze szlachcicem, to mniejsza o to; nie fatygowałbym ani siebie ani mojego *Harasima*; ale pan szambelan *pan*, a przynajmniej siada między pany; to potrzeba go nauczyć *mores*, aby szlachtom po nosach nie jeździł. Więc jeżeli lękasz się narazić wojewodzie lub siebie exponować, to, panie bracie, powiedz mi otwarcie, a ja poszukam innego przyjaciela.

— Na to nie pozwalam — rzekłem, — Funkcyja moja marszałkowska u pana wojewody nie może mi *negować* posługi honorowej przyjacielowi: idę więc, a zaczekaj tu na rezolucyę.

Jakoż i poszedłem do panów Sielickich, którzy całą familją mieszkali razem; znalazłem podkomorzego i starszych wszystkich



śpiących, a młodzież w przeciwkowej izbie podpiła i dziwne na nas wykrzykującą przechwałki. Już oni nas i przekręskowali, i wypędzili, i posłów wybrali.

Gdym wszedł, porwał się z za stołu, na którym pełno było butelek i dzbanów, szambelanic, i krzyknął:

— A ty, chłystku wojewodziński, po co tu? — na szpiegi? na *praktyki*?

— Nie jestem szpiegiem — odpowiedziałem — ale posłem; a posła ani ścinają, ani wieszają.

Siedział między niemi pan Podwiński, pisarz ziemski połocki; głowacz to wielki, ale *filogranowej roboty*!... Więc go oni na swoją stronę chcąc przeciągnąć, poili i ujmowali. On pił mało, a mówił jeszcze mniej, tak, że go oni ani skorumpować, ani wyrozumieć nie mogli. Najczęściej występuje on jako medyator, i dla tego od wszystkich jest konsyderowany. Zna on mnie dobrze, bo bywa u wojewody; więc powstał, i wstrzymując zapędy szambelanica rzekł:

— Mości panowie! to jest uczciwy szlachcic, pan Michał Ławrynowicz, mostowniczyz derpski. — (Bogiem a prawdą, chyba mój jaki prapradziad był tym panem *derpskim*: bo ja, jak zawsze, Ławrynowicz, i nie wiem jak i kiedy przyszło mi zostać razem i mostowniczym i derpskim). — Mój to dawny znajomy i przyjaciel; proszę więc go nie *agrawować* i wysłuchać.

— Mów więc swoje poselstwo! — krzyknęli.

Poselstwo moje — rzekłem — tycze się jednego pana szambelanica; możebyś więc pan raczył wysłuchać mnie *semotis arbitris*.

— Nie ma żadnego sekretu pomiędzy nami. Mów jak stoisz.

A kiedy tak, to i powiem. Otóż przysłany tu jestem przez pana Stanisława Swiebodę, podczaszego oszmiańskiego, abym prosił wacpana, panie szambelanicu, o honorową satysfakcją za krzywdę, którąś pan jemu dzisiaj dopełnił, nazywając go strzelczykiem, z wyraźną dlań *postpozycją*. Czekać więc on pana będzie jutro rano ze wschodem słońca, na rozstajnych drogach pod krzyżem, na gościńcu wileńskim, ztąd o ćwierć mili, aby *in circuitu* juryzdykcyów sądowych nie mieć *akcyi*. Przytém ostrzegam pana, że jeżelibyś odmówił satysfakcyi i nie stawiał się na wyzwanie, (czego się nie spodziewamy), pan podczaszy plac ostrzela, a z panem do spotkania.

— Nie doczekasz — krzyknął szambelanic — abyś dla mnie plac ostrzelał! Potrafię ja podczesać pana podczaszego.

— A tymczasem — rzekł, chwytając za szablę Junosza, szlachcic

z traktu zapońskiego \*), zawołany sejmikowy zawadyaka—oporzędzim pana posła.

— Mości panowie!—rzekłem, odstępując w tył kilka kroków—protestuję się i biorę na świadectwo obecnego tu wielmożnego pisarza, żeżem nikogo z ichmościów nie obraził; więc jeżeli poniosę jakiś *grawamen*, zaraz *manifestuję* niesłuszny atak, i od tego momentu *nego activitatem* ichmościom na sejmiku.

Porwał pan Podwiński za kark Zapończyka.—Idź spać, opoju!—rzekł, popychając go do alkierza. Panie szambelanico! obudzę podkomorzego, jeżeli nie dasz pokoju tym burdom.—A do mnie:—panie marszałku! zrobiłeś swoje, więc nie masz tu po co dłużej czekać.

Wyszedłem zatem; dopędził mnie wraz na ulicy pan pisarz.—Panie Michale! rzekł on—wybawiłem cię z kłopotu: bo czy cię diabli nadali przychodzić z taką propozycją, gdy ja ku pojednaniu i ku wygranej naszej (rozumie się wojewodzińskiej) rzeczy nachylał? dla tego jedynie i byłem między nimi.

Poznałem lisa, ale podziękowałem pokornie i za siebie, i za wojewodę.

— Może się dadzą rzeczy utraktować i między panem Stanisławem a szambelanicem gdy przez noc szum z głowy im wynijdzie. Waść zaś perswaduj podczaszemu.

— Trudno to będzie odpowiedziałem.

— No, to jak sobie chce zresztą. Nieżle to czasem, kiedy młodzika zuchwałego trochę przyuczają. Ale powiedz wojewodzie, że pracuję szczerze w jego zamiarach.

— Bodaj tyle pies płakał!—pomyślałem, i uściskawszy się kordyalnie, rozeszliśmy się.

Pan Stanisław, uradowany z odbytego poselstwa, podziękował mnie z płaczem prawie.—Panie bracie! panie Michale!—rzekł potem—pójdę teraz do Dominikanów na nieszpory, i zaraz spać; bo przede dniem trzeba nam być na koniach; i ty, panie bracie, staraj się wywczasować się, bo cię jutro *summo mane* obudzę.—Ale mnie nie było czasu myśleć o odpoczynku: bo wnet pan wojewoda przysłał po mnie, i kazał assistować sobie do pana Rudominy. który go na wieczorną hulankę zaprosił

---

\*) Trakt Zapoński, dziś w powiecie Borysowskim, w gubernii Mińskiej nasiedlony dawniej gęsto drobną szlachtą, sławną niegdyś w sejmikowych bójkach.

## WIECZORYNKA.

### IV.

Idąc my gromadnie i huczno przez miasteczko, na różne trafialiśmy komplementa. Po wszystkich prawie szynkach brzmiała muzyka rozmaita: bo i ja rozdzieliłem dwudziestu czterech naszej kapelii na kilka części i rozprowadziłem po kwaterach szlacheckich, i pan podkomorzy Sielicki miał swoich muzykantów, i z dziesiątek żydków z cymbałami przywlokło się na sejmiki. Z doświadczenia wiedzieli oni, że bród i pejsów całych nie wyniosą; ale też znali i to, że w kieszenie napakują koronczyków sowito.

Szlachta wrzeszczała, śpiewała i piła; gdyśmy więc około swoich przechodzili, wypadła z domów, krzyczała: „*Wiwat pan wojewoda Połocki! wiwat!*“ Chwytała przytém na ręce wojewodę i podrzucała w górę. Nie opponował się téj subiekcyi wojewoda, owszém wypijał za każdym razem po szklance miodu za zdrowie braci szlachty i przyjaciół.

Ale gdyśmy mijali domy nabite partyą przeciwną, to i wetowano nas niepomału; jednak wszystko mimo uszu puścić trzeba było. I tak: wyskoczył z jednego dziedzińca, na którym pili zapończyki, jakiś urwisz; a poprawiwszy czapkę na bakier, stanął przed wojewodą i tak perował:

Panie Wojewoda!  
Co to za moda?  
Na to nie zgoda!  
Żołnierzy zbierasz,  
Szlachtę pożerasz!

Ryknęła za nim cała chałastra:—*Szlachtę pożerasz! Szlachtę pożerasz!*—Pan wojewoda nie odpowiadając, wszedł między nich na dziedziniec. Patrzali wszyscy co z tego będzie? Zacerpnął miedzianym kubkiem miodu z cebra, i ukłoniwszy w około—ojcowie święci!—rzekł—piję za zdrowie przezacnych braci szlachty traktu za-pońskiego. *Wiwat!*



*Wiwat!*—wrzasnęła szlachta *wiwat!* wojewoda połocki! *wiwat!*— I zapomniawszy wierszów, porwała także wojewodę na ręce i podrzuciła w górę, nie przestając wykrzykiwać:—*Wiwat!*

Jak to u nas nigdy w sercach zawziętości nie ma! Ale domyśliśmy się, że wiersze te składał pan Reut: bo to ptaszek *Scholarum Piarum*, do niego z całego województwa, jak do doktora po recepty, udają się po oracye i kadencye, a on sypie wszystkim jak z rękawa.

Przybywszy zatem szczęśliwie wszystkie szkopyły, doszliśmy przecie do dworku pana Rudominy, który nas ze swemi sześciami waltorniami w licznej *komitywie* przyjaciół, spotkał na ulicy.

Wszedłszy do środka, znaleźliśmy wieczerzę nie z *marcypanów*, ale *honeste* zastawioną. Zrazy zawijane, rozmaite kwaszeniny, rosołu kilka waz, a pieczonej zwierzyny *quantitas*, że aż stół się uginał. P. Rudomina jest myśliwym; przed sejnikami poluje on ze sześć tygodni. Pieczenie więc łosie i sarnie, głowy i szynki dzikowe, łapy niedźwiedzie, zajmowały środek ogromnego stołu; a z zajęcy i różnego ptastwa na szerokich cynowych blatach góry poukładane; prócz tego na osobnych misach rantowych oładki do zrazów i do rosołu. Odbywszy więc kolejkę starzej wódeczki, zaczęliśmy repetować wymienicie, zapijając tłuste kęsy wybornym trojniakiem, którego pełne flasze stały na kominie. Na miejsce spróżnionych mis i półmisek, stawały nowe, również sowite; te znowu się opróżniały, bo ścisk był około stołu, i coraz to więcej przybywało kompanii. Ale kuchnia pana Rudominy przemogła nakoniec nasz wilczy apetyt. Za trzecią i czwartą odmianą, nietknięte już danie zebrano ze stołów, a pan rotmistrz kazał podać wina, i zaczęły się *wiwaty*.

Pan wojewoda *in casu necessitatis* nie odbiega od kielicha, i rzadko komu udało się go spoić. W domu własnym gdy traktował gości, miałem zawsze kilka butelek wody zafarbowanej winem i zrzecznie z nich nalewalem wojewodzie; ale gdy raz złapał nas na uczynku pan podwojewodzi Korsak, musieliśmy porzucić tę sztukę, bo się rozgłosiła wszędzie; teraz więc, *volens nolens* szczerzy ciągnie trunek; a jeżeli już tak się spije, że go do łóżka prowadzić trzeba, to mam w pogotowiu kilka serwet i misę zimnej wody; okładamy zatem całą głowę umoczonemi w wodzie serwetami. Wnet gorąca czupryna pana wojewody parować zaczyna, ale razem i chmiel wychodzi. *Probatum*, że takim sposobem trzy razy od pory do pory

upić się i wytrzeźwić można; a zapisuję to dla pamięci własnej i *propter utilitatem publicam*.

Więc tedy po wieczerzy piliśmy u pana Rudominy *laurissime*; za każdym wiwatem do dna duszkiem spełnionym, brzmiały waltornie i dziewczki przyśpiewywały chorem i wesoło:

[Wypił, wypił nie zostawił—  
Hu! ha! nie zostawił!  
Bodaj go Bóg błogosławił—  
Hn! ha! błogosławił! etc.

a potem huknęły *kurdesza* i *czumańrychę*. Wytrzymać już nie można było! *Czumańrycha*, to skoczna nótka: więc poły za pas zawiązawszy, wyrwali nasi bracia dziewczki od waltornistów i dalej w *obertasy*.

Ja tego uczynić nie mogłem z racji prezencji wojewody, ależ jednakowoż choć na miejscu podskakiwałem: bo i w głowie szumiało, i powiadam, że dalipan trudno było ustać. Sam pan wojewoda *ukonsolowany* nader, całą kieskę rzucił na waltornie, a za jego przykładem, ile talarów i złotych posypało się, trudno by zliczyć. Garściami dziewczki zbierały pieniądze; ależ bo i warte tego! Niech ich tam... Pan Bóg sekunduje!

Razem tak wszystko: i śpiewanie, i skoki, i wiwaty, i krzyki, hu, ha! wrzały jak w garnku i rozlegały się od naszego dworku na całe miasteczko; i dobrze już w noc było, gdy oto dwa wystrzały gruchnęły nam pod oknami. Posypały się szyby, a po waltorniach, jakbyś grochem sypnął, grankulki. Przeleknione dziewczki wrzasnęły okrutnie; my także krzyknęliśmy: *Jezus! Marya!* i osłupieli jak wryci... Wnet ktoś zawołał:—*Łapać excessantów!*—a zatem hurmem wypadliśmy do ogrodu, na który okno potłuczone wychodziło, i rozbiegliśmy się tam na wszystkie strony. Ale cóż? noc ciemna, choć oko wykol, i deszcz puścił się gęsty; nogi u wszystkich niepewne; więc po ślizkiej ziemi, każdy na pierwszym kroku, to upadł na grzędy i twarz sobie błotem oszpecił, to łeb o drzewo rozkwasił, wstawał jednak i latał jak w żmurki grając. Wszyscy krzyczeli. Łapaj! bierz! trzymaj! bij go! wiąż!—nie wiedząc kogo. Chwytał jeden drugiego, a poznawszy się, puszczał, i znowu obadwa polowali. Zamieszanie i zgiełk niewypowiedziany—istna wieża babilońska.

Nakoniec zapalono kilka pochodni, ale i to nic nie pomogło; posmalili tylko drzewa, i gdyby nie deszcz, możeby dworek zapalili.

Ogródek dość obszerny, obity jest ostrokołem; widać więc że pijanice jakowis, strzeliwszy do okien naszych, jak w ul. w tenże moment przeskoczyli ostrokoł, i już byli daleko gdyśmy ich szukali; znaleźliśmy tylko pod płotem rożek z tabaką, i to cały sukces wyprawy.

Zmokli po próżnej bieganinie, zebraliśmy się przecież do izby. P. Rudomina ledwo nie pękał ze złości, że w jego kwaterze taki traf spotkał wojewodę; przeproszał go pokornie, choć najmniej nie winien; raniutko nazajutrz miał manifestować, sam nie wiedząc kogo; a nakoniec, po wzajemnych najserdeczniejszych *expostulacyach*, wypiliśmy jeszcze po kielichu. Dziewki huknęły na honor pana wojewody:

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz!

A my, jego słudzy,

Pijmy, jak i drudzy.

To to pan, to to pan, to dobrodziej nasz! \*).

I rozpaliwszy pochodnie, poszliśmy do własnej kwatery.



## POJEDYNEK.

### V.

Nazajutrz przed wschodem słońca, wszedł do mnie pan Stanisław.—Panie bracie! panie Michale!—rzekł on, budząc mnie rozespanego—wstawaj! konie gotowe.

— Ależ mnie prędko powrócić trzeba: bo jak się obudzi wojewoda, pewny jestem, że zaraz zawoła; tém bardziej, że dziś *reasumpcyą* sejmiku.

— Nu to, bratku, za kwadrans będziemy na miejscu, Wiem przez moich szpiegów, że jeśpan szambelaniec bez zawodu stanie na placu z kilku swemi *adherentami*, nie będziemy więc długo czekać. Sama zaś sprawa.... nie pociągnie.... nadzieja w Bogu i w *Harasimie*.

Przypasałem więc i ja moje *Elżutkę*—szablę *Augustówkę*, którą

\*) Dawna piosenka ludowa. <http://rcin.org.pl>



mam w prezencie od pana Burzyńskiego, starosty brasławskiego, zięcia pana wojewody, i ruszyliśmy konno klusem gościńcem wileńskim.

Przybywszy na wyznaczone miejsce, oddaliśmy konie kozakowi, który je o staję odprowadził. Pan Stanisław dobył *Harasima* i wbił go w ziemię, a z kieszeni dobył mały paczek i położył na kamieniu.

— A to co? panie Stanisławie!—zapytałem.

— To, panie bracie, [chleb razowy i pajęczyna: doświadczone szlacheckie *vulnerarium*. Każdy prawie szlachcic, wybierając się na sejmiki, ten raz przynajmniej obiera chatę z pajęczyny, i ma ją z sobą w zapasie na pogotowiu: bo w przypadku niespodzianym—(tu poprowadził palcem przez nos i gębę)—zaraz w kieszeni *remedium*, które i krew zatrzymuje, i w krótkim czasie tak leczy, że tylko kreska zostaje.—Ważć młody, panie bracie, więc słuchaj mnie starszego i bez pajęczyny nie jedź nigdy na sejmiki. A teraz, nim nadjadą, zmówmy tymczasem pod krzyżem poranne modlitewki.

Uklękliśmy więc przed figurą Pana Jezusa, i zaczęliśmy się modlić.—*Mea culpa! mea culpa! mea maxima culpa!*—wymawiał ze skruczą bijąc się w piersi pan Stanisław — *ale niechże mnie strzelczykiem nie nazywa. Amen.*

Powstał potem i przechadzał się, pokręcając węża i poglądając po drodze od Uszacza.

Wtenczas pierwszy raz przypatrzyłem się dobrze figurze pana Swieboda.—Miłyż Boże! pomyśliłem—nie znał człowieka szambelanic, i zaczął z nim sprawę, pewnie fatalną dla siebie.—Pan Swieboda urody nie wysokiej i przychromywa trochę na prawą nogę: bo na którymś sejmiku w piętę go podstrzelono. Na twarzy jego, djabeł (jak to mówią) grał w tryszaka: poszrotowana ospą i pokiereszowana kilku szramami od pałasza. Kiedy jeszcze, podjąwszy *Harasima*, nastroił marsa, uciekała odeń szlachta, jak od bazyliuszka. Kłębów pan Stanisław zupełnie niema, tak, że rapcie od pałasza nie mają na czém się trzymać, i musi je aż na pas zakładać, a pas znowu na ciemne haftki po żupanie zawieszac! ależ za to plecy! jak ława! a ręka, jak łopata! kiedy to ściśnie z całego affektu!... W pojedynku bije się z podjazdką i przysiadkiem, do czego noga troszkę podkrzywiona posługuje mu wyśmienicie. O swoich kresach na łbie i na twarzy rozpowiadać nie lubi; krótko zbywa, mówiąc:—*Plażyłem ja, plażyli i mnie.*

Niezadługo ujrzelśmy sześciu konnych, sadzących do nas, nie gościńcem, ale przez pola i łąki, a przeskakujących rowy i płoty.

Żle, panie bracie!—rzekł pan Stanisław—już podobno nie trzeźwi: lecą na manowce, jakby ich, Panie odpuść, szatan prowadził, i może wszyscy razem na mnie napadną. W takim razie ja oprę się o krzyż, i krzyżem ich przeżegnam; a ty panie bracie, pilnuj tyłu.

Nie tak wszakże się stało. O kroków kilkanaście zsiadli z koni wszyscy, a sam jeden tylko szambelanic dobył szabli i bez pamięci leciał na pana Stanisława. Ten wyrwał z ziemi *Harasima*, podjechał z przysiadkiem; a kiedy to podjął się razem i dźwignął potężnie!... fūrknęła w powietrzu i odleciała precz szabla szambelanic, a sam z impetu padł jak długi na ziemię.

— A co? panie bracie!—rzekł pan Stanisław—*ustawaj! na plecach krzyża rabić nie budu.*

— Pogodzimy się, panie podczaszy!—rzekł powstając szambelanic.— Zgoda! zgoda!—krzyknęli jego sekundanci—masz satysfakcyę, panie podczaszy!—Zgoda! panie Stanisławie!—rzekłem i ja.—No, to niechaj sobie i zgoda—powtórzył pan Stanisław, chowając *Harasima* do pochew. *A drugi raz, panie bracie, nie zaczepiaj strzelczyka, bo Waszeci nastrelaje,*

Znowu krzyknęliśmy:—Zgoda!—Uścisnęli się adwersarze, i wszyscy w najlepszej komitywie, dziękując Bogu, że obeszło się bez szwanku, wróciliśmy do miasteczka.

---

## SESSYA SEJMIKOWA.

---

### VI.

Pan wojewoda rozesłał już po mnie na wszystkie strony; lecz gdy stanął przed nim i opowiedział racyę mojej nieobecności, gdy jeszcze ukazał się za mną i pan Stanisław, uścisnął nas obu i winshawał *wiktoryi*.

Trafiliśmy na same *consilium bellicum*. Był już pan podwojewodzi *Korsak*, pan *Rudomina*, pan *Szyryn*, pan *Podwiński* i kilku innych wojewodzińskich. Po wczorajszym zylaszczu *excessie*, gdy po-

dobne *periculum* powtórzyć się mogło, zdanie było wojewody i niektórych panów zgromadzonych na radę, aby rozłożyć milicję na ementarzu około kościoła, i postawić sztyldwachy przy drzwiach.

— Już nawet rzekł do mnie wojewoda: — Ojcie święty! biegnij do Piekarskiego, niech w pięknym moderunku wprowadza wojsko do miasta.... kapelia na przedzie!

— A któż będzie sejmikować?—odezwał się pan Podwiński—bo, mości wojewodo, ani pan podkomorzy, ani ktokolwiek ze szlachty jego partyi, ani nawet ja sam nie wstąpię nogą do kościoła, gdy ten wojskiem otoczony będzie. Choćbyś więc JW Pan zagaił sejmik i obrał posłów, to nie będzie ani legalnie, ani z honorem pańskim; a humor niezyczliwy, który już i tak się szerzy pomiędzy szlachtą, że JW Pan chcesz *opressive* działać, zweryfikuje się *plenissime*, i już potem nie naprawić tego.

— Więc cóż robić? ojcie święty!

— Działać, mości wojewodo dobrodzieju, jak na zacnego senatora i przewodnika województwa przystoi, a razem nie zaniedbać i ostrożności. Wprawdzie zawziętość przeciwników jest wielka, ale jednakże wczorajszy strzał nie jest bynajmniej z ich *insynuacyi*, bo obywatele zacni i uczciwi do takiej akcji wcale niezdolni, i krzywdę im czyni, kto taką *suppozycyą* na nich chowa; a w ogólności, u naszej poczciwej szlachty i u panów chrześcijańskich więcej wrzasku niż złości...

— Cóż w konkluzyi? ojcie święty!

— W konkluzyi, idź pan śmiało do kościoła, i zasiądź swoje senatorskie *stallum*; przywołaj do boku swego urzędników ziemskich i zagajaj sejmik. Dobrani i doświadczeni przyjaciele otoczą pana, a tak niczego lękać się nie będzie potrzeba.

Przystali wszyscy na tę mądrą radę pana pisarza, a zatem rzekł do nas z panem Stanisławem wojewoda:—Ojcowie święci! wybierzcie sto szabel dowodnych i trzeźwych, i zasadźcie od wielkiego ołtarza; a gdy rozporządźcie wszystko, wasan, panie Stanisławie, zostań dla komendy, a waść, ojcie święty, powracaj tu do mojej assystencyi.

Poszliśmy więc z panem Stanisławem do księdza przeora Dominikanów, w ich bowiem kościele miał się odbywać sejmik, i udawszy się z nim do kościoła, wynieśliśmy ztamtąd z należytą *adoracyą Sanctissimum* do klasztornej kaplicy; potem *in ordine* braci klasztornych stuknąwszy na śniadanie *crematum*, szliśmy wybierać gwardyę dla wojewody, klucze kościelne zabrawszy z sobą.



— Panie bracie! Panie Michale!—rzekł do mnie pan Stanisław— po co darmo mamy włóczyć się? Mam pod moją *manudukcyą* piędziesięciu *Porczyńskich*, cała okolica; chłopy jak dęby; zajmę z niemi *prezbiterium*; uręczam, że dotrzymają *Zapończykom*, i że nikt, oprócz wojewody i urzędników, ani nosa za kratki nie potknie.

*Dictum—factum.* Zaczekałem z pół godziny na cmentarzu, i ujrzałem pana Stanisława, prowadzącego swoich *gracialistów*. Gorący hultajski bigos, którego na śniadanie cały kocioł zjedli, i miód grzany, którym sowito zaleli, zaczerwienił ich twarze i nosy; idąc poważnie, ocierali tylko tłuste wąsy i spotniałe czupryny.

Przeciwnicy nasi, wyskakując z dworków, wołali:—Swiebodczuki! a dokąd? Swiebodczuki!—Porczyńscy poglądali z pode łba, jak niedźwiedzie, i ciągnęli spokojnie; ale wara do nich podstąpić!... lub dać zaczepkę!... bo jakby płał który!...

Zasadiwszy więc ich, podług instrukcyi pana wojewody, od wielkiego ołtarza, otworzyłem nawściąg drzwi kościoła, a zamknąłem fórtkę od zakrystyi i schowałem klucz za nadrę, aby na wszelki przypadek mieć wolną drogę do *rejterady*. Pan Stanisław został na komendzie, a ja poszedłem uwiadomić wojewodę.

Zatém ruszyliśmy do kościoła.

[ Pan wojewoda *magnificenter* wystąpił, i dalipan po pańsku. Kuntusz granatowy z sajety jak atlas, ze sznurami i kutasami złotemi; żupan materyalny, spięty karbunkułem na szyi, którego gdyby brat szlachcic dostał, miałyby chleba na całe życie; pas bogaty w karpia łuskę, a złoto ciekło z frenzlów; nakoniec wstęga błękitna Orła Białego, a gwiazda na piersiach i pałasz w jaszczur i blachy złociście oprawny. Wszystko to do pięknej figury pana wojewody raźnie przypadało. Pan to sudanny, ale nie suchy, białego lica, włosy nosi podstrzyżone, ale mu brzytwa koło łba nie chodzi: bo i fryzury i łby golone wychodzą już z mody; oko błękitne, wąsy z węgierska, suknie wszelkie nosi krótko, but jak obłany. ] A kiedy tak wystrojony i w dobrym humorze, podsunie się gracko do jakiej kobiety, to rośnie jak na drożdżach dobrodzika, a pani wojewodzina bez ustanku tabakę zażywa.

Za panem wojewoda szli nasi przyjaciele i urzędnicy ziemscy; ja tuż za niemi prowadziłem *circiter* trzysta szlachty, którym, jako

i Swiebodczukom, po bigosie i palonym krupniczku \*) z łysin się kurzyło. Uspakajałem jak mogłem ich hałasy, gromiłem przechwałki; i słuchali mnie, bo znając prawie każdego *de nomine et cognomine*, i sustentując ich hojnie, zjednałem sobie między niemi wielką *konsyderacyę*.

Podchodząc pod kościół, usłyszeliśmy okrutną tam wrzawę; a nakoniec, gdyśmy wchodzić mieli, Junosza, znajomy nam zapończyk, wrzasnął na całe gardło:

— Kiedy nas wasz Twardowski (tak oni przezwali pana Stanisława, podrażniając jego chromotę) nie puszcza za kratki, to my was do kościoła nie wpuszczam, i zamknę drzwi przed nosem.

Jakoż zatrzasnął drzwi kościelne i drągiem zewnątrz zawałił.

W kościele do większej jeszcze przychodziło wrzawy. Lękaliśmy się, aby nie okrwawiono domu Bożego. Ale nie domyślali się panowie Zapończyki, że ja mam w kieszeni sposób wejścia do kościoła i bez ich łaski; podałem więc klucz od zakrystyi wojewodzie.

— Ojciec święty! masz rozum—rzekł on. — Chciałem mu przypomnieć *infimę*, alem właśnie postrzegł, że byłem w paliowym atlasowym żupanie.

Raptem więc ukazaliśmy się w kościele między naszą Swiebodzińską gromadką. Zapończyki *obstupuerunt*, ujrawszy nas jak z nieba spadłych.—Zdrada! zdrada!—krzyczał pijany Junosza—Twardowskiemu djabeł sekunduje!

— A ty, heretyku przeklęty! — krzyknąłem przystępując doń impetycznie — w domu Bożym o djable tobie wspominać! Czekaj! idę wraz do Dominikanów i donoszę im twoje bluźnierstwa. Oni ciebie wykną, a my upieczem na stosie, jak raka. A toż, moi panowie, sklepienie kościelne na nas zapadnie, kiedy będziemy między sobą chować tego niedowiarka. Precz z domu Bożego! precz!— I śmiało przeszedłszy kościół, odsunąłem drąg i otworzyłem drzwi, jakby dla wywleczenia Junoszy; ale on od swoich nawet łajany, opuścił uszy i schował się gdzieś pod ambonę; a tymczasem przez otwarte drzwi wwalili się hurmem nasi, i wśród nich wetowani bez miłosierdzia panowie Sieliccy, Nornicy i ich adherenci, którzy trafili pod kościół wtenczas, gdy przede drzwiami stała rozgniewana

---

\*) Krupniczek—wódka palona z miodem i różnemi korzennemi zaprawami.—  
N. w.

nasza szlachta, obwiniająca ich o promotorstwo w uczynku Junoszy, lubo ich i obecnych nie było.

Otoż to zaczął się hałas i kweres, kiedy się kościół już napełnił. Boże zlituj się! Myślałem, że nie trafim już do końca.

Nie czekając *reasumpcyi* sejmiku, podkomorscy krzyczeli:—Prosimy na posłów pana *Sielickiego* i pana *Reutta*! Wiwat pan *Sielicki* i pan *Reutt*!—Nasi wrzeszczeli:—Wiwat pan *Sulistrowski* i pan *Brzostowski* posłowie województwa Połockiego!

— A gdzie on? ten pan Sulistrowski?—zapytywali jedni.

— W antypodach!—z przygryzkiem odpowiadali inni.

W tém pan Stanisław ukazał się z nagłą na kratkach i wrzasnął okrótnie:—Prosimy naprzód spalić heretyka *Junoszę*! kto w Boga wierzy, *pal*! bo kiedy heretyków żywić będziemy, sami marnie poginiem.

Więc wszyscy Porczyńscy krzyknęli:—Palić heretyka! palić!

Spójrzałem w oczy panu Stanisławowi.—*Stemus simul!*—rzekł on do mnie—popieraj moję propozycję, panie bracie!

I znowu zaczął perorować:—Kto z kim przestaje, takim się sam staje: więc i my moiści panowie, mając społeczeństwo z heretykiem, sami nie ujdziem herezyi. Do niczego zatem nie przystępuję, nim ta materya skonkludowaną nie będzie. To materya *status*, gdzie idzie o zbawienie duszy!

Znowu więc wrzask:—Spalić Junoszę!

Zrozumiałem ja o co idzie panu Stanisławowi, więc krzyknąłem:—Nie pozwalam! Junosza nie tylko heretyk, ale i czarownik. Sam byłem świadkiem, jak raz wypił trzy garnce tegiego trojniaku, i nie upił się. To nie w swój duch! to czary! to nie zarty! Ale po sprawiedliwości, trzeba aby był wprzód *jure victus*; a zatem spławić go należy. Ja znam cały *proceder* tej operacyi, bo już cztery baby pławiłem; proszę zatem o *exhibycję* osoby czarownika, a ja go *ex nunc solita praxi* spławię na...

— Jeżeli potonie, to i wyciągać nie trzeba, bo heretyk; a jeżeli pływać będzie po wierzchu, to czarownik. I na to *spectaculum* wszystkich panów braci szlachtę i dobrodziejów zapraszam.

[Niema zgody!—krzyczał Swieboda i Swiebodzińscy.— Na co te ceremonie z heretykami? *Pal*! kto w Boga wierzy, *pal*!

— Pławić!—krzyczałem // ja i dawałem znak moim wojewodzin-



skim, którzy ryknęli, że aż kościół zatrząsł się.—Pławić czarownika Junoszę! po świętej sprawiedliwości, pławić!

Panowie urzędnicy patrzali na nas z podziwieniem.—Ojcowie święci!—rzekł wojewoda—czyście poszaleli?

— Nie bój się pan — szepnął mu pan Stanisław — nie spalim, tylko wykurzym tego burdę i opoja. A krzyczał głośno:—Czy palić, czy pławić, zawsze naprzód prosimy o *extradycję* Junoszy.... a kto go bronić będzie, ten sam potępieniec!

A ja krzyczałem:—Zapraszam panów braci na pławienie!

Junosza coś wrzeszczał i dąsał się pod amboną, ale nikt go nie słyszał; a gdy jeszcze któryś z jego sąsiadów Zapończyków krzyknął:

— To ciekawe *spectaculum*, pławienie czarownika! na życiu mojem tego nie widziałem. Więcie co? mości panowie! dajmy Junoszę na próbę.

Widząc on zatém, że gotowi dla saméj ciekawości wydać go na *stracenie*, chyłkiem po za filary wycisnął się z tłumu i uciekł z kościoła.

Tymczasem pan Podwiński pisał a pisał. Pan wojewoda chociaż po kilka razy wstawał i zaczynał swoje: ojcowie święci!... ale zagłuszony zawsze naszym wrzaskiem, usiadał znowu i czekał, aż pan Podwiński dał znak głową, że już skończył. Wtenczas powstał pan wojewoda dla *reassumpcyi* sejmiku; a że Jezuici nie wyspieszyli oracyi, chociaż dwa razy do nich do Połocka posyłano, a *elokwencya* pana wojewody *ex abrupto* niezawołana, przeto powtórzywszy znowu:—Ojcowie święci! panowie bracia i dobrodzieje! — dodał tylko — pokornie suplikuję wysłuchać *reassumpcyi* naszego poselskiego sejmiku, zapisanej przez godnego urzędnika ziemskiego wielmożnego pisarza Podwińskiego, *cum laudo circa securitatem publicam*, na które rozumiem, iż zajdzie zgoda całego prześwietnego województwa.

— Co za *laudum*? jakie *laudum*? — odezwali się Sielicy. — Na żadne niema zgody.

— Otoż wysłuchajcie naprzód jakie *laudum*—rzekł powstając pan pisarz—bo teraz krzyczycie nie wiedząc o co.

*Promotor* ich wszystkich podkomorzy, konsyderując pisarza, równie jako i wojewoda, a rozumiejąc go być swoim, tak jak my rozumieliśmy go być naszym, skinął ręką na swoich, to i cicho.

Odczytał zatem spokojnie pan pisarz swoją *reassumpcyę* i *laudum*, w którym wyrażał: aby każdy, kto by *in tractu* obrad w kościele dobył szabli, uznanym był *tanquam contumax* i jako taki wnet z koła sejmujących był wyłączonym.

— Jakto?—wrzasnęli Zapończyki—a na cóż u licha szabla, gdy jój wyjmować nie można? Panie pisarzu! przyczep sobie łuczyczkę do boku. Panie wojewodo! każ kurki poodkręcać od muszkietów u swoich żołnierzy, to my wtenczas szable odpaszem. Pan Podwiński *skorumpowany!* niema zgody!

A więc znowu sprzeczki między starszyzną za kratkami, a zwady i krzyki po całym kościele... gdy nagle odgłos trąbki pocztarskiej rozległ się przed kościołem... Umilkła wrzawa, wszyscy zdumieni obrócili oczy na drzwi, w których wnet ukazał się pan Alojzy *Sulistrowski*, pisarz wielki Litewski.

Szlachta nasza połocka jego nie znała: bo on *de radice* oszmiańczuk; ma tam swoje dobra *Szemetowszczyznę*, *Wiszniew*, *Czurlonie*, do których zawsze zajeżdżamy z panem wojewodą, jadąc do Wilna. Lecz że tak wypadło z wyższych *intencyj*, aby z Oszmiańskiego posłami byli pan *Kociell* i pan *Bienkuński*, więc pan pisarz wielki litewski, mający w Połockiem województwie jakiś folwark, postanowił ztąd posłować i napisał wcześniej o tém do wojewody.

Wielki *rumor* się zrobił na jego widok. Zostawiono mu szeroką lukę aż do krtek, wśród której postępując, kłaniał się on na wszystkie strony. A wiadomość kto on jest, rozbiegła się wnet po kościele, jak równie że przybywa prosto z Warszawy.

Nie wysoka to kreatura pan *Sulistrowski*, ależ głowa! mądra, że na bok i nasz pan *Podwiński*. Niema on i nie stara się o popularność między szlachtą, a nawet go szlachta oszmiańska nie lubi, bo jak pokaże się na sejmikach, to już i po sejmikach. Bez *oracyów*, bez *argumentów* i *traktamentów*, to wszystko pięknie na osobnych z każdym kandydatem *konferencyach* ukartuje, że ani się postrzegą jak zawziętość zniknie, pokój święty następuje, a *stalla* i urzęda biorą jednomyślnie ambijenci, o których przed sejmikami sam tylko pan *Sulistrowski* wiedział, a szlachcie ani się śniło! Powracają więc potém spuściwszy nosy na kwintę do domów, przeklinają *Sulistrowskiego*, że ten intrygant i *farmazon* skończył *insperate* sejmiki, a ich przed czasem od szabli i miodu do sochy i wody odprawił. Przyszedłszy do stołu pan *Sulistrowski*, ucisnął poufale pana wojewodę, przywitał się grzecznie ze wszystkimi, i wyjął

z zanadry list, zapieczętowany wielką białą pieczęcią, oddał go panu wojewodzie mówiąc: „*Od Króla Jego Mości.*“

Pan wojewoda, dostawszy listu z koperty i przebiegłszy go — Ojcowie święci, panowie bracia i dobrodzieje! — rzekł — ponieważ pismo Miłościwego pana bardziej się tycze całego województwa, aniżeli mnie samego, przeto odczytam je głośno.

Ciekawie wszyscy nadstawili uszy, i z owego krzykliwego zgiełku nastąpiło milczenie, jakby anioł przeleciał. Czytał zatem głośno pan wojewoda *ut sequitur*, bom zaraz sobie ten list *copiatim* przepisał. To nie żart! list od *koronata!*

„Wielmożny uprzejmie nam miły!

„Nadchodzi czas wyboru posłów ziemskich na sejm przyszły, prawem oznaczony. Prześwietne województwo Połockie posiada zapewne w gronie swoim mężów, których światło i miłość dobra publicznego odpowiedzieć godnie może oczekiwaniu i troskliwości Naszej królewskiej; lecz dogodziłoby się życzeniom naszym, aby z tego województwa W. Aloizy Sulistrowski, pisarz wielki litewski, i urodzony Michał Brzostowski, posłami obranymi byli. Oświadczyć Uprzejmość Wasza to życzenie Nasze prześwietnemu województwu Połockiemu, na sejmik zgromadzonemu, i razem łaskę królewską. Dobrego przytém zdrowia Uprzejmości Waszej od Boga życzymy.“

Po odczytaniu, znowu było milczenie, aż ktoś z ławek odezwał się: — {*Łaska pańska na pstrym koniu jeździ!*} — A tém jakby pobudzony powstał pan podkomorzy Sielicki, zabrał głos i rzekł:

— *Salvo respectu* pismu Najjaśniejszego pana; uważam jednak, że takowe jest *in praejudicium* prerogatywy naszej szlacheckiej, obierania urzędników po naszej woli. Gdy ja z ojców, dziadów i pradziadów moich, odwieczny *civis et servus* tego prześwietnego województwa i każdego z braci szlachty *ausus sum* funkcją poselską na przyszły da Bóg sejm piastować, i o takową dopraszam się; przeto pokładając nadzieję w waszych braterskich *affektach*, (tu kłaniał się na wszystkie strony), nie odstępuję *ambijencyi*, i godnego ze wszech miar JW. pisarza litewskiego, acz przez majestat *promowowanego*, na wota proszę.

Pan *Sulistrowski* stał spokojnie, nic nie odpowiadał, tylko pokręcał wąsika; a szlachta krzyczała: — Prosimy pana *Sielickiego!*

Wrzawę przerwał pan Stanisław, wrzasnąwszy: — Oto *Reverendissimus Reutt* z kazaniem! — Bo też zjawił się na ambonie pan Reutt. Obrócili się wszyscy do amfony, a pan Reutt tak perorował:



— [Bracia szlachta! ja wasz brat szlachcic! a szlachcic na ogrodzie, równy wojewodzie! to wszystkim wiadomo!] a co do króla Jęgości, to on w Warszawie, a my w Uszaczu. Pan kasztelanie senatorowicz, a ja łowczyk z Amtorowicz, (tak się nazywa folwarczek pana *Reutta*), i kto z nas nie będzie posłem, to niech p... zje w kaszy, a zostanie tym, co zostanie. *Dixi*.

Brawo! — krzyknęła szlachta — brawo! Wiwat pan *Reutt!* *wiwat* pan łowczyk poseł nasz! *wiwat!*

— Prosimy pana wojewodę o wota, kandydaci wiadomi — odezwała się przeciwna nam starszyzna. I moment był krytyczny: bo nasi także przebąkiwali, szczególnie przeciw panu Sulistrowskiemu: — Na co nam oszmiańczuka, kiedy mamy własnych?

Poznał on na co się zanosi; szepnął więc na ucho panu wojewodzie, a ten się odezwał: — Ojcowie święci! spóźniona pora, sejmik jest *reassumowanym*; odwołuję więc sessyę na jutro.

— Nie ma zgody! — krzyknęli *ex opposito* — nie ma zgody! *Pluralitas* widoczna — dodał pan *Sielicki*; więc albo niech panowie współambijenci nasi dobrowolnie odstąpią, albo, mości wojewodo, prosimy przystąpić do wotowania.

Zawrzało wtenczas jak w garnku. Nasi krzyczeli, że sessya odwołana do jutra. Głuszyli nas przeciwnicy, wrzeszcząc: — Panie wojewodo dawaj *kalkuły*. *Wiwat* pan *Sielicki* i pan *Reutt!*

Rady już żadnej nie było. Znowu rzekł pan wojewoda: — Ojcowie święci! odwoławszy sessyę, nie mam tu nic do czynienia. — I zabierał się do wyjścia tędy, kędy i wszedł, to jest, przez zakrystyę.

Pan *Sielicki* oświadczył zatem, że w takim razie obiorą sobie marszałka, lub sam, jako podkomorzy, kontynuować będzie obrady.

— *Quo jure?* ojczy święty!... — Bliziuteńką już zwadę przerwał pan *Sulistrowski*; zbliżył się on do pana *Sielickiego* i rzekł po swojemu, to jest, zcicha i skromnie:

— Racz, Mości podkomorzy, zgodzić się na odkład sessyi do jutra; dogodzić się przez to może życzeniom Najjaśniejszego pana, który przeze mnie samego teraz przesyła panu dowód swęj łaski pańskiej i nagrodę obywatelskich jego zasług.

— Cóż takiego? — zapytał podkomorzy.

— Nie czas to, ani miejsce tłumaczenia rzeczy ważnej, wśród takiego tłumu; ale proszę mi ufać, a nie pożałujesz pan tego.

*Sielicki* zaczął miękczeć i konferować ze swojemi. Szlachta niewiedząca o niczém, wrzeszczała jednak... Aż pan Stanisław znowu zjawił się na kratkach i krzyknął z całego gardła:—*Panie Mateuszu! a prowadź waszeć!*—I wnet znowu w tłum się schował.

— Na jakiego Mateusza wołasz?—zapytałem.

— Na każdego, który tu jest, panie bracie! Obaczysz skutku.

Jakoż zrobił się wnet ruch między szlachtą. Z pięciu czy więcej znalazło się Mateuszów, a każdy rozumiejąc, że to na niego wołano, i że tém samém uważany jest *promotorem* swojej gromady, chciał dotrzymać takowej *preponderencyi*; zwoływał więc, gromadził, popychał, gospodarzył, a nakoniec któryś z nich podjąwszy czapkę w górę, zawołał:— Na obiad! Mości panowie! na krupnik i na pieczenie! mości panowie!

Podobała się propozycja.—Na pieczenie, na pieczenie!—huknęła ochotnie bracia szlachta, zapomniawszy sejmikowych kłótni: i *Mateusze* wraz większą połowę tłumu wyprowadzili z kościoła.

— Ojcowie święci!—rzekł wojewoda—piszę się na ten projekt, i zacnego naszego gościa, a przy nim i całe koło prześwietnych urzędników na obiadek pokornie proszę.

Ciekawy obiecanych dla siebie łask królewskich, zgodził się po niejakięj *molestacyi* i podkomorzy; więc wszyscy hurmem wyszliśny z kościoła i wnet cały Uszacz zajądał pieczenie.



## OBIAŁ U PAŃA WOJEWODY.

### VII.

Tłum się u nas zebrało gości. Ponieważ przyszedł i pan *Sielicki* podkomorzy, naczelnik naszych opozytorów, więc za nim przyszli i panowie *Norniccy*, *Przesieccy*, i pan *Reutt*, i kilku niższego choru braci szlachty z ich partyj. Wszystkich najuprzejmiej witał wojewoda, a każdy pytał się ciekawie o nowiny z Warszawy, szczególnie jak to *fawory* królewskie ma osiągnąć podkomorzy?

Dogadzając więc tej ciekawości okoliczników, pan Stanisław szepnął pod sekretem na ucho któremuś, że podobno król Jegomość

wysłała pana podkomorzego posłem do Turek, a cały trakt zapoński wyznacza mu na assistencyą i *sumpt* własny ma *spendować*.

— Czy to aż za morze? mości dobrodzieju zapytał cicho szlachcic.

— Naturalnie, panie bracie, że suchą nogą tam nie dojdiesz.

— Da pani podkomorzyna nigdy na to nie pozwoli—rzekł szlachcic, widąc domowy *famulus* pana *Sielickiego*. I pokręciwszy głowę, wymknął się cichaczem za drzwi, z nowinką do braci.

Tymczasem uważałem, że pan *Sulistrowski* unikał podkomorzego, a z panem wojewodą w alkierzu długą miał *konferencyę*. Dobry sługa powinien zgadywać myśl pańską, więc i ja, aby nie zważano na to, kazałem roznosić wódeczkę.

Gdy wyszli z alkierza, szepnął mi wojewoda:—Ojczye święty! trąby do sieni, a Piekarski niech będzie gotów na dziedzicu, gdy usłyszysz trąby—*Apel!*

Nie zważając niby na polecenie, stuknąłem moją laską marszałkowską przed wojewodą, i rzekłem z tęgą mną:—Waza na stole!—Zasiadano więc do obiadu, a ja się wymknąłem tymczasem za drzwi i zaordynowałem wszystko podług dyspozycyi pańskiej.

---

Obok pana wojewody usiadł z prawej ręki pan pisarz litewski, a z lewej, pan podkomorzy *Sielicki*. Pełniąc moją powinność, obchodziłem stół dokoła, pilnując porządku i zbliżając się często do wojewody, a nuż czego nie rozkaże?

Jakoż pod koniec obiadu, rzekł on do mnie:—Ojczye święty! *chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*. Ja tylko jeden zrozumiałem co to znaczy. Jest w sklepie wojewody *kapitałne* stare francuzkie wino, które pachnie chlebem razowym; od zapachu więc tego nazwał on je *chlebem powszednim*, choć *a festis* tylko i na dobitkę podawać go każe. Miałem ja wprawdzie między moją prowizyą sejmikową kilkanaście gąsiorków i tego *chleba powszedniego*, ale schowałem je aż w kominie w alkierzu: bo rozumiałem, że sejmikowa sprawa obejdzie się i bez tego *specyału*. Poznałem zatem po zakroju, że coś ważnego nastąpi, gdy od tego zaczynamy na czém zazwyczaj kończyliśmy.

Wybrawszy więc kielich średniej miary, (bo największy połknąłby dwa razem gąsiorki), podniosłem go na tacy wojewodzie, a hajduki nieśli za mną *chleb powszedni*. Powstał pan wojewoda, i ująwszy



nalany zpełna—Zdrowie!—rzekł—JW. Sielickiego. Przystał, a potem dobitnie zawołał:—Kasztelana województwa połockiego;—Spójrzał zdziwiony pan *Sielicki*, obrócili się wszyscy ku wojewodzie; ten stał nie spełniając jeszcze kielicha; a wtém powstał pan Sulistrowski, i rzekł, dostając z zanadry znowu wielki list, jeszcze z większą białą pieczęcią:—*Król Jegomość*, pragnąc dać tobie, mości podkomorzy, dowód swęj łaski pańskiej, i nagrodzić *merita* twoje, powołuje cię do boku swego i *konferuje* wakujące krzesło senatorskie kasztelanii tego prześwieznego województwa. Przywilej Najjaśniejszego pana składam więc w ręce twoje, mości wojewodo połocki, abys, jako *princeps nobilitatis* w województwie, oddał dziś swemu od dziś dnia koledze, JW. kasztelanowi połockiemu.

Jakoż pan wojewoda przyjąwszy papier ten od pana Sulistrowskiego, odpieczętował, wyjął przywilej, i jedną ręką oddając go panu *Sielickiemu*, drugą podniósł w górę kielich i krzyknął:

— Wiwat kasztelan połocki! wiwat! Apel!... i wypił.

Zabrzmiały trąby i kotły, a razem Piekarski dał salwę na dzielnicy.

Pan Sielicki jak osłupiały stał, trzymając przywilej w ręku a łyż mu po twarzy grochem się sypnęły....

Kielich przyjął od wojewody pan *Sulistrowski* i też same powtórzył zdrowie: więc znowu trąby i salwa; szło tak dalej i dalej, gdy pan Sielicki ocierając z łez twarz i wąsy, do mnie:—panie marszałku! proszę o kielich.—Podałem nalany.

Jeszcze gęściej łyż mu się potoczyły, gdy chciał mówić oracyę na podziękowanie za tę niespodzianą godność. Proszę uniżenie! nie płakałoby tak rzewnie, gdyby mu fortunę odebrano! Co to znaczy wdzięczność w poczciwém sercu! bo lubo był zawsze naszym przeciwnikiem, jednak *quod jure, juste*, powiedzieć trzeba, że pan Sielicki zacny człek i godny obywatel.

Ledwo więc wymówić mógł on, i nie dosłyszałem jego *kongratulacyri*; skończył głośniej i zrozumiałej, bo wnosząc zdrowie JW. Sulistrowskiego, godnego dygnitarza, a przyszłego posła województwa połockiego.—*Wiwat!*—krzyknęliśmy wszyscy huczno. Od tręb salwy aż okna drżały. Pan *Sulistrowski* podług zwyczaju swego nie mówił wiele, tylko się uprzejmie kłaniał, uśmiechał i wąsiki pokręcał.

Podałem więc kielichów, każdy chwycił je, i szły gęste wiwaty, poplątane razem i dla nowego kasztelana, i dla przyszłego posła.

Jeden pan Reutt, siedzący pod końcem stołu, nie powstał i nie łączył się do naszłej ochoty, a siedząc nad kulszą indyka, pokręcał tylko głową; ale gdy ktoś z tłumu wykrzyknął:—Zdrowie pana *Brzostowskiego*, drugiego posła naszego! Pan *Reutt* nie dotrzymał i zapytał:—Cóż to? mości panowie! czy już po sejmikach, że obwoływacie posłów?

Nie słyszano w tłumie tej *tanquam* protestacyi jego, ale pan Stanisław siedzący naprzeciw, spójrzawszy nań z pode łba, i z cicha ale dobitnie rzekł:—*Chapaj Reut mięsa!*—Coby z tych *allokucyi* między nimi wynikło? możeby przyszło znowu do *Harasima*, bo i pan *Reutt* nie daje sobie grać po nosie; ale kłaniając się uprzejmie wszystkim, pan *Sulistrowski* nie spuszczał z oka nikogo; postrzegł on już pierwój, że pan *Reutt* nie przyjął podawanego przeze mnie kielicha, i poznał widać po mnie co się święci. Nieznacznie więc przechodząc przez tłum, zbliżył się do pana *Podwińskiego*, szepnął mu coś na ucho; ten znowu zbliżył się do pana *Reutta*, szeptał mu długo i poprowadził go za sobą do alkierza, do którego wszedł wprzód pan *Sulistrowski*.

Pan Stanisław mrugnął na mnie, ja na niego, i gdym się doń zbliżył, rzekł do mnie z cicha:—Oj! panie bracie! na ciężką *confessatę* wzięty nasz *reverendissimus* kaznodzieja i poeta!

— Dotrzyma—odpowiedziałem.—Oho! to łeb *Scholarum Piarum!*

— A mnie się zdaje, panie bracie, że teraz właśnie jedzą kaszę, do której pan *Sulistrowski* p... wrzucił. Pamiętasz koniec *Reutowskiego* kazania?...

Nikt tych obrotów i manewrów prócz nas nie *zaobserwował*: więc zdziwienie było powszechne, gdy po krótkiej chwili ukazali się z alkierza pod ręce wzięwszy się ci *tandem* przeciwnicy; a pan *Sulistrowski* z uśmiechem na twarzy, i pokręcając zawsze wąsiki, prawdę mówiąc, jakby drwinki sobie stroił z naszych sejmikowych zawziętości.

— Mości kasztelanicu!—rzekł do pana *Brzostowskiego*—podziękuj pan zacnemu swemu współambijentowi, który się zrzeka i odstępuje swoich zamiarów.

— O, to czarownik!—rzekłem do pana Stanisława.—Czy *inkluzę* ma jaką przy sobie?

— O! ma, ma, panie bracie! ma *inkluzę* i nosi ją tu—odpowiedział stukając palcem do łba.

Jakoż ściskali się z jawnym affektem pan *Brzostowski* z panem koniuszycem; a wojewoda patrząc na to, rzekł:

Ojcowie święci! gdy tak przez szczęśliwą *influencyę* pana pisarza litewskiego wszystko nam się składa zgodnie, najstosowniejszy zatem będzie kielich — *Kochajmy się!* — Apel! — zawołał wychylając duszkiem.

Brzmiały trąby i kanonada; ale wtém zagłuszył wszystko okrzyk nagły i niespodziany na dziedzińcu i pod oknami; kilkaset razem szlachty wrzasnęło okrutnie: — *Wiwat pan Sielicki poseł turecki!* *Wiwat!*

Zdziwieni wszyscy, oprócz mnie i pana Stanisława, pytali co to się ma znaczyć? Szlachta cisnęła się do okien i do sieni, i nie przestawała krzyczeć podrzucając czapki w górę: — *Wiwat poseł turecki!* Pojedziem wszyscy za nim do Turek, choćby i za kraj świata!

Podstąpiłem do wojewody, i wytłómaczyłem mu cicho figiel pana Stanisława; zmarszczył się nieco, ale wnet, nie dając czasu do rozważgi — *Pójdźmy* — rzekł — ojcowie święci, na ganek, ogłosim zbałamuconym braciom szlachtom nowe dostojęństwo pana kasztelana połockiego, i z niemi razem powtórzymy: *kochajmy się!* — Więc wszyscy hurmem za panem wojewodą wychodzimy na ganek.

Dziedziniec dworku tego, w którym mieszkaliśmy, był dość obszerny. Na środku Piekarski stał w szyku frontem ku nam; flinty błyszczały rzędem jak dudy od organów. Podszedłem do niego.

— *Prezentuj broń!* — krzyknął on ujrawszy na ganku wojewodę, i machnął pałaszem na dwa tępy — udało się; potem — *Do nogi broń!* — to nie bardzo kupno poszło. — A teraz nabijać? ale zagniewany Piekarski że nie rażno spuścili broń do nogi, dodał z cicha:

— No, poczekajcie tylko!... Więc zaczęli oczekiwać. Piekarski znowu: — A nabijajcież! niech was piorun trzaśnie! — więc nabili. — *Gotowo? Gotowo!* — To znowu — na ramie broń! — i stoją czekając hasła.

Tymczasem pan wojewoda do którego i ja wróciłem, na ganku pererował, i ogłaszał przed szlachtą kasztelaństwo pana *Sielickiego* obok z nim stojącego. Wiec na skinienie pańskie wykocić wnet kazałem między tłum kilka beczek miodu i toczyć do cebrów. Nie trzeba się było troszczyć czém pić będą, bo wszystkie z całego Uszacza półgarncówki, kwarty i kwaterki żydowskie były w kie-



szeniach u braci szlachty; a niektórzy nawet z domu cynowe kubki na sejmiki przywiezli. Zaczęli się więc hojnie raczyć naszym miodkiem.

Pan wojewoda kończąc oracyę, w której prawdę mówiąc, najczęściej było słyhać „ojcowie święci“ a której słuchała szlachta z otwartemi gębami— Wypijmyż—rzekł—zdrowie nowego senatora JW. kasztelana połockiego! Apel!...—Piekarski komenderuje! *Tou! tuj! kurki traf traf!* a szlachta posłyszawszy to, odbiegła od frontu i uczyniła próżne miejsce między żołnierzami a gankiem— *Cel! pal!..* jak orzech zgryzli.— *Wiwat!*—krzyknęła szlachta—kasztelan połocki, a razem i poseł turecki! taki pojedziem z nim do Turczyzny.—Znowu Apel! i znowu *rrum!* Gracko! Dawszy czas do nabicia, rozochocony wojewoda zakomenderował raz trzeci *Apel!...* Jeden strzał zaciągnął... coś mi świstnęło koło ucha... coś brzęknęło obok... a wojewoda posłonił się aż na mnie... Wnet się odwrócił i rzekł do kompanii:—Proszę się bawić...—a do mnie:—Ojczy święty! za mną. Wszedł raptownie aż do drugiego pokoju i rozdarł żupan... krew polała się potokiem... aż mi się w oczach zaćmiło i nogi mi odjęło, tak się przeląknęłam.

— Ojczy święty! ratuj! widzisz zabić mnie chciano!—Ja drżałam jak osina i krzyknęłam bez przytomności:—Gwałtu! ratujcie!—Cicho!—przerwał mi wojewoda—czy sfiksowałeś? Wołaj natychmiast Pawła felczera, a sam jedź co najprędzej do Połocka po księdza Grubera, doktora zgromadzenia księży Jezuitów.

Wyłęciałem jak szalony, szczęściem znalazłem felczera w kuchni, posłałem go, a sam w kilka minut już byłem na wozie, rozkazawszy rozstawić konie na pół drogi.

Wyjechałem trzema tegiemi końmi; ale że tu właśnie było *periculum in mora*, więc parłem jak opętany. Pod Połockiem o milę, koń padł; odciąłem postronki i dalej... przyleciałem. Ksiądz doktor, zabrawszy natychmiast swoją podróżną apteczkę, siadł ze mną na brykę, którą mi już ojcowie Jezuiti dali; w pół drogi znaleźliśmy gotowe czekające na nas konie, i tak dostawiłem jeszcze przed północą doktora tego sławnego do Uszacza.

Bo też sławny to doktor na cały świat; *alchymik, astrolog, fizykus*; a gdyby nie był Jezuitą i bardzo pobożnym kapłanem, toby go pewnie za czarownika miano. On zrobił (i teraz można widzieć u nich w refektarzu) głowę staruszka gadającego. Powiadają, że z tyłu za murem siedzi Jezuita, i odpowiada na wszelkie pytania,

które staruszkowi zadają; ale i staruszek gębą i oczami rusza, tak że przysięgłbyś że on sam gada.

Cały Połock zawsze pełen chorych, a szczególnie podstarzałych dewotek, które razem i peregrynacją do ś. Bobolego, i kuracye u księdza *doktora* odbywają.

Gdyśmy przybyli, znaleźliśmy już pięć grankulek na stole, które felczer wyjął z ramienia wojewody; siedm odbiło się od gwiazdy orderowej, na szczęście laniej ze srebra, siedm dołków na niej zostawując. Gdyby nie ta gwiazda na persiach, grankulki byłyby w sercu, a panu wojewodzie *amen*.

Wojewoda cierpiał bardzo: krew z ran się dobywała, choć pan Stanisław zalepił je chlebem razowym i pajęczyną. Ksiądz doktor odrzucił to wszystko, a jak zalał jakimś olejkiem, wnet i ból ulżył, i krew się zatamowała zupełnie, a zatem i wesołość na twarz raniionemu wróciła. Jednak zabronił *pater* wojewodzie sejmikować: Zrozumielśmy, że pod *allegorją* zabraniał wiwatów: bo chory chciał zaraz spełnić jeden za zdrowie doktora, gdy mu on zaręczał, że za parę tygodni zdrowiuteńki będzie; choć pan Stanisław dowodził mi, że gdyby ten niemiec nie odrzucił jego pajęczyny, byłby wojewoda zdrów za parę dni, i mógłby przytem śmiało ciągnąć *chleb powszedni*.

Winowajcę wnet odkrył *PiekarSKI*: bo jako tęgi oficer, dostrzegł on, który z gemejnów zaciągnął w strzale. Schwycił go więc na gorącym uczynku i zrewidował ładownicę: a ponieważ dał był każdemu dla *wszystkiego* po jednym ładunku z grubym wilczym szrotem, a u niego nie znalazł tego ładunku, więc czysta *konkluzja*, że on był winowajcą; do czego i przyznał się bez męki, dodając, że grankulki przyniósł już z domu. Ale go rozum odstąpił; bo gdyby osobny sobie zrobił ładunek, trudno byłoby dójść prawdy.

Zatem wszyscy się uspakajali, że to nie szlachcic żaden, ale własny poddany wojewodziński takowego excessu się dopuścił! a tak żadnych już suspicyj na sejmikową zawziętość nie było; owszem, wczorajsze nawet po waltorniach strzały, na żołnierzy składano.

Sejmiki nazajutrz zakończyły się cichuteńko. Pan Sulistrowski pewny już swojego, raniuteńko pożegnał wojewodę i wszystkich panów urzędników, obchodząc ich od kwatery do kwatery, a gdyśmy się zbrali do kościoła pod laską nowego już senatora pana kasztelana Sielickiego, który jako *locum tenens* wojewody, zagaiwszy sessyę, zapytał trzykrotnie o zgodę na panów *Sulistrowskiego* i *Brzo-*

*stowski*, jako posłów województwa połockiego na sejm, szlachta krzyknęła za każdym razem:—Zgoda—i na końcu:—*Wiwat!*

Ichność *electi* wzięwszy się pod ręce, przechodzili po kościele, kłaniając się pięknie na wszystkie strony. W tém odezwała się znowu trąbka pocztowa przed kościołem. Pan *Sulistrowski* uściskał kolegę w babinę, poprosił go aby przywiózł z sobą do Warszawy instrukcye województwa, pokręcił wąsików, uśmiechnął się wesoło, uklonił się jeszcze raz wszystkim grzecznie, siadł do koczka, i tyle my jego widzieli.

Ale co dziwno było wszystkim, że z nim siadł i pan *Reutt*, niedawno tak zawzięty przeciwnik. Teraz dowiadujemy się, że pan pisarz litewski zawiózł go do dóbr swoich w Oszmiańskie, i tam ożenił z panną Czechowiczówną, krewną swoją, bogatą i piękną jedynaczką, sam nawet spendując koszt na huczne w Szemetow-szczyźnie wesele. Dajże Boże, aby pan łowczy, nie zostawszy posłem, podług własnego kazania, nie stracił p. *in connubio* i nie został tym co zostanie.

## PO SEJMIKACH.

Otóż to takie odbyliśmy sejmiki. Siedzimy teraz w domu. Pan wojewoda zdrów; nosi w kiesce zamiast sporyszów grankulki, które mu z ramienia wydobyto; a gwiazdę srebrną, która go ocaliła, odesłał do Wilna na wotum do *Ostrój Branwy*.

W codziennym zwyczajnym trybie naszego życia, niéma co do zapisywania w tym moim raptularzu, który jakoś polubiłem sobie. Już mnie coś do niego ciągnie, i co wieczór prawie, gdy powrócę z pokojów wojewody do mojej oficynki, a zapalę sobie luleczkę, to i wyjmuję z kuferka mój sekstern, kładę go na stole, zaglądam, przewracam karty, liczę wiele zapisanych, a wiele jeszcze białych? ot tak sobie... to nie przeszkadza ani *Litani*, ani wieczornym modlitwom; a zakończywszy paciorki, *seksternik* szust do kuferka, i dobranoc.

Ksiądz Maciej, nasz kapelan, który wie o mojej robocie, widząc że się biorę do przepisywania to tego, to owego, z dyaryuszu wojewodzińskiego, zaleca mnie, abym zeń przekopjował naprzód dwa jego własne kazania, które z pół książki zajmują, a potem



*maxymy* i *sentencye* łacińskie, które podobno sam on na polski dyalekt wierszami przewertował, i do księgi wojewodzińskiej w obu dyalektach wpisał.

• *Sentencye* te i *akumina* jezuickiej bodaj jeszcze po większej części fabryki, często gęsto posłyszysz w poważnych dyskursach naszych starych, wysoko golonych *sensatów*: bo u młodych, łysina i łacina wyszły dziś z mody. Wszelakoż zdaje mi się, że *cytacya ad rem* jakiego mądrego zdania, a zwłaszcza po łacinie, nie szkodzi; dowodzi owszem, że się darmo w szkole kaszy nie jadło, a w dysputacie, to jak klin żelazny, który zgryźć trudno, a który wbija się i łamie dowody przeciwnika. Nieraz mi się słyszeć zdarzyło, jak jednym takim argumentem skonwinkowano wszystkich i zakończono żwawą dysputę. W życiu więc dworskiem, gdzie często językiem szermować przychodzi, nie zawadzi mieć na pogotowiu w pamięci ładunek takich klinów: a więc to i przepisać warto. Co do kazań, mam nadzieję, że ksiądz Maciej zmodyfikuje się przy lampeczce trojnika.

## SENTENCYE

z książki pana wojewody.

1.

[ *Dum recte vivis, non curas verba malorum.*  
Gdy życie twoje cnotliwe, nie dbaj na mowy złośliwe.]

2.

[ *Omnia si perdas, famam servare memento!*  
Jeśli postradasz wszystkiego, broń sławy honoru twego! ]

3.

[ *Fac bene dum vivis; post mortem vivere si vis.*  
Czyń dobrze za życia twego, dojdiesz spoczynku wiecznego.]

4.

[ *Est labor ingratus, quem praemia nulla sequuntur.*  
Niemila jest taka praca, za którą nie bywa płaca.]

Co to, to wielka prawda: ja sam bardzo nie lubię, kiedy mnie za jaką dworską usługę, pięknym pańskim ukłonem, a nie pasem słuckim płacą. Przy zręczności nie zaniedbam użyć téj mądrej sentencji.

5.

[ *Crescit umor nummi, quantum ipsa pecunia crescit.*  
Komu pieniędzy przybywa, więcej starania miéwa.]

Zdaje mi się, że tu ksiądz Maciej chybił kadencyi.

6.

*Nobilitas morum, plus valet quam genitorum.*  
Kto ma piękne obyczaje, taki się szlachcicem staje.

7.

[ *Inutilis quaestio solvitur silentio.*  
Kto bredzi, niéma odpowiedzi.]

Już to przysłowie dawno znajome, i póki świat światem, nie wyjdzie pono z mody.

8.

*Non agnoscitur bonum, nisi omissum.*  
Kiedy czego pozbędziemy, wtenczas tego żałujemy.

9.

[ *Cum fortuna perit, nullus amicus erit.*  
Gdy złe przypadki, to przyjaciel rzadki.]

10.

*Verba ligant homines, caetera animalia funes.*  
Ludzi słowa dewinkują, zwierzę powrozy krępują.

Często pan wojewoda konwinkując upartych przy kielichu, powtarza sentencję podobną do téj w *sonancyi*, ale innego moralnego sensu:— *Vinum bibunt homines, caetera animalia fontes.* Tak dobrze jak i ksiądz Maciej mogę ja to wytłómaczyć, naprzykład:— [Wino napój dla człowieka, a dla nieczłowieka, rzeka] — *supponitur*, że kto nie człowiek to, *animal est.*

11.

*Audi carnificem, spernens audire parentes.*  
Kto nie słucha rodziców, ten słucha katowskich biczów.

I tu ks. Maciej nie trafił na kadencję, choć maksyma bardzo pożyteczna i prawdziwa, bo ze czwartém przykazaniem zgodna.

12.

[ *Nondum sunt visi, qui caruere, nisi.*  
Nikt bez ale, panie Michale! ]

Jakby do mnie napisał; ale nie inam pretensyi do ks. Macieja, bo on tu dawne przysłowie podsztukował; a tymczasem, sam to sobie za obrok duchowny powtarzać mogę:— Oj! tak, tak; *nikt bez ale, panie Michale.*

13.

[ *Non omnes sancti, quæ calcant limina templi.*  
Nie wszyscy święci bywają, co kościoły nawiedzają. ]

Figurycznie toż samo znaczy.—Wszyscy my ludzie, i ks. pleban człowiek.

14.

*Hospes non invitatus recedi sæpe ingratus.*  
Gość na bankiet nieproszony, nie bardzo bywa uczczony.

15.

*Ereat ex aula, qui cupit esse pius.*  
O pobożność przy pokorze, trudno bywa w każdym dworze.

To fałsz. Mówią wprawdzie, że teraz na wielkim świecie niedowiarki i farmazony coraz się mnożą, a za to nawiedzanych i czarowników ubywa; ale ja nie widziałem jeszcze nigdzie takiego zgorzzenia, i daj Boże nie obaczyć. Tu u nas ks. kapelan codzien mszę w kaplicy ogrodowej miewa; pani wojewodzina z córkami i wszystkimi rezydentkami respektowemi jęj słuca; pan wojewoda chyba bardzo zajęty, to ją w dniu powszednim opuści, lecz w niedzielę nigdy. Niechżeby który z nas dworskich spóźnił się lub nie przyszedł pięknejby oracyi posłuchał od wojewody, nie licząc jeszcze ks. Macieja, który *strictissime* pilnuje, aby wszyscy we dworze rano i w wieczór mówili pacierze, i leniwych ku służbie Bożej gorąco napomina. W każdym dworze pańskim, tenże sam *praeter propter* znajdują porządek. Zdarza się wprawdzie czasami u jakiego młodego panicza widzieć i posłyszeć jakie bałamuctwo; ale zwykle gdy młode piwko uchodzi się, to i ojcowskie obyczaje wracają do ścian ojcowskich.



16.

[ *Cum bone, bonus eris; cum perversis, perverteris.*  
Z jakim kto przystaje, takim się sam staje. ]

17.

[ *Qui confidit in Domino, nunquam confusus est.*  
Bóg takiego nie opuści, który się na Niego spuści. ]

Proszę uniżenie! a kiedy jaki zbolaty chudeusz, spuściwszy się na Pana Boga, woła, że go Bóg opuścił, to nieraz mu odpowiadają:—*A na coś się na Niego spuścił?*—Jakże tu pogodzić te *contraria*? pono najlepiej wierszem nieboszczyka kasztelana Tryzny.

[ Ufaj! Bóg ci dopomoże;  
Ale pracuj sam, nieboże! ]

18.

[ *Felix quem faciunt aliena pericula cautum.*  
Rozumnym się nazwij wtedy, gdy się uczysz z cudzej biedy. ]

19.

[ *Gaudia principium nostri saepe sunt doloris.*  
Często nasze radości, są przyczyną żałości. ]

20.

[ *Quod cito fit, cito perit.*  
Co się prędko wznieci, nie długo się świeci. ]

21.

[ *Dormit nocte parum possessor divitiarum.*  
Nie zasypia w nocy śmieie, kto ma pieniędzy wiele. ]

22.

[ *Virtus promotore carens, non surgit in altum.*  
Cnota, praca i pokora upada bez promotora. ]

23.

[ *Ex duobus malis, unum minus eligendum sit.*  
Ze dwojga złego, imaj się mniejszego. ]

Pan Stanisław powiadał mnie, że wybierając sobie żonę z dwóch sióstr rodzonych, poszedł za tem przysłowiem; wybrał mniejszą, i

wyszedł jak Zabłocki na mydle, bo teraz inne przysłowie stosować musi do swej żoneczki: — *Mała jak palec, a zła jak padalec.* — Ale on sobie dworuje, bo ja, bywając często jako przyjaciel w jego domu, znam dobrze panią podczaszynę; maleńka to, prawda, figurka, zacna jednak dama i pięknych ma synków.

24.

[ *Ex meritis vitae, dependent ite venite.*

Jako na tym świecie żyjesz, tak i na tamtym użyjesz. ]

25.

*Cantabit vacuus coram latrone viator.*

Będzie śpiewał próżny, przed zbójcą podróżny.

26.

*Mors nescit legem, tollit cum paupere regem.*

Śmierć nie zna prawa żadnego: bierze z panem ubogiego.

27.

*Ex libro doctis quolibet esse potest.*

Mędrzec to nie tęgi, co ma rozum z księgi.

W szkołach jeszcze nasłuchałem się tej *sentencyj*; tylko tam mówiono: — *Ex libro doctus, ex capite stultus.* — Bodaj to i na mnie przypadnie, gdy tą cudzą łaciną sztukować się będę.

28.

*Quae feceris parentibus, eadem a liberis expecta.*

Jako ty rodzice swoje, tak cię uczczą dziatki twoje.

29.

*Vilius argentum auro, virtutibus aurum.*

Podlejsze srebro od złota, nad złoto zaś droższa cnota.

A toby złotemi literami wypisać trzeba na bramach bogaczy naszych.

30.

*Feriant summus fulmina montes.*

W najwyższe góry bije piorun z chmury.

I o témby im pamiętać nie wadziło.

31.

*Dum veneris Romam, romano vivite more.*

Kiedy siądziesz między wrony, tak też krakaj jak i ony.

Jakby to Rzymianie wronami byli. *Komparacya* wcale nie piękna; i należało ks. Maciejowi połamać sobie głowy, a zamiast podkładania tego starego przysłowia, ułożyć sprawiedliwy sens téj sentencji.

32.

*Si fuit hic asinus, non ibi fiet equus.*

Choćby kto świat obszedł kołem, nie będzie z sowy sokołem.

33.

*Otia quisquis amat, vae! vae! postea clamat.*

Komu praca jest kłopotem, ojl ojl! będzie wołać potém.

34.

*Frangenti fidem, fides frangat eidem.*

Kto sam wiarę łamie, temu wiara skłamię.

35.

*In vili veste, nemo tractat honeste.*

Jak cię widzą, tak cię piszą.

36.

*In vestimentis non est sapientia mentis.*

Niewiele mądrości mają, którzy się w strojach kochają.

Otoż znowu dwa przeciwne zdania, które pogodzić można szlacheckim naszym przysłowiem: — *Choć ubogo, ale chędogo.*

37.

*Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum.*

To mi podarek prawdziwy, kiedy dający nie krzywy.

38.

*Honores mutant mores, sed raro in meliores.*

Z honoru większego, rzadko co lepszego.

39.

*Contra vim mortis, non est medicamentum in hortis.*

Przeciw srogiéj Libitynie, nie ma rady w medycynie.

40.

*Cur multum peccas, si multum vivere curas?*

Nie używaj nadto świata, gdy chcesz żyć Matuzalowe lata.



41.

*Lingua est indicium animi.*

Poznać zaraz z mowy, jakiej kto jest głowy.

42.

*Scripturarum autor, scribenti sis fautor.*

Kiedy sam pracujesz stylem, nie bądź dla drugich Zoilem.

43.

*Verbis, ut nummis utendum est.*

Ostróżnie i wedle miary, szafuj słowa i talary.

A to mądrze uciał ks. Maciej; lepiej niżeli w łacińskim, nie ma co powiedzieć; *acuminose!* Bo i prawda: czy kto nadto talarami sypie, czy bez miary językiem szermuje, zawsze na końcu poznają, że pusta głowa i pusta będzie kieszeń.

44.

*Ex magna coena, stomacho fit maxima poena.*

Za smaczne w wieczór frykasy, w nocy z brzuchem obertasy.

45.

*Jejunus stomachus raro vulgaria temnit.*

Gdy dobrze brzuch przepości, nie wybiera z chleba ości.

46.

*Post mensam stabis, vel passus mille meabis.*

Po obiedzie nie przylegaj, ale tysiąc kroków biegaj.

47.

*Post tres saepe dies vilescit pisces et hospes.*

Ryba i gość dnia trzeciego niewiele mają smacznego.

48.

*Longa solent sperni, gaudent brevitate moderni.*

Długa mowa, próżne słowa, a na krótką chęć gotowa.

49.

*Absint offensae, cum sit celebratio mensae.*

Kiedy siedzisz przy biesiadzie, nie myślże o żadnej zwadzie.

50.

*Sine labore, non erit panis in ore.*

Kto nie chce pracy znieść, ten nie ma czego jeść.

Mając taki zapas sentencyów, nie tylko w dyskursach *sensatem*, ale nawet w potrzebie i *oratore* zostać można. Przepiszę jeszcze dalsze niektóre *pro memoria* z księgi pana wojewody....

Tu kilkanaście kart wydartych w manuskrypcie, a na pierwszój z pozostałych następuje:

---

## U C I E C Z K A.

---

### IX.

.....Pan wojewoda tak fulminował, że Bóg wie coby się ze mną stało; możeby w zapamiętałości zapomniał nawet, żem ja szlachcic równy jemu i *bene natus!* gdyby Opatrzność nie nadesłała rychłego sukursu. Przybył pan podwojewodzi Połocki Korsak, przyjaciel i admirator wojewody, i przerwał jego zapędy. Jeszcze oni z sobą nie skończyli powitania, gdy ja, wymknąwszy się z pałacu przez kredens, zabiegłem tylko do swojej stancyi, chwyciłem z kołka Elżutkę, z kuferka kieskę z kilką talarami i jednym dukatem węgierskim z wizerunkiem Matki Boskiej; a że z wierzchu leżał i ten mój raptularz, więc i onego porzucić nie chciałem, i nie mogłem: bo gdyby wpadło w ręce wojewody, com powyżej o nim zapisał sobie \*), lubo to szczerza prawda, nigdyby mi tego nie darował. Wziąwszy więc jedno i drugie za nadrę, i resztę chudoby zostawiwszy na wolę Boską, pobiegłem co żywo do stajni. Tam dopadłszy konia osiodłanego, (bo zawsze jeden gotowy stał na posyłki), i powiedziawszy stajennym, że za pilnym a ważnym pańskim interesem muszę lecieć do miasteczka, (a miasteczko nasze tuż za groblą), ruszyłem z kopyta za bramę. Tam skręciłem na prawo drogą do *Głębokiego* \*\*); to sześć mil djabelnych; i lubo już zmrok dobry padał, a wkrótce i noc dość ciemna nasunęła się, ale mnie

---

\*) To właśnie wydarto.

\*\*) *Głębokie* — miasteczko teraz w powiecie Dziśnieńskim, w gubernii Wileńskiej.

skry sypały się z oczu, a strach pogoni dodawał śmiałości. Koń sieczony kańczukiem leciał po gościńcu ile miał sił, ale do końca nie dotrzymał nieborak! jeszcze było z pół-mili drogi, gdy on padł bez ducha, a ja kulkiem z góry oparłem się aż na ziemi; że nie skręciłem karku, był to cud miłosierdzia Bożego nade mną. Zawędrowałem już tedy piechotą do klasztoru ojców Karmelitów; szarżało się na dzień, gdym do kościoła się dostał; księża śpiewali jutrznię, i ksiądz przeor dla powszechnego zbudowania był z niemi.

Gdy się ukończyły pacierze, na szczęście moje ksiądz, przeor sam jeden i najpierwszy wyszedł z choru; na kurytarzu dopadłem go i przytrzymałem za habit.

— Co tu robisz tak rano? panie Michale! — bo mnie zna dobrze, i mamy niejakąś choć daleką kolligacyę.

Wytłumaczyłem mu więc niespodziany powód mojego przybycia, prosząc o radę i schronienie przed pierwszym impetem wojewody.

Wysłuchawszy mnie cierpliwie — To inna *facies rerum* — rzekł, i dał znak ręką, abym szedł za nim. Kurytarze puste jeszcze były; niewidziani więc od nikogo dostaliśmy się do jego mieszkania. Wprowadził mnie zatem przez alkierz do osobnej komnatki, i rzekł: — Nawarzyłeś piwa, panie Michale, i naraziłeś nasz klasztor na gniew wojewody, który jeżeli się dowie, co łatwo stać się może, zem cię przechował, jako pan przemożny, potrafi nam nieraz dopiec do żywego. Przecież opuścić ciebie, ani miłość chrześcijańska, ani nasza *koneksya* nie dozwala. Musisz więc tu zostać przez dzień cały w zamknięciu; a skoro noc nastąpi, *post silentium* dalej cię wyprawię.

— Masz tu na półkach posiłek potrzebny: szynka, pieczeń, wódeczki i zakąski. Spodziewam się, że z głodu nie umrzesz.

To rzekłszy, wyszedł, zamknął drzwi i klucz wyjął z zamku.

---

Zostawszy sam jeden, poznałem, że to prawda! „*Kiedy trwoga, to do Boga!*“ Coś mi tak ni to żałośnie, ni to smutno zrobiło się... Ukląknęłam więc, obróciwszy się ku kościołowi, a postrzegłszy jeszcze przez zakratowane okno i krzyż wieżowy, tém gorliwiej modlić się począłem; skończyłem na *sub tuum praesidium*; wstałem, a rzeźwiéj mi jakoś i weseléj już było. — Wolaż Pana Boga! — pomyśliłem, pokręciłem wąsa, (ach! ktoby to zgadł, że ostatni raz go pokręcałem?) i zacząłem rozpatrywać się w zapasach księdza przeora.



Łaska Boska! ani w Kanie Galilejskiej lepiej nie było! Rozmaite wódeczki, wina i miodu flasze pełne; a jakie zakąski! pierniki, pieprzniki, tłuczeńce, oraz smaczna wędlinka; niczego nie brakło. Posiliwszy się zatém porządnie, przypomniałem sobie sentencję: — *Vinum lactificat cor hominum!* Wypróżniłem więc flaszkę téj recepty, i rozciągnąwszy się na ławie, choć z kułakiem pod głowę, zasnąłem jakby na poduszce.

Ledwo pod wieczór mógł mnie dobudzić się przeor: fatygą i flaszka jak w letarg mnie wrzuciły. — Wstawaj, panie Michale! — zawołał on — czas myśleć o podróży. Szukają waszmości, a rozparty biegun wojewody na gościńcu dał poszlakę, żeś wpadł w nocy do miasteczka, i naturalna *suppozycja*, żeś tu za furta. *Tandem* nie trać serca. Pomyślałem o bezpieczeństwie twój *peregrynacy*. Ale dokąd myślisz się udać?

— Sam nie wiem — odpowiedziałem — zdaje mi się, że najbezpieczniej będzie do najbliższego wojewódzkiego miasta, gdzie mnie, jako szlachcica, ani ująć, ani prześladować nie będzie mógł wojewoda.

— Więc do Mińska — rzekł przeor.

— A chociażby.

To i dobrze; ale cóż tam sobie poczniesz?

Co Bóg da. Na chlebie, zda mi się, nie zbędzie człowiekowi, który pracy się nie lęka, dworów i panów jeszcze chwala Bogu mamy.

— A gdyby kaptur?...

— A to dla czego?

— Dla zbawienia duszy, dla pokuty za grzechy i dla spokojnego kąta na starość.

— Ha! gdybym to był pewnym, że będę przeorem Głębockim: bo tu ichmość podobno kilkaset chat macie!...

— [Nie święci garnki lepią.] Ale na co te myśli o *mamonie*? Młody wprawdzie jesteś człowiek, ależ w tym wieku większe jeszcze do grzechu pokusy, a na świecie trudno się ustrzedz... Ja wstąpiłem do zakonu mając lat trzydzieści, teraz mam, chwala Bogu, pięćdziesiąt... no... i to jakoś... pracując na chwałę Boską i na zbawienie duszy... Ot tylko namyśl się dobrze, a jak poczujesz w sobie *wokacyę*... Tymczasem do waszmości!

Wypiliśmy po lampeczce jednej i drugiej. — No, wybieraj się teraz — rzekł przeor ocierając usta — a to takim sposobem (otworzył

skrzynię w kącie stojącą): weź ztąd stary zakonny habit; za obszerny być może dla ciebie, temu łatwo poradzić: znajdziesz tu razem i pościel, poduszka więc uzupełni cyrkumferencyę twoję, potem zda się ci ona pod głowę, nim ja twoje manatki od wojewody wydobędę i tobie odeszlę. Nic mu nie zawinięś, więc grabić cię nie może. Ogol wasy — przyniosłem ci i brzytwę w kieszeni.

— Jak to? mam ogolić wasy?

— A naturalnie, żaden przecie zakonnik z wåsami nie chodzi.

— Ależ ja nie mam jeszcze *wokacyi*.

— Nie o to idzie, mój bracie! ale *transfiguracya* twoja potrzebna jest *pro hac sola vice*, abyś bezpiecznie do Mińska dojechał; a w habicie z wåsami gdy kto cię postrzeże... Toć i odrosną potem, niech ich tam kaci wezmą!... Ja innego środka nie mam, a w klasztorze trzymać cię nie mogę.

Nie było co odpowiedzieć. On wyszedł, a ja wziąłem się do brzytwy. Trudno opowiedzieć, z jakim to żalem przyszło mi się rozstawać z wåsami; ale bo to były wasy, które prym trzymały na dworze pana wojewody, a nawet i niedawno na sejmiku; przed rudominowskiemi tylko ustąpić musiały. A jakże ja ich pielęgnowałem! jak układałem i gumowałem! jak niemi wszystkie afekta oblicza wyrazić umiałem! ale cóż robić! *Sic fata tulerunt!* Więc wypilem duszkiem szklankę wina i... ogoliłem wasy. Aż sam siebie przeląknęłem gdym się obaczył w lusterku: goluteńki jak baba! nos mój wyrosł we dwoje, warga długa jak u starego niemca, słowem, straszydło weneckie! Łzy mi w oczach stanęły, i właśnie na fantazyę chciałem pokręcić wåsą... Reszta przyborów nie zabrało wiele czasu. Habitem we dwoje okręcić się mogłem; ale podłożywszy poduszkę, zacisnąwszy się rzeźmiennym pasem i zawiesiwszy pod nim koronkę, byłem podobniejszy do wypukłej beczki, niż do stworzenia Bożego: nakoniec księdzowską czapczką pokryłem głowę; jeszcze raz spojrziałem się we zwierciadełko, i pewny byłem, że nie tylko drudzy, ale i ja sam niełatwobym siebie poznał. Siedziałem więc już tylko spokojnie na zedlu, ani się poruszyłem, rozważałem moję biedę terażniejszą: różnicę między kuntuszem i habitem, między pasem litym słuckim a pasem czarnym skórzany zakonnym, między karabelą a koronką; spojrziałem na moję Elżutkę w kącie stojącą, przepamiętywałem i rejestrowałem w myśli moję chudobę szlachecką w kuferku zostawioną, gdy posłyszałem dzwonek *silentium*, i wszedł ksiądz przeor.

— No, ojeze Michale!— rzekł on, oglądając mnie ze świecą z nóg do głowy.— Cóż to waszmości? Łzy na oczach? Wstydź się! Powrócisz znowu do tak ukochanego przez ciebie świata, kiedy za nim tak tęsknisz; w Mińsku zrobisz z sobą co zechcesz; nie płacz więc jak dziecko. Oto masz *obedientią in scriptis*, którą okażesz, jeżeliby kto cię zaturbował na drodze; pamiętaj, że się nazywasz ksiądz Bonawentura Bobakowski, kaznodzieja posyłający się z naszego głębockiego klasztoru do klasztoru mińskiego: tak stoi *w obedientii*. A to list ode mnie do naszego tam przeora, który zaszyjesz w szkaplerz, a ddasz mu *in ocluso*. Nakoniec oto masz na drogę— rzekł, sunąc mi w rękę kilka talarów bitych.

— Dziękuję pokornie *Reverendissime!* ale mam swój małeńki zapasik.

— Z przybytku głowa nie boli, a zatem przyjm śmiało. Wszakże ja tam twój jakiś wujaszek, a klasztoru tém nie zubożę.— Więc już i przyjąłem.

— A teraz idźmy.— Więc ja z kąta za Elżutkę.... a on mnie za rękę.

— A cóż to znowu? czy myślisz przypasać ją do habitu?

— Nie, ale darujesz Jegomość Dobrodziej, szabelki mojej nie zostawię; ukryję ją w wozie, z mantelzakiem, w którym moje świeckie odzienie. Noc ciemna, i furman nawet nie zobaczy.

— Oj! bo ta szabelka odwozić cię będzie od pobożniejszych myśli, a ja życzyłybym.... Zresztą *homo proponit, Deus disponit, et Deus te benedicat!* Nie tracę nadziei.... Jedź z Bogiem, a ja jutro odprawię mszę na twoją *intencję*.

---

## W NIEŚWIŻU.

---

### X.

Miłyż Boże! czym się mógł spodziewać albo pomysleć przed kilką tygodniami na dworze wojewody, że wkrótce będę tu siedział w celi, w habicie *Fratrum minorum*, a po prostu mówiąc, Bernardyńskim? bo jeszcze niebardzo się przyzwyczailen do tego nazwania. Prawdę



powiedział wyprawując mię z Głębokiego tamtejszy ksiądz przeor a mój wujaszek: — *Homo proponit, Deus disponit* — i prawdziwie była w tém wszystkiem wola Boska, *digitus Dei!* Zapisawszy zaś w Mińsku powyżej moję ucieczkę i transfiguracyę na karmelitę, opiszę tu jeszcze w moim kochanym raptularzu i progress ten przejścia na formalnego zakonnika. Odstąpiła mnie szabelka moja, nie powróciły raz ogolone wąsy, jedna mi tylko została pociecha, ta moja książka; a kto wie? może i jej wkrótce będzie *finis?* bo cóż pisać, gdy nie będzie treści, a zkąd znowu treść w klasztornej celi?

Podróż moja obeszła się bez żadnego przypadku; zajechałem prościutenko do Karmelitów. Klaszterek to nędzny i drewniany; ledwo trzech zakonników w nim mieszka. Obaczywszy mnie przełożony, krzyknął: — Czy poszaleli? przysyłać mnie do ubogiej rezydencyi taką pipę! Waść i mnie samego zjeść gotów!

Podadłem mu *obedientią*, ani czytać jej nie chciał; więc wsunąłem list. Ujrzawszy on na kopercie: *solus*, spojrział na mnie i poprowadził za sobą.

W celi, odczytawszy pismo — Ot tobie masz! — rzekł — co ja z wasanem pocznę? Ks. przeor pisze mi pod figurą i to i owo....

— Nie alteruj się, *Reverendissime!* — przerwałem — proszę tylko o lokacyę na parę dni, a już ja sobie poradzę.

Wszedł do alkierza *Pater*, wyniósł ztamtąd flaszkę z wódką i dzwono marynaty ze szczupaka. — Posił się wasan po drodze, a ja tymczasem pomyśle. — Jakoż ja i posiliłem się, i siedziałem już z pół-godziny, a on chodził nieustannie szerokim krokiem po celi nic nie mówiąc; odczytywał tylko list pokilkakrotnie i głową kręcił. Nie wiem na czemby się to zakończyło, gdyby, jak umyślnie, a wiadać z przeznaczenia, nie wszedł ksiądz kustosz tamtejszego klasztoru Bernardyńskiego.

— *Salve! Reverendissime! salve!* — rzekł on; a postrzegłszy mnie: — Cóż to? masz nowego przybysza? — i mierząc mnie okiem z nóg do głowy — Postura *tanquam* kufa! ot co jest. — Ale tém lepiej. Przyszedłem prosić Wielebność Waszą na jutrzejszy fest do nas z całym konwentem, a po służbie Bożej na uczciwą pieczęć

baranią i na *konsolacyę*, ot co jest. Więc nowo przybyły pomnoży naszą celebę; a kiedyś mądra pałka — dodał, obracając się do mnie — to proszę na ambone, ot co jest!

— Akceptuję z ochotą pobożną propozycyę księdza kustosza dobrodzieja; co zaś do tego pana, przeczytaj, Reverendissime, ten list, wyrozumiesz może lepiej odemnie sens onego i obu nam poradzisz.

Wziął więc list ks. kustosz, a przebiegłszy — Cóż tu niezrozumianego? — rzekł. — Ks. przeor głębocki prosi cię, ojcze, abys oddawcy tego listu, kolligatowi jego, panu Michałowi Ławrynowiczowi, a byłemu marszałkowi dworu pana wojewody... dał u siebie schronienie i wygodę na dni kilka, a upewnia cię słowem kapłańskim, że ucieczka i przebranie się Jegomości nie z jego, broń Boże, przyczyny, lub jakiego *excessu*, ale tylko celem wywinienia się z rąk niesłusznie nań *in summo gradu* zagniewanego wojewody pochodzi, ot co jest! Więc nad czemże suszysz sobie głowę?

— Ale *post scriptum* na drugiej stronie: *verte*.

— Aha! *verte*, nie postrzegłem — i czytał: „Dbając nie tak o dobro doczesne mojego kolligata, jak o jego zbawienie wieczne, proponowałem mu stan nasz duchowny. W krótkim czasie nie mogłem pomiarkować, na jaką rolę padło ziarno. Waść więc, ojcze, *per viam persuasionis*.... *Una salus servire Deo, caetera fraudes!*... *intelligis?*... *Prudenter age!*... *et fiat voluntas Dei* \*).

— *Est res, et nulla res est!* jest rzecz i nie ma rzeczy! ot co jest! — rzekł ksiądz kustosz, kładąc list na stole — a cóż Jegomość na to?

— Ja na to nie odpowiedziałem księdzu przeorowi w Głębockim, i tu nie mam co odpowiedzieć. W każdym stanie można być, zdaje mi się zbawionym.

— Prawda! najprawdziwsza prawda: *bene dixisti*. Ot co jest. Ale i to prawda, że pewniejszej drogi ku zbawieniu, gdy ta się nadarza, opuszczać nie należy. Lecz gdybyś miał ją obierać, to już *sine dubio* zostań naszym bratem Bernardynem: bo daleko pewniejsze u nas zbawienie duszy, niż u księży Karmelitów. Ot co jest!

— A to za co? — zapytał poruszony przeor.

---

\*) Jedyna droga zbawienia w służbie Bożej, reszta marność! rozumiesz!... Czyń mądrze!... i niech się dzieje wola Boża.

— A to dla tego, że my, żyjąc z jałmużny, w codziennj mamy praktyce najgłówniejszą chrześcijańską cnotę, *pokorę*, która, jak wiecie, niebiosa przebija. Ot co jest!

— No, ale, *computatis computandis*, na czemże staje?— i nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:— ja dam radę najlepszą. W twóim, księżu przeorze, klasztoru może być panu ex-marszałkowi i ciasno i głodno. Ot co jest! Zatem *peto mecum*, mój dobrodzieju! Dam ci chętnie *victum et amictum*, nim cię Bóg tak lub owak obróci; a ponieważ, jako marszałek dworu wielkiego pana, musisz znać się i na stołowym porządku, przeto dopomożesz mi do udysponowania jutrzejszego obiadu, a potem do podejmowania naszego prowincyała, którego się wkrótce spodziewam. Ot co jest! A ciebie, tatulenku, czekam jutro na dziewiątę do zakrystyi. *Vale!*

Ponieważ mnie ks. przeor wcale nie zatrzymywał, owszem zdawał się być kontent z pozbycia się, i pożegnał wdzięczniej niżeli przyjął, więc przebrawszy się po dawnemu, z Elżutką przy boku a poduszką pod pachą, poszedłem za księdzem kustoszem.

Rozgościłem się w klasztorze wkrótce i łatwo. Kustosz wyznaczył mi celę schludną i wesołą, która mi się od razu podobała; uprowidował ją we wszelkie porządki i wygody, a nakoniec dzban cynowy z wyśmienitem piwem na stole postawił.

Wzajemnie zająłem się jutrzejszym obiadem, mając w pomoc starego brata *kanaparza*: jakoż wszystko poszło daleko lepiej i smaczniej, niż przedtem bywało. A zatem po tej piérwszej probie, ksiądz kustosz zaprosił mię do niejakiego *ad interim* przełożęństwa, nad zamożną klasztorną *dyspensą* i piwnicą; czego mu nie odmówiłem, zwłaszcza żeśmy się z sobą wielce jakoś pobrali i polubili; a nawet od dnia do dnia, coraz bardziej przypadało mi do smaku to spokojne, poufałe i pobożne między bracią życie, a ochota do powrócenia na świat coraz to stygła.

Już to widać taka była wola Pana Boga: bo i rozmyślanie o słowach księdza przeora głębockiego często mi po głowie przemykało, i co najbardziej, że gdy rano wstawszy poszedłem na mszę i wysłuchałem jej pobożnie, albo i posłużyłem księdzu kustoszowi, który najczęściej piérwszą mszę miewał, to mi tak słodko, miło i spokojnie robiło się na sercu, że nigdy tak nie bywało na świecie. Po mszy ks. kustosz prowadził mię razem do siebie na kawę.



— Posłużywszy Bogu — powiadał on — możemy śmiało, panie Michale, pomyśleć i o cielesnym posiłku. Ot co jest!

Potém każdy do swojego, a ja na *consilium* z bratem kanapazem względem obiadu, który, że od mojego przybycia do klasztoru zawsze był smaczniejszym niż dawniej, przeto mi *Patres et Fratres* wielce wdzięcznymi byli.

Po obiedzie *requies* prawie w każdej celi, *post requiem* albo odowiedziny wzajemne i *colloquia* mądre, a czasami i dykteryjki jowialne, ale skromne, albo przechadzka po ogrodzie, a tam kregle dla mocyi, a przy nich piwo *de puro grano* dla ochłody, lub miodek dla humoru. Tak nie postrzeżesz jak nadejdzie wieczór, a wtenczas warcaby, maryaszyk na boby, a czasem i ćwiczek po groszówce, w miłej i poufałej komitywie aż do *silentium*, które jak tylko brzęknie w dzwonek, wnet każdy w swojej celi nad brewiarzem, i tylko ksiądz kustosz czasami obejdzie po kurytarzach, *stricte* pilnując reguły zakonnej. O tém ani mówić, że każdy podług swego urzędu w zakonie i obowiązku w klasztorze, w kościele, w chórze i na chórze, ani minuty nie chybi, ani jednego pacierza nie zapomni. Bo, jak powiada ks. kustosz, co Bogu, to Bogu!

---

Kilka już tygodni przebyłem w klasztorze, gdy mi ksiądz przeor głębocki odesłał kuferek i całą chudobę moję, wyprosiwszy jakoś wszystko od wojewody. To przypomniało mi, że czas było o sobie pomyśleć.

Porozwieszałem w celi dla przesuszenia żupany, kontusze, kapoty. Dwa pasy moje słuckie: jeden bogaty złoty w karpia łuskę, drugi piękny jedwabny, rozwinąłem na stole, *et id genus* wszystko, co się w kufierku znalazło, gdy wszedł do mnie ksiądz kustosz.

— A jaką to zakrystyę ubrałeś? panie Michale — zapytał.

— To moje rupiecie, które mi odesłał ks. przeor głębocki. — A w duchu byłem kontent, że kustosz mógł przecie obaczyć, że nie z pod płota wylazł.

— Ot to byłaby piękna kapa na *asperges* — mówił ón, gładząc pas mój lity — z żupanów gredyturowych i atłasowych, ornaty; z kontuszów, *antepedia*, a z właściciela — obracając się do mnie — Bernardyn! Ot co jest!

— Nieraz mi to, *Reverendissime*, po głowie przechodzi, ale...

— Co za ale?—przerwał.—Ofiara ze światowej marności i z samego siebie na służbę Bożą, nie ma żadnego ale! Cóż w tém złego? [Djabek na świecie tańczy koło ciebie, jak wilk koło barana, a od paska świętego Antoniego ucieka, jak złodziej od powroza.] Ot co jest. Czyż ci źle między nami?

— Dobrze dotąd, i bardzo dobrze, ale co innego być między wami gościem, a co innego...

— Być pod *obedientią*! prawda, ależ i na świecie, kto służy, wolność traci, a zatem musi także być pod *obedientią*. Ot co jest!

— Widzisz, *Reverendissime*, na kapłana trzeba osobnej nauki! gdzież mi już rozpocząć na nowo szkoły?

— W twoim wieku, gdybym cię przypilnował tego, a dla ochoty do Teologii, gdybym cię przeprowadził przez pięć piątków, przez *missere* i *dyscyplinę*, mógłbyś od razu zostać *Jubilatem*, zwłaszcza że i po łącinie umiesz. Ot co jest! Ale twój *animusz* nie daj tego: więc ci tak daleko zachodzić nie życzę. Zrób professyą na braciszka *sine missa*, zostań z nami Bernardynami; Boga chwal, sztukę mięsa wal! Ot co jest!

Ta rubaszna perora nie bardzo mię konwinkowała; ale po krótkim milczeniu ksiądz kustosz dodał:

— Żart na stronę, panie Michale, ale posłuchaj mnie. Jesteś poczciwy i bogobojny człowiek: z temi przymiotami, za błogosławieństwem Boskiem, może ci na świecie dobrze się darzyć; lecz w spokojném zakonném życiu pewnie będzie ci lepiej. Pokochałem cię szczerze i dla tego samego nie będę cię długo apostołował: bo mógłbyś myśleć, i jabym sam podejrzewał sobie, że nie chcąc z tobą się rozstawać, nawracam cię do zakonu. Jeżeli jednak nie masz jakich szczególnych *obligacji* na świecie, po którychbyś tęsknił w klasztorze, bo czyste serce Bogu ofiarować trzeba; jeżeli upodobałeś nasze zakonne życie i obowiązki, którym zresztą wystarczysz łatwo, to życzę ci wezwać Pana Boga na pomoc i prosić Jego łaski, aby cię oświecił, a myśli twoje i postanowienie podług swęj woli świętej skierował. Odprawimy dziś solenne na twoją intencję nieszpory; wysłuchaj ich z nabożeństwem i pokorą, a potem zrób co ci Bóg do serca poda. Ot co jest!

Gdy wyszedł kustosz, chodziłem niespokojnie po celi; w głowie mi szumiało.... Gdyby on nacierał na mnie gorąco, tobym się potrafił obronić, i upor na upor; ale najgorsze w życiu ludzkim te jak

chcesz! I tak *dobrze*; albo i tak *źle*, i tak *źle*.... A Bóg wie tylko co *lepiej*, a co *gorzej*.] Więc czekałem już niecierpliwie nieszpórów.

Gdy się zaczęły, krzyżem leżąc modliłem się gorliwie i wzywalem opieki Matki Boskiej, do której szczególniejszą mam modlitewkę;

Kto chce Pannie Maryi służyć,

A Jój osobliwszym miłośnikiem być....

i tak dalej. Jakoż po téj modlitwie, podniosłem z ziemi zapłakane oczy do obrazu téj Pani świata i niebieskiej Królowej, a wstąpiła myśl we mnie, jakbym do niej mówił:—Będę Tobie i Twojemu najświętszemu Synowi do śmierci służył. Opiekunko moja i Orędowniczko! Panno łaski Bożej pełna! przyjm ofiarę moję; oddal ode mnie wszystkie ziemskie i światowe pokusy! a ja przysięgam i slubuję od tego momentu wielbić Cię i wysławiać w zakonie, aż do grobowej deski....

Długo jeszcze modliłem się; a gdym powstał z ziemi, nikogo już nie było w kościele i nie postrzegłem jak się nieszpory skończyły. Ojcowie wyszli z choru, i ja sam jeden się zostałem. Ciemno już było, lampa tylko migiała przed ołtarzem... gdy w tém usłyszałem stąpanie za mną... Zmora mię przebiegła. Aż tu obok mnie stanął ksiądz kustosz, który siedział w konfessjonale i czekał na mnie.

— Zgaduję, bracie—rzekł on — twoje postanowienie; niech cię Bóg w niem utwierdza! a ja cię życzliwą kapłańską ręką błogosławię!

Ukląknę. Przeżegnał mię, uścisnął za głowę, ukląknł potem obok: zmówiliśmy *Te Deum laudamus*, i wyszliśmy przez zakrystyę na klasztorne kurytarze.

Dopałem spiesznym krokiem mojęj celi, za mną ksiądz kustosz; tam spakowawszy bez ładu, ale i bez żalu, a nawet z niejaką pociechą, moje suknie i pasy do kuferka—to, ojcze!—rzekłem, zanieś do siebie; oddaję wszystko do twojego rozporządzenia.

— Nie, bracie!—odpowiedział *pater* — zaniemiemy obadwa kuferki ten do zakrystyi: bo już to nie moje ni twoje, ale ofiara twoja Bogu, który myśli i serce twe widzi. Ot co jest!

*Dictum, factum*. Kuferki zostały w zakrystyi, a ja, pożegnawszy księdza kustosza, udałem się na spoczynek, i bez żadnych żalów lub *molestacji*, najspokojniej zasnąłem.



## NAZAJUTRZ.

### XI.

Ledwom się ocknął, wszedł do mnie brat Bonifacy *servitor*—Ksiądz kustosz pozdrawia! — rzekł on, i habit położył mi przy łóżku; nic więcej nie powiedział i wyszedł.

Wstałem, włożyłem kapotę i poglądałem na habit.... w tém zastukał do celi ks. kustosz idący na mszę: bo zawsze mi ten znak dawał, i ja wnet śpieszyłem za nim słuchać jego mszy, albo służyć. Jakoż i teraz służyłem; a po mszy, rozebrawszy się w zakrysty, rzekł on do mnie:—A cóż? panie Michale! jak uważam, znowu odnieść trzeba kuferek do celi.

— A niech mię Bóg od tego uchowa!—rzekłem, bo przy ofiarowaniu mszy świętej, znowu duch nowy, i jakby pragnienie habitu, weszło mi do duszy. Już to wyraźnie cud Boski i powołanie; więc aż dreszcz mnie przeszedł na tę propozycję odebrania nazad ofiary.

— Owszem, *reverendissime!*—odpowiedziałem—idźmy do celi, i wnet się oblekę w zakonną sukienkę. Raz ślubowałem Bogu i jego Matce Przenajświętszej; determinacyi mojej nie zmienię.

Krótko mówiąc, włożyłem habit, podstrzygłem włosy, ogoliłem odrastające wąsy. Wyznaję, że gdym się paskiem podpasywał, pas lity był na sercu... ale to krótko, bo poznałem w téj pokusie sprawkę szatana: więc przeżegnałem się, i zło to z głowy znikło: a ksiądz kustosz obecny temu wszystkiemu, zdiął z siebie krzyż piękny na taśmie jedwabnej i mnie na szyi zawiesił.

Wnet poszliśmy do celi jego, i za jegoż rozkazem zadzwoniono trzy razy w dzwonek klasztorny; zatem zeszedli się wszyscy księża, bo w klasztorze nie dzwonek, ale *obedientia* dzwoni.

— Oto jest—rzekł kustosz—nowy brat nasz Michał, ot co jest! który wstępuje do naszego zakonu nie z żadnych światowych pobudek, ale z czystej *wokacyi*, którą go Bóg nawiedził. *Gaudeamus* zatem, bracia mili, i przyjmujmy go *appertis manibus*: bo i z nauki i z obyczajów będzie on pożytecznym Bogu i ludziom. Ot co jest! Dziś w czasie wotywy odprawi on swoją pierwszą *professyę*.

— A potem—odezwał się ksiądz Rafał, stary definitor—przejsć powinien na *probanta* i *serwitora*.

— A czy waści—odpowiedział kustosz—uprzykrzyły się smakowite obiady i wieczerze, które z jego łaski zjadasz? Co nam po takim *serwitorze*? Ja sam wiem najlepiej, że on z pokornym sercem wchodzi do zakonu. Obacz waszeć w zakrystyi, jakie piękne złoto-lite pasy, materjalne i sajetowe suknie oddał ochotnie na ofiarę Bogu, a na ozdobę naszego kościoła: że się wyrzekł szczerze marności światowych. *Serwitorów*, *definitorów* mamy bez liku, ale ludzi pożytecznych zamało! Ot co jest!

Ksiądz Rafał spuścił nos na kwintę.

— Bracie Michale!—mówił dalej kustosz—zdaję waszeci zupełnie naszą *dyspensę*, sklep i kuchnię; dodaję, jako i dotąd, w pomoc naszego starego kanaparza i spuszczam się na ciebie; patrzaj, abyśmy naszego ojca prowincyała, którego codzień się spodziewam, uczciwie przyjęli. Ot co jest!

Gdy *patres* wyszli, podziękowałem mu za okazaną dla mnie tak wyraźną *benewolentię*, i rzekłem:—Podobno, *reverendissime*, zakonnik nie może mieć ani grosza własnego: oto mój mały zapasik—i podałem kieskę z kilkunastu talarami—excypuję tylko sobie, *si licet*, dukata *cum effigie* Najświętszej Panny.

— *Iterum, iterumque gaudeo!*—rzekł, ściskając mię za głowę—z tak pobożnej twój intencji; ale jeszcze tak ściśle regule zakonnej nie ulegasz i ulegać, jako *frater* a nie *pater*, nie będziesz, tém bardziej, że co do pieniędzy, prawdę mówiąc, nie przestrzegamy jej *quo ad assem*. Bo i u któregoż bernardyna mogłoby się znaleźć wiele pieniędzy? a że który tam ma jakąś złotówkę na tabakę, to i niech zdrów ma. Więc i ty możesz ten zapas zachować; użyj go na dobry uczynek, a kiedy i krewniaka jakiego wesprzesz, nie zgrzeszysz. Ot co jest! A cóż zrobim z szabelką?—Zapytał jeszcze uśmiechając się.

— Odeszłę ją przy okazji memu przyjacielowi podczaszemu Swiebodzie; ma on *Harasima*, niechże go ożeni z moją *Elzutką*.

Nadjechał wkrótce i ksiądz prowincyał, a za nim kilku gwardyanów jadących razem do Nieświża na kapitułę. Nie powstydzilem się z kuchnią; cokolwiek się na przystawkach ukazało przed *patrami*, warte było ich geby. Nie traktowałem ja ich żadnemi pańskiemu frykasami; ale hultajski bigos, rosół z ind. *la*, zrazy zawijane, pieczeń huzarska; a w środy, piątki i soboty, kaletki postne, sliże, szczupak na żółto w szafranie, wszystko czysto i smaczno ugotowane, tak, że nic do *kontentecyi* zupełnej nie brakowało.

— Kto u ciebie, bracie? — zapytał ojciec prowincyał kustosza — tak smakowicie jeść gotuje?

— To niedawny dworak, marszałek wielkiego pana, a teraz nasz braciszek Michał Ławrynowicz, któremu zdałem dyspensę i kuchnię; a odtąd z jego starania i *experieneyi*, smaczniej jadamy. Ot co jest!

Gdym więc przed księdzem prowincyałem postawił przystawkę z kapłonem śledziami nadzianym — *gratias ago!* — rzekł on, spójrzawszy na mnie i zmierzyszy od stóp do głowy.

Jest reguła zakonna, że całe zgromadzenie w klasztorze, do którego przybywa prowincyał, stawa *ex ordine* pojedynczo przed nim dla examinu, każdy o sobie i o klasztorze. Zawołano więc i mnie. *Kwestja pierwsza*: czy nie mam jakiej krzywdy lub skargi na kogo w klasztorze? — Nie. — *Kwestja druga*: Czy nie widzę jakiego zgorzenia, które pod obowiązkiem sumienia powinienem objawić? — Nie. *Kwestja trzecia*: Jaki był mój stan przeszły, i co było powodem wstąpienia do zakonu?

Na to opowiedziałem *summatim* i pokrótce całe moje życie, a szczególniej jak z przygody wojewodzińskiej przedzierzgnąłem się *insperate* na karmelitę, i tandem za pomocą Bożą na bernardyna.

Upodobał jakoś nikczemną personę moję ojciec nasz. — Uważam ja — rzekł — że sprawiedliwie mi ksiądz kustosz tutejszy mówił, że nosisz głowę nie dla proporcji. Zalecę mu, aby cię wziął za socyusza na kapitułę. Będiesz waszeć i tam w Nieświżu urządził *sump-tem* naszym, a potem obierzesz sobie rezydencyą gdzie sam zechcesz.

— Nie chciałym — rzekłem — rozłączyć się z tutejszym księdzem kustoszem.

— To się da łatwo pamiarkować, a tymczasem *vale*.

Tak się i stało. Oto jestem w Nieświżu, gdzie przybyliśmy z księdzem kustoszem porządną bryką, zaprzężoną trzema spastemi końmi, a wyładowaną zapasami podróżnemi *omnis generis* i specyałami



z klasztoru siostr naszych Bernardynek mińskich, na drogę nam przysłanemi, oraz puzdrem pełném, od którego klucze pod moją są *kustodyą*.

## K A P I T U Ł A.

### XII.

**W**ielki, bo największy pan w całej Litwie jest książę Karol Raziwiłł, ordynat Nieświżski, mieszkający w tutejszym zamku z licznym swoim dworem, koło którego żywi się szlachta, robi fortuny z jego dobrodziejstw, których i klasztorom Nieświżskim hojnie on udziela, a szczególnie naszemu bernardyńskiemu, którego jest syndykiem.

Najpierw więc gdy się zebrała kapituła, ojciec prowincyał i wszyscy gwardyane udali się do zamku dla złożenia *homagium* księciu jegomości, i z zaproszeniem na jutrzejsze solenne nabożeństwo.

Przyjął książę łaskawie *patrów*, i oświadczył wzajemnie, że, jako syndyk, a zatem gospodarz w Nieświżskim klasztorze, sam swoich gości wiktować będzie, i sumpt na kapitułę na siebie przyjmuje.

Jakoż wnet wieczorem przypędzono kilka wołów karmnych i wszelakich do spiżarni nawieziono zapasów, toż siano i obrok do spichlerzów; a do sklepu wtoczyliśmy kufę trojniaku, dwa antały wina i piwa beczek kilkanaście; ryb zaś na dni postne, z ogromnych stawów Nieświżskich dostarczyć obiecano.

Nazajutrz, po solennem nabożeństwie, zbrali się ojcowie do re-fektarza i zasiedli na kapitułę. Wszedł tam i książę, otoczony liczną assystencyą swojego dworu, ale zdjął z siebie wszystkie swe pańskie dystynktorya, ordery i brylanty, a nawet zamiast bogatego pasa, bernardyńskim paskiem się podpasał.

Przypatrywałem się ciekawie temu sławnemu panu, bo o nim i na dworze pana wojewody, i na dworze pana Burzyńskiego starosty, gdzieś wprzód zostawał, wiele się nasłuchałem. Persona to okazała, wieku już podeszłego, łeb golony, wąs zawieszisty, brwi i powieki nad oczami nawisłe, z pod których gdy poprowadzi wzro-

kiem, to aż dreszcz człeka przechodzi, głos jak tuba; a jednak mimo téj swojej powierzchowności, jest to najwspanialszy i najlepszego serca pan. Często tylko krotofilny i szumny, ma przysłowie *panie kochanku!* i gdy pytają: który Radziwiłł? odpowiadają zwyczajnie: ksiązę *panie kochanku*, a to znaczy *ordynat Nieświżski*.

Otoż gdy wszedł ksiązę do refektarza, powstali ojcowie i księcia na pierwsze zaprosili krzesło, a ksiądz prowincyał piękną go *ex abrupto* powitał oracyą, dziękując i za dobrodziejstwa jego dla zakonu świadczone, i za honor, który czyni kapitule swoją *prezenicyą*, zapraszając go owszem do prezydencyi w tém *conclave*, (ale *subintelligitur*, że to tylko dla ceremonii mówił), a nakoniec polecając duszę jego Bogu, jako i świątobliwych przodków jego.

Ksiązę odpowiedział:

— Przyjmuję wdzięcznie, panie kochanku, tę *rekoznicyę* waszego affektu ku mnie, i świętym modlitwom waszym się polecam. A na kapitule, jako syndyk tutejszego klasztoru, mam prawo bywać, więc nie ubliżę memu obowiązкови.

Po téj ceremonii wyszedł ksiązę, a ojcowie *obstupuerunt* na to oświadczenie jego, że na sessyach kapituły bywać postanowił. Łamali sobie głowy, zkąd jemu ta fantazja? wymawiali nawet prowincyałowi, że go zapraszał; zresztą zaprzeczyć temu nie mogąc, pocieszali się nadzieją, że po kilku sessyach przejdzie mu ochota, i uwolni ich od subiekcyi ulegania jego *preponderencyi*.

I prawda.... uwolnił on nas pięknie od wszelkiej subiekcyi, bo zakończył kapitułę we dni kilka, któraby się może bez niego i kilka tygodni przeciągnęła. A to po swojemu, takim sposobem: gdy przyszło do wybierania gwardyanów i kustoszów do rozmaitych klasztorów, ksiązę, nie czekając na *vota* i *consilia* definitorów i jubilatów, zaczął *ad velle sui* rozporządzać i wyznaczać.

— Waśc, panie kochanku!—rzekł naprzód do mego księdza kustosza mińskiego—będziesz tu u mnie w Nieświżu gwardyanem: bo terażniejszy ksiądz Humiljan już postarzał i ocięzał na nic mi nieprzydatny. Kilka razy zapraszałem go, panie kochanku, na obławę, ani razu nie poszedł; a waśc kiedy tu przed kilką laty byłeś gwardyanem, to aż do Łachwy ze mną na polowanie jeździłeś i ogromnego niedźwiedzia zabiłeś.

— Ależ wasza księcia mość mylisz się zapewne: bo lubo byłem tu gwardyanem i słuchałem ochotnie w czém mogłem rozkazów

księcia, ale na obławie żadnej nie byłem, a 'nawet na mojem życiu nie wystrzeliłem bodaj ni razu. Ot co jest!

— Co? panie kochanku! nie wierzysz, że zabiłeś niedźwiedzia? A to całe moje myślistwo przyświadczy! Otoż waść będziesz znowu gwardyanem w *Nieświżu*, waść w *Buclawiu*, waść w *Wilnie kustoszem*, waść do *Citowian*, a waść do *Bienicy*.... i tak dalej, jak z rejestru.

Więc ojcowie zaczęli pomrukiwać i przymawiać księciu, że się tak liberalnie do woli swojej stosować każe.

Książę na to powstał ze swojego krzesła, uklonił się wszystkim niziutko.—*Mea culpa*, panie kochanku, *mea culpa!*—zawołał, i wyszedł pokorniucho z refektarza, kropiąc się przy drzwiach święconą wodą. Ale jak tylko na kurytarz się dostał, pokazał co umiał. Zabrał wszystkie klucze ode mnie i od kanaparza, pozamykał i postawił warty przy dyspensie, przy świrnach i sklepach, kazał wygasić ogień na kuchni, sagany i rądle powywracać, a sam powrócił do zamku, zabrawszy z sobą podszyndycznego.

Trudno opowiedzieć jaki to rozruch sprawiło w klasztorze. Pomieślały się sejmiki kapitulne; o obiedzie ani pomyśleć; słowem, nie było innej rady, jak co najrychlej przeprosić księcia, aby uniknąć głodnej śmierci. Prowincyał zatém z dwóma *patrami* udali się na zamek z demonstracją, ja za nimi niby dla assistencyi, a prawdę mówiąc z ciekawości. Ale gdzie tam? Książę rozdąsany nie dał im mówić, a sam zawołał:

— A tak to waszeć, panie kochanku, czynicie zadosyć swojej regule i przysiędze na ubóstwo? Tam stoi, że syndyk, panie kochanku, karmić was powinien, klucze od wszystkich składów klasztornych pod jego pasem mają zostawać, pieniądze w jego szkatule; a waszeć o tém wszystkiém ani dudę. Za nic macie ustalonego przeze mnie podszyndycznego, rządźcie sobie jak infulaty, panie kochanku, a on, mój namiestnik, z czapką pod pachą stać przed waszeciami musi. Książdz gwardyan sam szafuje ze skarbnicy klasztornej, a przecież, panie kochanku, bernardyn ani grosza mieć nie powinien ani znać nawet sztepla pieniężnego, a waszeć w oblężeniu *tamquam* trzymacie mojego kassyera, gdy przyjdzie termin wypłaty *provizyi*. Odtąd, panie kochanku, rzeczy do dawnych karbów zakonnych powrócić muszą! Ja sam, panie kochanku, wydawac będę codzień dla waszeciów ze szpizarni klasztornej obiad i wieczrę; do mnie waszeć na *porocy* i *konsolecy* przychodzić macie, a



skarbnica zakonna pod moją syndykowską zostanie *kustodyą*, Ojciec gwardyan niech pilnuje choru i dalszych zakonnych *officyów*, a do rządów klasztornych ani nosa, panie kochanku!

— Ależ, mości księżę dobrodzieju! — przemówił prowincyał — tymczasem dzień dzisiejszy cały głodni będziemy: ogień na kuchni zalany, jedzenie wyrzucone...

— Tak, tak, panie kochanku! słusznie i sprawiedliwie to się stało. Za pokutę, wszyscy waszeć, od prałata do brata, zjecie obiad u mnie na zamku, i jeszcze jedną *penitencyę* odbyć musicie. A potem, panie kochanku, zasiądziecie tu na *conclave*, a ja sam klasztorrem urządzić będę.

Powróciliśmy zatem do klasztoru. Tam *ex consilio* wypadło uleż woli księcia, aby mu co gorszego do głowy nie przyszło. Co do drugiej obiecaniej *penitencyi*, pewni wszyscy byliśmy, że on nas w kaplicy zamkowej przez *miserere* przeprowadzi: bo to u niego nie nowina, i sam w wielkie piątki częstokroć się biczuje jak należy. Cały więc konwent stawić się musiał do zamku. Wszakże mieliśmy nadzieję, że po obiedzie, i dajmy to, już po drugiej *penitencyi*, pozwoli nam księżę powrócić do klasztoru.

W ogromnej, tak nazwanej hetmańskiej sali, rozciągnięto stół od końca do końca, ale bez obrusa. Zamiast półmisków, przystawki klasztorne, na długiej desce rzędem ustawione, obnosili bracia *serwitory*. Na środku stołu wznosiły się dwa antały, wina i trojniaku. Księżę sam zasiadł między ojcami i hojnie się częstował, a nas, marszałek jego dworu pan Fryczyński, i przypominał nam, tocząc z antałów do dzbanów, a ze dzbanów nalewając do szklanek, że trzeba wspomagać ojców starszych, bo ich księżę zaponi. Jakoż odzywał się on często, gdy który z nich pić wzbraniał się: — Znaj waszeć, że ja syndyk! mnie *obedientia*, panie kochanku! — Więc nie wstaliśmy od stołu, aż oba antały się wypróżniły.

— Otoż to druga pokuta, panie kochanku! — wstając od stołu, przemówił księżę syndyk bełkocącym już nieco językiem, i zataczając się, wyszedł z sali. A tymczasem wozy i konie nasze wszystkie przeprowadzono do stajen zamkowych, nam obszerne i wygodne na dole w zamku wyznaczono kwatery, a bramę zamknięto, żołnierze zaciągnęli wartę, i póty do klasztoru wrócić nikomu nie dozwolono, aż póki sejmiki kapitulne nie ukończyły się. Poszły więc prędko i naturalnie po woli i dyspozycji księcia.

Obiady szły, jako i pierwszy, aż na ostatnim, znowu dwu antały stanęły na stole. Znowu *penitentia* i *obedientia*. A nakoniec uraczywszy nas i siebie, rzekł książe powstając:

— Kapituła skończona! *Solvuję sessyę* na lat trzy, i na drugą do *Nieświża* zapraszam, a tymczasem módlcie się waszeć za moje duszę, jakoś mi to przyrzekł, książe prowincyale, panie kochanku!

## INSTRUKCYA NA KWESTĘ I ODJAZD Z KLASZTORU.

### XIII.

Gdy tak książe syndyk rozporządził się ładem z naszą kapitułą, my z moim byłym kustoszem mińskim zostaliśmy w Nieświżu, on gwardyanem, a ja bratem do wszelkich *officyów* klasztornych pod jego ręką. Wróżyłem więc sobie takie same życie i obowiązki, jako i w Mińsku, gdy w kilka dni po rozjechaniu się kapituły, zawołał mnie ks. gwardyan do siebie i rzekł:

— Oto masz, bracie Michale, *obediencyę*, dziś tu od księdza prowincyała przysłaną, na kwestarza tutejszego klasztoru. Wybieraj się więc, i jutro ruszaj w Imie Boże! Ot co jest!

— A mnie to na co?

— Na to, abyś i sam, i my wszyscy mieli co jeść przez zimę. Wiesz, że z łaski dobrodziejów żyjem. Ojciec prowincyał, poznawszy cię dobrze, i wiedząc, żeś dworak i bywalec, żyłeś na świecie i znasz *mores*, obrał cię do tój posługi, jako najzdatniejszego. Widać w tém zyczliwość jego dla klasztoru; a lubo go wcale o to nie obligowałem, ani tegom sobie życzył, jednak na jego miejscu toż samobym zrobił. Nareszcie, krótka sprawa— *obedientia*! Ot co jest!

— Nie mam co na to odpowiedzieć, ojcze! ależ kiedy kwesta się nie uda i powrócę z niczém?

— To być nie może; żadnemu kwestarzowi jeszcze się to u nas nie zdarzyło. A lubo nie to już teraz co dawniej bywało, kiedy kwestarz ile baranów, tyle we dwoje jeszcze talarów przywoził,

kiedy fury za nim i przed nim wlokły pszeniczkę do naszych śpichrzów, wszelakoż i teraz nikt jeszcze kwestarza nie wypędził z domu; jeszcze pobożność, dobroczynność i ludzkość żyją na Litwie. Ot co jest! a mówiąc prawdę, i teraz, jak dawniej, jest jakaś powszechna u wszystkich i wszędzie domowa przychylność dla Bernardynów. Dla tego ruszaj waszeć, jak mówiłem, i powracaj przed *porcyunkulą*, ale ani mi się pokazuj bez kopy baranów, bo cię na miesiąc w ciupę zasadzę. Ot co jest! — dodał z uśmiechem.

A to mi *pater periculosus!* — pomyślałem.

— Ależ *Reverendissime*, ja nie wilk, chwytać baranów nie będę; ile dadzą, tyle nazbieram.

— *Racya!* Nie jesteś wilkiem, ale nie trzeba być i osłem. Ot co jest! Wiedz, bracie, że pomyślność kwesty najwięcej od kwestarza zależy. [*Est modus in rebus*, jak to ludzie powiadają.] Są ludzie, i takich, chwała Bogu, więcej, którzy wyglądają i czekają corocznie kwestarza, jak bocianów na wiosnę; tacy, obaczywszy cię zdaleka, dawno przeznaczonego barana sami naprzeciw twojej trzodki wypędzą; tacy przyjmą cię serdecznie, uczęstują suto i zatrzymają na noc, dla pocziwój i dobrodusznój gawędki, do której tęsknią przez cały rok; takim na podziękowanie szczere *Deo gratias* wystarczy, bo tacy wierzą we wdzięczność i dla tego radzi na nią zasługują.

Są inni, zupełnie tamtym przeciwni, którzy postrzegłszy cię w bramie, wnet myśleć będą, jakby cię gładko wyprowadzić; od takich i dobre słowo wiele warte, a prosić i naprzykrzać się nie należy; modlić się za nich owszem potrzeba, aby ich Bóg natchnął łaską swoją świętą i większą chęcią wspomagania bliźnich. Ot co jest!

Ale są jeszcze inni, a to naczęściej wielcy panowie, u których, jak wiesz, hojność od humoru zależy; otoż w tém sztuka, aby ten humor pobudzić mądrym żarcikiem, wesołą dykteryjką, delikatnym przymówieniem się, jakiemu odmówić wstydy im było. Potrzeba, panie bracie, umieć zarzucić, iż tak rzekę, wędę do morza wspaniałości pańskiej, a na haczyku za przynętę *koncept* uczepić, i wyciągniesz barana, albo i dukata. Waść dworak, potrafisz więc sobie doradzić! ale i w tém miej uwagę, że inna jest dworszczyzna świecka, a inna bernardyńska; nasza rubaszniejsza wprawdzie, ale jak w tamtej trzeba czasami umieć zatrzymać język za zębami, tak w naszej za habitem. Ot co jest! *Intelligis?* Zresztą *usus te plura docebit.*



Wychodziłem zatem, gdy mię jeszcze zatrzymał ks. gwardyan.

— Ale! rzekł on, lubo figura twoja nabywa już *cyrkumferencyi* bernardyńskiej, lecz masz jeszcze ostatki ze światowych nałogów, których koniecznie odrzec się potrzeba. Porzuć waść naprzód ulubioną fajeczkę, bo to nie moda nawet i w klasztorze, a témbardziej na kweście. Nikt jeszcze kwestarza z fajką nie widział. Natomiast weź dobry zapas tabaki naszej *bernardynki*. Cały świat zażywa tabakę, i *bernardynka* sławna na cały świat. Będziesz więc mógł przysługiwać się tabacznikom i brać za nią barany, a sam łatwo przywykniesz, bo to *trzeźwi* i *rzeźwi*. Sprobuj waszeć. — Gdym zażył i kichnął — Ot co jest! — wykrzyknął ks. gwardyan — A co? *Vale!* Daruję ci i tę tabakierkę na początek. Powtóre, mówisz waść zawsze: *Panie Dobrodzieju! Mości Dobrodzieju!* a u nas niema ani *Mości*, ani *Panów*; wszyscy zarówno są nasi *Dobrodzieje* tylko, i czysto bez dodatków *Dobrodzieje*. Gdybyś z nowemi *denominacyami* i obyczajami wyjechał na świat, kwesta by ci się pewnie nie powiodła. Kwestarz bez mowy i głowy kwestarskiej, a co gorsza, z mową światową i modną, wyszedłby jak *Zabłocki na mydle*. Tak bracie, pokornie i wesoło, choćby i mądrze nawet niekiedy, ale zawsze po prostu, po dawnemu, to grunt! Takim obyczajem poprzednicy nasi zasłużyli zakonowi łaskę Boską i miłość ludzką. Trzymajmy się tej drogi, bracie! a kiedy ona chybiać już zacznie, kiedy szczerłość, prostota i pokora nie będą już trafiać do serc, zły to będzie znak, bracie, nie tylko dla nas, ale i dla wszystkich, bo natenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii, który teraz po kropli spada między nas gdzieniegdzie, rozszerzy się jak plaga egipska między narodem!... Daj Boże tego nie dożyć!

— A zkądże te nieszczęśliwe wróżby? *Reverendissime!*

— Oho! bracie! nie taki ja głupi, jak waszeć myślisz. Ot co jest! Przechodziłem ja różne stopnie zakonne; jestem nie chwaląc się *Doktorem S. Teologii*, której byłem lat kilka professorem w Wilnie, i razem kaznodzieją tamże, a nakoniec *Lektorem* przez czas niemały. Znam ja i rozważałem zkąd zło idzie; umiem ja, a przynajmniej rozumiem francuzczyznę, bodajby ję u nas nigdy nie było!... w niej arsenał szatana, i z niej on bierze truciznę, którą na nas biednych garściami rzuca. Ale w Bogu nadzieja! Ot co jest! Nie czas o tém myśleć. Smutno mi będzie bez ciebie, bracie, bom

do ciebie serdecznie przywykł; zimę za to przepędzimy razem i nagramy się wieczorami w warcaby i w maryasza.

Masz starego klasztorneho furmana, Marcina, który kilku już kwestarzy obwoził, masz dwa wozy, dwa stare konie, dwa barany *prewodyry*, i psa wiernego na stróża twojej przyszlęj trzody, i wozów; ot cała twoja drużyna. A więc *Deus te benedicat, ducat et reducat*. Ot co jest!

Poszedłem więc do stajni i poznałem się z moim towarzyszem podróży, Marcinem, który porządkował się do drogi. Nazajutrz zatém, wysłuchawszy rano mszy świętej i wzięwszy benedykcyę kochanego mego ks. gwardyana, siadłem na wóz.

Na przodzie Eljasz i Barabasza, dwa piękne rogate barany z dzwoneczkami na szyjach, przy nich pies *Pamfil*, za niemi Marcin na kałamaszce, wielkim a chudym koniem dropiatym, i nakoniec ja na drugiej, siwą i trochę chromą kobyłą. W bramie Marcin przeżegnał się i zaintonował „*Zawitaj ranna jutrzeńko!*“ ja mu zawtórowałem, i tak pobożnie śpiewając, przebyliśmy z naszą kalwakatą miasteczko.

## LEGENDY STAREGO MARCINA. PAN ROTMISTRZ.

### XIV.

— **G**dzie pojedziem? Marcinie! — zapytałem, przejechawszy miasteczko.

— Gdzie oczy poniosą, mój Jegomość!

— Tyś nieraz z kwestarzami jeździł, więc prowadź jak znasz lepiej.

— Już to, mój Jegomość, do blizkich tu dworów niéma po co zajeżdzać: bo panowie z sąsiedztwa co niedziela bywają w kościele i u ks. gwardyana, to on i sam u nich najlepiej wykwestuje; nam więc potrzeba odsadzić się dalej trochę od gniazda. Na obiad zaprowadzę Jegomościa do mojego starego przyjaciela, P. Jana Bielewicza, strażnika lasów książęcych, ztąd o mil trzy. Zawsze od

niego zaczynamy kwestę; jego baran szczęśliwy, bo pocziwą ręką i nie załując daje; a choć powiadają o nim, że umie strzelby zama-  
wiać i zwierzynę na swój cel ściągać, ale to nie prawda, bodaj im  
takie zdrowie! Zwierzyny u niego huk, cóż to dziwnego? zna pole,  
i wie kiedy na jakiego zwierza czy na ptastwo najlepszy czas, a  
uczył się dotego rejestru u sławnego pana Wołodkowicza, któ-  
rego zastrzelili w Mińsku. Potem książę przyjął go do siebie i dał  
mu porządne podłowiectwo! ożenił się zatem, już ma synów jak  
dębów i córeczkę jak jagodkę; owdowiał, prawda, ale cóż robić?  
taka była wola Boska, i siedzi sobie teraz spokojnie, jak daj Boże  
do wieku każdemu pocziwemu.

— Dobrze, jedźmy, rzekłem, do P. Bielewicza.

Wlekliśmy się więc noga za nogą, mówiąc pocichu paciorki.  
Mój pan woźnica stawał niekiedy, dozwalając baranom poskubać  
trawki i potrzesając tabakę z różka, a oglądając się na mnie nie-  
kiedy z jakąś skrzywioną miną; ja wzajemnie rozważałem jego *pos-  
turę*. Stary ale czerstwy, wąs i czupryna siwe i gęste, twarz i nos  
czerwony, oko żywe, jak u młodego; miał na sobie habit przekro-  
jony na kapotę, na nim szarą płócienną czujkę, z kapiszonem  
z tyłu dla okrycia od deszczu głowy, na której teraz wysoka cza-  
pka z czarnego barana sterczała, na płaszczu zawieszona koronka,  
a po kapocie spięty szerokim skórzanym pasem, z za którego ro-  
żek z tabaką wyglądał.

Po kilku takich popasach i poglądach na mnie, przerwał on  
nakoniec długie nasze, a widać uprzykrzone jemu *silentium*.

— Ależ Jegomość milczysz jak pień.

— A cóż mam gadać? mój kochany Marcinie.

— A to Jegomościu trzeba było zostać kapucynem, bo kapu-  
cyni podobno nic nie gadają. Może Jegomościu zdaje się, że gadać  
z furmanem, to na godność Jegomością nie przystało; ale ja i  
prowincyałów woził, a brat za brat ze mną dyszkurowali.

— I owszem, panie Marcinie, i ja chętnie będę z tobą dyszku-  
rował, tylko że ja pierwszy raz w tych stronach, więc o niczem  
nie wiem; chyba ty mnie rozpowiadać będziesz, a do tego, jedziem  
pojedynczo, więc trudny rozhovor.

— Na wszystko jest sposób. Ja wyuczyłem moje konie regu-  
larnie; można jak chce puszczać ich, i na przód i w tył, a kie-



ruję głosem. Dropiaty jeszcze rozumniejszy, bo sam do dworów zawraca się, i nawet kiedy on zawróci się, to śmiało zajeżdżaj... z próżnemi rękami nie odjedziesz. Więc ja siądę z Jegomościem, i będzie nam obudwóm weselój, a przesiadając, pośniadamy sobie. Dobądź tylko dobrodziej puzderko — rzekł złażąc z wozu.

— A czy jest i puzderko?

— Oho! znać, że Jegomość pierwszy raz kwestujesz. A jakżeż? i nie próżne: bo nim kto nam naleje, swój zapas na początek mieć potrzeba.

Dostał więc Marcin z pode mnie puzderko, o którym nie wiedziałem, i chleba bułkę, — Czekam z rąk Jegomości — rzekł do mnie; potem, wychyliwszy miarkę, która się także w puzderku znalazła, kroił zakąskę. Eliasz i Barabasza przyszli także po swoją porcję; w długich wędrówkach przyswoił on ich do rąk; znali się z nim, jak towarzysze. Pamfil też zjadł śniadanie, a Marcin, usiadłszy ze mną — *Héj! dropiaty!* — krzyknął, i drobiaty powlekł się naprzód, a siwa za dropiatym.

— Czy wiesz Jegomość, jakie to na prawo nieznanajome miasteczko?

— To *Mir* zdaje mi się.

— A tak, *Mir*. A wiesz Jegomość, jaki tam jest dzwon?

— Nie wiem.

— Otoż ja Jegomościu powiem, bo o wszystkim i wszędzie wiem cokolwiek. [Człowiek to jakoś urodził się ciekawy, mowny, łowny i *gadatiwus*, więc lubię posłuchać i rozpowiadać, kiedy co warte.] Otoż o tym dzwonie jest taka *dykteryjka*:

Nasz książę panie kochanku, jeździł dawniej po cudzych krajach i wojował z poganami: sam to często opowiada; więc tak mu raz przyszło kuso i niebezpieczno, że różne czynił *wota* pobożne, aby cudem Boskim ująć pewnej zguby. Otoż szlubował wtenczas kościołowi *mirskiemu* taki dzwon, aby, gdy w *Mirze* na rezurekcyę zadzwonią, w *Nieświżu* słychać było; a to cztery mile, mój Jegomość!

Więc jak tylko powrócił do *Nieświża*, kazał zaraz lać dzwon w *Mirze*; wyleli jeden, dzwonią na próbę — nie słyhać w *Nieświżu*. Panie kochanku dodaje złota i srebra do materiału, każe wylewać drugi większy; znowu leją i znowu dzwonią cały dzień —

nie słyhać! a trzeba koniecznie wypełnić *votum* co do joty; leją więc dzwon trzeci....

Tymczasem jednego wieczora, panie kochanku w dobrym będąc humorze, baraszkował sobie między swoimi i łąał na czém świat stoi: bo to już jego taki zwyczaj. At, zwyczajnie panu wielkiemu wszystko wolno. Prawi cudactwa i każe wszystkim wierzyć. Kiedy jednak przebrał miarkę, nie dotrzymał pan Michał Chodźko, który był pierwój koniuszym u księcia, kiedy ja byłem masztalerzem, a potém on wyszedł na pana, a ja na furmana, i jest zawsze faworytem księcia; powiedział więc, — Mości książe! dzwon mirski słyhać. Wszyscy nadstawili uszy, ale nikt nie słyszał. Książe tylko potakiwał panu Chodźkowi i mówił—A widzicie waszeć, jaki głośny mój dzwon! Dopełniłem *votum* regularnie. — A jakże nie ma być głośnym, podchwycił Chodźko, kiedy książe pan cały dzień kłamiesz, zapewne na jego głos i pamiątkę?

Bo Jegomość musisz wiedzieć, że [kiedy gdzie dzwony leją, trzeba łąać różne nowiny, gdyby daleko się rozchodziły, to i głos od dzwonów tak rozchodzić się będzie.]

Książe nie rozgniewał się jednak, tylko śmiejąc się powiedział do Chodźki—Wasan sam taki panie kochanku!—ale już dzwona nie przelewał; owszem, ochrztili go Karolem, zawiesili na dzwonnicy, i książe zawsze powiada—*Słyhać Karola w Nieświżu!*—A kiedy kto zaprzeczy, to on mówi—Co ja winien, panie kochanku, że waść nie masz takiego słuchu, jak pan Michał Chodźko?—a prawdę mówiąc, nie kłamie, bo i sam ma imie Karol, a kiedy zacznie huczeć po swojemu, to *słyhać Karola w Nieświżu*—i pokręcał głową Marcin.

A czy nie wiesz co, Marcinie, o tych sławnych złotych apostołach księcia?

— Oto, nie wiem! jakże nie wiem? pan Bukowski, szatny księcia, rozpowiada o nich każdemu, bo ich widział i woził. Szczéro-złote były, mój Jegomość! a wielkie jak chłopczyki od lat sześciu.

— Ej czy nie mniejsze?

— A kto ich tam mierzył? dość, że książe wybierając się na wojnę z poganami do cudzych krajów, wziął z sobą i apostołów; zawiózł ich najpierw do Gdańska, a potém gdzieś dalej. A jak nie stało pieniędzy.... A héj dropiaty! na prawo! a héj,

Wjechaliśmy krętą drożką w ciemne lasy. Marcin przestał mówić o apostołach, bodaj z gniewu, że ich już nie ma, czy namysłając nową legendę, gdy turkot pojazdu i koni dał się nam słyszeć zdaleka.

Kogoś spotykamy, rzekł Marcin. Może da Bóg dobry początek.—Dropiaty usłyszał także tentent, a przywykły widać do zakonnój pokory, zszedł z drogi, ile gęstwina dozwalała, a Panfil pobiegł na przód i ujadać zaczął.

Pokazał się wnet na przodzie konny jegomość suto i bunczownie ubrany, w taratatie gęsto taśmami złotemi szamerowanój, z zawieszistą szlifą na jedném ramieniu, z ładownicą na szerokiej taśmie złotej, z pałaszem na pendencie i kołpakiem pikowanym na głowie. Poznałem więc po ubiorze, że żołnierkę traktuje.

Za nim jechał lozak po ułańsku z chorągiewką, a za ułanem wóz czwórma tęgiemi końmi, na którym jeszcze jeden *slugus* i przy furmanie kozaczek z bandurą; za wozem nakoniec szły przywiązane dwa konie powodne.

Sam czupurny, ale wesołego oblicza, z pięknym wąsikiem, którego pogładziwszy wdzięcznie, spójrzał na mnie wspaniale, i założył za pendent książeczkę, którą w ręku trzymał.

— *Laudetur* Jezus Chrystus!

— *In saecula saeculorum!*—odpowiedziałem.

— A z którego klasztoru Pan Bóg prowadzi?

— Z Nieświża, Jaśnie Wielmożny.... Dobrodzieju—przypomniałem w samém zacięciu naukę ks. gwardyana.

— Stój!—krzyknął on na swój oboz, z którym nam trudno się było rozminąć, więc i ja się zatrzymałem.

— A czy jest książę w zamku?

— Niéma, odpowiedziałem; wyjechał niedawno do Białej \*).

— To źle. Chciałem po drodze złożyć mu moje *homagium*. Zapewne dziś jeszcze z klasztoru, bo nie masz baranów.

— Tak jest, dobrodzieju!

Aleś młody na kwestarza. To jakaś zapewne awantura wpędziła cię w kaptur.

— Wcale nie. Taka była wola Boska i prawdziwa *wokacya*.

— Może i to być; w twoim jednakże wieku i zdrowiu, jak uważam, lepiejbyś wyglądał na koniu i w szeregu, jak w habicie i na kałamaszce. Wiesz co? porzuć to wszystko, siadaj ze mną. Przebiorę cię wnet, i, jeżeliś szlachcic, zrobię cię towarzyszem w Pińskiej brygadzie, w mojej chorągwi, której jestem rotmistrzem. Co waś na to?

\*) Hrabstwo Białskie, dobra książąt Radziwiłłów, w obwodzie Białostockim.



Rozgniewany na ten niespodziany werbunek.

— Jestem szlachcic, rzekłem, równy każdemu. A cóżbyś pan rotmistrz powiedział na to, gdybym zaproponował wzajemnie, abyś zrzucił swoje bogate rycerskie ozdoby, bo to wszystko *vanitas*, i przypomniawszy na pieśń świętego Łazarza, a na koniec nędzny bogacza, który „*Pychę w sercu swém chował*,” oblekł się w nasz ubogi bernardyński habit, który ja panu dostarczę? bo gotów jestem w takim razie wnet powrócić do *Nieświża*.

*Una salus servire Deo, caetera fraudes!*

Bardzo *ad casum* przypomniałem sentencję z mojego raptularza.

— Oho! odpowiedział rotmistrz, to za mądrze na kwestarza. Zgadłem, że musiałeś wprzód żyć na większym świecie.

— A jużciż kwestarzem nie urodziłem się, ale kiedy na wzajemne propozycje nasze nie zgadzamy się, to niech Bóg szczęśliwie dobrodzieja prowadzi, a ja ruszam w moją drogę.

— Poczekaj, rzekł pan rotmistrz zsiadając z konia, nie rozstawajmy się tak w złych dyspozycjach: bo ani mnie dziś w podróży, ani waści w kweście się nie powiedzie. Nie chciałem cię wcale obrazić, dla tego i nie gniewam się za twą odpowiedź. Komu innemu możeby to na sucho nie uszło, lecz z tobą, bracie, zapijem tę sprawę. Dobyć z wozu zapasy!

— Niech i tak będzie, jak twoja łaska—rzekłem.

Dobyto więc nie żołnierskie, ale pańskie specyały: wódeczka gdańska, z którą odnowiłem dawną marszałkowską znajomość, potem wyborne szynki i pieczenie, tak, że się posiliło na cały dzień.

Pan rotmistrz ochoczo i wesoło częstował. — Daj dowód, mówił on, apetytem, żeś z prawdziwej wokacyi wstąpił do Bernardynów.—A gdy Marcin z innej flaszki skosztowawszy staruszki, pokręcił głową i rzekł do mnie — to nie nasza podróżna, mój Jegość!

— A macieź puzderko?—zapytał panisko.

— Mamy, JW panie!—odpowiedział Marcin, który bodaj i umyślnie się domówił.

— Nalać, rzekł rotmistrz, flasz parę stariej, a flaszkę gdańskiej kwestarzowi i dać mu szynkę na zakąskę.

— To dla ciebie, a to dla klasztoru—dodał, kładąc mi w rękę trzy dukaty ze złocistej i pękatej kieski wydobyte — weź na pamiątkę rotmistrza Pińskiej brygady, który kwestarzy do żołnierki werbuje.

— Bóg ci zapłać — rzekłem, uściskając pokornie kolana tak wspaniałego dobrodzieja. On siadł na konia i ruszył swoim obozem.

Gdym ja na swoją siadał kałamazkę, postrzegłem na ziemi książeczkę, wypadłą zapewne z za pendentą rotmistrza; podjąłem; o jakże się zdziwiłem, przeczytawszy tytuł: „*Żołnierskie nabożeństwo!*“ \*).

O zacny! o poczciwy! o bogobojny rycerzu! pomyśliłem sobie, niechajże cię wszystkie kule mijają! a twoja ręka, jak *Dawiła*, niech wali *Goliatów!* Powiadają, że w żołnierce ludzie się psują, że tam niema ni Boga, ni wiary; otoż dowód oczwisty że to fałsz i *kalumnia*. Pan widać z panów, od złota świeci jak słońce, a przecież w drodze pobożnie z książeczki modli się, urazy po chrześcijańsku przebacza i jeszcze hojnie obdarza tego, który go obraził. Książd gwardyan choć powiadał, że doktor i teolog, bodaj więcej sobie roi złego na świecie, niżeli jest w rzeczy samej.

Wtém ułan pana rotmistrza dognał nas, pytając czy nie znaleźliśmy pańskiej książeczki do nabożeństwa? Oddałem więc oną, wprzód pocałowawszy pobożnie, i rzekłem—Powiedz twemu panu, że oto tak całuje nogi jego ubogi bernardyn kwestarz, nietylko za to, że go hojnie obdarzył, ale i za to, że, w pańskim jego ciebie pobożna i chrześcijańska dusza. A jak się nazywa twój pan?

— Jaśnie Wielmożny rotmistrz Chomiński! — i odjechał.

— No! no! godny pan! niema co powiedzieć. Mówiłem, że Bóg da nam początek dobry; choć mógłby dać śmiało i jeszcze z parę czerwieńców bo worek djabelnie pękaty; ale teraz ludzie skępieją.

— A milcześnie do licha, rzekłem; czyż jeszcze mało? wszakże rawet o tobie nie zapomniał, i upodobanej wódki stariej parę flasz nalać kazał.

— Oj bo ja nie głupi; ja za jedną gdańską, wyprosiłem jeszcze dwie stariej u tego, który szafuje dobrem pańskim; a zatém mamy nie dwie, ale cztery flaszki staruszki.

— To źle, panie Marcynie, bo nie pamiętałeś na mnie; ja wolę jeden kieliszek, a dobrej wódki, niżeli dwa, a lada jakiej, bo upijać się nie lubię.

\*) Książeczka ta do nabożeństwa, dawniej dość pospolita, teraz nader rzadka.

— To nie po bernardyńsku, mój Jegomość! Mniejsza o smak, byle wiele i zdrowo; to grunt! a stara wódeczka do głowy nie idzie, tylko żołądek ogrzewa. Cały świat wie o tém, i cały świat mnie za ten handel pochwali. Jegomość pij i nie dbaj. A hej! *dropiaty!*

Nie było co odpowiadać mrukliwemu Marcinowi, a wtém wyjechaliśmy na pole, na którym domostwo pana Bielewicza ujrzeliśmy.

## U PANA BIELEWICZA. WOŁODKOWICZ.

### XV.

**W** wielkich puszczech Radziwiłłowskich żyją podłowczowie jak w folwarkach. Książęta osadzają tam najczęściej swoich zasłużonych sług ze szlachty, i byle sprawowali się poczciwie, a stawali sprawnie i ochoczo na polowanie i obławy, mają tam kawał chleba od ojca na syna. Leśnicy włościanie zarabiają ich ziemie i koszą siano po lasach; mają prócz tego pensyjkę ze skarbu książęcego; ze zwierzyny nie zdają ścisłego rachunku, i niczego im nie braknie.

Tak sobie siedzi i pan Bielewicz, staruszek czerstwy jeszcze i jary; sam odemknął nam wrota i wyprzedził mnie nawet w pobożném powitaniu bo ja na dziedzińcu lub w izbie chciałem powiedzieć: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!* a on we wrotach toż samo powiedział; Marcin odpowiedział mu: *na wieki wieków!* ot ja i został się z niczém.

Podwórko małe ale czyste; na środku krzyż z męką Pańską, okratkowany i daszkiem pokryty; domek z przyzbami dla siedzenia i grzania się na słońcu, z większemi okienkami po jednej stronie w świetlicy, z mniejszemi przykurzonemi po drugiej w piekarni; naprzeciw domu świronek z oknami u strychu, za któremi tłuste poćcie, poľadwice i kielbasy wędzone dyndały na powietrzu; dalej inne gospodarskie, małe ale opatrzone stajenki, odryny i chlewki. Około nóg starego myśliwca dwoje psów gończych płażało się, a tłusty wyżeł leżał spokojnie na przyzbie.

— Bóg zapłać Jegomościu dobrodziejowi, żeś do mnie zawitał—rzekł pan Bielewicz.



— To ja przywozłem dobrodzieja, bo to nowicyusz, nie wiedział gdzie zawrócić; a zawsze zaczynam kwestę od Jegomościa—odezwał się Marcin.

— Dziękuję więc i waszeci, panie Marcinie! rozgość się po staroświecku w stajni z siwą i dropiatym; *Eliasz* i *Barabasz* puść na osielicę, a Jegomościa dobrodzieja do izby proszę.

W izbie znaleźliśmy młodą gosposię za krośnami; jest to córka pana Bielewicza.—No, Hanulku! rzekł do niej staruszek, dodaj do obiadu zabitego wczora szaraka, bo Bóg dał miłego gościa. A Jegomość dobrodziej dziś odpocznij u nas, bo choć nie wiele jeszcze ujechałeś, ale wiele jeszcze masz przed sobą. Na obiad powrócą i moi synkowie, to i oni do nóg Jegomości dobrodziejowi uniżą się.

— Dziękuję, rzekłem, memu kochanemu dobrodziejowi za takie kordyalne mnie przyjęcie; na odpoczynek nawet do jutra chętnie przystaję, zwłaszcza, że dzień dzisiejszy, za łaską Boską, dobre nam nadarzył spotkanie, które opowiedziałem panu Bielewiczowi.

— Jeździłem i ja niegdyś—rzekł on—po całej Litwie, a szczególnie po województwie Mińskiem, gdym był dworzaninem u pana Wołodkowicza, niech Bóg świeci nad jego duszą, gwałtem z tego świata na tamten wypchniętą.

— Czy nie o tym Wołodkowiczu mówisz, który w Mińsku na trybunał napadł, i który strzelał baby jak kukawki?

— A o tym samym; tylko że fałsz to strzelanie bab na drzewach, jakby nam innej zwierzyny mało było. Hajdamaka byłci to wprawdzie, ale też były czasy kaducznie hajdamackie; kto był zuchwalszy, kto duży, ten i lepszy, ten miał i większą konsyderację, i szanowano go więcej, bo się lękano. Owszem, takiego gracza możniejsi panowie, potentaci nasi używali do sprawek i zuchwałości, na które sami odważać się nie chcieli; dla tego nie było dnia, gdybyś nie posłyszał, o zabojach, zajazdach i *wiolencyach* wszelkiego rodzaju.

Wołodkowicz był adherentem, a podobno i kolligatem naszego JO. pana i dobrodzieja, księcia Karola *panie kochanku*, który za życia swego ojca, księcia Michała *rybeńku* \*) hetmana, był natenczas jeszcze miecznikiem litewskim. [Szalona to za młodu była głowa, nim się piwko uchodziło.] Kiedy zacznie bywało szumieć, a sprawie-

\*) Przysłowie księcia Michała Radziwiłła, wielkiego hetmana W. X. L.—N. w.

dliwiej mówiąc, szaleć po Nieświżu, to *rybeńku* każe zwodzić mosty, aby do zamku nie wpadł. Więc gdy czy z jakiego partykularnego *rankoru*, czy z *imprezy* ułożonej, księżę chciał komu dopiec, Wołodkowicz wnet stawał gotowy, i spełnił co do joty zamiary i wolę księcia, dodawszy jeszcze i swojego.

Ale co najgorszego było, że w młodym wieku, bo wszystkiego nie miał lat trzydziestu gdy zginął, polubił on sobie często w pałkę zalewać. Wtenczas taki z niego bywał waryat, że albo jemu pomagać, albo uciekać trzeba było. Samemu djabłuby nie ustąpił! Jakoż nie raz latał w nocy jak szalony z gołą szablą po polach, i po błotach i po cmentarzach, a wyzywał upiorów i djabłów na pojedynki; tylko że żaden nigdy nie stanął na placu. Natenczas skarżył się Wołodkowicz—Co to za nieszczęście moje! księżę Karol ile razy zechce, to bije się z djabłami, a ja nigdy żadnego doprosić się nie mogę.

Zły duchże jemu i podszeptał postanowienie zostania deputatem na trybunał na *kadencyę* ruską, która się w Mińsku odbywała, do czego także go księżę prowadził i przyjaciółmi Radziwiłłowskiemi na sejmiku wspomagał; a nakoniec gdy został, do *sumptu* hojnie się dołożył, bo i kamienicę nam swoją w Mińsku na kwatere oddał, i z dóbr blizkich wszystkiego na kuchnię dostarczać kazał; a jeszcze przysłał *assynagacyę* do kupców na wino, ileby tylko nam potrzeba było.

Z początku szło wszystko wyśmienicie! Pan statkował; wprowadził bankietował i traktował po pańsku, ale nie szalał i nie hajdamaczył; obrano go nawet podskarbnym trybunalskim.

Marszałkiem trybunalskim był natenczas *Sapieha* \*), a vice-marszałkiem *Morykoni*. Ale *Sapieha* nie przyjechał na początek sądów, a Wołodkowicz nie rad był, że niżej siedział od *Morykoniego*, którego włochem i cudzoziemcem nazywał. Lecz i toby jeszcze uszło, bo pan *Morykoni* uważny i pomiarkowany pan, puszczał słowa Wołodkowicza mimo uszu; ale przypadła jakaś sprawa naszego *familjanta*, czy *Radziwiłłowska*, bo tego nie pamiętam, w której Wołodkowicz chciał na swoim postawić, a to nie udało się; powrócił

\*) Michał hrabia *Sapieha*, starosta puński, krajczy litewski, 1759 — 1760 r. Vice marszałkiem Michał *Morykoni*, starosta poniński.

więc z sądów jak lew rozjuszony i zaczął pić po dawnemu, przeklinając śmiertelnie cały świat, a wzywając i wyzywając wszystkich djabłów z całego piekła. Poznaliśmy, że będzie źle! Nuż my reflektować, nuż prosić, nic nie pomaga; zebrał chałastwę, która mu pić i wrzeszczeć pomagała, i nas pić przymusza. Całą noc, potem cały ranek jednostajna pijatyka i odkazanki, nakoniec pod wieczór wybiera się na trybunał.

Wszyscy przytrzymywaliśmy go jak mogli, i za poły, i za ręce, i za pas; ja upadłem mu do nóg, prosząc, aby nie szedł.—*Kirrye lejzon!*—krzyknął odpychając nas, bo to było jego przysłowie, gdy bywał w największej po pijanemu zajadłości.—Pójdę, choćby mię tam djabli wzięść mieli! pójdę i nauczę tego włocha, kto ja i kto za mną!—Widocznie ufał nieborak w Radziwiłła, a Radziwiłł był daleko!...

Szliśmy więc za nim; a że to było w wigilię festu Najświętszej Panny Maryi *Gromnicznej*, ofiarowałem się więc, leżąc krzyżem w czasie nabożeństwa, całej mszy tak wysłuchać, na *intencyę*, aby nam ten wieczór na sucho uszedł; ale nie było mi potem czasu dopełnić tego *votum*.

Gdy przyszedł na ratusz, gdzie sądził się trybunał, warta puściła go jako deputata, choć sąd był w namowie; my zostaliśmy w izbie przeciwkowej, w tłumie palestry i panów aplikantów.

Ledwo drzwi za sobą zamknął Wołodkowicz, wszczął się tam zgiełk szalony, potem szcęk szabli, a nakoniec otworzyły się nagle drzwi i krzyknęto—*Warta! warta!*

Wtenczas ujrzelśmy naszego pana przypartego do ściany, któremu odbierano szablę, a on tupał się ze wszystkimi i starał się dostać do drzwi.

W ten moment przypadł *Krajewski*, rotmistrz i komendant żołnierzy trybunalskich, a za nim kilkunastu *gemejnów*.—Kryminał!—krzyczano ze wszystkich stron; krew ciekła z ręki pana *Dłuskiego*, deputata ludzkiego, a co najgorsza, kawałek krucyfixu, z rączką od figury Pana Jezusa srebrnej odcięty, leżał na stole. Poznałem, widząc to, że wyzywany po tyle razy szatan kierować natenczas musiał ręką mojego nieszczęśliwego pana: bo on, chcąc przez stół dostać pałaszem Morykoniego; gdy ten się uchylił, ciął po krucyfixie.

Porwał więc *Krajewski* ze swoimi Wołodkowicza, ale z wielką męką, bo to był człowiek młody, silny i *determinativus!* porąbałby i żołnierzy, gdyby Szwykowski, także deputat a sławny osiłek, nie wyrwał mu z rąk szabli. Kiedy już go tak wzięli obławą i prowa-



dzili, to jest niesli gwałtem, to jak się razem uparł we drzwiach rękami, aż uszaki wzruszał, a ze złości pienił się i ryczał, od czci i wiary wexując cały trybunał, a szafując djablami, że aż uszy więdły. Oj, nigdy ja nie zapomnę tego tertesu i samego Wołodkowicza, bo on natenczas był czysty potępieniec.

— Do turmy! do kordegardy! i okuć excessanta, kryminalistę!— zawołał Morykoni do Krajewskiego, —i wartować z ostrą bronią!

Poznałem, że nieprzelówki! Poleciałem więc do kwatery, porwałem garść dukatów ze szkatuły pańskiej, która zawsze była pod moim kluczem, dopadłem konia i ruszyłem ile on mógł wyskoczyć do Nieswiża, szukając księcia Karola, bo on jeden mógł nas uratować.

O mil ośm koń padł, szczęściem blisko karczemki; kupiłem u żyda drugiego, płacąc ile chciał, i leciałem dalej. Stanąłem w Nieswiżu w nocy; dostukałem się do dworku znajomego mnie doktora, i dowiedziałem się, że księcia miecznika niema, że polował aż w Białej \*) na niedźwiedzie. Odmieniwszy więc znowu konia, puściłem się dalej. Noc ciemna choć oko wykol, i zawierucha powstała okrutna. Zbiłem się z drogi i musiałem czekać dnia w blizkim od Nieswiża zaścianku, a nazajutrz, dostawszy już saneczki jechałem, prawda, wygodniej, ale nie tak pośpiesznie, jak rzecz wymagała.

---

Szóstego aż dnia pod wieczór dopadłem księcia, i to w głębokich tutejszych ostępach. Gdy opowiedział co się w Mińsku stało, ksiązę jak oniemiał.—Panie kochanku!—krzyknął potem—pan Michał sfiksował się!

— Ratuń, ksiązę panie, bo zginie!

— Ja go z turmy wyratuję, choćby przyszło odbić, ale od biedy nie wyratuję. Niema on po co popasywać w kraju. To excess niesłychany!

Ksiązę wnet zebrał myślistwo, i w nocy przyciągnęliśmy do Białej.

Wielu godnych panów i z sąsiedztwa i przybyłych z księciem, polowało z nim razem, którym gdy ksiązę opowiedział z czem przyjechałem i zapytał o radę, każdy inną podawał: jedni zupełnie zaniechać i nie wtrącać się do niczego; drudzy pisać do Sapiehy, do

---

\*) Hrabstwo bialskie w obwodzie białostockim.

Morykoniego i deputatów; inni, a między tymi pan Sołohub, nieodstępujący nigdy księcia, i bodaj przez ojca mu do konfidencyi akkomodowany, radził jechać do Nieświża i spuścić się na influencję księcia hetmana. — Radzicie mi wszyscy, odezwał się książę, jak tchórze i partacze! a waść milczałbyś rzekł do Sołohuba. Mam opuścić przyjaciela w nieszczęściu? Nic z tego nie będzie. Nie jedź sobie, kiedy nie chcesz, panie kochanku! obejdę się i bez konsyliarzów, a dyrektorów moich dawno djabli pobrali. Mam zajechać do księcia ojca? a toć *rybenku* nie puści mnie i za próg z zamku; także *Mazzaniemu* \*) zamknąć bramy, mosty pozwodzić, i księcia miecznika bez ceremonii do kozy zapakuje. Czy to już raz tak bywało! Czy waść sam, panie kochanku, nie instancyowałeś za mną w takich terminach? I prawdę mówiąc, za to tylko i cierpię twoją filozofię i morały, któremi mię codzień napastujesz, a z któremi schowaj się teraz.

— Jednakowoż, mówiono księciu, Wołodkowicz po takim *excesie* sądu i kary ująć nie może, a spokojną i łagodną *influencją* więcej książę dokażesz, niżeli gwałtownym raptem na miasto i na trybunał, a zatęm gorszym jeszcze *excessem*, który splami na zawsze honor i imię księcia, a zmartwi najmocniej księcia hetmana, ojca waszój książęcój mości.

I nakoniec...—zaczął znowu Sołohub.

— Cóż nakoniec?—przerwał mu rozgniewany książę.

— Nakoniec możeby przyszło, cedził lekliwie jak przez zęby Sołohub, możeby przyszło waszój książęcój mości zmykać razem z Wołodkowiczem z kraju przed powszechną akklanacją, a potem starać się żelaznego listu, czego jeszcze z żadnym Radziwiłłem nie było.

Książę milczał, tylko głową kręcił; poznałem, że już miękczwał w zapędzie; odezwał się jednakże,—Kossowski! a waść co na to?

Kossowski ten żyje i teraz przy księciu; książę go lubi i z nim najczęściej baraszkuje: bo to wielki koncepcista, wydrwiwacz i śmiesznie bardzo komedye udaje. Jak tylko książę siedzi smutny, spuściwszy głowę i kułakami w kolana swoje tłucze, co znaczy, że w złym humorze, albo że się gniewa na kogo, wnet posyłają po Kossowskiego; już on potrafi i rozweselić pana, i wyprosić *ardon*

\*) Mazzani, komendant tamtoczasowy zamku i fortecy Nieświżskiej.

dla winnego, i w humor dobry wprowadzić \*). Czasami nawet przytnie księciu; ale i to jemu uchodzi, bo ksiązę go lubi i zna przywiązanie do siebie. Kossowski tedy na zapytanie księcia odpowiedział.

— Mnie się zdaje, mości ksiązę, że jak zacznem *klin klinem* wybijac, gdyby nas *kliny* nie rozparły.

— Mówcie co chcecie, rzekł nakoniec ksiązę, ja pana Michała nie odstąpię. On duszą i ciałem mój! on mój przyjaciel *a corde!* a ja mam spokojnie czekać aż zginie? Nie! moi panowie! nie!

— Kulesza! (to był łowczy księcia) ruszaj, panie kochanku, z całym myśliwstwem dniem i nocą do Kojdanowa; omijaj *Nieświż*; w Kojdanowie \*\*) roztasuj się w miasteczku i czekaj na mnie kup-

\*) Kossowski był aktorem teatru nieświżskiego, a lubo teatr ten bywał tylko w czasie karnawałów i nie trwał stale, Kossowski jednak ciągle rezydował na dworze księcia, bez żadnego innego obowiązku, jak księcia i licznych zawsze gości dowcipem swym bawić i rozrywać. Nie był to *trefniś z professyj*, ale niejako *locum tenens* tej *funkcyj*. Nie odstępował on nigdy dworu i wszędzie bywał z księciem. Zdarzyło się, że raz w Warszawie król dowiedział się o nim; ciekawy jego dowcipu i porównania z własnym podobnymże *exemplarzem*, zaprosił księcia na obiad, obowiązując aby w asystencyi swojej miał i Kossowskiego. Stało się jak król żądał. Gdy usiedli do obiadu, królewski chodził koło stołu i jak mógł zdobywał się na koncepta. Kossowski stał spokojnie i milczał; zagabany nawet przez kolegę, zbywał go niczem. Po obiedzie, król nie kontent z milczenia Kossowskiego:

— Mówiono mi rzekł doń, żeś dowcipny i wesoły; dla czegożeś dziś tak milczący? powiedz przynajmniej, co myślisz o moim *faceciście*, któregoś tak spokojnie słuchał?

— Nie śmiem, Najjaśniejszy panie! — odpowiedział kłaniając się najpokorniej Kossowski.

— Mów śmiało, proszę.

— Bez ogródek? Najjaśniejszy panie!

— Bez ogródek.

A wszyscy zbliżyli się i słuchali.

— On, rzekł Kossowski, większy głupiec, niż błazen.

Kossowski więc znał różnicę prawdziwego dowcipu od śmiałego tylko głupstwa.

Inną razą jakiś możny pan, gość w Nieświżu, spotkawszy Kossowskiego, rzekł doń:

— Kossowski! bądź u mnie.

— Jakto? z wizytą?

— Nie, na rezydencyi.

— A jakże nas dwóch pomieści się?... *N. w.*

\*\*) Kojdanów, miasteczko Radziwiłłowskie, o mil pięć od Mińska.



no; a rozpuść głos, że za przybyciem mojem, pociągniem w Nalibockie lasy na dziki.

Myśliwstwo nasze, mój dobrodzieju, to nie żart; każdy strzelec ma barwę i porządną rynsztunek; kurtka i szarawary zielone, pas skórzany szeroki, z tyłu na sprzążki mosiężne spięty, z dwoma tuzinami ładunków, a przy nich flaszka oplatana z wódeczką, i w osobnej kieszonce nóż, krzesiwa, skałki i inne myśliwskie spręciki; fuzya także na zielonej taśmie przez ramię, a przez drugie na takimże sznurze trąbka, przytém koń z całym moderunkiem i parą pistoletów w olstrach, a przy siodle trok na zwierzynę, oto cały porządek, bez którego gdyby ksiązę którego złapał, dałby sworami ze służby odprawę. A takich ludzi było i zawsze jest na polowaniu około księcia ze sut, nie licząc łowczych i podłowczych, bo my, jak oficerowie tego wojska, uwijamy się i komenderujem na obławach.

Nazajutrz, a to już był dzień siódmy od mojego wyjazdu z Mińska, puściliśmy się w podróż. Na jednych wielkich saniach łubem obitych, na jakich pospolicie w ostępy na obławy się jeździ, jechał ksiązę z panem Sołohubem i z hajdukiem, na drugich ja z Kossowskim i z jednym książęcym pokojowym, po cztery konie gęsiorem w zaprzęgu.

Ksiązę nie folgował ani sobie, ani ludziom, ani koniom; ale cóż, kiedy nocami jechać nie mogliśmy? bo taka ciemność, a zawieruchy tak strasznie mroźne i nieustanne, że koniecznie noclegi odbywać przychodziło. Nałożyliśmy jeszcze drogi manowcami, mijając Nieświż; a tak, aż piątego dnia w wieczór stanęliśmy w Kojdanowie. Znaleźliśmy już tam i *Kuleszę* z myśliwstwem, który tegoż dnia rano tam się przybił, lubo wielu w drodze poprzystawało, i przez cały dzień ścigali się pojedynczo. A to już był dzień dwunasty od mego z Mińska wyjazdu...

Córka przerwała dyskurs pana Bielewicza, donosząc, że obiad gotowy.

Zebrała się więc drużyna; chłopcy dwa dorodne, synkowie gospodarza, wrócili z lasów, i zasiedliśmy stół, odwiedziwszy wprzód puzderko. Panna Anna uwijała się jako gospodyni, przysiadła z nami ale często wybiegała do piekarni; pomagał jej Marcin i przynosił potrawy, ale *per modum* jak przyjaciel, nie jak sługa, bo razem

z nami nakładał sobie na miskę. Jedliśmy na talerzach z pięknej słuckiej gliny, białej jak farfura.

Barszcz ze schabkami smaczny, jakiego dawno nie jadłem, zając i bekasy pieczone, a *sielanka* na trzecie; a nakoniec przyniosła panna Anna dzban poliwany jabłeczniku, któryby nam wszystkim wytarczył, gdyby się we drzwiach z Marcinem nie spotkał. Ten, ujmując niby fatygi panience a ciężaru dzbanowi, z połowę duszkiem wychylił, i stawiając resztę na stole.—To rzekł, lepsze bodaj, jak nasze klasztorne piwo, które jeszcze ks. kanaparz chrzci wodą dla czeladzi, niech mu Pan Bóg odpuści. Jabłecznikowi temu przynajmniej lat dwie. Oj, znam się na tém!

— Dopijajże i resztę, a Anusia przyniesie dla nas drugi dzban.

— Lżej mi teraz, widzisz jegomość, gospodarzyć, gdy się dochowałem własnej gospodyni i tych chłopców. Lat ośm jak odumarała mi żona. Napłakałem się! Bogu o tém wiedzieć; a co się zmarnowało i potraciło w chudobie przez cudze ręce, a tego już nie spędzić.

— Zdaje się, rzekłem, że i tej gosposi wkrótce możesz się pozbyć, choć chwała Bogu innym sposobem.

— Prawda, rozumiem; już miałem kilku swatów, ależ za to mogę nabyć na jej miejsce dwie synowe.

— Niech Bóg błogosławi — rzekłem. A tymczasem panna Anna drugi dzban jabłeczniku przyniosła.

Podziękowawszy Bogu, a potem gospodarzowi za tak wysmienite uraczenie, poprosiłem o koniec *historii* Wołodkowicza.

— Pójdźmy, mój dobrodzieju, rzekł gospodarz, do odryny na świeże sianko; odpocznem trochę, a potem dopowiem jegomości wszystkiego.

---

Gdyśmy się razem prawie ocknęli, przypomniałem obietnicę.

— A na czémże stanąłem?—zapytał Bielewicz.

— Stanęliście w Kojdanowie z księciem.

— A tak. W Kojdanowie znaleźliśmy pełną karczmę ichmościów to do Mińska, to z Mińska jadących; niektórzy nawet oczekiwali na księcia, dowiedziawszy się od Kuleszy, że wkrótce tu przybędzie.

Pierwsza nowina nieszczęśliwa, którą nam jadący z Mińska hurmem wykrzyknęli, to:—Wołodkowicz dziś rano osądzony na śmierć, *in triduo* będzie rozstrzelany.

— Nie doczekają! krzyknął książe, ja ich samych... Kulesza! na koń z ludźmi i mnie wybierz konia najlepszego z pod którego strzelca. A Piąty te! a Herody nie sędziowie! Drżał cały ze złości i tupał nogami. Otoż to twoje mądre *consilia!* panie Sołohubie! Boddaj cię wszyscy djabli wzięli panie kochanku!

— A cóż ja winien? wszakże nie opóźniłem podróży waszjej książęcjej mości.

— Tak, ale przez całą drogę bębniłeś mi nad głową, że Sapięha przez wzgląd na mnie modyfikować będzie rygor prawa, i skończy się na wieży fundowej, z której Wołodkowicz uciecze.

— Sapięhy-bo nięma w Mińsku, odezwał się jakiś jegomość. Vicemarszałek Morykoni trzyma laskę. Wprawdzie zaraz po akcyi kilku posłańców poleciało do Bychowa, bo i Morykoni wysłał od siebie, i plenipotent księcia krajczego pchnął od siebie tatarą. Powrócili wczora obadwa i odwieźli rezolucye. Jaka do Morykoniego? nie wiadomo. Do plenipotenta swego zaś odpisał, że wnet się sam wybiera do Mińska, a bez niego Wołodkowicza sądzić nie będą. Tymczasem, widać że trybunał pomiarkował coś z listu swego marszałka, więc zaraz Dłuski, deputat lidzki, któremu Wołodkowicz rękę podciął, zrobił wniesienie; poczem nie schodząc z sądów, i przez całą noc siedząc w namowie, zrana ogłosili dekret *poenam colli*, to znaczy na gardło, i Wołodkowiczowi w kordygardzie przeczytali.

— Więc ani minuty nięma do stracenia! zawołał książe. *Periculum in mora!* panie kochanku! to znaczy się, niebezpieczeństwo....

— Nie tłómacz mi jegomość łaciny, przerwałem, bo ja umiem po łacinie.

— Doprawdy? To ja pierwszego takiego kwestarza widzę, który umię po łacinie.

— A ja pierwszego podłowczego.

— I to prawda. No, to niechaj sobie... kwita

— Dziwi mnie także, rzekłem, jak wszystko tak wiernie pamiętać możesz, że słowa nawet powtarzasz.

— O! mój dobrodzieju! nie tak-że to dawno było; trzydziestu pono lat nięma; a ja przegadując całą historyę nie sto razy i dzieciom swoim, i różnym tak jak jegomość ciekawym, wyuczyłem się jej na pamięć.

Już tedy książe miał ruszać, choć noc była cięmna, jako i przeszle.



— My za tobą, książę! — Krzyknęli wszyscy zebrani w karczmie.

— Dziękuję, pokornie dziękuję, rzekł książę, że biednego Radziwiłła nie opuszczacie. Kto ze mną, panie kochanku, i ja z tym. A te tam Filistyny, na złość mnie, chcą zabić mojego przyjaciela.

Wtém mocno zastukano do karczmy, a że pełna była, więc żyd i czeladź nie wpuszczała. Zastukał zatem w okno i zawołał ktoś — A jest tu książę miecznik litewski?

— Jest, panie kochanku! A kto waśc taki?

— Rupejko, dobry sługa waszój książęcej mości. Jadę z Nieświża i pilno mi do księcia pana.

— A puścić pana podstolego — zawołał książę.

Podstoli Rupejko, sławny głowacz, mecenas trybunalski, żyje i dotąd podobno, ale zebrawszy znaczną substancję, wyniósł się na Żmudz i kupił tam fortunę. Był on sługą i plenipotentem księcia hetmana, a miał i u księcia miecznika wielkie zachowanie.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! rzekł on wchodząc. Chwałaż Bogu, że księcia złapałem.

— Na wieki wieków, panie kochanku! A na co mnie łapiesz? i zkąd wiedziałeś, że tu ja tutaj?

— Książę hetman, ojciec waszój książęcej mości, wie dokładnie *quo ad horam* obroty księcia; wiedział raptowny wyjazd księcia z Białej, wiedział cały marsz armii myśliwskiej i wszystkie noclegi a popasy samego księcia; dla tego wysłał mnie tu, wiedząc, że tu w. ks. m. myśliwstwu czekać na siebie kazałeś.

— Dobry hetman, panie kochanku, z mego pana ojca, gdy takich ma szpiegów. To wiecie zapewne już, że Wołodkowicz na śmierć osądzony?

— Nie, tego jeszcze nie wiedziałem, i książę hetman, gdym z zamku wyjeżdżał, nie wiedział; ale jam to przewidywał, bo podług prawa stać się inaczej nie mogło.

— Nie mogło! nie mogło! o toż ja w tém, panie kochanku, że inaczej się stanie. No, o cóż więc idzie? panie podstoli! mów prędko, bo wnet siadam na konia.

— Czy nie mógłbym na osobności pomówić z księciem.

— Niéma czego się wstydzić, panie podstoli! wszyscy tu są przyjaciele domu naszego, mów więc co masz.

A zatem zaczął pererować pan Rupejko przed księciem, jak przed trybunałem. Już jego oracyi spamiętać nie mogłem, choć pil-

nie i ja i wszyscy słuchaliśmy. Ale treść rzeczy była taka: że książę, jako hetman, zakazuje księciu miecznikowi mięszać się w tę sprawę, a jako ojciec, zaklina, aby pamiętał na swoje imię; że *Radziwiłłowie* wiernie zawsze i poczciwie służyli krajowi, że salwowali często niewinność i sprawiedliwość, ale nigdy nie bronili takiej swawoli i występku, na który *horret animus!* że gdy książę hetman odmówił powiększenia warty trybunalskiej, a wasza książęca mość odbijesz teraz *delinkwenta*, który napadł na trybunał i któregoś sam na deputata wy kierował, cała zatém wina téj akcji padnie jak na syna, tak i na ojca, a cały świat *suspikować* będzie znowę obu dwóch z Wołodkowiczem na rozpędzenie trybunału, w którym zwłascza kilka spraw *Radziwiłłowskich* wątpliwego znaczenia *indukować* mamy. Słowem, Rupejko tak ze wszystkich stron dojeżdżał księcia, tak konwinkował, tak kruszył, że nakoniec książę impetycznie zawołał:

— Dość, panie kochanku, dość! Dajże radę! na miłość Boga, dajże radę!

— Rada krótka i gotowa, mości książę! Zaniechać Mińska, wrócić do Nieświża, uspokoić ojca.

— To niepodobna, panie podstoli, to niepodobna! Prawda, zgrzeszył Wołodkowicz i ciężko zgrzeszył, ale czyż dla tego ma umierać? Nikogo nie zabił, pokrzywdzonym czyni deprakację. Ja Dłuskiemu złotą rękę odleję. Występek, jak nazywacie, *status*, niech w wieży fundowej odpokutuje.... Ale śmierć, panie kochanku, śmierć! Nie szczęśliwy człowiek! jego cała nadzieja we mnie! on mój od dzieciństwa przyjaciel! Panie podstoli! radź inaczej, ja ci odwzięczę! dali bóg odwzięczę! panie kochanku.

— To poczciwe serce naszego księcia, gadali między sobą ichmość tam obecni; nie żal dla takiego zdrowie i życie ryzykować!

— Trudna insza rada, mości książę! rzekł pan podstoli, zwłascza po dekrete.

— Czy nie możnaby dopaść do Sapiehy!

— *In triduo* do Bychowa i nazad, rzecz niepodobna; a nakoniec cóż to pomoże, on dekretu trybunalskiego nie odmieni, i tém spokojniejszym będzie, że pisał do księcia hetmana, przez umyślnego, który dziś z rana odjechał z Nieświża z rezolucją; a w niej książę hetman zaręcza, że najmniej ochraniać Wołodkowicza nie myśli, że każdego gwałciciela spokojności krajowej ma za swego nieprzy-

jaciela. Toż samo odpisał i do pana vice-marszałka Morykoniego, który także odzywał się do księcia hetmana.

— A więc nie masz sposobu?— książe zapytał patrząc w oczy Rupejce, który wzrok ku ziemi spuścił i dumał. Wszyscyśmy milczeli....

— Trybunał, mości książe! zaczął znowu pan podstoli, odmienić swego dekretu nie może. Ale!... ale!...

— Cóż? panie kochanku! cóż? dla Boga! mów!

— Ale mógłby *suspendować* *execucyę* dekretu do jakiegoś terminu a natenczas starania u majestatu...

Nie dał mu dokończyć książe, rzucił się Rupejce na szyję, ścisnął go, całował.

— Panie kochanku! bierz co chcesz, byle tej *suspensyi* dopiąć. Potem wszystko łatwiej pójdzie. Jedź natychmiast do Mińska.

— Widzisz-bo książe, że jest jeszcze *cyrkumstancya*, nad którą mnie szczególnie zastanowić się trzeba. Książe hetman *publice* oświadczył, że ktokolwiek *directe* lub *indirecte* robić będzie jakiegokolwiek *influencye* w tej sprawie, używając imienia Radziwiłłowskiego, już więcej progów nieświęzkich nie przestąpi.

— Bądź spokojny, panie kochanku! ja ojca łatwo prześlągam, zwłaszcza, gdy się rzecz bez raptu obejdzie. A i moja przyjaźń panie podstoli, warta wszelakoż jakiejkolwiek *animadwersyi*.

Pan Rupejko znał dobrze, że lepsze słońce wchodzące, niżeli zachodzące, rzekł więc:

— Cóż mam robić? skarbiąc sobie względy waszej książęcej mości, zaraz jadę, dobiję się choć w nocy albo równo ze dniem do Mińska, i będę pracował; a jeżeli mnie się uda skłonić Morykoniego....

— A jeżeli się nie uda?— odezwał się ktoś z kompanii.

Na to zawołanie, jakbyś *insperate* z pistoletu nad uchem palnął, książe stanął, jak wryty, Rupejko spuścił głowę i wszyscy oniemieli.

— I pewnie się nie uda, dodał tenże jegomość, kiedy będzie rzecz z panem starostą Morykonim. Ja go znam dobrze: to człek twardy jak stal, czyli, co na jedno wychodzi, uparty jak kozioł.

Wszystkie więc nadzieje i księcia i nasze w łeb wzięły razem, patrząc zwłaszcza na minę pana Rupejki.

— Jednakowoż, mości książe! odezwał się nakoniec i pan Sołhub; niech pan podstoli próbuje szczęścia; projekt jego jest mądrym:



bo tym jedynie sposobem możnaby salwować Wołodkowicza. Niech jedzie i *operuje*; my tymczasem zostanmy tu i czekajmy.

Nim Wołodkowicza rozstrzelają, panie kochanku, albo nim książę hetman przysze tu *husaryę*, aby nas do Nieświża odprowadziła. Rozumna rada! nie ma co powiedzieć! Nie, panie kochanku! niech pan podstoli jedzie i operuje, ale niech przytém wiedzą panowie sędziowie trybunalscy, że ja tuż! i że, gdy operacye nie pomogą, ja moje rozpocznę, i bodaj skuteczniejsze.

Po długich jeszcze *certamentach* i radach, stanęło na tém, że pan podstoli wyjechał zaraz do Mińska, a my równo ze świtem wyruszyliśmy na obławy w lasy Smolewickie, które do samego prawie Mińska dotycają, a tam co godzina miał książę mieć wiadomości z miasta.

Potém każdy drzemał jak mógł. Książę siadł za stołem, położył na krzyż ręce na stole a głowę na rękach, i zaczął chrapać na całą izbę. Ja poszedłem do plebanii, bo znałem tam mieszkającego księdza kalwińskiego Kina, który i teraz żyje jeszcze; człowiek to bardzo zacny. Rozbudziłem go, oznajmiłem o bytności księcia, i o tém, że równo ze dniem wyjeżdżamy. To on wnet się zawiął koło śniadania, jakoż jak tylko na brzask, przysłał do karczmy kilka dzbanów grzanego piwa i wyśmienitych dwie misy zrazów, które zjadając książę odezwał się.—Otoż nam dogodził pocziwy Kin! gdyby nie *kalwin*, zrobił bym go, panie kochanku, *infułatem ołyckim*.

---

Raniuteńko, książę i myśliwstwo całe i nowi przybysze przyjaciele, jedni z ciekawości, drudzy z życzliwości siedliśmy na konie; a tak z półtorasta konnicy ciągnęło za księciem traktem mińskim, wszyscy gotowi na jedno słowo księcia, choć w ogień. Książę puścił się kłusem, i już mil z parę ubiegliśmy a dzień piękny się zrobił, gdy ostrzeżono księcia, że konie słabieją i że wytchnąby należało.

— Nic to, rzekł książę, kto ustanie, to ustanie; pod Mińskiem popas, i tam dosłyszmy Rupejki, a potém...

Ledwo to wymówił książę, ujrzelśmy lecącego ku nam od Mińska konnego; ja poznałem zdaleka naprzód konia naszego, a potém Surwinta, kolegę mojego w służbie Wołodkowicza. Postrzegłszy on nas, przypuścił konia, i doskoczywszy przed księcia—*Już po wszystkich!* rzekł, *nie żyje!*

— Kto? Wołodkowicz? Zwaryowałeś?

— Wołodkowicz! Rozstrzelali!

— Jezus! Marya! Józef! Kłamstwo!

— Nie kłamstwo, mości książę! Na własne oczy widziałem trupa; leży w kordygardzie i krew gorąca jeszcze ciekła z piersi i z uszu, gdym z Mińska wyleciał.

— Kiedy rozstrzelali?

— Dziś o w pół do trzeciej po północy.

— Gwałt! gwałt! krzyknął książę. A niechże mię ziemia pozrze, kiedy ja im to daruję. Wygubię tych rozbojników! Za mną! kto w Boga wierzy!

— I chciał puścić się pędem, ale wstrzymał konia za cugle Sołohub.

— Po co teraz? mości książę! Umarłego nie wskrzesim.

— Ja nie *Szczepanowski*, wskrzeszać nie umiem, ale zemścić się potrafię, ale *Piotrowinów* narobię! Niech ich potem kto chce wskrzesza. Ha! *Barabasze!* Puszczaj mnie, bo tobie samemu łeb rozplątam. — I rwał się do pałasza.

A Sołohub zeskoczył z konia i stanął naprzeciw trzymając zawsze książęcego konia za cugle.

— Płataj! jeżeli chcesz, książę! wolęj zrób ze mnie Piotrowina, czy Szczepanowskiego, niżelibyś miał w Mińsku męczenników robić.

— Ale darmo do Mińska, rzekł Surwint, nie ma tam już ani pana Szczepanowskiego, ani pana Piotrowina, ani żadnego deputata, (trzeba Jegomościu wiedzieć, że Surwint poczciwy żmudzin, ledwo podpisać się umiał i nie wiedział nic o cudach ś. Stanisława), bo zaraz po rozstrzelaniu Wołodkowicza rozjechali się wszyscy, a po prostu mówiąc, puciekali, i sam nawet pan Morykoni pojechał do Bychowa do księcia Sapiehy, a deputaci każdy w swoją stronę; ale nikt w tę stronę, bo wczora wieczorem rozszedł się po mieście rumor, że książę z wielkiem wojskiem lecisza na odbicie Wołodkowicza, i dla tego co mieli za trzy dni rozstrzelać, to nie czekając dekretowego terminu, rozstrzelali w nocy.

Książę więc zszedł z konia, spuścił głowę, *Requiem aeternam dona ei Domine!* po kilka razy powtarzał i ocierał z łez oczy.

Ja płakałem jak bóbr, a Surwint chlipał jak dziecko.

Książę siadł znowu na konia, zawrócił nazad i kazał Surwintowi jechać obok.

— Opowiedz mi waść całą tę tragedję — rzekł do niego.

Niema co i mówić, JO. książę panie! zastrzelili i po wszystkim — rzekł Surwint chlipając.

— Zgłupiałeś z wielkiego żalu, panie kochanku!

— A cóż? JO. książę! jak on napadł na trybunał...

— To wszystko wiem od Bielewicza; mów tylko co było po dekrete.

— Po dekrete? Jak jemu przeczytali w kordygardzie dekret, tak zaraz pan rotmistrz Krajewski rozkazał przynieść kajdanki. Wołodkowicz żadną miarą okuć siebie nie dozwalał. — Jestem szlachcie, mówił; kiedy potrzeba umrzeć, to dzień się wola Boża! Nie jestem nawet *jure victus*, bo nie dano mi ani czasu, ani patrona do obrony, a zatém wara z kajdanami! wara!

Krajewski perswadował i przepraszał nawet, że musi spełnić dekret trybunalski. Jakoż choć się dąsał, przy pomocy jednak kilku gimejnow, włożono mu łańcużki na nogi.

Wołodkowicz, obaczywszy się okutym, gorzko płakać zaczął; załamywał ręce, że aż wszystkim żal się jego zrobił. Opowiadał mnie to wszystko przy trupie, porucznik warty trybunalskiej pan Sielanko \*).

Poprosił potem nieboszczyk Krajewskiego, aby mu dozwolił widzieć się z którymkolwiek swoim dworskim. Zgodził się rotmistrz. Posłano do kamienicy, i ja wnet przybiegłem. Oj! Bogu znać, a nie odpowiedzieć ja mogę księciu, co się ze mną działo, gdy m postrzegł okutego mojego pana. Hrymnałem mu do nóg, i oba zaryczeliśmy z płaczem. Warta, choć to żołnierze, a płakali także, bo serce krajało się, i teraz się kraje, JO. książę panie!

— Czy jest mój brat pan Józef?

— Niema, odpowiedziałem; dostał maligny jak się dowiedział o nieszczęściu pańskim, i zostawiłem go leżącego bez nadziei, bom były u niego.

— Gdzie Bielewicz? — zapytał.

— Zaraz po wzięciu pana poleciał do księcia Karola Radziwiłła.

— To dobrze! i zicha dodał: książę Karol mnie nie opuści. A nie masz żadnej ztamtąd wiadomości?

---

\*) Krajewski rotmistrz, a Sielanko porucznik warty trybunalskiej. Ostatni umarł jeszcze w 1812, w powiecie oszmiańskim. *N. zc.*



— Nie ma żadnej szczególnej, ale po mieście jak w bęben biją, że książę łąda godzina wpadnie z wojskiem i odbije pana.

— Więc w Bogu nadzieja! rzekł on rzeźwiąc trochę.

Rzucił potem na stół parę dukatów. — Krajewski! każ przynieść wina. Na frasunek napiję się z moim pocziwym żmudzinem.

— Życzyłbym panu, odpowiedział Krajewski, upamiętać się; ostrzegam, że tu nie ma żartów. To nie taki frasunek, który w winie utopić można. Kiedy żelaza na nogach, o Bogu nie o ludziach myśleć trzeba; i dla tego ja życzę panu wezwać kapłana i wypowiedzieć się.

— Wypowiadam się, odpowiedział hardo mój pan, na Wielkanoc. Waść mi kajdanki włożyłeś, ale będzie taki, co zdejmie, i może kogoś niemi opatrzy. Każ przynieść wina!

— Nie tylko nie mogę wypełnić tego rozkazu, ale nie mogę dłużej zostawić tu sługi pańskiego. Panie Surwint! pożegnaj się ze swoim panem i wychodź.

— Panie rotmistrzu dobrodzieju! rzekłem wtenczas ściskając jego kolana, pofolguj. Czy to nie dość za takie błazeństwo, że pana mego, który jest pan z panów, w kordygardzie trzymacie, żeście mu łańcużki włożyli, że go śmiercią straszycie, gdyby jeszcze i dłużej tak go dręczyć? Wszak zresztą panu Dłuskiemu palce się pogoiły, a z Panem Bogiem łatwiej jak z ludźmi. Za przypadkowe przecięcie krucyfixu zmuruje kościół pan mój; chwała Bogu ma z czego. Dalibóg, panie rotmistrzu, puszczaj nas już jegomość wolno, i sam nie pożałujesz tego.

— Jesteś pocziwy szlachcie, panie Surwint, odpowiedział mi Krajewski, ale wybaczej, głowa nie do rady. Wiedz o tem, rzekł jeszcze, biorąc mnie za rękę, że ani ja sądzę, ani ja kuję, ani ja strzelam. Trybunał osądził, trybunał zakuł, trybunał i...—Zamilkł Krajewski, a Wołodkowicz dokończył—i *rostrzela!*

Usiadł potem na zedlu za stołem, głowę oparł na rękach i zamyslił się. Krajewski także milczał, a ja płakałem stojąc jak wryty. Nakoniec rotmistrz powtórzył mnie znowu rozkaz pożegnania się z panem i odejścia; zbliżyłem się więc do biednego zamyślonego, a on, nie podejmując głowy—Bądź zdrow! powiedział, obaczmy się może na Jozafatowej dolinie! a ciszej dodał:—Kiedy do jutra rana nie będzie tu Radziwiłła, leć do Nieświża, bo zginie!

Nie wiem czy Krajewski to słyszał, ale ja ucałowałem kolana pańskie, i wyszedłem, niosąc kamień na per.

W mieście był ruch szalony. Trybunał jeszcze ściślej się zaparł; warty wszędzie, i w bramie i na wschodach srogie porozstawiano: po ulicach i na rynku panowie palestranty, aplikanty, agenty i rejenty, kompanjami chodzili, rezonując i wróżąc i tak i o owak.

Jedni mówili — Już po nim! Dekret trybunalski! appellacya do pana Boga! spadnie gałka! — Drudzy mówili — [Trybunał z dekretem, a *Radziwiłł* z muszkietem!] Obaczym zaraz gościa, mówili.... On go z tej kozy wydobędzie, a od *Radziwiłła*, to już go i sam djabeł nie wydobędzie.

Inni znowu mówili, że za porąbanie krucifixu będzie musiał po *absolucyę* piechotą do Rzymu wędrować, a drudzy, że będzie musiał dyscyplinować się u Bernardynów, pod lampą. Mówili też: dyscyplinował on nie jednego, niechże poprobuje tegoż samego specyału! — Ale wszyscy ciekawi byli końca a nikt bodaj nie wierzył, że stanie się podług dekretu.

Gdym wyszedł z kordygardy, otoczyła mnie tłuszcza wielka, sypiąc pytania bez końca, ale mnie jakby mowę zajęło i w głowie się pomięszało; rozpychałem tłum nic nie odpowiadając, i wpadłem do kościoła OO. Bernardynów otwartego przed nieszporamai, dałem talara na litanję i na *Sequeris*, i krzyżem leżąc, słuchałem tego....

— Mniejsza, rzekł książe, o twoje własne *particularitates*; mów co się działo z Wołodkowiczem?

— On, jak mnie powiadano, po mojem wyjściu doprosił się u Krajewskiego butelki wina, wypił ją duszkiem, rozciągnął się na swoim łóżku, bo mu piérwej już dali łóżko i pościel, i zasnął w najlepsze.

Tymczasem nadszedł wieczór; Krajewskiego wezwano do trybunału; bawił się tam godzin z parę czy więcéj; wróciwszy, obudził Wołodkowicza, wyjął z za nadry papier, i rzekł doń — Czytaj!

A był to rozkaz na piśmie dany od trybunału Krajewskiemu, rozstrzelania *delikwenta* we trzy godziny.

— Jaktó?—zrywając się z łóżka krzyknął Wołodkowicz. Dekret dał mi czasu trzy dni. Ciż sami podpisali ten rozkaz, którzy podpisali i dekret.

Dobył potem Krajewski zegarek—Pół do dwónastej, rzekł: masz czasu do pół do trzeciej. Za każdą minutę odpowiedzialny jestem. Polecaj Bogu twą duszę. Niéma żadnego ratunku. Posłałem po księdza.

— To być nie może! to być nie może, gdybym miał tak marnie zginąć! gadał Wołodkowicz, suwając prędko spętanemi nogami a wlokąc łańcuchy po ceglach. Szwykowski! mój brat cioteczny! Boże mój! i on mnie potępił! Panie Krajewski! Bogu i ludziom odpowiesz.

Wtém wszedł i ksiądz; Krajewski, postawiwszy czterech żołnierzy z nabitą bronią we środku przy drzwiach, rzekł do nich—Bacznąć na delinkwenta! głową odpowiadacie. Sam wyszedł.

Trzeba wiedzieć JO. książe panie, że ja z kościoła poszedłem do celi księdza brata mego stryjecznego, także Surwinta, spowiednika w klasztorze mińskim. Siedziałem tam jak zabity, bo spać nie mogłem, a równo ze dniem myślałem ruszyć do Nieświża, szukając księcia. Otoż właśnie wszedł do mojego brata ksiądz Gwardyan, a za nim żołnierz.

— Idź, ojcze, za tym żołnierzem, rzekł Gwardyan, wypowiadasz i przygotujesz na śmierć Wołodkowicza.

— Pan rotmistrz kazał mi prosić, odezwał się żołnierz, ażeby ksiądz spowiednik wziął z sobą święty wijatyk, lecz aby szedł bez dzwoneczka.

— Jakto? rzekłem, wszakże jeszcze dwa dni z dekretu mu się należy.

— Ja tego nie wiem, odpowiedział żołnierz, a robię co mi kazono.

Szedłem z księdzem spowiednikiem, ale Krajewski rozstawił naokoło kordygardy, na rynku na kroków jakich pięćdziesiąt szyldwachy, i kazał strzelać, jeżeliby kto za tę linję przestąpić ważył się; i kiedy kto się przybliżał, to szyldwach krzyczał—Nie następuj, bo strzele!

Księdza spowiednika więc przeprowadzono, a ja musiałem zostać. Ludu też było pełno na rynku, a z sądowej trybunałskiej świeciły się okna, jak z kościoła podczas roratów.

Lecz wreszcie tłum rozchodzić się począł.—Już dziś nic nie będzie, mówili. Zwyczajnie Wołodkowicz zapotrzebował księdza, to mu go i przyprowadzili, ale kiedy i rozstrzelają, to chyba na trzecim dniu. Ale ja doczekałem powrotu księdza brata i oka z kordygardy nie spuszczałem. W oknach tam światła biegały jakby przenoszone z miejsca na miejsce, ale nie mogłem zmiarkować coby to było.



Nagle i raptem błyskawica tam i piorun!... szyldwuchy stanęły jak wryte; wnet strzał, drugi mniejszy, a potem cicho, i jedna już tylko świeczka migiała przez szybkę w kordygardzie. Mnie mrówki przeszły po skórze. Lud z domów wysypywać się zaczął; a ja ujrzałem księdza brata umykającego śpiesznym krokiem przez rynek; zabiegłem mu drogę, schwyciłem za rękę—Stój! księżu!

— Wołodkowicz już przed Bogiem. Chodź za mną.

— Nie, rzekłem trzęsąc się jak osina, pójdę, obaczę nieszczęśliwego pana mojego.

— Próżno, nie wpuszczą cię. Chodź, mówię, ze mną.—I pociągnął mnie za rękę. Otoż, JO. księżu, w celi, gdy mnie trochę drzączka odeszła, rozpowiedział mi ksiądz brat ostatni *termin* Wołodkowicza.

Gdy przybył ksiądz, on jeszcze włóczył się po kordygardzie, dąsał się i złorzeczył; ale jak postawił krucyfiks na stole, a przed krucyfiks złożył święty wijatyk, Wołodkowicz spojrział na Ukrzyżowanego, i przyszedł mu widać na pamięć jego excess i rozcięcie krzyża sądowego; upadł więc na kolana—O Chryste Jezu! zawołał płacząc, zgrzeszyłem! śmiertelnie zgrzeszyłem! ale żałuję z całego serca, z całej duszy żałuję! Przepuść winę moję, i kiedy już mam śmiercią zapieczętować grzechy, dajże mi przynajmniej stanąć przed Tobą z czystym sumieniem. Ojczel! spowiadaj mnie! Odeszliśmy więc, powiadał mi ksiądz brat, w koniec drugi izby; usiadłem na zędlu, on ukląkł, i z całego życia najszczerszą spowiedź uczynił.

Daj Boże każdemu dobremu taką skruchę i żal mieć szczéry, jako ten nieszczęśliwy. Uznał w zgonie swoim wolę Boską i skrócenie czasu, któregoby pewnie użył na dalszy grzeszny jako i dotąd żywot, przebaczył swoim sędziom, słowem, ze lwa srogiego stał się łagodnym barankiem.

Rozgrzeszyłem go więc, i mam nadzieję w Bogu dobrotliwym, że co rozwiązałem na ziemi, rozwiązaniem będzie i w niebie. Zaczęliśmy potem mówić psalmy pokutne, a potem modlitwy nad konającym. Aj ciężki to obowiązek, mój bracie, kapłana, powiadał mi ksiądz brat, kiedy rozmawiać musi z tym, który za chwilę z Bogiem rozmawiać będzie... Serce mi się krajało z żalu, i własnym życiem odkupiłbym młode jego lata. Wszedł Krajewski. Ja coraz to dłuższe wynajdywałem modlitwy... a nuż cud Boski... i zkańkolwiek salva!!!

Krajewski spójrzył na zegarek na stole leżący, na który ja oczu obrócić nie śmiałem, powiadał ksiądz brat, przeszedł się jeszcze razy z kilkanaście, nareszcie rzekł do mnie:

— Ojczy! uczyniłeś twoję powinność gorliwie, ja muszę moje wypełnić!...

— Panie rotmistrzu! rzekł powstając z kłęczek Wołodkowicz, na dowód żem szczerze z Bogiem się pojednał i żadnego w sercu na nikogo nie zachowuję gniewu, proszę podaj mi rękę. Krajewski podał mu rękę, a drugą łzy sobie ocierał.— Panie! rzekł mu przytem, mówiłem, że nie ja sądzę, nie ja rozstrzelam, a przeklinam moję nieszczęśliwą terażniejszą godzinę. Księżę! wracaj już do siebie....

— Nie, rzekł Wołodkowicz, nie opuszczaj mnie, ojczy! Patrząc na tego, który mię z Bogiem pogodził, lżej mi będzie umierać.

Nie mogłem odmówić już jakby konającemu téj prawdziwie kapłańskiej posługi, ale Bogu wiedzieć, jak mi to ciężko było.

— Panie! rzekł znowu Krajewski, czas jest.... Skinął na unter-officera, a ten wprowadził sześciu żołnierzy z bronią na ramieniu. Stanęli obok czterech wartujących.

Przeraziło to mocno Wołodkowicza; załamał nieborak ręce— O Boże! Boże! wykrzyknął, o bracie mój Józefie! o Włodzimierzu biskupie, stryju mój! krewni! przyjaciele moi! gdzie jesteście? Księżę Karolu! gdzieś ty?

— Nie gadaj waść, nie gadaj. przerwał księżę, becząc w głos jak dziecko, nie gadaj, bo wytrzymać mi trudno.... Darował on nieprzyjaciołom swoim, ale ja im dalibóg nie daruję... gdyby zginąć przyszło!!!

— Jakże dalej?

— Dalej mówił znowu Krajewski do Wołodkowicza — Nie zechcesz zapewne, panie, abym gwałtem...

Wołodkowicz nic już nie odpowiedział, stał oniemiały jakby bez przytomności.

Dwóch żołnierzy wzięło go pod ręce, i podprowadzili, a raczej podciągnęli go do muru, Krajewski zawiązał mu oczy; ale że ustać na nogach nie mógł, opuścili go więc na kłęczki.

— Ja podbliżyłem się natenczas, powiadał ksiądz brat, i przykładając krucyfiks do ust jego, rzekłem głośno— Polecaj się Bogu, Michale, i ufaj w Jego miłosierdziu!

Cud boski! cud! na te moje słowa odzyskał siły i przytomność, ucałował krzyż. Krajewski dał mi znak... oddaliłem się, a Wołodkowicz zaczął mówić—*W ręce Twoje, o Boże, polecam...* Kule prze-cięły mowę i modlitwę; upadł, ale padając krzyknął—Jezus! Marya! Józef!...

Podskoczył Krajewski; Wołodkowicz żył jeszcze i rzucał się na ziemi, lubo krew ryszotkiem płynęła; skinął więc na unteroficera, a ten z pistoletu wystrzelił mu w ucho i dobił.

---

— Wyszedłem ja zaraz, JO. ksiązę, od księdza brata... mówił dalej Surwint.

— Mniejsza tam zresztą, panie kochanku!...

— Nie, JO. ksiązę, bo wyszedłszy, sam widziałem jak deputaci w nocy wyjeżdżali z miasta, i doprosiłem się do trupa; obaczyłem więc kochanego mojego pana! pomodliłem się przy nim za jego duszę, i dowiedziałem się, że dla tego od razu nie zabito, że on, jako pobożny katolik, (ktoby to się spodziewał, patrząc na jego hajdactwa i swawole), nosił na piersiach obraz Najświętszej Panny na srebrnej blasze, to Ona trzy kule odbiła od jego serca i za żupanem je znalazł.

— A czemużeś waść tych kul nie przywiózł?—rzekł ksiązę.

— Pan rotmistrz zabrał je sobie; prosiłem choć jednej, i mówiłem, że zawiozę JO. księciu panu.—Oho! odpowiedział Krajewski, żeby potem niemi mnie potraktował? Nie dam żadnej... i wyprawił mnie z kordygardy. Więc ja wnet na konia, i spotkałem waszą książęcą mość.

---

Potem rozpowiadaniu Surwinta, jechaliśmy cicho, książe milczał, ani słowa do nikogo nie rzekł; i tak w kilka godzin dojechaliśmy do Swierżnia. Ksiązę zawrócił przed kościół, zawołał plebana, dał mu kilka dukatów, kazał dzwonić za duszę Wołodkowicza, a ponieważ jeszcze nie po mszy był ksiądz, więc mu żalobną mieć zalecił. Wszyscy słuchaliśmy jej nabożnie, a po ukończeniu, ksiązę zaintonował: *Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie!* a zatem w półtorasta przynajmniej głosów prześpiewaliśmy to polecenie duszy Wołodkowicza Bogu. Ksiązę odprawił myśliwstwo, a poglądając na nas z Surwintem, zapytał—Czy waść szlachta?

— Szlachcic jestem, mości ksiązę, z pod Oszmiany.



— A, to waść szlachcic oszmiański! a czemuż to panie kochanku, obie nogi masz w bótach? — (Bo musiałeś to jegomość słyszeć, że nie wiedzieć zkąd jest ta pogłoska, że okoliczna szlachta oszmiańska jedną nogę w bucie, a drugą w łapciu nosi).

— A ja, odezwał się Surwint, szlachcic z pod Rosień.

— A, to waść Żmudzin, panie kochanku! No! obadwa z pocziwych gniazd i pocziwi ludzie widać jesteście, bo przywiązani do waszego pana, macie więc u mnie służbę; jeżeli zgoda, to za mną do Nieswiża; potem obaczym kto do czego zdalny.

Uścisnęliśmy kolana księcia i za nim ruszyliśmy w tropy.

Otoż masz jegomość dobrodziej całą historję śmierci Wołodkowicza, jakbyś na nią patrzył, a na ostatni koniec Hanulka moja zaśpiewa jegomościu pieśń o nim, którą on sam przed śmiercią złożył. Anulku! Hanulku!

Przybiegła dziewczyna do wrót odryny.

— Zaśpiewaj jegomościu pieśń o Wołodkowiczu.

— Zapomniałem, tatuleńku!

— Nie kłam, moje dziecię! onegdaj jeszcze prześpiewałaś ją od deski do deski przed panem Żabczycem, twoim *per modum* kawalierem, więc śpiewaj mnie zaraz.

Panna Anna zaczerwiniła się, i spuściwszy oczy, zaczęła śpiewać. Niema co mówić, głos bardzo piękny i ciekki.

Obacz, ojczyzno, jaka twoja strata!  
Gdzie twa nadzieja? kędy moje lata?  
Ledwie ze światem zabieram przymierze,  
Jeden mi życie cudzoziemiec bierze.  
Wiadomy Bogu, przyjaciołom miły,  
W śmiertelne od was dziś idę mogiły.  
Nie exces żaden, ani krwi wylanie (???)  
Lecz zazdrość pisze z światem mi rozstanie.  
Dom starożytny, senatorskie progi,  
Stargał to wszystko jeden tyran srogi!  
Jak niegdyś Tracki Buzyrys dla koni  
Krew ludzką miotał, zjadł mnie Morykoni.  
Sądowa izba, spraw wszelkich świątnica,  
Istotna dla mnie stała się rzeźnica.  
Przebóg! wszak prawo powzięte z ryczałtu  
Nie każe czynić pod sądami gwałtu;  
Mnie z sądów wzięwszy sędziego elekta  
W równości kreślą, formują dekreta.

Omijam innych, ty ciotecznym bratem  
Szwycowski będąc, stałeś mi się katem;  
Z mych rękę przez cię odebrana szabla,  
Krew niewinnego wlewa na cię Abła.  
Sądzą mnie zatem nie dawszy patrona—  
Wszak i zabójcom wolna jest obrona—  
Kują i biorą do ścisłej katuszy  
Trzy ledwo wolne godziny dla duszy.  
Najświętsze, proszę, dajcie sakramenta—  
Zegarek na stół — tak liczą momenta!  
Wtém i ta Matka, co cały świat broni,  
Wtenczas mnie swoim puklerzem zasłoni,  
Gdy blisko do mnie wystrzelone kule  
Od Jój obrazu spadły jak pakule.  
Czynię poprawę, srogości dość ze mną,  
Jam rzekł: Maryo! zmiłuj się nade mną!  
Zatém gdy acz, co wszystkich nas nie minie,  
Nim się w Józefatowej obaczym dolinie,  
Żegnam cne domy, gdy mi czas domierza,  
Stryja pasterza żegnam Włodzimierza,  
Byłeś mi ojcem i nie skąpym w darach,  
W najświętszych pamięć miej o mnie ofiarach \*).

— To widzi Jegomość, jak to on składnie skoncypował, i jeszcze kilku godzinami przed śmiercią; to także cud, dodał Bielewicz, bo on przez całe życie ani książki ani pióra w rękę nie trzymał.

— Chyba po śmierci tę pieśń ułożył—rzekłem.

— Jakto? — zapytał zdziwiony Bielewicz.

— A naturalnie, że chyba po śmierci, bo jakżeby mógł pisać o tych kulach, które od obrazu Matki Boskiej odbiły się?

— Ach! poczekaj tylko Jegomość... — pomyślił pan Bielewicz.— A dalibógże prawda! To nie on, to ktoś inny widać napisał. Proszę uniżenie! Oto mi mądra Jegomościna głowa! od razu spenetrował prawdę; a ja kilkanaście lat wierzyłem, że to mój kochany pan na pożegnanie złożył.

Wieczór nadszedł. Poszliśmy z gospodarzem na łąkę, gdzie już trzeci stóg siana wyrastał, a na nim harcował mój Marcin, mając przy sobie flaszkę z naszego podróżnego puzderka. Poznałem więc, że zapasy nasze będą zawsze pod jego *kustodyą*. Wkrótce stóg się za-

\*) Pieśń tę czyli lament jeszcze i teraz posłyszec niekiedy można śpiewaną przez szlachcianki okoliczne na Litwie.— *N. w.*

wierszył. Zasiedliśmy do chłodnika i kureząt, a po wieczerzy każdy w swoją stronę na paciorki, i potem każdy na swoje miejsce na odpoczynek. Moja kwatery w świronku, do którego wprowadzając mnie pan Bielewicz, rzekł—Jegomości dobrodziej jutro po śniadaniu ruszysz w drogę. Już to moja Anulka częstować będzie, bo ja z synami przede dniem wybiorę się na młodzież i na zajęczki w dalsze knieje od domu. A tak dziś żegnam Jegomości dobrodzieja: Dziękuję najpokorniej za odwiedzinę, i proszę nadal nie mijać ubogiego mojego domku. Baran mój już przy *prewodyrach*.

— Nie, nie, odezwał się słysząc to Marcin; spać długo nie dam mojemu Jegomościu. [*Kto rano wstaje temu Pan Bóg daje.*] I my przede dniem razem wyruszym.

Znowu poznałem, że nie tylko moje puzderko, ale i ja jestem pod *kustodyą* pana Marcina.

Tak się i stało. Jeszcze się niebo czerwieniło tylko na wschodzie, kiedy wypiszy po kufelku grzanego mleka, wyruszyliśmy za wrota, my z Marcinem na naszych kałamaszkach, a pan Bielewicz przy nas piechotą z dwoma gońcami i wyżłem. Ojciec z synami w uniformach wyżej opisanych myślistwa Radziwiłłowskiego.

Postępowaliśmy cicho, bo każdy modlitewki poranne odmawiał, pieski tylko ciągnąc się na sforach, odzywały się niekiedy i po ranniej rosie znaczyły swoje ślady obok drogi.

Nakoniec i słonko się pokazało. Pan Bielewicz, skończywszy paciorki—No, synki! na dobry humor i na szczęśliwe polowanie, *zajęca*.

Więc huknęli synkowie, a z nimi ojciec basem:

[ „Siedzi sobie zajęc pod miedzą, pod miedzą,  
A myśliwi o nim nie wiedzą, nie wiedzą;  
Siedzi sobie lamentuje,  
Testament życia spisuje,  
Śmiertelny! śmiertelny! \*)].

Aż echo rozległo się po kniejach. Ja zawróciłem się na lewo ku gościncowi, a myśliwce zapuścili się drożką w las. Długo jeszcze słyszeliśmy ich pieśń wesołą; nakoniec pieski doławiać się zaczęły; więc odezwała się trąbka i razem ho! ho! był tu kot!!! kot! kot! tu! tu! tu! że aż nam w uszach zadzwoniło. Pieski zagrały, i na sercu mnie tak grało, tak wesoło stało się, że aż miło!

\*) Dawna piosnka myśliwska. — *N. w.*



## POPAS I UWAGI MARCINA.

### XVI.

Czwarty to już czy piąty dzień był po naszym wyjeździe z klasztoru, i przy *Barabaszu* i *Eliaszu* trzodka się powiększyła. Żaden dwór lub dworek nie chybił nam jeszcze z baranem; w kalitce nawet mojej do czerwieńców pana rotmistrza przybyło kilka talarów bitych i złotówek. Wszędzie mnie przyjmowano łaskawie a obdarzano chętnie i skwapliwie, wszędzie pocziwie i po chrześcijańsku żyjące znajdowałem państwo i chudopacholstwo, wszędzie traktament i gościna i przynuka zawsze, tak, że wyjeżdżać czasami nie chciało się, a nigdzie jeszcze nie spotkałem się z owym niedowiarstwem i zgorzeniem, o którym ksiądz gwardyan namieniał.

Przebywszy Niemen w Mikołajewie, ciągnęliśmy się gościńcem. Popasy nasze odbywaliśmy zawsze pod gołym niebem, jeżeli nie we dworze jakim. — Po co nam do karczmy? mówił Marcin; mamy zawsze z łaski dobrodziejów zapas podróży, i baranów napasimy, i sami posilim się, i nic nie zapłacim.

Mieliśmy więc, podług zwyczaju, mijać karcznię, do której dojeżdżaliśmy, ale postrzegłszy przed nią stojącą piękną karocę, która widać do stodoły wleźć nie mogła, a stodołę pełną wozów i koni, a zatem pomiarkowawszy, że to jakiś dwór pański zajechał na popas, postanowiłem i tu pokorną moją odbyć zebraninę, na co i Marcin się zgodził; a zatem stanęliśmy z naszymi kałamaszkami obok pańskiej karocy. Ujrzały mnie piękne panięta, to jest, chłopiec wyrostek i dziewczynka podlotek wybiegli z karczmy, a za nimi ichmość rodzice wyszli. Weteraństwo poważne, nie ma co powiedzieć!

— *Laudetur* Jezus Chrystus! — rzekłem kłaniając się *humilime*.

— *In saecula saeculorum!* — odpowiedział *Magnificus!* jak się potem dowiedziałem, starosta. — Zajęliśmy karcznię, rzekł on, nie masz gdzie popasać księżę kwestarzu!

— Nic to, dobrodzieju! ja też nie na popas tu zajechałem; odpoczną tylko moje szkapy, i powlekę się dalej.

— Owszem, pomieścimy się jakkolwiek. Wozy twoje mogą powstać przed karczmą, a konie między mojemi i mój obrok zjedzą; samego zaś waści na nasz podróży obiadek proszę. Zostań więc dla kompanii, księżę kwestarzu!

— Chętnie spełnię rozkaz JWpana, byłem nie przyczynił *subjekcyi*.

— Zadnej, żadnej—odpowiedziała pani; a zatem i zostałem, choć Marcin się krzywił, biorąc się do odprzegania koni; ale gdy na rozkaz starosty stajenni jego pomagać zaczęli staremu, i gdy posłyszał rozkaz pański, aby i koni i jego dobrze nakarmiono, a forysie aby pilnowali wozów naszych i baranów, udobruchał się przecie i wnet pobratał się ze wszystkimi.

W karczmie już był stół nakryty, a nim dano starosta, zacząwszy od pytania, jakie mnie zwykle i wszędzie spotyka z jakiego klasztoru Pan Bóg prowadzi? zadawał rozmaite inne, wyzywając mnie zawsze na jowialne odpowiedzi, bo widać nawykł do konceptów kwestarskich. Jak mogłem dotrzymywałem placu, i uśmiechał się pan, a nawet sama imość: bo ja, pamiętając na instrukcyę księdza gwardyana, umiałem trzymać język za habitem; nakoniec przystawiono piąty talerz, i zasiedliśmy do stołu.

— Będziesz głodny, księżę kwestarzu! rzekł starosta: obiad podróży, krótki, i porcyj bernardyńskich nie będzie, bodaj tylko rosół i pieczone.

— *Deo gratias*, dobrodzieju! a na cóż więcej?

Jakoż uczciwy był rosół z indora. Pani staroscina po dwa razy mnie nalewała, i posiliłem się regularnie.

Dano pieczone. Były to cztery jarząbki, wyraźnie dla dwójga rodziców i dwójga dzieci po jednym.

— Oto sęk, księżę kwestarzu! jarząbków cztery, a nas pięcioro!

Posiliwszy się z łaski państwa tak wyśmienitym rosołem, nie potrzebuję nic więcej i obejdę się bez jarząbków.

— Nie, nie, tak być nie może. Poczekaj, *Charissime!* Jak miarkuję, jesteś człowiek bywały i nie lada kwestarz; musiałeś więc i szkoły traktować?

— Oho! pomyśliłem, coś z wojewodzińska zakrawa,— a jakże?

JWpanie! aż do *Poezyny inclusive*: a Alwar gryzłem na pamięć jak rzepe.

— Zapewne uczyłeś się i Arytmetyki?

— Uczyłem się i Arytmetyki, lecz zostawszy kwestarzem, najwięcej praktykuję *addycyę* i *multiplikacyę*, dalsze zaś działania dla mnie niewielce potrzebne; a o *frakcyach* i słuchać nie chcę, nigdy ich cierpieć nie mogłem, tém bardziej teraz, gdy o całe barany proszę.

— Otoż, pomyśliłem sobie znowu, i wędę z konceptem zarzuciłem do wspaniałości pańskiej. Punktualnie wypełniam instrukcyę ks. gwardyana. Obaczymy co wyciągnę.

— A więc daj experiment, rzekł starosta, ze swojej nauki, podziel te cztery jarzabki na nas pięć osób, ale bez frakcyów, gdy ich cierpieć nie możesz, to jest, bez rozrzynania, tak jednak, aby wszystkim po równej porcyi się dostało; kiedy tego dokażesz, powiem, żeś gracz i żeś kwestarz *re et nomine*.

— Nic łatwiejszego, dobrodzieju! byleście się na moją *dywidendę* zgodzić raczyli.

— Przyrzekam solennie, rzekł znowu starosta, za siebie i za żonę i za dzieci. Ale bez noża, księżę kwestarzu!

— Ani się dotknę nożem.— Podsunąwszy więc bliżej do siebie półmisek, wziąłem widelec w rękę i tak dzieliłem:

— Jegomość dobrodziej, Jejmość dobrodzika i jarzabek, to troje panicz, panienka i jarzabek, to troje; kwestarz i dwa jarzabki, to znowu troje.

Brawo! krzyknął starosta, śmiejąc się serdecznie, toż samo i pani starościna. Zgadzamy się na podział! wyśmienicie!

— Ale ja się nie zgadzam, rzekłem. Jarzabki zostaną przy państwu i przy paniętach, a w *indemnizacyi*, jeżeli JWpani dozwoli wezmę tę bułkę piroga dla mnie, a dla klasztoru, co wola i łaska.

— Z największą ochotą jedno i drugie ofiarujemy ci, *Carissime* z warunkiem wszelakoż, że po jałmużnę dla klasztoru przyjedziesz do nas. Dom mój ztąd mil pięć. Drogę rozpowiedzieć każę twemu furmanowi, a fatyga nagrodzi się dobrą kwestą. Czy zgoda?

— Zgoda, JWpanie! Dla mnie wszystko jedno. Gdzie jadę to jadę, byłem do dobrodziejów trafiał.

Wkrótce pożegnało mię to zacne państwo, i my też powlekliśmy się za niemi.



A cóż? mój Jegomość! rzekł do mnie Marcin, baranów z sobą nie miał starosta, więc musiało przybyć kompanistów do czerwieńców rotmistrzowskich?

— Nie, nic nie przybyło, ale zaprosił mnie starosta do siebie i obiecał sutą jałmużnę. Furmani musieli tobie drogę rozpowiezieć.

— A rozpowieźli. Ale to widzisz mój Jegomość, *obiecanka cacanka!* Jegomość wiesz jak tam dalej. Cós mnie wszystko zdaje się, mówił Marcin trzęsąc tabakę z różka, że Jegomość nie samowity na kwestarza. Powiedz mnie naprzykład Jegomość, jak domawiasz się do baranów?

— A na cóż mam się domawiać. Już skoro kwestarz wchodzi do domu, to poczciwy gospodarz wie, że zbiera jałmużnę, a zwyczajnie barany dla swego klasztoru.

— E! czy tak? mój Jegomość! Nie pocieszy się ks. gwardyan z naszej kwesty; a Jegomość pójdiesz znowu na *kanaparza*.

— Czegoż chcesz? Kilka dni jeździć, a już z dziesiątek mamy baranów.

— Da co to znaczy? co to znaczy? Nieboszczyk ksiądz Jacek, z którym lat cztery jeździłem, dotądby już kopę nazbierał. Czy raz to bywało, że my po dziesięć baranów z jednego dworu wypędzamy, które on albo konceptami swemi wyłabudził, albo w *elbecwelba* czy w *maryasza* wygrał? bo u niego zawsze bywało *ze czterdziestu* i *tuz kozerny*. Miał on na to, jak sam mówił, jakąś *inkluzę*. A dla Jegomościa po jednym baranku cedzą, aż żal patrzeć. A o puzderku i wiktuałach podróźnych gdybym ja nie pamiętał, to przyszloby i zęby na policy położyć.

Czy Jegomość zawsze zakąsujesz po wódce?

— A jakże? naturalnie, że zjem kawałek chleba. Wszyscy tak robią.

— Otoż widzisz Jegomość, że ksiądz Jacek tak nie robił; on bywało powiadał — Napijem się gorzałeczki, a całym baranem zakąsım. — Ot już jest i baran.

Albo bywało prosi u jakiego pana rozmiąć talara na drobne; no, to pan łatwo zgadza się, dobywa kieskę i odlicza za talara drobne; a on znowu — Dajże dobrodzieju i talara twardego, abym miał czém za monetę zapłacić. — Ot jest i talar. Kiedy we dworze którym był młyn, to prosił o pozwolenie zmlecia beczki żyta bez miarki. No, któż takiej małej rzeczy odmówi? — Miel, księżę kwe-

starzu, choć dwie. — Da choćby jedną, kiedy mnie ją dasz, dobrodzieju! — Ot znowu chcąc nie chcąc, musiał pan gospodarz dać żyta.

A raz przyjechaliśmy do okolicy szlacheckiej koło Pińska. — Szlachta, rzekł do mnie ksiądz *Jacek* podjeżdżając, niewiele chowają owiec i sami koźuchów potrzebują ale za to wiele i tłustych wieprzów żołądziami ukarmiają, bo lubią kiełbasy i słoninkę, muszą więc mieć jój zapasy dobre. Obaczysz waszeć, jak ich zażyję.

W okolicy, tak jak u Bielewicza, wszyscy my brat za brat, razem w jednej chacie, więc słyszałem jak on ich zażył.

Po *pochwalonym* i rozgoszczeniu się nazbierało się do tego domostwa, gdzieśmy zatoczyli nasz oboz, wiele sąsiadów i zapalono krupniczek w kilku miskach, posilaliśmy się sobie skutecznie. Prawdę mówiąc, ksiądz *Jacek* lubił pociągnąć; wypróżniając więc drugi czy trzeci kubek: — Dobrze mnie tu między wami, panowie bracia szlachta! rzekł on, używam w zdrowiu z łaski waszej darów Bożych, a tam w klasztorze biada! bardzo źle!

— Cóż takiego? — odezwali się.

— Choroba, śmiertelna choroba!

Jaka? gorączka? zaraza?

— Oj nie to licho, gorzej, Oto, wszyscy z mocnego śpiewania w chorze pozrywali sobie piersi, i teraz wszyscy kachu, kachu — ani sposobu. Pan doktor *Eme*, nadworny księcia; całemu konwentowi zadeklarował suchoty, kiedy rychłego nie będzie ratunku.

— A niechże Pan Bóg broni! Niech doktor daje lekarstwa. Na toż on doktor.

— Otoż to bięda, że ani on, ani żadna apteka takiego lekarstwa nie ma, a proste, ale diabelnie, jak on mówi, skuteczne.

— A jakież to lekarstwo?

— Trzeba nosić na piersiach szrot tłustej słoniny, taki, aby całe piersi pokrywał.

— Ależ to ciężko — powiedział któryś.

— Ciężko, ciężko, ale zdrowo!

To tedy zawołał mnie ksiądz gwardyan i rzekł: — Jedź waszeć, księżę Jacku, do braci szlachty pińskiej. Cały świat wie, że to ludzie pobożni i poczciwi, a przyjaciele Bernardynów, niechże nas ratują. — A gdym już był na wozie, powiedział jeszcze — Pamiętaj waszeć biorąc słoninę, mierzyć połcie na całe piersi, bo tak pan doktor kazał, i dostarczaj prędko, bo poumieramy. — Ratujcież więc, panowie bracia! szczególniej imościę, jako siostrzyczki różnych bractw

pobożnych. Za to cały nasz konwent, i niegodny wasz sługa ksiądz Jacek, ubogi kwestarz, o żadnej w modlitwach nie zapomnimy, a zatem po najdłuższem życiu, wszystkie jak z rejestru do nieba iść będziecie.

Niektórzy panowie szlachta pokręcywali głową, niebardzo wierząc tej naszej chorobie! ale jednakże nazajutrz, siostrzyczki jak zaczęły nam zność lekarstwo, tak całą furę połciów wyprawiliśmy do klasztoru.

Dla poprawienia mojej opinii w głowie Marcina, opowiedziałem mu moję *diwidendę* jarząbków, — No, cóż na to? Marcinie!

— Niema co powiedzieć, rzekł on pokręcając głową, masz i Jegomość oleju; ale komparacya Jegomościnego rozumu do Jackowego jest tak rychtyk, jak tego piroga kasztelańskiego do pińskiej słoniny. A pomiarkuj Jegomość, czego bardziej Bernardynom potrzeba?

Wtém dropiaty zawrócił się do dworku blisko gościńca.

## U WDOUY.

### XVII.

**N**a dziedzińcu ledwo przejechać mogliśmy przez roje gęsi, kurkaczek i indyków. — Nie byłem tu ani razu; rzekł Marcin, ależ widać że tu dobra gospodynia mieszka: pół roku by cały klasztor wykarmił się tém ptastwem. No dajże Boże Jegomościu szczęśliwie, a ja rozgoszezę się na popas. — Podjechaliśmy pód ganek.

Wchodząc do sieni, posłyszałem cienne, ale chrapliwe trochę śpiewanie:

[ Ciesząc swoję biędę,  
Za mąż sobie idę. ]

Zatrzymałem się więc trochę dla pomiarkowania okoliczności. Śpiewano dalej:

[ Ja sobie wdóweńka, ja sobie pani,  
Choć sobie podpiję, nikt mnie nie zgani. ]

I znowu:

Ciesząc moję biędę,  
Za mąż sobie idę.



Poznałem wraz co się święci i wszedłem do izby.

Na środku stał długi stół nakryty dywanem, a za nim siedziała imość, której pieśni przerwałem, otyła i czerwona dobrodzika, w czepku na bakier, z oczkami trochę zachmurzonymi i noskiem zaczerwienionym.

— A! ksiądz kwestarz dobrodziej! A! na wieki wieków!—I zatrzymając się za stół, chciała powstać; lecz gdy poślониła się trochę, podbiegła córka, która przy drugim stoliku szyła i podtrzymała mamunię.

— Precz wasanna! ofuknęła ona odpychając córkę; czy to ja sama nie wstanę? ksiądz kwestarz gotów pomyśleć kto wie co! Widzi Jegomość dobrodziej, kołtun tłucze mi się po kościach, więc czasami odbiera nogi. Siadajże Jegomość dobrodziej, siadaj. Mam barana dla Jegomości, mam, a może i dwóch, obaczmy tylko, obaczmy! Bieda, powiem Jegomościu, bez gospodarza chata płacze. Zażyjem tabaczkę. — Podałem mojej. — Dziękuję. A wasanna każ przynieść podwieczórek: wędlinki, ratafii i stariej gorzałeczki — na co pozwoli Jegomość dobrodziej. Bieda, bieda mojej biednej głowie. Już to trzeci raz owdowiałam. Folwareczek niczego, substancya jest, dzięki Bogu, jest. I to nie na dożywocie, nie, ale moja własna własność, bo nieboszczyczek mój pierwszy mąż zapisał mnie samej jednej, a tej klępie dam co, czy nie dam, to jak moja łaska.

Wszystko to za jednym tchem wygadała dobrodzika, że nie mogłem ani słowa jednego przemówić. Zmordowała się jednak czy jęczyczek się splątał, bo trochę zamilkła.

— To córeczka dobrodzika?—zapytałem w niepewności, słysząc, że ją klępą zwała.

— A tak, córeczka, córeczka; a cóż z tego, że córeczka? o niczem innem nie myśli, jak tylko, żeby za mąż pójść. Ale poczeka mościa panna, poczeka! Jużbym to zawsze wolała mieć syna. Pojechałby w świat i nie przeszkadzałby w niczem matce. A to czy kto przyjedzie do domu, czy gdzie sama wyjadę, to panienka na swoje kółko niteczkę mata, a o matulce ani pomyśli.

Wtém i podwieczórek przyniesiono. Przyszła i córeczka, stanęła za matką zbiedniona nieboraczka, ale jednak *formosa puella* i nie dziw, że przemyśliwa *circa connubium*.

— Niéma gospodarza, dobrodzieju, to przyjmiesz z rąk gospodyni. Ja ratafii trochę zażywam. W rece! — Spory kieliszek mach-

nęła baba i zaczęła zajadać wędlinę, poszedłem za jej przykładem, choć nie tak skwapliwie.

— Proszę, suplikuję, nie wytwornie, ale pokornie. — Znowu powstać chciała, ale znowu kołtun nogi poplątał.

— Otoż, mój mości dobrodzieju, miałam już trzech mężów. Proszę teraz na moję tabaczkę. Jegomością dobrodzieja z tomką, a ja dodaję po trochu wiszniowego liścia. Miałam trzech mężów... Sto lat Jegomości dobrodziejowi!

Jakiś ciemierzycy baba mnie poddała, bo paliłem z nosa jak z pistoletu, i z pięćset lat mi nażyczyła.

— A wszystkich trzech najlepszych. Co ja napłakałam się po każdym! bo każdy mnie kochał i respektował.

Za pierwszego poszłam młodziuteńka, jeszcze dziecko byłam, powiadam Jegomościu dobrodziejowi; ale i on był jak dziecko, *symplaczek* sobie, lecz że z godnej familii i miał ten folwarczek, a ja posagu *pasz!* więc mnie rodzice za niego wydali! a on wraz całą swoją substancję zapisał. Potem stał sobie zawsze przy piecu; a słuchał co ja rozkażę; a ja sobie bonowałam jak pani. Dziesięć lat aniołeczek stał tak przy piecu; a choć go bywało i szturchnę, jak mnie uprzykrzy się ta jego niemota, albo gdy zechce mięszać się do czego w domu, to pokłoni się mnie, pocałuje w rękę i wyjdzie do kwatery swojej na folwarku. Rozpił się potem nieboraczek — ale nie z mojej przyczyny! cóż ja temu winna? tak jemu Pan Bóg dał — i umarł, zostawiwszy mnie na głowie córkę, tę mościapannę. Oj! co ja napłakałam się po nim! co ja napłakałam się. Skosztujem ratafii, księżę kwestarzu dobrodzieju, po wędlinie.

Zaraz sobie pomyślałam, że dla ludzkich języków, mnie młodej wdowiec długo nie wypada. A zdarzył się tu w sąsiedztwie ténutorem półwieczny jegomość, ale *moderat* wielki, *sensat* a gospodarz zawołany, i jak zaczął do mnie podejżdzać, a radzić serdecznie w mojej gospodarce, a obiecywać złote góry z tego folwarku, i nakoniec pożyczać mi po trochu pieniędzy, a molestować o deklarację, tak ja, zmówiwszy modlitewkę do świętego Eliasza, patrona wdów pragnących tego *sakramentu*, poszłam z nim na kobierzec. Oj! gdybym nogę wtenczas złamała! Bo ten pan moderat i sensat, był, prawda, gospodarz, ale hypokondryk, śledzionnik, liczykrupa, sknera, tak, że musiałam ja teraz, jak niegdyś biędny mój *symplaczek*, stać przy piecu z założonemi rękami, a jegomość rządził i dysponował jak chciał w mojej fortunie, i jeszcze przymuszał mnie,

abym mu zapisała. Oto wpadłam, mój mości dobrodzieju! Ale nie dotrzymałam tak długo, zaczęłam mu wetować. Dopiekał on mnie do żywego, do żywego dopiekałam i ja jemu; on chce tak, a ja na złość inaczej; on chowa pieniądze, a ja wykradam i zabieram; on mówi: moja praca, a ja mówię moja fortuna; on do kija, a ja do wałka. I tak sądny dzień w domu. A nakoniec jednego dnia z wielkiej złości paraliż jegomością naruszył i umarł nieboraczek. Oj, co ja napłakałam się!

— Zdaje się, dobrodziko, że nie było czego.

— Oto! jakto? W małżeństwie bywa i tak i owak, a dla tego potem żal!

Sześć latek z sobą przeżyliśmy, i sama nie wiedziałam co począć po jego śmierci? Różnie głowę moję łamałam. Aż tu, jakby z przeznaczenia Bożego, przechodzi tędy półk husarski i staje u mnie na kwaterze porucznik. Młody, mój dobrodzieju! hohol na trzy łokcie! koroniasz, wersat! bywalec, mój dobrodzieju! Kiedy ubierze się bywało a siądzie na konia, mój dobrodzieju, złoto z niego ciecze! A jaki zuch! Czego on nie dokazywał? Najtrudniej zaś bywało wytrzymać, że jak zacznie sadzić strzeliste koperczaki, to aż dreszcz idzie po skórze. Półk stał ztąd gdzieś o mil dwadzieścia, on tu sobie zapisał zimowe leże i rozlokował się. To długimi wieczorami na dobitkę, jak zawiesi bywało teorban a zagra i zaśpiewa albo wesołego kuranta, albo jaką dumkę ukraińską żałośliwą, to już ani sposobu wyperswadować sercu swemu nie mogłam, rozamorowałam się zupełnie. A do tego — Moja duszko! mój aniołeczku! mówił on, będę cię na ręku nosił, będę cię zwierzynką karmił, a jak pojedziem do moich fortun w Koronę, to będziesz tam jak pączek w maśle opływała. — Tak już, mości dobrodzieju, [poszłam za sercem! poszłam za sercem... i trafiłam jak kulą w płot.]

Na drugi dzień po szlubie szatan go opętał. Jak wrzaśnie nade mną — Babo! dawaj pieniędzy! — Rozumiałam, że żartuje; ale on nie żartem wrzeszczał — Babo! dawaj pieniędzy! Czy to ja darmo młodość moję takiej szkulepie zaprzedałam? — I niedługo czekając, wyrwał mi z rąk kluczyki, odemknął kantorek, (a wiedział, że tam jest gotówka, bo ja głupia z wielkiej miłości wypowiedziałam się mu przed szlubem ze wszystkiego), zabrał więc cały zapas po nieboszczyku zaklęty i ruszył do półku.



Rozumiałem że i niepowróci. Żal mnie zrobiło się nie tak moich pieniędzy, jak jego samego: bo to, myślałam sobie, młode piwko, uchodzi się; wybierałam się więc za nim do komendy: aż wraca przecie, wraca! ależ za nim koni, psów, bez liku; a co najgorsza hajdamaków z półku takich jak sam, kilkunastu. Rozumiałam, że dom przewrócą. Hulanka dzień i noc. Znalazła się i skrzypeczka, pozapraszał sąsiadeczki, więc i tany, i bale, i pijatyka; a wszyscy krzyczą jak na złość — *[U wdowy chleb gotowy!]*

Poszło wszystko świdrem, i pieniążki, i wendlinka, i gorzałeczka, a mój pan porucznik ani słuchać nie chce moich żalów; a co najgorsza, że jak czasami wyjechała od nas ta żołnierska chałastra, to on znowu śpiewał dumki piękne, ale nie dla mnie, a dla panny Teresy, mojej kochanej córeczki. Czy tak? Ot ja panienkę do klasztoru, do panien Benedyktynek nieświęzkich *insperate* zapakowałam. Niechaj już ja jedna, myślałam sobie, ten krzyż Pański znoszę. A do tego jeszcze taką cierpiał *żelozię*, że kiedy raz powróciwszy z polowania znalazł pana vice-regenta gościem u mnie i grającego ze mną *w paszyka*, to porwał go za drzwi i rzucił z ganku, tak, że ten nieboraczek ledwo powstał, a do mnie wpadłszy krzyknął — *[Babo! kiedy kochasz! kochaj stale, a nie kochasz, w łeb zapalę!]* — A święta Urszulo z towarzyszkami! Aż mnie strach teraz, jak na to przypomnę. — Skosztujem po kropelce.

— Dziękuję, dobrodziko! Wolęj zażyjem jeszcze tabaczki, ale mojej, bo imościna kaducznie mocna.

— Dobrze. Mój nieboszczyzek drugi mąż zażywał tabaczkę, a od niego i ja nauczyłam się; a ten trzeci bisurmanin, to palił fajkę. Nie mogłam z nim dać rady. Wypustoszył mnie dom, zrabował gospodarkę, rozhajdamaczył i rozpoił mnie dwór cały, a ja *pijaństwa cierpieć nie mogę*. Przecież niedźwiedź przyszedł mnie na ratunek. Na obławie strzelił on do niedźwiedzia i spudłował, a niedźwiedź na niego; nim dobiegli ratować, zdarł mu skurę od głowy do pięt, pogruchotał mu kości, i tak umierającego do mnie przywiezli, ot temu jak raz piąty miesiąc. Ach! co ja napłakałam się! Nie było czasu i doktora sprowadzić. Umarł, ale po swojemu: bo choć i wyspowiadał się i za grzechy żałował, a jednak przywoławszy mnie do łóżka i postawiwszy na mnie oczy słupem, krzyknął — *Słuchaj babo!* (choć Jegomość dobrodziej widzisz sam, że ja jeszcze nie baba) *słuchaj, babo!* ty pójdziesz zaraz za mąż za tego *jura*, któremu że do reszty kości nie połamałem, wielce żałuję, i

pokrzywdziś biedną Teresię, (co to do jego należało?) ale pamiętaj, że na pierwszym nowiu po waszym ślubie ja zostanę upiorem, przyjdę do was o północy i obóju głowy poskręcę.—Czy to może być, mości dobrodziej, gdyby on został upiorem? Jegomość taki lepiej o tém wiedzieć możesz. Czy upiory chodzą po świecie? Czy nie widział Jegomość dobrodziej choć raz upiora?

— Nie widziałem, dobrodziko! ale przecież ludzie powiadają, że to zdarza się. Jednakże bez woli Boskiej nic się nie stanie. Są sposoby w modlitwach za duszę.

— A są sposoby, przerwała mi imość mowę: wiem i ja o tém, mój dobrodziej! i pan vice-regent powiada, że trzeba tak zrobić, żeby kochaniuki leżał sobie spokojnie w ziemi, i nie hajdamaczył tak po śmierci, jak za życia. Trzeba odkopać trupa, uciąć jemu głowę rydlem i położyć w nogach, żeby rękami nie mógł dostać. To będzie mocował się, mocował się, silił się, ale jak nie dostanie rękami głowy, to i nie wstanie. A jeżeliby dostał, to weźmie głowę i pomaszeruje. Już ja raz tak jego i śniłam z oczami wytrzeszczonemi z pod pachy. Mogiła wiadoma. Więc jak jegomość dobrodziej radzisz?

— Ja dobrodzice zupełnie inny poradzę sposób, i pewnie skuteczniejszy.

— Słucham, mój dobrodziej, słucham.

— Oto, daj naprzód dobrodziko na msze święte, na exekwie, i na ubogich za jego duszę; a ponieważ przed śmiercią on sam powiedział, że wtenczas zostanie upiorem, gdy Imość przez nowe z jurystą poślubienie się ukrzywdziś córkę, to radzę jak najprędzej ją za mąż wydać i regularnie wyposażyć.

— A co to księdzu kwestarzowi do tego? Waspan dobrodziej, jako osoba duchowna- nie powinienes w to mięszać się, co do jego nie należy.

Otoż i po moich baranach, pomyślałem.

— Ja-bo tylko chciałbym ochronić dobrodzikę, aby pan porucznik na pierwszym nowiu z pod pachy na nią nie spojrzął.

— Już my sobie damy rady bez Jegomościa; a exorcistów nie potrzebujemy.

Rozsierdziła się babuła, i uciekłyby pewnie ode mnie, gdyby mogła powstać, ale zaprobawwszy razy kilka, usiadła znowu.

— Wiész co? dobrodziko! rzekłem, zapijem tę sprawę!

— Niechaj sobie i tak.—Udobruchała się wnet i wychyliła do

kropki kieliszek.—Niechaj sobie i tak! A do tego widzisz wasan do-  
brodziej, że pan vice-regent, to mądra głowa, on wszystkie statuta  
na palcach liczy, a powiada, że niedawno postanowiła Rzeczpospo-  
lita takie prawo, że kiedy gdzie jest matka i córka, a obiedwie  
chcą iść zamąż, to córka nie może wyjść pierwiej od matki, i musi  
czekać aż póki matka nie wyjdzie,

Stojąca córeczka za krzesłem matuli mknęła zcicha—Oho! ho!

— Co to waspanna mikasz? krzyknęła imość, co to waspanna  
mikaszk? Mikaj waspanna nie mikaj, tak będzie, jak Rzeczpospolita  
przykazała. Co to? bunty?...

— No, dobrodziko, ja nie prawnik; ze mną rzecz o barany; do  
tego więc przystąpmy. Za trzech mężów, trzech baranów, a na su-  
kcess z czwartym, czwartego.

— Na sukcess z czwartym!... at niechaj sobie! Coś mnie tro-  
chę słabo.... kołtun ten przekłety....

Ostatni kieliszek dogodził widać dobrodzice, bo drzémac za-  
częła.

— Kołtun ten przekłety.... i głowę i nogi odbiera, i tak coś  
morzy.... morzy.... Na sukcess z czwartym.... czwartego....  
panna Teresa.... i Rzeczpospolita.... Upiorem zostanie....

Bredząc tak i mrużąc baba, założyła ręce na stole, opuściła  
głowę na ręce i zachrapała w trąbę. A panna Teresa, podzięko-  
wawszy mnie za dobre serce i prosząc o modlitewkę na jój inten-  
cję, czterech baranów wydać kazała.

— No, rzekł stary Marcin, gdyśmy za bramę wyjechali, daj  
Boże po wiek mieć do czynienia ze staremi wdowami.—A gdym mu  
rozповідаć zaczął całą historję téj kwesty—Wiem o wszystkiém,  
przerwał mi, i więcéj wiem, niżli Jegomość i niżeli sama pani, bo  
ona tego nie wie, że palestrancik, którego ona dla siebie kaptuje,  
jutro, gdy ona zaśnie po obiedzie, wywiezie panienkę i szlub z nią  
weźmie. Już ma indult gotowy, i wszyscy we dworze wiedzą o tém,  
ale nikt jój tego nie powie, bo nienawidzą baby. [Góra z górą nie  
zejdzie się, a człowiek z człowiekiem zejdzie się;] o toż i ja znalaz-  
łem tu ochmistrzynię, dawną moję kumę, która wszystko mnie to  
powiedziała i króbkę naszą podróżną napakowała wędlinką.



## U PANA STAROSTY.

### XVIII.

**W** późny wieczór przywlekliśmy się do dworu pana starosty, i lubo z pałacowych okien świeciło się jeszcze jak z kościoła, wolałem jednak zająć na noc do ekonomii, a nazajutrz rano pokłonić się panu.

Obaczmy jutro, pomyślałem sobie, jaka to komparacya między państwem pana starosty a państwem pana wojewody. Jakoż prze- nocowałem wygodnie u pana dyspozytora, który mnie przyjął po- czciwie, a nawet i kordyalnie, gdym mu powiedział jeszcze, że przy- bywam na rozkaz starosty.

Nazajutrz rano, nim jeszcze w pałacu okienice otworzono, już ja ze dwie godziny *kwerendowałem* po całym dworze, przypatrując się wszystkiemu, nie w celu, broń Boże, jakiejkolwiek cenzury, ale że to odezwało się w człowieku życie niedawno dworskie. Bo to nie tak łatwo, jak się komu zdawać może, wyrugować z głowy dawne nałogi i obyczaje. Za każdą okazyą odnawia się pokusa, jak recydywa po chorobie, przeciw której jedyna *salva* w łasce Boskiej, utwierdzającej człowieka w dobrém postanowieniu. To też, Bogu dzięki, nie na długo mnie zachwyciła ta chęćka, a ciekawość bez złych myśli i zamiarów nie jest, zdaje mi się, grzechem, tém bar- dziej, że we dworze tym zbudować się, i za każdym krokiem za dobry przykład Bogu dziękować trzeba było.

Ludzi tu jak mrówie, ale wszędzie ład, dostatek, wygoda. U pa- na wojewody szumno, huczno, bunczuczno, po pańsku nawet, bo hojnie i wspaniale, ale we dworze rygor i nie zawsze ład i spokoj- ność. Tu wszystko jak w zegarku, każdy swego pilnuje z ochoty nie z bojaźni, u każdego na twarzy wesołość, zgoda między wszy- stkiemi; a u nas bywało na dworze pana wojewody, ja marszałek musiałem codzień rano rozsądzać nocne sprawki liberyi, i boćkow- skim hamować procedera.

To, pomyśliłem sobie, [dom staropolskiej] enoty i poczciwości.—  
A tu kto mieszka?—pytałem się stojąc przy stajni u masztalerza,  
wskazując na jedną oficynę.

— Tu sami gracyaliści pańscy, starzy słudzy, albo i nie słudzy;  
ot byle biedny a poczciwy, to i ma chleb.

— A w tej drugiej oficynie?

— Oho! tam panowie rezydenci godnej kondycyi; oni zawsze na  
pokojach pańskich, i do pańskiego stołu siadają, i konie swoje pań-  
skim obrokiem karmią. Są tam jeszcze pokoje gościnne, nigdy  
chwała Bogu, nie próżne.

— A w tej trzeciej, najdłuższej?

— A w tej trzeciej, to grunt. Widzisz Jegomość, że już z ko-  
mina się kurzy. Tam mieszka nasz pan marszałek i nasz chlebo-  
dawca pan szafarz; tam kuchnia i służba wszelka pokojowa, tam  
i kapelia. My stajenni mamy masztarnię. A w czwartej oficynie, tej  
najbliższej od pałacu, bo już pewnie Jegomość zapytasz, same bab-  
stwo, Panie odpuść ciężkie grzechy, faworyty imościne, stare szku-  
lepy. Jak zaczniesz w niedzielę wozić je do kościoła, to i koni nie  
staje. Nic nie robią, tylko z księdzem kapelanem, który mieszka  
w pałacu, do rożańca i godzinek stają codzien w kaplicy, regular-  
nie z okularami na nosach. Są tam i młode; uczą się czegoś, kto  
ich tam wie?

— A może Jegomość dobrodziej naszą stajnię opatrzy? Ale oto  
i pan na ganku.

---

— *Hospes venit, Chrystus venit!* wykrzyknął pan starosta, po-  
strzegłszy mnie podchodzącego do ganku. Dziękuję wamci, księżę  
kwestarzu, żeś moją obligacyę tak rychło i ochoczo spełnił.

*Sentencyę na sentencyę odkładając*, rzekłem:

— *Hospes non invitatus recedit, saepe ingratus*; lecz ja, stawa-  
jąc tu na rozkazy JW. pana, mam nadzieję i łaskawego przyjęcia.

— Brawo! erudyto! Marszałka do mnie! a gdy ten wnet się uka-  
zał, mamy gościa, rzekł doń starosta, którego sam wczora zapro-  
siłem. Do południa jestem zatrudniony, proszę więc tymczasem księ-  
dza kwestarza ugościć i zabawić; a na obiady zapraszam go do  
siebie.

Co dwór to marszałek, a wszyscy jednego kroju: każdy po-  
winien mieć głowę nie dla proporcji, nosić się nietylko chędogo, ale

i z pańska, dla honoru pryncypała swojego, być rezolutnym, ale razem poważnym i statystą, a nie fircykiem ani świszczypałą, nie dać się skonfundować nikomu, mieć animusz i figurę, ale też znać się dobrze *cui quod debet*, na *preminencyach*, *stallach* i urzędach, aby, gdy u obiadu pańskiego z laską chodzisz koło stołu, hajduk nie podał półmiska piérwój panu skarbnikowi, niżeli panu stolnikowi lub wojskiemu, bo za taki *feler* i miejsce i konsydyrację utracić można na zawsze. Umiałem ja to wszystko... [ale cóż? *Sic fata tulerunt!* to jest, *dziéj się wola Boska!*]

Pan marszałek dworu pana starosty, ma, zdaje mi się, wszystkie takowe *kwalifikacye* i jest *peritus rei* w swoich *officyach*; posłał zaraz do pałacu po kawę dla mnie, dla siebie i dla panów rezydentów, których dwóch przyszło doń na śniadanie.

Jeden młodzieniaszek, widać niedawno z pod *feruły preceptor-skiej*, bo nieśmiały i nie nabrał jeszcze dworskiego *szyrmu* ani *lustru*; ale drugi całą gębą *homo*, bo i *personu* i *eloquentia* i krotofilność subtelna, właśnie jak potrzeba do ozdoby dworu wielkiego pana. Z panem marszałkiem w dobrój widać żyją komitywie. Żartowali z siebie wzajemnie, jeden drugiemu czyniąc *alluzye* do dworskich panien, a obadwa biednemu podstolicowi o *inklinacyę* jego do panny horodniczanki, faworyty i wychowanki pani staroścínéj.

Czerwienił się biedny chłopak, ale widać trafili mu w sedno, bo nie umiał im odejść się.

— Dziecko-bo jesteś, mój kochany podstolicu, mówił starszy pan rezydent, chorąży z tytułu; męczysz się codzieln i suszysz sobie głowę, smażąc do niej wierszami jakieś *fabuły*, jakieś *dIALOGI*, w których, wszystkich bożków pogańskich wzywasz na sukurs, w których co słowo, to *Cerery* i *Wenery* i wszystkie *olimpijskie dziardyny* stawiasz w paradę. To bardzo pięknie i rozumnie; widać, żeś niedawno poezymę przeszedł; ale cóż, kiedy piękna Franusia o Bożym świecie tego nie rozumie? A kiedy jesteś razem z nią na pokojach to stoisz z daleka, jakbyś trzech zliczyć nie umiał; w tańcu z nią, to jakby ci kto ołowiu do kieszeni nakładł. Idziemy całym dworem na spacer, znowu toż samo: panienki śpiewają, biegają, swawolą, ja starszy a pomagam im i śpiewać i biegać, a wasan, *Jezu mój Panie!* idziesz wyprostowany i zamysłony, jak pan dyrektor za żakami, a zachmurzony i krzywy poglądasz na Franusię, jak na kwaśne jabłko; a to słodzińka gruszcetka, mój podstolicu! Przecieżeś chłopiec jak malina. Kiedy się widzę na polowaniu rze-



żwym i ochoczym, harującego na koniu, a wesołość i swoboda z oczu ci pryska, to aż miło drugiemu! Czemuż tak nie polujesz i na serduszko horodniczanki? [Wyskocz! doskocz! raptem do niej! i twoja będzie.] Nie prawdaż? panie Sebastyanie! rzekł do marszałka. Tak po naszemu!

— Bywało—odpowiedział kłaniając się marszałek.—Wiele masz lat? panie chorąży!

— *Inutilis quaestio solvitur silentio!*—odpowiedział ten kłaniając się wzajemnie, i obadwa rozśmieli się, a ja z niemi trzeci. Pan podstolic tylko spokojnie popijał kawkę.

— Cóż? szanowny nasz gościu! odezwał się znowu do mnie pan chorąży, wieleż już nazbierałeś baranów?

— Będzie z tuzin, licząc z tym, którego dobrodziej darujesz.

— Brawo! po kwestarsku! Ale ja gospodarki nie mam; wszakże baran a talar, to na jedno wychodzi, tego więc chętnie ci ofiaruję. Za moim przykładem ręczę, że wszyscy nasi dworscy pójdą, nie licząc kontrybucyi, którą ci nasz babski regiment z tamtej oficyny złoży. Nie mówię o JW. staroście. Opowiadał on nam wczora twoję dowcipną *dividendę* jarząbków, i hojnie cię zapewne obdarzy. Zabawisz tu z nami, księżę kwestarzu, dni kilka, bo cię starosta nie wypuści. Chwała Bogu u nas jak w raj; nie zatęsknisz ani po swojej celi, ani po nabożeństwie; kaplica w ogrodzie, codzień msza święta, na którą oto i dzwonią.

— A więc pójdziemy, rzekłem; może jeszcze trafię posłużyć księdzu kapelanowi—i trafiliśmy wcześniej.

Na podziękowanie Bogu za szczęśliwie odbytą podróż państwa, msza śpiewana odprawiać się miała, więc i kapelia była na chórze: bo to nie kaplica, ale kościółek prawdziwy, murowany, piękny, ozdobny, a ludu jak w niedzielę w jakiej parafii. Prawdę mówił malarz: kilka babulek okularowych, każda własnym dyszkantem ciągnęła *Zdrowaś Marya*. Kiedy to ja huknę *insperate* za niemi basem po bernardyńsku, aż przychyliły się babulki w ławkach i obróciły na mnie zdziwione okulary, a wszyscy uśmiechali się potrosze.

Skończyliśmy różaniec, zadzwoniono raz drugi; weszli państwo z dziećmi do kościoła i zasiedli ławkę w *prezbyterium*. Ubrałem w zakrystyi księdza kapelana, który mnie na zaznajomienie się pobłogosławił, i wyszedł ze mszą, a ja z jednym *gracyalistą* za *serwitorów*.

Daj Boże najdłuższy wiek pobożnym państwu, a na zasługę

u pana Boga wszystkim, jako się pięknie i przykładowie odbyło nabożeństwo. Po supplikacyi, do patyny przystąpili naprzód JWW. starostowie oboje, przy nich dzieci, a potem cały dwór, jak kto docisnął się. Natenczas postrzegłem jakąś figurę *generis masculini*, stojącą przy ławkach pańskich, po niemiecku ubraną, twarzy chudej i żółtej, z głową pudrowaną, z włosami w tył zebranymi, z harcapikiem na potylicy, w trzewikach i pończochach, a z kapeluszykiem składanym pod pachą. Z oczu biegających na wszystkie strony, coś mu kociego czy szatańskiego wyglądało, do czego i ubiór jego wielce się akkomodował. Pomyślałem, że to musi być doktor niemiecki, a jak zwyczajnie Niemiec, widać że luter, dla tego J. ks. *celebrant* nie dał mu patyny, i on sam nie cisnął się do niej. Pokręciłem głową, myśląc, po co on tutaj?

Po nabożeństwie starościna powitała mnie łaskawie, i panięta mile się ukłoniły, a Niemiec zmarszczył się; ale i ja na niego spojrziałem tak, że mu aż w pięty pójść musiało, i poszedłem za księdzem kapelanem, który mnie do siebie zaprosił.

U księdza kapelana także jak w kaplicy: relikwiarzami całe ściany zawieszono, a przy każdym kwiaty bardzo misternej roboty rąk, jak mi powiadał ksiądz kapelan, fraucumeru pani starościnej. Pokoiki dwa maleńkie na skrzydle pałacowem, a w nich czysto i cicho, jak w celi.

Gdy on się posilał śniadaniem, ja rozpatrywałem się w tych wszystkich świętościach; ale że mnie ten Niemiec wbił się w głowę, więc zapytałem:

— Dla czego, *reverendissime*, nie dałeś patyny temu Niemcowi, który stał przy ławce starościńskiej? Musi on być jakiś szołdra dysydent, a zapewne doktor nadworny tutejszy?

— Oj, ani luter, ani kalwin, ale gorszy od nich wszystkich, odpowiedział ksiądz Joachim, bo to przekłety heretyk, bezbożnik, ateusz, farmazon bodaj: a chrzci siebie filozofem i bardzo mądrym człowiekiem. To nie Niemiec, ale Francuz, i nie doktor wcale; mamy tu doktora pocziwego Węgra; a ten bezbożnik nie leczy, ale truje i to nie ciało, ale duszę; a co najgorzej, młode i niewinne dusze, dzieci pańskie! bo to jest *per modum* nauczyciel ich do języka francuzkiego.

— A dla czegoż, *reverendissime*, nie ostrzeżesz tych zacnych i

pobożnych państwa o takich bezbożnych jego i szkaradnych naukach? Nacóż go wpuszczacie do domu Bożego.

— Czyż rozumiesz, kochany księże kwestarzu, że ja obojętnie patrzę na to zgorszenie? Fulminuję, upominam, błagam oboje państwo i zaklinam na zbawienie duszy, aby tego niegodnego człowieka oddalili od dzieciak swoich; ale na nieszczęście, bies ma swoich na tym świecie apostołów, a temi są ludzie zgorszenie czyniący, pełni szatańskiej przewrotności i światowego rozumu, przez który bałamuca poczciwe i łatwowiejne głowy. Oh! takich już wielu jest w naszym kraju. Wyrzutki z własnego, znajdują u nas, szczególnie w domach pańskich, nie tylko przytułek i wygodę, ale nawet i konsyderacyę wyższą od naszych własnych, mądrych i uczonych a bogobojnych mężów, na których, chwała Bogu, krajowi naszemu nie zbywa.

[Bóg gdy chce kogo ukarać, to rozum odbierze — powiada dawne przysłowie,] o toż i my spodziewamy się kary Bożej, bo nam Bóg własny staroświecki poczciwy rozum odebrał, a przypuścił na nas wiarę w mowę i rozum francuzki terażniejszy, bo dawniejszy rozum i francuzki nie był takim. Terażniejszy bezbożny, niecotliwy, niechrześcijański, pragnący wywrócić wiarę świętą, obyczaje, zwyczaje i wszystko, co dotąd ludzie czcili i szanowali. I to jest dzisiejsza filozofia z piekła rodem, która się u nas z językiem francuzkim, z ludźmi francuzkimi, a najbardziej z książkami francuzkimi rozszerzać poczyna, między panami naszymi najpierw, a przędzie potem i do małpującej ich szlachty.

Na wielkim świecie, w Warszawie naprzykład, ani stąpić bez francuzczyzny; sam tego byłem świadkiem, gdyśmy tam przeszłego roku byli. Ztamtąd właśnie przywieźliśmy i tego filozofa; ale zażyłem go tu niezle!

Po długich jegomościa rozmowach, po sprzeczkach ze starostą i z samą panią, którzy umieją po francuzku, którzy, jako pobożni katolicy, nie mogli słuchać spokojnie jego bluźnierstw, a przez delikatność i respekt dla takiego mędrca zawiązać mu gęby nie śmieli, po nieuważnem jego znajdowaniu się w kościele i innych okolicznościach, wiedząc zwłaszcza o powszechnym duchu jego braci, poznałem co się święci. A więc wezwawszy Ducha św. na pomoc, który od razu nauczył apostołów wszystkich języków, wziąłem się, nic nikomu nie mówiąc i owszem tając się z mojem postanowieniem do francuzczyzny.



Umiejąc dobrze po łacinie, nie tak bardzo i trudno mi przychodziło. Znalazłem dykcyonarze i książki w bibliotece tutejszjej pańskiej, przysłuchiwałem się niby to od niechcienia lekeyom jego samego dzieciom dawanym, a nocami i rankami pracowałem bez ustanku; tak za trzy miesiące rozumiałem cały skład języka tego i mowę filozofa; milczałem jednak, czekając pory, a doskonalać się codzień, i rozmawiając nawet sam z sobą.

Jednego razu u obiadu, przy wielu gościach, rozperorował się francuzisko w swojej ulubionėj materyi, jak on nazywa, filozoficznėj. Wielu było panów umiejących po francuzku, a przysłuchujących się pilnie jego zuchwałym ekklamacyom. Dowodził, że duchowieństwo jest ciężarem niepotrzebnym dla kraju, bo wszyscy księża próżniacy.

— Kłamiesz! beczelnie kłamiesz! odezwałem się. Ciężarem dla naszego kraju są włóczęgi, którzy we własnym nie umiejąc na chleb zarabiać, nasz zjadać przychodzą, i za ten chleb nasz przynoszą nam zepsucie i potępienie!

Nie umiem opowiedzieć jegomościu zdumienia powszechnego, samegoż francuza, moich państwa i całej kompanii. Francuz oniemiał, patrzył na mnie osłupiałym wzrokiem, jak złodziej na uczynku złapanym, nakoniec pan starosta rzekł—Księżu Joachimie! czy cię Duch święty darem języków nawiedził? Co to się ma znaczyć? Od lat pięciu mieszkamy razem. Czyś swoją naukę ukrywał? i dla czego?

— Nie tałem się z nauką JW panie, odpowiedziałem, bom ję niemiał, ale w rzeczy samėj wezwałem ponocy Ducha świętego, abym się mógł nauczyć języka, w którym ten fałszywy filozof rozpowiada bluźnierstwa.

Trzy miesiące temu, jakem i słowa nie rozumiał po francuzku; dziś oto rozumiem, i mogę śledzić tego węża kusiciela, starć mu głowę jego własnym orężem, a zasłonić przynajmniej dziatki pańskie od zarazy i zepsucia.

Powszechny dano mi *applauz*. Starosta wstał od stołu i uściśnął mnie. *Konfuzya* francuza była wielka, i tém większa, gdy mu opowiedział, jakim sposobem i w jakim celu nauczyłem się po francuzku, a oraz gdy pan starosta dodał — Odtąd ksiądz Joachim będzie obecnym każdej lekeyi, bo nie chcę moich dzieci na niedowiarków sposobić.

Skromniejszym więc jest teraz, i w obecności mojej cyt! książki tylko swoje przede mną zamyka, ale i do tych dobiore się kiedyś.

Przy tém rozprowadaniu przypomniałem sobie słowa mojego księdza gwardyana, które mi na wyjeździe w tej materji powiedział.

— Tak, tak, rzekł on, miał rację twój ksiądz gwardyan; widać, że to jest mądry i przenikliwy kapłan. Jest *zło* między nami, jest! Waszeć tu jedną tylko małą widzisz próbkę, ale *non derogando* twemu rozumowi, nie kwestarskim rozmysłem ani kwestarzowi zdarzyć się mogą zrzęczości dójsć tego i pojąć, jak *ono* obejmuje najpiérwsze w kraju naszym głowy, jak ostudza gorliwość kapłanów nawet, jak z chciwością chwytają dziś książki francuzkie, napojone jadem niedowiarstwa, i naczytawszy się ich, żartują ze wszystkiego co dotąd jest u nas świętém i nietykalném. O biada, biada krajowi, w którym tak się dzieje, jak w naszym! upadnie on, niezawodnie upadnie, bo go odstąpi opieka Boska, gdy bojaźń Boska odstępuje; mamy jeszcze zapas cnót domowych, ale i te wygasają powoli, a natomiast szerzy się bezwstydną rozwieżłość i samolubstwo: lecim więc na óslep do upadku doczesnego i do zguby wiecznej.

— Dla Boga! rzekłem, ratujcież ichmość teologowie, ratujcie!

— A cóż mogą nasze poziome rozumy i sposoby przeciw woli Boskiej? Za nasze to grzechy karze nas Bóg i przypuszcza obłąkanie. Ależ czyż rozumiesz, że dla tego wiara nasza święta chrześcijańska upadnie? O, nie, wcale nie! bramy piekielne nie poruszają jój! gdy się zdaje chwiać, to się tylko mocuje!...

Ksiądz kapelan porzucił śniadanie i szerokim krokiem przechadzał się po pokoju, a oczy mu ogniem pałały; wiele jeszcze w tym sensie napowiadał mi *sentencyów*; któż je spamięta? słuchałem go, jakby kaznodzieję na ambonie, i tak przeszedł nam czas aż do obiadu, przed którym wyszliśmy trochę do ogrodu, a potem na ganek.

Odjeżdżał właśnie do stajni wózek saski zielony, parą końmi zaprzężony, a gość na nim przybyły już był w pokoju. Poznał ks. kapelan powóz, i powiedział mi, że to przyjechał pan *Kwetko*, mecenas trybunalski a plenipotent starosty w jego procedurach, którychby nie było, gdyby on starosty nie podwoził do kłótni.

Weszliśmy więc do sali, gdzie już pan marszałek około nakrytego stołu uwijał się, do którego za wejściem państwa, z dziećmi i panem filozofem za niemi, po benedykcyi, zasiedliśmy.

— To tedy jesteśmy *jure victi*, panie budowniczy!—odezwał się starosta do pana Kwetki.

— Niezupełnie, odpowiedział on, niezupełnie, bo *remissa* nie znaczy przegrana. Rozumiałem ja wprawdzie, że od razu w trybunale pokonamy szlachcica; ale [co się przewlecze, to nie uciecze, a tymczasem *beatus qui tenet!* więc niech szlachcic prawuje się, a wioszczka przy nas!

— Nie *beatus*, ale *maledictus qui tenet injuste!*—odezwał się ksiądz kapelan.]

— Nie wdawaj się w nieswoje, księżę teologu, odezwał się pan Kwetko. *Teologia* i *jurisprudencia*, to dwie osobne *sciencye*, które trudno czasem pogodzić.

— A wszelak, odezwał się starosta, ja jestem zdania księdza Joachima, i dla tego niżeli nanowo w subseliach prawować się rozpoczniemy, poradzić się muszę przyjaciół, i prosić o prawdę, choćby nie po mojej stronie, a potem wolę oddać wioskę memu *adwersarzowi*, jeżeli ona mu słusznie należy.

Ale o tém potem, a teraz, księżę kwestarzu, ponieważ twój *dywidendy* tu potrzebować nie będziemy przy obfitości darów Bożych, więc twójego dowcipu i wesołości pragniemy, którą, panie marszałku, podbudź lampeczką.

Sadzając mnie jeszcze do obiadu pan marszałek, pokazał miejsce samo jedno na samym końcu stołu długiego naprzeciw pani starościny, która także sama jedna najpierwsze miejsce zasiadała.

— Tu, rzekł, *miejsce kwestarza*, a to twoja *porcyca*—dodał, wskazując na sporą lampeczkę.

— *Deo gratias!*—odpowiedziałem, i rozsiadłem się wygodnie, a poznałem, że marszałek, zna swoje rzemiosło, bo gdyby mnie gdzie indziej posadził, chybiłby zwyczajnej reguły.

Nalał mi więc wina, które z zapachu i smaku na wojewodziński *chleb powszedni* zakrawało; smakując zatem powoli, odpowiedziałem staroście:

— Na dworze JW pana tak wszyscy z łaski pańskiej weseli i szczęśliwi, że obejdzie się bez mojego mizernego dowcipu, którego nie miałem jeszcze zręczności i *wyexercytować*, bo pierwszy raz jestem kwestarzem, a bardzo niedawno w zakonie.

— To źle, odezwał się pan Kwetko. Kwestarz powinien być *jo-wialista* i *konceptista*; takimi są *praeter propter* wszyscy koczujący *fratres* jegomościa; a jeżeli jegomościu na tém brak, to przyjeź-



dżaj do nas na trybunał, ale miej z sobą kalitę talarów: bo u nas na ustępie, kiedy Najjaśniejszy trybunał w namowie, to prześwietna palestra odbywa wojnę na języki, a za każdy dobry koncept lub żart z kolegi, płaci przegrany po dwa złote do puli, za którą potem śniadanie dla wszystkich \*). Otoż małym kosztem nauczysz się u nas rozumu.

— Taniż to rozum, rzekłem, którego za dwa złote można się nauczyć; gdyby tylko nie był on tyle wart, co i tanie mięso?

— A czy nie warta i ta odpowiedź dwa złote? panie budowniczy! rzekł starosta. I ostrzegam nie zaczepiaj skromnego na pozór kwestarza, bo przegrać możesz sowiciej jak w ustępnój.

Ale zaufany w swojej mądrości pan budowniczy kiwnął głową, i po chwili milczenia, zapytał mnie:

— Jak to, mój dobrodzieju, nazywają po klasztorach braci młodych niemszalnych; posługaczów *et id genus*, którym jednakowo głowy już wygolono?

Nie mogłem domyślić się, o co idzie panu budowniczemu.—Nie wiem, rzekłem, żadnego osobnego nazwania. Pospolicie zowią nas podług *officyów*, do jakich kto przeznaczony: *brat kwestarz*, *brat servitor*, *brat zakrystyan* i tym podobnie.

— Nie, nie; jeszcze osobna a ogólna *denominacya* dla wszystkich takich braci.

— Nie wiem, dobrodzieju!—rzekłem, a już przewidywałem, że mnie zatnie, tylko nie wiedziałem jak?

— Oj, wiesz, wiesz, tylko powiedzieć nie chcesz, bo nie podobna, abyś w klasztorze ze zwyczajném swoim imieniem nie spotkał się.

— Nie rozumiem jegomościa, a kłamać nie umiem.

— No to więc powiem już, kiedyś tak uparty. Każdy taki brat zowie się *pałkuć*, od głowy wygolonej jak pałka. A co? nie prawdziż?

— Prawda, rzekłem, tylko że to nazwanie nie w klasztorze, ale za klasztorem częstokroć słyszeć się daje.

— Ale kiedy jegomość tak biegły w *denominacyach*, to powiedz nam z łaski swojej, jak to w prześwietnej palestrze nazywają patrona, który sprawy przegrywa, tak, jak naprzykład dobrodziej

---

\*) Zwyczaj to był dawniej palestry trybunalskiej, i wiele ztąd zostało anegdot kraczących dziś pomiędzy nami, a przyswojonych częstokroć niestusznie.—N. w.

sprawę JW. starosty? Jest i dla takich osobna a ogólna *denominacya*, z którą się nieraz pewnie zdarzyło jegomościu spotkać.

— Zdarza się wygrywać i przegrywać sprawy—rzekł zbity od razu z humoru pan budowniczy, na którego teraz wszyscy oczy obrócili, przewidując, że mu oddam za swoje; ale to wcale opinii nie dotyka i żadnego przezwiska nie nadaje.

— Oj! nadaje, dobrodzieju, nadaje, tylko jegomość nie chcesz onego wymówić bo trochę za twarde.

— Więc już sam, ks. kwestarzu, powiedz nam to zakłęte słowo, którego pan budowniczy wymówić niechce—rzekł śmiejąc się pan starosta.

— E, da się uprosić, rzekłem; mój przydomek pamiętał, jakżeby własnego zapomniał? Pomyśl tylko, dobrodzieju!

— Ale powiadam, że nie wiem.

— No, to cóż już robić? to ja muszę jegomościu przypomnieć.

[Takiego tedy jurystę, który sprawy przegrywa, nazywają *kauzyperdą*, mości dobrodzieju! To z łacińskiego, jak pewnie dobrodziej rozumiesz, *perdere causam*.] I téj wielmożności *kauzyperdy* jegomościu winszuje—dodałem powstawszy i kłaniając się mu uniżenie.

Śmiech powszechny skonfundował do reszty pana budowniczego.—Płać dwa złote, płac!—wołał nań starosta.

— To więcj warto, odezwał się pan chorąży, bo ja w tém, że przydomek ten zostanie panu Kwetce do śmierci. A za zuchwałosc, z jaką wyzywał księdza kwestarza, *cum duplici* powinien zapłacić.

— Nie mam drobnych—odezwał się budowniczy, zdobywając się na humor.

— Dawaj całego talara, dobrodzieju! rzekłem: poznawszy teraz *subjectum* pańskie, wola Pana Boga! zdam resztę tąż samą monetą.

— Bravo! bravo! krzyknęli wszyscy. Już kwita! Musi po obiedzie zapłacić.—A starosta dodał—Mówiłem ci: nie zaczepiaj kwestarza.

Po obiedzie chciałem pożegnać starostę, ale nie pozwolił mnie mówić o odjeździe. Pan Kwetko *volens nolens* zapłacił mi talara, bo go chorąży obsedował bez ustanku; i poszliśmy z ks. kapelanem do jego kwatery na zwyczajny *requies*.

---

*Requies* tedy trwał aż do nieszpornéj godziny, a potem pod *manudukcyą* kochanego chorążego, poszedłem na kwestę po dworze.

U babulek napodziw nam się udało; wprawdzie obdzieliłem je sowito bernardynką, ale jak zaczął pan Atanazy prawić do każdej dykteryjki i przypominać różne intencje, tak wszystkie, to ze skrzyneczek, to z pod poduszek, to z jakichciś węzełków, dobywały złotówki i korończyki a mnie do rąk kładły. Żaden też z dworskich nie puścił mnie bez jałmużny, tak, że spory mieszek się napełnił, który chorąży talarem bitym przypieczętował.

Nazajutrz rano przywołał mnie starosta i rzekł, dając mi papier w rękę—Jeśli ci pilno, kochany ks. kwestarzu, to cię i nie zatrzymuje. Trzodkę twoję kazałem podwoić, a zatém idź do ekonomii. *Vale, Frater!* i póki będziesz kwestarzem, nie mijaj nas nigdy.

— A tobym, JWpanie, krzywdził nasz klasztor, gdybym minął tak dobroczynnego i wspianiałego dygnitarza. *Dat bene, dat multum, qui dat cum munere vultum*, (sentencja mi się dobrze przydała), a właśnie JWpan i hojną dajesz jałmużnę, i łaskawie przyjmujesz kwestarza. Niechże Bóg wszechmogący nagradza cnoty i hojność pańską, a błogosławi panu w dziatkach, wnukach i prawnukach.

Poszedłem zatém pożegnać księdza kapelana; tam przy kawie rozwinąłem papier przez pana starostę dany; znalazłem w nim assygnacyę do ekonomii, aby odesłano do klasztoru Nieświzkiego: „Żyta beczek pięć, N. 5. Słodu jęczmiennego na piwo beczek trzy, N. 3. i wołów karmnych dwa, N. 2., a to na jałmużnę ks. Ławrynowiczowi kwestarzowi klasztoru Nieświzkiego.“

Chciałem biedz znowu do starosty a pokornie dziękować mu za takie dobrodziejstwa, ale zatrzymał mnie ks. Joachim.

— Nie idź, *charassime!* rzekł on, to nie cud, że pan tak mój, jak starosta, jest hojnym i wspianiałym; powiadam waści, że to nie cud: bo niemasz u nas panów skąpych na chwałę Bożą, i tym przynajmniej okupują oni swe grzechy marnotrawstwa i zbytków. Starosta zwłaszcza jest nad innych dobroczynny i wspianiały, i nie dla próżności tylko lub chluby, ale z prawdziwej chrześcijańskiej miłości bliźniego. Cnoty te jego i sentymenta rozpościerają się na cały jego dwór, jak o tém przekonać się mogłeś.

Sama też pani pobożna i dobroczynna matrona, prawdziwa matka biednych, jak przystało na wielką panię. Wieleż to przez moje ręce przechodzi jój darów do kościołów i do szpitalów! a do tego wieleż to u nas jest i panien i dziatwy, staruszków i staruszek, i tu i po folwarkach, których ona karmi, hoduje, młode zamaż wydaje i wyposaża, a starym do śmierci chleb i kąt ciepły zapewnia!



Miło, prawdziwie miło patrzeć na takie użycie dostatków, na takie nasze starodawne cnoty, które bodajby się w potomkach odrodziły. Ale, niestety! i tu nam francuzczyzna broi. Widziałem w Warszawie przykłady, że pan z dawnego imienia i możny z dostatków, powróciwszy z wojażu, przywoził z sobą *kamerdynera* francuza, odprawił cały swój dwór i braci szlachty, którzy u jego ojca i dziada chleb mieli, a służyli im wiernie; a samotny z nowym sługą i konsyliarzem nowój mody, oddawał się cichemu próżnowaniu lub skrytój rozpuście.

— Musiałeś, dobrodzieju, przerwałem, być kaznodzieją.

Uśmiechnął się ks. Joachim, rad widać memu domysłowi.—No, rzekł, dość tego. Musisz, *charissime*, jeszcze jedną odbyć kwestę. Chodź ze mną do paniąt. Starościna kazała, abym cię do nich zaprowadził, bo prosiły u matki pozwolenia obdarzenia cię także. Niewinne i anielskie serca, kiedy ich ten zły duch nie zepsuje.

Jakoż poszliśmy do pokoju panicza, gdzie znajdował się i pan filozof, a nawet przybiegła i panienka, a za nią dziewczyna z węzełkiem.

— Mama, mówił ten aniołek, ofiaruje ks. kwestarzowi do kościoła Nieświzkiego całe ubranie na mszę świętą, a ja od siebie ten relikwiarzyk, i proszę modlić się za zdrowie mamy i papy.

— I ja na tę samą intencję ofiaruję wiele mam—rzekł chłopczyk i podał mi dukata.

Odbierając to wszystko i dziękując dziatkom, aż łzy mi w oczach stanęły, i księdzu kapelanowi także. A w tém francuz, uśmiechając się ironicznie, dobył ze stolika kilka złotych i niedbale mi podawał.

Patrząc na jego faryzeuszowską minę i postać judaszową, krew we mnie zawrzała; umknąłem rękę, i jakby mi kto podszeptał, palnąłem mu z Wirgiliusza:

— *Timeo Danaos, et dona ferentes.*

— *Kes? kes? kes?*—zaszwargotał on, obracając się do księdza kapelana.

— On po łacinie nie umie—rzekł ten śmiejąc się.

— A więc wytłómacz mu, *reverendissime*, naprzód moje podziwienie, że taki mędrzec po łacinie nie umie, a potém powiedz mu, że to, com powiedział, znaczy:

*Boję się darów z ręki nieczystej!*

Francuz na to, uśmiechając się znowu, okazał mi swoje rączki wychuchane i białe, jak z wosku jarzącego.

A ja na to rzekłem, obligując zawsze ks. kapelana, aby mu wytłómaczył *peryodami*, że ręka nieczysta znaczy taką, która się nigdy krzyżem świętym nie żegna, ręka niedowiarka i ateusza, ręka której pocziwy chrześcijanin dotykać się nie powinien, aby się bezbożnością, jak krostą nie zaraził.

Wytłómaczywszy mu moję *allokucyę verbum de verbo* ks. Joachim — brawo! — rzekł i uścisnął mnie w jego oczach. Francuz się uśmiechał wprawdzie, jednak poczerwieniał i wyszedł do drugiego pokoju, dziatki nań z bojaźnią i podziwieniem obróciły oczki.

Pożegnałem ich nakoniec; uścisnąłem i pożegnałem ks. kapelana, i wszystkich a wszystkich, których napotykałem mieszkańców tego bogobojnego domu. Na dziedzińcu czatował na mnie marszałek i gwałtem zaciągnął do siebie. Tam znalazłem panów rezydentów i wielu innych dworskich, i uraczywszy się nie tylko wyborném śniadaniem, ale i trojniczką wyśmienitą, po kordialném pożegnaniu, przyrzekłszy, że za drugim wyjazdem na kwestę znowu tu zawitam, poszedłem na ekonomię, niosąc pod pachą węzełek starościńej, a relikwiarzyk starościanki na piersiach.

---

— No, jedźmy, Marcinie! — rzekłem ujrawszy go przed folwarkiem.

— A w jakież to ordery jegomość się ubrał? Podobno trochę zapruszył się jegomość? No, to nie nie szkodzi. Nieboszczyk ks. Jacek to i często bywało sobie podpije, ale wtenczas jeszcze gładziej do baranów domawia się. A to jakiś relikwiarz, nie order, chwała Bogu!

Wytłómaczyłem mu wszystko, rozwinąłem zawiniątko, i znalazłem piękny aparat na mszę, a jednak Marcin kiwał głową i i nie cieszył się ze mną.

— A cóż u licha! rzekłem, czy i to jeszcze tobie zamało?

— A cóż to do jegomości należy zbierać ornaty i relikwiarze? Nie po to nas wysłali. Zakrystya nasza, chwała Bogu, nie uboga, a *dyspensa*, jak baranów nie zbierzem, będzie pusta.

— Alboż ci baranów nie wydano jeszcze?

— Ani jednego jagnięcia.

— No to pójdźmy do ekonomii.

Tam dopiero rozmarszczył łeb stary mruk, gdy posłyszał treść assygnaty i zapytanie pana *dyspozytora*, wiele mamy baranów? gdyż pan mu kazał dodać tyle drugie.

— Mamy dwadzieścia cztery sztuki — odpowiedział on.

— I dziesięciu jeszcze nie mamy — rzekłem.

— Ja mówiłem, że jegomość napruszył się, bo i lik stracił.

Uśmiechnął się pan podstarości.

— Niechże sobie będzie jakbyście mieli dziesięć, bo i sam widziałem, że więcej niema, drugi więc dziesiątek złączy się wraz z waszemi, a zboże i woły jutro do Nieświeża wyprawię. Pan Marcin przypomniał mnie o waszych zapasach podróжных, napełniłem więc puzderko i krobę, a to, księżę kwestarzu, przyjm za jałmużnę ode mnie.

Napisałem listek do mojego księdza gwardyana, oddałem appa-rata i relikwiarz dla odesłania razem ze zbożem, i nakoniec wyjechałem z tego rajy ziemskiego, żałując, żem zeń węża kusiciela nie wypędził.

---

## CASUS FATALIS.

---

### XIX.

**J**uż ze trzy tygodnie włóczyłem się po świecie, i trzodka moja do kopy dochodziła, a chociaż nie zdarzyło mi się nic do zapisywania w moim raptularzu, jednak nie nudziłem moją włóczęgą.

Jadę po kraju żyznym i wesołym. Chłopki na polach koszą sianko, albo żną żytko czy pszeniczkę: bo coś tego roku roboty gospodarskie zbiegły się. Jak odezwę się: *Boże dopomóż!* to odpowiadają mi rzeźwo i wdzięczną twarzą: *Na zdrowie jegomościu!* Czasami Marcin stanie na popaskę przy gromadzie żniwiarzy lub kośców; natenczas radzi oni z tego bardzo, i my radzi! częstujemy się co Bóg dał nawzajem; a że z łaski rupliwości Marcina zapasy moje podróжные, a szczególnie puzderko zawsze pełne, więc za traktament podrzucają i sianka świętego i snopków owsa moim baranom i ko-



niom. A zatem idzie rozmowa prosta i nie mądra, ale szczerą i życzliwą. Czasami staniemy i przy dworném polu, to już tam pan ekonom réj wodzi. Chłopki natenczas nie tak śmiałe, ale przecież nie widziałem, chwała bądź Bogu, ani wielkiego rygoru, ani kańczukowania, ani przypędzanek. Ekonomowie po większej części staruszkowie, a przynajmniej podżyli; nie jednego z koronką na szyi, trzepiącego różaniec postrzegłem, a szkaplerze na wszystkich pierśiach, i nieraz sobie pomyśliłem, że choćby zepsucie i niedowiarstwo objęło wszystkich wielkich panów, a nawet i mniejszych półpanków, nie dojdzie jednak do poczciwych chłopków i do drobnej braci szlachty, bo oni czytać nie umieją, a z ambony niedowiarstwa ogłaszać nikt nie będzie, a tak chwała Boska nie ustanie.

Otoż tak wlekąc się zawczora spokojnie i powoli, wypatrywaliśmy z Marcinem sposobnego miejsca na popas, i upatrzwszy przy drodze piękny gaik brzozowy, a za nim rzeczkę; zwłaszcza że słońce dopiekało, roztasowaliśmy się z naszym obozem, nie przewidując, że tu miał nas spotkać *casus fatalis*, który mnie omal wszystkich baranów nie pozbawił. Rozbiegły się one po gaiku i zaczęły skubać trawkę. Ja z Marcinem odprzęgliśmy konie i nasypaliśmy im owsa na derhach; przekąsiwszy potem nieco i zdawszy wartę owiec na Marcina, rozciągnąłem się pod drzewem i zasnąłem.

Marcin łyknął bodaj zanadto z flaszy, i zdawszy wartę na Panfila, toż samo co i ja uczynił, a trzodka tymczasem przebiegła lasek, napiła się w rzeczulce, a obaczywszy za nią piękną osieliczkę i nie mogąc oprzeć się pokusie, przebrnęła rzeczkę....

Wielkie hałasy i krzyki przebudziły mnie. Zerwałem się z ziemi, a nie widząc baranów, krzyknąłem — Marcinie! a ty śpiochu przekłęty! gdzie barany?

Porwał się Marcin, i oglądając się na wszystkie strony — Panfil! krzyknął, Panfil! a ty śpiochu przekłęty! gdzie barany?

Panfil pobiegł tropem czy wiatrem i zaczął ujadać nad rzeczką, a Eliasz i Barabasz odezwali się do nas żałośnie. Więc przebiegliśmy także brzezinkę i ujrzelśmy na drugiej stronie rzeczki nasze owce i jakiegoś jegomościa w białej płóciennéj kapocie, w szerokim słomianym kapeluszu, z wielkim kijem w rękę; komenderował on kilku chłopami, zapędzającymi naszą trzodę z łąki na drogę do blizkiego dworku, którego za brzezinką nie dostrzegłem.

— A to ty! popie! proszę uniżenie! wrzasnął ujrawszy mnie

ten jegomość. A to ty? popie! przywędrowałeś tu spasać moje łąki! proszę uniżenie!

— Przepraszam dobrodzieja, przepraszam stokrotnie i pokornie; winien jestem! *mea culpa*, dobrodzieju! Zasnąłem trochę, widzi jegomość; toż samo uczynił mój stary furman i mój stary pies, i nie pilnowali baranów.

— Piękna *komparacya!* — pomruknął Marcin.

— Ale jegomość nie każ tak pędzać owiec, bo jeszcze bardziej łąkę podepczą, a czasami wbiegną i do zboża; my zawołamy przewodyrów, to i powrócą na tę stronę.

— A cóż to myślisz? proszę uniżenie, że cię na sucho wypuszczę po takiej szkodzie? Grabię twoje owieczki i kwita!

Jakoż chłopcy jego pędzili nasze stadko ku dworowi.

— Jako? mój dobrodzieju! Jegomość chyba żartujesz, albo chcesz mnie takim konceptem do siebie zawokować. Byłbym i sam zjechał, ale nie obaczyłem dworu pańskiego za brzezinką.

Tymczasem Marcin krzyknął razy kilka po swojemu; Elias i Barabas, usłyszawszy głos jego, rzucili się ku nam, trzoda za nimi; chłopcy zabiegli im drogę, ale dostawszy tegie *bukisz*, wyrócili koziółka. Jegomość stanął naprzeciw z kijem, a Marcin przebrnął rzeczkę w sukurs naszym walecznym *prewodyrom*. *Panfil* wył i ujadał, barany beczeli, my krzyczeli, wcale jakby sprawa na dyferencyi, lub zajazd.

— A to jeszcze, popie, wodzisz z sobą dwóch rozbojników! pokaleczyli mnie chłopców! Wara! proszę uniżenie, stary grzybie! — wrzasnął na Marcina, który z biczem około chłopców zawijał się — wara! bo cię opłażę na wszystkie boki. Sto bizunów! proszę uniżenie.

Odwołałem Marcina; za nim Elias i Barabas z kilką baranami przeskoczyli do nas, a resztę popędzono do dworu.

— Kiedy tak, to: wolaż pana Boga! Ten mnie nagrodi, rzekłem podnosząc z piersi i całując krzyż. Pojadę rżadz po moich dobrodziejach, opowiem im moję krzywdę; wspomogą mnie znowu, a klasztor z głodu nie umrze. Marcinie zaprzęgaj i zawracaj.

A jegomość zabieraj moje owce, ale pamiętaj, że pożałujesz tego: bo krzywda każda o pomstę do Boga woła, i sumienie własne spać ci nie da. Zechcesz może potem odpędzać własnymi nogami aż do klasztoru, ale już to będzie po czasie.... *Bo Bóg widzi—Czas ucieka—Śmierć goni—a wieczność czeka.*

— Cóż to? proszę uniżenie, przeklinasz mnie?

— A broń Boże! owszem, niech jegomości Pan Bóg nie pamięta! ja tylko ostrzegam.

A z jakiego waszeć konwentu?

— A na co dobrodziejowi wiadomość ta potrzebna?

— Na co potrzebna? proszę uniżenie! musi być potrzebna, kiedy się pytam.

— Daj mi już jegomość pokój, i bądź zdrów. Marcinie! doładź puzderko; napijemy się na ten frasunek i powlecjemy się do łąskawszych, czy litościwszych ludzi.

Marcin podniósł flaszczykę.—Do ciebie—rzekłem nalewając.

— A czemuż waszeć do mnie nie przepijesz? proszę uniżenie. Interes interesem, a przyjaźń przyjaźnią.

— Jakto? zabrałeś mi barany i jeszcze mam cię częstować?... Ale, prawda, Bog kazał przebaczać nieprzyjaciołom. W ręce więc pańskie.

— Dziękuję. Jakże to będzie przez rzeczkę? proszę uniżenie.

Marcin postawił kieliszek pełny na czapce i pobrnął w wodę.

A w tém ujrzałem wracające ze dworu moje barany; pędzili je też same chłopaki, a za niemi postrzegłem imość, i nawet po mnie jegomościćną poznałem, że to żona jego, bo zupełnie opuścił uszy, a wychyliwszy kieliszek. — Pogodzimy się, księżę kwestarzu! proszę uniżenie.

— I ja widzę, że się pogodzimy, bo barany moje wracają z przybytkiem. Nie było czarnego, a teraz jest.

— Co waspanu stało się? mój jegomosteczek! odezwała się sero nadchodząca pani.

— Moje serce... proszę uniżenie...

— Da daj waspan pokój, wiem o wszystkim. Proszę darować tę mitręgę, księżę kwestarzu dobrodziej! Mój jegomostek często sam nie wie co robi. Cobys miał zaprosić do domu i obdarzyć, to grabisz i krzywdzisz. Zły duch waspana opętał, czy co?

— Widzisz, moje serce, szkoda znaczna, i chłopcy, proszę, uniżenie, pokaleczeni.

— Da co waspan bałamucisz? gdzie tam pokaleczeni? gdzie ta szkoda?

— Szkodę, rzekłem, Pan Bóg nagrodzi, trawa odrośnie, a imości dobrodziejce także Bóg pobłogosławi za dobry uczynek.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! ksiądz kwestarz rozu-



mniejszy od waspana. Jegomosteczek głupi jesteś, więc zawsze głupstwa i robisz.

Ja, wątpiąc, czy po takim *certamencie* jegomość dobrodziej zechcesz do nas zawitać, dołączyłam i mego czarnego barana, a to, aby on, jako inny od wszystkich, przypomniał jegomości, że co gospodarz nabroił, to gospodyni naprawiła.

— Mybyśmy już i tak, moje serce, proszę uniżenie, pogodzili się z księdzem kwestarzem.

— Da milcz jegomosteczek, zmiłuj się milcz! Ja taki waspanu tego nie daruję; we środę pójdiesz do spowiedzi, a ja sama z księdzem proboszczem o pokucie pogadam. Czy to pięknie? czy to po chrześcijańsku? Aż mnie wstyd za waspana!

— Jeżeli jegomość dobrodziej nie masz rankoru, to proszę do nas na filiżankę kawy.

— Proszę uniżenie... po staremu...

— A milczże waspan! już mówiłam, milcz! ot wolój pomóż księdzu kwestarzowi przepawić się do dworu przez mostek; bo choć tyle razy i kazałam i krzyczałam, dotąd nie naprawiony.

— Widzisz, moje serce.... ekonom, proszę uniżenie....

— A znowu gadasz. Leniuch jesteś, na ekonoma zdajesz co potrzeba, a co nie potrzeba, sam robisz. Spowiadaj się waspan i po wszystkim.

— Mamże oczekiwać księdza kwestarza dobrodzieja? — zapytała imość, a jegomostek stojąc za nią z tyłu, kłaniał mi się pokornie i na migi zapraszał do dworu.

— Dziękuję dobrodziejce za łaskawe serce. Czarnego baranka nie dam zarznąć, i hodować będę na *prewodyra*, aby mnie drugim razem zaprowadził do tak bogobojnej pani, a teraz żegnam moich dobrodziejów, bo mi pilno przed Porcynkułą wracać do klasztoru i sukurs na fest przypędzić.

— Ot widzisz waspan, aż miło słuchać! To niechże Bóg szczęśliwie prowadzi, a proszę nas nie mijać. Mój jegomosteczek drugi raz takiego głupstwa nie zrobi.

— Moje serce! nie alteruj się proszę uniżenie; dalibóg wyspowiadam się we środę.

— Da milcz waspan!—Odeszli.

Patrzając za nimi i pokręcając głową — *Hic mulier* — rzekłem.

A Marcin obok mnie kręcąc także głową — *[Szwed baba!]* — rzekł. Wyłómaczył więc regularnie moję łacinę i ruszyliśmy dalej.

## U KSIĘDZA PLEBANA.

### XX.

Przebyłem już napowrót *Niemen*, zawracając się ku Nieświżowi. (*Tu kart kilka wydartych, a potem jak następuje*)... Przed plebanią na ławeczce pod starą brzozą, a przed nami stolik i na nim dzban ciekuszu, do jakiego ani ja w klasztorze, ani widać ksiądz prałat w swojej bogatej plebanii nie przywykł. Marszczył się więc *reverendissimus* popijając, ale pił jednak, bo nie było lepszego, a upał choć pod zachód słońca, dokuczał jeszcze.

— Jesteś bez wątpienia, rzekł ksiądz prałat, prowadząc dalej zaczęłą w plebanii rozmowę i napominki, których pleban, staruszek cierpliwy, w milczeniu słuchał dotąd, jesteś kapłan gorliwy i pobożny, służba Boża w kościółku twoim idzie przykładnie, ależ sprawa sprawy nie tamuje. *Et haec facienda, et illa non omittenda*. Mógłbyś przytém pomyśleć staranniej i o doczesnym żywocie. Plebanijka to wprawdzie mała, ale ziemia dobra, chłopki ciepłe, a gospodarstwo pożał się Boże! Wstydz się! U mnie inaczej. Przyjedź tylko do mnie, nauczę cię rozumu. Pochodzimy po polach; obaczysz jak u mnie wyorano, jak wybronowano, jak zasiano, i jak chwala Bogu, rodzi. Nauczę cię i pieniążki zbierać, i lepsze piwo robić, bo tą lurą i gardło i humor skwasim.

Staruszek uchylił osiwiółą głowę, jakby dziękował za ofiarowaną naukę, a potem zeicha, powoli i nieśmiało, modląc się raczej, niżeli odpowiadając księdzu prałatowi, mówił:

„Albowiem królestwo Boże nie jest ci pokarm ani picie, ale „sprawiedliwość i pokój i wesele w Duchu świętym! Przetoż tedy „starajmy się o rzeczy, które pokojowi należą, i tego, co jest ku „zbudowaniu, społecznie strzeżmy.“

— A toż znowu co? rzekł ksiądz prałat kręcąc palcem nad łbem, a toż znowu co?

— *Słowa świętego Pawła do Rzymian, reverendissime!* — odpowiedział staruszek.

— Prawda, ale cóż to ma wspólnego z twojem gospodarstwem i podpiwkim?

— „Dla pokarmu nie psuj sprawy Bożej!“ *ibidem, reverendissime.*

— Porzuć waść te cytacye. Kto cię nawraca do obżarstwa? chybaby kwestarz, jako nawykły do bernardyńskich porcyi.

— Pomierzmy brzuchy, dobrodzieju, odezwałem się na tę zaczepkę, bo widziałem, że *periferya* księdza kanonika dwa razy większa od mojej. Bodaj pasek mój nie zejdzie się na jegomościa.

— Pleciesz, rzekł ksiądz prałat. A waść, księżulu, nie w czas wyjechałeś z świętym Pawłem; bo co się mówi o gospodarstwie, to się nie tycze obowiązków naszego stanu; jedno drugiemu nie przeszkadza.

Ksiądz pleban pokręcił głową.

— Pięknie, gdybym ja, mając porządne *beneficium*, gospodarzył jak ty, bracie! A toćbym marnował dar Boży!

— „Są różnice darów, lecz tenże sam duch być „ma!“ mówi święty Paweł do Koryntyan, *reverendissime,*

— Znowu wyzywasz mnie na teologiczną dysputę, a ja po prostu chcę ci dowieść, że opuszczenie się w twoich domowych sprawach doprowadzi cię do ubóstwa, tak, że nie będziesz mógł potem ani łaknącego nakarmić, ani pragnącego napoić.

— Dam łaknącemu kawałek suchego chleba, który sam pożywać będę, odpowiedział starzec tym samym pobożnym i dobrotliwym głosem, a pragnącemu kubek wody, albo i tego podpiwku, w którym bogaty prałat nie smakuje, a który ochłodzi pragnącego.

„Aż Bóg nie obrał ubogich na tym świecie, aby byli bogatymi w wierze, i dziedzicami królestwa, które Bóg obiecał tym, którzy go miłują?“ *Tak pisze święty Jakób w Liście powszechnym.*

Prostota i łagodność, z jaką te słowa wymawiał ksiądz pleban, a bodaj i same słowa, dotknęły prałata. Skąsił usta, zmarszczył brew, i rzekł:—Prawda to, ojczy, prawda! Umiesz Ojców Kościoła na pamięć, a naśladujesz ich twojem świątobliwem życiem; lecz też pamiętać należy, że mamy obowiązki na świecie nietylko duchowne, ale niejako i doczesne. Jesteśmy szafarzami darów Kościoła, powin-



niśmy się więc starać, aby ich nie zabrakło dla biędnych w ogólności, a wolno też pomysleć i w szczególności o potrzebujących częstokroć powinowatych naszych i krewnych, którym wsparcie za życia, a pamiątka po śmierci od nas się godzi.

— „Bez ojca, bez matki, bez rodu; nie mają ani początku dniów, „ani końca żywota; ale przypodobany synowi Bożemu, trwa kapłanem na wieki!“ *Tak pisze święty Paweł.*

— Róbże sobie jak chcesz, rzekł powstając zniecierpliwiony prałat. Jakbyś nie miał słów własnych, konfundować mnie chcesz słowami Apostołów.

— Nie gniewaj się, *reverendissime!* rzekł ksiądz pleban. Nie miałem zamiaru ubliżać wyższemu ode mnie w Kościele Bożym; ale w różności naszego przekonania, słowa moje własne naprzeciw słów i powagi twojej, *reverendissime*, nie obroniłyby mnie. „Nie „śpierzaj się słowy, bo się to na nic nie przygodzi, jedno na skazę „słuchających, a świeckich rzeczy i próżnomówności strzeż się!“ *naucza także święty Paweł.* Wolałem więc nieudolność moję wesprzeć tém, na czém i codzienne moje życie, i niedostatki, i kłopoty opieram; to jest, słowami, które codzień czytając, rozważając i przepisując wraziłem sobie w pamięć i w serce. W nich, mości księże prałacie dobrodzieju, moja obrona naprzeciw światu i jego pokusom; w nich moja pociecha w samotności i utrapieniach, od których któż wolny na tym padole płaczu? z nich moc ducha niewątlącego się wiekiem moim zgrzybiałym. „A owoc ducha (jako powiada *Paweł „święty*) jest miłość, wesele, pokój, cierpliwość, dobrotność, ci- „chość, wiara, mierność, sprawiedliwość, czystość.“

Nie przeto, abym te wszystkie dary i cnoty posiadał, uchowaj mnie Boże od takiej pychy; ale myśl moja tak nawykła w każdym zastanowieniu zawracać się na tę drogę, że wprzód, nim własne wynajdę zdanie, natrafiam na gotowe święte prawidło, za którym idę bez namysłu, i nigdy nie zabłądziłem; dla tego dusza moja i sumienie wolne, chwała Bogu, od wszelkiego ciężaru. Nie zapędzam się w gospodarstwie, ani kłopotam się o pomnożenie dostatków lub zbieranie pieniędzy. „Obyczaje twoje niech będą bez ła- „komstwa, przestawając na tém, co teraz jest. Boć sam powiedział: „nie zaniecham cię ani cię opuszczę.“ *Słowa świętego Pawła, reverendissime.*

Starania około zbawienia duszy własnej, około dobra a zbudowania trzodki mojej, utrzymania ubogiego tego domku Bożego i

w nim chwały Boskiej, oto, *reverendissime*, wszystko, nad czém codziennie myślę i pracuję. Resztę i całą przyszłość oddaję woli i opiece Boskiej: bo „Nie waszać rzecz, nie waszać, znać czasy i „chwile, które Ojciec w swęj władzy położył“ *powiedział* Chrystus.

A jednak [Boże uchwaj, abym sądził innych podług siebie, i mniemał, żem doskonalszy od braci moich. „*Każdy z nas za się da liczbę Bogu—mówi święty Paweł.*] Gotując się więc do tego ciężkiego ratunku, na który przyjsć wkrótce mi wypadnie, do miłosierdzia Boskiego, nie do zasług i wartości mojej uciekam się.

— Zatem przebacz mi *reverendissime*, jeżeli cię nie chcąc obraził—i tu chciał staruszek ucałować rękę prałatowi. Umknął ten ją z pośpiechem i zamyślił się głęboko. Ksiądz pleban milczał, i ja także, rozważając świętobliwość i pokorę jego. A w tém zadzwoniono na nieszpór.



## P O W R Ó T.

### XXI.

**J**uż nam zdaleka orzeł Radziwiłowski ukazał się na wieży zamkowej i kręcił się od wiatru na wszystkie strony, gdy Marcin rzekł do mnie—Wiele jegomość zebrałeś gotówki?

Nie liczyłem. Oddam cały worek księdzu gwardyanowi; niech sobie sam i policzy.

— Daj mnie jegomość talara.

— A to na co?

— Już to taki obyczaj. Ja od każdego kwestarza biorę po talarze, niby na bóty; ale, prawdę mówiąc, idzie on na konsolację ze stajennemi zamkowemi, mojemi wielkimi przyjaciółami. Na bóty zbiorę, przyprawiając tabakę dla całego klasztoru, bo mam na to sekret nieboszczyka księdza Rafała, trzeciego kwestarza przed jegomościem. I nikt tak definitorskim nosom nie dogodzi jak ja,

Dobyłem więc kieskę i dałem mu talara.

— Chwałaż Bogu nie z próżnemi rękami wracamy, rzekł on, postrzegłszy pieniądze; jest co i do karbony oddać, i sobie zostawić. A wieleż jegomość sobie schowasz?

— Bałamucisz! Jak ci do głowy przyjsć mogło, że choć grosz dla siebie ukryję? Jeżeli tobie daję talara, to dla tego, że zasłużyłeś, jak mi się zdaje, na to, pilnując przez kilka tygodni koni, — wozów i baranów.

— To tylko dla tego? Jegomość bałamucisz, ale nie ja, odpowiedział z gniewem Marcin. To jegomość płacisz mnie tylko jak furmanowi i pastuchowi! Kłaniam uniżenie! Weźże jegomość sobie nazad swego talara i kwita z przyjaźnią!

To jegomość rozumiesz, że byle jaki furman, to i kwesta uda się? Przepraszam jegomościu. A ja mówię, że byle jaki kwestarz, aby tylko furman dobry i wiedział gdzie zawracać, to i kwesta pójdzie wysmienicie. A nawet gdyby puścić dropiatego naprzód i dać jemu przewodyrów naszych, a Panfila za stróża od wieków, to i tak bez kwestarzów i furmanów, jak on zna wszystkie drogi, nazbierałyby baranów.

Onegdaj, pamiętasz jegomość, ja nie chciałem zawracać do tego sknery, co się schował przed nami za dziurawy parawan, a chłopcowi kazał powiedzieć, że wyjechał. Prawda, że jegomość, postrzegłszy łysinę za parawanem, po kwestarsku jemu dociąłeś, odpowiadając chłopcowi, że pokłonił się panu jak powróci, i powiedz, żeby drugi raz wyjeżdżając z domu, łysinę swojej nie zostawiał za parawanami. No, gdybym ja był w pokoju, tobym ja jego ztamtąd wyciągnął, ale jegomość nadto wielki polityk.

I wszędzie, gdzie ja zajeżdżać nie chciałem, skończyło się na *z Panem* Bogiem! a gdzie dropiaty zwrócił się, to i baran przybył. To nic nie znaczy u jegomościu? a że kroba i puzderko zawsze pełne były, to także nic? Oj, ludzie! ludzie! pożał się Boże!

Głową kiwał Marcin, trząsł z różka tabakę i wzdychał, ale talara schował do kieszeni.

— Zgoda, panie Marcinie! rzekłem. Prawda, żeś ty stary cwik i doświadczony na kwestę. Pojedziemy znowu z sobą, kiedy Bog pozwoli.

— A zwyczajnie, że pojedziem, bo i ja przed całym klasztorem inaczej nie powiem, jak tylko, że jegomość całą gębą kwestarz; umiesz sobie i u panów i u chudopachołków poradzić.



Co do pieniędzy, któż jegomościu radzi schować? *Per modum*...—  
Zamilkł Marcin, szukał grzecznego wyrazu.

— *Per modum* ukraść—dopomogłem mu.

— Nie.... tego.... ale.... bo jegomość nowicyusz; nie wiesz tego, że kwestarz powinien sam starać się o wszystko do drogi i w drodze: wozy naprawiać, konie kuć, odziać furmana i siebie: bo, prócz habitu, jegomościu, jako kwestarzowi, nic więcej z klasztoru nie dadzą, a za to rachunku z nazbieranych pieniędzy żaden kwestarz nie zdaje. Już to na jego sumieniu. Nieboszczyk ks. Jacek umierając, sto talarów bitych oddał do karbony bractwa różańcowego. Za toż codziennie dziady i baby śpiewają za jego duszę *Anioł Pański* Czy to złe?

Pod wieczór wjechaliśmy tryumfalnie na dziedziniec klasztorny. Dropiaty zarzął, zwiastując nasze przybycie a poznając swoją stajnię.

— *Salve Frater amantissime!* Ot co jest!—wykrzyknął ks. gwardyan, witając mnie na ganku; a i uściskając po przyjacielsku.

I wszyscy ojcowie pozdrowili mnie chorem.

— Czekałem cię jak kania deszczu, rzekł ksiądz gwardyan; rozumiałem, żeś gdzie znowu za marszałka przystał, zwłaszcza, żeś się z panami pobratał. Odebraliśmy z wielką pociechą dary z *munificencji* starosty, przez ciebie wyjednane. Niech mu dobroczynność jego idzie na pożytek duchowny, tak, jak nas cielesnym zasilił. Baranów jak gwiazd! Ot co jest! Widzisz, mówiłem ci na wyjeździe, że jeszcze ludzkość, pobożność i dobroczynność żyje na Litwie! Ot co jest!

— Prawda, *reverendissime*, prawda! wszystko prawda! nawet i coś namieniał o niedowiarstwie i zgorzeniu gdzieniegdzie wtykającym głowę, i na tom napadł; nawet na samego spostoła złośliwości...

— *Caetera ad coram*, przerwał mi ks. gwardyan, bracie Michale, a teraz idź wypocznij po drodze.

*Post silentium* zawołał mnie ksiądz gwardyan do siebie; widać nie chciał mieć świadków naszej poufałej rozmowy. Przyniosłem mu pieniądze. Odliczyliśmy złotych dwieście kilkadziesiąt w różnej monecie.

— Bóg zapłać, rzekł on, i wści, bracie Michale, i dobrodziejom naszym. Ot co jest!

Cóż tam powiesz mi o swych obserwacyach śwlatowych, o których namieniłeś?

Więc mu opowiedziałem cały progres bytności naszej u starosty i moję poniewierkę dla francuza i jego pieniądze.

— *Bene!* Ot co jest! *Bene! valde bene!* Znalazłeś się, jakbym sam lepiej niepotrafił, a powracasz do klasztoru rozumniejszym, jak wyjechałeś, bo nauczyłeś się wojować z nieprzyjacielem, z niedowiarstwem, które z obowiązku twójogo stanu gromić zawsze powinienś.

Gdym mu zaś powiadał o pobożności ludu pospolitego, chłopków i drobniejszej schachty.—I to prawda, odpowiedział mi; do tych zaraza nie dochodzi i nie dójdzie nigdy, choćby się między panami chrześcijańskimi najszerzej rozlała. Prostaczkowie przyjęli przychodzącego Jezusa na ten świat, prostaczkowie i zachowają go w sercach, gdy bezbożni zawziętość swą wywierać nań będą. Ot co jest! Ale Bóg, w czasie koniec złemu położy: zaślepienie przejdzie! A natenczas monarchowie i mędrce świata tego, jak owi trzój niegdys ze Wschodu, przyjdą za gwiazdą prawdziwej chrześcijańskiej mądrości, a z pokorą i skruczą uderzą Mu czołem na nowo. Ot co jest! i co daj Boże! Amen.

R O K 1812-ty.

XXII.

*Od powietrza, głodu, ognia i wojny wybaw nas Panie!* śpiewamy codzień w supplikacyi. Piérwszych dwóch plag Boskich za moich czasów Bóg na nas nie dopuścił; ogień—co bez czego? ale ostatniej doznaliśmy już piérwój, i doznajemy teraz, ze wszystkimi jój okropnościami, rabunkiem, zniszczeniem i gwałtami wszelkiego rodzaju.

Co potém nastąpi, Bogu wiedzieć. Nie obejdzie się zapewne i bez dalszych nieszczęśliwych konsekwencyj, to jest, moru i głodu. Co zaś najbardziej trwoży nas i boleścią przeszywa, to profanacya

świętyń Pańskich i ostatnia pogarda dla sług Bożych, a ponieważ ka dla świętej naszej wiary. O Boże! Boże! czegoż doczekaliśmyć. Widać blizkie skończenie świata!!!

---

Mieszkałem już od lat dwóch w klasztorze naszym w Wilnie, gdy zaraz z wiosny rozchodzić się poczęły wieści o wojnie, o zbliżaniu się Francuzów, i nareszcie, że stoją nad Niemnem, a rychło i do nas zawitają.

W Wilnie publika wielka, jakiej to miasto dawno nie widziało i widzieć pono nie będzie. Cesarz bowiem Alexander, którego wszyscy czczą i aniołem dobroci nazywają, założył tu swoją rezydencyę.

Kiedy on konno wjeżdżał do miasta przez Antokol, to od huku harmat i wszystkich dzwonów aż miasto się trzęsło.

Kto tylko potem chciał—a któż nie chciał?—mógł go codziennie widywać, czy to przejeżdżającego się także konno po pięknych okolicach Wilna, czy to musztrującego wojsko, którego było w mieście i za miastem moc nieprzeliczona. Sama gwardya cesarska kiedy wystąpiła na rewię za Wileńską bramą, to okryła całe pole i bory od miasta aż pod Zakret.

A jakaż to assystencya! jaka parada przy cesarzu! wiele to tam generałów! książąt! orderowych panów! a wszystko precz od złota! Było nawet kilku posłów od zagranicznych nacyj. Sam widziałem na tej rewii posła Szwedzkiego. Znaczny był zdaleka, bo w granatowym bogato szamerowanym mundurze, z żółtém piórem na kapeluszu i złotą szarfą, kiedy wszyscy mieli szarfy srebrne. Tłumy ludu wysypały się za miasto; a między tłumem i nas kilku ciekawszych dla przypatrzenia się tej niby to wojnie; a za górą była już i prawdziwa:

---

Do klasztoru do nas hurmem szły nowiny; bo z miasta znajomi i przyjaciele przychodzili codzien wieczorem na wymienite nasze piwko do ogrodu, i pod cieniem drzew gwarzyli o wszystkiém, co słyhać było. W mieście zaś był ruch nadzwyczajny. Nakoniec jednego ranku, gdym był u księdza kustosza dla klasztornych dyspozycyj, wpadł nagle do celi pan budowniczy Orzechowski, nasz tercyarz i sąsiad klasztoru, i krzyknął: — Tatuleńku! już przeszli Niemen!



— Co wasan mówisz? czy pewnie?

— A najpewniej! Wczora moje chłopcy, to jest, akademicy mieszkający w mojej kamienicy, byli na balu w Zakrecie, i na swoje oczy widzieli kuryera, który wpadł tam na bal nawet, z doniesieniem téj nowiny. Dziś już całe miasto wie o tém, i niéma sekretu.

— Więc tu będzie wojna?

— Jakie to *futurum*? kiedy to już *tempus praesens*. Jest już wojna, tatuleńku! jest! tylko nie tu, nie koło Wilna, i u nas, jak powiadają, jój i nie będzie. Bo widzisz, *ut fert fama*, Rossyanie mają się rejterować w głąb' kraju i wprowadzić za sobą Francuzów w Łyka. Każ dać wódki, tatuleńku! bo to jest *materia gravis*, podług mojej *ekwanimii*.

Napiliśmy się po raz. — Cóż teraz robić? — zapytał ks. kustosz.

— A cóż robić? jedno z drugim *nic*. Podług mojej *ekwanimii*, siedzieć cicho w klasztorze, modlić się Panu Bogu! i przychować dla wszystkiego ważniejsze *preciosa* kościelne. Ja nawet mój kuferek przyniosę dziś w nocy do Ichmościów.

— A to dla czego!

— Dla czego?... dla czego? ot mówiłem jegomościu, *dla wszystkiego*... a kiedy mam otwarcie powiedzieć — dodał ciszej i jękając się — bo powiadają, tatuleńku... że Francuzi rabują, a nawet... kościół odzierają!...

— Jak to być może? Fałsz! To naród chrześcijański, mospaniel!

— Już to, podług mojej *ekwanimii*, chrześcijaństwo u nich wątpliwe, tatuleńku! Wiesz, że Napoleon Bonaparte papieża z Rzymu wypędził, a syna królem rzymskim ogłosił; więc *signum pro re signata*. Zresztą, rób jak chcesz, tatuleńku. Ja wieczorem podejść, a teraz biegnę na miasto. Nie usiedzieć w domu, gdy co godzina to nowina.

---

Gdy wyszedł pan budowniczy, ksiądz kustosz zebrał ojców na *consilium*. Przyszedł, opierając się na kij, staruszek ksiądz definityor, mój najpierwszy gwardyan miński i dobrodziej, z którym po większej części wiek mój zakonny strawiłem, i którego kocham i szanuję jak ojca. Szanują go też i słuchają we wszystkiem i w tu-tejszym klasztorze, bo znają jego wielkie *merita* w zakonie, i mądrą głowę, a która i wiekiem się nie osłabiła; w ważniejszych więc sprawach do niego idą po radę. Był on razy kilka już prowincyałem, i wtenczas nasze wspólną peregrynację po klasztorach opisa-

łem akuratnie w moich raptularzach; na starość obrał sobie rezydencję w Wilnie, jako *emeritus*. Za jego to naleganiem, po kilkoletniém rozłączeniu naszém, które ja za niewolę babilońską uważałem, przeniesiono i mnie do Wilna. Nazywają nas *inseparabiles*. Oh! śmierć nakoniec zadała fałsz temu nazwaniu!... Rozdzieliła nas swoją kosą okrutna *Libityna*!... Com ucierpiał i cierpię, Bogu tylko wiadomo!... do którego codzień modłę się za jego duszę. Ale o tém potém.

Zebrany *Patrom* opowiedział ks. kustosz nowinę, i podał *konkluzyi* kwestyę: cóż robić?

Wszyscy milczeli, i takby się rada skończyła; ale ksiądz kustosz obrócił się do ks. definitora i rzekł: — *Reverendissime!* czekamy twojego mądrego zdania.

— Francuzi, powiadacie, rabują kościoły? — odpowiedział on — być to może, bo dożyliśmy wieku rozuzdania wszelkich zapędów ludzkich. Ot co jest! Wątpię jednak, aby w mieście, pod okiem wodzów, a może i samego cesarza, do rabunków i swawoli żołnierskiej przyjść miało. A gdyby i przyszło, nie zrabują nas tak, aby choć drewniany krzyż w kościele nie został; to i przed nim Pana Boga chwalić będziemy. Ot co jest! Dajcie więc pokój wszystkim zabiegom lub trwogom. Ufajmy w Bogu; a Jego woli i miłosierdziu oddając się, módlmy się raczej za pokój i zgodę panów chrześcijańskich. Ot co jest!

Słowa te ojca definitora uspokoiły wszystkich i rozweseliły twarze. — *Fiat voluntas Dei!* Bóg przez ciebie przemówił, ojczcze! — zawołałi, i rada się rozeszła.

To było we środę dnia 12 Junii.

We czwartek ruch wielki! Półki coraz nowe przechodziły przez miasto, za Zielony most niektóre, a drugie i najwięcej przez Antokol na Niemenczyn za Wilję. Wieść o zbliżaniu się Francuzów coraz to głośniej szerzyła się. Do klasztoru naznaszano kuferków i na luftach lokowano.

W piątek, to jest, 14 Junii, Cesarz Alexander opuścił miasto.... kochany i błogosławiony od wszystkich.... niech go Anioł-stróż ma w swojej opiece!

Mianował on pana *Lachnickiego* prezydentem miasta, a ochraniając ono od ruiny i zguby, rozkazał poddać bez oporu nieprzyjacielowi. To znowu wielkie jego dobrodziejstwo dla Wilna.

W sobotę rozkazano, aby wszystkie bramy w kamienicach zatarassowano, okienice w oknach od ulicy zamknięto, a nikt się po ulicach nie szastał. Jakoż wszyscy siedzieli jak szczury w norach. Kiedy niekiedy ktoś wylażł na szpiegi; ale daleko nie uszedł, bo miasto zawalone wojskiem i harmatami; a żołnierz, zwyczajnie jak w rejteradzie, samém spójrzeniem przestraszał.

Mnie ks. kustosz wypchnął na wzwiady. Podobno habit mój jednał mi łatwiejsze przejście. Dobrałem się więc aż na koniec Skopówki, pod pałac Szozzelowski \*), w którym mieszkał *generalissimus generał Barklay de Tolli*, i dowiedziałem się, że on jeszcze na miejscu. Konkludowaliśmy więc w klastorze, że nie tak blisko nieprzyjaciel, gdy sam wódz nie opuszcza miasta. Ale konkluzya nasza była prawdziwie bernardyńska. Ojciec definitor znowu dowiódł, że rozumniejszy od nas wszystkich.

— Gdzież miejsce wodza w czasie wojny?—zapytał on.

— A juźcić nie z tyłu armii, jeżeli nie na czele — odpowiedział ks. kustosz.

— A gdzież czoło armii, kiedy się armija rejteruje?

— Nie rozumiem—rzekł ks. kustosz.

— A ot co jest! gdzie najbliżej nieprzyjaciel, tam czoło armii, i tam wódz. *Subintelligitur* więc, dla czego pan *Barklay de Tolli* jeszcze w Wilnie, choć za górą Francuzi. Ot co jest.

Wieczorem tegoż dnia kazano, aby straż miejska zajęła wszędzie warty. Pięknęż to berdyszowe rycerstwo! w kapotach, w kurtkach, sami z siebie śmieli się, a wszyscy z nich. Staęli po bramach, przy kordygardach i turmach. Noc całą wojsko płynęło, jak woda.

Nadeszła nakoniec niedziela św. Trójcy *v. s.*, dzień <sup>16</sup>/<sub>28</sub> Junii, którego nigdy nie zapomnę.... w którym ujrzałem razem z całym Wilnem *Potentata* Napoleona Bonapartego, na czele wojska z rozmaitych nacyj złożonego, wchodzącego do naszego miasta.

Ale poczynam od początku.

---

\*) Później Pomarnackich, dziś Zagiella.



### XXIII.

Mój ksiądz definitor miał sobie wygodne dwie cele; więc i ja z nim mieściłem się, abym mógł w starości jego służyć mu i doglądać. Całe życie czytał on prawie codzień gazety, i tłumaczył mi bywało wszystko, co tam stało, choć ja, nie wielki *politykus*, słuchałem tego piąte przez dziesiąte. Jedno a jedno w nich pisało: zawsze o wielkich zwycięztwach, o wielkich czynach, i o wielkiej mądrości Bonapartego. Na całej Litwie, ba! owszem i po całym świecie, o nim tylko gadano i pisano. Kwestując po dobrodziejach, około różnych naszych klasztorów, w których przemieszkowałem, w każdym szlacheckim czy pańskim domu o niczem inném nie posłyszysz bywało, i śniło się podobno wszystkim o *Bonaparcie*; to i nie dziw, że nieboszczyk ks. definitor, przez całe życie myśląc tylko o nim, ciekawy był wielce oglądania go nakoniec.—Nie umrę, bracie Michale—mówił on—nim go nie obaczę. Ot co jest! I zgadł, jak prorok: obaczył go i umarł.

---

Wysłali oni z księdzem kustoszem mnie, jakem to wyżej napisał, na szpiegi do miasta; i tego więc ranku, ledwo jeszcze szarzało na dzień, wyszedłem za furtę. Zdziwiła mnie cichość i spokojność w mieście. Kozacy tylko przeszmygiwali się po ulicach; a na placu pod ratuszem, stał złożony broń w kozły, półk grenadyerski \*), co to mają kaszkiety w kształcie głów cukru i szerokie na nich blachy mosiężne. Żołnierze gotowali sobie kaszę w kociołkach; inni drzemali, leżąc na ziemi. Oficerowie siedzieli na ławkach, lub przechadzali się po placu, rozmawiając cicho i ostrożnie. Liczniejsza ich kupka otaczała półkownika którego po sutych szlifach poznałem. Od tej kupki odłączył się oficer, i przejął mię pod Imbarami.—Dokąd, księżę? i po co tak rano?—spytał mię po polsku.

— Do chorego, panie kapitanie!—rzekłem zakłopotany.

— Podwójnie kłamiesz,—odpowiedział on uśmiechając się—i ty nie spowiednik, boś bez kaptura, i ja nie kapitan; a może trzecie

---

\*) Pawłowski.

kłamstwo, i najgorsze, jest w twoim habicie? Gadaj! — dodał surowiej. Mam rozkaz cię wybadać.

Ale ja przyszedłem już do siebie, i pomyśliłem w duchu: skłamałem, ot i biada! Mówmy prawdę.... cóż mi się stanie?

— Dobrodzieju!—odpowiedziałem zatém—że jestem bernardynem z tutejszego klasztoru, to tak mi Panie Jezu dopomóż! *Mea culpa*, żem skłamał. Stchórzyłem, a [strach najgorszy konsyliarz.]

— Więc mów, po co tak rano się włóczysz?

— Ciekawość, dobrodzieju! prosta, szczerą ciekawość, i nie więcej; a nie tak moja własna, jak moich starszych, którzy, chcąc wiedzieć co się dzieje w mieście, wysłali mnie na zwiady.

— Więc jesteś szpiegiem? bracie! A wiész, czém to pachnie? No, ale nie lękaj się; szpieg od armii bernardyńskiej nie straszny; wracaj wszelako wnet do klasztoru, i ciekawym ojcom zanieś nowinę, że przed południem będziecie mieli gości.— Odchodził potém, lecz się zawrócił.— Czekał księżę! — rzekł — masz oto ubogą moję ofiarę,—a dawał mi rubla—oddaj to na mszę na intencję ojca błagającego Boga, aby kula żony i dziełek nie osierociła...—Westchnął głęboko pocziwięc....

— Dziś zaraz będzie msza na twoję intencję—rzekłem, i przeżegnałem go serdecznie.—Dziękuję ci, bracie!—rzekł, ścisnął za rękę, i wbiegł na plac; a ja korzystając z przestrogi, *retro* do klasztoru. Tam opowiedziałem moję przygodę, oddałem ofiarę oficera, i wnet sam ksiądz kustosz wyszedł ze mszą, po której ja znowu za fórtę.

---

Na ulicach więcej cokolwiek było ludzi, ale bojaźliwie przemijających się zaułkami, lub czających się po bramach. Dniało już. Zwróciłem pod pałac Biskupi, do którego po wyjeździe Cesarza przeniósł się pan *Barklay de Tolli*. Na dziedzińcu stała karéta ośmią końmi zaprzężona; około niej kilkadziesiąt kozaków siedziało na koniach.

Pędem lecący konno oficer od Pohulanki, biały od kurzu, przypadł do bramy.

— Czy jest jeszcze feldmarszał?—zapytał.

— Jest—odpowiedziano mu.

Wleciał na dziedzińiec, zsiadł z konia i pobiegł na wschody.

— A więc to karéta pana *Barklay de Tolli*,—pomyśliłem sobie.—Niema co mówić, dotrzymuje do końca! Obaczym, co z tego będzie? postoję tu w bramie Święto-Jańskiej.

Po jednym, po jednym, zebrała się koło mnie kupka ciekawych, i znalazł się między niemi pan budowniczy Orzechowski. Ranny to ptaszek, gdy idzie o nowinki. Opowiedziałem mu, co się święci.

— A więc podług mojej *ekwanimii*—rzekł on—tu jest przyzwolite *locum standi*; i jeżeli nas nie rozpędzą, dopilnujemy wszystkiego.

Już też i dzień zajaśniał. Wleciał drugi kurjer. Ludu się na ulicach pomnażało. Ten to, ten owo plótł; ten straszył, ten cieszył, a każdy pytał się razem: co słytać? Gwar jakiś powiększał się coraz. My cierpliwie staliśmy na miejscu, a wkrótce i trzeci także latawiec wpadł na spienionym koniu.

Wnet wyleciał oficer z pałacu i pobiegł pędem ku placowi. Ja i kilku ze mną, bocznemi uliczkami za nim. Ledwo dopadł placu, zagrzmiały bębny, żołnierze porzucili niedojedzoną kaszę, w mgnieniu oka już w szyku, i marsz krokiem podwójnym za Zamkową bramę, na Antokol.

Ja znowu do bramy Święto-Jańskiej, a raczej, prawdę mówiąc, do fórtu: bo to te podwoje, które się otwierają z murów Śto-Jańskich naprzeciw bramy biskupiego pałacu, tak, że z nich widać część dziedzińca i wschody. Tam pan budowniczy stał jak wryty.

— Ostatni półk—rzekłem mu—wyruszył nagle na *Niemenczym*.

— A zatem podług mojej *ekwanimii*...—Nie dokończył, bo ruch wielki zrobił się na dziedzińcu: kilku konnych wyleciało w różne strony, i okazał się na ganku pan feldmarszałek, za nim pan *Ławiński* nasz były dotąd gubernator wileński, i kilku adjutantów. Widać nam było, jak rozmawiali wesoło. Pan *Barklay de Tolli* uśmiechał się.

— A to mi gracz! proszę uniżenie!—rzekł pan budowniczy—Bonaparte za górą, a on ani dba.—obejrzał się on jeszcze na wszystkie strony, jakby na *waletę* miastu, dobył zegarka, spójrzył nań i siadł do karéty; z nim pan *Ławiński* tylko; reszta wszyscy na koń, których kilka powodnych a osiodłanych tuż przy karécie biegło; i ruszył powóz tęgim kłusem także na Antokol, otoczony strażą z kozaków i dragonów.

— No, teraz podług mojej *ekwanimii*, u nas *interregnum*—rzekł budowniczy.



Jeszcze karéta nie była za miastem gdy huk ogromny rozległ się, że aż okna się zatrzęsły; gromady ludu na ulicach *obstupuerunt*; w kilka minut drugi jeszcze mocniejszy!

Serce mnie jakoś mocniej kołatać zaczęło, i uważałem, że tłum przerażony miał się ku rejteradzie, gdy doszedł głos i rozleciał się wszędzie:—Most Zielony wysadzono na powietrze! magazyny na Łukiskach wyleciały w górę i osypały mąką całe przedmieście.—Ochłoneło się więc z trwogi, ale nie na długo, bo znowu trzy uderzenia z harmat zagrzmiały w krótkich pauzach jedno po drugim i ogłuszyły wszystkich.—Strzelają do miasta!—krzyknął jakiś tchórz. Boże! cóż to za zamieszanie powstało między tłuszcza! Ulica na ulicę się pchnęła. Uciekali i wrzeszczeli:—Gwałtu!

— Stójmy!—rzekł znowu do mnie pan budowniczy—to bałamućstwo. Za co mają strzelać do spokojnego miasta? Głupia tłuszcza pozaciska się tylko. Podług mojej *ekwanimii*; strzały te z harmat, są to ostatnie sygnały, aby się wszystko, co wojskowe, rejterowało z miasta, i że nieprzyjaciel blisko.

I nie zawiodła *ekwanimia* pana budowniczego: przeszedł popłoch, lud się ustatkował; tylko ciekawość przeganiała gromady, jak fale, z jednego końca miasta na drugi. Ja znowu poszedłem uspokoić klasztor, i objawić ojcom to killko-godzinne, jak pan budowniczy mówił, bezkrólewie.

Niecierpliwie tam mię oczekiwano. Opowiedziawszy więc wszystko *summam* i posiliwszy się nieco, wybiegłem znowu za fórtę, mając już kilku socyuszów z ciekawszych i śmielszych *patrów* i *fratrów*.

Nawał pospólstwa i wszelkiego stanu ludzi znaleźliśmy na ulicach. Jedni biegli na górę Zamkową i Bekieszową, w nadziei, że obaczą co się dzieje około miasta; inni leżli na wieże i dzwonnice, w takiéjże saméj *sperandzie*; inni znowu biegli na Pohulankę, bo ztamtąd od Kowna przybywali Francuzi; a wszyscy latali i krzyczeli, jak w odmęcie.

Pan Lachnicki, jako prezydent miasta, siedział spokojnie na ratuszu, a przed nim na pięknej srebrnej tacy leżały złote, a może i pozłacane tylko dwa klucze; jakoby to od bram miasta, których dawno już w Wilnie niéma: bo chociaż *Ostra* i *Zamkowa* zostały, lecz obie stoją otworem i wrót nie mają. Piérwsza najlepszą ma tarczę, bo Przenajświętszą Bogarodzicę, Przczystą Maryę Pannę, która

Wilno od Szwedów obroniła, jak to wszystkim dobrze wiadome.

W takim gwarze i zamieszaniu przeszło godzin z parę. Byłem przy Kardynalii i posuwałem się z tłumem ku ratuszowi, gdy nagle krzyk potężny rozległ się około ratusza, i pospólstwo hurmem uciekające przejęło naszą partyę.—Kołą!... kołą!...—wrzeszczeli.

— Kto i kogo kole?—pytałem. Nikt mi nie odpowiedział, a tylko jedno a jedno:—Kołą!...—Głupia gawiedź, pomyślałem, znowu tchórz ich obleciał. Jakoż inne huczne odgłosy doszły nas... Więc w mgnieniu oka byliśmy pod ratuszem. Aż tu wszystkimi uliczkami prowadzącymi na plac *Rudnicką, Żmudzką, Suboczem*, sypią się pędem ułani z dzidami na przód, jak do boju (ztałd przestrach w pospólstwie) i objęli odwacht.

---

Pan Lachnicki zszedł natychmiast na ganek ratuszowy, rozmówił się z oficerem, i wnet ze swoją tacą i kluczami, w asystencyi kilku miejskich obywateli, pojechał na Pohulankę złożyć je cesarzowi Napoleonowi. A tymczasem konnica płynąc do miasta poczęła; naprzód ułani, a potem strzelcy konni, z huzarską ubrani, na czele których jechał na pysznym karym rumaku rycerz w węgierce gęsto złotem szamerowanej, w kołpaku aksamitnym, *per modum* tureckiego zawoju na głowie, na którym strusie pióra się rozwiewały, wywijając szablą i krzycząc:—*Wiwat Napoleon!*—a był to szwagier cesarza, król Neapolitański *Miurat* \*).

Przypatrywaliśmy się ciekawie temu wojsku, a wszyscy upatrywali samego *Bonapartego*... Wtém rozbiegła się o południu wieść, a wieści natenczas jak błyskawice latały, że cesarz przy Zielonym moście nad Wilją.

Dalejże ja w tamtą stronę podchyliwszy habitu, aby nie dać się uprzedzić ludowi tam lecącemu, i wyprzedziłem prawie wszystkich; ale cóż, kiedy tam już była ciżba? Jednak przebiłem się na front, tak, że o kroków dziesiątek napatrzeć się mogłem na tego najsławniejszego mocarza! Nigdy nie zapomnę tej chwili!...

Nad rzeką, po lewej stronie od mostu, siedział na prostym stołku ten człowiek, na którego skinięcie miliony ludów drży, a kro-

---

\*) Naoczni żyjące świadkowie znaleźli opisanie to ks. kwestarza wejścia Francuzów do Wilna, zupełnie prawdziwem.

cie brną na koniec świata! Figura dalibóg niepoczesna; jubilata do-  
brego nie odstoi; ależ za to *caput* znakomite! a oko czarne, pełne,  
i spójrzenie nie wiem jak opisać?... Kiedy poprowadził po nas...  
aż dreszcz przeszedł.

Most był rozdarty na środku, ale cała rzeka pokrytą była pły-  
tami, więc je w krótkce linami spięto, i stanął most pływający. Nim  
się jednak ta fabryka ukończyła, Bonaparte siedział nad brzegiem  
i rozmawiał z księdzem Głogowskim pijarem, któremu kazał podejść  
do siebie, gdy go w tłumie obaczył. I trafił wysmieniecie, bo ksiądz  
Głogowski mądry człek i po francuzku *expedite* umieć. Dziwiło się  
pospólstwo, że tak śmiało z cesarzem rozmawia, ale jam się nie  
dziwił, i gdyby mnie był zawołał, takbym mu się po łacinie pię-  
knie explikował, jak nie lepiej pijar po francuzku. Lazłem też wcale  
na przód—a nuż!... ale wkrótce most ukończono. Bonaparte siadł  
na konia mierzyna, (co za komparacya konika tego do rumaka *Miu-  
ratowego!*) i przejechawszy rzekę, otoczony liczną wojskową kalwa-  
katą, pojechał brzegiem ku Antokolowi. Stanął naprzeciw góry Zam-  
kowej i po razy kilka wskazywał na nią ręką. Uważaliśmy i liczy-  
liśmy wszystkie jego skiniena, biegąc drugą stroną rzeki, póki go  
dojrzeć mogliśmy; nakoniec wróciliśmy się do mostu, gdzie go nazad  
wracającego ujrzeć mieliśmy nadzieję. Jakoż i ujrzeliśmy, bo wkrót-  
ce wrócił i pojechał na pałac biskupi. Tłumy biegły obok, krzycząc,  
wrzeszcząc:— *Wiwat!*—a on kłaniał się poważnie lekkim skinieniem  
ręki lub głowy, witającemu go ludowi.

## XXIV.

— **B**racie Michale! — rzekł do mnie ojciec definitor, gdym zmordo-  
wany i jak uduszony wrócił do klasztoru, a opowiadał mu wszyst-  
ko, com widział — Bracie Michale! musisz mię tam zaprowadzić,  
abym go obaczył. Powiadałem ci, i teraz powtarzam: nie umrę,  
nim go nie ujrę. Ot co jest! Ale śpiesz się, śpiesz się, bracie! —  
dodał — bo codzień słabieję... a nie umrę... — mrucał dalej jakby  
sam sobie starzec — nim go nie obaczę. — Przyrzekłem więc me-  
mu kochanemu ojcu dopilnować momentu, kiedy cesarz wyjeżdżać  
będzie z pałacu, i zaprowadzić go do fórty Ś-to Jańskiej.



Co to za przewrócenie raptowne rzeczy! co to za nieład! natłok! zamieszanie! zawrót!... Jakieś wytrącenie wszystkich z codziennych kolei i porządków. Każdy w obłąkaniu... W klasztorze nawet zesłiśmy z codziennego trybu, jakbyś regułę zakonną od roku zwolnił, fórtę odemknął, i *obedyencyę* zniósł. Ledwo stare defini-tory i jubilaty siedzą po celach, nie opuszczając klasztoru i służby Bożej. Młodzi włóczą się po ulicach, sami nie wiedząc czego. Na obiedzie nawet często połowa przystawek próżna. Na noc tylko zbierają się wszyscy, i gwarzą nowiny i cudactwa, jakich się przez cały dzień napatrzali.

Bo i jest na co patrzeć, prawdę mówiąc! Jak woda płynie co-dzień wojsko z rozmaitych narodów i rozmaitego *moderunku*. Pan-cerni, których kirysy błyszczą od słońca jakby złote, na ogrom-nych koniach, chłopcy jak olbrzymy, a jeszcze sute ogony końskie spadające im od szyszaków po ramionach, straszniejszemi ich wy-dają; kupy jakichś brodaczków z szerokimi berdyszami na ramio-nach, i z fartuchami skurzanemi jak kowale; nakoniec cały konny regiment djabłów, Panie odpuść ciężki grzechy, czy Turków, bo to na jedno bodaj wychodzi, w zawojach; u każdego kindzał za pasem, a krzywy jak duha pałasz u boku. Powiadają, że to Mameluki od Czerwonego morza, w którym niegdyś król Faraon utonął.

W mieście wszelakoż *horrendum!* Ulice pozawalane zdechłemi końmi, bo te secinami giną od zielonego żyta, które żołnierstwo w okolicach kosi, i w niedostatku siana nawozi do miasta. Stada bydła rogatego i baranów wchodzą często za półkami, i wnet na rynku albo na ulicy, gdzie półk stanął, jatki i kuchnia; więc ztąd przy upałach zgnilizna i zaraza.

Po traktach i wsiach toż samo. *Ut fert fama*, rabują z krete-sem; a nawet i tu w mieście niedowiarki i niegodziwce niektórzy wpa-dli do kościołka Pana Jezusa księży trynitarzów na Antokolu, i zaczęli przybierać wota srebrne i złote z ołtarza, i zdzierać szaty z obrazów. Takie jednak świętokradztwo i swawola nie uszły im na sucho! bo we dwadzieścia cztery godzin sądzeni, jak to daw-niej powiadano, *kryzrechtem*, tamże na Antokolu kulą w łeb do-stali. Dwóch ich było hersztów, ale zakamieniali heretycy!... ani księdza, ani spowiedzi, ani jakiegokolwiek przygotowania *in extremis* przyjąć nie chcieli. Idąc na plac śmierci, jeden jadł obwarzanki, drugi fajeczkę palił; a oba wesoło rozmawiali z tymi, którzy do nich za chwilę wypalić mieli. O Boże, Boże! okropnie to było wi-

dzieć taką obojętność około zbawienia duszy! a toć to dwóch potępieńców szło prosto do piekła... Nie wierzyłbym, gdybym własnymi oczami na to nie patrzył.

Patrząc na to wszystko co się działo, pan budowniczy Orzechowski kiwał głową i mówił: — Podług mojej *ekwanimii*, z takim niezliczonym ludem Bonaparte świat przejdzie, ale z takim nieładem kto wie, czy się wróci? Bogu to wiedzieć!

Codzień mi przypominał mój ks. definitor obietnicę upatrzenia mu sposobności widzenia Napoleona. Nie było to i trudno, bo codzień wyjeżdżał on z pałacu konno na lustrowanie wojsk przechodzących przez miasto; lecz że na to nie było godziny stałej, więc tłumy ludu chcącego widzieć go, zalegały od rana Biskupią ulicę, oczekując po kilka godzin na ukazanie się cesarza. — Choćby mnie przyszło cały dzień posiedzieć na bruku — odpowiedział *pater*, gdym mu tę trudność objawił — prowadź mię, bracie! bo nie umrę nim go nie obaczę, ot co jest! — Poprowadziłem więc go dnia jednego. Zdawało się, że mu sił przybyło na tę chwilę. W klasztorze ledwo przez kurytarz do kościoła mógł się przewlekać, i to za pomocą mojego ramienia; teraz przez ulicę po nierównym bruku szedł rzeźwo i żwawo. Posadziłem go na wschodach naprzeciw samej bramy Biskupiej.

— Jakże go poznam? *charissime!* zapytał on.

— Oto tak, *reverendissime!* Naprzód wyskoczy kilku, jak oni nazywają przewodników \*), z których jeden tylko na przedzie, a wszyscy w szafirowych ze srebrnym haftem mundurach; potem dwie pary strzelców konnych gwardyi, z nabitą i podniesioną bronią; potem na siwym lub myszaty m koniu, w ciemnym werdedragonowym mundurze z ponsowym kołnierzem \*\*), bez żadnych haftów, z gwiazdą orderową \*\*\*) na piersiach, w kapeluszu niemieckim trzy-rożnym *On*; potem generałów i różnych assystentów, całych we złocie i srebrze, tłuszcza; nakoniec znowu kilkadziesiąt strzel-

---

\*) *Guides. N. w.*

\*\*) Mundur półkownika strzelców konnych gwardyi. Długie jego poły na końcu wyłogów ozdobione były dwiema trąbkami, złotem wyszytymi, jako symbolem sławy. *N. w.*

\*\*\*) Wielka gwiazda orderu Legii honorowej. *N. w.*

ców konnych gwardyi, i tyłuż ułanów, którzy zwyczajnie zamykają kalwakatę.

Jak na szczęście nasze, ledwom dokończył mówić, huknęły bębny; a to był znak, że cesarz siada na konia. tłumy skupiać się poczęły. Ledwom mógł zrobić *rum* na przedzie starcowi. Wysypał się orszak z za bramy.... Chwycił on mię za rękę... i trzęsąc się jak osina, rzekł z przyciskiem: — To *On!* Ot co jest! To *On!!!*

Przed nami o kilka kroków stał żołnierz z niedźwiedzim wysokim kołpakiem na głowie. Nie mogliśmy zgadnąć, dla czego on tu stoi? Wszyscy zadecydowali, że *musi być tak potrzeba*. Ale gdy Bonaparte go mijał, on postąpił krok na przód i *sprezentował broń*. Cesarz się zatrzymał... co już zupełnie poszło na rękę mojemu *patrowi*, bo prawie oko w oko mógł nań się napatrzeć. Przemówił *on* do żołnierza, zapewne pytając się: jaki ma *interes?* Żołnierz podał mu papier jakiś zatknięty na bagnecie — zapewne *suplikę*. *Bonaparte* przeczytał; we środku było jeszcze kilka innych papierów, te przeglądał; mówił znowu z żołnierzem: nakoniec skinął na jednego ze swoich generałów, ten się przybliżył, wziął odeń krzyż z piersi a nachyliwszy się z konia, sam go przypiął żołnierzowi... i ruszył galopem.

Kiedyż to krzyknie na całe garło ów żołnierz: — *Wiwlamperer!* — a to znaczy: *wiwał cesarz!* jak mi ksiądz definitór wytłumaczył; i uczyłem się tej ekklamacyi, bo codzień o uszy obijała się. Ujrzeliśmy tego węża z kresą przez łeb i twarz, który nie przestawał wrzeszczeć jak waryat, całował krzyż swój, a lzy przecież ocierał, i śmiał się, ścisnął zgromadzonych około niego kamratów, i nareszcie kogo napadł.

— No, idźmy nazad, *reverendissime!* — rzekłem. Ale on stał jak osłupiały, aż się przeląknęłam. — Widziałem go więc! widziałem — szeptał sobie pod nosem, ani zważając na mnie — widziałem go! Ot co jest! *Nunc dimittis Domine, nunc dimittis...* — Idźmy — powtórzyłem. — Ha! idźmy — odezwał się nakoniec, opamiętywując się; ale ledwo nogami mógł sunąć, i z półgodziny wleliśmy się do klasztoru

— Cóż myślisz? *reverendissime!* — zapytałem, dawszy mu nieco odpocząć i widząc go zadumanego.

— Co ja myślę? bracie mój! co ja myślę?... oh! tego i nie wymówić!!! Przeżyłem lat tyle! patrzałem na tyle rzeczy i spraw



ludzkich! w ostatniej mojej godzinie ujrzałem potęgę ludzką w najwyższym stopniu i w jednym człowieku!!! Ot co jest! Dość więc życia dla świata!...

— Ależ ojcze! prosimy Boga — rzekłem — aby nam życia przedłużył, abyśmy obaczyli przynajmniej, jak się to wszystko zakończy?

— Jak się zakończy?... jak się zakończy?... — mówił, dalej rozmyślając ojciec definitor — rzeczy nadzwyczajne, nadzwyczajnie i kończyć się muszą... Świat się oczyszcza przez ogień, jak żelazo w hucie.... Ludzkość wre, kipi, topi się, mussuje.... Ot co jest!... Żuźle rewolucyjne niedowiarstwa, bezbożności i błędów, spływają na wierzch, w brudnych, czarnych, nieczystych fuzach.... Szumują one, wyrzucają precz i do reszty wyrzuca... Tak przewarzona różnorodna massa myśli i wyobrażeń ludzkich wyklaruje się, zleje się w jeden czysty metal... i spływać będzie w formę Chrystusowego krzyża, Ot co jest!

— Niewiele ja z tego zrozumiem, ojcze! — rzekłem — ale cóż to ma wspólnego z Bonapartem?

— O ty głowo do pozłoty! co wspólnego? co wspólnego?... Toż wielki *hutnik*, który warzy tę rudę, mięsza ją, szumuje... wichrami poddyma i podżega płomień... i chcąc czy nie chcąc, ulepia materiały na krzyżową formę, w której czysty metal ma zastygnać... Ot co jest! Zresztą *digitns Dei hic est*... a więc wszystko może się zakończyć jawnym dowodem.... że Bóg tylko jest Wszechmocnym i Wszechwiedzącym... a człowiek choćby najpotężniejszy... Ale w głowie mi się płacze... Ot co jest! Daj mi bracie pokój z pytaniami... *Fiat voluntas Tua Domine!*—rzekł, podnosząc oczy w górę, i modlić się zaczął. Przerzywać mu nie śmiałem, choć ciekawy końca tego proroctwa.

---

## TESTAMENT KS. DEFINITORA.

---

### XXV.

Oh! przyszedł nakoniec bolesny dla mnie moment, gdy się rozstać musiałem na zawsze z kochanym moim i czcigodnym ojcem w zakonie, z którym kilkadziesiąt lat wieku mego przeżyłem, i któremu

winieniem wytrwanie w powołaniu mojem. Mądry człek, a przecież *re et nomine* zakonnik! nie tak, jak niektórzy, Boże im odpuść! lizną tam nieco łaciny i *Teologii*, i już *jubilaty*, już *doktory*, na biednych braci kwestarzy ani patrzą, choć z ich łaski i tłustą baraninę jedzą, i piją piwko *de puro grano*. Niech w Bogu spoczywa! Ale ja, po jego śmierci, sierota.

Na trzeci dzień po owém naszym oglądaniu cesarza Bonapartego, rzekł staruszek do mnie: — Bracie Michale! codzień słabieję, i bodaj dziś umrę. Ot co jest! Schodź wasze i poproś do mnie ojca spowiednika.

Stałem jak wryty i patrzałem mu w oczy, nakoniec łzy mi popłynęły potokiem.

— Ot co jest! bięda mi z tobą! — rzekł on, ocierając także powieki. — Prawda, wyznaję, żal mi cię, bracie Michale! przyjacielu mój wierny! Pójdź, uściśniemy się raz ostatni. Ot co jest!

Rzuciłem się w otwarte ręce jego, a wnet upadłem na kolana i nogi jego całowałem...

— Błogosławię cię, synu mój! — rzekł on. — Mnie to niegdyś niegodnego sługę swego, obrał Bóg za narzędzie ku powołaniu cię na drogę zakonnego żywota, który potem razem przebywaliśmy. Jeżeli mi Bóg dozwoli widzieć Najświętsze Oblicze swoje, błagać Go będę, aby ci dał w pokoju i cności, jak dotąd, dotrwać do końca. A tymczasem znieś mężnie i z pokorą ten nasz rozdział do czasu... Ufam w Jego miłosierdziu: On nas połączy... Ot co jest! Idź bracie po spowiednika.

Dzień cały przebywszy na modłtwach i opatrzywszy się w Sakramentach zapasem podróznym, jak sam powiadał, na drogę do wieczności, wieczorem zaprosił do siebie księdza kustosza, i za jego dozwoleнием rozdysponował swoją ruchomostkę, dając i w tém przykład uległości zakonnej. Bo choć sam nie raz był prowincyałem, i chudoba jego najwięcej z podarunków przyjaciół była złożoną, a zatem bynajmniej do klasztoru nie należała, wszelako i tą rozrzadzać bez woli zakonnej zwierzchności nie chciał.

— Rób co chcesz, *reverendissime* — rzekł ks. kustosz. Ja i słuchać tego nie chcę, żebyś miał tak rychło umrzeć.

— Stanie się jak Bóg chce, kochany ks. kustoszu! ot co jest! a tymczasem, za twojem dozwoleнием, niech tak będzie:

— Krzyż mój z koronką, który noszę na piersiach, odkazuję

bratu Michałowi. Niech on po mojej śmierci zdejmie go z moich, a włoży na swoje piersi, a własny niech mi w zamian da do trumny.

— Ależ, *reverendissime*, to krzyż złoty — ozwał się ks. kustosz — a ziarna koronki ze słoniowej kości. Warto, aby ozdabiał pierś zasłużeńszego w zakonie, równego naprzykład w powadze tobie samemu, ojcze!

— Prawda — odpowiedział starzec — krzyż to złoty, a zawiera w sobie rzecz droższą nad złoto i klejnoty, bo *partykułę* drzewa Krzyża świętego. Ot co jest! Darował mi go razem z koronką s. p. ksiądz Karol Radziwiłł, ordynat nieświzki, na pamiątkę, że byłem jego spowiednikiem lat sześć, za mego gwardyaństwa w Nieświzu.

— Panie kochanku! — rzekł on, wkładając na mnie tę koronkę — daję waszeci ten krzyż z mojego skarbcu na to, abyś został kardynałem: bo to krzyż kardynała Radziwiłła, który zostałby pewnie i papieżem, ale w czasie sejmików tam w Rzymie, jakiś Włoch kondemnatę jemu zarzucił.

— Ojcze! — rzekłem — ksiądz kustosz słusznie mówi, że krzyż tak drogi, i ze świętości i z pamiątki i z wartości, nie może być na moich piersiach. Zawieśmy go na ołtarzu, jako *votum* za zdrowie twoje, ojcze, i za przedłużenie życia twego.

— Ot co jest! książe kustoszu!... Ot co jest! — rzekł starzec, a ks. kustosz spuścił oczy.

— Zresztą — dodałem — zapomniałeś może ojcze, że i ten krzyż, który noszę, jest darem twoim?

— Nie, nie zapomniałem. Jam włożył na ciebie ten prosty bernardyński, jam teraz chciałem go z tobą zamienić na złoty. Ot co jest! Ale twój projekt jeszcze lepszy. Nie prawdaż ks. kustoszu!

Ksiądz kustosz zarumienił się mocno... co postrzegłszy definitorem — *Mea culpa!* — zawołał — *mea culpa!* — zgrzeszyłem! daruj konającemu dla miłości Boga! Czyliż mi to czas teraz urągać ze słabości ludzkich, gdy z własnych grzechów mam zdać rachunek? — Chciałem starzec całować rękę kustosza; ale skruczała jego i pokora tak wzruszyła kustosza, że wrywając rękę; sam upadł do nóg starca, i — Ojcze świątobliwy! — zawołał rzewnym głosem — mnie błogosław, mnie odpuść i rozgrzesz z winy i zgorszenia, które pożądaniem krzyża tego, dla złota nie dla świętości jego, popełniłem. *Mea culpa! mea maxima culpa!* Naznacz pokutę, naznacz dyscyplinę, a daruj! to i Bóg miłosierny darować raczy.



Popłakali się ojcowie, ja z nimi trzeci; pokłękneliśmy potem i zmówili *Sub Tuum presidium*.

— Oto jeszcze mój pektoralik, także w podarunku mnie dany od księcia Macieja Radziwiłła kasztelana, za asystencyę i mowę przy szlubie jego z Chodkiewiczówną. Zacny to i bogobojny pan. On także poszedł już za księciem Karolem... Oh! wkrótce się z nimi obaczę. Regularny bardzo zegarek, oddaję go tobie, ks. kustosz!

Ks. kustosz aż odskoczył.

— Nie lękaj się, *reverendissime!*— oddaję ci go jako depozyt, i w obecności oto brata Michała obowiązuję cię, albo żebyś go sprzedał, albo zatrzymując dla własnej wygody, wartość onego rozdał na ubogich za moję duszę.— Nauczyłem cię, bracie Michale, zażywać tabaki; tobie więc *bona fide*, należą się moje dwie tabakierki i puszka z tabaką. Ot co jest! A także ten kałamarzyk podróżny wygodnym dla ciebie będzie w twoich kwestarskich peregrynacyach, na skład twych raptularzów i dyaryuszów. Szafę z książkami odnieście do biblioteki klasztornej. Jest ich ze dwieście. Niech służą na pożytek duchowny braciom. Reszta ubogich rupieci jest *secundum regulam nostram* własnością klasztorną. Ot co jest! i po wszystkiém.



## ŚMIERĆ KS. DEFINITORA.

### XXVI.

Wieczorem zasnął mocno nieborak; w nocy wszakże zdawał się zasypiać. Siedziałem w pierwszej celi, pilnując go. O północy wstał i wyszedł nagle ku mnie, aż się przeląknęłam.

— A cóż to? bracie! rozumiesz, żem upior?—rzekł, widząc moje zdziwienie.—Chodź ze mną do kościoła. Zebrałem ostatki sił, aby ostatni raz polecić duszę Bogu w Jego przybytku. Zaprowadź mnie, bo sam nie dójde. Ot co jest!

— Prawda; ale po drodze zastukamy do brata zakrystyana, obudzim go. Pójdzie z nami i otworzy nam kościół przez chór.

— Ależ mój ojczel! kościół zamknięty o tej porze.—Myślałem, że się zapomniał.

Więc prowadziłem starca przez ciemne kurytarze; ale że dobrze wiadome, a mieszkaliśmy na dole, więc stało się, jak żądał.

Brat Hilary, choć zdziwiony i nieco kwaśny z przebudzenia, otworzył nam jednak kościół.

Zostaliśmy sami jedni; lampa tylko na środku wisząca migała się bladym światłem, a cały kościół był ciemny.

Starzec zdjął z siebie krzyż swój złoty z koronką, ucałował go, mnie dał do ucałowania, i złożył na ołtarzu.—Dzięki tobie, bracie!—rzekł potem do mnie—za myśl zbawienną ofiarowania Bogu tego *votum*. Pamiętasz tę chwilę w Mińsku, gdy w nocy w kościele modlił się z tobą, prosząc Boga, aby duszę twą odjąwszy marnościami światowym, skłonił ku służbie swojej; a toż taż sama chwila północna, chwila po kilkudziesięciu latach!... Módl się teraz za mną, prosząc Boga, aby moją duszę, wyzwalając ze świata, przyjął do służby swjej wiekuiestej. Ot co jest.

Ukląkł starzec na stopniach wielkiego ołtarza; ale nie mogąc się utrzymać na kolanach, krzyżem się położył.... Nie słyszałem modlitw jego, sam leżąc za nim krzyżem na podłodze kościelnej i modląc się serdecznie, słyszałem tylko westchnienia i łkania....

Tymczasem brat zakrystyan oznajmił o nas ks. kustoszowi. Nadszedł on cicho i ukląkł za nami tak, żeśmy go nie posłyszeli. Powoli i więcej ojców zbierać się poczęło, bo wszyscy kochali i wielbili starego swego definitora, i poklekali obok ks. kustosa. Posłyszawszy szmer niejaki, obróciłem głowę, i postrzegłem ich w cieniu jak mary klęczące, które lampa kiedy niekiedy migając oświeciła.... Mrówie mię jakieś przebiegło.... Po dość długim czasie, gdy nie słyszał ani westchnień, ani modłów starca, bojąc się, aby mu tak długie leżenie krzyżem nie zaszkodziło, powstałem, i biorąc go pod rękę, rzekłem:—Wstań, ojczel!...

O Boże! już on nie żył! Przerażony krzyknąłem.

Ks. kustosz i wszyscy bracia przypadli do mnie, zdjęto lampę, oglądaliśmy zmarłego. Oczy zawarte... zimny... ale twarz spokojna, blada, jakby uspiona, a nie zamarła. Bo też i usnął on w Bogu przed jego ołtarzem. Płakałem, oh! płakałem, jak nigdy w życiu nie płakałem!!! Położyliśmy trupa na ziemi, zakryliśmy go całunem, i wszyscy znowu poklekli. *Requiem aeternam dona ei Domine!* rozległo się trzykrotnie po ciemnym kościele. Bracia się wysuwali po-

tém w milczeniu i nikli za filarami... ja tylko, klęczący przy zwłokach mojego dobroczyńcy, modliłem się za jego duszę, i dogorywająca lampa migała po całunie.

## XXVII.

Tylko z nałogu już, mój dyaryusz kontynować zaczynam. Cóż mi po nim? Poszarpany, podarty, poszedł w największej części na ogień, pod garnuszki francuzkie. Ledwo tylko kilka sexterników najpierwszych, i ten ostatni potrafiłem wymknąć z rąk tych ludojedów. Wprawdzie niema czego żałować, jednakowoż miło mnie czasami było odczytywać moje własne dzieje. Przez tyle latek zebrało się różnych historyj, różnych ciekawych ewentów, na które *suis oculis* patrzałem; różnych perskrypcyj doktorskich, za które nieraz baranów dostawałem; a dziś tego wszystkiego *pasz!* i nawet kałamarysz piękny nieboszczyka ks. definitora, *fiat pax* duszy jego, skórka obity, zamykany na wewnętrzny zameczek, potrzaskany i rozłupiony, wala się za piecem. Podobno Bóg za to na mnie to spustoszenie dopuścił, żem sercem mojem nadto był przyłgnął do téj mojej pracy, żem często mędrszym się sądził od braci moich, dla tego, że pisałem tu raptularze. *Vanitas* to była. Dziękuję więc Bogu i za to zmartwienie, bo ono mię w grzechu poprawia. Odtąd więc choć pisać będę, lecz nie rojąc ztąd żadnej sobie chluby lub zasługi, i tyle tylko, ile mi czasu zbędzie od klasztornych posług i obowiązków, których, Bogiem a prawdą mówiąc, nieraz się dla raptularzów zaniedbało.

Po śmierci mego benefaktora, jeszcze kilka tygodni przebyłem w Wilnie, ale samotny i chory: bo spać i jeść nie mogłem z wielkiego po nim żalu. Ksiądz kustosz pocieszał mnie łaskawie i nie obarczał mię żadnemi prawie obowiązkami, aż dnia jednego wszedł on do mnie i rzekł:

— Bracie Michale! grzech jest tak srodze poddawać się żalowi, jest to sarkać przeciw wyrokom Boskim. Nie mówię ja, abyś zapomniał o swoim ojcu duchownym i serdecznym przyjacielu. Módl się za jego duszę. Tak mu najlepiej odwdzięczysz jego miłość dla cie-



bie. Ale ponieważ w Wilnie trudno ci było uspokoić się, gdy cela twoja własna przypomina ci w każdym momencie twoją stratę, a zatem postanowiłem wyprawić cię ztąd dla twego własnego dobra. W klasztorze naszym Bienickim \*) potrzebuja kwestarza. Ks. prowincyał (a właśnie przybył on przed dwoma dniami) naznacza tam ciebie. Oto masz i *obediencję*. Obowiązek znajomy i upodobany tobie, do którego przez tyle lat nawykłeś, rozerwie cię, a doskonałość w tém twoja wesprze tamtejszą niebogatą naszą kongregacyę. Sęk tylko w tém, jak się tam dostaniesz? Dać ci konia klasztornego, to na pewną stratę; bobyś i miasta nie przejechał, a miałbyś już towarzyszków na kałamaszce, a raczej nie miałbyś i kałamaszki.

— Nie ma nad czém i myśleć, *reverendissime!* — odpowiedziałem. — Nieraz, jako i powinienem, wyprawiałem się piechotą z klasztoru do klasztoru, a przecież, za łaską Bożą a dobrodziejstwem poczciwych ludzi, na porządnym brykach odjeżdżałem na miejsce. Więc jutro wyjdę, *reverendissime!* Dziś dozwól mi jeszcze pomodlić się na grobie ojca definitora.

— Nic nie nagli, *charissime!* Wybieraj sobie dzień najdogodniejszy. Prócz tego, pomówię z ks. prowincyałem, przełożę mu trudność dostania się do Bienicy, bo i piechotą niełatwo tam dojdiesz, gdy po wszystkich drogach wleką się marodery za armią i rabują a odzierają.

— Nie, ojcze! — odpowiedziałem. — Słusznie osądziłeś, że mi Wilno porzucić trzeba, bo tu darmobym chleb klasztorny zjadał a na żadne zatrudnienie zdobyćbym się nie mógł; a w oddaleniu od tego feralnego dla mnie miejsca, lżej mi będzie na sercu, w wypełnieniu zaś obowiązków mdich znajdę może pociechę. A tak jutro rano, przyjąwszy na drogę twoje, *reverendissime*, błogosławieństwo, wyjadę. Maroderów nie lękam się, bo cóż u mnie zrabują? habitu przecież nie zdejmą, bo i ten łatany.

Nazajutrz więc wybrałem się w podróż. Po mszy świętej dał mi benedykcyę ks. kustosz, który od owego krzyżowego wieczora łaskawszym był na mnie widocznie; dawał mi nawet francuzkiego talara na drogę, ale ja podziękowałem, bo nie byłem bez zapasu, z którego wziąłem tylko jednego dukata, i tego wkopałem głęboko aż na same dno do tabaki; resztę zdałem w *kustodyę*, poczciwego

\*) Bienica — miasteczko i klasztor księży Bernardynów w powiecie Oszmiańskim.

brata zakrystyana, jemu także zostawując w depozycie do spokojniejszych czasów puszkę piękną cynową z tabaką nieboszczyka ks. definitora, i jedną jego tabakierkę *per modum* srebrną; a drugą prostą drewnianą, ale którą jakby ze złota ulaną szacuję, bo i to jego pamiątka, wziąłem z sobą. Oh! czemużem i moich raptularzów nie zostawił? ale nie mogłem jakoś z niemi się rozstać. Spakowałem więc do kałamarzyka, kałamarzyk zawiązałem na plecach, kij w rękę, i w Imie Boże, pomaluczku, *per pedes Apostolorum!* marsz!

## WĘDRÓWKA DO BIENICY.

### XXVIII.

Cesarz Napoleon Bonaparte już wyjechał z Wilna, wyruszywszy za swoim wojskiem które jak powódź popłynęło ku Dźwinie; ale po wszystkich traktach wlekło się żołdactwo, i pomimo srogich zakazów, rabowało bez miłosierdzia, tak, że wszystkie dwory około traktów, a nawet i o kilka mil wgląd kraju, splądrowane pustkami stoją. Bóg dał tego roku nadzwyczajnie obfity urodzaj. Aż miło patrzeć na pola zbożami okryte! Koszą to wprawdzie zielone zamiast siana, ale gdy i skoszone odrasta, więc zostanie dosyć.

Ledwom wyszedł za miasto, napędziło mnie czterech francuzów. Idą obok mnie. Poglądamy na siebie. Idziem aż pod Niemieję. Na koniec zaszwargotał jeden do mnie.

Myszę sobie, że to naród oświecony, jak powiadają; między czterma, choć jeden może umie po łacinie? rzekłem więc:

— *Non intelligo linguam gallicam, dic mihi latine vestra dominatio.*

Spójrzeli po sobie, i znowu do mnie po francuzku.

Odpowiadam na los szczęścia: — *Ego sum ex conventu Vilmensi Fratrum Minorum, alias Bernardinorum; Bienitiam proficiscor.*

— Bon, bon, se bon — odezwali się; a potem bez ceremonii, dwóch mnie za ręce przytrzymało, a dwóch odwiązali mój kałamarzyk, usiedli na ziemi, i pałaszem około zamku majstrować poczęli.

— Stójcie! — krzyknąłem po polsku już — pieniądze tu nie ma — i podałem kluczyk.

— Bon, bon, se bon — poklaskali mię po ramieniu, odemknęli, przebrali papiery, a nic więcej nie znalazłszy, rzucili skrzynkę na ziemię, i poszli dalej. Pozbierałem więc papiery, uwiązałem znowu kałamarzyk na plecach, i rozumiałem, że już między nami *kwita*.

Ale o kilkanaście kroków znowu mię zatrzymali, zdjęli z siebie dwie cielećinki, to jest, tłómoki swoje wojenne, i na mnie je gwałtem włożyli. Szamotałem się wprawdzie, krzyczałem i po polsku i po łacinie: — *Non possum, senex et debilis sum!* — A oni swoje: — Bon, bon, se bon! Maszyr kamrat, maszyr! — I przy tej perswazyi, pokazując mi argument *ad hominem*, to jest, bagnet, skonwinkowali mnie zupełnie, tak, że dźwigając dwie cielećinki, szedłem spokojnie pod ich konwojem.

Co mila luzowali na moim grzbiecie swoje tłómoki, aby każdy z nich równą miał ulgę, i za każdym takim popasem traktowali mnie wódeczką ze swoich manierek. Dobrej gdzieś Judasze dopadli staruszki. Łyknałem z biędzy, choć od gorąca i ciężaru pot ze mnie lał się kroplami; a oni śmieli się jeszcze, szwargocąc między sobą, i znowu: — Maszyr kamrat!

Tak wędrowaliśmy aż do Miednik. Nieraz zatrzymałem się, aby odpocząć. No, to niebronno było. Usiadłem sobie na kamieniu i oni koło mnie; dobyłem tabakierki, potraktuję ich tabaczką, zażyją; a jak poczną cichać, to ja krzyczę: — *Vivat!* — a oni w śmiech, i — Bon kamrat! — I ja też sobie drwię z nich w duchu. — Oho! mądrzy wy jesteście — myślę — ale zgadnijcież! oto dukat wam pod nosem, a nie zwąchacie! nie! Więc i ja się śmieję. Słowem, w dobrej maszerujemy *komitywie*, ale cóż, kiedy cielećinek nie zdejmują?

W Miednikach pustki. Dwór, wieś, karczma, plebania, bez okien; kościół stoi otworem i spustoszony; sklepy nawet otwarte i trumny powywracane. Ani żywego ducha nigdzie, prócz kilkunastu kamratów, podobnych moim, a gospodarujących po tej ruinie. Kilka psów wyło na śmietniskach, i kilka kogutów, przelatując ze strzechy na strzechę, piało, jakby urągając rabusiom.

Niedługi jednak był ich tryumf. *Cel, pal*, i kogut na ziemi. Pobili wszystkich. Prosię jakieś wybrnęło na ulicę, i temu w łeb. Garnków po chatach się znalazło, a zatem postanowiono gotować obiad.



Jam się położył na ziemi. Wszyscy pozdejmowali tłómoki, więc i ja odpiąłem moje. Ale też oni i skrzynkę moję odpięli i złożyli razem. Poznałem, że to dla tego, abym nie uciekł.— Trudno — pomyślałem — uciekać od takich ichmościów, którzy kulą cię dopędzić mogą.

Rozłożono więc ogień w ogródku wiszniowym jakiegoś chłopka, a do mnie odwrócili się i wrzeszczą:— Kleba! kleba!

— A z kąd ja wezmę?— krzyknąłem wzajemnie.— *Nie ma kleba!*

— Nie ma kleba!— powtórzyli żałośnie, i pokazali na dwór, do którego iść z niemi musiałem.

Cóż z tego? Próżno tam szukać, gdzie tysiące podobnych mistrzów przed nami szukało. Kręcili tylko głowami, rozbijając i niszcząc wszystko do reszty, a za całą zdobycz, wynieśli tylko szczypce złamane i pół talerza. Każdy podchodził do mnie i powtarzał:— Nie ma kleba— Aha, *nie ma kleba!*— odpowiadałem.

Powróciliśmy. Ale jakaż moja była rozpacz, gdym postrzegł, że kałamaryk mój rozłupiony, a jeden z tych herodów drze moje raptularze i pod drewna podkłada, aby się lepiej paliły! Wyrwałem mu ten, który w ręku trzymał, i porwałem skrzynkę, w której jeszcze z parę się zostało.

Patrzył mi on w oczy z zadziwieniem i złością, nareszcie porwał się do mnie z pałaszem, ale moi kamraci podróżni stanęli w mojej obronie. Zaczęła się zwada. Moi także dobyli pałaszów, inni chwycili za karabiny. Więc ja widząc, że przyjdzie do krwi rozlania za moje szpargały, wpadłem między nich i machnąłem ręką, aby się uspokoili. Stanęli zadziwieni.... a ja moję skrzynkę oddałem w ręce podpalaczowi.

Spójrzył on znowu po mnie, postawił skrzynkę na ziemi, a mrużąc, odszedł spokojnie i usiadł przy ogniu.

Wszyscy inni rzucili się do mnie, zaczęli mnie ścisnąć, całować, ledwo mię nie udusili; klaskali po ramieniu.— *Bon, bon, se bon! Vivat kamrat!*— wrzeszczeli.— *Ha!*— pomyślałem sobie— ci ludzie rozumieją jednak i znają szlachetność; jakże to dziwno, że rabują i palą! jaka dziwna mieszanina złego i dobrego!

---

Zakaty smacznyż był nasz rosół, a jak oni nazywali sup, znaczy się *zupa*, którą zgotowali; mieli jednak w swoich blaszankach ryż i sól; a że jeść się chciało bardzo, więc uszła i mnie nawet za

najwyśmienitszą. Szanowali już mię teraz, posadzili na pierwszym miejscu, i dali srebrną łyżkę z herbem *Kościesz*a, widać u jakiegoś szlachcica zrabowaną.

Gdyśmy po posiłku zabierali się w dalszą podróż, postrzegłem, że każdy z moich pierwszych towarzyszy kładł na siebie swoje tłómoki, a moję pobitą skrzyneczkę, którą ja paskiem moim związałem, podpalacz wziął na siebie. Rozumiałem, że ma ją przywłaszczyć, i już nie chciałem się upominać, aby znowu do batalii nie dać powodu. Poznawszy moję wątpliwosć, obrócił się on do kamratów i pererował coś do nich. Wysłuchawszy, uścisnęli go, a mnie na migi dali poznać, że on przez wdzięcznosć chce mi tę ulgę uczynić. A więc także ścisnąłem go za rękę, i nie chciałem na to przyzwolić; ale on nie uważał na moje protestacye, i poniósł kałamarnyk na sobie.

Pod wieczór weszliśmy do Oszmiany, w której nie można było rabować, bo był komendant placu i niejaki porządek.

Dano żołnierzom kwatery, a ja przed rozejściem się naszym zebrałem ich wszystkich około siebie w kupę, dobyłem tabakierkę i potraktowałem wszystkich, a potem w ich oczach wykopałem z pod tabaki dukata, i okazałem każdemu w oczy... Spójrzeli po sobie, pokręcili głowami, i rozśmieli się do rozpuku. Rozmieniłem i za całego pół rubla kupiłem obwarzanków i rozdzieliłem między kamratów.— *Bon! bon kamrat!* — krzyczeli; a ja, odebrawszy mój kałamarnyk, udałem się do ojców Dominikanów, którzy mię przyjęli *benevole*; a nazajutrz z blizkim sąsiadem do Bienicy, panem Szczepanowiczem pisarzem, bezpiecznie i wygodnie tu zdążyłem.

---

## NIEBOSZCZYK KOCIEŁŁ.

---

### XXIX.

**P**an pisarz, wielki *gadativus*, prawił mi w drodze rozmaite historie; ale między niemi rozpowiedział ciekawą rzecz o samejże Bienicy, do której dążyłem; co, wedle mego zwyczaju, zapisuję tutaj.

— Czy już mieszkałeś kiedy w tej rezydencyi? — zapytał on mnie.

- Nie. Piérwszy raz tam będę.
- To nie wiesz zapewne, z jakiej pamiątki założony tam wasz kościół.
- Nie wiem, dobrodzieju!
- To ja ci powiem.
- Proszę najuniżeniej i słucham.
- Oto tak było \*). Dobra te należą oddawna do możnej i bogatej w Litwie familii *Kociellów*. Jeden tedy z ich *antenatów* powracał z jakiejś podróży do domu, a mieszkał pono w *Mołodecznie*, bo i *Mołodeczno quondam* do Kociełłów należało, i niedawno jeszcze *per exdotationem* przeszło do imienia *Ogińskich*. Przelęknione czegoś tam na drodze konie jego uniosły, wzięły na kiel i leciały jak szalone, cugle pękły, stangret spadł z kozieł, a pan *Kociełł* bez żadnej *salwy*, widząc widoczną swą zgubę, polecał się tylko Bogu. Nagle przyszła jemu myśl, od Boga widać natchnięta, uczynić jakie pobożne *votum*. Postanawia więc wymurować kościół i uczynić fundusz na tém miejscu, gdzieby konie stanęły.

Ledwo myśl ta jak błyskawica mknęła mu po głowie, gdy konie, jakby najsilniejszą ręką w tył targnięte, zaryły się i stanęły.

Pan Kociełł wysiadł z karocy, ukląkł na ziemi, zmówił pacierz, czy jakąś tam *pitumannę* modlitewkę swoją, ponowił *votum*, i we dwa lata na tém samém miejscu słuchał mszy świętej, gdzie mu Bóg życie zachował.

Mało na tém, mości dobrodzieju! — pod kościołem zmurował on dla siebie w ziemi sklepik osobny, i przeżywszy matuzalowe lata, tam się i położył. Lecz gdy czuł się słabym, kazał odmalować swój portret w całej postaci, przy nim stół, pod stolikiem szkatułę otworzoną, a w szkatule kilka worków z pieniędzmi jakoby; nawet na każdym worku ponaznaczał malarz z rozkazu jego liczbami sumę, którą on podyktował; i portret ten obok swego łóżka na ścianie zawiesił.

Dziwili się wszyscy i odgadywali, coby to miało znaczyć? aż gdy wkrótce pan Kociełł oddał duszę Bogu, znaleziono rozporządzenie jego własnoręczne pod głowami, że obraz ten przenieść on rozkazuje do kościoła, i umieścić na ścianie nad jego sklepikiem; że summy na workach oznaczone, są zakopane w jego grobie i prze-

\*) Podanie.— *N. w.*



znaczone na podźwignienie kościoła Bienickiego, jeżeliby kiedy uległ zupełnej *konflagracji*; lecz aby bez takiej tylko ostatecznej potrzeby dobytymi nie były, sam zatém ich strzedz postanowił, i dla tego w grobie własnym one zakopał, i świętokradzkim lub chciwym ręką nie da.

Otoż tedy przed laty kilkudziesiąt spalił się dach na klasztorze Bienickim; a był natenczas gwardyanem świątobliwy i przykładny kapłan, którego sam dobrze pamiętam, bom był potém na jego powtórnej *prymicyi*, ksiądz *Czapkowski*, i umarł on w Bienicy, przeżywszy lat sto z górą. On tedy osądził, że właśnie stał się *casus* naznaczony przez fundatora, i że może poruszyć strzeżonych przez niego worków.

A więc po solennych exekwiach za duszę jego, przystąpiono do odwalenia wielkiej i ciężkiej plity marmurowej, pokrywającej grób pana Kocięła.

A że nie chciano publiikacyi téj roboty, więc wzięto się do niéj w nocy, przy lampach, i w zamkniętym kościele, a kilku tylko *partrów* i przy nich kilku zaprzysięgłych braciszków pracować zaczęło.

Mrówie wszystkim po skórze przechodziło, i robota szła niesporo. Ks. *Czapkowski* modlił się bez przestanku i kropił pracujących, ośmielając ich i tłómacząc, że pieniądze te pójdą właśnie podług woli pana Kocięła, i że tyle tylko z nich weźmie, ile konieczna potrzeba wymaga. Nakoniec podważono kamień i podjęto na dragi... Grób otwarty... Pokropił go i schylił się doń ks. gwardyan chcąc zajrzeć w głąb...

W tém lampa, jakby z rąk mu wyrwana, wpadła do sklepu i rozprysła się tam z brzękiem i dźwiękiem, a razem kamień runął z łoskotem na swoje dawne miejsce i porysował się na kilka części... a na dobitkę, w tym samym momencie, ogromny a okropny trzask, jakby łamiącego się muru, ogłuszył wszystkich, i wszystkie lampy pogasły...

Ojcowie i bracia padli na ziemię jak nieżywi, a każdy posłyszał jakby ponuro szepnięte sobie nad uchem: *Requiescat in pace!*

— Więc pan Kocięł nie dał pieniędzy?

— A oczewiście nie dał, i miał rację: bo klasztor, to nie kościół, mospanie! a nawet zawarował sobie pokój przez to *requiescat in pace!*

Otoż jak przyjdiesz do Bienicy, możesz i obaczyć ten portret, który i teraz znajduje się na swoim miejscu; kamień nad grobem

porysowany na kilka części i szczelinę wielką na ścianie kościelnej, którą nazajutrz postrzeżono, i którą chociaż zaprawiają, znaczną jest jednak i do dziś dnia.

Jakoż, przybywszy tu, wszystko własnymi oczami obejrzałem.

## PRZED KWESTĄ.

### XXX.

I komuż zbiegło kiedy na myśl pytać się kwestarza o jego przeszłość i rodzinę? Zapytują ich tylko, gdzie nocowali przeszłej nocy? „i czy już po śniadaniu? Po czém nie czekając ani twierdząc, ani „odmownej odpowiedzi, (bo też na to zimne pytanie porywa jakaś „taka złość człowieka, że nawet po gwardyańskim śniadaniu gotówby był odpowiedzieć, że nie szkodziłaby *jaka taka przekąska*), „rozkazują służącemu przynieść wódeczki dla *jegomości dobrodzieja*, „dają naprędce znak ekonomowi, aby wybrał tam jakiegokolwiek „półżywego barana, i zostawiają cię przy stoliku nad darem Bożym, „nie pytając się już o nic więcej. Tym świeckim ludziom zdaje się „niemal, że kwestarz bernardyn musiał się urodzić bernardynem. „I jak, pytam, po takiej czułości ze strony ludzi, zakonnik nie ma „nabrać wstrętu do świata, i nie zamiłować swojego konwentu? \*)” Tak mi się skarżył brat *Placyd*, mój poprzednik, kwestarz w téjże Bienicy, a który, zniechęcony tą *receptą* ludzką, nie chciał już więcej kontynuować swój peregrynacyi, i przyjął kanaparstwo po zmarłym bracie. Dla tego mię i sprowadzono z Wilna.

Niestety! prawdę on powiadał. Sam nie raz bywam tak przyjęty; i tém bardziej mnie to martwi, że przypominam czasy, gdy wcale inaczej było; gdy wyprawując mię raz pierwszy na kwestę nieboszczyk ksiądz *Ot co jest*, upewniał mię, „że jest jakaś „wszechna domowa skłonność dla Bernardynów; że pobożność, do- „broczynność i ludzkość żyją na Litwie; że kwestarzy z gotowym „baranem oczekują jak bocianów na wiosnę; i przepowiadał, że źle „będzie na świecie, gdy cnoty te wygasać będą; gdy szczerość, pro-

\*) Of. d. c.

„stota i pokora nie będą już trafiały do serca: bo wtenczas jad niedowiarstwa i pogardy naszej świętej religii rozszerzy się, jak plaga egipska między narodem \*).”

Otoż i zgadł. Patrzył on nawet na to zgorszenie, martwił się, *fulminował* z ambony, i przypominał mi swoje proroctwo. A jednakowoż przed śmiercią nie raz mi powiadał: „Nie bójcie się, kupcie się tylko około krzyża z gorliwą wiarą i nadzieją. *Et crux triumphabit super aspidem et basiliscum!* Bo Bóg, nie opuści sług swoich, i nie poda na poniewierkę niezbożnym swojej świętej nauki!“ Dajże Boże, aby i to drugie proroctwo jego sprawdziło się czém prędzej.

Oziębłość więc ta dla nas biednych kwestarzy, na którą tak się zawiązał ksiądz Placyd, jest to mała gadzinka, biorąca jad swój z wielkiej kałuży niedowiarstwa po świecie rozlanej: bo to mało na tém, że nawpółżywego dadzą barana, że potraktują wódeczką, od której człowiek trzy dni kotłem swędzi, ale jeszcze w domu szlachcica, którego ojciec poczeiwie Boga chwalił i ludzi szanował, posłyszysz nie raz wyrazy i zdania, o których ani mu się śniło nawet. Religia, to *fanatyzm*; zakonnicy, to *popi*; artykuły wiary, to *zababon*. W piekło jegomość nie wierzy, czysca nie lubi, na niebo nie zasługuje, i sam nie wie, gdzie podzieje się po śmierci. Filozofia! filozofia! to u niego grunt, której że ja nie znam i znać nie chcę, to rzecz naturalna; ale że i oni nie znają, to tak mi Panie Boże dopomóż!

Nie raz, a co mówię nie raz? nie sto razy uszy mi wędły, słuchając takich bredni; a zawsze wolałem się odrzec barana, jak potakiwać bluźnierstwu. Opisywałem ja takie wszystkie zdarzenia w moich raptularzach, i jak mi udało się nie raz i nie jednego niedowiarka *skonfundować* po kwestarsku, jak niegdyś owego francuza u starosty; ale to wszystko z dymem poszło pod francuzką zupą w Miednikach.

---

Gwardyan nasz w Bienicy, *simplex Dei amicus*, był niegdyś profesorem *Infimy* w Cytowianach, na co niewiele potrzeba *sapientii*. Ledwom wysiadł z wozu, ucieszył się mocno, i mówił szybko, cienko, jakby lekcye recytując:

---

\*) Patrz wyżej, wyjazd na kwestę.



— [Salve bracie! bratuniu! bratunieczku! salve!] Jedź jedź, jedź, zaraz, kwestuj, zbieraj, proś, bracie! bratuniu! bratunieczku! bo z głodu poumieramy. Objedli nas Francuzi. Na trakcie żyjemy. Gwałtu! Kiedym był *professorem Infimy* w Cytowianach, zjadałem pirogi i łakocie od mamuniek mnie nasyłane, a teraz *panem nostrum quotidianum careo*. Jedź, bierz co dawać będą. Ziarnko do ziarnka, zrobi się miarka. Ratuj, bracie! bratuniu! bratunieczku! Konie wszystkie pozabierali. Jedź.

— A na czymże pojedę, kiedy wszystkie pozabierali?

— Zostawili jednego swego harharę. Osedniony i chudy, ale pod wierzchem dobrze chodzi. Smaruj go łojem i jedź, bracie! braniu! bratunieczku!

— Jest jeszcze jedno *impedimentum grave* — rzekłem.

— *Impedimentum* — przerwał mi starszek — *est generis neutrius. Gravis, gravum, vel grave*, dobrze zgodziłeś. *Latine, scis bene et valde bene*: bo teraz łaciny nie usłyszysz ani za grosz, *amantissime fratercule!* to jest bracie! bratunieczku! Kiedym był *professorem Infimy* w Cytowianach, to żaki moje pilnując *notalingwy* lepiej gadali po łacinie, jak dzisiejszy pan jaki marszałek lub podkomorzy. A co do zgodzenia *generis masculini cum feminini*...

— Ale *reverendissime!* nie o to idzie — przerwałem mu niecierpliwie. — *Impedimentum grave* jest w tém, że jak kwestować, gdy marodery wszędzie się włóczą? Gdybym i dostał baranów, lub jakichkolwiek wiktuałów, to odbiorą pewnie. Daj Boże, abym sam przynajmniej na sucho uszedł.

— Manowcami, bracie! bratuniu, bratunieczku! lasami, błotami; jedź, dojeżdżaj, gdzie można.... *Prewodyra* schowałem w lesie, zajedziesz po niego. Ratuj! jedź.

Widziałem, że nic nie pocznę z moim głodnym gwardyanem, poszedłem więc przygotować jakkolwiek wyprawę, choć źle bardzo o niej tuszyłem.

---

Nazajutrz urządziwszy jak mogąc kałamaszkę, i założywszy owego wielkiego kusego konia, zajechałem przed klasztor.

— Jedź! jedź! bratuniu! bratunieczku! — wołał na mnie z okna poczciwy professor *Infimy*.

— Właśnie przyszedłem po benedykcyę twoję, *reverendissime*, na drogę.

— *Adde reverendissime pater!* bracie! bratuniu! bratunieczku! bo kiedy byłem *professorem Infimy* w Cytowianach, inaczej mnie nie nazywano. A zresztą *benedykuję, benedykuję*; ale spraw tylko, abyśmy mieli co *benedykować* na stole.

— Przynajmniej-że daj mi innego woźnicę. Cóż pocznę z tym małym chłopczykiem? Jemu do mszy służyć, ale nie kwestarza wozić. Któż dopilnuje wozu, konia i baranów, jeśli ich Bóg zdarzy?

— A zkądże wzięść inszego? Ten co był i wozził brata Placyda, za młodu traktował żołnierkę. Postrzelany jak sito i pokiereszowany, przywłókł się tu nie wiem zkąd, i ufundował się w klasztorze, jak mówił, przy ołtarzu do śmierci.— Bóg tam z nim—pomyślałem sobie—*restat*: bo prócz tego, od razu przyda się do woskowni i wyśmienicie stoczki ciągał. Ale potem zachciało się mu jeździć po kweście, a nie chciał włożyć habitu; więc na to powiedziałem:—*Nego*. Bo kiedy byłem *professorem Infimy*....

— Ależ *reverendissime!* czas nagli.

— To nic, bracie! bratuniu! bratunieczku! Słuchaj tylko. Otoż uparli się oba z bratem Placydem. Ja swoje, oni swoje. Skończyło się na tem, że on *semi-socyusz, semi-woźnica*, ofiarował się towarzyszyć kwestarzowi. Rzekłem tedy:—*Concedo*.—I dobrze się powodziło; bo ten *peregrynant* zawołany, prawiąc wszędzie *mirabilia* o swoim życiu, o krajach, gdzie bywał i wojował, o bataliach i szturmach, brał za to barany jak grzyby. Mu sami słuchamy, bywało, jego rozziawiwszy gęby. Kiedy byłem *professorem Infimy* w *Cytowianach*, to jeografię na klasę pierwszą sam umiałem na pamięć; a bywało nigdy nie mogę rozgatunkować, w której części świata on bywał i wojował.

Otoż jak napłynęło wojsko, jednego dnia poznał on swoich dawnych towarzyszków; naprowadził tu ich do klasztoru. Nie rabowali to oni wprawdzie, ale objedli i opili nas do szczętu; a nasz *semi-questarius* chwycił w rękę karabin i pomaszerował z nimi szczęśliwie.

*Ad felix videndum!* bracie! bratuniu! bratunieczku! rzekłem i po wszystkim. Bez niego, ani brat Placyd kwestować chce, ani furmana gdzie dostać. Jednakże to nic nie szkodzi, jedź! Chłopak twój choć mały, ale sprytny. Trzymaj go tylko w *subordynacyi*; bo kiedy byłem *professorem Infimy* w *Cytowianach*, to to bywało *corona asinorum* na głowę i *flectat*, a wnet żaki *szarf!*... razu jednego....

— *Vale* — rzekłem — *reverendissime! vale! Ad felix videndum* — i siadłem na kałamazkę.

— Jedź! jedź! bratunieczku! *benedykuję* i oczekuję! ratuj! oczekuję i *benedykuję*!

---

## K W E S T A.

---

### XXXI.

**P**an Bóg jednostajnie co rok obdarza nas darami swemi, ale tego roku nadzwyczaj nam błogosławi w urodzajach. Jakie piękne zboża! jakie bujne kłosa! jaka obfitość daru Bożego! Ale wojna! wojna!... chociaż teraz przeszła jak wicher, i grzmi gdzieś tam od nas daleko, ale jeżeli powróci broń Boże, połknie wszystko, a może i nas samych. Bądź wola Twoja Panie!

Wyjechawszy z klasztoru, zawróciłem na manowce, bo ta jedna rada kochanego ojca *professora Infimy* w Cytowianach, była dobrą. Już też i wypędzeni strachem i rabunkami mieszkańcy powracali do domów i krzatali się około gospodarki.

Nie tak bardzo i oziębłe mnie przyjmowano. Wszyscy ze zwyczajnego toru zbici, o niczym nie myślą i nie mówią, jak o tym, na co patrzą; a niespokojnie wyglądają, co będzie? W takiej niepewności niema czasu do filozofii. *Kiedy trwoga to do Boga.* Wprawdzie gdzie przeszedł rabunek, trudno żądać jałmużny; ale jednakże nie jeden gospodarz, widząc na polu i ciesząc się z pięknego żytku lub przeniczki, a niepewny, czy one szczęśliwie zwiezie do gumna, na tę *intencję* ofiarował mi assygnatę na jesień i do klasztoru odesłać obiecał; nie jedna mamunia, zaprowadziwszy mię w kątek, z płaczem wetknęła rubelka, na *intencję*, aby synek szczęśliwie z wojny wrócił; a nikt przecie do świętej *filozofii* na mszę nie dawał. Przyszło mi jednak spotkać się i z tą zarazą, a to jeszcze na tym miejscu, gdzie niegdyś cnoty chrześcijańskie naj-ozdobniej kwitnęły — jako o tym niżej.



Już o mil dziesiątek oddaliłem się od klasztoru ku Niemnowi, i kilka baranów wlekło się za przewodyrem, gdym zdaleka dostrzegł dwór wielki, a we wsi dowiedziałem się nazwiska pana. Nazwisko to przypomniałem wnet: dwór to był bowiem starosty, ów, w którym przed laty tak hojnie obdarzony byłem. Dowiedziałem się także z żalem, że oboje to bogobojne państwo pozmierzało: że syn ich, to miłe wtenczas paniątko, sukcedował po rodzicach, i jest we dworze. A więc choć pora była spóźniona i ciemno już, w Imię Boże zawróciłem do dworu.

Coś mi się w duszy smutno zrobiło, gdym wjeżdżał na dziedzińiec.... czy to przypomnienie lat młodszych i lepszych? czy poczciwych ludzi, których tu poznałem, a niepewny byłem, że żyją jeszcze?... Oj czas, czas! Dobrze mówił nieboszczyk mój ks. definitor: *Tempus edax rerum!* a w przysłowiach wojewodzińskich stoi: *Contra vim mortis non est medicamentum in hortis*—przeciw srogiej libitynie *nie masz rady w medycynie!* Zawinie się ona bodaj wkrótce i koło mnie.

Tak dumając, kazałem chłopcowi poszukać stajni, i sam szedłem, gdzie się świeciło, a świeciło się tylko z okien jednego pałacowego skrzydła.

W sieniach ani żywego ducha. Dalej przeszedłem jeszcze kilka pokojów, kierując się na krzyki i śmiechy, które mi do uszu dochodziły.

Wszedłem nakoniec do wielkiego pokoju, i znalazłem siedzących za stołem kilku panów, jednych z żołnierska, innych z węgierska ubranych, hołdujących królowi egipskiemu i razem Bachusowi: bo przed każdym kupy złota, karty i kielichy z winem stały.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— A to co za pop?—razem wymówili.

Nie było ani z jednej, ani z drugiej strony odpowiedzi.

Znowu powtórzyłem:—*Laudetur Jesus Christus!*

I znowu zamiast chrześcijańskiego responsu—Zkąd cię tu lichy przyniosło?

— A — pomyśliłem sobie — pięknie trafiłem!

— Jestem ubogi kwestarz — rzekłem nakoniec. — Rozumiałem, że trafiłem do chrześcijańskiego dworu; ale, [jak widzę, wpadłem do jakiegoś *Pandemonium*], bo i na chrześcijańskie pozdrowienie nie odbieram zwyczajnej odpowiedzi.

— Zresztą, na wieki wieków — odezwał się jeden z nich. — Kto cię tu wpuścił?

— Nikt nie wpuszczał, i nikt nie bronił wejścia; a niegdyś wejście do tego pańskiego pałacu nie było bronionem dla poczciwych ludzi.

— No, no, popie, nie gniewaj się. Albożes tu był kiedy.

— Byłem, i nie zapomnę tego dnia, w którym poznałem znacznego, wspaniałego i bogobojnego pana tutejszego, starostę... Niech w chwale Boskiej świeci jego dusza. Rozumiałem, że znajduję teraz podobnego ojcu syna, z którego natenczas cieszyłem się: bo w maluczkiej dziecinie już pańskie i chrześcijańskie okazywały się cnoty; ale widać, że go tu niema; a zatem na pożegnanie jeszcze raz *Laudetur Jesus Christus!*

— Stój! księżu! — rzekł powstając od stołu i rzucając karty mężczyzna w mundurze gęsto srebrem szytym. — Jam jest syn starosty... i gospodarz tego domu...

— Tak, tak — dodał jakiś podpiły sampan — to nasz pólkownik, hrabia... [Czołem, popie! bo cię skropię!]

— Mógłbyś to i uczynić, dobrodzieju! — odpowiedziałem — bo trzymasz kielich pełny, a sam jużes się tego, jak widzę zakropił.

— Brawo! — rzekł inny. — Masz za swoje! To po kwestarsku. Skropże go za to, to jest, oddaj mu swoją szklanę.

Odsunąłem podawaną szklanę, a w milczeniu patrzałem na starościca. On także na mnie.

— Znałeś mię dzieckiem powiadasz?

— Znałem, znałem cię, gdyś miał obok siebie anioła i diabła, to jest, księdza kapelana i francuza. Oh! któryż zwyciężył?

Odwrócił się starościc, przechadzał się po pokoju, przecierał czoło... to patrzył na mnie, to się odwracał; odsunął także podawany mu kielich...

— Tak — rzekł potem — tak, miałem przy sobie jakiegoś fanatyka... a może był i poczciwy człowiek. Umarł...

— Przecież za sprawą tego fanatyka — rzekłem znowu — serce twe młodziuchne skłaniało się ku dobremu. Ofiarowałeś mi natenczas dukata, który ja z płaczem i błogosławieństwem przyjmowałem, a teraz....

— A teraz rozumiesz-że mię być niehumanym? Masz oto pięć takichże samych dukatów — rzekł, biorąc je z kupy złota na stole.

— Dobrodzieju!—rzekłem—gdybyś mi i całe złoto, które widzę na stole, oddał, nie będzie ono tyle u mnie znaczyło, ile tamten dukat. Rozumiesz mię, panie, dla czego?

Starościc znowu przeszedł kilka razy salę zadumany. Goście nań poglądali i na mnie z ukosa.

Nakoniec, jakby gwałt sobie czyniąc, odwrócił się do mnie.—Kaprysisz się, księżu!—rzekł.—Co było, to było... przeszło... a dukaty zasze jednostajne...

Wtém wszedł lokaj i zawołał:—Wieczera!

— Proszę—rzekł starościc— do kompanii i ciebie, księżu! Przy-  
pomniemy się lepiej przy półmisku i szklance.

---

Gdyśmy usiedli do stołu, (a było to w tejże saméj sali, gdzie przed dwódziesiątą z górą laty obiadowałem), przypomniały mi się wszystkie osoby, z któremi wówczas zasiadałem; stanęły mi w oczach... i oczy zaszyły mi łzami. Nie jadłem: bo i prócz tego, był to piątek, a mięso na stole. Milczałem; podobno nawet na kilka kwestyj nie dałem responsu; a tymczasem cała wrzaskliwa drużyna gładko zajadała, a jeszcze gładziej piła.

Nakoniec odezwał się ten sam jegomość, który mię chciał skropić:—Cóż milczysz? popku! Zarwę cię z teologii. Powiedz mi, gdzie w człowieku dusza siedzi?

Obudziłem się jak ze snu.—A wspomóżże mię, Panie!—pomyśli-  
łem—skonfundować tego chłystka.

— U żołnierza—odpowiedziałem—który nie broń, ale szklanke  
ma w ręku, dusza siedzi w piętach.

Przygryźli usta wszyscy, uśmiechnęli się niektórzy i spojrzeli po  
sobie, a *homo quaestionis* krzyknął:

— Słuchaj popie! ostróżnie z żartami, bo ci własną duszę wy-  
cisnę.

Pomiarkowałem, że tu za kwestę guza tylko dostać mogę, więc  
wstałem od stołu i wynieść się chciałem.

— Dokąd? księżu!—rzekł starościc, czy pułkownik, jak go na-  
zywano.—Nie uciekaj, bo dowiedziesz, że u ciebie dusza w piętach.  
Przebaczam ci żart, bo nie wiesz dla czego jeszcze tu jesteśmy.  
Gdy czas przyjdzie, powinności naszych do munduru przywiązanych  
nie zaniedbamy. Zresztą nie lękaj się: w moim domu nikt cię nie  
skrzywdzi. A ty—dodał obracając się do pytającego się sam-



pana—siedz i pij. Nie umiesz teologii, i dla tego cie zjezdził, a przy tobie i nam się dostało. Nie idzie o oto, gdzie dusza siedzi, ale czy jest dusza? na tém grunt.

— Dowiedz mi, kwestarzu, że jest dusza, to ci dziesięć baranów dać każę! albo lepiej dam ci dziesięć dukatów, bo baranów podobno w całej ekonomii nie ma.

— A co? zabrakło ci konceptów?

— Dobrodzieju?—rzekłem do starościca—dzis nam wszystkim nie do dysput, a tém bardziej w takiej ważnej materyj. Jutro odpowiem na kwestyę pańską, a dzis wszystkim dobrodziejom życzyłbym porzucić służbę bachusa, bo to bożek pogański, a pójść zaraz spać, abyście z duszami przynajmniej wstali.

— No, to do jutra nasz zakład—rzekł starościc.

I nie mogłem inaczej zrobić, jak odłożyć, a obmyślić odpowiedź: bo pierwszą nastreczyło mi przysłowie zwyczajne, że u tchórza dusza w piętach; ale na drugą, zarwany tak *insperate*, zdobyć się nie mogłem.

Wyszedłszy z sali, szukałem noclegu, bo nikt się o mnie nie frasował. Ujrzałem światelko w oficynie niegdyś marszałkowskiej, tam się zawróciłem.

---

## STARY MARSZAŁEK DWORU I STARY REZYDENT.

---

### XXXII.

— *Ave Maria gratia...*—posłyszałem jeden głos, wchodząc do izby, i drugi odpowiadający:—*Sancta Maria Meter Dei...*

— A! pomyślałem sobie—tu przecież, trafię po myśli. Może to i pan marszałek dawny trzepie różaniec.

— *Laudetur Jesus Christus!*

— *In saecula saeculorum!*—odpowiedziało dwóch razem starszków, siedzących przy stoliku i niżących ziarnka koronki. Jeden z nich w białym dymkowym żupaniku, a drugi w tabaczkowej kapotee; przy jednym stała trzcina ze srebrną gałką, przy drugim leżała klapka na muchy, <http://rcin.org.pl>

— Może dobrodzieje przyjmiecie mnie trzeciego — rzekłem — za socyusza do koronki, i trzeciego starca do kompanii?

— *Cum apertis manibus*—odezwał się staruszek biały.—Dawno już takiego gościa Bóg nam nadarzał.

— Niegdyś, a to bardzo dawno, sam byłem gościem w tych progach; i zdaje mi się—mówiłem, wpatrując się w witającego mnie jegomością— że oglądam, a oglądam z pociechą, marszałka dworu zeszłego starosty?

— Tak, tak, *quondam*—odpowiedział, pokręcając siwego wąsa— Radbym wiedzieć, kiedy to było?

Tymczasem tabaczkowy staruszek wpatrywał się we mnie. Poznaje, przypominam—odezwał się on.—*Anno millesimo septingentesimo*.... był tu brat kwestarz, którego zapomnieć długo nie mogliśmy, którego nieboszczyk co rok wyglądał, który budowniczego Kwetkę i francuza skonfundował gracko...

— Ten sam—przerwałem—ten sam—i obaj starce rzucili się mi na szyję, i obaj całowali i ściskali najkordyalniej.

— Więc dobrodziej jesteś ów pan chorąży, rezydent na dworze starosty?

— Rezydent i teraz z łaski jego, bo zapewnił on mnie aż do śmierci *victum et amictum* w swym testamencie, jako i wszystkim, którzy się jego pańskią kłamki trzymali. Daj mu Boże niebo!

— Widziałem i Jaśnie wielmożnego starościca, teraz, jak uważam, wojskowo traktującego, bo go półkownikiem nazywają, i hrabią nawet. Widać, że niedawno nim został, bo zeszły starosta tak się nie *magnifikował*.

Obaj starce kiwali smutnie głowami. Nakoniec rzekł marszałek:—W pałacu *Sodoma* i *Gomora*.

— Nie widziałem i ja tam nic dobrego. Ale zkądże to przyszło, że syn tak zacnego i bogobojnego ojca, jak uważam wcale inny?

— Oh! długoby gadać jegomości o naszych nieszczęściach i dniach oplakanych. Siadaj, *charissime!* Dość ci pokrótce powiedzieć, że po śmierci obojga naszych państwa, która nastąpiła niespodzianie w lat kilka po twój tu bytności, bo starosta we trzy miesiące poszedł za swą żoną *od patres*, opiekunowie bodaj z piekła nie wyszli, wywieźli panicza i panienkę na edukację do Warszawy. Poczciwi my a życzliwi słudzy ich, błogosławiliśmy ich z płaczem, i oczekiwaliśmy potem powrotu papiąt naszych, jak wy-

bawienia z niewoli babilońskiej; aż tu nam po długim oczekiwaniu powiadają, że starościanka poszła za męża, a pan staroście pojechał na wojaż do Paryża. Powrócił aż po latach pięciu. Pożal się Boże! wyjechał od nas miłym, pobożnym, słicznym panieciem, a przyjechał... Ale *non licet mihi* mówić źle o synie mojego pana i benefaktora... Już to on, widać, pod taką *konstelacyą* urodził się.

— A u wasana wszystko *konstelacye*, same *aspekta* niebieskie i *horoskopy* w głowie—przerwał chorąży, i zwrócił do innego obiektu ciekawe dla mnie opowiadanie marszałka o starościcu.

— A jużci też pewniejsze moje *aspekta*—odpowiedział z gniewem marszałek—niż waspana *Apokalipsy*. Terazniejszy kometa nawet nic nie znaczy u waspana? Przecież jak tylko się pokazał, wnet przepowiedziałem, że będzie wojna; a jak wsiadł na wózek niebieski, czy nie mówiłem, że przywiezie biędę na cały świat? To jeszcze będzie wielkie szczęście, kiedy nas ogonem nie muśnie, bo wtenczas zapadniem. A tymczasem czy nie prawda? czy niema wojny i biedy?

— Tak; ale waspan mówiłeś, że taki sam kometa świecił, gdy Jan III szedł na Turka pod Wiedeń, i pokazywałeś go namalowanego w Janinie; to prorokowałeś, że i teraz Turcy tu przyjdą...

— Nie prawda. Mówiłem tylko, że i Turki będą w robocie. A czy nie są? Proszę tylko spojrzeć na kometę, a najbardziej na jego ogon: w którą stronę...

Gdy pan marszałek zwrócił się do okna, pan chorąży, pokazując nań wzrokiem, kręcił palcem po łbie i zcicha mi powiadał:—Ma... ma...;

Marszałek wpatrywał się w kometę, a rezydent rzekł do mnie:—Co innego zupełnie, gdy ja jak na dłoni tłómaczę, że wszystko, co się dziś dzieje, stoi wyraźnie w *Apokalipsie*.

— Winszuję—przerwał śmiejąc się marszałek.

— Wolno śmiać się—mówił także obrażony chorąży—wolno śmiać się; ale czy nie mówiłem waspanu dawniej, że *Appolion*, anioł przepaści, *exterminans*, jest to *Napoleon*. Różnica o literę nic nie znaczy.

— A przecież—przerwał marszałek—*litera nocet, litera docet*.

— I uważasz jegomość—mówił dalej rezydent, nie zważając na przekąsy kolegi—jak tu wszystko kwadruje się:

— Baranek otworzył jedną z siedmiu pieczęci (bo już to pe-



„wnie otworzył). „*I ot okazał się koń biały, a ten, co na nim siedział, miał łuk (łuk czy pałasz, wszystko jedno, byle broń), i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając, aby zwyciężył* \*).“ Aż dowiaduję się teraz, że i Napoleon na białym koniu jeździ.

— Prawda—rzekłem—sam go na białym koniu widziałem; a ma go, jak mi powiadano, aż z Egiptu.

— O to, to, to, to — rzekł żwawo uradowany staruszek, tupając aż nogami—o to, to, to, widzisz waspan, z Egiptu z pod Babilonii, „*i dano mu koronę, i wyszedł zwyciężając*.“ Jak nie wstyd niewierzyć?

— A w drugim miejscu znowu co pisze?

„*I widziałem niebo otworzone, a oto koń biały (znowu koń biały, widzisz waspan), a siedzący na nim sądzi i walczy, a oczy jego jako płomień ogniowy*.“ Wszyscy mówią, że oczy Napoleona przeźrażliwe.

— Prawda—odezwałem się—sam to widziałem także i doświadczyłem: czarne, a świecą jak karbunkuły.

— O to, to, to, to, to. A mójże ty dobrodzieju! O to, to, to; masz waspan żywego świadka.

Marszałek kiwnął głową.

— Nie wierzy, dalibóg nie wierzy! niechże cię bestya o siedmiu głowach połknie!

— Dalej tak stoi: „*A na głowie jego wiele koron, a obleczony był szatą krwią zmoczoną*,” Chybaż waspana jaka gwiazda oslepiała! To już jak łopatą w głowę. Na dobitkę jakież to wojsko tego *Apoliona*. Oto szarańcza: „*a podobieństwo szarańczy, koniom zgotowanym na wojnę, a twarze ich jako twarze człowiecze, a miały pancerze jako żelazne, a ogony podobne niedźwiadkom*.” Albo znowu: „*I takżem widział konie, a siedzący na nich mieli pancerze ogniste!*“ Cóż to mospanie i wątpić? Francuzów jak szarańczy; chmurami idą i niszczą wszystko; a sami widzieliśmy, jak onegdaj przyjeżdżał do naszego pana *ad praeSENS* pólkownika, zbrojny rycerz w pancerzu ognistym, i z włosistym ogonem na głowie....

— I pewnie z twarzą człowieczą—przerwał znowu marszałek. W tém tylko sęk, że, jakeś wasan wczora czytał, téj szarańczy zakazano, aby nie psowała trawy, ani wszelkiej zieloności; a wasana szarańcza żyto kosi.

\*) *Apocalipsis*, Rozdział VI. <http://rcin.org.pl>

— No to cóż? no to cóż?—odpowiedział zakłopotany nieco chorąży—kosi, ale wszystko odrasta, i trawa i żyto. Sądźże sam księżę kwestarzu, czy to nie widocznie? czy to nie jak na dłoni? Kometa! kometa! I cóż ten kometa? Przyszedł swoją drogą i pójdzie swoją drogą. Niéma z nim biedy. Ale co będzie, kiedy druga pieczęć otworzy się? i trzecia, aż do siódmej? kiedy *Gog* i *Mogog* \*) nadejdą....

— Nie bredź! nie bredź! — przerwał z gniewem marszałek.— To mi głowa do tłumaczenia tych *hyperbolów* i tajemnic. Tu widoczny znak na niebie, tu wraz idzie i widoczny skutek: wojna, a on mnie tu baki świeci o *Gogach* i *Magogach*. Powiadają wszakże, że i Napoleon ma swoją gwiazdę, w którą wierzy; i w *Apokalipsie* nawet czytasz wasan, że będą znaki na niebie.

— O to, to, to, to, zaraz waspanu o tém się sprawię — rzekł, biegnąc staruszek do alkierzyka po Biblię.

A tymczasem marszałek pokazał palcem za odchodzącym, a potem kręcił nim na czole i mówił z cicha:—Ma.... ma.... tu.... ma!...

— Obu wam biédnym klepki nie dostaje—pomyśliłem.

Otoż to ci dwaj rzeźwi niegdyś, strojni i przystojni dworacy, fantazyą piękną i animuszem dodający lustru i powagi pańskiemu dworowi, a mogący iść o *prym* na każdym innym, teraz pokurczeni, podupadli, niedołączni, niepodobni do siebie, dysputują o skończeniu świata, a nie myślą, że sami wnet się skończą. Oj starość! starość!

Wyskoczył z alkierza staruszek z Biblią; ale ja rzekłem:—Dobrodzieje, wiecie co? oto zamiast tych tajemnic apokaliptycznych i niebieskich, dokończmy tajemnic Koronki świętej. Ja pomogę, i pochwalim Pana Boga, w którego mocy wszystkie komety i wszystkie bestye i smoki.

Spójrzeli oba na mnie. Chorąży położył spokojnie Biblię na stole. Oba ucałowali krzyżyki wiszące przy koronkach, i oba usiedli cichuteńko przy stoliku, jak dzieci zgromione w swawoli.

— Na którejże tajemnicy przestaliśmy? panie chorąży!—zapytał marszałek.

— Na ósmém *Ave Maria*, tajemnicy trzeciej. Na pana marszałka kolój.

— *Ave Maria gratta plena*...—rozpoczął zatem nabożnie marszałek—*Sancta Maria Mater Dei*... odpowiedzieliśmy, i dokończy-

\*) *Ibidem Apocalipsis*.

liśmy koronki, po której posłałem się na tapczaniku, i poszliśmy spać. Marszałek jednak, nim się układał, spojrział przez okno na kometa, a rezydent Biblię pod głowę podłożył.

S N Y.

XXXIII.

**O**budziłem się. Moi gospodarze wstali raniiej i oba siedzieli już przed kominem. Jeden grzał piwo, drugi gotował sobie kawkę; i rozmawiali sobie pocichu, wrzekomo aby mnie nie rozbudzić.

— Imaginuj sobie wasan—mówił marszałek — śniłem dziś, że kometa do mnie przemówił. Zniżył się jakoś, ogon po ziemi wlekl. Głowa rychtyk jak w *Janinie* \*) wymalowana. *Horet animus!* na sam ten widok pot zimny na mnie wystąpił! Kiedy to huknie:— Za-pa-dasz! za-pa-dasz! Drgnąłem ze strachu i ocknąłem się... aż patrzę—zapadłem i siedzę na ziemi, a głowa tylko na wierzchu, cały zaś *corpus* pod łóżkiem: bo płótno pękło do reszty, i ja z pier-natem zapadłem. No proszę uniżenie, powiedz waspan, zkad kometa wiedział, że u mnie łóżko dziurawe?

— *Extraordynaryjna rzecz!* panie Sebastyanie! *extraordynaryjna rzecz!*—odpowiedział rezydent; a tém bardziej, że i mój sen także dziwny i straszny. Imaginuj sobie wasan, śni mi się, że wychodzi z morza *bestya* ogromna, o siedmiu głowach, a na każdej głowie po dwadzieścia cztery rogi, i w każdej paszczy po dwadzieścia cztery trąby. Jakże zatrąbi ze wszystkich tręb, aż ziemia zatrzęsła się! ... Gwałt! Zatknąłem uszy—nic nie pomaga!... Dreszcz mnie przeszedł, ocknołem się. Aż to ksiądz kwestarz, ta *bestya*, chrapie na całą izbę. No proszę uniżenie, pytam waspana, jakim to sposobem z kwestarza zrobiła się *bestya*?

— Sen mara—rzekłem powstając—a dzień dobry dobrodziejom.

---

\*) *Janina*—opisanie wyprawy Jana III pod Wiedeń, gdzie jest i rysunek komety, który natenczas na niebie świecił. Księgę tę piękną czytałem w klasztorze wileńskim.



Niewspominając o snach, nieco zawstydzeni, oddali mi pozdrowienie, i—na co wola?—zapytali—na piwko? czy na kawę?

— *Et haec facienda, et illa non omittenda* — odpowiedziałem—można jedno drugim zapić.

— Wyśmienicie! Obu nam zrobisz łaskę. Bo widzisz jegomość—mówił rezydent — obadwaj w rannym posiłku żywimy się *de propriis*. Niema kawiarni wspólnej, jak dawniej; więc pan Sebastyan, większej odemnie *substancyi*, kupuje sobie kawę, a ja *cerevisiam* pijam.

Po śniadaniu takowém podwojném, wyszliśmy na przechadzkę po dworze.

O Boże! jakaż to ruina i pustki! jaka różnica od tego, co dawniej było!

— Musiała i tu być szarańcza francuzka—rzekłem.

— Nie. My sami tak pięknie wszystko to urządzili, a zaczęli zaci jaśnie wielmożni opiekunowie. Poszły swidrem i dostatki i fortunki ojcowskie, a synek bogatego pana będzie mógł wkrótce powiedzieć:

[ Chodziłem niegdyś strojno, a teraz obdarty.  
Trzy rzeczy mnie zgubiły: Venus, wino, karty \*). ]

— Oh! niech go Bóg od ostatniej ruiny zachowa, bobym tego nie przeżył!

— I ja także—dodał rezydent, a oba z łez oczy otarli.

— Teraz — mówił dalej marszałek — do towarzystwa Wenery, Bachusa i Faraona, przybył Mars. Nie wiem, czy on nam pomoże? chyba że panicz nasz miał go w swoim *horoskopie*: bo jeżeli rodził się pod tym *planetą*, a w *Zodyaku* miał *Lwa*...

— A dajże wasan temu pokój! — przerwał niecierpliwie chorąży—dajże wasan temu pokój! Nie może być inaczej, jak jest. Czy tam nie pisze, że gdy „*smok wielki rydzy, pozrze dziecko niewiasty* \*\*), *natenczas upadną wszyscy mocarze, i bogacze tego świata*.“ Więc i upadają bogacze, a między nimi i staroście. Bo mogą dowieść jak na dłoni, że *smok rydzy* znaczy....

— A niech cię kaduk porwie i z twoim *smokiem rydzym!*—wrzasnął zniecierpliwiony marszałek.

\*) Dawne wierszyki z przestrogą młodym mawiane. *N. w.*

\*\*\*) *Ibidem* *Apocalipsis*.

— Niech ciebie porwie z twemi *horoskopami*—wrzasnął wzajemnie rezydent—bo to, prawdę mówiąc, *magią* pachnie.

— Dajcie pokój dobrodzieje temu wszystkiemu — rzekłem.—Ot wolój powiedzcie mi i pokażcie czyli dawna kaplica piękna stoi jeszcze? i czy nie zrujnowana tak, jako i wszystko, co tu widzę?

— O nie, chwała Bogu, nie!—odpowiedział marszałek—obaj my z kochanym chorążym jesteśmy zakrystyańami téj świątyni Pańskiej, i z ostatniego ważym na jój utrzymanie. Co niedziela, moich parę kuców posyłam po księdza, i mamy mszę świętą, do której kolejką jeden z nas służy. Ludek prosty i kilku starych sług, którzy nam dotrzymują w tém życiu kroku, gromadzi się natenczas około nas, i razem chwalimy Boga, a modlim się za dusze naszych panów i dobrodziejów.

— Tak, tak—dodał kolega—póki żyjem z kochanym marszałkiem, nie dam upaść temu Domowi Bożemu.

— Jaka przykładna jedność około chwały Bożej — rzekłem — a w innych materyach...

— Cóż robić?—przerwał marszałek—Jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy... a drudzy—mówił, patrząc z ukosa na rezydenta—a drudzy, *Boże odpuść!!!*

— O to to to to to—przerwał znowu rezydent—jedni na starość uczą się rozumu, a drudzy—rzucając także z ukosa okiem na marszałka—a drudzy... *Jezu mój Panie!!!*

Obejrzeliliśmy kościółek, pomodliliśmy się; a tymczasem wstał półkownik i wyszedł na ganek z fajką na sążniowym cybuchu i z bursztynem, którego gęba objąć nie mogła; a za nim kilku wczorajszych adherentów.

---

— Dzień-dobry!—zawołał on, postrzegłszy mnie.

— A chodź-no tu, księżu kwestarzu!

Podszedłem do ganku, oddałem pokłon, i postrzegłem, że staroście blade, smutny, jakby niewyspany, czy chory. Jakaś mię troskliwość o niego przejęła. Stanał mi on na pamięć w maluczkiej dziecinie. Pożałowałem go. Dla czegoż biędny został wcześniej sierotą? Słowem, sam nie wiem dla czego zapytałem;—Czy nie chory JW. pan?

— Dla czego?

— Bo coś mi się bladym i zmienionym wydajesz, dobrodzieju.

— W rzeczy samej — rzekł on — jestem słabym. — Nie spałem, a raczej sen mię bardziej udreżył, niżby wzmocnił. Może wino, może twoje zjawienie się tutaj, było tego przyczyną, a może to oboje razem. Ledwom zamrużył oczy, wnet jakieś marzenia napaścować mię zaczęły. Widziałem potem siebie w jakiejś przepaści. Węże koło mnie, straszidła jakieś, mary... Zrywałem się, odcykałem i znowu zasypiałem. Płynąłem potem po jakimś morzu, łódź pękła — potonąłem, ale się nie utopiłem. Żyłem na dnie morza jak w kryształach, widziałem daleko i szeroko... Tysiące, krocie, miliony postaci rozmaitych, białych, szarych, przezroczystych, mętnych, ogarnęły mię, snuły się koło mnie, jawiły się tłumami jak pokusy i nikły w głębinach. Z niemi i ja unosiłem się miotany na falach; pogrążałem się i wybijałem na wierzch; chwytałem się rąk podawanych mi jakby dla ratunku, ale te ręce były z piany. Cały świat, cały Paryż, wszyscy i wszystko, co gdziekolwiek i kiedykolwiek widziałem, zalewało mię, dusiło jak topielca, i niknąc znowu z odbiegającymi wałami, na chwilę wolniej oddychać mi dozwalało... Ocknąłem się nakoniec; a chociaż przez sen byłem w wodzie, na jawie jednak (i jakaż to jawa?) głowa mi pałała, a piersi jakbyś kamieniem przycisnął. Oczu otworzyć nie mogłem; i lubo ocucić się zupełnie, wstać i otrząść się z tego dręczącego marzenia chciałem, napróżno jednak. Znowu marzyć zacząłem. Jakiś kościół ogromny a ciemny. Ja w nim sam jeden... a jednak słyszałem około siebie jakieś szepty głuche, mrówiem mię przejmujące... Dzwony potem się odezwały, kościół się blado oświecał... mogłem rozpoznawać co się działo... organ zabrzmiał *Dies irae* czy *De profundis*, tak mi się przynajmniej natenczas wydawało, i przy każdej kolumnie kościelnej ujrzałem białe marmurowe posągi, a przy dwóch mnie najbliższych, poznałem ojca i matkę moję. Chciałem biedz ku nim, ale jak przykuty, ruszyć się z miejsca nie mogłem; ręce tylko ku nim wyciągnęłem. Przy innych kolumnach stały także posągi; między niemi byłeś i ty, kwestarzu, jak *Pastor bonus*, trzymając baranka na ramionach; był i dawny mój nauczyciel ks. Joachim. Oczy wszystkich, a szczególnie rodziców moich, ogniem pałały... Okropny był stan mój!... Nakoniec w takim martwem otrętwieniu zdawało mi się, że sam stygnę i na środku kościoła kamienieję... Pod dzień spokojniej zasnąłem.

— Dziwny sen, panie! — rzekłem, sam nad nim rozmyślając — dziwny sen!... Któż wie, czy nie nauka?



Starość stał zadumany.

— A nauka—odezwał się wczorajszy kropiący jegomość—nauka, że mieszać trunków nie należy. Szampańskie szumi, a węgierskie rzuca. Pan zaś wczoraj po odejściu kwestarza, piłeś jedno i drugie, jak gdybyś gwałtem rozum i pamięć utopić pragnął. Dla tego we śnie utopiłeś się w morzu szumiącym, a węgryzn rzucał cię na falach. Cha! cha! cha! czy źle sny tłómaczę? Byłbym drugim Józefem, gdybym żył za Faraonów.

— A więc może dobrodziej i mój sen dzisiejszy wytłómaczysz, bo także dziwny.

— Jakto? i ty także śniłeś?—odezwał się starość?

— Tak — rzekłem — a nawet sen mój ma niejakaś *konjunkcyę* z pańskim.

— Mów—odezwali się wszyscy.—Słuchamy!

— Oto, byłem w piekle. Jak tam się dostałem? nie wiem; i nie będę opisywał ichmościom wszystkiego, com tam widział: bo sami z czasem tam dostaniecie się i zlustrujecie wszystko należycie.

— A zkąd ta pewność, popie—przerwał tłómacz snów—że my tam będziemy?

— *Qualis vita, et mors ita*. Jaka zasługa, taka i nagroda. Ale mniejsza o to. Dość, że przeglądając kotły, w których smażą się potępieńcy w smole, jak pampuszki w oleju, posłyszałem: — Bracie Michale! ratuj mnie!—Obejrzę się, kto tu mój znajomy? aż postrzegam mojego kochanego starostę, ojca pańskiego. Siedzi po szyję w smole; a francuz, dyrektor niegdyś pański, który w piekle funkcję pieczurnika spełnia, poddmuchuje ogień, szumuje żelazną stągwią warzącą się smołę, jak kuchcik garnki na kuchni, i urąga się JW. staroście.—Ach dobrodzieju! — rzekłem — *ex inferno nulla est redemptio!* Cóż ja tu dopomogę? Ale za jakież grzechy tak cnotliwy pan poszedłeś na potępienie?

— Za syna mego tak pokutuję—odpowiedział mi żałośliwie.— On mie tu wsadził, za to najbardziej, że zaniechawszy rad i przestrog poczciwych ludzi i kapłanów, dałem mu w młodych jego latach za *preceptora* tego wcielonego szatana, który mię teraz dręczy, a który zepsuł jego serce i założył w niem fundamenta złego. A oto obok siedzą panowie opiekunowie, którym powierzyłem umierając dziecko moje, a którzy zawiedli moje zaufanie, z fortunki mojej korzystali, a syna mego zaniedbując, dozwolili mu napawać się trucizną dzisiejszej na świecie panującej bezbożności. Oj, takich

opiekunów jest tu moc nieprzeliczona, i codzień przybywają. Cokolwiek więc on teraz zbroi albo zbluźni, spada to wszystko na moje i na ich głowy; a tak zamiast kropel ochłody, któreby mnie z jego cnót spływały, dolewa on mnie codzień po garncu gorącej smoły....

— Łzesz! księżu—przerwał mi pólkownik, rzucając fajkę—kłamiesz nedorzecznie! Ojciec mój tak poczciwy człowiek, że pewnie w niebie.

— Czy tak? w niebie? A wiec miał duszę!... *Sequitur*, dobrodzieju!....

— Żeś wygrał zakład—przerwał uspakajając się starościc i uśmiechając się.—Chętnie ci zapłacę przegranę.

— Brawo kwestarz!—zawoli towarzysze—brawo!

— Ale to mało na tém, dobrodzieje! Także kto ma duszę, a duszę dobrą i poczciwą, ten obdarzy kwestarza; a kto jój nie ma, niech nic nie daje, bo od bydłał nie biorę.

Spójrzeli po sobie wszyscy, rozśmieli się, i każdy do kieski, Starościc dukatów dziesięć, a ci ichmość po kilka złożyli, i tak od razu zebrała się sumka, z którą bez dalszej kwesty do klasztoru wrócić mogłem.

Gdym zegnał starościca, rzekł on mi: — Bracie kwestarzu! nie zapomnę twój tu bytności... z wielu przyczyn i względów.... Jeżeli mnie kule oszczędzą, (bo nie myśl, ażebym moję wojskowość tu przy kielichu odbywał), powróć kiedyś do mnie. Wszystko się jeszcze odmienić i... poprawić może.... Bóg nam natenczas inne sny.... pomyślniejsze zapewne zesłać raczy....

Podniosłem oczy i ręce w niebiosa. On się odwrócił i śpiesznie odszedł.

Pożegnałem potem poczciwych, a po części zdzieciniałych moich staruszków. Marszałek dał mi z dawnych swoich zapasów flaszkę wybornój gorzałki, a rezydent ze swój partykularnej spiżarni, szczupaka wędzonego na zakąski, i ruszyłem, zawracając się ku domowi,

## Ł O S T A J E \*).

### XXXIV.

**L**akopałem znowu moje złotko i ruble w tabace głęboko, nau czony niedawną *experiencyą*, że nosy maroderów na tabakę se bon! ale kruszcu pod nią zwietrzyć nie mogą; i wlokłem się, zbliżając się codzień do Bienicy. Baranów zebrało się kilkanaście i miałem nadzieję dostawić ich w całości księdzu *professorowi Infimy*.

Jużem się pod *Krewo* podbierał, i wyjechałem w leśne i pagórkowate okolice, między któremi i samo *Krewo* sytuowane, gdy postrzegłem po wzgórkach i dolinach narzucone gęsto dworki, przy niektórych ogródki, przed niektórymi sadzawki, niektóre nawet z ganeczkami, a przy każdym zabudowania gospodarskie, mniejsze od pańskich, większe od okolicznej szlachty, z którą znam się od dawna. W pośrodku nad strumieniem kapliczka z kulistym dachem i jedną z boku wieżyczką cienką. Zdziwiłem się jednak, i kapliczka i wieżyczka bez krzyża.

— Już blisko Bienica,—rzekł Jaś wiozący mnie—tylko półtory mili. To *Łostaje*.

— A cóż to za *Łostaje*?

— Tu na *Łostai* mieszkają *Tatary*. Oto dworek pana rotmistrza *Ułana*, tamten pana porucznika *Baranowskiego*, tamten przy meczecie, to ich *Mołny*, a ten przy naszej drodze, to największego ich Murzy, majora *Amurata Bielaka*. My tu często bywało z tatulą na robocie rymarskiej bywaliśmy, nim mnie on do klasztoru nie oddał.

— Ha!—pomyśliłem sobie—więc niema po co do muzułmanów zajeżdzać. Mijaj—rzekłem do Jasia.

---

\*) Nazwisko okolicy kraju w powiecie Oszmiańskim, zamieszkałej przez Tatarów,



Mijałiśmy więc dworek pana *Amurata*, gdy on sam powracając z pola spotkał nas przed swojemi wrotami; i—stój!—zawołał.

— Niech będzie... upadam do nóg!—zacząłem z nałogu, dokończyłem postrzegłszy się.

— Na wieki wieków... kłaniam uniżenie!—odpowiedział uśmiechając się. — A dla czegoż to mijasz poczciwych ludzi i sąsiadów? boś pewnie z *Bienicy*.

— Spieszę — rzekłem — do klasztoru.

— Kłamiesz, księżulu! Widzę, żeś nowicyusz w tych stronach, bo cię nie znam; a nie zajeżdżasz do Tatarów, bo myślisz, że muzułman zamknie ci wrota, albo powie; *fora ze dwora!* A mylisz się. Twoi poprzednicy nie mijali nas, a my też nie mijamy waszego klasztoru. Na tamtym świecie rozsądzim się o wiarę a na tym żyjmy w sąsiedztwie po przyjacielsku. Wstąp więc do mojej *Witoldówki*, a obaczysz, że kołdun tatarski wart bernardyńskiego brzucha.

*Hora canonica* zbliżała się, wzmógł się apetyt, a jak na licho, lubię kołduny. Przyszło mi wprawdzie na myśl, że to tam u nich i młoda żrzebięcinka uchodzi podobno; ale jednak nie bardzo temu wierząc, i szczeremu zaproszeniu odmówić nie mogąc, zawróciłem we wrota.

---

Sam pan Amurat, lat z górą pięćdziesiąt mieć mogący, łysy jest ale wąs ma zawieszony, i nie po dworsku zakręcony i gumowany a suty, i siwy i obwisły, że mu aż gębę zakrywa. *Facies* przystojna, chociaż nieco śniada i *tandem* za szeroka, wydaje jego *progeniturę*. Na nim kurtka i szarawary płócienne, szyja i łeb nagie, a w ręku harap myśliwski.

— Hej *Ajeszko!*—zawołał wchodząc do sieni, a na to wybiegła w jubce tarletanowej młoda *et quidem* jak na tatarkę, ładna dziewczyna. Stropiła się nieco, postrzegłszy mnie.

— Oto moja jedynaczka—rzekł pan major.—Nie lękaj się, córko! Mamy widzisz gościa, więc drugą kopę kołdunów wysyp do rądla. A tymczasem napijem się wódki. Mahomet zabronił nam wina, miłościwy księżulu! ale o wódeczce w Alkoranie *cyt!* A zatém my wina dajem *kwit*, a *wódeczkę* i *luleczkę* ciągniem sobie po troszeczkę. Proszę na tę stronę do mojej izby, bo tam po waszemu *klauzura*, a po naszymu *harem*.

— Jakto? — zapytałem — więc jegomość utrzymujesz seraj?

— Oho! przeląkłeś się! A gdybym i utrzymywał, co waści do tego? Wszak gdybyś w moich oczach jadł szynkę, jabym nic na to nie powiedział. Ale uspokój się? my doświadczyliśmy, że z jedną kobietą często trudno dojść ładu, a cóż dopiero gdyby ich mieć tuzin! Tam stancya mojej córki i nic więcej; a jam wdowiec,

Weszliśmy więc do izby pana *Amurata*. Piérwsza obszerna; stół dębowy na srodku, zédle naokoło. Druga maleńka, tam łożko i na ścianie wojenny rynsztunek pana majora. Między tém zdziwił mnie łuk jakiś starodawny, więc zacząłem go rozpatrywać.

— A co? kwestarzu! dziwisz się broni, z którą przodkowie moi wojowali? Tak, tak, jest to najdroższa nasza pamiątka, jest to łuk naszego przodka, *Kara Mirzy*, który długo wojując z Litwą, nakoniec gdy w bitwie jednéj dowodził przeciw księciu Witołdowi, okryty ranami dostał się z wielką częścią swéj ordy w niewolę. Poosadzał ich miłościwy ten książę a waleczny rycerz, w różnych miejscach swojego kraju: w Niemieży, w Wace, a *Kara Mirza*, nasz przodek, dostał tu na *Łostai* ziemię. I książę nazwał go *Bielakiem* naprzeciw imienia *Kara*, co znaczy w naszym języku *Czarny*. \*) Służył mu potém *Bielak* w wielu różnych wyprawach, wszędzie mężnie i wiernie stawając, a skarbiąc sobie coraz większe łaski księcia.

Dawno to już było, panie bracie, bo przed laty czterysta, a może i więcej, plemie tatarskie rozmnożyło się na Litwie, i zawsze pocziwie krajowi służyło. A po naszym walecznym przodku, dochowujemy razem z ziemią jemu nadaną i łuk ten jego. Z głowy na głowę, dziedzictwem to przechodzi. Ani ziemi, ani łuku żaden *Bielak* za miliony nie odda; a choć który zholeje, to składamy z ostatniego na zapomogę brata, byle nie wpuścić cudzego *intruza* między nas. Gospodarstwo u nas nie wielkie; często na *Bejram* ostatnia idzie pod nóż krowa; ale za to do *korda* każdy gracz; do trzeciego tatarowi nie gadaj; każdy od młodości prochu powąchał, a tchórza i piecucha z tureckim abszytem wypędzilibyśmy z *Łostaj*; i żadna tatarcka nie poszłaby do jego *haremu*, to się rozumie, nie wzięłaby go za męża.

Przy tym rozhovorze, pan major dostał flaszkę z policy, i — do wasana — rzekł, nalewając sobie spory kieliszek; a wychyliwszy

\*) Podanie.

do dna i ocierając wąsy, rzekł: — *Tacto pectore* upewniam cię, że wyśmienita!

— *Tacto pectore!* a to co? — rzekłem zdziwiony — skąd ta łacina?

— Z ust szlacheckich, mospanie! bo chociaż w szkole nie bywałem, różgi nie widziałem, ale przysłowiów pocziwych szlacheckich od dziadów i ojców uczymy się; a choć i z nich żaden łaciny nie umiał, ale kiedy położywszy rękę na sercu powiedział tatar litewski: *tacto pectore!* to jakby na głowę *Mahometa* przysiągł. Nie chlubiąc się, krew ich i we mnie płynie. Jestem synem jenerała Bielaka, którego znała cała Litwa... Dźgnij zatem bracie kwestarzul bo przez ścianę słyszę, że wrą kołduny w ukropie.

Jakoż wnet weszła panna *Ajesza* z przyborem stołowym, a za nią służąca wniosła runtową misę kołdunów. Smakowita woń rozeszła się po izbie. Zasiedliśmy we dwóch tylko, bo ze zwyczaju tatarskiego, rodzaj żeński osobno stołuje się, a służy do stołu mężczyznom, jakoby panom swoim.

Wyśmienite! *magni saporis* kołduny! Odjeść się i odchwalić się ich nie mogłem, a gospodarz prośbą i przykładem zachęcał. Jakoż misa się wypróżniła, i popiliśmy dla *konkokcyi* wódeczką.

Wstawszy od stołu, podziękowałem Bogu po swojemu; pan major jakby tego nie widział: potem i jemu samemu; a po takim bankiecie nie długo czekając, poszliśmy oba spać do odryny, i już słońce do brze za południe przeszło, gdyśmy się ze smacznego spoczynku obudzili.

---

— No, teraz, księżulu, dam ci barana pięknego na pierwszą znajomość.

— A więc tu na Łostajach nie widzieliście maroderów francuzkich, kiedy jeszcze są barany?

— Oho! jakto? tak blisko traktu żyjemy, a więc zawitali oni i do nas. Doczekałem się w Witołdówce dawnych znajomych, bo poznałem się z Francuzami na przeszłych wojnach. Ale przyjęliśmy tu ich po tatarsku i po żołniersku. Trafiła kosa na kamień, to jest, trafiły karabiny i bagnety na dubeltówki, pałasze i pistolety. Wiedzieliśmy już z sąsiedztwa, co dokazują ci nieproszeni goście; codzień więc byliśmy gotowi na przyjęcie.

Gdy się nakoniec pokazali, wystąpiliśmy wszyscy w mundurach naszych oficerskich. Było ich kilkudziesięciu, ale i nas było ze



trzydziestu! w odwodzie zaś ukryłem w życie drugie tyle chłopków, z czém kto miał: z fuzyą, z siekierą, choćby z dobrym kijem.

Szli rabusie długim obozem. Kilkanaście fur ciągnęło wśród nich z narabowanemi rzeczami i z ich cielećinkami. Gdy weszli w ulicę, postrzegli nas na dziedzińcu — zastanowili się. Patrzaliśmy na siebie zdaleka. Oni się naradzali; a my nie ruszaliśmy się z miejsca, czekając, aż z całym taborem wejdą w ciasną tę co widzisz wygrodzoną ulicę, i pominą moją zasadzkę w życie za płotem ukrytą. Po naradzie nabili broń i kupno ruszyli ku nam.

— Wzajemnie zakomenderowałem: — *Dubeltówki z ramienia!* — i maszerowałem ku nim.

— *Russ?* — zawołali oni, podnosząc karabiny.

— *Tatar!* — odpowiedziałem, podnosząc dubeltówki, a pałasze gołe wisały u nas na temlakach na rękach.

— Opuścili karabiny, patrząc to na siebie, to na nas. My natenczas, nie dając czasu do opamiętania się, fuzye na plecy, pistolety z za pasa i *hajże* ku nim! Razem gwiznąłem przeraźliwie, rezerwa moja wypadła z krzykiem z za płotu. Nie było im czasu do karabinów, albo do nasadzenia bagnetów, bo każdy prawie miał pistolet u piersi. Wrzasnąłem więc: — *Pardon!* albo *caput!* — a gdyby który palcem tylko kiwnął, kula mu byłaby w sercu.... Przerażeni, w mgnieniu oka pardonowali się, i batalia wygrana. Zabraliśmy cały oboz i broń, i samych rycerzy dostawiłem do *Oszmiany*. Rabowane rzeczy porozbierali sąsiedzi, każdy swoje. Było i potem jeszcze kilka harców, z których zawsze zwycięzko wyszliśmy. W jednym z nich, moją damascenką uciąłem dwa bagnety, jakby świeczki łojowe, co niezmiernie zadziwiło Francuzów. Nakoniec zaniechali nas, co dla obu stron szczęśliwie, i dla waści księżulu, bo ci barana dać mogą.

Jakoż i dał.

— A pokaż-no, dobrodzieju — rzekłem wróciwszy do izby, gdy nam panna *Ajesza* kawę podała — ową *damascenkę*, którą bagnety jak świeczki rozcinasz.

— Zkądże ta Bernardynowi *sympatia* do pałasza?

— Aj, bo go niegdyś, jako szlachcic, przy boku nosiłem.

— Oto go masz — rzekł, zdejmując z kołka i obnażając z pochwy. — To moja sukcesya po ojcu generale Bielaku. Wart być obok łuku *Kara Mirzy*, bo był w ręku nieodrodnego odeń potomka.

— Prawda — rzekłem — klinga prawdziwa turecka, ale osada i furdyment nasz.

— Tak, bracie! — odpowiedział *Amurat* — takie pałasze nosim przy boku, i sami takimi jesteśmy. Rozumiesz?

Patrzałem mu w oczy, które się nagle zapłomieniły, i rzekł dobitnie:

— Tak! Tatarskie prawe i ogniste serce — to *klinga!* Szlachecka mowa i głowa — to *furdyment!*

Wtém *Mołna* zaryczał na meczecie; pan *Amurat* szedł na modlitwę; i pożegnaliśmy się *ad felix videndum!*

---

## ELŻUTKA.

---

### XXXV.

Szło pod zachód słońca, gdym się wybrał od tego zacnego muzułmana.—Półtory mili przebędę łatwo — myślałem sobie—jedna tylko ciężka będzie rappa, to jest, kilka staj wielkiego gościńca. A nuż tam spotkam se bon kamrat! to jedna chwila, całej kwesty, a szczególnie baranów, pozbawić mię może. Co do złotka—myślałem—zjedzą diabła.

Powstając więc coraz na kałamaszce, rozpatrywałem się pilnie na wszystkie strony, jak żóraw. Wjechałem na gościniec. Już mi widać kopułkę kościoła Bienickiego. Chwałaż Bogu! Podjeżdżam pod jakąś pustą karczemkę... aż tu z niej jak wysypie się kilkunastu kamratów—bądźcież zdrowe barany!!!

Jakoż wnet w moich oczach, przewodyr i kilka przy nim legło na placu pod bagnetami tych rycerzy. Pocziwy baranisko! przyzwyczaiłem go do rąk, biegł na zawołanie, a nazywałem go *Jonasz*. Zabezczął biedny tak żałośnie, że aż mi się serce ścisnęło. Gdziekolwiek byłem kwestarzem, zostawiałem zawsze moim następcom pięć-knie ułożonych przewodyrów, i częstokroć to tylko jedyni przyjaciele, którzy się po mnie tam zostali, i jedyni, których żałowałem.

Z wielkim hałasem zaprowadzono i mnie do pustej stodoły, a tam nastąpiła rewizya kałamaszki, a potem i mnie samego.

— *Latrones estis!*—krzyczałem; ale ci, zapalczywi od pierwszych, tuzali mnie bez ceremonii. Pozbyłem kapelusza, paska, nawet i bótów.—Dobrze mi tak—pomyśliłem—a czemu podług reguły, nie noszę trepków?

Inni łupili ze skóry barany, inni rozkładali ogień.

— Lecz jeden, wpatrując się we mnie czas niejaki, rozśmiał się i klapiąc po ramieniu, zawołał:—A kamrat! Vilna Osmana—słowem, pokazywał, że mnie zna.

— Ha! pomyśliłem znowu—ponieważ to jeden z moich dawnych przyjaciół, więc mnie przecię zaproteguje.—Uścisnąłem go z affektem, i on mnie. Potem prawił im widać historję naszej wędrówki i popasu w *Miednikach*. Słuchali, uśmiechali się, ruszali ramionami. Nakoniec jakby przypomniał rzecz ważną zacny *narrator*, odwrócił się nagle do mnie i krzyknął:—Kamrat! tobak!

Zmieszałem się. Poznał francuzisko mój kłopot; szust rękę do mojej kieszeni i wyjął tabakierkę, odemknął, traktował wszystkich i mnie samego, a potem *Herod* postawił swój kaszkiet na ziemi, wytrząsł nań tabakę, a z nią i dukaciki, i kilka rubelków wysypało się.... *Obstupuerunt* łotry, a ja z biedną miną stałem jak *delinquent*.

Wnet łapczywie rzucili się na złoto; ale wynalazca téj *minery* przystąpił do sprawiedliwego podziału: sobie wziął za piękne odkrycie dwa czerwone złote, a każdemu dał po jednym: gdy nie stało złota, dzielił rublami, mnie pytając się na migach, wiele rubli za dukat należy. Po takiej dzielance, która spokojnie i przystojnie odbyła się, zebrał szkrupulatnie tabakę do tabakierki i mnie oddał.—Bon! bon! se bon kamrat!

Ledwo się ta bolesna dla mnie operacya skończyła, i jeszcze nie naśmieli się dosyć i nie nacieszyli się szubrawcy z tego obłowu, gdy tentent koni dał się słyszeć na dworze i—stój!—zawołał głos mocny. Wybiegli Francuzi i ja z nimi. Kilkadziesiąt koni ułanów i oficer na ich czele zatrzymało się przed karczmą.

Oficer zagadał do nich po francuzku. Cóż mu odpowiedzieli. A on do swoich:—To właśnie ptaszki, których zbierać i pędzić do Mińska mam ordynans—marodery i rabusie, otoczyć ich!

W mgnieniu oka rozkaz ten spełniony. Już nawet nie mogli wró-



cić do stodoły, gdzie gdyby broni dopadli, pewnieby wydali batalię, miarkując po ich złości, dąsaniach się i przekleństwach.

— A co tu między maroderami robisz? księżę Bernardynie, czy rabujesz razem z niemi?

— Owszem, dobrodzieju! jestem zrabowany przez nich. Ubogi kwestarz z klasztoru Bienickiego, który oto postrzegasz dobrodziej przed sobą. Jeździłem po świecie, aby coś zebrać na ogłodzony nasz konwent; jakoż Pan Bóg pobłogosławił, i z kilkanaście baranów, a najbardziej kilkanaście dukatów w gotówce wiozłem kościołowi na wsparcie, gdy oto przejęli mię ci waleczni rycerze i obrali ze wszystkiego. Goły i bosi, bo mi i bóty zdjęli, powrócę teraz do głodnych braci moich.

Krzyknął jak lew rozjuszony na Francuzów oficer, że aż ja zadrżałem; a gdy ci krnąbrnie coś mu odpowiadali, wyrwał pałasz z pochew, i kiedy nie zaczęli okładać płazem bez różnicy którego napadł, jak huknie na ułanów, a ci w toż samo.... Widzą rabusie, że kuso koło nich.—*Pardon! pardon!*—zaczęli wołać i składali oficerowi moje dukaty.

— Czy wszystkie?—zapytał on, oddając mi garść złota.

— Zapewne wszystkie—odpowiedziałem nie licząc—bo Bóg tam z niemi nareszcie.

— Nie wszystkie—rzekł on—bo oto masz jeszcze jednego—dając mi własnego czerwienca *cum effigie Bonapartego*.

— *Deus te benedicat!* młodzieńcze!—zawołałem.—I tę twoją własną ofertę, i zebraną od ludzi dobroczynnych, już teraz mam z twojej łaski. Modlić się gorąco będziemy do Boga za twoją fortunę i zdrowie. A może też raczysz wstąpić na noc do naszego klasztoru, jeżeli w tamtą stronę Pan Bóg prowadzi. Właśnie byłoby w czas.

— Mam też w *marszrucie*—odpowiedział—nocleg zapisany w Bienicy, więc ochotnie twe zaproszenie przyjmuję, i ruszajmy.—Chłopcy! kilku z koni! poskładać porznięte barany na furgony. Odwieziemy je do klasztoru, a ojcowie i dla nas nie pożałują jednego na wieszczę.

— Z całego serca, i na wieszczę i na drogę. Ale ja mam i moją kałamaszkę w stodole, którą mnie także skonfiskowali ci dobrodzieje; więc teraz powracając do mojej własności, dowiozę na niej pobite moje barany do klasztoru, nie obciążając pańskich bagażów.

— I owszem—rzekł oficer.—A teraz zabrać broń maroderów, ich wziąć we środek; a jeżeliby który się upierał, płazem! choć nie

szkodziłoby i rębem; tylko że ja mojej *Elżutki* nie chcę poniewierać na szyjach tych podłych rabusiów, niegodnych imienia żołnierzy.— I schował szablę do pochew.

*Elżutka!* coś mi przebiegło po głowie jak błyskawica. *Elżutka!* Spójrzałem na tę szablę—osada staroświecka.... zdaje mi się znajoma. Spójrzałem na samego oficera—twarz młoda, przystojna, ale także jakbym go gdzieś widział, albo podobnego jemu.

Tymczasem Francuzi mruczając wkładali swoje cielęcinki, a ułani przypędzali ich grzecznie płazami.

— Dla czego się we mnie tak wpatrujesz? księżę kwestarzu!— zapytał oficer.

— Daruj—rzekłem nieśmiało i drżącym od jakiegoś nieznanego mi dotąd wzruszenia głosem—daruj, zacny wojowniku, że się zapytam: czyli to twoją szablę nazywasz *Elżutką?* i jeżeli tak, od kogo ją masz?

— Tak—rzekł—to moja żonka *Elżutka*, a wierniejsza i lepsza od wielu żonek, bo mi wierną będzie do śmierci; strzeże pilnie mego zdrowia, życia i nieraz mi już to oboje uratowała. A zaręczył mię z nią ojciec mój; bratu memu starszemu dał za przyjaciela i sekundanta *Harasima*, mnie za towarzyszkę *Elżutkę*.

— To więc ty jesteś—mówiłem, patrząc nań łązą zabiegłem a niepewnym jeszcze okiem—to więc ty jesteś *Władysław Swieboda*, syn *Stanisława!!!*

— Zkąd mię znasz? księżę! co to znaczy?—I zsiadł z konia.

— Na rękę cię mojem nosiłem. Byłem najlepszym przyjacielem ojca twojego za jego życia, modłę się codzień za jego duszę po śmierci. Tę szablę jam mu odesłał na pamiątkę, sam wdziewając ubogą zakonną sukienkę....

— A więc ty jesteś *Michał Ławrynowicz!*—zawołał on.—Tak! przypominam cię jak przez sen!... Tyś towarzysz młodości ojca naszego.... o którym tylekroć nam rozповідаł, którego kochał aż do śmierci, do którego tęsknił zawsze... a oddając mi nawet tę szablę i wyprawując na świat z błogosławieństwem rodzicielskiem i łzami jeszcze cię wspomniał!... A więc to ty jesteś?

— Ja!—rzekłem—ja sam!...

Młodzieniec rzucił się w moje objęcie.

**PRZYPISY DO ROZDZIAŁU XV.**

**O WOŁODKOWICZU.**





## Przypisy do Rozdziału XV. str. 338 i t. d. o Wołodkowiczu.

Dekret Trybunału Kadencyi Ruskiej w Mińsku na Michała Wołodkowicza,  
z rękopisu współczesnego.

Z *Protokołu*. Dnia 12 februaryi 1760 JW. Jpan Michał Wołodkowicz sędzia i podskarbi trybunału Gł. W. X. L. *convellendo* prawo statutowe W. X. L. *et correcturam jurium, quam stric-tissime auctoritatem et securitatem subseiorum, a praecipue supremi subseis* Trybunału Gł. W. X. L. ubezpieczające, *illicito ausu* na dniu pierwszym februaryi *anni praesentis*, w czasie agitujących się sądów, *ad ocllusum conclave* na sądach poobiednich wszedłszy i tam wszystkich na namowie zostających znalazłszy; najprzód stoły w Izbie sądowej rąbać, *denique* świeće w lichtarzach stojące ważył się, *insuper* jeszcze, krzyż na stole marszałkowskim rąbać *intendebat*. W czasie której *tranzakcyi* gdy JWW panowie sędziowie trybunału perswadować zaczęli, aby *honestatem* zachował, tedy JW. pan Wołodkowicz *vexando* wszystkich sędziów *laesivis verbis*, perswadującego JW. Dłuskiego deputata Lidzkiego szablą w rękę zaciął, a przez to *publicam tranquillitatem violavit*. Zaczém *Judicium, per eandem inconvenientiam* tegoż JW. pana Wołodkowicza od *funkeyi* deputackiej i od podskarbstwa Trybunału Gł. W. X. L. odsądza, a oraz *ne ulteriora scelera multiplicentur, perveniendo publice* tak JWW. sędziów trybunału, jako też wszystkich *sub securitate judiciorum* znajdujących się *tran-*

*quillitati, denique inhaerendo* prawu statutowemu W. X. L. Art. 9-go z Rozdziału 1-go i Art. 10 z Rozdziału tego 1-go korekturze *jurium* i dalszym prawom *de violatoribus*, opisującym tegoż JP. Wołodkowicza *in poenam colli decidendo*, ażeby tenże JW. Wołodkowicz przez żołnierzy trybunałowi asystujących *in spatio tridui* był rozstrzelanym, dekretuje. A *tantisper* niżeli *exekucya praesentis decreti succedet*, ażeby *quam strictissime* był opatrzony, JP. rotmistrzowi trybunalskiemu *praecommitit*.

---

*Notacya w tymże rękopisie.* Roku 1760 12 februaryi. Za laski JW. JP. Michała Sapiehy krajczego i marszałka trybunału W. X. L. a vicemarszałkowstwa JW. Morykoniego deputata wileńskiego, za uderzenie w zawartém kole JP. vice-marszałka i cięcie JP. Józefa Dłuskiego deputata litewskiego; WJP. Michała Wołodkowicza deputata mińskiego i podskarbiego trybunału W. X. L. w kilka dni po uczynionej akcyi będącego na sądach przez tegoż deputata litewskiego do sądu wniesiono: najprzód dekret z przydaniem warty temuż JP. Wołodkowiczowi, który wraz został wzięty od warty trybunalskiej, potem w kilka godzin dekret *poenam colli*, aby był rozstrzelanym *in spatio tridui*: jakoż wziętego z wieczora przed szóstą godziną, w kordygardzie z północy o godzinie w pół do trzeciej tegoż dnia przez żołnierzy został rozstrzelanym, wieku swojego mając lat 24 lub 25, zostawiwszy brata rodzonego JP. Józefa Wołodkowicza wojskowicza mińskiego. Ta akcyja niepraktykowana w W. X. L. stała się w Mińsku.

#### LISTY W TEJŻE MATERII, Z INNEGO ÓWCZESNEGO RĘKOPISU.

Kopia listu JW. pana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do IO. księcia wojewody wileńskiego hetmana W. X. L. z Bychowa.

Namiestnicza Jego królewskiej mości władza, w nim pański honor jakową świeżą doznał obelgę, prowincya nasza zadziwić się musi kiedy ta ważna magistratura, przed którą najwyższych familij i domów drżać musiały imiona, zuchwały *ausus*



JP. Wołodkowicza kolegi naszego zgwałcił i znieważył. Partykularniejsze dawniej zwady i nieuszanowania Izby sądowej przez tegoż jegomości czynione łagodnie umarzałem, i skombinowania *dabantur* sposoby. Ale sędziów na namowie siedzących zbrojną ręką nachodzić, deputatów porąbać, nie jest to partykularnej osoby, ale Jego królewskiej mości *despect, crimen status* i honoru mego *contempt*: Co wszystko iż exemplarną wyciąga karę do Waszój książęcej mości, jako *ad custodem legum* prześwietny ucieka się trybunał, wraz ze mną prosząc, gdybyś W. X. Mość wynalazł środek i sposoby satysfakcyi trybunałowi, kiedyś na rekwizycyą J. K. Mości wartę trybunalską nie wzmocnił. W czém oczekując W. X. Mści rezolucyi, z najgłębszém uszanowaniem pisze się. *Dnia 10 februaryi 1760.*

**Kopia listu JO. księcia hetmana W. X. Lit. do JW. vice-marszałka trybunału Gł. W. X. L. dnia 12 februaryi 1760 r. z Nieświża.**

Z wielkiem nieukontentowaniem odbieram od Wpana wiadomość niegodziwej akcyi Jpana Wołodkowicza, a z umartwieniem czytam wyrażenie sprawiedliwego żalu jego, z zaszłego i najwyższych tych sądów, i samego Wpana pokrzywdzenia, które jako *meretur* sąd i karę, tak *quid juris est, et justitia potest*, czynić przynależy. Ja się w to mieszać nie będę, ani ochraniać zechcę jako przyjaciela mego JP. Wołodkowicza: bo każdego natenczas mam i wzajemną serca przychylnością *prosequor*, kiedy się zachowuje *in orbita* wszelkich *moderacyj* i chwalebnych postępków; każdego zaś sądzę być nieprzyjacielem moim, kiedy *temerarie* waży się gwałcić prawa i grzeszyć przeciwko słusności, ani się może natenczas pomocy i ochrony mojej spodziewać. W téj rzetelności sentymentów zostawam *corde tenerrimo* etc.

**Kopia tegoż listu JWpana marszałka trybunału do JW. Mniszcha marszałka nadwornego koronnego, dnia 10 februaryi 1760 r. z Bychowa.**

Zważając rozpoczętego trybunału w Wilnie *progressa*, i dziejących się pod trybunałem *violencyj* i *excessów*, z ubliżeniem namiestniczój Jego Królewskiej Mości władzy, która dla małej i szczupłej warty, powagi nie miała, a obawiając się jeszcze

gorszej sekwencji na kadencji ruskiej, z *przezorniej myśli* upraszałem Jego Królewskiej Mości pana miłościwego, gdyby wartość naszą trybunalską wzmocnić kazał, i do JO. księcia jegomości wojewody wileńskiego, hetmana W. litewskiego, zalecając straż powagi sądowej, pisał. Co gdy się stało, ci, którzy dalsze *excessa* dopełniać byli w zamiarze *reprezentowali* JO. księcia hetmanowi, iż moje takowego ordynansu u najłaskawszego pana uproszenie na to tylko zmierzało, żeby podać w *inwidyę* władzę hetmańską, a przykrość uczynić przyjaciołom. Daremniem *explikował* się z tego i przytaczał, że w Koronie gwardya asystuje trybunałom; coraz zawikłańsze wynajdowano *explikacye*, a tak wola pańska skutku nie wzięła, i trybunał *dolende* wzmocnienia nie otrzymał warty.

Porywczy do gwałtów Jmć pan Wołodkowicz deputat miński, gdy na ustępie byli kolledzy jego, on zagrzawszy głowę, naszedł sądową izbę z dobytym pałaszem, sędziego lidzkiego *Dłuskiego* porąbał, a vice-marszałkowi *Morykoniemu* zelżywemi dostało się słowy.

Takowa niegodziwa obelga, pod żadnym nieznaną słońcem, kary wzięść nie może, kiedy trybunał nie ma siły zuchwałego skarać człowieka, z przybraną tyranią na większe odważającego się *excessa*. Więc do Jego Królewskiej Mości, jako *ad fontem suum*, ucieka się trybunał, prosząc, aby Jego Królewska Mość wynalazł sposób *brachio suo* otrzymania satysfakcyi z tak niebezpiecznego *kontemptu*, co jeśli pójdzie *inpune*, pewnie i strony sędziów znieważać zaczną, z poniżeniem tak poważnej magistratury, którą dotąd *ob tremorem* obserwować najwyższej dystynkcyi ludzie musieli. Odezwałem się w téj mierze do JO. księcia hetmana, i kopią aktu mego przyłączam. Będąc z dystyngwowaną *obserwancyą* etc.

---

Kopia listu JWpana podkanclerzego W. księstwa litewskiego do JWpana Mniszcha marszałka nadwornego koronnego z Bychowa ejusdem pisanego.

Świątnica sprawiedliwości, najwyższa Jego Królewskiej Mości namiestnicza władza trybunału głównego W. X. L., który najmocniejszym w ojczyźnie ludziom straszny, dla najzuchwał-

szych ogromny, *et saeculis* poważany, jakowy gwałt teraz ucierpiał, i w wielkiem dotąd jest niebezpieczeństwie, donosi JW pan marszałek tegoż trybunału, i szuka u Jego Królewskiej Mości, jako najwyższej głowy swojej, zdania i rady. *Quo facto opus* zna każdy z nas \*) i wie, że takiego trybunału *oppressora* sądzić i karać należałoby. Ale szczupłe trybunału siły, *excessanta* zuchwałość i hajdamactwo, przy nim zgraja mięszająca się, czynić sprawiedliwości nie dozwala. Nie trzeba explikować JWpanu dobrodziejowi, jako w tém *laeditur* powaga Jego Królewskiej Mości, jaka dla przyszłych trybunałów *konsekwencya*, jaka dla postronnych narodów ustawa pogorszająca rządów naszych, i jako *rigorose* to zgromić należy: bo wysokie sentymenta i *amor boni publici* zaszczepony w JWpanu ma to w umyśle i oczach co sumiennosc każe, a praw utrzymanie utorowało drogę. Jednak, bym się nie zdał porywczym, zdałoby mi się, gdyby Jego Królewska Mość listem swoim do księcia jegomości hetmana ordynował, zalecając, ażeby wraz wartość trybunalską stem ludzi wzmocnił, a marszałka trybunału zobowiązał, żeby *irremissibiliter* JP. Wołodkowicza sądził *ad instantiam Instigatoris*. Lecz że *event* może być nieprzewidziany, więc Jego Królewska Mość mógłby listem swoim *intimować* instygantora W. X. L., jako w sprawie *laesi Regalis brachii*, i aby tę sprawę *ad ultimum juris gradum* tak w tym, jako i w przyszłych następujących trybunałach przeprowadził. Takowe wzięcie się za honor trybunału Jego Królewskiej Mości uczyni impressyą w narodzie poszanowania trybunałów, powściągnie od podobnych złych akcyi *pro futuro*, zagęszczone hajdamactwa powstrzyma, i *tranquillitatem* przyniesie ojczyźnie naszej.

Kopia listu JWpana hrabi Sapiehy krajczego i marszałka trybunału Gł. W. X. L. do Imćpana Morykoniego vice-marszałka tegoż trybunału.

Niestychanej odwagi akcyja JP. Wołodkowicza jako jest kryminalnej *importancyi*, bo *laedit* powagę Jego Królewskiej Mości znosi *Supremi Judicii* bezpieczeństwo, a przeto jest *crimen status*. Więc odezwałem się do Jego Królewskiej Mości, jako do

\*) Może to być domówka do Radziwiłłów.



najwyższej Trybunału głowy Pańskiej, *exquirendo sentimenta*. I nim nastąpi w tym punkcie rezolucya, i nim sam zjadę do Mińska, w całym tym interesie wstrzymać się proszę i nie *cunctanter* nie czynić w tej sprawie, póki udysponowania się *modus non datur*: bo nie partykularnej osobie stała się krzywda, ale honoru mego uszczerbek. Nie wątpię tedy, że W. pan całego trybunału piastując honor i powagę, *frivole* nie uczynisz kroku, któryby *vili passione* trybunału, a laski dyshonor przyniosł. O co W. pana *obtestando*, z wielką piszę się estymacją etc.

— To, czegom się w opowiadaniach dziada mojego, naocznego świadka śmierci Wołodkowicza, nasłuchał, to, co się z powyższych aktów i listów wypisanych z ówczesnych pamiętników domowych, wyświéca, zgodném jest zupełnie z opowiadaniem Bielewicza.

Wypadek ten, jakkolwiek tyczący się losu jednej tylko osoby, obojętnym jednak nie jest w dziejach kraju tego z ostatnich jego czasów, i za historyczny pod pewnym względem uważanym być może.

Ileż tu bowiem razem objawia się okoliczności i rysów charakterystycznych ludzi i wieku tamtego.

*Sapieha* niepewny, czyli w powszechnym nieładzie i ścierniu się możnowładnych partyj dopiastuje spokojnie laskę swoją trybunalską, którą naprzekor Radziwiłłom potrafił osiągnąć; „przezornéj myśli,” a może i z przekornej myśli, uprasza króla o rozkaz hetmanowi Radziwiłłowi powiększenia warty trybunalskiej.

Rozkaz ten dany od króla, ale go hetman nie spełnia. Bo jakżeby miał powiększać sam powagę współmagnata pragnącego zrównać mu w potędze, otaczając go świetną wojskową assystencyą, poniewoli odeń wymuszoną?

Niéma tu względu na niebezpieczeństwo najwyższej w kraju magistratury i publicznej, bo też może nie było i bojaźni, by ono prawdziwie zakłóconém być mogło. Duma tylko, arystokracka zarozumiałość i chęć upokorzenia *Sapiehy* a przysporzenia mu kłopotu w sprawowaniu urzędu, powoduje Radzi-

wiła do nieposłuszeństwa królowi, a tém samém do podniesienia w oczach gminu potężnej swój władzy hetmańskiej, którą tak troskliwie piastuje i chroni, że się lęka poddać „*w inwidye powszechną*,” spełniając ordynans królewski. Przyczyna ta wszakże z ręcznie wybraną i stosowną jest do panujących natenczas w narodzie wyobrażeń, i łamać się z nią Sapieha bez wydania na szwank swój popularności nie mógłby.

Zatém rozpoczyna się kadencya ruska trybunału w Mińsku. W kole sędziów jest kreatura Radziwiłłowska: Michał Wołodkowicz wybrany deputatem z Mińska, zuchwały, w swawoli, gwałtach, pijatykach i hajdamactwach trawiący swe lata młode, sam dawnego i możnego w Litwie rodu, a związkami pokrewieństwa z takimież połączony, ale oddany całkiem domowi *Radziwiłłowskiemu*, gotowy na wszelkie skinienia książąt, zaufany w ich protekcyi, a zatém niepomyślny dla Sapiehy kolega.

*Sapieha* znowu, zapewne z *przezornój myśli* zareassumowawszy trybunał, jedzie do domu. Zastępuje go w prezydencyi *Morykoni* vice-marszałek a deputat wilkomirski. Nazwisko i cudzoziemski ród jego, lubo dawno w kraju zabyły, podnieca pychę rozhukanego śmiałka, niemogącego scierpieć, że siedzi niżej od cudzoziemca, a co gorsza, że ten rozumem, znajomością prawa i roztropną stałością dostojnego i mądrego urzędnika przeważnie wpływa na zdanie kolegów i utrzymuje powagę trybunału, a upokarza Wołodkowicza napominkiem, przestrogą i samém nawet pobłażaniem jego swawoli.

W takim stanie rzeczy i rozdrażnienia, zdarza się sprawa jakiegoś koligata Wołodkowiczowskiego, w której wyrok, mimo prośb i groźb jego, nie padł mu po myśli. Dotknięty do żywego, a podżegany w zawziętości i pijatyce przez dobraną hajdamaków drużynę, nachodzi on trybunał...

Wielkie i powszechne było wzruszenie umysłów, wzbudzone niesłychanym dotąd takim wypadkiem. Występek główny i nadzwyczajny wymagał rychłej i surowej kary, bo targnął się na spokojność i bezpieczeństwo urzędu, piastującego własność i losy wszystkich, a co najgorsza, przykładem ośmielić mógł bezprawia i gwałty w kraju, w którym prawa codzień w swój sile i powadze słabły.

Lecz z drugiej strony, sama nadzwyczajność występkę trudnem czyniła zastosowanie kary, zwłaszcza nad człowiekiem, którego szerokie związki familijne, stosunki popularne, nakoniec protekcyja domu Radziwiłłowskiego osłaniały. Targnąć się więc na to wszystko njełatwo było, a zatem i trudny srodek pogodzenia tych wszystkich\* względów z prawem i sprawiedliwością.

Na taką próbę wydana *przezorna myśl* marszałka trybunału, nie mogła na rychłą i stanowczą zdobyć się determinacyę. *Sapieha* nie wie co począć? Zna, że obecność jego w takim razie konieczną jest na trybunale, lecz zna także, że przybywszy do Mińska, wnet coś postanowić i działać potrzeba będzie. Nie jedzie więc, ale się wybiera; zapowiada swą bytność Morykoniemu; zastrzega, aby on żadnego w tój sprawie *frivole* nie czynił kroku, nim sam nie zjedzie do Mińska i *nie wyekwiruje* sentymentu Jego królewskiej mości, do którego, jako *ad fontem* swój sądowniczej władzy, uczynił odezwę. Z kolei, wymówne napisawszy listy do *Mniszcha* marszałka nadwornego koronnego, do hetmana *Radziwiłła*, któremu przy zrzeczności odmówkę warty wymawiając, winą *excessu* dotyka, umyślił *tandem* spocząć sobie po tak ciężkiej listowania pracy i oczekiwać w Bychowie rezolucyów. A nuż zkądkolwiek nie przyjdzie sposób wywikłania się z tój biedy tak, aby i *kontempt* honoru jego, i prawo, i osobiste podległe okolicznościom czasu względy, zaspokojonemi być mogły.

Stary hatman Michał książę Radziwiłł dokonywał natenczas w Nieświżu wieku i niewojennego swego hetmaństwa.

Wiść wypadku w Mińsku, o mil kilkanaście od Nieświża odległego, wnet go doszła. Bo i stronnicy Wołodkowicza przylecieli doń szukać wsparcia i ratunku, i Morykoni napisał list, pragnąc wiedzieć myśli i zamiary księcia. Cnotliwy ten *pan*, jakkolwiek w powszechném otrętwnieniu kraju nie był zdolnym do wzbudzenia w nim żywotnego ducha, słyzył jednak ze sprawiedliwości i spokojnych cnót domowych, a nie nadużył nigdy na przemoc lub ucisk współbraci potężnej przewagi, jaką mu, najpiérwsze w kraju hetmana wielkiego i wojewody wileńskiego dostojenstwa, oraz niezmierne bogactwa jednały; owszem, gromił często i surowo własnego syna *Karola*, natenczas miecznika litewskiego, nieunoszonej młodości zapedy. I jeżeli, jako głowa



najmoźniejszego w Litwie rodu, wpływał na wewnętrzny obrót stronnictw i możnowładczych uporów, nie cierpiał jednak wyuzdanej swawoli, ani ją kiedykolwiek ochraniał lub bronił. Występek więc *Wołodkowicza*, odezwy *Sapiehy* i *Morykoniego*, ucieczka nawet adherentów *excessanta* po jego opiekę, wszystko dało poznać hetmanowi, że powszechność i potomność imię Radziwiłła do wspomnienia o *Wołodkowiczu* połączy.

Zatrwożyła księcia ta myśl nienawistna. Prawe przekonanie, że w obu swoich urzędach jest stróżem bezpieczeństwa publicznego, wsparło to pierwsze wrażenie. Wyrzeka się więc wszelkich z winowajcą stosunków i odmawia stanowczo błaganego ratunku.

Nie wiemy czyli odpisał *Sapiezie*; *Morykoniemu* zaś odpowiada, że się mieszać w tę sprawę wcale nie będzie, i że *quod juris est et justitia posset*, czynić przynależy.

Uderzeni jak piorunem stronnicy *Wołodkowicza* tém postanowieniem ojca, pobiegli szukać skuteczniejszego wsparcia u syna, złączonego z ich *pryncypałem* osobistą skłonnością. Ale, na nieszczęście ich i *Wołodkowicza*, ksiązę miecznik był natenczas aż w Białej, hrabstwie o mil kilkadziesiąt od Nieświża odległym.

---

Trzecie i główne miejsce sceny tego dramatu, był Mińsk. Tam po ujęciu i osadzeniu *Wołodkowicza*, nie łatwém było położenie trybunału, a szczególnież prezydującego w nim *Morykoniego*. Nazwisko jego cudzoziemskie źle brzmiało w uszach szlachty *komparującój* one z *Wołodkowiczami*, dawną i popularną między nimi rodziną. — *Włoch prześladuje szlachcica!* wołano zewsząd; nie pamięta na „*Neminem captivabimus, nisi jure victum!*“ — Warta trybunalska ze trzydziestu ludzi i dwóch oficerów złożona, ani liczna, ani mężna, z trudnościami ustrzegła więźnia i ochroniła sam trybunał, gdyby zburzony gmin od przegrózek przeszedł do czynu. Ale strzegła go mocniejsza od siły zbrojnej tarcza, bo siła wiekami utwierdzonej w narodzie czci, i świętej, że tak powiem *adoracyi*, dla trybunałów, przed którymi, jak pisze *Sapieha*, najwyższej dystynkcyi ludzie drzeć musieli. Bo też i najwyższej dystynkcyi ludzie składali go pospolicie; a jeżeli czasami

stronictwa i emulacye możnych, kierując wyborem deputatów, pokalały poważne to sądownicze grono, rzadko się to jednak przydarzało, i zawsze w niem znaleźli się mężowie prawi, sumienni i mądrzy, którzy réj wodzili w kole, tak, że nieraz się zdarzało, iż gdy przyszło do sekretnego *turnum*, w wątpliwych i interesowanych namowach, zwykle przez któregośkolwiek z bezstronnych sędziów wzywano, a przez marszałka zaprzeczyć się niemogącego, Radziwiłowski, Sapieżyński lub Czartoryskich deputat sam jeden przy swoim zostawał się *votum*. Oprócz tego, najzapaleńszymi rębaczom i codziennym towarzyszom hajdamactw Wołodkowicza opadały ręce i opuszczał zapał, gdy przypomnieli na porąbany przezeń krucyfiks; już wtenczas uznawali go winnym sądu i kary, lecz duchowne mu tylko *penitantiæ*, nie zaś kapitalny przeznaczając dekret.

*Morykoni* zdolnym był przewodniczyć trybunałowi i kierować zdaniem kolegów w tej trudnej okoliczności. Mądry i stały w postanowieniach, świadomy praw krajowych i stosunków tamtoczesnych obywatelskich, osądził on w swém sumieniu i w surowej lecz koniecznej sprawiedliwości występki i los Wołodkowicza; lecz niżeli stanowczym wyrokiem mógł sam go rozstrzygnąć, musiał wprzód wezwać *Sapiehy*, któremu obowiązek i przyzwoitość nakazywały nie opuszczać nigdy, a bardziej w takim zdarzeniu, trybunału; zbadać też determinacyę Radziwiłła: gdyż jeżeliby on chciał bronić Wołodkowicza, stając natenczas otwarcie i upornie naprzeciw hetmanowi można byłoby do większego zgorszenia dać powód, i nie obronić się jednak słabą trybunalską komendą naprzeciw hetmańskiemu żołnierzowi.

Dnia 1 lutego 1760 roku stała się *akcya*, i ujęty Wołodkowicz, osadzony został i strzeżony w kordygardzie warty trybunalskiej. *Morykoni* wnet posłał do *Bychowa*, odległego mil więcej trzydziestu od Mińska, do *Sapiehy*, i zapewne nie długo zwlekając, i do *Nieświża*. Nie mamy w rękopisie naszym tych listów jego; że były pisane, z odpowiedzi hetmana i marszałka widno.

Czas oczekiwania na te odpowiedzi najtrudniejszym był dla *Morykoniego* i trybunału, bo czas niepewności i próby. *Morykoni* z jednostajną spokojnością oblicza przewodniczył

nieprzerywającym się sądom; a lubo w namowach mniej o toczących się processach niżeli o rzeczy Wołodkowiczowskiej, wszystkich zajmującej, rozprawiano, jednak po namowie nikt z tłumu, czepiającego się zwykle trybunałów, nie mógł przeniknąć ani zbadać myśli marszałka i deputatów

Przyjaciele Wołodkowicza spodziewali się co chwila Radziwiłła, nie hetmana, ale syna jego księcia Karola, którego Wołodkowicz był polubieńcem; wierzyli więc, i słusznie, że nie da mu zginąć, i czy to zgodnie z wolą ojca, czy to i mimo woli jego, przybędzie oswobodzić więźnia.

Miał *Morykoni* swoje przesłuchy; wiedział, że książę Karol aż w *Białej*, liczył więc niecierpliwie dni i układał plany na przypadek przyśpieszonego przybycia księcia, a zatem zagrozić się mogącej spokojności publicznej; błagał tylko trwożliwszych kolegów, aby dotrwali przystojnie do końca i najmniej się nie wydawali ze swą bojaźnią lub wątpliwością. Nakoniec, prawie w jednej godzinie, zeszyły się odpowiedzi *Radziwiłła* i *Sapichy*, to jest, 12 lutego. List pierwszego uwalniał trybunał od wszelkiej, niespokojności ze strony hetmana, i owszem ośmielał do wymierzenia kary na przestępcę; drugi majaczył, odkrywał niepewność zdania, puszczania się na zwłokę, a zatem w przyszłości bezkarność dla Wołodkowicza, którejby on nie długo nawet oczekiwał, bo coraz gęściej krążyła wieść, że książę Karol ze swoim myślistwem, które rzeczywiście za siłę zbrojną uważać można było, tuż, tuż się zbliża.

Gdy więc tu już było prawdziwe *periculum in mora*, *Morykoni*, po odczytaniu tych listów w kole, odkrywa otwarcie swoje zdanie, wzywa Boga na świadectwo, że żadnej osobistej do *Wołodkowicza* niema na sercu urazy, że mu *Morykoni* przebacza... lecz że go sędzia potępia; wystawia niebezpieczne i gorszące skutki dla kraju, gdyby czyn tak zuchwały i występny poszedł bezkarnie, nakoniec odwołuje się do przysięgi sędziów, i konkluduje wyrokiem, że *Wołodkowicz* winien śmierci!—Jakież jest wasze zdanie? sędziowie! zapytał. Mamże otworzyć *turnum*?

— Nie potrzeba zawołałi wszyscy. *Poena colli!* Pisać wniesienie i dekret.

Porąbany przez Wołodkowicza lidzki deputat *Dłuski* daje natychmiast wniesienie—los winowajcy roztrzygnięty.



W kilka godzin Morykoni odbiera nagle wiadomość, że książę miecznik przybywa; przyspiesza więc exekucję dekretu, a oszczędzając Radziwiłłowi gorszącego czynu, a sobie i swoim niebezpieczeństwa, zaraz po exekucyi limituje na dwa tygodnie trybunał, i rozjeżdżają się wszyscy.

Dziad mój, towarzysz natenczas usarski znaku Buławy Wielkiej W. Ks. Litewskiego, a przebywający ciągle przy boku i dworze hetmana \*), posłany był przezeń zaraz po ujęciu Wołodkowicza do Mińska dla uważania obrótów rzeczy i wypadków, i donaszania wszystkiego do Nieświża, z zaleceniem jednak najściślejszej tajemnicy o swojej misyi i niewdawania się najmniej w żadne kroki, któreby tę misyę odkryć mogły.

Opowiadania jego szczegółowe o tym i o wielu innych wypadkach dworu Radziwiłła hetmana, a po jego zgonie księcia Karola (panie kochanku) przy którym także lat kilka przebywał, wyrły się dokładnie w mojej dziecięcej i młodzieńczej pamięci; w pamiętniku zaś jego domowym znalazł się dekret, listy i noty powyżej wydrukowane, które on, znajdując się ówczesnie i umyślnie *in loco delicti*, miał łatwą zręczność zebrać.

A tak rys ten wypadku tego nadzwyczajnego, mniemam być prawdziwym. Sprzecznym on jest z opowiadaniem tejsze samęj okoliczności w *Pamiętnikach starego szlachcica*, niedawno w Wilnie wydrukowanych, naprzód głównie w tém, że dekret śmierci *Wołodkowicza* ogłasza być sądów kapturowych, a zatem w ciągu bezkrólewia po śmierci Augusta III, gdy wątpliwości niema, że go trybunał 1760 za życia jeszcze tego króla osądził, z kolei we wszystkich okolicznościach towarzyszących akcyi, wyrokowi i exekucyi wyroku na *Wołodkowiczu*. Błąd ten autora wysokich literackich zalet ztąd zapewne poszedł, że wieść pomięszala i dotąd mięsza, swawole i los dwóch Wołodkowiczów współczesnych sobie: Michała, rozstrzelanego w 1760, i

\*) Michał Borejko Chodźko, w roku 1760 towarzysz usarski znaku Buławy wielkiej W. Ks. Lit.; potem w roku 1777 *deputat* z powiatu oszmiańskiego na trybunał główny W. Ks. Lit. na kadencję ruską do *Grodna*; w roku 1785 *deputat* na trybunał na kadencję litewską do *Wilna*; nakoniec po rozdziale powiatu oszmiańskiego; *wojski* zawilejski.

Ignacego, brojącego po kraju właśnie w czasie bezkrólewia, okrytego i manifestami współ-braci i wyrokiem sądów tamto-czesnych kapturowych i konfederackich, którym jednak nie stało się zadosyć, i które potem list żelazny pokonał.

Ośmdziesiąt cztery lata upłynęło po tym wypadku, wspomnienie Wołodkowicza trwa do dziś dnia po Litwie, lecz codzień się już, wraz z innemi podaniami, zacierza i niknie. Gmin pospolity, szczególnie drobnej szlachty, gromadząc swawole obu Wołodkowiczów pod jedną osobą, i z przesadą one rozpowiadając, śmierć jego niesłuszném męczeństwem osądził i pamięć politowania swego nad nim pieśnią pozgonną uwiecznił... Rozmysłny zaś badacz przeszłości kraju tego, widzi tu dowód, że w ówczasowém rozstrojeniu sprężyn rządu i wewnętrznego porządku, zepsucie jednak nie tak daleko zaszło, aby wyniszczyło zupełnie wzgląd na dobro publiczne. Bo i w możnowładnych głowach, jakim był hetman Radziwiłł, wzgląd osobisty ustępował bez namysłu i niknął jak mara przed interesem powszechnym i przed bojaźnią pogwałcenia praw i spokojności krajowej, a w szlacheckim zastępie, nie wypleniał mężów cnoty i energii pełnych, bezwzględnie i śmiało postępujących na drodze obowiązków swoich, a godnych jak *Morykoni* zaufania ziomków i urzędów wysokiego dostojenstwa, na których dobro i bezpieczeństwo ogólne polegało.





## SPIS RZECZY.

### Obrazy Litewskie Serya I.

	<i>Stron.</i>
Domek mojego Dziadka. . . . .	7
Boruny . . . . .	21
Śmierć mojego Dziadka. . . . .	49
Ostatnia Sessya Exdywizyi. . . . .	66
Samowar. . . . .	80
Powrót Dziedzica. . . . .	91
Poddany. . . . .	110

### Obrazy Litewskie Serya II.

Brzegi Wilii . . . . .	125
Ranek przed Ślubem . . . . .	249

### SPIS ROZDZIAŁÓW.

Przedmowa wydawcy . . . . .	267
Wstęp autora . . . . .	268
ROZDZIAŁ I. Sejmiki połockie w Uszaczu . . . . .	274
— II. Wizyta po przyjaciołach . . . . .	276
— III. Wyzwanie . . . . .	278
— IV. Wieczorynka . . . . .	281
— V. Pojedynek . . . . .	284
— VI. Sessya sejmikowa . . . . .	286
— VII. Obiad u pana wojewody . . . . .	295
— VIII. Po sejmikach . . . . .	302
— IX. Ucieczka . . . . .	310

Rozdział X. W Nieświżu . . . . .	314
— XI. Nazajutrz . . . . .	321
— XII. Kapituła . . . . .	324
— XIII. Instrukcyja na kwestę i odjazd z klasztoru . . . . .	328
— XIV. Legendy starego Marcina, Pan Rotmistrz . . . . .	331
— XV. U Pana Bielewicza. Wołodkowicz . . . . .	338
— XVI. Popas i uwagi Marcina . . . . .	363
— XVII. U wdowy . . . . .	368
— XVIII. U pana starosty . . . . .	375
— XIX. Casus. fatalis . . . . .	389
— XX. U księdza plebana . . . . .	394
— XXI. Powrót . . . . .	397
— XXII. Rok 1812 . . . . .	400
— XXIII. . . . .	405
— XXIV. . . . .	410
— XXV. Testament ks. definitora . . . . .	414
— XXVI. Śmierć ks. definitora . . . . .	417
— XXVII. . . . .	419
— XXVIII. Wędrówka do Bienicy . . . . .	421
— XXIX. Nieboszczyk Kocieł . . . . .	424
— XXX. Przed kwestą . . . . .	427
— XXXI. Kwesta . . . . .	431
— XXXII. Stary marszałek dworu i stary rezydent . . . . .	435
— XXXIII. Sny . . . . .	440
— XXXIV. Łostaje . . . . .	446
— XXXV. Elżutka . . . . .	451
Przypisy do Rozdziału XV. o Wołodkowiczu . . . . .	457



319, 330, 331  
347, 382, 411, 414







F

405

4